



ANNE
JACOBS

W CIENIU
TAJEMNIC

Prószyński i S-ka

ANNE
JACOBS

W CIENIU
TAJEMNIC

Przełożyła
Ewelina Twardoch

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
DIE TUCHVILLA

Copyright © 2015 by Blanvalet Verlag,
a division of Verlagsgruppe Random House GmbH, München, Germany
All rights reserved

Projekt okładki
Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce
© Aleshyn_Andrei/Shutterstock; Mariusz Banachowicz

Redaktor prowadzący
Joanna Maciuk

Redakcja
Małgorzata Grudnik-Zwolińska

Korekta
Sylwia Kozak-Śmiech
Zofia Firek

ISBN 978-83-8097-607-8

Warszawa 2016

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Fabła powieści oraz wszyscy pojawiający się w niej bohaterowie są fikcyjni. Wszelkie podobieństwa do osób żyjących oraz do realnych postaci są przypadkowe.

CZEŚĆ I

AUGSBURG, JESIEŃ 1913 ROKU

1

Z chwilą, gdy przeszła przez bramę Jakoba, jej kroki stały się wolniejsze. Tutaj, we wschodniej części miasta, otwierał się przed nią nowy świat. Nie spokojny i ciasny jak uliczki na przedmieściach Augsburga, ale głośny i dynamiczny. Na łąkach, między strumieniami, wznosiły się budynki fabryczne, przypominające średniowieczne twierdze. Każdy z nich otoczony był murem, tak by nie mógł tam wejść nikt nieuprawniony i by nic nie umknęło uwagi strażników. Na terenie fabryki hałas i zgiełk nie ustawał nawet na chwilę. Z kominów unosił się w niebo czarny dym, a w halach maszyny pracowały dzień i noc. Marie wiedziała z własnego doświadczenia: ten, kto tutaj pracował, stawał się powoli jak kamień. Głuchy od ciągłego ryku maszyn, ślepy od wirującego w powietrzu pyłu, milczący, jakby w głowie miał jedynie pustkę.

Tak, tak właśnie wygląda twoja ostatnia szansa!

Mrużąc oczy przed oślepiającym słońcem, Marie stanęła przed fabryką Melzerów. W niektórych oknach igrało poranne słońce, jakby za nimi palił się ogień, ale mury były stalowoszare, a cień, który rzucały, sprawiał, że wnętrza pomieszczeń wydawały się prawie czarne. Leżąca z drugiej strony posiadłość jaśniała światłem odbijającym się od czerwonych cegieł i wyglądała niczym zamek z bajki o Śpiącej Królowie, stojący pośród jesiennego parku, emanującego kolorami.

To jest twoja ostatnia szansa! Dlaczego panna Pappert powtórzyła to zdanie wczoraj wieczorem aż trzy razy? Czy Marie mogła oczekiwać jedynie więzienia albo śmierci, jeśli zostanie odesłana? Patrzyła na tę piękną budowlę, ale jej kształt rozmywał się jej przed oczami, zlewał się z zielonymi łąkami i kolorowymi liśćmi drzew rosnących w parku. Nic dziwnego, wciąż była słaba po krwotoku sprzed trzech tygodni, a ze zdenerwowania nie mogła rano prawie nic przełknąć.

Dobrze więc, pomyślała, przynajmniej jest to ładny dom i będę mogła tu

zająć się innymi rzeczami, a nie tylko ciągle szyć. A jeśli wyślą mnie do fabryki, będę po prostu robić swoje. Nie będę musiała się męczyć dwanaście godzin dziennie ze zdezelowaną maszyną do szycia, w której ciągle zrywa się nitka. Poprawiła zawiniątko, które niosła na ramieniu, i ciesząc się pozorną wolnością, poszła w stronę wejścia do parku. Otwarta zabytkowa żelazna brama opleciona wijącymi się kwiatami zachęcała do jej przekroczenia. Droga prowadziła przez park do miejsca, gdzie na środku utwardzonej kwadratowej powierzchni znajdował się klomb z kwiatami. Nikogo nie było w pobliżu, ale z bliska posiadłość robiła jeszcze bardziej przytłaczające wrażenie. Szczególnie monumentalny był portyk z kolumnami, wysoki na dwa piętra. Na kolumnach opierał się duży kamienny balkon – prawdopodobnie stąd pan Melzer wygłaszał przemówienie do swoich współpracowników w sylwestrowy wieczór. A oni i ich żony otulone futrami patrzyli na niego z szacunkiem. Możliwe, że z okazji świąt byli częstowani darmową wódką albo piwem. Na pewno nie był to szampan – zarezerwowany wyłącznie dla fabrykanta i jego rodziny.

Tak naprawdę wcale nie chciała tu pracować. Gdy spoglądała na chmury snujące się nad fabryką, wydawało się jej, że wraz z nimi wszystkie te wysokie budynki przesuwają się w jej kierunku, żeby ją zmiażdżyć. To była jednak jej ostatnia szansa. Nie miała innego wyjścia. Marie spojrzała na część frontową posiadłości. Po obu stronach portyku znajdowały się drzwi, którymi wchodził służba oraz dostawcy. Podczas gdy Marie zastanawiała się, które z nich wybrać, usłyszała za sobą trzaskający dźwięk nadjeżdżającego pojazdu. Ciemna limuzyna przejechała tuż-tuż. Gdy dziewczyna przerażona uskoczyła na bok, zobaczyła twarz szofera. Był to młody mężczyzna, a na głowie miał niebieską czapkę ze złotą kokardką. Ach, a więc przyjechał po właściciela fabryki i zawiezie go do jego biura. Fabryka jest, co prawda, oddalona dosłownie o kilka kroków, dziesięć minut szybkim marszem, ale taki bogaty pan nie chodzi przecież pieszo – mógłby pobrudzić drogie buty albo płaszcz. Z zaciekawieniem i trochę z zazdrością wpatrywała się w portal pod kolumnami, który się teraz otwierał. Zobaczyła pokojówkę, ubraną w ciemną sukienkę, jasny fartuch i biały czepek, nałożony na gładko zaczesane do tyłu włosy. Potem Marie spostrzegła dwie kobiety, panie w długich płaszczach z miękkimi futrzanymi kołnierzami. Jeden był ciemnoczerwony, a drugi w kolorze jasnej zieleni. Ich kapelusze przystrojone kwiatami i woalkami wyglądały jak z bajki, a gdy wsiadały do limuzyny, zobaczyła ich pantofle

z delikatnej brązowej skóry. Za nimi wyszedł mężczyzna, ale nie, to nie mógł być właściciel fabryki – był na to za młody. Może to mąż którejś z pań? Albo syn państwa? Miał na sobie krótki brązowy płaszcz i niósł torbę, którą zwinnym ruchem umieścił na dachu samochodu, zanim zajął miejsce w środku. Szofer podskoczył jak oparzony, żeby otworzyć drzwi samochodu i podać rękę obu paniom, jakby bez jego pomocy nie były w stanie usiąść na miękko obitych siedzeniach. Tak, kobiety te z pewnością były zrobione z cukru i odrobina deszczu mogłaby je rozpuścić. Rozpuściłyby się w jednej chwili. Jaka szkoda, że dzisiaj nie pada. Gdy państwo wsiedli, szofer objechał kolorowy klomb, na którym kwitły czerwone astry, różowe dalie i liliowe wrzosy. A po wykonaniu tego dość gwałtownego manewru, skierował pojazd ku bramie. Przejechał tak blisko Marie, że wystający stopień samochodu musnął jej sukienkę, poruszoną przez podmuch wiatru. Młody pan z nieskrywaną ciekawością spojrzął na Marie. Zdjął kapelusz, a niedbale obcięte, kręcone włosy i jasny zarost nadawały mu wygląd beztroskiego studenta. Uśmiechnął się do Marie, a potem pochylił się w stronę kobiety w czerwonym płaszczu i powiedział jej coś na ucho. Po chwili wszyscy zaczęli się śmiać. Czy naśmiewali się ze źle ubranej dziewczyny z tobołkiem przewieszonym przez ramię? Marie poczuła ukłucie w klatce piersiowej i musiała zwalczyć w sobie chęć, żeby natychmiast się odwrócić i pobiec z powrotem do sierocińca. Nie miała jednak wyboru.

Smuga dymu, którą pozostawił za sobą odjeżdżający samochód, tak mocno śmierdziała benzyną i spaloną gumą, że Marie zaczęła kaszleć. Zebrała się jednak w sobie, przeszła koło klombu, podeszła do drzwi znajdujących się po lewej stronie i uderzyła kołatką z czarnego żelaza. Nikt nie zareagował, prawdopodobnie wszyscy byli zajęci pracą, bo dochodziła godzina dziesiąta. Gdy zapukała po raz drugi i była już zdecydowana, że po prostu pociągnie za klamkę, usłyszała czyjeś kroki.

– Jezus Maria! To jest ta nowa! Dlaczego nikt jej nie otworzył? Nie ma śmiałości wejść do środka, biedactwo...

Głos był młody i dość wysoki. Marie rozpoznała pokojówkę, która wcześniej otwierała drzwi państwu. Miała różową skórę i jasne włosy, wyglądała na krzepką i zdrową, a na jej twarzy widniał szczery, szeroki uśmiech. Prawdopodobnie pochodziła z okolicznej wsi, w żadnym razie nie wyglądała na kogoś wychowanego w mieście.

– Wejdz. Nie trzeba się wstydzić. Ty jesteś Marie, tak? Ja nazywam się Auguste i jestem młodszą pokojówką, już pełny rok.

Wydawała się z tego powodu bardzo dumna. Cóż to za dom! Mają aż dwie pokojówki! Tam gdzie wcześniej Marie była zatrudniona, całą pracę, łącznie z gotowaniem i praniem, musiała wykonywać sama.

– Niech będzie pochwalony, Auguste! Bardzo dziękuję za powitanie.

Marie zeszła trzy schodki w dół, do wąskiego korytarza. Jakie to dziwne. Posiadłość zbudowana z czerwonej cegły miała niezliczoną liczbę wysokich okien, ale tutaj, w części dla służby, było tak ciemno, że nie wiadomo było, gdzie się stawia stopę. Choć może tylko tak się jej wydawało, bo wciąż była nieco oślepiąca przez poranne, jasne słońce.

– Tutaj jest kuchnia. Kucharka da ci zaraz kawę i bułkę. Wyglądasz na wygłodzoną.

Kobieta się nie myliła. W porównaniu z krzepką, tryskającą zdrowiem Auguste Marie musiała wyglądać jak zjawa. Zawsze była bardzo szczupła, ale po chorobie miała zapadnięte policzki, a na ramionach widać było wystające kości. Oczy wydawały się przez to jeszcze dwa razy większe, a ciemnobrązowe włosy wiły się niesfornie i przypominały miotłę. Tak przynajmniej stwierdziła panna Pappert podczas wczorajszej rozmowy. Panna Pappert prowadziła Sierociniec Siedmiu Męczennic i sama wyglądała, jakby doświadczyła losu każdej z nich. Nic już nie mogło jej pomóc: panna Pappert była złośliwa jak wiedźma i kiedyś z pewnością będzie smażyć się w piekle. Marie nienawidziła jej całym sercem.

Gdy tylko weszła do środka, natychmiast uznała, że kuchnia mogłaby stać się jej schronieniem. Ciepła, jasna, wypełniona cudownymi zapachami. Pomieszczenie, w którym były: soczysta szynka, świeży chleb i ciasta, a do tego pyszne pasztety, rosół z kury i bulion wołowy. To miejsce pachniało tymiankiem, rozmarynem i szałwią, koperkiem i kolendrą, goździkami i gałką muszkatołową. Marie stała przy drzwiach i patrzyła na długi stół, przy którym kucharka przygotowywała rozmaite dania. Dopiero teraz poczuła, jak zimno było na zewnątrz, i zaczęła się trząść. Jak cudownie było siedzieć blisko pieca kuchennego z filiżanką kawy z mlekiem, czuć ciepło i oddychać beztróskim życiem, popijając powoli gorącą kawę. Jej wizję rozproszył głośny okrzyk. Wydała go drobna starsza kobieta, która weszła do kuchni i na widok Marie podskoczyła z przerażenia.

– Święta Panienko! – jęknęła i przycisnęła obie ręce do piersi. – To ona! Panie, bądź przy mnie. Tak jak i we śnie. Jezu Chryste, chroń nas przed wszelkim nieszczęściem...

Kobieta musiała się oprzeć o ścianę i niechcący zrzuciła miedziany garnek wiszący na haku, który spadł na pokrytą kafelkami podłogę, robiąc przy tym sporo hałasu. Marie zamarła ze strachu.

– Jordan, czy pani już naprawdę całkowicie oszalała? – warknęła poirytowana kucharka. – Zrzuciła pani mój najlepszy garnek na warzywa. I niech Bóg ma panią w opiece, jeśli jest na nim jakiegokolwiek wgniecenie albo rysa.

Drobna kobieta, która właśnie została nazwana „Jordan”, nawet nie usłyszała groźby kucharki. Ciężko oddychając, odsunęła się od ściany i złapała się rękami za włosy, ozdobione czarną wstążką. Czarne były również jej bluzka i spódnica. Do bluzki miała przypiętą broszkę ze srebra w kształcie pączka z wizerunkiem głowy subtelnej, młodej kobiety.

– To... to nic – wyszeptała i położyła obie ręce na skroniach, jakby cierpiała z powodu bólu głowy.

Migreny miewały wyłącznie dobrze urodzone damy, służącym „przysługiwały” jedynie zwykłe bóle głowy, jako skutek picia alkoholu albo lenistwa.

– Znowu majaki, co? – warknęła kucharka i podniosła garnek spod stołu. – Któregoś dnia wślawi się pani tymi sennymi marami. Może nawet sam cesarz panią do siebie przywoła, żeby przepowiedziała mu pani przyszłość.

Roześmiała się głośno i zabrzmiało to trochę jak beczenie kozy. Jej śmiech był kpiący, ale nie złośliwy.

– Ach, niech sobie pani da spokój z tymi głupimi żartami – odburknęła Jordan.

– Ale jeśli będzie pani przewidywać jedynie nieszczęścia – ciągnęła niewzruszona odpowiedzią kucharka – to cesarz najpewniej nie będzie chciał pani przyjąć!

Marie stała oparta o ścianę, jej serce biło jak szalone i nagle zrobiło się jej niedobrze. Żadna z kobiet nie zwracała na nią uwagi, a Jordan wyjaśniała kucharce, że łaskawa panienka życzy sobie kawę i ciasto, więc powinna się pośpieszyć.

– Łaskawa panienka musi cierpliwie poczekać, bo najpierw muszę nastawić wodę.

– Zawsze tak samo. To wy w kuchni się guzdracie, a ja zbieram reprimendy od łaskawej panienki.

Marie wydało się dziwne, że choć głosy kobiet są podniesione, to wydają

się coraz cichsze. Prawdopodobnie gwizd zagłusza wszystkie inne dźwięki. Ale czy kucharka nie powiedziała właśnie, że najpierw musi nastawić wodę? Dlaczego więc czajnik już gwizdał?

– Guzdramy się? – usłyszała znów wyraźniej głos kucharki. – Przygotowałam obiad, do tego ciasto i kolację na dzisiejszy wieczór dla dwunastu osób. I to sama, bo przecież Gertie, ta głupiutka istota, uciekła. Gdyby mi Auguste tu i tak nie... Wielkie nieba! Święta Panienko! Teraz to masz babo placek!

Marie próbowała się wyprostować, ale było za późno. Szare i jasnobrażowe płytki kuchennej podłogi przybliżyły się w zastraszającym tempie, a potem zapadła ciemność. Cicha i przyjemnie lekka. Pływała w tej bezgłośnej, delikatnej ciemności. Tylko głupie serce pukało i waliło, wstrząsając całym jej ciałem i sprawiając, że drżała. Nie mogła nic zrobić, żeby jej zęby nie szczękały, a dłonie się nie zaciskały.

– Tak, tego nam jeszcze brakowało. Epileptyczka. To już Gertie ze swoimi historiami miłosnymi była lepsza...

Marie nie miała odwagi otworzyć oczu. Zemdląca. Nie zdarzyło się jej to od czasu krwotoku. Czyżby znów pluła krwią? Boże, tylko nie to. Śmiertelnie się wtedy przestraszyła. Czysta krew wypływała jej z ust. Było jej przerażająco dużo. Tak dużo, że nie mogła ustać na nogach.

– Niech się pani natychmiast zamknie! – warknęła kucharka. – Dziewczyna jest wygłodzona, nic dziwnego, że zemdląca. Już, zabierz filizankę.

Ktoś chwycił ją szorstkimi dłońmi pod ramiona i uniósł trochę do góry. Na ustach poczuła gładki, okrągły brzeg filizanki, zapachniało kawą.

– Pij, dziewczyno. To postawi cię na nogi. Weź najpierw mały łyk.

Marie próbowała otworzyć oczy. Zobaczyła przed sobą szeroką, czerwoną twarz kucharki, brzydką i spoconą, ale dobroduszną. Za nią dostrzegła chudą, ciemną postać Jordan. Srebrna broszka odbijała się na tle czarnej bluzki, a na twarzy Jordan widać było niesmak.

– Po co ją pani dokarmia? Jeśli jest chora, panna Schmalzler ją odeśle. I dobrze. Bardzo dobrze. Jeśli zostanie, przyniesie nam nieszczęście. Wniesie ogromne nieszczęście do tego domu, ja to wiem...

– Niech pani zaleje herbatę, woda się gotuje.

– To nie jest moje zadanie!

Marie zdążyła wypić zaledwie kilka łyków kawy, ale już ta niewielka ilość sprawiła, że wracała do żywych, co chętnie by ukryła jeszcze przez chwilę.

Nie mogła jednak oszukiwać tej miłej kucharki.

Na szczęście nie pluła krwią.

– No – mruknęła kobieta z zadowoleniem – jesteś z powrotem.

Marie zrobiło się niedobrze od mocnego, gorzkiego napoju. Opuściła głowę i uśmiechnęła się boleśnie.

– Już przechodzi... dziękuję za kawę.

– Poleż jeszcze chwilę. Jak będzie ci lepiej, dostaniesz coś porządnego do jedzenia.

Marie przytaknęła posłusznie, choć na myśl o bułce z masłem czy rosole żołądek podchodził jej do gardła. Obie kobiety położyły ją na drewnianej ławie, na której pracownicy siadali do jedzenia. Marie wstydziła się bardzo tego głupiego zasłabnięcia. Kobiety we dwie musiały ją podnieść i położyć na ławce. I jeszcze to gadanie Jordan, że Marie jest epileptyczką i przyniosła do domu nieszczęście. Ona chyba miała nie po kolei w głowie. Było zupełnie odwrotnie. To posiadłość jest naznaczona jakąś tragedią. Wyczuła to od razu i dało jej to do myślenia. Ostatnia szansa czy też nie, pod żadnym pozorem nie chciała tu zostać. Nie dla pieniędzy czy pochwał. A na pewno nie z powodu głupiej paplaniny Pappert.

– Co pani tam wyprawia? – wrzasnęła kucharka. – Woda w czajniku już od dawna wrze, aż para idzie w górę. Boże, dopomóż, teraz wszystko wykipi i łaskawa panienska mnie obarczy za wszystko odpowiedzialnością!

– Gdyby przyłożyła się pani do pracy jak należy, nic takiego by się nie wydarzyło. Robienie herbaty nie należy do moich zadań. Ja jestem pokojówką, a nie kuchcią!

– Kuchcią? Pani arogancja aż z pani bucha! Arogancja i głupota.

– Co tu się dzieje? – zabrzmiał jasny, czysty głos Auguste. – Łaskawa panienska już trzy razy prosiła o herbatę i zaczyna wpadać we wściekłość. A Jordan ma do niej natychmiast przyjść...

Marie spostrzegła, że blada twarz pokojówki stała się niemalże biała. Ona sama wreszcie mogła podnieść głowę, nudności minęły.

– Przeczuwałam, że tak właśnie będzie – wymruczała Jordan ponuro.

Gdy pośpiesznie wychodziła z kuchni, szeleszcząc spódnicą, skierowała wzrok na Marie. Wpatrywała się w nią jak w niebezpiecznego insekta.

2

Eleonore Schmalzler była dostojną kobietą. Czterdzieści siedem lat pracy w tej rodzinie sprawiło, że jej skronie przyprószyła siwizna, ale ramiona i plecy wciąż były proste, jak za najlepszych młodych lat. Na Pomorzu była pokojówką łaskawej panienci Alicii von Maydorn, a gdy ta wzięła ślub, Eleonore podążyła za swoją panią do posiadłości w Augsburgu. W gruncie rzeczy małżeństwo było mezaliansem. Johann Melzer był synem nauczyciela z prowincji. Zaczynał od zera i dorobił się fabryki. Szlacheckie pochodzenie Maydornów z czasem zaczęło tracić na znaczeniu. Dwaj synowie byli, co prawda, oficerami, ale skutkowało to jedynie tym, że posiadłość na Pomorzu była mocno zadłużona. A Alicia w dniu zaręczyn miała prawie trzydzieści lat, niewątpliwie była już starą panną. Miała sztywny staw skokowy – po niefortunnym upadku ze schodów w dzieciństwie – co zdecydowanie obniżało jej wartość jako kandydatki na żonę.

Początkowo Eleonore Schmalzler została zatrudniona jako gospodyni tylko na pewien czas. Alicia Melzer nie ufała ludziom z miasta, gdyż uważała, że dbają oni wyłącznie o własne korzyści, a nie o dobro domu. Zatrudniła nawet dwóch lokai i gosposię z miasta, ale odesłała ich po krótkim czasie. Natomiast Eleonore Schmalzler od pierwszego dnia zachowywała się wzorowo. Potrafiła połączyć głębokie przywiązanie do swojej pani z naturalną umiejętnością kierowania ludźmi. Ten, kto pracował w posiadłości, traktował to jako przywilej, na który trzeba było sobie zasłużyć uczciwością, pracowitością, dyskrecją i lojalnością.

Dochodziła godzina jedenasta. Łaskawa pani i panienka Katharina mogły wrócić lada moment. Pojechały z paniczem na dworzec – od kilku lat studiował on prawo na uniwersytecie w Monachium. Potem pani była umówiona z córką na wizytę u doktora Schleichera. Te wizyty trwały zazwyczaj pół godziny. Eleonore Schmalzler nie dostrzegała żadnych efektów leczenia, ale łaskawa pani pokładała w doktorze ogromne nadzieje. Już prawie

osiemnastoletnia Katharina Melzer cierpiała z powodu bezsenności, nerwicy oraz silnych bólów głowy.

– Auguste!

Auguste ostrożnie otworzyła drzwi, trzymając w prawej ręce małą srebrną tacę, na której stały filiżanka z herbatą, dzbanuszek ze śmietanką i cukiernica.

– Tak, panno Schmalzler?

– Już jej lepiej? Jeśli tak, przyślij ją do mnie.

– Oczywiście, panno Schmalzler. Ona już doszła do siebie. Miła młoda dziewczyna, tylko strasznie wychudzona i nie ma też żadnych...

– Czekam, Auguste.

– Tak, już, panno Schmalzler.

Każdego pracownika należało traktować w sposób zależny od jego osobowości. Auguste była bardzo uczynna, ale niezbyt lotna. W dodatku miała tendencję do zbytnej gadatliwości. To zresztą z polecenia Eleonore Schmalzler przyjęto ją na pokojówkę. Auguste była osobą uczciwą i szczerze oddaną rodzinie. Bywały dziewczyny, które pracowały w fabryce po to, by flirtować z mężczyznami, i uciekały po kilku miesiącach. Auguste nigdy by tego nie zrobiła. Była zadowolona z pracy w posiadłości i bardzo dumna ze swojej posady.

Skrzypnęły drzwi, otworzyła je powoli nowa dziewczyna. Gospodyni zobaczyła chudą, bladą twarz z ogromnymi ciemnymi oczami. Ciemne włosy splecione w warkocz, z którego wymykały się pojedyncze kosmyki. A więc to ona. Marie Hofgartner, osiemnaście lat. Sierota. Prawdopodobnie była dzieckiem pozamałżeńskim. Do drugiego roku życia wychowywała ją matka, a po jej śmierci zabrano ją do Sierocińca Siedmiu Męczennic. Gdy miała trzynaście lat, pracowała w domostwie na przedmieściach Augsburga, ale uciekła stamtąd po czterech tygodniach. Dwie kolejne próby uczynienia z niej pomocy domowej również się nie powiodły. Jako szwaczka u krawcowej wytrzymała rok, potem przez pół roku pracowała w fabryce włókienniczej Steyermanna. Trzy tygodnie temu dostała silnego krwotoku...

– Szczęść Boże, Marie – powiedziała przyjaźnie do drobnej, wynędzniałej istoty. – Dobrze się czujesz?

Brązowe oczy wpatrywały się w gospodynię tak intensywnie, że pod ciężarem tego wzroku poczuła się nieswojo. Albo ta dziewczyna była bardzo prostym, naiwnym stworzeniem, albo wręcz odwrotnie.

– Dziękuję, wszystko w porządku, panno Schmalzler.

Ta mała trzymała się naprawdę dzielnie. Nie należała do tych, które ciągle marudzą. Jeszcze przed chwilą leżała nieprzytomna na podłodze w kuchni – tak powiedziała Jordan – a teraz stała przed nią wyprostowana, jakby nic się nie stało. Jordan twierdzi, że sprowadzi do domu nieszczęście, ale ta kobieta często wygaduje podobne nonsensy. Eleonore Schmalzler nigdy nie opierała swoich sądów na opinii innych. Pozwalała sobie nawet – oczywiście w tajemnicy – dzięki bystremu umysłowi weryfikować decyzje państwa.

– To cudownie – odpowiedziała. – Potrzebujemy dziewczyny do pomocy w kuchni, a ty zostałam polecona przez pannę Pappert. Pracowałam już w kuchni?

Pytanie było tak naprawdę zbędne, bo Eleonore przejrzała wczoraj książeczkę pracy i rekomendacje dziewczyny, które posłaniec przyniósł wraz z jej rzeczami. Wzrok Marie powędrował w stronę kilku wysokich rzeźbionych krzeseł ustawionych w półkole oraz regału z książkami i dokumentami. Zatrzymał się również na zielonej, drapowanej zasłonie wiszącej w oknie. Pokój, w którym mieszkała gospodyni, był gustownie urządzone i wydawało się, że robi na małej duże wrażenie. Po chwili mrugnięciem powieki zdradziła, że dostrzegła na biurku gospodyni swoje papiery. Na jej twarzy widać było zastanowienie, o co tak naprawdę pyta ją ta kobieta. Przecież wszystko już przeczytała.

– Byłam trzy razy zatrudniona jako pomoc domowa. Musiałam gotować, pracować, dostarczać jedzenie i opiekować się dziećmi. Poza tym w sierocińcu musieliśmy obierać warzywa, przynosić wodę i zmywać naczynia.

Z pewnością nie jest naiwna, może nawet jest zbyt sprytna. Eleonore Schmalzler nie lubiła, gdy pracownicy wykazywali się zbyt dużą inteligencją. Tacy ludzie myślą o własnych korzyściach, a nie o tym, co dobre dla domu. I są zdolni do czynienia zręcznych oszustw, jak pewien służący, wspomniany przez nią z niechęcią do dziś, który przez lata kradł i sprzedawał drogie czerwone wino. Nawet jeszcze teraz wyrzucała sobie, że tak późno poznała się na tym oszuście.

– W takim razie szybko poznasz swoje obowiązki, Marie. Jako pomoc kuchenna będziesz przede wszystkim wykonywać polecenia pani Brunnenmayer, naszej kucharki. I musisz być posłuszna innym pracownikom. Oni też mogą zlecać ci różne zadania do wykonania. Mówię ci to wszystko, bo, z tego, co widzę, nie pracowałam jeszcze w tak dużej posiadłości.

Popatrzyła badawczo na dziewczynę. Czy ona w ogóle słyszała, co

powiedziałam? Wpatrywała się jak zaczarowana w rysunek węglem, oprawiony w ramkę, który wisiał nad biurkiem. Prezent od łaskawej panienci Kathariny, która w minionym roku na Boże Narodzenie obdarowała wszystkich pracowników własnoręcznie wykonanymi rysunkami. Na tym widać było hale fabryczne: dachy w kształcie trójkątów, oszklone od północnej strony.

– Podoba ci się ten obrazek? – zapytała prowokująco.

– Bardzo. To tylko kilka kresek, ale od razu widać, co przedstawia. Też chciałabym tak umieć.

W brązowych oczach małej dało się rozpoznać szczery podziw i tęsknotę. Przez chwilę nawet zagościł na jej twarzy ledwie dostrzegalny uśmiech. Gospodyni doskonale знаła ten stan. Była wyczulona na niespełnione tęsknoty, marzenia, z którymi sama, mimo sześćdziesięciu lat, nie potrafiła się ostatecznie rozprawić. A dla spokoju ducha, koniecznego, by dobrze wykonywać pracę, nie było nic gorszego niż tego typu sentymentalizm.

– Rysowanie lepiej zostawić łaskawej paniencie. Ty, Marie, wiele się tutaj nauczysz. Przede wszystkim w kuchni, gdzie przygotowuje się jedzenie. Także w innych dziedzinach, szczególnie tych, które wiążą się ze służeniem państwu. Prowadzimy naprawdę duży dom. Często wydajemy obiady dla gości i urządzamy wystawne kolacje, a raz w roku bal. Organizacja wszystkich tych spotkań towarzyskich wymaga ścisłego przestrzegania pewnych zasad.

Wreszcie zauważyła cień zainteresowania na twarzy dziewczyny. Przy całym swoim sprycie wydawała się jednak dość naiwna i pogrążona w marzeniach. Z pewnością czyta powieści w odcinkach i wierzy, że życie składa się wyłącznie z romantycznych uniesień.

– Ma pani na myśli prawdziwy bal? Z tańcami, muzyką i wszystkimi pięknymi strojami?

– O takim właśnie mówię, Marie. Ty jednak nie zobaczysz zbyt wiele, bo twoje miejsce pracy jest na dole, w kuchni.

– Ale... kiedy będzie podawane jedzenie...

– W czasie najważniejszych spotkań jedzenie podają tylko mężczyźni. To też należy do zasad, których musisz się nauczyć. Przejdźmy teraz to kwestii praktycznych. Na początek otrzymasz stawkę dwadzieścia pięć marek za kwartał, a pieniądze będą wypłacone w dwóch ratach. Dziesięć marek po upływie miesiąca, reszta dwa miesiące później. Oczywiście tylko wtedy, jeśli się sprawdzisz.

Zamilkła na chwilę, żeby sprawdzić, jak dziewczyna odbiera jej słowa.

Marie słuchała obojętnie. Nie wydawała się żadna pieniędzy. Cudownie. Od pomocy kuchennej nie oczekiwała niczego więcej.

– Dostaniesz dwie proste sukienki i trzy fartuchy. Musisz dbać, żeby były czyste i porządnie poskładane, a fartuchy nosić każdego dnia. Włosy masz mocno związywać i wkładać na nie czepek, ręce mają być zawsze czyste. Skarpety i buty chyba masz swoje. A jak jest z twoją bielizną? Pokaż no!

Dziewczyna rozwinęła mały tobołek i Eleonore Schmalzler przekonała się, że jest gorzej, niż przypuszczała. Gdzie się podziewają te wszystkie pieniądze, które są zbierane na sierociniec w czasie każdego święta? Dziewczyna miała dwie wytarte koszule, pantalony na zmianę, dziurawą wełnianą spódnicę i kilka par mocno wytartych skarpet. Butów na zmianę nie miała.

– Zobaczmy. Jeśli się sprawdzisz, Boże Narodzenie jest już niedługo.

Z okazji świąt służba dostawała prezenty, głównie materiały na ubrania, skórę na buty czy bawełniane skarpetki, a dla wyższych rangą pracowników były przewidziane również podarki od rodziny: zegarki, obrazy i tym podobne. Jeśli chodzi o tę małą – zakładając, że da sobie radę – będzie ich musiało być niemało. Potrzebowała także wełnianego płaszcza i ciepłej czapki. Gospodyni znów poczuła gniew na sierociniec. Dziewczyna nie ma nawet ciepłego szala, wszystko zrzucono na nowego pracodawcę.

– Spać będziesz na górze, na trzecim piętrze, tam są pomieszczenia dla pracowników. Zazwyczaj dwie kobiety śpią w jednym pokoju i ty swój będziesz dzielić z Marią Jordan.

Marie, która zawiązywała właśnie tobołek, znieruchomiała zdziwiona.

– Z Marią Jordan? Pokojówką, która nosi srebrną broszkę z wizerunkiem kobiecej twarzy?

Eleonore Schmalzler była świadoma, że Maria Jordan nie będzie najprzyjemniejszą współlokatorką. Jednakże w tej sytuacji Marie nie mogła mieć prawa do jakichkolwiek oczekiwań.

– Już ją poznałaś. Maria Jordan jest bardzo szanowaną osobą w tym domu. Przekonasz się, że pokojówki cieszą się wyjątkowym zaufaniem łaskawej pani, dlatego jej pozycja wśród innych pracowników jest dość wysoka.

Czasami nawet ona spoglądała z zazdrością na Jordan, która była nie tylko pokojówką łaskawej pani, ale służyła również obu paniom. Eleonore Schmalzler sama była kiedyś pokojówką i wiedziała, jak bliskie relacje się wówczas nawiązuje. Gospodyni wyprostowała się i jej smukła postać wydała się jeszcze wyższa i bardziej okazała niż zazwyczaj.

– Niech mi pani wybaczy, ale za nic nie będę spała w jednym pokoju z Marią Jordan. Wolę już spać na poddaszu z myszami. Albo w kuchni. A w najgorszym razie nawet na antresoli.

Eleonore Schmalzler musiała mocno zacisnąć usta, żeby zachować spokój. Nigdy nie spotkała się z taką bezczelnością. Przychodzi taka obdarta i prawie zagłodzona istota z sierocińca, która może się pochwalić jedynie złymi świadectwami, i ośmiela się stawiać warunki. I chociaż do tej pory gospodyni współczuła tej małej, tak teraz była jedynie głęboko urażona jej arogancją. Ale to właśnie napisano we wszystkich opiniach na jej temat: wyniosła, bezczelna, zbuntowana, leniwa, nieposłuszna... Nie pisano jedynie, że jest podstępna. Ale to i tak wystarczyło, by Eleonore Schmalzler najchętniej odesłała ją do sierocińca. Niestety był pewien problem. Nie wiadomo dlaczego, ale łaskawa pani życzyła sobie, żeby koniecznie ją zatrudnić.

– To jest wykluczone – odpowiedziała krótko. – Jest coś jeszcze, Marie. Pewnie zauważyłaś, że panna Jordan również jest Maria. Dlatego w tym domu będziesz nosić inne imię, żeby nie powodować niepotrzebnego zamieszania.

Marie bardzo mocno zacisnęła sznurki tobołka, ścisnęła je tak mocno, że jej palce stały się niemalże sine.

– Będziemy cię nazywać Rosa – powiedziała gospodyni beztrasko.

W innych okolicznościach podałyby dziewczynie dwa lub trzy imiona do wyboru. Ta jednak nie zasłużyła sobie na takie względy.

– To byłoby wszystko, Roso. Idź teraz do kuchni, bo jesteś potrzebna do pomocy. Później Else pokaże ci pokój i da ci sukienki i fartuchy.

Odwróciła się i podeszła do okna, żeby odsunąć trochę zasłonę. Tak, to były one. Robert pomagał wysiąść łaskawej panience z samochodu, a pani była już na schodkach przed wejściem. Musiało się zrobić trochę cieplej, bo panienska zdjęła nawet płaszcz. Podała go Robertowi, który z wielkim oddaniem poświęcał się powierzonymu mu zadaniu. Panna Schmalzler westchnęła cicho. Będzie musiała porozmawiać z tym młodym człowiekiem. Jest zatrudniony jako szofer i lokaj, ale może naprawdę daleko zajść, może nawet zostanie kiedyś kamerdynerem. Ma tylko nadzieję, że te plotki na jego temat, które krążą wśród służby, nie są prawdziwe.

– Else! Powiedz kucharce, że państwo już wrócili. Niech przygotuje kawę i małą przekąskę.

– Tak, panno Schmalzler.

– Poczekaj. Weźmiesz jeszcze z pralni rzeczy dla nowej pomocy kuchennej

i zanieśiesz do jej pokoju. Będzie mieszkać razem z Marią Jordan.

– Tak, panno Schmalzler.

Gospodyni wyszła na korytarz, żeby wydać kolejne polecenia. W związku z dzisiejszą uroczystą kolacją w kuchni panował okropny rozgardiasz. Wprawdzie Brunnenmayer była kucharką wybitną w swoim fachu, ale gdy miała dużo rzeczy na głowie, trudno było z nią wytrzymać. Teraz też zareagowała irytacją na polecenie przyniesione przez Else. Gospodyni przecież dobrze wie, że przekąski zawsze przygotowuje punktualnie.

Eleonore wróciła do swojego pokoju i tam – ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu – zobaczyła Marie. Czy też Rosę, jak od teraz miała być nazywana.

– Czego tu jeszcze chcesz?

Dziewczyna stała z przewieszonym przez ramię tobołkiem, a jej oczy miały dziwny wyraz. Widać w nich było ból, ale również stanowczość.

– Bardzo mi przykro, panno Schmalzler.

Gospodyni spojrzała na nią poirytowana. Zupełnie nie rozumiała zachowania tej dziewczyny.

– Dlaczego ci przykro, Roso?

Marie wzięła głęboki oddech, jakby za chwilę miała przenosić ciężkie przedmioty. Uniosła nieco głowę i zmrużyła oczy.

– Chciałabym, żeby nazywano mnie moim własnym imieniem. Nazywam się Marie, a nie Maria jak panna Jordan. Poza tym będę pracować w kuchni i nie sądzę, żeby łaskawa pani kiedykolwiek mnie zawołała. Ona wzywa do siebie swoje pokojówki, a nie pomoc kuchenną. Nie można nas więc będzie pomylić.

Przedstawiała swoje argumenty cichym głosem, kiwając głową co jakiś czas. I mimo że mówiła cicho, robiła to płynnie i bez wahania. Gospodyni pomyślała nawet, że w tym, co mówiła, było trochę racji. W obliczu takiej bezczelności, w żadnym wypadku jednakże by tego nie przyznała.

– Nie ty będziesz o tym decydować!

To była kropla, która przelała czarę goryczy. Ta dziewczyna po prostu chciała się wymigać od pracy. Szukała pretekstu, żeby móc wrócić do sierocińca i żyć na ich koszt, zamiast zarobić na własne utrzymanie.

– Czy pani tego nie rozumie? – mówiła Marie coraz bardziej podenerwowana. – To imię wybrali dla mnie rodzice. Długo się zastanawiali, zanim znaleźli je dla mnie. Marie. To jest dziedzictwo, które mi pozostawili. Dlatego nie będę nosić żadnego innego imienia.

W tych słowach słyhać było rozpaczliwą determinację i Eleonore Schmalzler posiadała wystarczającą wiedzę na temat natury ludzkiej, żeby wiedzieć, że dziewczyna nie kierowała się ani chęcią uchylenia się od pracy, ani bezmyślnym uporem. Wydało się jej to nawet wzruszające. I to niezależnie od tego, że ta mała z pewnością to sobie po prostu wydumała. Jej rodzice! Była nieślubnym dzieckiem i prawdopodobnie ojciec nigdy nie widział jej na oczy. Tą upartą istotą niełatwo będzie kierować – tyle gospodyni wiedziała na pewno. Najchętniej więc odesłałaby ją, skąd przyszła. Ale nie takie było życzenie pani.

– No dobrze – powiedziała, zmuszając się do uśmiechu. – Spróbujemy najpierw używać twojego prawdziwego imienia.

– Tak, bardzo bym o to prosiła, panno Schmalzler.

Cieszyła się swoim zwycięstwem? Nie, wydawało się, że jedynie poczuła ogromną ulgę. Po kilku sekundach dodała jeszcze:

– Bardzo dziękuję.

Zrobiła jeszcze coś w rodzaju płytkiego ukłonu, odwróciła się i poszła do kuchni. Gospodyni usłyszała po chwili ledwie tłumione westchnienie. Ten jej duch przekory musi zostać złamany. Łaskawa pani też go dostrzeże.

3

Proszę, Elisabeth, jestem śmiertelnie zmęczona, a poza tym boli mnie głowa.

Katharina położyła się na łóżku, mając wciąż na sobie jasnozielony płaszcz. Rozpuściła jedynie włosy i zdjęła buty. Elisabeth od lat obserwowała te dziwne przypadłości swojej siostry. Jej zdaniem była ona jedynie świetną symulantką, która chciała zwracać na siebie uwagę otoczenia.

– Ból głowy? – zapytała chłodno. – Jeśli tak, powinnaś wziąć proszki, Kitty.

– Dostaję od nich skurczów żołądka.

Elisabeth wzruszyła ramionami i usiadła na krześle tapicerowanym jasnoniebieskim materiałem, które stało przed lustrem. Na toaletce siostry kłębiło się mnóstwo rzeczy: szklane fiolki, spinki do włosów, grzebienie szylkretowe, pojemniki z pudrem i inne drobiazgi. Auguste sprzątała ten bałagan, ale po chwili Katharina znów wszystko rozrzucała. Taka właśnie była – jej mała zwariowana siostra.

– Chciałam ci tylko powtórzyć, co powiedziała mi Dorothea. Pamiętasz, spotkała ciebie i Paula wczoraj w operze?

Elisabeth pochyliła się do lustra, udając, że musi upiąć kosmyk blond włosów, który wystawał z fryzury. Tak naprawdę obserwowała bacznie reakcję siostry. Niestety było to niemal niemożliwe – Katharina położyła rękę na czole i zamknęła oczy. Nie wyglądało na to, by miała ochotę odpowiadać.

– To musiało być naprawdę piękne przedstawienie...

Na te słowa Katharina zareagowała. Zdjęła rękę z czoła i mrużąc oczy, spojrzała na Elisabeth. Tak mało istotne rzeczy jak muzyka czy malarstwo sprawiały, że nagle zapominała o bólach głowy.

– Tak, to było rzeczywiście przepiękne przedstawienie. Zwłaszcza śpiewaczka wykonująca arię Leonory była doskonała. *Fidelio* to naprawdę poruszająca historia, a do tego ta muzyka...

Elisabeth postanowiła jeszcze przez chwilę udawać, że dzieli entuzjazm siostry, żeby dzięki temu osiągnąć swój cel.

– Och, żałuję teraz, że nie poszłam z wami.

– Nie rozumiem, Liso, dlaczego uciekasz od doświadczania radości płynącej ze sztuki. Zwłaszcza że mamy własną lożę. A ta twoja niechęć do koncertów i opery...

Elisabeth uśmiechnęła się zadowolona. Katharina usiadła na łóżku i nie było widać ani śladu bólu głowy. Ta cała paplanina o kostiumach i scenografii – jej naiwna siostra nawet je wszystkie narysowała.

– Dorothea powiedziała, że w czasie przerwy ktoś przyszedł do naszej loży...

Katharina zmarszczyła czoło, jakby musiała sobie przypomnieć tę sytuację. Elisabeth odebrała ten gest jako pozę – Kitty wiedziała przecież doskonale, kto ją odwiedził.

– Tak, oczywiście. Porucznik von Hagemann przyszedł, żeby nas pozdrowić. Dowiedział się, że Paul spędza weekend w Augsburgu, i przyniósł szampana. To było bardzo miłe z jego strony.

A więc to była prawda. Elisabeth zobaczyła nagle odbicie własnej twarzy w lustrze. Wyglądała nieładnie, gdy się złościła. Nadymała policzki, a jej usta stawały się wąskie.

– Porucznik von Hagemann przyszedł przywitać się z Paulem? Jak miło z jego strony.

Sama usłyszała, jak sztucznie zabrzmiały jej słowa. Była jednak zbyt zdenerwowana, żeby maskować gniew.

– Posłuchaj, Liso – odpowiedziała Kitty, opadając znów na poduszki. – Przecież oni są szkolnymi kolegami.

To się zgadzało, ale ponieważ Paul był dwa lata starszy od Klause von Hagemanna, nigdy nie dzielili ze sobą szkolnej ławki. Chodzili jedynie do tej samej szkoły. Poza tym Paul spędził w ten weekend dużo czasu z przyjaciółmi i Klause von Hagemanna nie było wśród nich.

– Dorothea powiedziała też, że bardzo dobrze ci się rozmawiało z porucznikiem, Kitty. To prawda, że podczas drugiego aktu został w naszej loży i siedział obok ciebie?

Katharina położyła wcześniej rękę na czole, ale teraz podniosła głowę, żeby lepiej zrozumieć oburzenie Elisabeth, i wreszcie jej się to udało.

– Jeśli sugerujesz, że ja i Klaus von Hagemann...

– Ależ tak, właśnie to robię!

– Przecież to śmieszne!

W oczach Kathariny malowało się niezadowolenie. Na jej czole pojawiła się zmarszczka, a usta wyraźnie się zacisnęły. Zdenerwowana Elisabeth zauważyła, że jej siostra nawet teraz wyglądała ładnie. Nieco skośne oczy, mały nos i pełna linia ust współgrały doskonale z jej trójkątną twarzą. Poza tym jej gęste ciemnobrązowe włosy w świetle wpadały w kolor miedziany. Ona sama była blondynką, po prostu blondynką, nic niezwykłego. Popielaty, matowy, słomiany blond – ogarniała ją rozpacz, gdy patrzyła na swoje włosy.

– Śmieszne?! – krzyknęła Elisabeth z wściekłością. – Całe miasto nie mówi o niczym innym. Zachwycająca Katharina, brązowowłosa wróżka, królowa nadchodzącego sezonu. Teraz urzekła również porucznika von Hagemanna, mądrego i roztropnego młodego mężczyznę, który przez cały ostatni rok prowadził gospodarstwo swojej siostry.

– Posłuchaj, Liso. Przecież to wszystko nieprawda!

– Nieprawda? Uważasz za kłamstwo to, że Klaus von Hagemann o mało ci się nie oświadczył?

– Tego przecież nie powiedziałam! Och, moja głowa!

Katharina przyłożyła obie dłonie do skroni, ale Elisabeth była zbyt oburzona, by zwrócić na to uwagę. Może ktoś by się w końcu zainteresował, jak ona się czuje? Może ona też nie mogła spać i ją też bolała głowa, ale nikogo w tym domu to nie obchodziło?

– Nigdy ci tego nie wybaczę, Kitty! Nigdy, do końca życia!

– Ale, ale ja przecież nic nie zrobiłam! On usiadł między mną a Paulem, i to wszystko. A potem rozmawialiśmy o muzyce, on tak dużo wie o muzyce. Ja go tylko słuchałam i nic więcej. Przysięgam ci.

– Ty kłamliwa zmijo! Dorothea widziała, jak się uśmiechałaś i flirtowałaś z nim!

– To okropne kłamstwo!

– Wszyscy ludzie w teatrze to widzieli, a ty twierdzisz, że kłamię?

– Och, Liso. My po prostu ze sobą rozmawialiśmy. I nie zapominaj o tym, że Paul był cały czas z nami!

Elisabeth zorientowała się, że posunęła się za daleko. Doro prawdopodobnie przesadzała jak zwykle, była złośliwą osobą. Jak mogła być tak głupia, żeby uwierzyć w to jej gadanie. Z ponurą miną spojrzała w lustro. Było oprawione w niewielką złotą ramę i składało się z trzech części, tak by można było w nim zobaczyć twarz z przodu i z obu profilów. Boże, jak odpychająco teraz wyglądała. Dlaczego los jest tak niesprawiedliwy?

Dlaczego obdarował jej młodszą siostrę uroczą twarzą wróżki, która jest przepiękna, nawet gdy Katharinę boli głowa albo gdy jest zdenerwowana?

– To są kłamstwa – wyszeptała Kitty w bezsilnej rozpacz. – Dorothea jest zwyczajną plotkarą, jak możesz jej wierzyć? Każdy przecież wie, że ona...

Przerwała, bo rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju weszła matka. Katharina natychmiast się uspokoiła, ale matka słyszała jej zdenerwowany głos już na korytarzu.

– Kitty, co się stało? Doktor Schleicher powiedział przecież, że nie wolno ci się denerwować.

– To nic takiego, mam. Jestem zupełnie spokojna.

Alicia Melzer dobrze znała swoje córki. Skierowała wzrok na Elisabeth, która szybko sięgnęła do pudranka z pudrem i zaczęła nakładać go na twarz.

– Wiesz przecież, Liso, że nie wolno ci prowokować siostry. Biedna Kitty prawie wcale nie śpi w nocy.

– Bardzo mi przykro – odpowiedziała Elisabeth cichym, delikatnym głosem.

– Przyszłam do niej, żeby ją trochę rozweselić. To wszystko.

Katharina potwierdziła wersję siostry. Nie była skarżypytą, tego nie można było jej zarzucić. Nawet teraz nie chciała zdradzić starszej siostry. Alicia Melzer westchnęła.

– A dlaczego obie jesteście jeszcze nieprzebrane? – zbeształa je. – Zaraz będzie podany obiad.

Matka była ubrana w długą do ziemi jasnoniebieską suknię z jedwabiu i sznur pereł, który zawinęła w węzeł na dekolcie. Chociaż miała ponad pięćdziesiąt lat, wciąż była pełna wdzięku. Jedynie jej dziwny chód na skutek sztywnej kostki zaburzał nieco ten wizerunek. Elisabeth wiele by dała za to, żeby być szczupłą jak matka, ale los sprawił, że figurę odziedziczyła po przodkach ojca, raczej okrągłych i szerokich w biodrach. Nawet w zwiewnej porannej sukni, uszytej z lejącej się delikatnej koronki, z trenem, w jej sylwetce nie było nic eterycznego. Kitty, ta mała bestia, zażartowała kiedyś, że wygląda w niej jak przenośny ocieplacz na dzbanek do kawy. Jej młodszej siostrze przynajmniej teraz dostała się reprimenda za to, że zielony kostium, w którym leżała na łóżku, jest cały pomięty. Wielka szkoda. Wąska spódnica i długi zakiet z baskinką były uszyte z błyszczącego jedwabnego materiału z brokatem, który ojciec przywiózł z Indii.

– Obiad? – krzyknęła Katharina i jęknęła. – Przecież dziś wieczorem jest uroczysta kolacja. Jak zdołamy potem coś jeszcze przekąsić, jeśli teraz musimy

zjeść cały obiad?

– Tak musi być, Kitty. Nie możemy pozwolić, żeby brat ojca i jego żona jedli sami. To byłoby bardzo nieuprzejme. Oni już zapowiedzieli, że po obiedzie znów ruszają w drogę.

– Na szczęście – mruknęła Elisabeth.

Matka skierowała na nią karcące spojrzenie, ale dziewczyna dobrze wiedziała, że cieszy się z ich wyjazdu tak samo jak ona. Ich ojciec miał trzech braci i cztery siostry, a wszyscy oni założyli już rodziny i wydali na świat potomków. Żadne z nich nie dorobiło się jednak włości. Składali zatem bratu częste wizyty i prosili o pożyczkę lub protekcję. Johann Melzer był w Augsburgu ważną postacią. Przedsiębiorcy, bankierzy, artyści i urzędnicy miejscy odwiedzali jego dom, a jego szlachetnie urodzona żona troszczyła się o to, by spotykali się w niewymuszonej, przyjemnej atmosferze. Ona też z oddaniem dbała o odwiedzające ich panie, podczas gdy w „pokoju dla mężczyzn” pito czerwone wino, maderę i francuski koniak, wypuszczano w powietrze gęsty dym z cygar i gdy mężczyźni omawiali kwestie biznesowe i problemy osobiste. Taką kolację zaplanowano również na dzisiejszy wieczór, ale byłaby to oczywiście sytuacja bardziej niż kompromitująca, gdyby Gabriel Melzer, urzędnik pracujący w kantorze, i jego wyglądająca na zatroskaną siwowłosa żona jedli sami. Zwłaszcza z powodu nieodpowiednich strojów gospodarzy.

– Przebierajcie się zatem, dziewczęta. Tylko nic rzucającego się w oczy. Wicie przecież, że ciotka Helene ma tylko jedną, jedyną suknię.

– Tak – zachichotała Elisabeth. – Ale każdego ranka przypina do niej inny kołnierz i wierzy, że może nas w ten sposób oszukać.

Na twarzy Alicii Melzer pojawił się uśmiech, ale natychmiast przybrała poważną minę. Uwagi Elisabeth zbyt często były aroganckie i dziewczyna musiała się nauczyć, jak powinna się zachowywać.

– Oni mają chore dziecko, którego leczenie bardzo dużo kosztuje.

Elisabeth odchyliła lekko głowę, ale swoją opinię tym razem zachowała dla siebie. Dzisiaj było to chore dziecko, kilka miesięcy temu nieszczęśliwe żyrowanie pożyczki przyjaciela, wcześniej znów w ich kuchni wybuchł pożar i spowodował liczne szkody. Krewni wymyślali coraz dziwniejsze powody, żeby wyciągać pieniądze od bogatego Johanna Melzera. A rodzina matki nie była inna, prezentowała jedynie lepsze maniery. Przynajmniej dopóty, dopóki byli trzeźwi. Domagali się jednak większych sum pieniędzy, bo

żyli na wyższym poziomie i mieli spore długi. Wszyscy ich krewni byli dość żalonymi ludźmi i według Elisabeth każdy z nich widział tylko czubek własnego nosa.

– Czy naprawdę muszę pójść na ten obiad, mamó? – westchnęła Katharina. – Jestem okropnie zmęczona i chciałabym się choć trochę przespać. Wiesz, że doktor Schleicher przepisał mi nowe pigułki. Po nich zasnę.

Alicia była już przy drzwiach i przez chwilę zastanawiała się, czy nie ceni sobie wyżej dobra własnego dziecka niż konieczności zachowania pewnych konwenansów. A chodziło o uprzejmość okazywaną ubogim krewnym jej męża. W końcu jednak wychowanie i samodyscyplina przeważyły nad odruchem matczynego serca. Katharina również musi się nauczyć poprawnego zachowania. Zwłaszcza ona.

– Nie będziemy przeciągać tego obiadu, Kitty. Potem możesz się położyć. Przyślę do ciebie Marię, żeby pomogła ci się ubierać. Elisabeth, włożysz tę brązową suknię z bufiastymi rękawami. Kitty, ciebie chciałabym zobaczyć w jasnoszarej. Wiesz, tej z krótkim bolerkiem i guzikami z masy perłowej.

– Tak, mamó!

Elisabeth podniosła się niechętnie z fotela i poszła do swojego pokoju. Oczywiście Maria będzie pomagać jej siostrze przy ubieraniu się, a ona musi sobie poradzić sama. Maria co najwyższej przyjdzie do niej, by szybko poprawić jej włosy. To przecież oczywiste, że jedna pokojówka to za mało dla trzech kobiet. Zwłaszcza że Jordan dawno skończyła czterdzieści lat i jej poglądy na temat mody były tak samo przestarzałe jak ich matki. Elisabeth liczyła na to, że gdy wreszcie wyjdzie za mąż, będzie miała własną pokojówkę. A brązową suknię nosiła już od trzech lat. Mama kazała ją uszyć, gdy Elisabeth była siedemnastoletnią dziewczyną. Uważała, że brązowy kolor dobrze pasuje do blond włosów córki. Elisabeth zupełnie się z tym nie zgadzała. Brąz był nudny, ponury jak gruda ziemi i widywała w nim jedynie starsze osoby. A staromodne, szerokie rękawy wcale nie poprawiały ogólnego wyglądu. Na spotkanie z urzędnikiem Gabrielem Melzerem i jego nieciekawą małżonką był to jednak strój zupełnie wystarczający. Maria już przyniosła suknię z garderoby i powiesiła w pokoju. Elisabeth musiała więc jedynie włożyć odpowiednią halkę i wcisnąć się w tego brązowego potwora. Pojawił się jednak kolejny kłopot: brązowe paskudztwo zrobiło się za ciasne, musiała się w nie dosłownie wbić. A potem jeszcze trzeba ją bardzo mocno zasznurować, ale nie potrafiła tego zrobić bez Marii. I jak ma potem zawiązać

gorset tak mocno, żeby pasował do aksamitnej ciemnozielonej sukni, którą ma przygotowaną na wieczór, skoro już teraz jest jej niedobrze?

– Łaskawa panienko, mam panience szybko poprawić włosy? Ojej, ależ panience pasuje ta suknia!

Maria Jordan się uśmiechnęła. Doskonała pokojówka. Zawsze uprzejma i powściągliwa, a nawet najbardziej absurdalna pochwała brzmiała wiarygodnie z jej ust. Wystarczyło jednak, że Elisabeth spojrzała w lustro, i dobrze wiedziała, że w tym kokonie z materiału wyglądała jak nadziewana kiełbaska. Mimo to przyjemnie było usłyszeć komplement, usiąść przed lustrem, jakby się pozowało do obrazu, i powierzyć swoje włosy wprawnym rękóm Marii.

– Tylko lekkie upięcie. Ale będę cię potrzebowała jeszcze raz wieczorem, około piątej.

– Ależ oczywiście, łaskawa panienko. Czy zawiążemy brązową satynową wstążkę?

– Nie, żadnych wstążek. Tak jest dobrze. Dziękuję, Mario.

– Jak sobie życzysz, łaskawa panienko.

Czyż to nie czysta niesprawiedliwość, ta jej skłonność do tycia? Mama nigdy nie była gruba, nawet dzisiaj wyglądała jak młoda dziewczyna. Kiedyś pokazywała zdumionym córkom swoją suknię z czasów młodości – ogromnie staroświecki strój z ciemnoczerwonego barchanu, z marszczoną spódnicą i wykończony koronką. Zachowała ją, bo miała ją na sobie, gdy po raz pierwszy spotkała tatę. Elisabeth uważała, że suknia jest okropna, ale nie zmieniało to faktu, że pasowała teraz na mamę tak samo jak kiedyś. Mimo trzech porodów jej figura prawie się nie zmieniła. W korytarzu zobaczyła Kitty, która właśnie schodziła schodami. Nieco tanecznym krokiem, trochę jakby płynęła lub chodziła pośród chmur. Ta osobliwa istota zazwyczaj była zanurzona w marzeniach. Była też szczupła, doskonale szczupła, jakby jej sylwetkę wycięto z żurnala. A przy tym Kitty było zupełnie obojętne, co nosiła i jak były upięte jej włosy. Natomiast ciągle powtarzała, że chciałyby się uczyć malarstwa w Paryżu. Marzyła o staniu ze sztalugami na ulicy, tak jak robili tamtejsi młodzi artyści. Mama zachowywała wtedy spokój, ale tata nie mógł powstrzymać wściekłości i nazywał Kitty „niewdzięczną, głupią gęsią”.

Elisabeth udała się za siostrą na pierwsze piętro, a grube dywany rozłożone na korytarzu i schodach wyciszyły jej kroki, tak że Katharina jej nie słyszała. Bez wątpienia była zajęta wyłącznie sobą. Elisabeth myślała o tym, że jej

śliczna siostra także dzisiaj wieczorem będzie z nią siedzieć przy stole. Na kolację byli zaproszeni von Hagemannowie, dobrzy znajomi matki, a także partnerzy handlowi ojca. Poczła szybkie bicie serca. Czy to z powodu sukni, zdecydowanie za wąskiej w talii, czy też faktu, że porucznik Klaus von Hagemann, który będzie dzisiaj towarzyszył swoim rodzicom, musi się wreszcie zadeklarować.

Drzwi do jadalni otworzyła jej Else – najwyraźniej dzisiaj podawała do stołu starsza służąca. Biednymi krewnymi nie zaprzętał sobie głowy Robert, który wieczorem będzie usługiwał w liberii i białych rękawiczkach. Elisabeth przywitała gości z wymuszoną uprzejmością i przeprosiła za spóźnienie. Przyszła ostatnia i dopiero teraz wszyscy usiedli do stołu, a Else przyniosła zupę. Bulion wołowy z jajkiem. Elisabeth uśmiechnęła się złośliwie do Kathariny – wiedziała, że siostra nienawidzi bulionu i że nie chce jeść mięsa.

– Jak się masz, droga Kitty? – zapytała ciotka Helene. – Wyglądasz na zmęczoną.

Katharina wpatrywała się bezmyślnie w swoją zupę, a Elisabeth zauważyła, że w jej oczach już pojawiały się łzy.

– Kitty?

Odsunęła się trochę i otworzyła oczy.

– Przepraszam, ciociu, o co pytałaś?

Matka zmarszczyła czoło, a pod wpływem karcącego wzroku matki Katharina wzięła się w garść. Uśmiechnęła się zakłopotana.

– Powiedziałałam, że wyglądasz na zmęczoną, moje dziecko – powtórzyła cierpliwie ciotka Helene.

– Przepraszam, ciociu, nie usłyszałam. Tak, jestem dzisiaj wyjątkowo zmęczona.

– To właśnie powiedziałałam. – Ciotka była trochę poirytowana.

Elisabeth zdusiła w sobie śmiech, a matka wyręczyła córkę i wyjaśniła, że biedna Katharina prawie nie spała w nocy. Ciotka Helene wyraziła zrozumienie i wyskoczyła z opowieścią o własnej bezsenności, której nabawiła się z troski o los rodziny. To pozwoliło jej znów przedstawić w szczegółach historię chorej córki i jej drogich lekarstw. Lekarze nie wiedzą zupełnie nic – tyle tylko możemy o nich powiedzieć. Przepisują ciągle mikstury i pigułki, ale kto po nich wyzdrowieje, wie jedynie sam Bóg.

– Wszyscy zależymy od Bożej woli – potwierdziła Alicia życzliwie.

Elisabeth wiedziała, że jej matka mówi to szczerze. Była chrześcijanką i co

niedziela chodziła na mszę do bazyliki Świętych Ulryka i Afry.

– Wielka szkoda, że kochany Johann nie znalazł czasu, żeby z nami zjeść – powiedziała ciotka Helene z uprzejmym ubolewaniem. – Jak może być zdrowy, jeżeli cały dzień spędza w fabryce, nie jedząc nawet obiadu?

Elisabeth wiedziała dobrze, że jej matkę również denerwowała nieobecność ojca. To było do niego podobne: zagrzebać się w pracy i zostawić kłopotliwych krewnych żonie oraz córkom. Alicia oczywiście nie uzewnętrzniła swojego gniewu. Przyznała rację ciotce Helene i z dobrze odegranym westchnieniem wyraziła niezadowolenie z tego, jak bardzo jej mąż jest oddany pracy. Zachowuje się tak, jakby był poślubiony fabryce, udaje się tam z samego rana i nierzadko wraca do domu dopiero po zmroku. Cięży na nim ogromna odpowiedzialność. Każda decyzja musi być przemyślana, a każdy błąd popełniony w halach może się odbić na produkcji.

– Dobrobyt wiąże się często z niespokojną codziennością – powiedziała, uśmiechając się znacząco i spoglądając na wujka Gabriela.

Ten poczerwieniał, bo była sobota i tak naprawdę powinien być w biurze. Z pewnością naopowiadał pracodawcy jakichś kłamstw, tata powiedział kiedyś, że wujek Gabriel to kiepski pracownik.

Elisabeth to przewidziała: łyżka wypadła Katharinie z ręki i wpadając do talerza z bulionem, potrąciła brzeg kieliszka ozdobionego monogramem. Kieliszek się przechylił, rozbił i wino wypłynęło na obrus. Wujek Gabriel zrobił gwałtowny ruch, żeby złapać kieliszek, zastygł jednakże z wykrochmalonymi mankietami nad talerzem swojej żony, którego zawartość wylądowała na jej kolanach. Rzadko zdarza się, by jeden niezdarowy ruch wywołał kolejny, o jeszcze boleśniejszych skutkach.

– Else! Przynieś czyste ręczniki. Auguste, pójdz z panią Melzer do pokoju gościnnego, musi się przebrać.

Elisabeth nawet się nie poruszyła, ale tak niesłychanie zabawnie było patrzeć, jak ciotka Helene rozpaczliwie potrząsa spódnicą, a Katharina ją przeprosza.

– Tak strasznie mi przykro, ciociu Helene. Jestem okropnie niezdarne. Dam ci jedną z moich sukien.

Gdy Auguste otworzyła drzwi do jadalni, żeby przepuścić przez nie zachlapaną ciotkę, z kuchni dotarł głos kucharki. Fanny Brunnenmayer była tak wściekła, że bez trudu można było usłyszeć każde słowo.

– Jesteś najgłupszą istotą, jaką kiedykolwiek spotkałam na swojej drodze!

Do niczego się nie nadajesz! Święta Panienko, jak może być tyle głupoty w jednym człowieku!

Alicja Melzer kiwnęła na Auguste, by ta zamknęła drzwi najszybciej, jak to tylko możliwe.

– To nowa pomoc kuchenna – powiedziała przeprasząco do Gabriela Melzera. – Musi się dopiero odnaleźć w nowej pracy.

4

To musiało być dzieło czarownicy. Ten skomplikowany układ talerzy i misek, chaos ciemnoczerwonych oskubanych grzbietów dzikich ptaków, wypatroszone gołąbki, połcie słoniny, różowe filety i marynowane piersi z kurczaka. A do tego wszystkie rodzaje warzyw: botwina, cebula, szalotki, marchewki, selery i jabłka, pęczki pietruszki, koperek, kolendra.

– Nie stercz tak znowu! Biegnij do pieca i podsyć ogień. Tylko nie za mocno. Co przed chwilą powiedziałam? Odejdź od pieca, wszystko zepsujesz!

Marie biegała tam i z powrotem. Od jednego garnka do drugiego, nosiła talerze i sztucce, dźwigała drewno do pieca, myła naczynia i noże. Cokolwiek zrobiła – zawsze było nie tak jak powinno.

– Nie garnek ze śmietaną, ty głupia dziewczyno, tylko ten z bulionem. Tam stoi. Otwórz wreszcie oczy. Szybko! Sos się przegotowuje!

Była zbyt wolna. Gdy czegoś szukała, chwytiała wszystko po kolei i właściwą rzecz przynosiła kucharce wtedy, gdy ta potrzebowała już innej. Kuchnia wydawała jej się gwałtownym, falującym, spienionym morzem, a stół, na którym stały garnki i miski, był jak pokład statku kołysanego przez sztorm.

– Ostrożnie z gołąbkami. Trzymaj delikatnie, żeby nie pourywać im skrzydeł. I wkładaj pióra do torby, bo będą tu latać wszędzie. Przenajświętsza Panienko, co ja właśnie powiedziałam?

Ktoś otworzył okno i białe oraz szare piórka gołębi zawirowały w powietrzu. Puściły się w śnieżny walczyk nad długim stołem i gdy Marie biegała wokół niego, żeby połapać chociaż lotki, delikatny puch spadł wprost do garnków i talerzy. Marie zaczęła wybierać puszyste piórka z dziczyzny, z kremu malinowego, z filetowanych ryb i przede wszystkim z musu czekoladowego, na którym zrobiła się najgrubsza warstwa.

– No? I jak się sprawuje nasza mała Marie? – usłyszała złośliwy głos Jordan, stojącej w drzwiach kuchennych.

– Niech pani wtyka swój spiczasty nos w swoje sprawy – prychnęła

kucharka. – I niech się pani wynosi z kuchni, bo śmietana skwaśnieje!

Niemożliwością było spełnić wymagania kucharki. Choćby dlatego, że nie potrafiła wyjaśnić, czego dokładnie potrzebuje. Dobrą pomocą kuchenną można byłoby zostać, gdyby się poznało plan kucharki, tkwiący w jej głowie i wciąż się zmieniający, choć ona sama nie była tego świadoma. Wszystko, co robiła, było zgodne z tym planem, i Marie czuła, że według niej był on doskonały. Każde działanie miało wyznaczony właściwy czas, a z chaosu garnków i talerzy, półproduktów, gotowanych i surowych potraw powstawała na koniec wspaniała całość. Ośmiodaniowa kolacja, która musiała być podana punktualnie o osiemnastej. Zupa z porów ze śmietaną, ryby, gołębnie w miodzie, seler w sosie madera, dziczyzna z żurawiną, mrożonki, tort z pianką i owocami, sery. Do tego kawa i herbata. Migdałowe ciasteczka. Likieri. Trzeba było zanieść wszystkie potrawy z kuchni do pomieszczenia na pierwszym piętrze, sąsiadującego z jadalnią. Marie widziała Roberta tylko przez chwilę, gdy przyszedł do kuchni, żeby zadać kucharce kilka pytań co do wyboru wina. Odpowiadała opryskliwie, albo nawet go ignorowała, aż w końcu wyszedł. Marie zdążyła jednak zobaczyć jego liberię w czarno-niebieskie paski ze złotymi guzikami oraz idealnie białymi rękawiczkami i zachwycić się nią.

Cóż to była za posiadłość! Jak mogła już pierwszego dnia myśleć tylko o tym, żeby stąd uciec? To byłaby najgłupsza rzecz, jaką mogła zrobić. Wielkie nieba! Nigdy nie widziała takiego bogactwa, takiej różnorodności potraw! Mieszkańcy tej willi mają wszystko. Nic nie jest za drogie, a to, co najlepsze, jest ledwie wystarczająco dobre. Gołąbki. Sos madera. Trzy rodzaje pieczonych ryb. Dwadzieścia, trzydzieści jaj to jakby nic. Białka jajek były ubijane na pianę i mieszane z cukrem. Delikatnie zapieczone w piecu. Na spód z herbatników był kładziony krem maślany, na to owoce i na wierzch ubita wcześniej piana. Marie przez chwilę tylko stała i wpatrywała się w to wszystko, jakby samym wzrokiem była w stanie wchłonąć w siebie wszystkie te smakołyki, a każdy przepis zapisać w pamięci i zatrzymać tam na zawsze. Stworzyć wewnętrzną książkę kucharską, którą z pewnością miała w głowie kucharka. Były jednak i takie receptury, których Fanny Brunnenmayer strzegła niczym źrenicy oka. Gdy ich używała, wysyłała Marie po drewno do pieca. Kiedy dziewczyna wracała obładowana polanami, potrawa była już gotowa.

Rozpoczęła się wycieczka na górę. Dźwięk dzwonka obwieścił Robertowi, że pierwsza część dań jest gotowa, i po chwili, jak po sznurku, popłynęły do

niego talerze i srebrne miski. W kuchni natychmiast zaczęto przygotowywać w pośpiechu kolejne potrawy. Czasami przerwy między kursowaniem na górę były naprawdę krótkie, ale zdarzało się, że państwo zagadywali służbę, i wówczas kucharka martwiła się o mięso, miękkie warzywa i mrożonki, które zaczynały się rozpuszczać zaraz po przygotowaniu. Dopiero gdy odbywał się ostatni kurs do jadalni, z talerzem serów, świeżo pieczonymi preclami i koszyczkami owoców, z kucharki ulatywało napięcie. Fanny Brunnenmayer padała wtedy bezwładnie na ławkę, wyciągała chusteczkę z kieszeni fartucha i wycierała spoconą twarz.

– Przynieś mi tu kufel, dziewczyno. Ten duży. Tak, właśnie ten.

Piła piwo, powoli smakując każdy łyk i znów wycierając chusteczką spocone czoło. Na jej twarzy widać teraz było szeroki uśmiech.

– Nie spisałaś się wcale tak źle, dziewczyno.

5

Elisabeth spoglądała tęsknie za znikającymi resztkami tortu z pianą, który Robert sprzątał ze stołu, żeby ustawić artystycznie udekorowany kosz z owocami. Niebiesko-czerwone kiście winogron lśniły w blasku świateł, a pomarańcze i jabłka pokrojone w plastry tworzyły wspólną kompozycję. A do tego suszone morele i słodkie migdały. Postanowiła, że zje przynajmniej plastry jabłek, skoro z bólem wyrzekła się sera i tortu z kremem.

– Jak zwykle wszystko jest niezwykle smaczne, szanowna pani Melzer – powiedział mężczyzna siedzący obok niej przy stole.

Klaus von Hagemann wykonał lekki ukłon w stronę gospodyni, a ta odpowiedziała uśmiechem i skinieniem głowy.

– Chyba zacznę już potajemnie obmyślać, jak by tu przejąć tak wspaniałą kucharkę – rzucił wesoło do Elisabeth.

Elisabeth żuła plasterki jabłek. Z jaką przyjemnością kazała mu czekać na odpowiedź, jak lubiła czuć niecierpliwe spojrzenie jego pięknych niebieskich oczu, niepewność, czy żart się jej spodobał. Wreszcie uśmiechnęła się i odpowiedziała, że stara dobra Brunnenmayer jest już u nich od wielu lat.

– Nasza Brunnenmayer to taki nieoszlifowany diament. Z pozoru szorstka i ostra, ale ma dobrą, wierną duszę – powiedziała zadowolona. – Nie zostawiłaby Melzerów na lodzie, ani za pieniądze, ani za pochlebstwa.

Sięgnął po kieliszek i w chwili gdy brał łyk czerwonego wina, jego wzrok powędrował w stronę Kathariny, która była zatopiona w rozmowie z Alfonsem Bräuerem. Barczysty, silny syn bankiera, zazwyczaj niesłychanie małomówny mężczyzna, teraz ćwierkał niczym wróbel o tych wszystkich dziwnych rzeczach, które podsuwała mu Katharina. Rumieniec na jego twarzy wywołało wino czy zjedzony posiłek, trudno było stwierdzić, ale Elisabeth przypuszczała, że to podniecająca bliskość jej siostry spowodowała, że policzki tego biedaka zaczęły płonąć. To ona uderzyła mu do głowy.

– Tak, to coś, co należy doceniać – powiedział do niej Klaus von Hagemann.

– Lojalność to jedna z zalet, które dzisiaj spotyka się niezwykle rzadko. I jest jedną z najwyższych cnót człowieka, nie sądzi pani?

Elisabeth natychmiast chciała się z nim zgodzić. Oczywiście, lojalność to ogromnie ważna cnota, jej ojciec powtarzał też zawsze, jak ważna jest dla niego lojalność, jaką robotnicy zachowują wobec niego i fabryki. Klaus von Hagemann powolnym ruchem postawił kieliszek z winem i sięgnął po kosz z owocami, żeby ją poczęstować. Wzięła kilka plasterów pomarańczy. Maria Jordan tak ciasno zasznurowała jej suknię, że nie była już w stanie oddychać.

– Najczęściej spotykałem się z lojalnością u ludzi o czystych umysłach – powiedział w zamyśleniu, spoglądając na płomień unoszące się nad srebrnym pięcioramiennym świecznikiem. – Lojalność wobec przyjaciela, na przykład. Albo dochowywanie wierności dzieciom przez rodziców. Przede wszystkim jednak wierność małżeńska.

Elisabeth czuła, jak jej serce mocno bije pod zasznurowanym ciasno gorsetem. To był ten moment. Odważy się. Bez wątpienia, w jego oczach widać było tak głęboką powagę, że z pewnością zaraz padną słowa deklaracji.

– Małżeństwo, łaskawa panienko, moim zdaniem, powinno być połączeniem dwóch elementów. Ognia i lodu. Z jednej strony płomień miłości, z drugiej subtelne zrozumienie i nieustająca lojalność małżonków względem siebie.

Elisabeth poczuła przeszywający ją słodki dreszcz, zwłaszcza że porucznik odważył się na szybkie, przelotne spojrzenie na jej dekolt. Pełne piersi stanowiły jej jedyną fizyczną przewagę nad Kathariną. Ogień, o którym przed chwilą mówił, już został podsycony. Niechby porucznik przeszedł wreszcie do rzeczy.

– Jesteś mi tak bliska, Elisabeth – powiedział wolno. – Sądzę, że nadszedł czas, by wyjawić ci to, co płynie z głębi mojego serca...

Nie spodziewała się, że ten wieczór będzie miał tak szczęśliwy przebieg. W dużej mierze na pewno zawdzięczała to matce, która zadbała o to, by goście zajęli odpowiednie miejsca przy stole. Alicia Melzer postanowiła bowiem, że weźmie los dzieci we własne ręce, i Elisabeth zrozumiała już dawno, że plany matki pokrywają się z jej własnymi. W czasie tej zimy Katharina podbije jeszcze wiele serc i na wielu z nich zostawi rysy. I niech tak będzie. Gdy Elisabeth poczuła, że osiąga już cel swoich marzeń, zrozumiała, jak była głupia, wierząc w plotki rozsiewane przez Dorotheę. Przez cały wieczór Klaus von Hagemann spoglądał wyłącznie na nią, rozmawiali, chichotali i przerzucali się dowcipnymi uwagami, a on dwukrotnie dotknął jej ręki. I gdy

ta chwila nadchodziła, ona wstrzymywała oddech. Gdyby tylko była bardziej intymna atmosfera, bo tutaj przy stole między tymi wszystkimi plotkującymi gośćmi takie wyznanie zabrzmiałoby mniej romantycznie, niż każda dziewczyna tego oczekuje. Dobry Boże, Gertrude Bräuer, ta niezdolna kobieta, rozprawia właśnie o czkawce, która męczyła ją wczoraj ponad godzinę. Wiadomo było jednak, że małżonka bankiera Bräuera wywodziła się z mieszczaństwa i nie potrafiła się zachować w towarzystwie.

– Są w życiu takie chwile, gdy wierzy się, że Ziemia stoi w miejscu, droga panienko Elisabeth. Jednej z takich chwil doświadczyłem niedawno – kontynuował niestrudzenie porucznik.

Na nieszczęście właśnie w tym momencie Robert wniósł paterę serów, ozdobioną winogronami, anansem i kawałkami kandyzowanych owoców.

– Proszę wziąć roquefort, łaskawa panienko – szepnął do niej poufale. – Jest wyborny.

Zrobiła od niechcienia lekki gest dłonią i Robert przyniósł porucznikowi pełną paterę z serami. Bez zbędnego krygowania się mężczyzna wybrał kawałki swoich ulubionych gatunków, wziął też świeżo pieczonego precla i dwa plastry ananasa. Rozmowa została przerwana, Klaus von Hagemann skupił się w milczeniu na swoim talerzu i zajął się nalewaniem wina.

– Przerwano panu, poruczniku.

– Tak, prawda – odpowiedział z roztargnieniem. – O czym mówiliśmy?

– Mówił pan o pewnym istotnym momencie w pana życiu...

– Tak, w istocie. Ale sądzę, że to nie jest stosowna chwila, łaskawa panienko. Proszę mi wybaczyć.

Była głęboko rozczarowana. To było tchórzostwo, a nie zły moment. I była to wina Roberta, który w najgorszej chwili wniósł patery z serami. Bez wahania mogłaby go teraz zamordować.

Tymczasem rozmowy przy stole zaczynały cichnąć, obfity posiłek wywołał falę senności. Alicia z trudem podtrzymywała rozmowę z nowo poznaną śpiewaczką operową, gdy panie von Hagemann i Bräuer odnajdywały wspólnie Boga, a Tilly Bräuer, wyrosnięta siedemnastolatka w niestosownej, głęboko wydekoltowanej sukni w kolorze czerwonego wina, która podkreślała jej jasną skórę i wystające powyżej dekoltu obojczyki, sięgała w milczeniu po roquefort i słodkie winogrona. Tylko Katharinie, która prawie nic nie zjadła, nie udzieliło się ogólne zmęczenie i Elisabeth słyszała, jak siedzącym przy niej mężczyznom objaśniała zasady tworzenia tuszem chińskich rysunków. Było dla

Elisabeth niezrozumiała, dlaczego Alfons Bräuer słuchał jej, nawet na chwilę nie odwracając od niej wzroku. Sprawiał to prawdopodobnie sposób, w jaki mówiła: błyszczące oczy, poruszające się wydatne usta, a także ekspresyjne i przy tym pełne wdzięku gesty. Elisabeth była przekonana, że Alfons Bräuer patrzyłby na usta jej siostry z takim samym uwielbieniem, gdyby czytała mu książkę adresową mieszkańców Augsburga.

– Cóż, moi panowie? – usłyszała nagle miły głos matki. – Widzę, że macie ochotę na alkohol i cygara. Nie krępujcie się więc, my również spędzimy przyjemnie czas.

– Słuchajcie, słuchajcie, panowie! – krzyknął bankier Bräuer, który już od dłuższego czasu pragnął przerwać nieustającą paplaninę swojej lepszej połowy. – Pani życzenie, droga pani Melzer, jest dla nas rozkazem!

Mężczyźni podnieśli się i podążyli za panem domu. Nawet wielebny Leutwien, chudy mężczyzna z przerzedzonymi włosami i w okularach, poszedł z nimi. Elisabeth nie przepadała za duchownym, choć nie potrafiła powiedzieć dlaczego. Może z powodu strasznie grubych szkieł, przez które prawie nie widać było jego oczu i które nadawały jego twarzy wyraz bezradności. Kiedy jednakże pewnego razu zdjął okulary, żeby przetrzeć szmatką szkła, Elisabeth z zaskoczeniem zauważyła, że miał szare oczy zupełnie normalnej wielkości. Sprawiał wtedy wrażenie nie kogoś zupełnie bezradnego, ale mężczyzny, który dokładnie wie, czego chce.

– Ja też prawdopodobnie powinienem zanurzyć się w niebieskim dymie – powiedział porucznik von Hagemann, gdy wstawał z krzesła. – Mój ojciec byłby z pewnością zdumiony, gdyby spostrzegł, że jestem jedynym rodzyńkiem w towarzystwie pań.

Oczywiście, nie było sposobu, żeby go zatrzymać. Wymienili więc zwyczajowe uprzejmości i Elisabeth była przekonana, że dostrzegła szczerzy żal w jego oczach, gdy opuszczał salę.

Rytuałowi stało się więc zadość. Robert podszedł do Alicji Melzer, żeby ją poinformować, że wszystkie dania zostały już podane. Panie miały się teraz udać do czerwonego salonu, pokoju, który jeszcze jej matka kazała urządzić według własnej wizji. Same jedwabne tapety w stylu chinoiserie zapewne kosztowały fortunę. Meble wzorowane na stylu Ludwika XV wykonano na zamówienie we Francji i oczywiście były zdobione prawdziwym złotem. Tam paniom podawano mokrą oraz praliny i ciasteczka. Wydawało się jednak, że akurat w tej chwili nie były one zadowolone z faktu, że ktoś przerywa im

rozmowę o romansie znanej damy z towarzystwa z szoferem. Zwłaszcza niezmordowana żona bankiera czekała na pikantne szczegóły, nie zwracając uwagi na wymowne spojrzenia rzucane przez jej biedną córkę Tilly. Alicia próbowała nieco stonować ich konwersację, a wspierała ją w tym Riccarda von Hagemann. Matka porucznika był doskonałym gościem i wyczuwała, że właśnie tego wsparcia brakuje Alicii w starciu z żoną bankiera. Panią von Hagemann, mimo jej pięćdziesięciu lat, również z powodzeniem można było nazwać piękną.

Nagle pewien pomysł zakiełkował w umyśle Elisabeth i doszła do wniosku, że jej możliwości przedstawiają się teraz obiecująco. Wstała, uśmiechnęła się do matki i wyszła z jadalni. Nikt nie mógł mieć jej za złe, że wejdzie do czerwonego salonu. Przeciwnie – pokazywała jedynie, że zamierza podążać za innymi damami. Oczywiście nie od razu. Najpierw na krótko wejdzie do pokoju dla panów i zapyta o książkę, a następnie poprosi Klause von Hagemanna, by odprowadził ją do czerwonego salonu. Nikogo przy tym nie będzie, bo panie zbiorą się tam przy mokce dopiero za jakiś czas. Jeśli wszystko pójdzie tak, jak zakładał jej chytry plan, przez chwilę zostanie sama z porucznikiem w czerwonym salonie. Jeśli on nie skorzysta z tej okazji, to ona nie będzie mu już w stanie pomóc. Szła szybko przez długi korytarz, szczęśliwa, że grube dywany wyciszają jej kroki. Pokój dla panów znajdował się w drugim końcu korytarza, musiała się więc śpieszyć i uważać, by nie oddychać zbyt gwałtownie z uwagi na ciasno zasznurowaną suknię. Ale jaką książkę powinna wybrać? Taką, którą będzie łatwo znaleźć, najlepiej powieść. Może *Robinson*, był niezbyt kontrowersyjny i stał na wyciągnięcie ręki w środkowym rzędzie przeszklonego regału.

– Nigdy w życiu nie byłem tak poważny, łaskawa panienko...

To był przecież głos porucznika. A może tylko jej się wydawało? Elisabeth stała na środku korytarza, łapała gwałtownie oddech i przez moment nie słyszała nic prócz bicia swojego serca.

– Śmieje się pani ze mnie, Katharino? Jak może być pani tak okrutna? Składam u pani stóp moje serce, całe moje istnienie, a pani się śmieje...

Lodowaty chłód przeszył Elisabeth. To bez wątpienia był jego głos i dochodził z czerwonego salonu. Jak mogła nie zauważyć, że Katharina opuściła już jadalnię? Drżąc, stała tam dalej, opierając się o rzeźbioną komodę, i z niecierpliwością czekała na zdania, które padną. Zdania, które przypieczętują jej nieszczęście, które będą sztyletem wbitym w jej serce.

– To jest niczym gwałtowna burza, Katharino. Jak piorun, który spadł na mnie wprost z jasnego nieba. Muszę pani powiedzieć, że prędzej umrę...

Powiedział trzy słowa, które to ona miała nadzieję usłyszeć. Powtórzył je nawet kilka razy, jakby jego rozmówczyni była głucha.

– Kocham panią. Kocham. Kocham panią do szaleństwa, Katharino.

Da mu odpowiedź? Wyśmieje go? Odrzuci? Zabroni mu czynić tak śmiało wyznania? Elisabeth nic takiego nie usłyszała. Zamiast tego znów zagrzmiał ochrypły z przejęcia głos porucznika.

– Niech pani będzie moja!

Elisabeth poczuła coś gorącego na policzku. To dziwne, ale choć całe jej ciało było lodowate i sparaliżowane, z oczu płynęły gorące łzy, które torowały sobie drogę przez płonące policzki, tworząc brzydką strużkę i zostawiając ślady na sukience.

– Nie musi mi pani odpowiadać teraz, Katharino. Będę cierpliwie czekał, aż to pani przemyśli i porozmawia o mojej propozycji z rodzicami. Ale błagam, niech pani nie zapomina, że w swojej wiernej miłości czekam na wyrok, który pani wyda...

Nie wytrzyma tego dłużej. Elisabeth Melzer nie była osobą, która po takiej zniewadze schowa się w mysią dziurę. Wierzchem dłoni wytarła policzki, uniosła głowę do góry, poprawiła włosy. A potem otworzyła drzwi salonu. Jakież to było zabawne. Kitty siedziała na jednym z tapicerowanych foteli, a porucznik klęczał przed nią na dywanie.

– Ach, tu jesteś, Kitty! Wszędzie cię szukam.

Von Hagemann poderwał się gwałtownie, ukłonił się zakłopotany i przechodząc koło niej, wyszedł z pokoju. Potraktowała go, jakby był powietrzem.

6

Zgaś natychmiast tę lampę! Połóż się! Rozbierać się możesz równie dobrze po ciemku.

Marie była śmiertelnie zmęczona. Dwa razy się pomyliła, zanim znalazła wreszcie pokój, w którym miała spać. Najpierw trafiła do Else i Auguste, później weszła do rupieciarni pełnej kufrów i skrzyń, stojących obok wyrzuconych mebli. Wreszcie była na miejscu. Mimo półmroku, Marię Jordan łatwo było poznać po jej spiczastym nosie.

– Głucha jesteś?! Zgaś tę lampę i do łóżka!

Marie nie zwracała uwagi na jej krzyki. Spokojnie oświetliła mały pokoik, dwie komody i szafę, które musiały ze sobą dzielić, i swoje łóżko. To były proste meble, ale solidne i wytrzymałe, przeznaczone dla służby. Podłoga była zrobiona z drewnianych desek, a przy każdym łóżku leżał kolorowy, mozaikowy dywanik. Było wspaniale. Nigdy nie doświadczyła podobnego luksusu. Na dodatek na swoim łóżku zobaczyła pakunek z białą pościelą, koszulami, bielizną zdobioną koronką, skarpetami, a były w nim też wełniane pończochy. I jeszcze skórzane buty, co prawda używane, ale zupełnie dobre. Trzy sukienki, jedna z bawełny, druga z flaneli, a trzecia z ciepłego sukna. I oczywiście fartuchy. Niestety nie te piękne białe fartuchy obszywane koronką, które nosiły pokojówki. Jej fartuchy były prostokątnymi kawałkami grubego materiału, nadającymi się do prac kuchennych.

– Nie możesz pooglądać tych rzeczy rano? – warknęła Jordan, unosząc nieco głowę.

Nie tylko jej nos był spiczasty, również podbródek mógłby służyć za solidną broń ciętą. Tak, pokój był wspaniały, przeszkadzała jedynie ta wredna kobieta. Jaka szkoda, że nie można mieć w życiu nigdy tak naprawdę dobrze. Zawsze gdzieś tkwi jakiś haczyk.

– Położę je tylko na komodzie. Sprzątnę je rano. Czy jest tu gdzieś jakiś klozet?

Jordan przewróciła oczami i jęknęła.

– Na końcu korytarza. A jak wrócisz, zgaś lampę. Noc kończy się o wpół do szóstej.

– Zgaszę światło, jak tylko położę się do łóżka.

Co ta stara sobie wyobrażała? Że będzie się błąkać po nieznanym pokoju w ciemności? Żeby nie przeszkadzać wielkiej damie w śnie przywracającym piękno? Jeśli myśli sobie, że będzie mogła dyrygować Marie, tutaj na górze, to najwyraźniej się pomyliła. Wielu już próbowało, ale nikomu się nie udało. Przynajmniej nie w ostatnim czasie. Wcześniej musiała znosić złe rzeczy, ale to się skończyło. Dostanie to, co się jej należy. Nie więcej, ale też nie mniej.

Na korytarzu było zimno. Zarzuciła koc na ramiona i poszła korytarzem do ostatnich drzwi. Deski skrzypiały przeraźliwie i brzmiało to tak, jakby do wychodka maszerował cały pułk. Drzwi się zacięły, pomyślała więc najpierw, że ktoś jest w środku. Po chwili jednak mocniej pchnęła i prawie rozbiła lampę o ścianę. W środku znajdowała się muszla klozetowa z porcelany, a metalowe wiadro z wodą do spłukiwania stało obok. Tylko drewniana pokrywa wyglądała na zniszczoną i powinna zostać na nowo pomalowana. Zachichotała. Myśl o tym, że Jordan siada na świeżo pomalowanej klapie od sedesu, rozbawiła ją. Spłukiwanie znów spowodowało spory hałas. Ten, kto mieszkał w sypialni obok, musiał mieć naprawdę mocny sen. Zostawiła uchylone drzwi, bo każda próba zamknięcia ich wywoływała trzask przypominający trzęsienie ziemi. Kiedy w pośpiechu wracała do siebie, usłyszała delikatne skrzypnięcie. Przystanęła i podniosła lampę. Ktoś musiał otworzyć drzwi.

– Idź precz, diable! – zagrzmiął rozzłoszczony głos. – Najpierw chcesz tego każdej nocy, a potem nagle jestem skreślona.

Marie zobaczyła ciemną postać w długiej nocnej koszuli. Auguste? Czyż nie widziała jej wcześniej w łóżku?

– Bardzo mi przykro...

To mógł być jedynie głos Roberta. Marie wiedziała już co nieco, by domyślić się, co się dzieje. Tych dwoje najwyraźniej coś łączyło, a teraz prawdopodobnie nastąpił koniec. Przynajmniej dla Roberta. Biedna Auguste.

– Tobie jest przykro? – krzyknęła Auguste w stronę drzwi. – Nie potrzebuję twojej litości, Robercie Scherer. To tobie należy współczuć. Myślisz, że nikt nie zauważył, co się dzieje? Odkąd łaskawa panienska wróciła z pensji, robisz do niej maślane oczy. Ty prostacki głupcze! Ty beznadziejny oszuście!

– Cicho bądź! Idź sobie!

– Skończysz w przytułku. W więzieniu. Powinni cię powiesić, a ja nie kiwnę palcem, żeby ci pomóc!

Dla Marie było oczywiste, że powinna jak najszybciej zniknąć. Koniecznie, zanim wściekła Auguste zorientuje się, kto stoi w korytarzu z lampą w ręce. Tylko gdzie właściwie był jej pokój? To muszą być czwarte albo piąte drzwi po prawej stronie. Po cichu przemknęła przez korytarz i nacisnęła klamkę. Oddychając z ulgą, dostrzegła spiczasty podbródek i nocny czepek Jordan, szybko więc zamknęła za sobą drzwi.

– Następnym razem użyj nocnika – wrzasnęła Jordan. – To po prostu skandaliczne! Pół domu obudziłaś!

Marie była zbyt znudzona, żeby odpowiedzieć. Faktycznie będzie lepiej, jeśli się rozbierze po ciemku, bo nie napawała ją radością myśl o tym, że ta stara będzie ją oglądać. Zostawiła jednak zapaloną lampę, dopóki nie wsunęła się pod koc. Wielkie nieba! Poduszka z prawdziwego pierza pod głową! A gruby i miękki materac uginał się, gdy się na nim poruszało. Wełniany koc i nawet kołdra z pierza. Wszystko to było ciężkie jak ołów. Ale nigdy jeszcze nie kładła się spać w tak komfortowych warunkach.

– Zgaś lampę!

Marie była tak zachwycona pościelą, że nie ociągając się, zdmuchnęła płomień. Jaka szkoda, że trzeba tak wcześnie wstać. W takim łóżku mogłaby się wylegiwać całymi dniami. Mogłaby spać i śnić. Przeciągać się rozkosznie i poprawiać sobie białe poduszki. I czytać powieści. Spokojnie i nie kryjąc się pod kocem jak w sierocińcu. Jeść bułki i pić kawę z mlekiem. Po prostu sobie leżeć, czując kojące ciepło, patrzeć w sufit i myśleć o czymś pięknym. O czasie, gdy Dodo, jej najlepsza przyjaciółka z sierocińca, była przy niej. Przyjaciółka, jakiej nigdy już nie będzie mieć. Dodo każdego wieczoru potajemnie wślizgiwała się do jej łóżka i potrafiła to robić tak cicho, że nikt nigdy nie zauważył. Nic dziwnego, była rok młodsza od Marie i lekka jak piórko. Nie mogła stać się grubsza, bo zawsze bardzo brzydko kaszłała. Małe ciało Dodo było zawsze lodowate, gdy przytulała się do Marie, trochę to trwało, zanim przeszło na nią trochę ciepła. Przede wszystkim stopy Dodo nie chciały się ogrzać. W tym czasie opowiadały sobie dużo różnych historii, szeptem, przysuwając usta do uszu przyjaciółki, tak żeby nie przeszkadzać innym w śnie. To były zmyślane opowieści, które wyrastały w ich głowach jak egzotyczne kwiaty, śmieszne i smutne, straszne i głupie. Gdy drżały ze strachu

albo nie mogły powstrzymać śmiechu, obejmowały się jeszcze mocniej i Marie czuła, że nie jest już zupełnie sama. Czasami płakały razem, ale nawet to było piękne. Przez morze łez płynęły do królestwa snu. Gdy Dodo miała trzynaście lat, została zabrana do szpitala. Stamtąd wyjechała do domu w górach, do miejsca, gdzie jej kaszel miał być wyleczony. Marie często o nią pytała, ale nikt nie chciał jej nic powiedzieć. Pisała listy do Dodo, które oddawała pannie Pappert z prośbą, by je wysłała na adres przyjaciółki. Nie dostała żadnej odpowiedzi. To było cztery lata temu. Może Pappert wcale nie wysłała jej listów.

Co Dodo powiedziałyby na takie wspaniałe łóżko? Marie odwróciła się na bok i wyobrażała sobie, że leży koło niej przyjaciółka. Wierzyła nawet, że słyszy delikatny szept Dodo, który nagle stał się rżeniem, a potem gwizdaniem, i Marie zrozumiała, że to Jordan rozpoczęła właśnie swój nocny koncert. Dodo znów zniknęła. Zanurzyła się w świecie marzeń i fantazji, a Marie pozostało słuchanie dźwięków dochodzących z sąsiedniego łóżka. Kto spędził większość nocy w sypialni w sierocińcu, nie jest wrażliwy na dźwięk chrapania. Marie wydawało się interesujące, że nie ma dwóch osób, które by chrapały w ten sam sposób. Jedni prycają, inni sapią i gwizdzą, jeszcze inni rżęją rytmicznie, aż czasami budzi się obawa, że się uduszą. Są tacy, co mlaskają przez sen, a niektórzy nawet mówią. Jedni się drapią, inni dłubią w nosie, a jeszcze inni żują brzeg kołdry. Jordan należała do grupy sapiących i gwizdzących, co było uciążliwe, choć do zniesienia. Ale gdy Marie już prawie zasnęła, wydarzyło się coś niesamowitego. Zabrzmiało to jak dźwięk, który wydaje korek wyciągany z butelki, po czym nastąpił głęboki wdech i dłuższy kaszel. Potem Jordan wierciła się na łóżku przez chwilę i sapanie oraz gwizdanie zaczęło się od nowa. Patrzcie ją, pomyślała Marie. Nic dziwnego, że ma złe sny. Jej gardło w czasie snu układa się tak, jakby zaraz miała się udławić. Mimo tego spostrzeżenia, nie potrafiła współczuć pokojówce. Przeciwnie, uważała, że Maria Jordan zasłużyła sobie na tę nocną przygodę, odwróciła się więc na plecy i westchnęła z zadowoleniem.

Tutaj na trzecim piętrze spali pracownicy. Auguste i Else, panna Schmalzler, kucharka Fanny Brunnenmayer oraz lokaj Robert. On z pewnością miał własny pokój. Czy kucharka też cieszyła się takim luksusem? Całkiem możliwe, choć mało prawdopodobne było, żeby panna Schmalzler dzieliła z kimś pokój. Dlaczego właściwie Marie nie mogła zasnąć? Z pewnością była jedyną osobą w całej posiadłości, która leżała w łóżku i nie spała. To z pewnością nadmiar

nowych wrażeń, których doświadczała – zbyt wiele na jeden raz. Skąd w takim razie pochodzą te dziwne dźwięki? Skrzywienie drzwi, delikatne trzaskanie szafek? Marie zawsze miała świetny słuch. Zazwyczaj słyszała kroki Pappert, która przychodziła skontrolować salę sypialną, słyszała je już z dużej odległości. Nawet wtedy, gdy właściwie były niesłyszalne, Marie jakoś je wyczuwała. A może to były myszy? Wyobraziła sobie, jak pan Melzer razem z żoną śpią w małżeńskim łóżku, a pod nim harczą myszy. Uśmiechnęła się do siebie w ciemności, bo w wyobraźni zobaczyła, jak jedna z myszek wskakuje na łóżko i obwąchuje bosą stopę małżonki fabrykanta. Kobiety, w którą wpatrywała się, gdy ta wsiadała do samochodu. Roześmiała się w duchu. Czy nie było to komiczne, że parter i całe pierwsze piętro tej ogromnej posiadłości stoją całkowicie puste? Wszędzie na przedmieściach Augsburga ludzie tłoczą się, śpią po kilka osób w jednym łóżku, a w sierocińcu niektórzy wychowankowie muszą nocować w pokoju dziennym. Tutaj natomiast pusta była ogromna kuchnia, wolny był pokój gospodyni oraz wszystkie wspaniałe pomieszczenia na pierwszym piętrze, których ona jeszcze nie widziała. Wczesnie rano – jak zapowiedziała Auguste – będzie razem z nią dokładać do pieców i wtedy wreszcie zobaczy te piękne pokoje – bibliotekę, salon, jadalnię i całą resztę. Nawet jeśli potrwa to tylko krótką chwilę.

Jakimiż szczęściarzami są ci Melzerowie! Są bogaci, mają ogromną fabrykę oraz posiadłość. Z pewnością mieli też u siebie na dole łazienki z ciepłą i zimną wodą, złote wanny i muszle klozetowe z białej porcelany i złotym obramowaniem. Nie muszą się martwić, czy wystarczy im pieniędzy na jutrzejszy obiad i czy mogą kupić na zimę ciepły płaszcz i buty. A do tego wszystkiego dobry Bóg dał im jeszcze dwie piękne i dobrze wychowane córki oraz mądrego syna. To był ten młody mężczyzna, który wsiadał dzisiaj do samochodu. Dowiedziała się, że miał na imię Paul i studiował w Monachium. Był bardzo przystojny, ale nie tak jak ci wymuskani młodzi panowie, których spotykała w mieście. Jaka szkoda, że był takim zarozumiałym szydercą. Melzerom więc sprzyjało szczęście. Czy w życiu faktycznie było tak, że bogactwo i mądrość oraz piękno i sukces zawsze idą w parze? Czyli że Bóg albo daje te rzeczy razem, albo nie daje nic?

W tym momencie poczuła lekki wstrząs. Tuż pod nią, na drugim piętrze, coś spadło. Był to dźwięk podobny do syknięcia kota. Miauknięcie i prychnięcie, wysoki dźwięk, który wywołał wibrowanie szyby w oknie. Głosy. Głosy dziewcząt. Tak, ona знаła te piski zdenerwowania, tę czystą, bezradną

wściekłość. W sierocińcu ciągle dochodziło do gwałtownych kłótni między dziewczętami. Było w nich dużo pasji i rozpacz, a kończyły się podartymi ubraniami, potarganymi włosami i ranami zadanymi zębami i paznokciami. Nasłuchiwała, tłumiąc oddech. Nie, to nie była Auguste ani Else. Te głosy dochodziły z dołu. Stamtąd, gdzie sypialnie mają łaskawe panienki. To one się ze sobą kłóca, te dobrze wychowane damy. Biły się i kłóciły nie inaczej niż dziewczęta z sierocińca.

– Najświętsza Panienko – wymamrotała Jordan, którą obudziły te hałasy. – Żeby mnie tylko łaskawa pani nie ściągnęła teraz z łóżka.

Nic się jednak nie wydarzyło. Hałas ucichł po chwili. Powróciły natomiast nocne dźwięki wydawane przez Jordan. Marie uśmiechnęła się i natychmiast zasnęła.

7

Uważaj, ty niezdaro!

– Bardzo przepraszam!

Marie uderzyła metalowym wiadrem w białą polakierowaną futrynę, co wywołało okropny trzask i pozostawiło brzydki ciemny ślad.

– Teraz to ja cię besztam! – warknęła Auguste. – A to dlatego, że jesteś strasznie niezdarna. Tak naprawdę jesteś chyba głupsza niż wszyscy inni razem wzięci!

Marie ciągle słyszała takie słowa. Czy było to zgodne z prawdą, nie była w stanie stwierdzić, ale skoro powtarzali jej to prawie wszyscy, pewnie się nie mylili. A tak bardzo się cieszyła na swoją pierwszą poranną wędrówkę po pokojach. Nie sądziła jednak, że będzie w nich tak ciemno. Dopiero gdy Auguste porozsuwała na bok zasłony wiszące w oknach, widać było, jak są umeblowane. Nadal jednak nie było w nich zbyt jasno. Zegar pokazywał dopiero wpół do szóstej rano.

– Uważaj, żebyś nie porozrzuciła węgla!

Marie bardzo się starała. Rozpalanie ognia było przecież prostą pracą, nawet dziecko z pomocą łopatkę z węglem i zmiętej gazety potrafiło rozpalić piec na węgiel. Piece w posiadłości były nowoczesne i łatwe w obsłudze, drzwiczki się nie zacinały, nie było też na nich żadnych wgłębień, w których tkwiłby bród i popiół. W niektórych pokojach stały wysokie, wąskie piece kafłowe, śliczne jak damy w sukniach. Trzeba było jednak uważać, żeby nie pobrudzić jasnych płytek pyłem węglowym. Jeśli dotknęło się płytki ubrudzonym w węglu palcem, należało natychmiast zetrzeć ją wilgotną szmatką. Dużo prostsze w obsłudze były piece żeliwne. Pokryte ornamentami i na pewno strasznie drogie – bez porównania z „kozami”, zwykłymi żelaznymi piecykami, które do tej pory Marie widziała. Plusem było to, że na żeliwnych piecykach nie zostawały ślady po palcach ubrudzonych węglem.

– Nie śpij, moja mała. Już dawno mogliśmy to skończyć!

– Robię to pierwszy raz i jakoś się muszę tego nauczyć, Auguste.

Jeszcze wczoraj Auguste była taka serdeczna i współczująca. A dzisiaj rano zmieniła się w złośliwą istotę o lodowatym sercu, której upokarzanie Marie sprawiało oczywistą przyjemność. Czyżby zorientowała się, że to ona była wczoraj w nocy na korytarzu? Chyba właśnie o to chodziło.

– Otwórz oczy, głupi dzieciaku! Gdzie powinien stać piec, co? Może pod oknem? Spójrz tam w prawy róg, głupia gąsko. Mój Boże, Else będzie się zastanawiać, gdzie się podziewam tak długo.

Obie pokojówki musiały jeszcze przed śniadaniem doprowadzić do porządku dwie łazienki na drugim piętrze. Łaskawy pan zazwyczaj korzystał z łazienki również w nocy, także panienska Katharina. Często ręczniki walały się rozrzucone po podłodze, mydło leżało gdzie popadnie, a muszla była niespłukana. Łaskawa pani życzyła sobie jednak, by łazienki nawet wczesnym rankiem były w nienagannym stanie.

Gdy Auguste wreszcie zbiegała po schodach na parter, Marie czuła się rozczarowana, że tak naprawdę wcale nie obejrzała tych pięknych pokojów. Jedynie jak przez mgłę pamiętała czerwone tapety na ścianach salonu, długi stół z czarnego drewna w jadalni, ponure rzeźbione szafy i wiele popielniczek w pokoju dla panów. Do biblioteki, która tak bardzo ją interesowała, nie mogła wejść. Nie było tam pieców, tylko otwarty kominek, którego nie rozpałało się rano. Na dole w kuchni cała służba już zebrała się na śniadaniu przy długim stole i Auguste jęknęła, bo nie wyobrażała sobie, jak Marie poradzi sobie z tym zadaniem, skoro była zbyt głupia nawet na to, by rozpałić piece.

– Tego się można było spodziewać – bąknęła Jordan.

Piła kawę z mlekiem z jasnoniebieskiej filiżanki ze złotym szlaczkiem, którą traktowała jak największy skarb. Wczoraj nie pozwoliła Marie nawet jej opłukać.

– Ona ma dwie lewe ręce. W drzwiach do jadalni zrobiła rysę, gdy szła z wiadrem. Mówię to tylko po to, żeby było jasne, że to nie moje dzieło. Powiedz wszystkim, Marie, że to ty zrobiłaś. No już, powiedz wszystkim.

Marie była wciąż zajęta stawianiem wiadra z wodą obok kuchennego pieca, gdy Auguste już usiadła przy stole.

– Nie wszystko z tego, co powiedziała Auguste, jest prawdą – wyszeptała. – Ale rysę na drzwiach zrobiłam ja. A to dlatego, że było bardzo ciemno i drzwi mogły mnie przytrzasnąć.

– Oto jej wysokość – krzyknęła oburzona Auguste. – Słyszeliście? Oskarża mnie o kłamstwo. Ten żółtodziób ośmiela się zarzucać mi kłamstwo. To nie wszystko prawda.

Wszystkie głowy zwróciły się w stronę Marie. Nawet Robert, który siedział obok Jordan, patrzył na nią z ironicznym wyrazem twarzy.

Kucharka, która wczoraj wieczorem odnosiła się do niej dość przyjaźnie, syknęła teraz, że to najwyższy czas, by dać małej Marie lekcję. I nawet Else, która prawie nigdy nic nie mówiła, krzyknęła teraz, że to okropnie bezczelne zachowanie.

– Żądam, żeby ją ukarać! – wrzasnęła Auguste. – Ona jest tylko zwykłą kuchcią i śmie mnie obrażać!

Panna Schmalzler uznała, że nadeszła chwila, żeby włączyć się w ten harmider. Postawiła głośno swój kubek z kawą na stole.

– Spokój! Natychmiast ma być spokój! Auguste, przestań wreszcie tak histerycznie wrzeszczeć!

Autorytet panny Schmalzler był niepodważalny. Natychmiast wszyscy ucichli.

– Na wypadek gdyby ktoś o tym zapomniał, znajdujemy się w bardzo szacownym domu i od każdego pracownika oczekuję odpowiedniego zachowania. Również tutaj, w kuchni!

Spojrzała na Auguste, której twarz i szyja były ogniście czerwone. Jej wargi drżały, ale nie odważyła się wybuchnąć płaczem.

– To bez wątplenia źle, że mówisz wprost o tym, co nie powinno być nazywane dosłownie.

To ten krzywdzący osąd gospodyni sprawił, że powstrzymywane przez Auguste łzy nagle zaczęły płynąć, jej podbródek drżał, a szloch wstrząsał jej klatką piersiową.

– Ale... – Schmalzler ciągnęła podniesionym głosem.

Odwróciła się przy tym w stronę Marie, która stała wciąż przy kuchennym piecu i obserwowała całą scenę z kamienną twarzą.

– Ale ty, Marie, jesteś tu ostatnią osobą, która miałaby prawo oskarżać Auguste. A przede wszystkim nie tutaj, przy wszystkich. Podejdz!

Marie posłusznie podeszła powoli. Z obojętnym wyrazem twarzy. Przez długi czas uczyła się nie okazywać uczuć. To było coś, czego głupawa Auguste pewnie nigdy nie byłaby w stanie zrobić.

– Teraz musisz przeprosić Auguste.

Znów znalazła się więc w niekomfortowej sytuacji, tak dobrze sobie znanej. Przede wszystkim z czasu pobytu w sierocińcu. Później jednak również. Spokornieć, żeby mieć święty spokój. Albo zachować dumę i zostać za to ukaranym. W tym przypadku mogli ją nawet odesłać. A tego nie chciała pod żadnym pozorem. A już na pewno nie z powodu Auguste, która miała mniej szarych komórek niż kura.

– Nie chciałam cię obrazić, Auguste.

– Ale to zrobiłaś – szlochała kobieta.

– Bardzo mi przykro. Miałaś rację, to ja zrobiłam paskudną rysę na futrynie. Mówię to jeszcze raz, żeby każdy mógł usłyszeć. To ja. To nie wina Auguste, że jestem taka niezdarna.

Czuła na sobie wzrok gospodyni, która wciąż wpatrywała się w nią z wielką natarczywością. Czego ona jeszcze chciała? Czy nie przyznała się, że jest winna? Nawet jeśli inteligentnie ominęła oskarżenie?

– Przyzwyczaj się też do tego, że nie wolno ci sprzeciwiać się innym. Musisz być posłuszna i milczeć. Do niczego innego pomoc kuchenna nie ma prawa.

– Tak, panno Schmalzler.

– Zapamiętaj to na zawsze!

– Tak, panno Schmalzler.

– A teraz zajmij miejsce i zjedz śniadanie.

Miejsce Marie było na drugim końcu stołu. W górnej jego części tuż przy piecu siedziała panna Schmalzler, obok niej kucharka, a naprzeciwko służący Robert. Jordan zajmowała miejsce obok Roberta, a po drugiej stronie siedziały Else i Auguste. Pod koniec tygodnia jedli też z nimi ogrodnik Bliefert i jego wnuk Gustav. Orodnik był już po sześćdziesiątce. Szczupły, żylasty mężczyzna o szerokich dłoniach pokrytych odciskami, które mówiły o jego pracy w ziemi. Wnuk, który przewyższał go o głowę, wyglądał na prawdziwego siłacza. Był dobroduszny i trochę nieporadny. Podczas wspólnego śniadania patrzył ciągle na Marie i kilka razy się do niej uśmiechnął, a potem powiedział do dziadka:

– To jest młoda pani. Zobacz no, jak ona siedzi! Wyprostowana jak królowa.

– Chyba coś ci się pomyliło, mały.

– Ależ nie, dziadek. Mówię poważnie. Młoda pani.

Ta jego paplanina przyniosła Marie niemało drwin. Wielką panią była ta Marie. Panią wiadra z popiołem. Księżniczką ziemniaczanych obierków. Królową nocników. Wreszcie panna Schmalzler ogłosiła koniec śniadania dla

służby, podczas którego nawet po cichu klaskano Marie. Następnie przydzieliła zadania na cały dzień. Wieczorem łaskawa panienska Elisabeth będzie gościć trzy koleżanki, trzeba przygotować herbatę, ciasta i ciastka. Łaskawa pani wybiera się koło czternastej do fryzjera – wypowiadając te słowa, spojrzała na szofera Roberta, który gorliwie przytaknął. Łaskawa pani ma nadzieję, że wróci do posiadłości punktualnie na zebranie towarzystwa charytatywnego. Damy z towarzystwa przyjdą około szesnastej i na to spotkanie należy ustawić w bibliotece krzesła oraz stół, a ponadto rozpalić w kominku i zawiesić czyste zasłony. Łaskawa pani zaprosiła przedstawiciela instytucji religijnej, który przez lata był na misjach w Afryce i który opowie paniom o swoich doświadczeniach z pracy z Murzynami.

– Ma być herbata i kawa. I białe wino, najlepiej mozel. Wypieczony chleb i małe bułeczki. Kanapki w angielskim stylu podane w domu żony dyrektora Wieslera wzbudziły duże uznanie.

– Niech ta angielska banda sama sobie to je – warknęła kucharka. – U nas będzie ozorek wołowy, wędzony łosoś i jajka na twardo z kawiozem. Prawdziwym rosyjskim kawiozem. Nie tą tanioczą ze sklepu kolonialnego.

Panna Schmalzler zignorowała uwagi kucharki. Swobodą, jaką cieszyła się Brunnenmayer ze względu na swoją pozycję, nie obdarzała żadnego innego pracownika. Marie zdała sobie sprawę, że niższe rangą pokojówki, a nawet te główne, można zastąpić – dobrej kucharki nie znajdzie się szybko.

– Zabierajmy się więc do pracy z sumiennnością, radością i Bożym błogosławieństwem!

Wszyscy coś tam do siebie jeszcze mówili, w pośpiechu dopijali zawartość kubków i podnosili się. Do Marie wołano z trzech stron:

– Marie, posprzątaj stół, umyj naczynia i przynieś drewno do pieca!

To była kucharka.

– Marie, pomożesz mi zawiesić zasłony w bibliotece, a te stare zanieść do pralni.

To była Else.

– Marie, weź wiadro i szufelkę do węgla. Chodź już!

Auguste również spodobała się rola pani. Jeśli ona miała sprzątać bałagan w pokoju łaskawej panienski Kathariny, to Marie musi pozbierać śmieci i umyć podłogi. Marie postanowiła, że będzie unikać konfliktów, ale nie było to łatwe. Wydawało się, jakby wszyscy się przeciwko niej przysięgli, i niezależnie od tego, czy byli mądrzy, czy głupi, ona zawsze była niezdara

i fajtlapą. Srebrnych tac ze śniadaniem dla państwa nie mogła nawet dotknąć, nosiły je Else i Auguste. Szczotka zawsze się przewracała, bo Marie na nią nie uważała. Kucharce wypadła z ręki miska, bo podniosła ją zbyt gwałtownie, ale to była wina Marie. Śmietana wylała się na tackę, gdy Else ją podnosiła, dlatego że głupia pomoc kuchenna za dużo wlała do dzbanuszka. Oni po prostu potrzebowali kozła ofiarnego, na którego mogliby zrzucić wszystko, co im się nie udało, myślała Marie z wściekłością. A ponieważ była jedynie pomocnicą kucharki, to ona musiała ponosić za wszystko winę. Tak też było w tej wspaniałej posiadłości z wieloma pracownikami. Złośliwi i aroganccy trzymali ze sobą i ciągle nic im nie odpowiadało, a słabsi dostawali jeden policzek za drugim.

8

Alicia Melzer spojrzała z dezaprobatą na puste krzesła przy stole, na którym ustawiono już śniadanie. Żadna z córek nie pojawiła się jeszcze w jadalni, zupełnie jakby chciały poczekać, aż ich ojciec przyjdzie na śniadanie z fabryki. Ich troska była niepotrzebna. Alicia postanowiła nie omawiać wydarzeń ostatniej nocy. Nie, dopóki nie przyjdzie Johann. Johann Melzer życzył małżonce „błogosławionego dnia” i to poranne pozdrowienie potwierdził delikatnym pocałunkiem w czoło. Teraz był już zagłębiany w „Augsburger Tagblatt” i podczas czytania przeżuwał bułeczki polane masłem i miodem, które Alicia położyła mu na talerzu. Od samego początku trwania ich małżeństwa Alicia nakładała mu te bułeczki, bo gdy starał się to zrobić sam, gazetę, obrus i rękawy marynarki zawsze brudził w miodzie.

– A gdzie są dziewczęta? – zapytał, wyglądając zza gazety i biorąc łyk kawy.
– Też tego nie rozumiem.

Alicia zadzwoniła dzwoneczkiem i poprosiła Auguste, żeby sprawdziła, co się dzieje z panienkami. Zarówno Alicia, jak i Johann, który dorastał w urzędniczym domu, stanowczo oczekiwali ścisłego przestrzegania pór posiłków. Czasami właściciel fabryki tak bardzo się rano śpieszył, że opuszczał posiadłość, zanim Katharina i Elisabeth pojawiły się na śniadaniu. Dziś jednak, jak na ironię, wydawało się, że ma więcej czasu.

– Nie rozumiem twojej pobłażliwości – powiedział poirytowany i wygładził szpaltę czytanej gazety. – Szczególnie wobec Kathariny nie potrafisz być stanowcza. Jeśli dziewczyna nie może spać w nocy, powinna w ciągu dnia zajmować się czymś, co wymaga wysiłku. Wtedy wieczorem będzie już zmęczona.

Alicia w oburzeniu uniosła brwi, nie miała jednak ochoty po raz kolejny wdawać się w kłótnię na ten temat. Bezsenność Kathariny była wywołana nerwicą, jak potwierdził doktor Schleicher. Dziewczyna cierpiała też z powodu silnych bólów głowy, które bardzo ją męczyły i wynikały z jej

osłabionych nerwów. Niestety, Johann niezbyt przychylnie odnosił się do diagnozy lekarza.

– Wczoraj wieczorem rozmawiała bardzo radośnie – ciągnął. – I młodego Bräuera w całkiem miły sposób wzięła do galopu. Mała diablica, ta moja Kitty!

Alicia nie znosiła, gdy mówił o niej w ten sposób, ale i tym razem postanowiła unikać kłótni. Jeśli już Johann pojawił się na śniadaniu i miał trochę czasu, chciała z nim tak szybko, jak to tylko możliwe, omówić inną sprawę.

– Moim zdaniem trochę przesadziła – powiedziała spokojnie. – To jest jednak całkiem zrozumiałe. Przecież dopiero tego lata wróciła z pensji i sama pewnie jest zaskoczona wrażeniem, jakie wywiera na młodych mężczyznach. Powinna się jednak nauczyć, że nie można nadużywać swojej władzy.

Auguste pojawiła się w drzwiach i poinformowała, że panienki zaraz zejść na dół. Alicia skinęła głową z zadowoleniem, a Johann zaszeleścił mocniej gazetą.

– Niedobrze, gdy młody człowiek nie ma nic sensownego do zrobienia – stwierdził. – To prowadzi do lenistwa i psuje charakter.

– Ależ oczywiście – zgodziła się Alicia. – Podać ci jeszcze bułeczkę?

Jej troskliwe pytanie sprawiło, że zapomniał na chwilę o złości – co zresztą było jej zamiarem.

– Co? Ach tak, chętnie. Bardzo miło z twojej strony, Alicio...

– Co się tyczy dziewcząt, zupełnie się z tobą zgadzam, Johannie – powiedziała, sięgając do srebrnej maselniczki. – Bez wątpienia wkrótce wyjdą za mąż i zajmą się własnymi domami.

Dopił kawę i z kieszeni kamizelki wyciągnął złoty zegarek. Była już prawie ósma.

– Doprawdy, te twoje plany wydania ich za mąż – zauważył z ironicznym uśmiechem. – Co więc z nimi? Czy porucznik połknął wreszcie przynętę?

Zawsze ta sama ironia, te niepotrzebne kpiny. Dlaczego nieustannie szydził z faktu, że chciała kształtować przyszłość swoich córek? Czy porucznik von Hagemann, syn rodowitych augsburgczyków, nie był odpowiednią partią na przykład dla Elisabeth? Wiedziała jednak, co przeszkadzało Johannowi. Owo „von” przed nazwiskiem, które nosiłaby również jego córka. Johann był zdania, że wszyscy ci szlachetni panowie tak naprawdę trwonili jedynie pieniądze i byli kobiecierzami. No dobrze, jeśli chodzi o jej brata, niestety się

nie mylił. Ale co do porucznika von Hagemanna jego obawy były naprawdę bezpodstawne.

– No nie wiem. Elisabeth nic nie mówiła na ten temat...

– Elisabeth! – krzyknął, potrząsając głową. – Za moich czasów adorator przychodził do rodziców wybranki i prosił ich o jej rękę. A teraz doszło do tego, że młodzi ludzie wszystkie takie sprawy załatwiają między sobą!

Alicia popierała jego zdanie odnośnie do nowych zwyczajów, zapewniała go też, że dzięki Bogu Katharina i Elisabeth są w tej kwestii wychowane bardzo „staromodnie”. Również ich syn Paul – była tego absolutnie pewna – nie podejmie w tym zakresie żadnych jednostronnych działań. Johann położył na stół zmiętą lnianą serwetkę, bo musiał wreszcie pójść do fabryki. Ale teraz, kiedy pojawił się temat syna, musiał wyrzucić z siebie całe niezadowolenie, które kiełkowało w nim przez weekend.

– Żadnych działań na własną rękę! – krzyknął. – Nie rozśmieszaj mnie. Zamiast pilnować studiów, mój dorosły syn postanowił się lenić przez cały weekend. Pojechał z przyjaciółmi na wycieczkę, poszedł z siostrą do opery, spędził noc poza domem, nie wiadomo gdzie. A za wszystkie te przyjemności płacił moimi pieniędzmi. Wiadomo, młodym mężczyznom trzeba, jak to się mówi, przytrzeć rogów...

– Johann! *Pas devant les domestiques!*

Dusił to w sobie, ale za bardzo go to uwierało i musiał w końcu powiedzieć na głos. Paul przeobrażał się coraz bardziej w dandysa, żył wyłącznie dla swoich przyjemności, wydawał pieniądze ojca, a jeśli chodzi o studia – na pewno nie należał do najlepszych.

– Jeśli nie jesteś zadowolony ze swojego syna, to muszę ci przypomnieć o tym, co kiedyś powiedziałaś. – Alicia triumfowała, cieszyła się zwłaszcza dlatego, że to jej mąż poruszył temat, który tak mocno leżał jej na sercu.

– Co takiego powiedziałem? – warknął.

– Powiedziałaś, że nie byłoby dobrze, gdyby młodzi ludzie nie mieli w życiu przyjemności.

Domyślał się, do czego zmierza żona, bo nie pierwszy raz poruszali ten temat. Zniecierpliwiony podniósł się z krzesła i zaczął strzepywać okruchy z ciemnobrązowej bonzurki.

– Studiowanie prawa to dość rozsądny wybór i powinno zapewnić mu szerokie możliwości...

Auguste otworzyła drzwi jadalni, żeby wpuścić Katharinę i Elisabeth.

Obydwie wyglądały na blade i zmęczone. Katharina miała czerwone pręgi na wierzchach dłoni, a na przedramionach Elisabeth było widać sine plamy. Dość cicho wypowiedziały poranne przywitania, ale były szczerze zadowolone, że ojciec ekscytował się losem Paula, bo z doświadczenia wiedziały, że jeszcze przynajmniej chwilę to on będzie tematem rozmowy.

– Musisz jeszcze, drogi Johannie, wziąć pod uwagę, że Paul zaraz w piątek rano zapytał cię, czy nie pomóc ci w fabryce. Niestety, nie udzieliłeś mu odpowiedzi. Jak twój syn ma się przygotować do przyszłej pracy z tobą, jeśli go od niej regularnie odsuwasz? Jak Paul ma się dowiedzieć czegokolwiek o produkcji tkanin, finansach i zasadach sprzedaży, jeśli nie dajesz mu na to najmniejszej szansy?

Johann Melzer przestępował z nogi na nogę, próbując coś wtrącić, ale nie śmiał wejść małżonce w słowo. We wszelkich kwestiach, które wiązały się z dobrym wychowaniem, Alicia była bardzo wrażliwa, i często musiał słuchać, że niestety widać, że pochodzi z mieszczańskiego domu.

– Próbowałem, Bóg mi świadkiem – wtrącił w końcu, korzystając z faktu, że jego żona musiała zaczerpnąć powietrza. – Ale jeśli panicz myślał sobie, że od razu będzie odgrywał rolę dyrektora, choć wciąż jest w tym wszystkim zielony, to musi ponieść tego konsekwencje. Kto przychodzi do mojej firmy, musi wiedzieć, że najpierw powinien milczeć i się uczyć. Wymagam tego od każdego nowego pracownika, nie wyłączając mojego syna.

– Przy wszystkich pracownikach działu finansowego udzieliłeś mu reprimendy jak jakiemuś praktykantowi! – krzyknęła Alicia w przypływie matczyńskich uczuć.

To nie było sprawiedliwe. W posiadłości rodziców na Pomorzu panicz zawsze był paniczem, osobą, którą pracownicy szanowali. Nawet wtedy, gdy zupełnie pijany spadł z konia i musiał zostać wniesiony do domu.

– Alicio, on na to zasłużył – bronił się Johann. – W mojej fabryce liczy się pracowitość, a nie pochodzenie!

Alicia zacisnęła usta i zamilkła. W duchu wyrzucała sobie, że źle zaczęła tę rozmowę. Znow wszystko zostało stracone, dobrnęli dokładnie tam, gdzie kończyli wiele razy. W dodatku byli pokłóceni, a obojgu nie sprawiało to radości.

– Dzień dobry, moje panie – powiedział Johann Melzer na odchodne swoim córkom, które w milczeniu zajęły swoje miejsca. Obie usłyszały jego zamierzoną ironię.

– Wspaniałego, dobrego dnia, tato – starała się odpowiedzieć Katharina z wdziękiem.

Miała pecha. Ojciec, który zazwyczaj chętnie przyjmował jej zarty, dziś pozostawał na nie obojętny.

– Mam nadzieję, że młode państwo dobrze spało – zadrwił. – Gdybyście się nudziły w ciągu dnia, w dziale administracji stoi jeszcze kilka wolnych maszyn do pisania. Nie zaszkodzi wprawić się w sztuce pisania na maszynie, jak czyni dziś wiele młodych dziewcząt, które zarabiają na swoje utrzymanie ciężką i uczciwą pracą!

Powiedział to, żeby zranić Alicię, i udało mu się osiągnąć swój cel. Z nieczystym sumieniem życzył rodzinie „przyjemnego dnia” i wyszedł z jadalni. Przez chwilę panowała cisza. Elisabeth żuła bułeczkę z rodzynkami posmarowaną masłem, a Katharina delektowała się drugą filiżanką herbaty. Alicia sięgnęła po gazetę i udawała, że czyta „Nowinki z życia towarzyskiego”, w rzeczywistości próbowała jedynie trzymać na wodzy swoje emocje.

– Chciałybyście mi o czymś powiedzieć? – zapytała w końcu, odsuwając gazetę.

– My... my miałyśmy małą sprzeczkę – zaczęła Katharina.

– Niestety... – dodała Elisabeth. – Niestety straciłyśmy nad sobą panowanie.

Alicia popatrzyła na obie córki, które z poczuciem winy wpatrywały się w swoje talerze. Było tak, jakby czas stanął w miejscu. Czyż nie starała się wychować córek na prawdziwe damy? Czyż nie spędziły kilku lat na rekomendowanej i drogiej szwajcarskiej pensji dla panien? Dziś w nocy pokłóciły się tak jak wtedy, gdy były małymi dziewczynkami.

– O co poszło?

Elisabeth rzuciła siostrze nienawistne spojrzenie. Kitty skrzywiła się i uniosła podbródek.

– O dziadka do orzechów – powiedziała. – Tę drewnianą figurkę, którą kupiłyśmy kiedyś na jarmarku bożonarodzeniowym. Pamiętasz, mamó?

Alicia zmarszczyła czoło. To było jedno z szaleństw Kathariny. Dziadek do orzechów. Drewniana figurka w czerwono-czarnym uniformie, wykonana nieco w brytyjskim stylu. Wsadzało się orzech w jego usta i poruszało kleszczami znajdującymi się w dolnej części. Wówczas, a więc już dziesięć lat temu, mała Elisabeth zobaczyła tego drewnianego chłopca na jarmarku bożonarodzeniowym i koniecznie chciała go mieć.

– Zabrałam go z pokoju Elisabeth. Dlatego się na mnie zezłościła.

9

Hałas w halach był tak potężny, że trzeba było krzyczeć, żeby zostać usłyszonym i zrozumianym. Johann Melzer zauważył, że trzej panowie z amerykańskiej delegacji, których gościł u siebie, skrzywili twarze. Czego się spodziewali? Maszyny przędzalnicze, nazywane selfaktorami, przesuwały się w jedną stronę, żeby naciągać nici, a potem się cofały, żeby już gotowe zostały nawinięte na szpule. Proces ten powodował głośne zgrzytanie i turkot, a do tego dochodziły świst przędzonych nici i wszelkiego rodzaju odgłosy maszyn. To nie dla wrażliwych uszu, ale robotnicy do tego przywykli. A choć urządzenia nie były nowe, pracowały bez zarzutu. Pięciu robotników doglądało każdej maszyny. Mężczyzna odpowiedzialny za przędzenie stał przy głównym napędzie i regulował napięcie nici. Dwóch innych biegało zgodnie z ruchem maszyny, żeby wiązać urwane nici i pełne szpule wymieniać na puste. Pracownicy odpowiedzialni za ułożenie nici, główny i pomocniczy, musieli też pilnować, by maszyna była czysta, ponieważ w czasie pracy pokrywała się kurzem. To przede wszystkim od osoby odpowiedzialnej za przędzę zależało, jak dobrze zostanie wykonana praca i jaką wypłatę dostaną wszyscy robotnicy – mieli płacone od pełnych szpul.

– Imponujące! – krzyknął do ucha dyrektora Melzera pan Peters, który przewodniczył delegacji. – Dobre maszyny, dobrzy pracownicy!

Mówiąc to, Peters niespodziewanie zdjął kapelusz, prawdopodobnie wierzył, że wówczas jego głos stanie się donośniejszy. Znał przyzwoicie niemiecki, bo był synem emigrantów z Fryzji Wschodniej. Nazywał się wówczas Petersen i zajmując się połowem ryb, cierpiał biedę i głodował. Pozostałych dwóch mężczyzn mówiło wyłącznie w języku angielskim, ale sprawiali wrażenie, że się znają na rzeczy. Bez lęku podchodzili do huczących maszyn, żeby przypatrzeć się ich mechanice i dotknąć gotowej przędzy. Chcieli też wiedzieć, czy urządzenia są napędzane wyłącznie energią wodną.

– Dawniej tak właśnie było. Dzisiaj mamy też dwie maszyny parowe, jedna

służy do przędzenia, druga do tkania.

Melzera trochę zaskoczyło, że wydawali się pod wrażeniem jego ostatniej informacji. Tutaj, w dzielnicy przemysłowej, maszyny parowe posiadały już wszystkie fabryki, nie sądził, by był to szczególnie powód do dumy. Widząc zaś, że Peters próbuje nawiązać rozmowę również z jego pracownikami, natychmiast zaprotestował.

– Proszę, niech pan nie odrywa moich ludzi od pracy.

Peters uniósł brwi w geście dezaprobaty, ale po chwili jego rysy złagodniały. Kiedy przeszli na tył hali, gdzie znajdowały się przędzarki, zapomniał o powodzie swojego niezadowolenia. Ta technika była nowa i stosowano ją w wielu fabrykach, ale nie była jeszcze dopracowana. U Melzera natomiast funkcjonowała doskonale. Dzięki tej maszynie nici były naciągane, skręcane i nawijane za sprawą ruchu kołowego i nie dochodziło do ich przerywania. Melzer zawdzięczał technologiczną perfekcję tego urządzenia byłemu wspólnikowi, który, niestety, już nie żył.

– To jest naprawdę wielka rzecz, panie Melzer! Wspaniała! *Great!*

Peters i jego dwaj towarzysze podekscytowani stłoczyli się wokół przędzarki, pokazując palcami detale konstrukcji i wykrzykując do siebie słowa i zdania w języku angielskim. Melzer zauważył, że również jego pracownicy były poruszone i rzucały w jego stronę pytające spojrzenia. Majster Huntzinger spoglądał podejrzliwie na mężczyzn ubranych na czarno i kilka razy przyglądał ogromne wąsy, co oznaczało, że jest niezadowolony.

Melzer skinął do niego uspokajająco. Panowie już kilka tygodni temu telegramem zapowiedzieli swoje przybycie jako delegacja z Cotton Textiles Ltd z Nowego Jorku i poprosili o wyznaczenie terminu. Chodziło o nawiązanie wielostronnych stosunków handlowych. Oni byli zainteresowani satyną bawełnianą i adamaszkiem, a sami oferowali cenną surową bawełnę. Dał do zrozumienia Huntzingerowi, żeby poprosił panów na bok, bo ich obecność utrudniała pracownikom wymienianie szpul. Majster ujął więc Petersa w przyjaznym geście za ramię i powiedział:

– Pójdziemy teraz do innych hal. Tam są tkane materiały!

– Ach tak, tak. Oczywiście.

Kiedy mężczyźni wyszli na zewnątrz, cisza opadła na nich jak zasłona tłumiąca dźwięki. Było to dziwne uczucie zdrętwienia w uszach, a Melzer od jakiegoś czasu słyszał również głośnie dzwonienie, które ustawało dopiero po dłuższej chwili. Dziś nie było jednak czasu, by chronić się przed głośnymi

dźwiękami. Mężczyźni od razu zostali sprowadzeni do hali, gdzie stały krosna i panował nie mniejszy, ogłuszający hałas. Dachy, które z zewnątrz wyglądały jak zęby ogromnej piły, od północy były przeszklone. Dzięki temu do hali nie wpadały bezpośrednio promienie słoneczne, tak że we wnętrzu panowało jednolite dzienne oświetlenie. Wszędzie witano Melzera w służalczy sposób. Teraz, gdy szedł w towarzystwie amerykańskiej delegacji, szczególnie uderzyło go, z jaką gorliwością robotnicy zdejmują czapki, żeby życzyć panu dyrektorowi „dobrego dnia”. Również uśmiechy i skinienia kobiet miały w sobie charakter poddańczy. Nie, nie wprawiał go w niezadowolenie fakt, że pracownicy traktują go z szacunkiem. To rozumiało się samo przez się, bo ten, kto nie przestrzegał zasad, szybko lądował na ulicy. Była jednak ogromna różnica między szacunkiem a czczym pochlebstwem. Tego ostatniego wprost nie znosił.

Panowie z delegacji z wielką uwagą oglądali wyprodukowane materiały, zainteresowały ich również krosna. Dość obojętnie dotykali barchanu – tak, piękny, ale również w tym kraju będzie on coraz rzadziej kupowany. Błyszcząca satyna bawełniana, z której szyto pościel, wywołała ich ogromny podziw. To był najlepszy towar i żaden producent tekstyliów nie mógł się z Melzerem mierzyć w tej kwestii – materiał sam wręcz spływał z rąk. Trzej delegaci stali z otwartymi ustami przed krosnami, na których był tkany ten niezwykle materiał, kontrolowany poprzez karty dziurkowane. Tutaj wyrabiano obrusy z adamaszku. Kiedyś jedynie stoły bogatych i szlachetnie urodzonych okrywały takie obrusy, dzisiaj, za sprawą rozwoju przemysłowego, mogły sobie na nie pozwolić również rodziny mieszczańskie.

– Jest lepsza niż w Anglii! – krzyknął dyrektorowi do ucha Peters. – Ta maszyna jest *so easy*. Żadnych utrudnień. A działa doskonale!

– Zgadza się – udzielił krótkiej odpowiedzi Melzer.

Oni chcieli się dowiedzieć, dlaczego te maszyny w innych fabrykach tak często się psują, wywołując wściekłość i rozpacz, a u Johanna Melzera bez problemu robią to, co powinny. Pochlebiło mu to, ale nie udzielił im żadnych informacji. Przykro mu, ale sekret leży w wyrafinowanych inżynierskich sztuczkach, które stanowią tajemnicę handlową. Gdy szli przez podwórze, zwrócił uwagę gości na swój tabor. Składał się z wielu pojazdów konnych, które zawoziły materiały do najbliższej stacji przemysłowej. Posiadał też trzy automobile, których używał do własnych potrzeb. Miał bzika na punkcie tych cudów techniki, które stawały się coraz szybsze i doskonalsze. Gdyby potrafił

zapomnieć zupełnie o swoim wychowaniu, zakupiłby jeszcze kilka aut wyścigowych. Wpojono mu jednak, że nikt nie ma prawa wydawać pieniędzy na zbędne luksusy. Posiadanie trzech limuzyn mógł sam przed sobą usprawiedliwić faktem, że nie służą one wyłącznie jemu, ale korzysta z nich cała rodzina. A potrzebne są przede wszystkim jego żonie, która z powodu niepełnosprawności nie może zbyt daleko chodzić. Jedynie gdy był sam na sam z synem Paulem, obaj dawali upust męskim marzeniom. Paul nie uznawał w tym względzie ograniczeń. Wiedział, że Benz skonstruował co prawda świetny pojazd wyścigowy, ale Opel prawdopodobnie go prześcignie, należało więc kiedyś kupić i ich wynalazek.

- Czy po oprowadzaniu mogę panów zaprosić na małą przekąskę?
- Jest pan niezwykle miły, panie Melzer. Z chęcią przyjmiemy zaproszenie.
- To dla mnie zaszczyt. Nie mamy przecież w naszym pięknym Augsburgu codziennie gości zza morza.

Przygotowano białe kiełbaski i świeże precle z solą, musztardę, jaja, korniszony oraz pumpernikiel z serem. Do tego podano różne rodzaje rieslinga, lemoniadę oraz augsburskie piwo. Goście najedli się do syta, a sam Melzer zjadł jedynie kilka kiełbasek i napił się lemoniady. Poprzedniego wieczoru wypił za dużo koniaku i od rana jego żołądek szwankował, dlatego dzisiaj starał się unikać alkoholu. Wymieniono liczne uprzejmości i Peters powiedział, że fabryka zrobiła na nim ogromne wrażenie. Nie była, co prawda, tak duża, jak kilka innych w okolicy, ale za to bardzo wydajna. Piękne materiały. Świetne maszyny. Wszystko bardzo mądrze zorganizowane. Solidni pracownicy. Czy wybudował dla nich mieszkania?

Na razie nie chcieli podjąć konkretnych zobowiązań. Prawdopodobnie chcieli obejrzeć jeszcze inne fabryki na trasie po Europie. Melzer był poirytowany. Żałował straconego czasu, bo w farbiarni testowano właśnie kolorowe próbki. Zamiast być tam na miejscu, musiał wyjaśniać, że – jak większość właścicieli fabryk – przeznaczył dla pracowników kilka budynków. Zazwyczaj dwie rodziny zajmowały jeden dom z ogródkiem, w którym mogły uprawiać owoce i warzywa. Niektórzy hodowali również króliki i kozy. Oczywiście wcześniej dokładnie przemyślał, kto dostanie mieszkanie. Melzer nie cierpiał pracowników, którzy pili lub byli agresywni. Nie tolerował też nikogo, kto należał do związku zawodowego czy ruchu robotniczego. Jego ludzie tego nie potrzebowali, bo on się o nich troszczył. Zorganizował nawet przedszkole dla dzieci i wybudował dla nich łaźnię.

Po godzinach niepotrzebnej paplaniny goście wreszcie przeszli do rzeczy. Obiecali zamówić w przyszłości duże ilości satyny bawełnianej i adamaszku do produkcji obrusów. Jako przypieczętowanie umowy zaproponowali kupno przedzarki. Przeżyli ogromne rozczarowanie, gdy Melzer im odmówił. Nastąpiło potrząsanie głowami, głębokie wzdychanie, wymienianie konkurencyjnych firm z Augsburga, które z pewnością będą wiedziały, jak docenić tak ważne relacje biznesowe. Melzer był uprzejmy, ale stanowczy. Potrzebował tych maszyn i nie mógł pozwolić, by jakakolwiek opuściła jego fabrykę. Oczywiście był zainteresowany sprzedażą satyny i adamaszku, należało jedynie ustalić cenę.

– Odezwiemy się do pana...

Pożegnanie było pośpieszne i chłodne. Doświadczenie podpowiadało Melzerowi, że z tego spotkania handlowego, które początkowo wyglądało tak obiecująco, nic nie będzie. Może to i lepiej. Ci handlowcy nie wydawali mu się uczciwi.

– Niech pan tu zaraz przyjdzie! – zawołała sekretarka, nieskoordynowanymi ruchami dłoni przywołując go do siebie. – Natychmiast, panie dyrektorze!

Zatrudnił dwie sekretarki, które zajmowały się korespondencją. Nie były to młode kobiety. Nosiły okulary i mocno sznurowały gorsety pod jasnymi bluzkami, które zakładały każdego dnia. Panna Hoffmann śmiała się irytującym chichotem, ale pisała tak poprawnie, że przez piętnaście lat, które u niego przepracowała, znalazł jedynie dwa błędy w pisowni. Panna Lüders natomiast była bardzo rozsądną osobą, milczącą, pracowitą i czasami skłonną do żartów. Na początku Melzer zatrudnił dwóch młodych mężczyzn, ale szybko się zorientował, że kobiety sekretarki lepiej sobie radzą. Pracowały szybciej, były bardziej posłuszne i mógł im mniej płacić. A poza tym potrafiły wykonywać wszelkie prace domowe: robić kawę, rozpalać w piecu, dbać o rośliny czy przygotować przekąski.

Teraz Melzer wezwany przez pannę Lüders zmierzał w kierunku nowego działu, zajmującego się wzornictwem. Kobieta zawsze mówiła półgłosem i w bardzo opanowany sposób, ale gdy go tak bezpośrednio wzywała, zawsze były to sprawy niezwykle pilne. Ponadto panna Lüders miała doskonałe wyczucie, których ludzi należy zwolnić, a którzy powinni zostać w fabryce.

– Dyrektorka Sierocińca Siedmiu Męczennic czeka na pana w przedpokoju.

Melzer szedł pośpiesznie, a jego i tak marny dzisiaj nastrój pogorszył się jeszcze bardziej. Pappert. Ta chciwa kobieta zapewne zamierzała go prosić

o pieniądze. Ale dziś trafi jak kosa na kamień. Wystarczająco długo pozwolił robić z siebie głupca. Jeśli wciąż będzie go nękać swoją niemiłą obecnością, zażąda pełnego wglądu w jej księgi finansowe.

– Niech pani ją przyśle. Mam mało czasu.

– Już ją do pana kieruję, panie dyrektorze.

Podstarzała Pappert miała na sobie szary, mocno wymięty kostium, który najpewniej był uszyty na tęższą osobę, bo na niej wisiał. Kapelusz na żółto farbowanych włosach był z kolei dość mały i wyglądał jak łódka zagubiona pośród żółtych morskich fal. Jej uśmiech nie zmienił się od lat, były w nim udawane łagodność i miłosierdzie. Pappert poświęciła życie dzieciom pozbawionym rodziców. Dom, który prowadziła na przedmieściach, był wspierany finansowo przez Kościół katolicki i w zasadzie do niego należał, ale z biegiem lat dla swojej działalności dobroczynnej udało jej się pozyskać również kilku prominentnych sponsorów. Wśród nich był dyrektor Melzer.

– Szczęść Boże, mój drogi przyjacielu. – Mówiąc to, wyszła mu naprzeciw. – Nie martw się, nie będę cię odrywać od ważnych obowiązków. Poświęć mi minutę, o tyle jedynie proszę.

Melzer przełknął ślinę. Nie odpowiadało mu, że ta kobieta nazywała go „drogim przyjacielem”. Nie, odkąd zobaczył, jak naprawdę wygląda sierociniec – od środka. Przede wszystkim ta dziewczyna, zagłodzona i chora. Niewiele brakowało, a nie przeżyłaby.

– Jeśli chodzi o kolejne datki, panno Pappert, to firma znajduje się w trudnej sytuacji finansowej i dlatego, niestety...

– Ach, broń Boże, drogi przyjacielu! – przerwała mu z dobrze udawanym oburzeniem.

Co za aktorka. Zareagowała, jakby ktoś niesłusznie oskarżył ją o popełnienie zbrodni. I tak był pewien, że chce go prosić o pieniądze.

– Przychodzę tylko po to, żeby zapytać o moją małą Marie. Jak jej minął pierwszy dzień w waszym domu? Mam nadzieję... Ach, przepraszam pana, muszę usiąść. Anemia, rozumie pan. Mam nagłe zawroty głowy.

Mądrze to zaaranżowała. Zanurzyła się teraz w obitym skórą fotelu przeznaczonym dla gości i wiedział, że nie będzie mógł tak łatwo pozbyć się tej uciążliwej osoby.

– Szklanekę wody? – zapytał z konieczności.

– To by było zbyt miłe z twojej strony, drogi przyjacielu.

– Panno Hoffmann!

Pappert sięgnęła po szklankę wody sodowej i odstawiła ją bezgłośnie na biurku z drewna hebanowego. Melzer wciąż stał – nie zamierzał prowadzić tej rozmowy ani sekundy dłużej, niż to było konieczne.

– Już pani lepiej?

Sam zorientował się, że jego pytanie brzmiało bardziej jak groźba niż oznaka współczucia. Tylko panna Pappert mogła pozostać niewzruszona. Uśmiechnęła się łagodnie i podziękowała. Tak, dzięki jego trosce czuje się już lepiej.

– Co do pani pytania o Marie – odpowiedział szybko. – Z tego, co słyszałem, pracuje pilnie w kuchni i całkiem dobrze sobie radzi.

– Bogu niech będą dzięki! – krzyknęła Papper i złożyła dłonie jak do modlitwy. – Ta dziewczyna jest naprawdę zręczna...

– Co nas jednak bardzo zdziwiło – wszedł jej w słowo – to jej nędzne wyposażenie. Gospodyni, oprócz sukien i fartuchów, które zawsze przygotowujemy dla służby, musiała jej jeszcze dać buty, skarpety, a nawet bieliznę. Jak to jest możliwe?

Przebiegła Pappert chwyciła się za głowę i zaczęła zapewniać, że Marie opuściła sierociniec z pełnym wyposażeniem, z ubraniami i bielizną. Ona sama dopilnowała, żeby Marie Hofgartner wzięła ze sobą pełny tobołek...

– To co się w takim razie, pani zdaniem, stało z tymi rzeczami?

Tylko Bóg jeden to wie. Ale Marie to dziewczyna, która kieruje się własną korzyścią, a na przedmieściach jest wielu handlarzy. Ona nic takiego nie chce sugerować, Bóg jednak świadkiem, że o niczym nie wiedziała.

Melzer nie wierzył w żadne jej słowo, ale niestety niczego nie mógł jej udowodnić. Przed trzema tygodniami poinformowano go, że dziewczyna miała krwotok. Wstrząśnięty poszedł do sierocińca, żeby ją odnaleźć. Ona jednak była już w szpitalu. A skoro tam się znalazł, kazał sobie pokazać pokoje: ciemną, obskurną świetlicę, salę sypialną, w której straszliwie wiało, brudną kuchnię. Dziewczynę również obejrzał dokładnie, jej połatane ubranie, dziurawe buty, bladą twarz. Gdzie Pappert przepuszczała tak wiele pieniędzy? Na pewno nie wydawała ich na wychowanków. Czy biskup nie patrzył jej na ręce?

– Niestety, nietrudno zauważyć, że Marie Hofgartner jest dość dziwną istotą... – powiedziała Pappert ostrożnie i uśmiechnęła się uprzejmie. – Nie przystosowuje się zbyt łatwo. Jest całkiem jak jej matka...

Melzer poczuł ukłucie w okolicy serca. Małe niebieskie oczka Pappert wyrażały nieufność, choć ona wciąż uśmiechała się z udawaną życzliwością.

– Jej matka? Co też pani mówi?

– Cóż, każde dziecko ma jakąś matkę, prawda? – powiedziała Pappert takim tonem, jakby obwieszczała mu niezwykłą nowinę.

Marie była bardzo mała, gdy straciła matkę, biedne stworzenie. Ma jednak prawo dowiedzieć się czegoś o swojej rodzonej matce.

– Dobry ksiądz Leutwien i moja skromna osoba podjęliśmy wysiłki, żeby odnaleźć matkę Marie. Chcemy chociaż pokazać grób tej biednej dziewczynie. Ksiądz nie miał problemu, żeby przypomnieć sobie Luise Hofgartner. Przejrzał też księgi parafialne i nie zgadnie pan, co tam znalazł.

Melzer zbladł i teraz to on musiał się napić wody. Chyba lepiej koniaku. Irlandzkiej whisky. Tyrolskiego sznapsa gruszkowego.

– Panno Pappert, nie mam ochoty na zagadki.

Przestraszyła się, gdy podkreślił raz jeszcze, dobitnie, że jego czas faktycznie jest cenny. I że absorbuje go nieważnymi sprawami. Melzer poczuł silne pragnienie zrzucenia tej nieznośniej kobiety ze schodów aż na dziedziniec. Silnym kopniakiem.

– No już, niech pani wreszcie mówi!

– Wielebny Leutwien dowiedział się z ksiąg parafialnych zdumiewającej rzeczy, że Luise Hofgartner wzięła ślub kościelny. A jej mężem był...

– Niech pani zamilknie! Te sprawy nikogo nie powinny interesować. Czy Marie o tym wie?

Pappert jak zawsze cała była życzliwością i łagodnością, i tylko gdy się jej dokładniej przyjrzało, w jej oczach widać było znak triumfu.

– Ależ nie. Nie chcieliśmy tym obarczać biednego dziecka. A na pewno nie, dopóki nie jest jeszcze pełnoletnia. Wie tylko, że jej matka leży w grobie dla nędzarzy na cmentarzu Hermana i nie ma nagrobka.

– I co jeszcze?

– Co ma pan na myśli?

– Kto jeszcze oprócz pani i wielebnego Leutwiena o tym wie? – pytał niecierpliwie.

– Nikt. Boże broń, nie jestem przecież plotkarą, drogi przyjacielu. Może jeszcze kilka starszych osób, sąsiedzi, którzy tam wówczas mieszkali i patrzyli, jak się musi męczyć...

Czuł, że napiera na niego ciemna ściana. To uczucie czasami wracało do niego późnymi wieczorami i było bardziej niż nieprzyjemne, że został pozbawiony władzy nad samym sobą. Można je było jedynie złagodzić

alkoholem. Alkoholem i żelazną wolą.

– Zastanowię się nad darowizną dla sierocińca, pani Pappert. Może mimo wszystko znajdziemy odpowiednie rozwiązanie.

– Niech Jezus Chrystus będzie pochwalony! – ucieszyła się i z radości klasnęła w dłonie. – Wiedziałam, że nie zawiedzie pan moich niewinnych dzieci. Mam też nadzieję, że możemy kontynuować...

Przebiegła, bezwzględna szantażystka. Nikt chyba nie mógłby w niej dostrzec oznak człowieczeństwa. Potrafi poruszyć niebo i ziemię. Ta chciwa pajęczycza ma z pewnością ogromne oszczędności.

– Może pani mieć nadzieję, panno Pappert.

Kiedyś sam chciał wyjawić księdzu tę tajemnicę, bo wielebny Leutwien jest człowiekiem czystym jak łąza, który nie nadużyłby swojej wiedzy. Jako ksiądz powinien powiedzieć mu coś o sile spowiedzi i uldze płynącej z odpuszczenia grzechów. A potem podać pomocną dłoń.

Gdy Pappert po niezliczonej ilości zapewnień o swojej wielkiej wdzięczności wreszcie wstała z fotela i opuściła pokój, Alfons Dinter, młody brygadzysta z działu robienia nadruków na materiale, czekał na niego w przedpokoju.

– No i? Coś się stało? Jesteś zadowolony?

Po niespokojnym wyrazie twarzy młodego mężczyzny zorientował się od razu, że coś poszło nie tak, jak powinno.

– Nie, panie dyrektorze. Nie mogę być zadowolony. Raport jest milimetr za krótki. Maleńki kawałeczek, ale widać, gdzie wałek zaczyna robić wzór od nowa. Rozpacz bierze...

Starał się opanować. Trzy miesiące ciężkiej pracy na nic. Musiał zaczynać od nowa. Do jasnej cholery! Wcześniej nie zdarzyło się nic podobnego.

10

Marie chętnie wykonywała swoją pracę, ale nie lubiła pośpiechu. Każdemu zadaniu poświęcała odpowiednią ilość czasu, robiła wszystko dokładnie i prawidłowo, tak że coraz trudniej było jej zarzucać niezręczność i głupotę.

– Nie dało się iść wolniej? Myślałam, że do jutra rana zejdziesz ci z tym drewnem. Siadaj tu teraz i obierz jabłka.

– Natychmiast. Muszę tylko pójść do Else. Pomóc jej z zasłonami.

– Niech sobie wsadzi do nosa te swoje zasłony!

– A później muszę pójść z wiadrem i łopatką do węgla do Auguste.

– Jeśli nie wrócisz tu w podskokach w ciągu pięciu minut, osobiście przyciągnę cię za włosy do kuchni. A im pokażę, co się dzieje, gdy podbiera mi się moją pomoc kuchenną...

– Zaraz będę z powrotem.

Pobiegła schodami dla służby na pierwsze piętro i przemknęła korytarzem, którego podłogę pokrywał zielony miękki dywan. Tylko gdzie jest biblioteka? Zaczęła nasłuchiwać. Po lewej stronie znajdowała się jadalnia, w której jedli teraz państwo i ich dwie córki. Nie było słychać męskiego głosu. Łaskawy pan albo był dziś bardzo milczący, albo wyszedł już do fabryki. Tuż obok był czerwony salon, a po drugiej stronie pokój dla mężczyzn i gabinet szanownego pana. Biblioteka musi się więc znajdować po lewej stronie, zaraz przy wejściu do czerwonego salonu. Ostrożnie przyłożyła ucho do kasetonowych drzwi, lakierowanych na biało – usłyszała odgłosy szurania. Else wieszała zasłony na metalowych prętach, a szuranie wywoływały pierścienie, przesuwane po prętach, na których wieszano materiał. Miała więc rację.

– Ach, to dopiero zabawne!

Marie odwróciła się przestraszona. Za nią stała jedna z łaskawych pańienek, która najwyraźniej opuściła jadalnię.

– Ja... ja chciałam tylko...

– Podsłuchiwać pod drzwiami, prawda?

– Nie, ja chciałam tylko wiedzieć, czy to jest biblioteka.

Panienka zaczęła się śmiać. Krótko i szyderczo.

– Chciałaś usłyszeć, jak się poruszają książki, co? To najdziwniejsza wymówka, jaką kiedykolwiek usłyszałam.

Miała blond włosy i ubrana była w luźną różową sukienkę poranną, bogato obszytą koronką. Prawdopodobnie była dość pulchna, jak można było sądzić po jej drugim podbródku.

– Ależ nie, łaskawa panienko. Chciałam tylko sprawdzić, czy Else wiesz zaszłony. Dlatego nasłuchiwałam. Żeby nie wejść przez pomyłkę do niewłaściwego pokoju i żeby nikomu nie przeszkadzać.

Jej dokładne wyjaśnienie spowodowało, że panienka pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Ty jesteś tą nową pomocą kuchenną, prawda?

– Tak, łaskawa panienko. Nazywam się Marie.

Zrobiła niewielki dyg i poczuła się bardzo szczęśliwa, że ma na sobie nową flanelową sukienkę. Robiła w niej na pewno lepsze wrażenie niż w podartej spódnicy z sierocińca.

– Posłuchaj, Marie. Jeśli jeszcze raz złapię cię na podsłuchiwanie, postaram się, żebyś od razu została zwolniona. Rozumiemy się?

– Tak, łaskawa panienko.

Młoda dama chwyciła brzeg porannej sukni i elegancko obróciła się w miejscu. Zwiewny materiał poruszył się za nią lekko i wyglądał jak różowa chmurka.

– A teraz do pracy – krzyknęła panienka przez ramię. – No już, szybko, mały leniu!

Nie widziała już pokornego ukłonu Marie. Marie zobaczyła natomiast łydkę łaskawej panienki, którą odsłonił na jedną cenną chwilę falujący materiał. Była gruba i biała jak larwa.

Nie jest ani odrobinę ładna, myślała, gdy zносиła kosz pełen zakurzonych zasłon do pralni. A mimo to znajdzie sobie bogatego męża, bo jest córką właściciela fabryki, Melzera.

Musiała trzy razy schodzić z pełnym koszem do pralni i przy tym bardzo uważać, żeby na wąskiej klatce schodowej nie dotknąć ręką bielonej ściany. Gdy szła czwarty raz napełnić zasłonami kosz, natknęła się na Auguste.

– Tutaj się podziewasz! Weź szczotkę i szufelkę. I jeszcze łopatkę do węgla. No, już! Nie śpij!

Poszła na drugie piętro, gdzie Auguste porządkowała sypialnię państwa. Była to praca, którą zazwyczaj wykonywała razem z Else, ale ta musiała powiesić zasłony i mogła pomóc dopiero za jakiś czas.

– Spójrz tylko, jaki tu bałagan! – mruzczała pod nosem Auguste.

To w tym pokoju w nocy musiało dojść do poważnej kłótni. Marie przezornie stała na progu i patrzyła, jak Auguste podchodzi do okna. Kroczyła niczym bocian, uważając, żeby nie nadepnąć na któryś z przedmiotów walających się po podłodze. Gdy rozsunęła zasłony na boki i uchyliła jedno z okiennych skrzydeł, zobaczyły bieliznę leżącą między skrawkami papieru, pędzelkami, tubkami i ołówkami.

– Co tak stoisz? Chcesz tu zakwitnąć? Wrzucaj te śmieci do wiadra. Nic z tego już się nie przyda. Co za marnotrawstwo. Każda z tych rzeczy kosztowała na pewno dużo pieniędzy.

Auguste zapomniała, że jest obrażona na Marie. Potrzebowała słuchaczki, żeby wyrzucić z siebie złe emocje, inaczej chyba by pękła od tego straszego bałaganu. Święta Panienko! To te białe figurki, które panienka kazała sobie przysłać z Włoch. Strasznie nieprzyzwoite rzeczy, nagie kobiety i nadzy mężczyźni we wszelkich możliwych pozach. Dziwne, że rodzice jej na to pozwalają, skoro jest dobrze wychowaną młodą damą. Wszystkie teraz były rozbite i to akurat dobrze. Marie tak nie uważała. Z podziwem zbierała te białe kawałki. Niektóre faktycznie były już nie do uratowania, ale sporo gipsowych części da się posklejać.

– Łaskawa panienka Elisabeth musiała mieć w sobie straszną złość – gadała Auguste. – Nic dziwnego. Else widziała, jak porucznik klęczał przed panienką Kathariną. Byli w czerwonym salonie. Zupełnie sami.

Auguste potrząsnęła kołdrą, na której leżały skrawki papieru i węgielki do rysowania. Z westchnieniem popatrzyła na pobrudzoną węglem pościel i zdecydowała, że musi powlec nową.

– Pozbieraj te wszystkie węgielki! Mogą być jeszcze potrzebne. I połóż na stoliku obok sztalugi!

Marie zatopiła wzrok w jednym z podartych rysunków. Był to ogród z ozdobnym płotem. W tle delikatnie naszkicowane krzewy, drzewa, łąka. Brama i prawa część rysunku były oderwane. Jaka szkoda. Odłożyła kartkę na bok i posłusznie wykonywała polecenia Auguste. Rysowanie. Wspaniała sztuka. Tylko kto ma tyle papieru i innych przyborów? I kto przez cały dzień nie musi nic robić, tylko rysować? Ach, jak bardzo można było zazdrościć

panience Katharinie!

11

Około godziny jedenastej jakiś jeździec stanął przed wjazdem do posiadłości. Stary ogrodnik Bliefert, który właśnie przycinał krzewy różane, odrzucił sekator, żeby otworzyć bramę i wpuścić konia z przybyłym gościem. Był to porucznik, a jeśli stare oczy go nie myliły, ten sam, który bywał gościem w willi dość często.

– Przywiąż go gdziekolwiek. Nie zostanę tu długo.

– Oczywiście, łaskawy panie.

Bliefert ukłonił się tak głęboko, jak w czasach jego młodości nauczyła go pani. On również przyjechał z Alicią von Maydorn z Pomorza do Augsburga. Wtedy uczono jeszcze szacunku należnego państwu. A tutaj, w tym kraju, też są jeszcze państwo, porządni ludzie, którzy zasługują na szacunek. Natomiast ten młody dorobkiewicz nawet na niego nie spojrział, rzucił mu wodze i pobiegł w stronę willi. Jakże się śpieszył! Biegł tak szybko, jakby goniły go dzikie bestie.

Auguste również starała się nadać swojemu ukłonowi szczególny wyraz, gdy otwierała drzwi. Smukły porucznik już dawno ją oczarował, taki szczupły i silny, z czerwonymi ustami i błyszczącymi oczami. I ten mundur, który był jakby dla niego stworzony.

– Klaus von Hagemann. Wiem, że przychodzę niezapowiedziany. Bardzo proszę panią Melzer o krótką rozmowę.

Jakże blady był ten mężczyzna! Nie było śladu po czerwieni na ustach, sprawiał wrażenie, jakby miał za sobą bezsenność.

– Gdyby mógł pan usiąść i poczekać chwilę...

Szła z nim przez korytarz i schody, które prowadziły do pokoju gościnnego. Pokój był urządony w stylu kolonialnym, stały tam ciemne meble i rośliny w doniczkach, które dopełniały widoku. Później Auguste szybko pobiegła na górę, a jej serce biło jak młotem – przecież troszczyła się właśnie o młodego porucznika. Tylko gdzie mogła być łaskawa pani? W jadalni było już od dawna

posprzątane, czy była więc w bibliotece, żeby dopilnować ustawienia krzeseł? Nie, jej głos dochodził z czerwonego salonu. Mimo pośpiechu Auguste postanowiła, że chwilę postoi pod drzwiami i będzie nasłuchiwać. Przecież nie chciała wejść w sam środek intymnej, rodzinnej rozmowy.

– Elisabeth, oczekuję od ciebie więcej samodyscypliny. Jesteś starsza i powinnaś trzymać emocje na wodzy. Doskonale wiesz, że Katharina ma słabe nerwy...

– Tak, mam.

– To, co się działo dzisiejszej nocy w pokoju Kathariny, jest niedopuszczalne. Powinnyście się wstydzić przed służbą, która musiała słyszeć tę waszą bitwę.

– Tak, mam.

– Jeśli jeszcze raz dojdzie do tego typu kłótni, będę musiała pomyśleć o tym, żeby was rozdzielić. Kilka miesięcy w posiadłości dziadków na Pomorzu dobrze ci zrobi.

W głosie panienki słyhać było blade przerażenie. Na Pomorzu musiało być śmiertelnie nudno. To było miejsce, gdzie diabeł mówi dobranoc.

– Co? Teraz, gdy zaczyna się sezon balowy? Nie zrobiłabyś mi tego, mam...

– Nie, dopóki moje dziewczęta będą się wobec siebie przyjaźnie zachowywać.

– Ale dlaczego właśnie ja? Dlaczego Kathariny nie wyślesz na Pomorze?

Och, to było z pewnością złe zagranie. Teraz łaskawa pani wybuchnie złością. Zawsze obrywa się Elisabeth za takie słowa.

– Dlatego że Katharina jest w tym roku debiutantką, a ty pokazujesz się już od dwóch lat. Liso, a teraz nie chcę słyszeć ani słowa więcej.

Auguste uznała, że nadszedł dobry moment, żeby ostrożnie uchylić drzwi i zapowiedzieć porucznika. Łaskawa pani spojrzała na nią nieco poirytowana, a na twarzy panienki malowała się prawdziwa wściekłość.

– Porucznik von Hagemann? – zapytała łaskawa pani już spokojnym głosem, a na jej twarzy pojawił się nawet uśmiech. – Poproś go.

Auguste zamknęła drzwi i poszła w stronę schodów. Usłyszała jeszcze, jak łaskawa pani powiedziała z zadowoleniem:

– Jaka miła niespodzianka. Czy przypadkiem czegoś przede mną nie ukrywasz, Liso?

– Mam, to... to nie jest tak, jak myślisz...

Auguste nie słyszała już, co pani Melzer odpowiedziała córce. W holu na dole porucznik chodził między roślinami posadzonymi w donicach w tę i z powrotem jak tygrys w klatce.

– Pani Melzer pana prosi.

Auguste pokonywała schody po dwa stopnie. Potem dygnęła raz jeszcze, otwierając drzwi do salonu, i posłała mu swój najpiękniejszy uśmiech, ale on nawet go nie zauważył. Mimo to życzyła mu wszystkiego, co najlepsze.

Alicia tymczasem poszła najpierw do jadalni, każąc czekać na siebie młodemu mężczyźnie kilka minut, po pierwsze, by zwiększyć napięcie oczekiwania, po drugie, dlatego że przyszedł bez zapowiedzi, więc nie powinien sądzić, że nikt tu nie ma nic innego do roboty. Siedział na poręczy krzesła i podniósł się natychmiast, gdy weszła do pokoju. Chciała od razu wy badać jego intencje, ale stwierdziła jedynie, że jest blady i z pewnością nie spał w nocy.

– Niech mi łaskawa pani wybaczy to nagłe najście...

Pocałował ją w rękę i poczuła wówczas, że jego palce były lodowate.

– Rzeczywiście jestem zaskoczona, poruczniku von Hagemann. Ale ponieważ sama chciałabym panu zadać kilka pytań, pana wizyta jest mi bardzo na rękę. Niech pan usiądzie. Podać panu herbatę albo kawę?

Odmówił i ku jej zdumieniu zaczął chodzić po pokoju, ciężko oddychając i poruszając ramionami. Wreszcie stanął przed nią i spojrzał w jej oczy tak błędnym wzrokiem, że poczuła się poruszona.

– Niech mi pani wybaczy, łaskawa pani. Myśli pani zapewne, że pojawiam się tu jak jakiś szaleniec, i muszę przyznać, że od tamtego wieczoru sam już siebie nie poznaję.

– Na Boga, niech się pan uspokoi!

– Niech pani mi pomoże, błagam panią! Jeśli mi pani nie pomoże, to nie wiem, co zrobię...

Alicia w swojej młodości doświadczyła wielu tego typu rodzinnych zawirowań, zwłaszcza jej lekkomyślni bracia inscenizowali podobne wystąpienia, zazwyczaj gdy chodziło o pieniądze. Straciła więc natychmiast zrozumienie dla jego emocji i energicznie zaczęła napominać młodego mężczyznę, żeby wziął się w garść. W przeciwnym razie będzie musiała go prosić o opuszczenie jej domu. Upomnienie podziałało w okamgnieniu, porucznik się opanował. Wziął głęboki oddech i zaczął mówić cichym, ale stanowczym głosem.

– Wczoraj wieczorem miałem czelność pójść za pani córką do tego pokoju. Mieliśmy okazję być tutaj przez kilka minut sami, ale przysięgam, że ani nie wykorzystałem w żaden sposób tej sytuacji, ani nie przyprowadziłem jej tutaj z niecnych pobudek. Wręcz odwrotnie...

– Jestem oburzona, panie poruczniku! Zawiódł pan zaufanie moje i mojego męża, nadużył pan naszej gościnności!

– Łaskawa pani – przerwał jej zdenerwowany. – Ja się oświadczyłem pani córce. I nie sądzę, żeby połączenie naszych rodzin mogło wyrządzić cokolwiek złego. Chciałem jednak moją propozycję złożyć swojej wybrance, rozmawiając z nią w cztery oczy. Tak, by od niej usłyszeć, czy zechciałaby być moja.

Alicia spojrzała podejrzliwie na zdenerwowanego młodego mężczyznę. Elisabeth nic jej nie powiedziała na ten temat.

– I? jaka była odpowiedź mojej córki?

Westchnął głęboko i wzruszył ramionami w geście bezradności.

– Właśnie w tym rzecz, łaskawa pani, że nie dała mi żadnej. Nie powiedziała ani jednego słowa, nie kiwnęła głową, nic. A potem zostaliśmy rozdzieleni.

– To zrozumiałe – przytaknęła. – Pewnie moja gospodyni odegrała swoją rolę.

– Nie, to była pani córka Elisabeth – wyznał ze skruchą. – Ogromnie kłopotliwa sytuacja, jak z pewnością może sobie pani wyobrazić.

Alicia patrzyła na tego młodego człowieka ze zdumioną miną. Co to za brednie? Czy z tego to powodu przyszedł tu pijany?

– Elisabeth? Nic z tego nie rozumiem, poruczniku von Hagemann. Czy nie powiedział pan właśnie, że złożył mojej córce Elisabeth propozycję małżeństwa?

Potrząsnął głową i wykonał rękami rozpaczliwy gest.

– Ależ nie, łaskawa pani. Ja mówiłem o pani młodszej córce, Katharinie.

Teraz wreszcie zasłona spadła z oczu pani Melzer. Kłótnia dziewcząt wczorajszej nocy. Nienawiść Elisabeth do siostry, to dziwne zachowanie właśnie teraz. Wszyscy święci! To była trudna sytuacja. Jeszcze gorzej jednak Alicia się poczuła dlatego, że Elisabeth nie okazała jej zaufania.

– Łaskawa pani, proszę panią o pomoc – błagał porucznik, z powodu zdenerwowania zupełnie zapominając o uczuciach swojej rozmówczyni. – Niech pani porozmawia z Kathariną. Jestem gotów zaakceptować każdy

wyrok, jaki od niej dostanę, nawet jeśli poniosę porażkę. Nie zniosę jednak dłużej tej niepewności. Za kilka dni muszę wrócić do pułku...

– Rozumiem...

– Czy nie mógłbym choć przez chwilę porozmawiać z pani córką?

– Przykro mi!

Zrezygnowany opuścił ręce. Co za młody furiat, pomyślała Alicia. Miał jeszcze mleko pod nosem, a już dawał się innym we znaki. Tak mawiał jej ojciec. O tych wszystkich porywczym młodych chłopcach, którzy swego czasu często odwiedzali ich posiadłości na Pomorzu. Tylko że oni nigdy nie składali jej, Alicii von Maydorn, propozycji zamążpójścia. Niestety.

– Mój drogi, młody przyjacielu. Pozwól mi, proszę, jako matce syna i dwóch córek, dać ci przyjacielską, matczyną radę. Przede wszystkim pana przedsięwzięcie, jakkolwiek z pewnością bardzo honorowe, wydaje mi się zbyt pochopne. Katharina nie ma jeszcze osiemnastu lat, tej zimy jest zaledwie debiutantką...

– To jest właśnie to, co mnie martwi, łaskawa pani – przerwał jej nie mniej zdenerwowany niż wcześniej. – Jeśli niebawem Katharina będzie królową balów i wszyscy młodzi mężczyźni padną jej do stóp, czy będzie potrafiła rozpoznać, kto naprawdę poważnie i uczciwie o niej myśli? Czy nie ulegnie jakimś fałszywym sugestiom lub lekkomyślnym obietnicom, dawanym...

Znów wszystko było w rękach Alicii. Skoro sprawy przybrały tak niepomysłny obrót dla Elisabeth, tym bardziej musiała pomyśleć o dobru rodziny.

– W tej kwestii może mi pan zupełnie zaufać, poruczniku von Hagemann. Mówiąc wprost: mnie również połączenie naszych rodzin wydaje się bardzo dobrym posunięciem. Jestem też przekonana, że dla mojej córki byłby pan mężem troskliwym i pełnym zrozumienia.

Mężczyzna wprost emanował teraz szczęściem.

– Łaskawa, pani, doprawdy nie wiem, co powinienem powiedzieć. Gdyby tylko Katharina dała mi jakiś znak. Mrugnęła oczami. Uśmiechnęła się. Napisała coś...

Alicia się zastanowiła. Kilka słów Kitty faktycznie mogłaby do niego napisać. Żadnych deklaracji, oczywiście. Po prostu kilka miłych uprzejmości.

– Poruczniku, proszę dać mojej córce trochę czasu. I sobie również. Zatroszczę się o to, żeby pan dostał od Kathariny jakiś znak. Ale to nie stanie się natychmiast. Proszę zrozumieć, moja córka musi najpierw przezwyciężyć

dziewczęcy wstyd, zanim przyzna się sama przed sobą do pewnych rzeczy i zrozumie swoją powinność.

– Jest pani taka dobra, łaskawa pani. Obiecuję cierpliwie czekać na list. Proszę jednak pamiętać, że każda sekunda, która mija, jest jak płonąca strzała wbijająca się w moją duszę.

– Postaram się wziąć to pod uwagę, młody człowieku.

Tym zdaniem zakończyła się ich rozmowa. Niczego więcej porucznik nie był w stanie osiągnąć w tej chwili. Alicia i tak obiecała już prawdopodobnie więcej, niż mogła spełnić. Gdyby tylko Kitty nie była taką niepoprawną marzycielką. Odrobina pragmatycznego podejścia Elisabeth dobrze by jej zrobiła. Na pożegnanie Alicia podała Klausowi von Hagemannowi rękę, a on złożył na niej wręcz żołnierski pocałunek. Niestety, w większym stopniu powodowany był on dobrym wychowaniem niż prawdziwym uczuciem. Ale przecież Alicia to nie Kitty.

Robert wszedł do jadalni ze srebrną tacą. Miał za zadanie wziąć z kredensu szklanki do kawy i herbaty i zanieść je do biblioteki, gdzie przygotowywano wieczorne przyjęcie. Gdy zobaczył łaskawą panienkę Elisabeth zaglądającą przez szparę w drzwiach łączących jadalnię z czerwonym salonem, chrząknął uprzejmie, tak by wiedziała, że wchodzi.

– Nie może pan pukać? – rzuciła.

Zabolało ją, że akurat Robert nakrył ją na podsłuchiwanie. Z drugiej jednak strony, dlaczego niby źle, że akurat Robert? Właściwie pojawił się w samą porę.

– Proszę o wybaczenie, łaskawa panienko.

Poczekala, aż postawi tacę na stole. Potem przeszła koło niego i stanęła tak, żeby znaleźć się dokładnie naprzeciwko. Oparła na blacie dłonie, dzięki czemu uwidocznili się jej pełny dekolt.

– Chciałby pan wiedzieć, czego dotyczą trwające tam negocjacje?

Trzepotała rzęsami, a jego wzrok powędrował oczywiście na jej piersi. Nic dziwnego, przecież był mężczyzną. Zmusił się jednak, by po chwili odwrócić oczy.

– Nie wypada mi tego wiedzieć, łaskawa panienko.

Pochyliła się jeszcze bardziej i posłała mu złośliwy uśmiech. Miał bzika na punkcie jej siostry, podobnie jak reszta mężczyzn. A mimo to gapił się w jej dekolt. No proszę!

– Mimo to panu powiem. Moja matka zgadza się na małżeństwo porucznika

von Hagemanna z moją siostrą. Co pan na to?

Natychmiast pobladł, jego usta zrobiły się wręcz sine. Biedny łajdak, nie potrafił nawet udawać. Każdy w posiadłości, kto nie był ślepy albo głuchy, wiedział, że szofer był szaleńczo zakochany w Kitty. Robert nie miał najmniejszych szans i cierpiał z tego powodu jak pies. Potrafiła nawet do pewnego stopnia mu współczuć, ale w przeciwieństwie do niego miała środki i możliwości, żeby powalczyć o swoje marzenia.

– To... to mnie nie dotyczy, łaskawa panienko.

– Och, ja widzę to zupełnie inaczej – powiedziała z przekonaniem. – Los mojej biednej siostry dotyczy nas wszystkich. Mnie również. Nie możemy przecież dopuścić, żeby związała się z mężczyzną, z którym nie będzie szczęśliwa.

Milczał i patrzył prosto na nią. Czuł, że jego ciało zaczyna drżeć, ale nie dał tego po sobie poznać.

– Pomoże mi pan? – zapytała.

– Nie wiem, jak mógłbym...

Zamilkli, bo usłyszeli zamknięcie drzwi w pokoju obok. Rozmowa między jej matką i porucznikiem była zakończona, mężczyzna opuścił willę.

– To całkiem proste – wyszeptała Elisabeth.

Robert nic nie odpowiedział, drżał mu podbródek. Cokolwiek by mu teraz zaproponowała, jeśli weźmie w tym udział, zaryzykuje swoją posadę. Swoją posadę i swoją przyszłość.

– Zanosisz listy na pocztę, prawda?

– Tak, łaskawa panienko.

Jej uśmiech wyrażał teraz poczucie zwycięstwa, a w prawym i lewym policzku zrobiły się dołeczki.

– Musisz jedynie zamienić ze sobą dwa listy. Nic więcej.

12

Można by przypuszczać, że damy towarzystwa dobroczynnego poszczą całymi tygodniami! Tymczasem przekąski i wyszukane przystawki wzbudziły szczere uznanie. Gdy tylko zaproszony gość skończył przemówienie, jak przekazała Else, panie natychmiast dobrały się do smakołyków. W czasie wykładu podawano kawę, herbatę i wino, żeby podtrzymać zainteresowanie zgromadzonych kobiet. Wypito również ogromne ilości napojów.

– Ale teraz wreszcie koniec – powiedziała kucharka, stawiając na kuchni ostatnią pięknie przyozdobioną paterę. – Ozorki się skończyły, kurze jaja też wszystkie zjedzono, a tego dobrego kawioru za bardzo mi szkoda. Teraz podamy wyłącznie kawałki szynki z kiszonymi ogórkami.

– Wszystko jedno, co teraz postawisz na stole. Większość z nich tak już sobie podchmieliła, że żarłaby nawet suchy chleb.

– Auguste! – upomniała ją Else, która właśnie stawiała dwa dzbanki z kawą na małej windzie do przewożenia jedzenia. – Uważaj, żeby Schmalzler tego nie usłyszała!

– Ale to przecież prawda – warknęła Auguste. – Dwa kieliszki zostały przewrócone i wino wylało się oczywiście nie na dywan, tylko na sofę. Pani dyrektorowa Gutwald upuściła talerz z trzema przekąskami z kawiozem, a pani doktorowa Lüderitz, która źle widzi, w niego weszła. Czarny kawior został wdeptany w dywan...

– Jak się pomyśli o tym, że te panie zebrały się po to, żeby pomóc głodującym murzyńskim dzieciom w Afryce...

Marie, która bez przerwy wydawała kawę i herbatę i myła naczynia, usiadła wreszcie bez tchu na stołku koło pieca. Auguste zazwyczaj mówiła, co prawda, wiele bzdur, ale to, co powiedziała tym razem, było bardzo trafne. Marie zresztą znała tego typu spotkania z sierocińca. Pappert ciągle zapraszała darczyńców i patronów na tak zwane kolorowe wieczorki. Kuchnia była wtedy pełna wyszukanych smakołyków, były ciasta i kawa, było też oczywiście wiele

falszywego podlizywania się i – co najgorsze ze wszystkiego – niektórzy uczniowie musieli przygotować małe przedstawienie dla gości, najlepiej recytować wiersze albo śpiewać piosenki. Ach, jakże były urocze te małe niewinne sierotki, ładnie ubrane. Oczywiście nie trzeba dodawać, że ubrania były wyczarowane wyłącznie na to popołudnie i znikwały już tego samego wieczoru. Wszyscy zainteresowani, oprócz samych dzieci, bawili się jednak wybornie.

– Co z tobą, Marie? – warknęła kucharka. – Odpoczywać możesz później. Teraz bierz się do zmywania i bardzo uważaj na te talerze z dobrej porcelany.

Z czasem się dowiedziała: filizanka od dobrego kompletu kosztowała dwadzieścia marek, talerz nawet dwadzieścia pięć. Dzbanek był bezcenny, jeśli go zniszczy, do końca życia będzie przymusowym pracownikiem Melzerów. Marie ziewała. Było koło dziewiątej, a ona już była śmiertelnie zmęczona.

– Przy tym nie będziesz się nudzić. Tutaj! Umyj to w wodzie z mydłem i rozwieś na sznurku.

Jordan wykorzystywała nieobecność żony i córek Melzera, żeby przejrzeć ich garderobę. Zawsze było coś do naprawienia. Tutaj pękł szew, tam trzeba było wyprasować bluzkę. Albo odkrywała płamę, której nikt wcześniej nie zauważył. Nie wspominając już o bieliźnie, która była codziennie zmieniana. Większe kawałki – obrusy i pościel – były znoszone do pralni, dwa razy w tygodniu do willi przychodziły praczki. Zdarzało się jednak, że niektóre ubrania musiały zostać wyczyszczone z dnia na dzień. Tak jak ta delikatna batystowa bluzka łaskawej pani. Była często używana i nieco już sprana, a ponadto miała brzydką ciemnobrązową plamę na lewym mankiecie. Prawdopodobnie kawa. Albo herbata, którą piła z cytryną. Marie wiedziała doskonale, że równie dobrze Jordan mogłaby sama uprać tę bluzkę. Tymczasem siedziała w kuchni i narzekała, ile to ona ma do zrobienia. Zaczyna się sezon balów, a na panienkę Elisabeth nie pasuje żadna z jej sukienek. Może łaskawa pani poleci uszyć dla niej jedną lub dwie suknie balowe, choć w tym roku to panienka Katharina musi dostać nowe stroje. Nawet dobrze sytuowani właściciele fabryki muszą kontrolować wydatki. Tę jedwabną w kolorze brudnego różu z pomocą krawcowej może sama mogłaby przerobić.

– A co się stało z resztą sukien? – zapytała Auguste z tęsknotą w oczach. – Z zieloną z ałtasu i tą w kolorze kremowym z delikatną koronką? Ach, ta była piękna jak suknia ślubna!

Maria Jordan dobrze wiedziała, co Auguste chodzi po głowie. Co jakiś czas łaskawa pani dawała służbie znoszoną odzież. Ale o ile znała panienkę Elisabeth, wiedziała, że nie zgodzi się, by pokojówka nosiła jej suknię balową.

– Chcesz wyjść za mąż, Auguste? – zakpiła. – Masz jakiegoś kandydata na męża? Może jednak Roberta?

Wszyscy śmiali się z żartu Jordan, tylko Auguste była czerwona ze złości i nazwała ją „głupią”. Powinna lepiej pilnować swojego nosa. Marie oczekiwała, że te dwie rzucą się na siebie, ale niestety się rozczarowała. W drzwiach zjawiała się gospodyni i klasnęła w dłonie. Niektóre panie już się żegnały i samochody podjeżdżały po nie pod posiadłość. Auguste i Else pośpiesznie wydawały gościom płaszcze i ochraniacze na obuwie, Robert natomiast stanął przed wejściem z dużym czarnym parasolem, pod którym zmieściłaby się czteroosobowa rodzina. Marie wytarła mokre ręce o fartuch i pobiegła za Auguste i Else, oczywiście nie do holu, tam nie miała czego szukać, ale od razu do drzwi. Były uchylone, mogła więc przynajmniej rzucić okiem na wytworne damy, okryte teraz ciepłymi kurtkami i płaszcami, z kapeluszami z szerokim rondem nałożonymi na elegancko uczesane włosy. Jakże wszyscy byli podekscytowani! Jak się obejmowali i całowali! Również ksiądz, który wygłosił mowę, znalazł się wśród obdarowywanych życzeniami szczęścia. Dwie starsze panie ośmieliły się nawet go uściskać. Ucałowany jednak nie został.

Czy ten mężczyzna z ciemną brodą i krzaczastymi brwiami to dyrektor Melzer? Nie widziała go jeszcze ani razu, ale to musiał być on. Żegnał jedną z młodych kobiet. Gdy mówił coś do niej, uśmiechał się nieśmiało i przytakiwał. Jakie to dziwne, że tak potężny i bogaty człowiek jest jednocześnie tak mało pewny siebie. Choć chyba nie w swojej fabryce, tam zachowuje się zupełnie inaczej.

– Co tu tak stoisz i się gapisz? Wracaj do pracy!

Jak na ironię przyłapała ją Maria Jordan. Ta kobieta miała sokoli wzrok. Trzeba się jej było wystrzegać jak piekła.

Około dziesiątej kucharka, Auguste i Else poszły do łóżek. Jordan musiała zostać dłużej, aby pomóc łaskawej pani i jej córkom przy zdejmowaniu ubrań. Panna Schmalzler wyszła z pokoju łaskawej pani około wpół do jedenastej, bo musiała z nią omówić harmonogram na następny dzień. Zajrzała do kuchni, gdzie Marie myła jeszcze naczynia. Powiedziała, że martwi się o Roberta. Ten

głupiec wymknął się na nocny spacer, a przy tej pogodzie to istne szaleństwo. Marie wzruszyła ramionami.

– Dobrej nocy, Marie. Zostaw czyste naczynia na stole. Robert powkłada je jutro do kredensu. I zanim pójdziesz spać, sprawdź, czy tutaj na dole wszystkie okna są zamknięte.

– Tak, panno Schmalzler. Pani też życzę dobrej nocy.

Już prawie skończyła. Jeszcze tylko musiała wytrzeć do sucha dwa talerze i kilka filiżanek oraz wypolerować srebrne łyżeczki. Gdyby nie musiała prać tej głupiej bluzki, za pół godziny byłaby w łóżku. Pochyliła się, żeby wyciągnąć z półki świeży kuchenny obrus, rozłożyła go i chciała wrócić do czyszczenia sreber.

– Dobry wieczór.

Marie omal nie zemdląła ze strachu, bo w drzwiach do kuchni stała łaskawa panienska.

– Przepraszam, nie chciałam cię przestraszyć – powiedziała Katharina. – Dobrze wiem, że właściwie nie powinno mnie być tutaj na dole.

Marie przełknęła ślinę, trzymając kurczowo brzeg rozłożonego kuchennego obrusu. Kuchnia była przestrzenią przeznaczoną niemal wyłącznie dla służby, państwo pojawiali się tutaj niezwykle rzadko.

Łaskawa panienska miała na sobie biały szlafrok, pod którym najpewniej była koszula nocna. Szlafrok był uszyty z delikatnego szyfonu, który produkowano jedynie w kilku fabrykach. Krój był zupełnie prosty, bez ozdób, koronek, ale mimo to łaskawa panienska wydała się Marie piękna niczym królowa.

– Ty jesteś Marie, prawda? Nowa pomoc kuchenna?

Gardło Marie było jak zasznurowane. Nie potrafiła wydać z siebie dźwięku. Pokiwała jedynie głową i zwinęła palec w obrus kuchenny. Panienska weszła do kuchni. Poruszała się dziwnie, jak lunatyczka. Stawiała stopy, jakby nie wiedziała dokładnie, gdzie chce pójść. Mówiono o niej, że nie może spać w nocy. Czy chodzi teraz we śnie? Jakie ma piękne włosy! Kasztanowe, mieniące się gdzieniegdzie na czerwono i rudo. Jakie są miękkie i tworzą cudowne loki, opadające na plecy gęstą falą. I oczy. Przed wszystkim oczy. Głęboko niebieskie. Niebieskie jak morze. Niebieskie jak niebo w gorący letni dzień, gdy się wierzy, że daleko przed sobą można zobaczyć koniec świata.

– Zaraz cię rozpoznałam, Marie. Widziałyśmy się już raz, pamiętasz? Siedziałam w samochodzie, a ty stałaś na zewnątrz, na trawniku.

Marie znów przytaknęła milcząco. Oczywiście, że pamiętała.

– Miałam na sobie zielony kostium i kapelusz z welonem z tiulu.

Marie zakasłała i była szczęśliwa, że znów słyszy własny głos. Martwiła się, że z przerażenia na zawsze zostanie niema.

– Tak, przypominam sobie, łaskawa panienko.

– Więc jednak!

Panienka się zaśmiała. Jej śmiech wypełnił światłem ponurą kuchnię i uspokoił przestraszone serce Marie. Nikt nigdy nie śmiał się w taki właśnie sposób. Czy nikt nie wspominał, że panienka Katharina jest czarodziejką? Musiała nią być. Marie również uśmiechnęła się nieśmiało.

– Chciałabym cię o coś zapytać, Marie.

– Tak, proszę.

Jej serce waliło jak młotem. Może potrzebowała własnej drugiej pokojówki?

– Chciałabym cię namalować.

Marie musiała zrobić jakąś przedziwną minę, bo łaskawa panienka parsknęła jasnym, radosnym śmiechem.

– Nie bądź zła, nie śmieję się z ciebie. Wiem przecież, że moja prośba jest dość dziwna. Ale masz dokładnie taką twarz, jakiej potrzebuję. Twarz, która pasuje do tych szarych hal i ponurych budynków. Rozumiesz?

Nie, Marie nie rozumiała. Nie chciała rozumieć, bo ta wizja wcale jej się nie spodobała. Oczywiście za nic nie chciała urazić panienki, ale gdyby ktoś inny powiedział jej coś takiego, wybuchłaby złością.

– Twoje oczy, Marie – powiedziała panienka kojącym, słodkim głosem. – Masz przepiękne oczy. Widać w nich twoją duszę. Tak wiele smutku i tęsknoty. Tak wiele głodu szczęścia. I zmęczenia. I ogromną siłę.

Jakie zdumiewające rzeczy mówiła. Wszyscy zresztą mieli ją za trochę niezwykłą.

– Jeśli to jest dla panienki tak ważne, proszę mnie spokojnie namalować.

– Nie masz więc nic przeciwko temu? – krzyknęła ucieszona. – Wspaniale! Każdego dnia rano będziesz więc przychodzić do mojego pokoju na dwie godziny...

Marie była zdziwiona.

– Tego... tego nie da się zrobić, łaskawa panienko.

– Dlaczego się nie da?

Pokręciła głową z niechęcią i pomyślała, że przyczyna jest najprostsza z możliwych.

– Muszę wykonać swoją pracę, łaskawa panienko.

– Ale przecież będziesz pracować. Będziesz moją modelką. I właściwie powinnam ci zapłacić, ale nie mam niestety żadnych własnych pieniędzy.

Uśmiechnęła się smutno, a Marie odwzajemniła uśmiech. Jak różne były te dwie siostry. Starsza była przemądrzałą kozą, a młodsza to miła, nieco szalona marzycielka. Marie ciągnęło do młodszej panienki, ale rozsądek podpowiadał jej, że przy obu musi się mieć na baczności.

– Jeśli panna Schmalzler się na to zgodzi, chętnie będę panience pozować.

– Wspaniale! Zaczynamy jutro z samego rana. Ależ się cieszę, Marie!

Panienka podeszła do Marie i wzięła ją za rękę. Uścisnęła mocno. Ze zdumienia Marie upuściła obrus kuchenny na podłogę. Gdy pochyliła się, żeby go podnieść i rozłożyć, panienka zniknęła. Jeszcze przez chwilę Marie stała w miejscu i patrzyła na korytarz przez na wpół otwarte kuchenne drzwi. Później mechanicznie zaczęła polerować łyżki i łopatki do ciasta. Gdy po skończonej pracy wreszcie leżała w łóżku, była przekonana, że to spotkanie tylko się jej przyśniło.

CZEŚĆ II
GRUDZIEŃ 1913

13

Paul spodziewał się najgorszego, gdy wspinał się po wąskich schodach jednej z monachijskich kamienic. Naprzeciw niego szły dwie niechlujnie ubrane kobiety, jedna zamiast butów miała filcowe kapcie do chodzenia po domu. Prowadziły małe dziecko i nie miały zamiaru go przepuścić. Niechętnie przycisnął się plecami do ściany świeżo pomalowanej na oliwkowy kolor, żeby ta trójka mogła przejść. Studenckie mieszkanie Edgara było na samej górze, tuż pod dachem.

– Edgar, to ja! Paul!

Najpierw zapukał raz, powoli. Potem pukał szybciej. Nie było reakcji. Cholera, czyżby Edgara nie było w domu? Może po prostu go przeoczył. Minęli się i teraz Edgar pukał z taką samą niecierpliwością w jego drzwi na Mariengasse. Nie, to było bardziej niż nieprawdopodobne. Edgar obiecał, że będzie u niego z pieniędzmi najpóźniej o dziesiątej. Teraz była już druga po południu.

– Edgar! Otwórz wreszcie!

Chciał jedynie trochę potrząsnąć drzwiami i w tym celu dość mocno pociągnął za gałkę. Ku jego zaskoczeniu drzwi ustąpiły bez oporu, skrzypiąc otwierały się do środka, i dlatego niemalże od razu uderzył go nieprzyjemny zapach przetrawionego piwa, niewietrzonego pokoju i kociego moczu. Chudy szary kocur przycisnął się przez szparę w drzwiach, otarł się o jego spodnie i bezgłośnie, niczym cień, zbiegł schodami na dół. Paul wyteżył wzrok, żeby zobaczyć cokolwiek w półmroku ciasnego studenckiego pokoju. Był tu wcześniej jedynie raz, razem z kolegami, po pijackiej nocy, wciągali Edgara na górę po tych stromych schodach. Wtedy też niewiele zobaczył.

– Edgar, jesteś tu?

Za drzwiami coś się poruszyło, słychać było, że kieliszek spadł na podłogę i się rozbił. A po chwili padło siarczyste przekleństwo.

– Wchodź, Paul – wychrypiał przyjaciel. – I zamknij drzwi, w przeciwnym

razie znów będę miał sąsiadkę na głowie. Darła się całą noc, głupia baba.

Pokój nosił ewidentne oznaki nocnej pijatyki. Wszędzie stały puste butelki po piwie, szklanki, dwa drewniane kufle na piwo, a pod stołem leżała butelka goryczki, której zawartość znalazła sobie drogę wyjścia przez kilka spragnionych gardeł. Paul dostrzegł jeszcze suchy, niedojedzony chleb i książkę, najpewniej dotyczącą anatomii człowieka. Edgar był studentem medycyny.

– Odrobina światła w mojej ciemnicy – powiedział Edgar z uśmiechem wyrażającym zawstydzenie i odgarnął włosy z czoła. – Paul, usiądź tam, na krześle. Szklankę postaw po prostu na stole. Poczekaj, tutaj musi być jeszcze gdzieś butelka z jałowcówką.

Paul nie miał ochoty skorzystać z zaproszenia. Choćby dlatego, że na drewnianym krześle widniała lepka kałuża piwa. Podczas gdy jego kolega podnosił się z wysiłkiem i dreptał niemrawo po pokoju, Paul podszedł do okna i je otworzył. Zimne, świeże powietrze wpadło do cuchnącego pokoju, a sople zwisający z dachu nagle się urwał i spadł na ziemię jak strzała.

– Zwariowałeś? Zamknij natychmiast to okno! Myślisz, że mam ochotę zamarznąć?

– Lepiej trochę pomarznąć, niż tkwić w tym zaduchu.

Edgar pokuśtykał do okna, zamknął je i zauważył w świetle dziennym, że Paul nie wygląda dziś najlepiej.

– Dziwisz się? Miałeś być u mnie o dziesiątej. Zapomniałeś?

Twarz przyjaciela wyrażała zupełne zaskoczenie.

– O dziesiątej? U ciebie? No zabij mnie, przyjacielu, ale o tym to ja nic nie wiem.

Spojrzał na Paula z tak wymowną szczerością, że ten w końcu stracił pewność. Może coś źle zrozumiał? Ale nie, niemożliwe. Umawiali się przecież wczoraj. Na jarmarku tuż przed stoiskiem kobiety z drobiem. Tam przypadkiem zobaczył Edagara i powiedział mu wyraźnie, że jego czas się kończy.

– Słuchaj, Edgar. Zastawiłem złoty zegarek, żeby pożyczyć ci trzysta marek. Obaj wiemy, że tak naprawdę jest wart dziesięć razy tyle. Jeśli go dziś nie wykupię, stanie się własnością lombardu. Czy to do ciebie dociera?

– No już dobrze, dobrze – wymamrotał Edgar i zrobił pojednawczy gest ręką. – Tylko się uspokój, mój przyjacielu. Musisz wpłacić do lombardu jedynie niewielką sumę, a z tym jak na razie nie ma problemu. Do Bożego

Narodzenia otrzymasz swoje pieniądze. Przez całe życie nigdy nie pozostawałem niczym dłużnikiem...

– Edgar, potrzebuję pieniędzy teraz. Teraz, natychmiast, tak jak to ustaliliśmy! Co powiedzą rodzice, gdy przyjadę do domu bez zegarka?

Edgar postawił opróżnioną szklankę na stole i wytarł siedzenie krzesła szmatą, która kiedyś musiała przypominać męską koszulę.

– Usiądź, mój przyjacielu, i napij się. Wszystko ci zaraz dokładnie wyjaśnię. Znasz mnie przecież. Gdybym miał pieniądze, na pewno bym ci je dał...

Teraz wszystko było jasne. Paul obawiał się tego przez cały czas, ale starał się zachować choć odrobinę nadziei.

– Nie masz pieniędzy?! – krzyknął oburzony. – Ale dlaczego nie masz? Mówiłeś mi, że wujek ze Stuttgartu ci je wyśle. Przysięgałeś mi to, nie pamiętasz już?

Jak mógł być tak głupi! Musiał znaleźć się w tej obskurnej norze, żeby uświadomić sobie, że wujek ze Stuttgartu nie istnieje! Edgar nabrał go, mówiąc, że jest jego dobrym przyjacielem, zawsze wesoły, pomocny, zawsze skłonny do robienia diabelskich sztuczek. Ale to on za nie płacił, Paul.

– Rozumiesz, przyjacielu? – ciągnął Edgar niemalże płaczliwym głosem. – Wiadomość przyszła z poczty wczoraj rano, wciąż jestem głęboko wstrząśnięty. Moja biedna matka całe życie pracowała, żeby nas wychować, a teraz jest śmiertelnie chora. Ojciec natomiast ma zastój w handlu. Musiałem więc podjąć decyzję, że to im wyślę pieniądze. Wiem przecież, że jesteś człowiekiem honoru, a do tego masz wrażliwe serce...

Przed kilkoma tygodniami Edgar opowiedział mu, że z dobroci serca poręczył finansowo za przyjaciela, a ten splajtował, i to on, Edgar, musi teraz jak najszybciej zdobyć trzysta marek. W przeciwnym razie może dojść do tragedii. Jego przyjaciel jest bowiem osobą o słabych nerwach i już zaczyna mówić o odebraniu sobie życia. Ależ z niego aktor! Zrobiłby karierę na każdej scenie. Jeszcze przez chwilę Paul wsłuchiwał się zdeglustowany w ten potok rozdzierających serce słów i czuł ogromny wstyd, że dał się nabrać temu oszustowi. Dobry Boże, jak on wyjaśni w domu brak zegarka? To pamiątka rodzinna, dostał ją od dziadka ze strony matki. Mama postanowiła oddać zegarek do renowacji, zanim podarowała mu go na dwudzieste pierwsze urodziny. Kazała wysadzić go ponownie rubinami i brylantami, które pierwotnie tworzyły wzór na kopercie zegarka, ale z biegiem czasu powypadały.

– Wystarczy już! – przerwał Edgarowi jego łzawe łgarstwa. – Oszczędź sobie kłamstw. Wierzę ci tylko co do jednej kwestii: że nie masz pieniędzy. Dlatego że już dawno je bezmyślnie roztrwonileś.

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Edgar musiał najpierw przeboleć, że na próżno dał to pomysłowe przedstawienie.

– Tacy kanciarze jak ty powinni stanąć przed sądem!

Po tych słowach na twarzy Edgara pojawił się złowieszczy grymas.

– Spróbuj no tylko – syknął. – Masz cokolwiek na piśmie? Świadców? Nic na mnie nie masz!

Edgar, niestety, miał rację. Paul mógł mieć pretensje wyłącznie do siebie, że pominął te najprostsze z zasad udzielania pożyczek pieniężnych. Zgodził się wyłącznie na pożyczkę na zasadzie dobrej wiary. Na uścisk dłoni przyjaciół. Żadnej umowy, żadnego weksła, nie było też nikogo, kto by o tym wiedział, ponieważ musiał obiecać Edgarowi, że zachowa dyskrecję.

– Nie myśl, że ujdzie ci to na sucho! – zagroził. – Postaram się, żebyś został ukarany!

– Co się złościsz? – odpowiedział Edgar. – Starszy pan ma przecież kasy jak lodu. Co to dla niego trzysta marek? Czy sam nie powiedziałeś, że ten zegarek jest wart dziesięć razy więcej? Ile kosztuje suknia balowa dla twojej siostrzyczki? A ile są warte perły, które szanowna mamusia nosi na szyi?

Paul poczuł neodparte pragnienie, żeby zamknąć usta temu obrzydliwemu typowi. Jednak jego złość i wrzaski skończyłyby się tym, że przybiegliby sąsiedzi, i kto wie, czy któryś z nich nie zadzwoniłby na policję. Skandal to była ostatnia rzecz, na jaką mógł sobie teraz pozwolić. Nadszarpnięte zębem czasu drewniane drzwi zadrżały w futrynie, gdy Paul z wściekłością je za sobą zatrzasnął. Na klatce schodowej mignęły mu jakieś cienie – oczywiście ich rozmowa miała ciekawskich świadków. Teraz był więc jeszcze bardziej zadowolony, że nie pozwolił sobie na agresywne zachowanie.

Gdy wreszcie opuścił kamienicę, odetchnął czystym, mroźnym zimowym powietrzem. Płatki śniegu spadały z nieba w delikatnym tańcu, a gdzieś między kamienicami słychać było katarynkę, wygrywającą świąteczną pieśń *O ty szczęśliwa*¹. Tuż przed jego nosem przeleciała śnieżka. Paul schylił się błyskawicznie, sam uformował sporą kulkę ze śniegu i dopadł nią uciekinierawinowającą, strzelając prosto w jego plecy. Odpowiedział śmiechem. Rozbawieni chłopcy ucieszyli się, że młody mężczyzna ich nie karci, tylko

energicznie reaguje na ich psikusa.

Po chwili Paul szybkim krokiem ruszył w kierunku centrum, dłonie trzymał w kieszeniach ocieplanego płaszcza. Miał tylko jedną szansę na odzyskanie zegarka. Musiał negocjować z właścicielem lombardu. Zapłacić niewielką kwotę za zwłokę i przesunąć termin ostatecznej spłaty. Ojciec nigdy, przenigdy nie może się o tym dowiedzieć. Nie wybaczyłby mu tego do końca świata. I słusznie, na Boga, zupełnie słusznie. Jakim strasznym okazał się osłem! Czy powinien zwierzyć się matce? To też będzie trudne. Co najwyżej mógłby wtajemniczyć Kitty, ale jego młodsza siostrzyczka to ostatnia osoba, która mogłaby mu pomóc.

Na Frauenstrasse klienci tłoczyli się przed oświetlonymi oknami. Śnieg padał coraz mocniej. Sztywne, ciemne kapelusze panów i zdobione kapelusze pań, obszywane futrem kaptury płaszczy – były przyprószone płatkami śniegu. Padające białe drobiny nie oszczędziły też płaszczy, kurtek, futer i wełnianej chusty okrywającej ramiona sprzedawczyni kasztanów. Na chodnikach widać było po raz pierwszy chłopców, którzy zarabiali po parę fenigów, odgarniając śnieg. Paul naciągnął mocniej czapkę na głowę i zaczął się przepychać przez tłum. W czasie tej wyprawy chciał kupić jakieś niewielkie prezenty dla rodziców i sióstr. Na razie jednak nie był w stanie o tym myśleć. Tuż przed Isartor, wschodnią bramą miasta, skręcił w wąski zaułek, gdzie właściciel lombardu miał swoją siedzibę. Musiał chwilę poczekać. Jakaś starsza pani chciała zastawić biżuterię z granatami i targowała się zajadle o każdą markę. Paul ze zdumioną miną przypatrywał się zastawionym przedmiotom: zegarkom, naszyjnikom, pierścieniom, srebrnym świecznikom i sztukom, stemplom do pieczęci, wysadzonym szlachetnymi kamieniami zastawom z rodzinnymi monogramami. Ich właściciele utracili wszystkie te rzeczy, zostaną więc wystawione na najbliższej licytacji. Właściciel lombardu, starszy mężczyzna, łysy, ze zwisającymi rudawymi wąsami, był dzisiaj nieobecny. Zastępowała go żona albo może zatrudniona sprzedawczyni, trudno powiedzieć. Była to szczupła kobieta o siwych włosach, bladej cerze i małych jasnych oczach, z których aż biła bezwzględność.

– Ależ proszę, młody panie. To oczywiście, nie będziemy przecież tak od razu rzucać tej pięknej rzeczy między ludzi.

Zdumiewało go zachowanie tych ludzi. Pozwolili mu najpierw umierać ze strachu i jednocześnie wierzyć w pozytywne rozwiązanie, by potem zdobyć sama znalazła się w ich sieci. Tą zdobyczą było pięćdziesiąt marek, które

musiał zapłacić.

– To wielka kwota...

Kobieta ani drgnęła. Najwyraźniej znała swój fach co najmniej tak samo dobrze jak mężczyzna z rudymi wąsami.

– Złożę panu propozycję. Daj mi pan dwadzieścia marek i zostaw płaszcz. Piękna rzecz. Dobry angielski materiał na zewnątrz i w środku, jeśli by pan rozpiął guziki, ach, tak jak sądziłam, ocieplany futrem. Z lisa, powiedziałabym. Mam rację?

Oprócz zegarka powinien więc zastawić również dobry zimowy płaszcz. Matka kazała mu go uszyć w zeszłym roku. Śmiał się wówczas z tego lisiego futra. Czyżby sądziła, że jest już starszym mężczyzną? Zaczął jednak doceniać ten ocieplany płaszcz, zwłaszcza podczas zimowych spacerów nad Izarą. Przez chwilę poczuł ogromny gniew na ojca. To wszystko nie byłoby konieczne, gdyby go tak krótko nie trzymał. Czynsz, książki, jedzenie, wyjście od czasu do czasu do knajpy – zawsze się musiał liczyć z pieniędzmi. Jego ojciec był człowiekiem z żelaza. Rzekomo w czasie młodości tygodniami żył o jednym kawałku sera i chlebie, bo tak mało zarabiał jako praktykant w fabryce maszyn. Nie miał jednak prawa złościć się na ojca. Kłopoty, w których teraz tkwił, mógł przypisać jedynie własnej głupocie.

– Założmy, że tak będzie. Gdy miną święta, chciałbym wykupić te rzeczy.

– Oczywiście.

Sposób, w jaki to powiedział, mówił jasno: nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Zdjął płaszcz i opróżnił kieszenie. Nigdy dotąd nie czuł się tak upokorzony. Zwłaszcza że w tej chwili dwie młode kobiety podeszły do lady i z zainteresowaniem obserwowały całą scenę.

– O matko, tego tutaj to z ostatniej koszuli obiorą – powiedziała jedna z nich ze współczuciem.

– Oby tylko nie zamarzał przy tym zimnie na zewnątrz.

– Nie martwcie się, drogie panie. Mam w sobie tyle ciepła, że mógłbym nim roztopić cały ten śnieg.

Nie sądził, by ten żart był specjalnie udany, ale dzięki niemu udało mu się zachować twarz. Po wyjściu postawił kołnierz marynarki i pobiegł w kierunku Mariengasse tak szybko, jak tylko pozwalały na to zatłoczone ulice. Faktycznie, nie marzył. Gniew na tę sytuację, który wciąż w nim kipiał, sprawiał, że było mu ciepło. Dopiero gdy dotarł pod dom właścicielki, u której mieszkał, otworzył bramę i wszedł na podwórze, poczuł nagle chłód.

Strzepnął z marynarki płatki śniegu i przeczesał ręką mokre włosy.

– O, pan Melzer – usłyszał skrzeczący głos starszej pani. – Wyjeżdża pan dzisiaj do rodziny do Augsburga?

Starsza kobieta wynajmowała pokoje samotnym mężczyznom i studentom. Celem jej życia najprawdopodobniej było podglądanie najemców i gości, bo całymi dniami siedziała w fotelu pod oknem.

– Szczęść Boże, pani Huber. Tak, jeszcze dzisiaj wyjeżdżam do Augsburga. Życzę pani wesołych świąt.

– Bardzo dziękuję, paniczu. Ach, w moim wieku najpiękniejsze święta ma się już dawno za sobą...

W gruncie rzeczy, pomyślał, wchodząc po schodach, znów udało mu się wyjść z opresji obronną ręką. Zegarek nie zostanie wystawiony na licytację, a na podróż do domu weźmie płaszcz jesienny, który co prawda nie jest tak ciepły jak zimowy, ale również został wykonany z pięknej angielskiej tkaniny. Nie pozostawało mu nic innego, jak sprzedać swoje wysokiej klasy siodło. Niektórzy z jego przyjaciół już od dawna ostrzyli sobie na nie zęby, pozostaje jednak pytanie, czy uda mu się za nie dostać trzysta pięćdziesiąt marek. Najpewniej byłoby dobrze powierzyć tę tajemnicę mamie – dołożyłaby mu brakującą resztę. Nie chciał jednak, by dawała mu to w prezencie, oddałby jej całą sumę co do feniga. Gdy stawiał ostatni krok, zamarł z przerażenia. Przed swoimi drzwiami dostrzegł jakąś postać. Czy to Edgar? Nie, jednak nie, gdy podszedł bliżej, zobaczył od razu, że to dziewczyna. Jasna cholera – Mizzi! Jeszcze tylko jej mu teraz brakowało.

– Cześć, Paul. Pewnie jesteś zaskoczony, że cię dzisiaj odwiedzam.

– Zdecydowanie.

Widząc jednak, że dziewczyna drży z zimna, postarał się jak najszybciej otworzyć pokój. Dzisiaj koło południa porządnie w nim napalił, trochę ciepła musiało wciąż tam zostać. Wsunęła się do środka, stanęła na środku pokoju i odwróciła twarz w jego stronę.

– Mam ci tu trochę posprzątać?

– Nie, Mizzi. Co najwyżej możesz pomóc w pakowaniu. Jadę dziś do domu.

Na jej twarzy malowało się rozczarowanie. Trudno było ją nazwać piękną, ale gdy się uśmiechała, mogła się wydawać pociągająca. Była to dziewczyna, która za ciepły posiłek albo kilka fenigów przychodziła do studentów i sprzątała im mieszkania albo gotowała. Coś tam wiedziała o miłości, trochę się nawet inni przy niej nauczyli. Ale nikt nie był jej za to wdzięczny. Wysyłali

ją po piwo i chleb, po papierosy, z wiadomością do kolegi. Mizzi nie wzdragała się przed niczym. Robiła, czego od niej chciano, chodziła, gdzie ją wysyłano.

– Tak myślałam, że ty też jedziesz do domu – powiedziała, uśmiechając się.
– Prawie wszyscy spędzają święta Bożego Narodzenia z rodziną. Tak zresztą powinno być. Mam powkładać twoje rzeczy do walizki?

Wiedziała, gdzie trzyma skórzaną walizkę. Wyciągnęła ją i układała starannie rzeczy, które jej podawał. Jej starania były niepotrzebne, rzeczy te i tak miały iść do prania.

– A ty, Mizzi? Spędzasz Boże Narodzenie z rodziną?
Wzruszyła ramionami.

– To się okaże. Może pójdę na chwilę do matki. Ale ona ma już swoje nowe dziecko. Nawet go lubię, bo ma takie duże uszy...

Zaśmiała się i zapytała, czy ma pół godziny.

– Nic za to nie wezmę. Dlatego że bardzo cię lubię, a wkrótce będą święta.

– Nie, Mizzi. Niedługo odjeżdża mój pociąg. Muszę już iść...

Zrobiło mu się jej bardzo żal. Dlaczego nigdy wcześniej nawet o niej nie pomyślał? Mizzi od samego początku była częścią studenckiego życia, tak jak wykłady czy wieczory w studenckim stowarzyszeniu Typowy Niemiec, czy jak pojedynki szermierzy, które odbywały się tu i tam. Teraz po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, czy będzie miała gdzie się podziać i czy ma cokolwiek do jedzenia.

– Weź, to mój prezent bożonarodzeniowy dla ciebie.

Wyciągnął z portfela dziesięć marek i jej dał. Więcej nie mógł, bo musiał zapłacić za bilet. Prezenty kupi już w Augsburgu. W jego biurku musiało zostać jeszcze trochę pieniędzy. Albo wymyśli coś genialnego. Kitty na przykład załatwia sprawę prosto, rozdaje swoje rysunki. Może więc on napisze wiersze?

– Bardzo dziękuję, Paul. Jesteś bardzo dobry. Życzę ci...

Gdy schodził razem z nią schodami na dół, czuł wyraźną ulgę, że zrobił dziś chociaż cokolwiek dobrego. Był nawet z siebie dumny. Dopiero gdy zobaczył Mizzi znikającą w knajpie, zaczął mieć wątpliwości.

A więc to już, pomyślał. W posiadłości, w holu stoi teraz zapewne wielka jodła, a kobiety przystrajają ją czerwonymi wstążkami i ciastkami. Zapach igliwia i pierników wypełni cały dom, tak jak co roku. Gdy siedział w pociągu, bardzo się cieszył z nadchodzących świąt. A najlepsze było to, że

dopiero za dwa tygodnie będzie musiał wrócić do Monachium.

[1](#) Niem. *Oh du fröhliche*, jedna z najbardziej znanych niemieckich kolęd.

*Szanowny Panie Poruczniku,
zwracając się do Pana za pośrednictwem tego listu, z całego serca mam przede wszystkim nadzieję, że nie zostanę przez Pana źle zrozumiana. Życie doświadcza każdego z nas i każdy popełnia błędy, i nikt, nawet ten najmądrzejszy, nie jest na to uodporniony. Również Pan, mój drogi Poruczniku...*

Elisabeth przerwała pisanie i przyglądała się temu, co napisała. Niezadowolona skreśliła wyrażenie „z całego serca” i zastąpiła je po prostu słowem „bardzo”. Na podobnej zasadzie wyrzuciła dopiero rozpoczęte, ostatnie zdanie. Wskazywanie jego możliwych błędów było zupełnie niepotrzebne. Należało raczej podkreślić i podbudować jego poczucie własnej wartości. Biedny porucznik będzie przecież zrozpaczony, gdy dostanie ten list. List Kitty, te naiwne linijki, wrzuciła do kominka i napisała chłodne słowa, jednoznacznie wyrażające odrzucenie uczuć mężczyzny.

Niestety nie mogę odwzajemnić Pańskich uczuć, dlatego bardzo Pana proszę, żeby oszczędził mi Pan składania dalszych propozycji.

Od tamtej wizyty nikt z rodziny go nie widział, nie było też od niego żadnych wiadomości. Jeśliby teraz nie interweniowała, jej plany mogły pójść na marne. Zakręciła pióro i spojrzała zamyślona przez okno. Z szarego nieba padały grube płatki śniegu. Widać było pokryty śniegiem park, a droga, którą odśnieżył ogrodnik, wyglądała jak szara wstążka wijąca się pośród drzew. Para ubrana w ciemne stroje spacerowała po okolicy. Mama miała kapelusz z szerokim rondem i ciemne futro z norek, a tata czarny zimowy płaszcz i kamasze. To było niepojęte, że w sobotnie popołudnie tata wziął sobie całą

godzinę wolnego. Elisabeth przymrużyła oczy, żeby rozpoznać miny rodziców, ale byli zbyt daleko. Z gestów wynikało, że prowadzą ożywioną dyskusję, jeśli się nie kłóca. Elisabeth westchnęła i wróciła do listu.

Ostatnie tygodnie dostarczyły mi wielu trudnych doświadczeń i wiele w tym czasie myślałam o właściwych drogach, na które kieruje nas Bóg. Wiem jednak teraz, że ciemność nie może zwyciężyć nad światłością, że błędy są wybaczone przez Boga, gdy poważnie przygotujemy się, by iść właściwą drogą...

Podniosła nieco kartkę i naniosiła jeszcze kilka poprawek. Nie „doświadczeń”, tylko „przeżyć”, zabrzmiało to wyraziściej. Zastąpiła jeszcze „właściwą drogę” „nowymi drogami”. Musiała bardzo uważać, żeby list nie przypominał kazania. Powinien wiedzieć, że wciąż go darzy sympatią, ale przecież on nie może sprawiać wrażeń petenta, narzucanie się jest wykluczone. List wydawał się napisany chaotycznie i krzywo, musiała go ładnie przepisać. Na zewnątrz wciąż padało. Jak dziwnie wyglądały egzotyczne drzewa pod śniegiem. Smukłe cyprysy ugięły się pod jego ciężarem jak rachityczne staruszki. A pinie przypominały ogromne rozpięte parasole. W oddali zobaczyła rodziców stojących pod jednym z tych parasoli. Mama z ożywieniem mówiła o czymś do taty, a ten słuchał w milczeniu, trzymając ręce w kieszeni płaszcza, w ośnieżonym kapeluszu naciągniętym mocno na głowę. Jak trudno jest stworzyć dobre małżeństwo, pomyślała z niepokojem. Mama i tata pobrali się przecież z miłości, a ciągle się kłóca. Wydawało się jej często, że to mama jest tą, która kocha, a tata tym, który pozwala się kochać. Ojciec największą miłością – co mama często powtarzała z ironicznym westchnieniem – darzył nie swoją żonę, tylko fabrykę. Odrzuciła od siebie te złe myśli. W jej małżeństwie nie będzie kłótni, o to się postara. Przejrzała raz jeszcze napisany właśnie list i dodała zakończenie.

To spostrzeżenie zachęciło mnie, drogi Panie Poruczniku, żeby wysłać do Pana ten list. Miałam to szczęście, żeby przez ostatni rok przekonać się o szczerości Pana charakteru, i stąd wiem, że nigdy by mi Pan nie wybaczył, gdybym wprost nie wyraziła mojej intencji. Z pewnością mama przekaże Panu zaproszenie na organizowany przez nas w styczniu bal. Będę bardzo

szczęśliwa, jeśli ujrzę Pana tego wieczoru.

*Z serdeczną przyjaźnią,
Katharina Melzer*

Może jednak wyrażenie „bardzo szczęśliwa” to przesada? W końcu nie chciała mu się rzucać na szyję. Samo „szczęśliwa” wystarczy. Albo może po prostu „zadowolona”, albo „ucieszona”? Może ona napisałaby to lepiej...

– Lisa?

To Kitty pukała do drzwi. Elisabeth zdenerwowała się, że ktoś jej przeszkadza, i schowała list do listownika.

– Czego chcesz? Jestem zajęta!

– Musisz mi pomóc. Proszę!

Nie czekała, aż zostanie poproszona, tylko otworzyła drzwi, weszła do środka i stanęła przed Elisabeth. Ta szybko schowała listownik do szuflady biurka.

– O – powiedziała Kitty z zaciekawieniem. – Tajemnice?

– Już prawie Boże Narodzenie, siostrzyczko.

Wydawało się, że Kitty ucieszyły te słowa. Elisabeth nie była jednak pewna, czy wymyśliła dobrą wymówkę. Wcześniej wspólnie przeszukiwały willę, starając się znaleźć ukryte prezenty bożonarodzeniowe. Nie omijały też własnych pokoi. Ale to było lata temu...

– Wyobraź sobie, że właśnie przyjechał Alfons Bräuer z wizytą.

– Zapowiedział się wcześniej?

Kitty cicho westchnęła. Tak, młody Bräuer zapowiedział swoje odwiedziny już trzy tygodnie temu. Mama nakazała jej, Kitty, przywitać tego miłego, młodego mężczyznę i wypić z nim herbatę. Oczywiście wspólnie z nią. Tyle tylko, że mama wciąż nie wróciła ze spaceru.

– Liso, nie mogę go sama przywitać.

– Dlaczego nie? – zapytała złośliwie. – Taki przystojny kawaler. Mięśnie jak u Herkulesa. Ledwie się mieszczą w rękawach kurtki. No i te uda...

– Nie sądzę, żeby to było zabawne, Liso. Jeśli mi odmówisz, zaraz powiem mamie.

Tak, z pewnością by to zrobiła, jej mała siostrzyczka. Odkąd pokazała się na kilku balach i kilku wieczornych spotkaniach, ciągle zapowiadają się jacyś młodzi mężczyźni. Jeden chciał ją zabrać na przejażdżkę bryczką

lub automobilem, inny namawiał na jazdę konną. Przychodziły też zaproszenia na wieczorne spotkania, które mama dokładnie przeglądała i wybierała kilka z nich. I zawsze ona, Elisabeth, starsza siostra, była zaproszona razem z nią. Oczywiście jako przyzwoitka. Jakże tego nienawidziła!

– Nie jestem odpowiednio ubrana – odburknęła.

Miała na sobie ciemnozieloną suknię, która była bardzo modna trzy lata temu i którą Jordan poszerzyła w talii. Przeszycia bardzo sprytnie zakryła koronką.

– Wyglądasz bardzo ładnie. Naprawdę, ten zielony kolor pięknie do ciebie pasuje. No chodź już. Nie możemy pozwolić, by czekał aż tak długo.

– Daj mu wypić spokojnie herbatę. Dobrze mu zrobi przy takim zimnie.

Elisabeth podniosła się niechętnie, spojrzała w lustro, westchnęła i poszła za Kathariną. Odkąd jej młodsza siostra przyszła na świat, wszyscy chodzili tylko koło niej. Już jako dziecko czarowała wszystkich wielkimi niebieskimi oczami. A może ona, Elisabeth, była tak naprawdę zawsze tylko nianią Kitty? Lisa, uważaj, żeby Kitty nie spadła ze schodów. Lisa, nie szturchaj młodszej siostry. Dlaczego biedna Kitty płacze? Nie uszczypnęłaś jej? Faj, jaka jesteś obrzydliwa. Idź do swojego pokoju, nikt tu nie chce na ciebie więcej patrzeć. Oczywiście uszczypnęła mocno tę małą bestię w ramię. Ale Kitty wcześniej ugryzła ją w palec, i to nie interesowało nikogo.

Podczas gdy schodziły schodami do czerwonego salonu, Elisabeth coraz bardziej użalała się nad sobą. Mogłaby w tym czasie dokończyć pisać list i dać go do wysłania. Teraz będzie musiała spędzić całą godzinę, grając damę do towarzystwa, nie zdąży na czas i list odda dopiero jutro rano. Dojdzie on prawdopodobnie dopiero po świętach. Klaus powinien go jednak otrzymać wcześniej, żeby na czas balu nie zaplanował sobie czegoś innego. Auguste stała przy drzwiach do salonu, żeby je zapowiedzieć. Pokojówka była dzisiaj wyjątkowo blada, prawdopodobnie, tak jak pozostali pracownicy, miała dużo roboty przed świętami.

Alfons Bräuer wstał z fotela, gdy weszły siostry. Zapomniał chyba, że jest tak wysoki, uderzył głową w wiszący kryształowy żyrandol. Jego duże ciało nigdy nie wydawało mu się zaletą, dlatego ta sytuacja tym bardziej była dla niego żenująca.

– Łaskawa panienko, jestem zaszczycony. Mam nadzieję, że nie przyszedłem nie w porę...

– Co też pan mówi! – krzyknęła Kitty z uśmiechem i pozwoliła się pocałować w rękę. – Ogromnie się cieszymy z pana wizyty. Mama, niestety,

jeszcze nie wróciła. Proszę sobie wyobrazić, spaceruje z tatą po ogrodzie...

Przy okazji również Elisabeth została przywitana pocałunkiem w rękę. Usiedli i Kitty zaczęła mówić jak nakręcona. Oczywiście biedny Alfons patrzył wyłącznie na swoją księżniczkę, spijał każdy jej gest, każde mrugnięcie, każdy uśmiech odbijał się na jego twarzy. Elisabeth ograniczyła się do tego, żeby nalać herbatę do filiżanek i je podać.

– Kostkę cukru czy może dwie, panie Bräuer?

– Co proszę?

Musiała powtórzyć pytanie, ale okazało się, że nie chce cukru. Herbata też go specjalnie nie obchodziła, bo trzymał filiżankę w ręce, ale z niej nie pił. Kitty świergotała jak ptaszek, rozprawiała o francuskich malarzach minionego wieku i wyjaśniała, że ludzie tacy jak Renoir, Cézanne czy Monet nie prezentowali już nic nowego. Czy słyszał już o Georges’u Braque’u albo Pablo Picassie? Przed trzema laty ci dwaj wielcy artyści wystawiali kilka swoich obrazów w Galerii Thannhauser w Monachium. Może przypadkiem tam był? Nie? Cóż, ona też nie była, bo miała wtedy piętnaście lat, ale miłość do sztuki żywi od wczesnego dzieciństwa. Czy on wie, że najlepsi malarze wywodzą się z Francji?

Elisabeth piła herbatę z dwiema kostkami cukru i wzięła kawałek świątecznego ciasta, zanim podała paterę w kształcie muszli swoim rozmówcom. Ciasteczka migdałowe i ziemniaczki z marcepanem, piernik, rogaliki waniliowe – Brunnenmayer w pieczeniu ciast była tak samo doskonała jak w gotowaniu. Elisabeth zaraz pomyślała o torcie, który zostanie postawiony na stół pierwszego dnia świąt, z kremem o smaku piernika, nadziewanym kandyzowanymi orzechami włoskimi, migdałami i oblanym czekoladą. Może zjeść niestety tylko jeden kawałek tej wspaniałości, w przeciwnym razie będzie mieć problem z suknią balową. Było ważne, żeby dobrze wyglądała, gdy Klaus von Hagemann pojawi się na balu w ich posiadłości. Jeśli się pojawi...

– Niestety, sam nie potrafię nawet narysować prostej kreski – mówił młody Bräuer. – Mimo to jestem jednak wielkim wielbicielem sztuk pięknych. Zwłaszcza gdy ktoś tak entuzjastycznie o nich opowiada, jak ty, droga panienko Melzer. Wtedy czuję, jakby płonął we mnie ogień.

– Zapaliłam w pana sercu pochodnię – zaśmiała się Kitty. – Wieczny płomień na ołtarzu sztuki...

O święty Boże, pomyślała Elisabeth. Kitty zazwyczaj wygaduje głupoty, ale

dzisiaj przerosła samą siebie. Ołtarz sztuki. Żeby tylko nie kazała tego słuchać porucznikowi. I skąd ten jej nagły zachwyt nad francuskimi malarzami? Czy ma to coś wspólnego z tym młodym Francuzem? Tym, jak to on się nazywa... Gérard Du... Dutrou. Nie, Dufour. Nie, też nie. Gérard Duchamps, tak, to było to nazwisko. Syn partnera handlowego ich ojca, z Lyonu, miasta jedwabiu. Miał ciemne błyszczące oczy i grube czarne włosy. Jego nos był nieco zbyt ostry, ale nie psuł ogólnego wyrazu. Młody Duchamps podbijał serca i zmysły wszystkich kobiet, niezależnie od wieku. Na balu mikołajowym w posiadłości Riedingerów spotkał Katharinę Melzer, królową sezonu balowego. Zrobiła na nim ogromne wrażenie i tańczyli ze sobą wiele razy.

– W styczniu w Monachium będzie sporo interesujących wystaw – powiedział Alfons Bräuer.

– Bardzo chcę w to wierzyć. Och, my mieszkańcy Augsburga jesteśmy tak bardzo konserwatywni, jakbyśmy spadli z Księżycy. Monachium, owszem, jest otwarte na świat. Najbardziej jednak Paryż, tam sztuka się narodziła. Malarze, pisarze, muzycy...

Bräuer postawił wreszcie swoją filiżankę na niskim rzeźbionym stole. Biedaczysko, musiał być bardzo podekscytowany, jego uszy płonęły, a Elisabeth wyczuwała też ostry zapach jego ciała. Pocił się w zimowym stroju wykonanym z ciepłej wełny. Else niedawno solidnie napaliła w piecu.

– Jeśli matka i siostra panienki się zgodzą, zapraszam całą trójkę na wycieczkę do Monachium, po świętach oczywiście. Moglibyśmy tam...

Głośny okrzyk w korytarzu sprawił, że mężczyzna przerwał. To był głos Paula. Elisabeth odłożyła nagryziony piernik, Katharina poderwała się z fotela.

– Nasz Paul tu jest!

– Ale coś się chyba dzieje z Auguste?

Katharina szarpnęła drzwi i ich oczom ukazał się przerażający widok. Biedna Auguste leżała wyciągnięta na dywanie w korytarzu, obok niej klęczał Paul i sprawdzał puls na jej lewej ręce.

– Żyje – powiedział Paul i spojrzał na Kitty szklistym wzrokiem. – W pierwszej chwili sądziłem, że leży tu martwa.

– Boże przenajświętszy! Biedactwo jest śmiertelnie blada. A jej wargi są zimne jak lód.

Kitty również uklękła obok nieprzytomnej kobiety i pogłaskała ją delikatnie po czole. Alfons Bräuer stał bezradny w drzwiach.

– Ona musiała zemdleć – zawyrokowała Elisabeth. – Coś w tym rodzaju.

Jedyna zachowała spokój i zadzwoniła dzwoneczkiem po służbę. Pierwsza na schodach pojawiła się Else, złożyła ręce z przerażenia i zniknęła. Pobiegnęła zaalarmować kucharkę i Roberta.

– Wejdz do salonu, Paul – powiedziała Elisabeth z dezaprobatą. – Twoja samarytańska pomoc nie jest już potrzebna. Drogi Boże, dlaczego się tak denerwujecie? Panna Schmalzler będzie wiedziała, co zrobić. Mama też na pewno zaraz wróci.

Najpierw pojawił się jednak Robert, a za nim przybiegły Else, Maria Jordan i kucharka.

– To musiało się stać – szepnęła kucharka. – Biedactwo! Oby tylko nic sobie nie zrobiła!

Tymczasem Auguste powoli dochodziła do siebie, zamruwała i próbowała usiąść. Ze zdumieniem rozglądała się wokół.

– Co się dzieje? Co robię tutaj, na podłodze?

– Tylko powoli – powstrzymała ją kucharka. – Napij się wody. Tylko się nie zakrzęś!

– No, już dobrze – powiedział Paul z ulgą. – Napędziłaś nam mnóstwo strachu, Auguste!

Małe zbiegowisko się rozproszyło. Robert pomógł Auguste wstać, Jordan zebrała z dywanu świeżo wyprasowane serwetki, które upuściła Auguste. Chciała je zanieść do jadalni. Kucharka zaczęła biec po schodach i słychać było, jak jęczy coś na temat pieczeni wieprzowej. Młodzi państwo wrócili do czerwonego salonu, a opiekę nad pokojówką zostawili służbie.

– To jest prawdziwy Paul – zaśmiała się Kitty. – Jeszcze na dobre nie wróciłeś do domu, a już dziewczyny padają przed tobą na dywan.

Rzuciła się bratu na szyję i pocałowała go w oba policzki, na co on zareagował szczerym śmiechem. Elisabeth uznała tak wylewne powitanie w obecności gościa za przesadę, ale taka właśnie była Kitty. Bräuer w czasie okazywania przez Kitty tej siostrzanej czułości patrzył zakłopotany na swoje wypastowane, czarne skórzane buty – prawdopodobnie ponad wszystko chciał być na miejscu Paula. Ten delikatnie odsunął Kitty, objął drugą siostrę i wyciągnął rękę w stronę Bräuera.

– Dawno się nie widzieliśmy, przyjacielu – powiedział z grymasem na twarzy. – A nie chciałeś mnie odwiedzić w Monachium? – To proste, koleżeńskie pytanie Paula sprawiło, że młody Bräuer poczuł się trochę mniej

zakłopotany.

Tak, naprawdę chciał go odwiedzić w Monachium w październiku, ale miał tak wiele pracy w banku, że niestety nie mógł się wyrwać na dłużej.

– Jesteś już młodszym szefem, co? – zapytał Paul w lekką zazdrością w głosie. – Jeszcze kilka lat i sam będziesz prowadził ten bank.

Zamaszystym gestem poprosił wszystkich, żeby usiedli, i sam też zajął miejsce. Rozmowa stała się teraz lekka, nastroje się rozluźniły, a Alfonsowi Bräuerowi udało się od czasu do czasu powiedzieć dobry dowcip.

– Znasz przecież mojego starego bardzo dobrze – powiedział ironicznie. – Nie wypuści z rąk bankowego interesu. A jeśli pewnego dnia, miejmy nadzieję, że to jeszcze daleko przed nim, zasiądziesz w gronie aniołów, każdego ranka będzie sprawdzał kursy akcji.

Elisabeth również była zadowolona z rozmowy. Gdy młody Bräuer zachowywał się jak normalny mężczyzna, a nie jak zakochany osioł, był nawet całkiem zabawny.

– Jeśli wciąż będzie taki mróz, można zacząć zapinać łyżwy – zasugerował Paul, który był wielbicielem wszelkiego rodzaju sportów.

Kitty zareagowała entuzjastycznie, Alfons Bräuer powściągliwie, a Elisabeth wzruszyła ramionami. Jazda na łyżwach nie była dla niej.

– Ja bym raczej proponował kulig dla czterech osób! – podsunął Bräuer.

– Cudownie! – krzyknęła Kitty i klasnęła w dłonie.

– A może jazda konna o poranku po świeżym śniegu – zaproponował Paul. – Ach, przypomniało mi się coś. Nie chciałbyś mieć mojego siodła? Jestem już o mały włos od zakupu nowego i chciałbym stare sprzedać. Wiesz, że było robione na zamówienie, ale będzie spokojnie pasować na twoją klacz.

– Twoje siodło? Tak, pewnie. Już wcześniej byłem zainteresowany.

Alfons Bräuer był wybornym jeźdźcem, była to jedyna dyscyplina sportowa, w której mógłby konkurować z Paulem.

– Cudownie! – zawołał Paul radośnie. – Wiesz, to siodło jest zrośnięte z moim sercem i dlatego chciałbym go sprzedać dobremu przyjacielowi, a nie komukolwiek.

Alfons się zarumienił. Dotychczas nie zaliczał się do najbliższych przyjaciół Paula i nawet tego nie pragnął. Frywolne korzystanie z przyjemności przez młodych ludzi nie było dla niego ważne. Młodsza siostra Paula zrobiła jednak na nim tak nieodparte wrażenie, że teraz poczuł się prawie dumny z bycia jego „bliskim przyjacielem”.

– Mam świetny pomysł!

Paul był podekscytowany tak mocno, że jego oczy błyszczały entuzjazmem, i Elisabeth zastanawiała się, co też mu wpadło do głowy.

– Zróbmy użytek z naszych zimowych płaszczy i jutro rano wybierzmy się na wycieczkę. Panie na saniach, a my konno. Mógłbyś wtedy od razu wypróbować nowe siodło...

Ani Kitty, ani Elisabeth nie były szczególnie zachwycone tym pomysłem, bo obie miały inne plany. Młody Bräuer również się zawahał, nie był zwolennikiem podejmowania spontanicznych decyzji. Z drugiej jednak strony była to szansa na spędzenie kilku godzin w towarzystwie swojej wybranki.

– Niestety, rano nie mogę opuścić banku – powiedział, przeciągając słowa. – Myślę jednak, że wczesnym popołudniem mógłbym wziąć kilka godzin wolnego.

– Koło drugiej? – nie ustępował Paul. – Będę czekał na ciebie w stajni.

Gryzący zapach amoniaku, cytryny, octu i czegoś metalicznego wypełnił kuchnię. Na długim stole leżało kilka warstw gazet, a między szmatkami i butelkami rozłożono część sreber Melzerów. Kuliste czajniczki do herbaty i małe na śmietanę, delikatnie plecione koszyczki, w których podawano owoce oraz pieczywo, talerze, solniczki, cukiernice, wiele srebrnych pater i świeczników – z zasobów von Maydornów. Wszystkie te piękne naczynia przed świętami Bożego Narodzenia musiały być wypolerowane na błysk, podobnie jak komplety sztućców, łyżki do nakładania potraw, noże do chleba i piękne zdobione nożyce do drobiu, rzecz, której czyszczenie było wyjątkowo bezsensowne, gdyż nigdy nie spełniały swojej funkcji, tylko ładnie wyglądały. Pracowały nad nimi Maria Jordan i Auguste. Usiadły przed wielkim piecem, w którym jeszcze tlił się ogień, żeby ciepło ogrzewało ich plecy. Emaliowany jasnoniebieski dzbanek do kawy stał na blacie, tak jak czajnik, bo łaskawa pani zwykle wieczorami chciała się napić herbaty.

– Gdzie się wszyscy pochowali? – mruknęła Jordan. – Mamy same czyścić to cały wieczór? Robi mi się niedobrze od tego zapachu.

Auguste z wykrzywioną twarzą energicznie polerowała cukiernicę miękką ściereczką. Zazwyczaj nie była tak wrażliwa na zapachy, ale teraz jej żołądek podniósł się już tak wysoko do gardła, jak mleko gotujące się na kuchni.

– Dlaczego musimy używać tego obrzydliwego amoniaku? – narzekała, pociągając nosem. – Ten biały płyn z Anglii sprawdza się znacznie lepiej.

– Ale jest bardzo drogi. Łaskawa pani zamówiła tylko trzy butelki, musimy je oszczędzać.

Panna Schmalzler poinstruowała je, żeby na ściereczkę nakładać tylko trochę drogiego środka do czyszczenia i tak długo nią polerować, aż płyn straci całkowicie swoje właściwości. Dopiero wówczas można było ściereczkę ponownie namoczyć w białawej substancji.

– Gdzie się podziewa Brunnenmayer? Czyżby już spała? – warczała Maria

Jordan.

– Siedzi w spiżarni i robi listę zakupów.

– Ach tak, na Boga! Zakupy przed Bożym Narodzeniem.

Maria Jordan podniosła do światła solniczkę. Tak mocno ją polerowała, że lśniła. Czyszczenie ujawniło jednak również rysy, które na niej powstały.

– Popatrz, Auguste. Przecież to ktoś specjalnie zrobił ząbkami widelca. Tu i tu. I też tu, na dole.

Zdarzali się goście, którzy niczego nie szanowali. Czasami byli to nawet bardzo szacowni państwo. Auguste widziała kiedyś, jak pan von Wittenstein czy ktoś o podobnym nazwisku odwrócił się i wyrzucił za siebie okruszki chleba. Przed laty pewien rosyjski dyplomata zrobił to samo ze szklanką. Ponoć postąpił tak ze złości, bo w jego szklance była sama woda, a chciał znaleźć w niej wódkę. A pewna dama z towarzystwa – Maria Jordan nie chciała wymieniać jej nazwiska, bo wciąż jeszcze czasami bywała w posiadłości – dość często bawiła się w ten sposób, że wystawiała nogę, by pracownik, który właśnie nalewał do talerzy gorącą zupę, musiał się o nią potknąć.

– Ona jest prawdziwą wiedźmą. Gdybym była na miejscu Roberta, wsadziłabym jej łyżkę z zupą w dekolt – stwierdziła Maria Jordan. – A tak w ogóle to gdzie on jest? Powinien z nami polerować sztucce.

Auguste zachichotała i napiła się kawy z mlekiem.

– Musiał jeszcze pójść do wozowni. Młodzi państwo chcą jutro rano zrobić sobie przejażdżkę konną i wziąć sanie, musi więc je doprowadzić do porządku.

– No, to będzie problem. Od prawie roku stoją w wozowni i płozy na pewno już pordzewiały.

Auguste przytaknęła i dodała, że również skóra pokrywająca siodła powinna zostać nasmarowana. Wzięli się do pracy we trzech. Stary ogrodnik Bliefert, jego wnuk Gustav i Robert.

– Żadna to przyjemność marznąć w lodowatej wozowni.

Jordan sięgnęła po następną solniczkę. Melzerowie mieli dwadzieścia cztery te śliczne przedmioty, a w komplecie były również łyżeczki do soli, które wyglądały jak miniaturowe chochle. Solniczka stała obok każdego nakrycia, można więc było samemu dosalać sobie potrawy do smaku.

– Biedni krewni ściągają tu w pierwszy dzień świąt – zauważyła Auguste obojętnie. – Jak zawsze, całą ferajną. Łaskawa pani będzie więc miała swoją

uciechę.

Maria Jordan westchnęła. Żaden z pracowników nie lubił braci i sióstr łaskawego pana, których z chrześcijańskiego miłosierdzia i ze względu na pokrewieństwo zapraszano w Boże Narodzenie na świąteczną wizytę. Wszyscy mieli na twarzach wymalowaną zazdrość i chciwość, nie umieli się zachować przy stole, nie przynosili ze sobą nawet wina i dyrygowali służbą, jakby to oni byli właścicielami willi. Pracownicy zdecydowanie woleli gości, którzy pojawiali się zawsze drugiego dnia świąt, w dzień świętego Szczepana. Rodzina łaskawej pani wywodziła się ze szlachty i wiedziała, jak traktować służbę. Nigdy żaden z gości nie wpadł na pomysł, żeby wymagać od służących, by rozpalali w piecu w pokoju, który był mu przydzielony.

– Naprawdę zostawili nas same – narzekała Auguste, patrząc na swoje czarne palce. Czyszczenie sreber było jej ulubionym zajęciem, bo wszyscy razem siedzieli w kuchni, było gwarno i wesoło i ciągle gotowano kawę na kuchence.

– Przynajmniej Else mogłaby nam pomóc!

Else była w pokoju do prasowania. W poprzednim tygodniu zrobiono duże pranie i teraz góry rzeczy do prasowania piętrzyły się na półkach. Łaskawa pani wymagała, żeby co roku, na krótko przed Bożym Narodzeniem wszystko było wyprane, czyste i ułożone w szafach. Ten bowiem, kto robił pranie między Wigilią a sylwestrem, pozostawał nieczysty przez cały następny rok.

– Gdzie jest Marie, nawet nie muszę pytać – warknęła Jordan.

– Nie – odpowiedziała ostro Auguste.

Przez chwilę w kuchni panowała cisza, obie kobiety pograżyły się w myślach. Potem Maria Jordan wstała i nalała Auguste kawy z jasnyniebieskiego dzbanka.

– Przewidziałam, że tak właśnie będzie – powiedziała ponuro i zdjęła ścierkę z haka, żeby chwycić czajnik, którego uchwyt nagrzał się od ognia. – Śniłam o tym, jeszcze zanim ona się tu pojawiła.

Auguste postawiła wypolerowaną właśnie cukiernicę na stole i cieszyła się przez chwilę widokiem lśniącego srebrnego naczynia. Jaka szkoda, że ten blask utrzyma się najwyżej kilka tygodni, a później przepadnie. Cukiernica pokryje się szarym nalotem, a w końcu czernieje.

– Pani i te pani sny!

– Tylko cię to śmieszy, a one się zawsze sprawdzają.

– To bzdury przecież.

Jordan, trzęsąc się ze złości, wylała trochę drogiego środka do czyszczenia na stół i szybko wtarła go w szmatkę.

– Czyż nie przewidziałam, że Gertie długo z nami nie zostanie? I tak właśnie się stało!

Auguste prychnęła z lekceważeniem i zauważyła, że to akurat można było łatwo przepowiedzieć bez użycia magii.

– Nie mówiła pani Else w zeszłym roku, że czeka na nią wielka miłość? Wyczytała to pani ponoć z fusów po kawie. I co? Gdzie jest ta wielka miłość? Nie ma!

– Nie, ona czeka! Ale jeśli Else nic nie zrobi, to nic się nie wydarzy. Wtedy miłość będzie czekać aż do sądnego dnia!

– W taki sposób to i ja potrafię przepowiadać przyszłość! – zaśmiała się Auguste pogardliwie. – Oszczędnością i pracą ludzie się bogacą, a z niczego wychodzi zawsze nic. Każdy to wie!

Jordan milczała i czyściła zawzięcie płamę na srebrnym świeczniku. Cóż, przecież nie było tak, że Auguste zupełnie nie miała racji. Zwłaszcza z fusami z kawy, z których odczytała przyszłość. Zrobiła to zresztą tylko dlatego, że Else zaproponowała jej dwie marki za przepowiednię. Potrzebowała pieniędzy, a dla kogo, to już niczyja sprawa. Jej sny to było jednak coś zupełnie innego, nie prosiła, żeby przychodziły.

– Jestem przekonana, że Marie przyniesie nam nieszczęście – powiedziała stanowczo. – Widziałam we śnie, że idzie przez park i ciągnie za sobą czarnego psa. Czarny pies, to nie oznacza nic dobrego.

Auguste wzruszyła ramionami. Chociaż nie istniała już otwarta wrogość między nią i Marie, w żadnym razie nie były przyjaciółkami. Natomiast Else przyłgnęła teraz do Marie. Ta dziewczyna pozbawiona charakteru musiała jej coś chyba za to obiecać. Brunnenmayer też nie miała nic do Marie. Robert z zasady trzymał się z daleka od wszelkich „kobięcych spraw”, a panna Schmalzler po prostu milczała.

– Czegoś takiego tu zresztą jeszcze nigdy nie było – mruknęła Jordan. – Kto to słyszał, żeby pomoc kuchenna siedziała na górze z łaskawą panią i piła z nią herbatę.

To była woda na młyn Auguste. Opowiadano to już chyba ze sto razy i tyleż razy wybuchała gniewem, a mimo to zawsze denerwowała się tak samo mocno. Codziennie Marie szła na górę na całą godzinę, również w niedzielę. A nierzadko była wołana wieczorem. Nie po to, by służyć panią, co zresztą

nie należało do jej, pomocy kuchennej, obowiązków. Nie. One bawiły się w sztukę. Marie przebierała się w różne ubrania, które przynosiła panienka, zdejmowała czepek z głowy i rozpuszczała włosy. Wcześniej nosiła obrzydliwe stare szmaty i drewniaki, a teraz kolorowe suknie i jedwabne wstążki. Wcześniej wyglądała jak żebraczka, teraz jak artystka należąca do cyganerii.

– Czyżbyś podglądała przez dziurkę od klucza? – zapytała Jordan ze złośliwym uśmiechem.

– Niechby tylko pani zobaczyła! Panienka ją maluje. Czarnym węglem, ołówkiem, a potem kolorowymi farbami.

To była prawda. Maria Jordan też widziała, choć panienka zazwyczaj chowa rysunek do teczki albo przykrywa sztalugę płachtą.

– Kiedyś Marie miała na sobie nawet sukienkę łaskawej panienci. Mała kuchta zakłada jej jedwabne suknie i ośmiela się przy łaskawej paniencie czesać włosy. Niedługo jeszcze i jej będę musiała usługiwać, łaskawej księżniczce Marie od świętych męczennic.

– Co pani mówi?

– Tak się nazywa sierociniec, z którego tu przyszła.

– Nie ma rodziców? Jest może bękartem?

– Oczywiście!

– A skąd pani wie? – zapytała Auguste, znów mając wątpliwości co do informacji przekazywanych przez Jordan.

Jordan uniosła ramiona i zrobiła minę, która miała wyrażać tajemniczość. Tak, by się wydawało, że ta wiedza przychodzi do niej za sprawą cudownej interwencji. Prawdopodobnie było jednak tak, że potajemnie pomyszkowała po pokoju Schmalzler, gdzie na regale leżały teczki z dokumentami i książki pracownicze wszystkich zatrudnionych osób.

– Czemu my się w ogóle denerwujemy? – zastanawiała się Auguste. – Znamy przecież łaskawą panienkę Katharinę. Dzisiaj jest podekscytowana, jutro będzie zniechęcona. Znalazła sobie ładną zabaweczkę, ale jutro może być znudzona i odeśle Marie. Ona może tylko potem cierpieć. Naiwna, jeszcze nie wie, że panienka jest kapryśna.

Maria Jordan pracowała zawzięcie nad finezyjnie zrobioną nóżką świecznika. Tego typu zdobienia polerowało się bardzo trudno. Trzeba było używać zapałki, a czasami nawet igły, i ostrożnie, bardzo ostrożnie czyścić nimi wgłębienia. Mimo to i tak trochę zaczerwień zostawało.

– Odrobinę mi jej nawet szkoda – powiedziała do Auguste. – Kto się wysoko wspina, ten niżej upada. Tak to jest w życiu. I gdy już będzie tam na górze, to jeszcze pewnie uderzy w nią piorun. Tylko kto wykonuje jej pracę, gdy ona pije herbatę z łaskawą panienką i pozuje do obrazu? Przecież my, zgadza się?

– Masz całkowitą rację.

Ich narzekania przerwała kucharka, która wpadła do kuchni, ledwie dysząc, i od razu zaczęła otwierać szufladki kuchennej szafki, jedna po drugiej. Wydawało się, że szuka przypraw.

– Cały pęk cebuli zgnił w piwnicy – jęczała. – Zamoczyła się i nikt tego nie zauważył. A w spiżarni są mysie bobki, zjedzą nam całe zapasy, szare bestie. Musimy znaleźć kota. Jedna noc i nie zostanie ani jeden szkodnik!

– Nie ma pani szczęścia – powiedziała Jordan. – Łaskawa pani nie jest w stanie znieść kotów, boi się ich.

Kucharka zapisała kilka słów na kartce. Pisała ołówkiem, powoli i z wysiłkiem. Ruszała przy tym językiem.

– Ko...le...ndra, gaaałka muszkatołowa i goździki. Gwoździki...

– Potrzebujemy pomocy przy czyszczeniu sreber! – zwróciła jej uwagę Auguste.

– To nie moja działka – odpowiedziała nieco roztargniona Brunnenmayer. – Poślij po Marie. Kolendra, goździki, gałka muszkatołowa, cynam... kminek! Prawie o nim zapomniałam!

Zapisała na liście potrzebne przyprawy, spojrzała trzykrotnie na lampę przy suficie i wydawało się, że jej myśli powędrowały do tak ważnych kwestii, jak kminek, szafran i proszek do pieczenia.

– Poślij po Marie – przedrzeźniała ją Jordan, gdy ta wychodziła z kuchni. – Tak, zapukaj do pokoju panienki i powiedz, że potrzebujemy jej do czyszczenia sreber.

Uśmiechnęła się pogardliwie i spojrzała na Auguste. Ta odłożyła szmatkę i podeszła do okna, żeby je otworzyć.

– Znów jest ci niedobrze?

Dziewczyna oparła się rękami na parapecie i oddychała głęboko.

Kilka płatków śniegu wpadło z podmuchem wiatru do ciepłej kuchni, natychmiast się roztopiły i zostawiły mokrą plamę.

– Jesteś w ciąży, prawda?

Auguste nie odpowiedziała. Od dwóch tygodni dręczyły ją te nieznośne

mdłości, najpierw tylko rano, teraz w ciągu całego dnia. Czasami były tak okropne, że robiło jej się słabo i nagle widziała tylko ciemność. A od kilku miesięcy faktycznie nie miała miesiączki.

– Spokojnie możesz powiedzieć. I tak wszyscy już zauważyli.

Auguste poczuła, że dzięki świeżemu, zimnemu powietrzu robi się jej lepiej. Zamknęła okno i wróciła powoli do kuchni, pod piec, żeby ogrzać plecy.

– Czy Schmalzler mówiła już coś na ten temat? – chciała się dowiedzieć od Marii Jordan.

Ta potrząsnęła głową. Nie, gospodyni była dyskretna, nigdy nie rozmawiała z nikim o swoich pracownikach. Miała jednak badawcze spojrzenie. Prędkiej czy później zawoła Auguste do swojego pokoju. Cięża była powodem do otrzymania wypowiedzenia.

– Jeśli dobrze przeprowadzisz z nią tę rozmowę, możesz z nią ustalić, że oddasz je rodzicom. Służysz w posiadłości już rok i do tej pory byli z ciebie zadowoleni.

Auguste położyła zimne dłonie na płycie grzewczej i zaczęła je o siebie pocierać.

– Moi rodzice? – szepnęła. – Oni mnie raczej zabiją, gdy wrócę z dzieckiem do domu.

Jordan postawiła srebrny świecznik. Milczała, zastanawiając się, czy nie powinna trzymać gęby na kłódkę, ale jednak zaczęła mówić.

– Znam pewien dobry środek. Mogłabym ci go załatwić. Wieczorem możesz go wypić, a rano wszystko będzie już za tobą...

– Bardzo dziękuję. Ale ja tego nie chcę.

Jordan zdenerwowała się, bo zażądałaby za ten środek jakieś dwadzieścia marek. I na pewno by je dostała. Mężczyźni są w takich sytuacjach bardzo hojni, dziewczyna musiałaby tylko szybko go zażyć.

– A czego w takim razie chcesz? Stracić posadę i wylecieć stąd z bękartem?

Auguste usiadła na swoim miejscu i napiła się kawy. Kawa już wystygła i zrobiła się bardziej gorzka, ale jej to nie przeszkadzało.

– Chcę ślubu.

Jordan zaczęła się ironicznie śmiać.

– Chcesz wyjść za mąż? Za Roberta? On jest ojcem, prawda?

– Oczywiście. Jak możesz nawet o to pytać.

– Ale popatrz no. Ślub. Robert. Prawdziwa rodzina...

– Potrafi się pani tylko wyśmiewać – mruknęła ze złością. – Niedługo sama

pani zobaczy.

– Wierzysz, że jest tak głupi i cię poślubi?

Auguste ugryzła się w język, bo jej złość mogłaby na dobre zdradzić tajemnicę. Robertowi nie pozostaje nic innego, jak tylko się z nią ożenić. Wiedziała o nim coś, co mogło go kosztować posadę.

16

Poranne niebo było bezchmurne jak latem, miało jednak większą głębię, a jego poblask był zdecydowanie trudniejszy do zniesienia. Mocne promienie słoneczne rozświetlały drzewa i parkowe łąki pokryte śniegiem, i trzeba było zamykać oczy, żeby nie oślepnąć od tego blasku. W nocy temperatura spadała grubo poniżej zera, teraz również było bardzo zimno, mimo że słońce świeciło tak intensywnie. Był to też powód do radości wśród mieszkańców willi – ta biała kołderka z pewnością utrzyma się do świąt.

– No, chodź już – warknęła kucharka do Marie. – Zrobisz resztę, gdy wrócisz.

Marie wrzuciła świeżo obrane ziemniaki do garnka i wstała, żeby umyć ręce. Zawsze miała wyrzuty sumienia, gdy szła do łaskawej panienki, bo inni musieli wykonywać jej pracę. Ten czas, który spędzała na górze, był jednak dla niej niezwykle cenny, było to jakby nieśmiałe spojrzenie na świat, którego nigdy nie poznała. Świat, o którym mogła jedynie pomarzyć, było przecież niemożliwe, by coś tak pięknego istniało naprawdę. Na schodach dla służby wyszła jej naprzeciw Jordan. Trzymała na ręce sukienkę łaskawej panienki, z której trzeba było sprać widoczne plamy. Pokojówka posługiwała się w tym celu całym arsenałem różnorodnych fiolek i mikstur, które jednak trzymała w ścisłej tajemnicy.

– O, wysoko urodzona piękność Marie od Siedmiu Męczennic – powiedziała Jordan złośliwie. – Jako kto będziesz dzisiaj malowana? Jako księżna? Czy jako prostytutka? A może będziesz całkiem naga? Wiadomo przecież, jacy są malarze...

Marie nie odpowiedziała. To oczywiste, że wszyscy byli zazdrośni, zwłaszcza Jordan, która jej nie znosiła. Gdy łaskawa panienka przedstawiła swoją prośbę rodzicom, wywołało to sporo zamieszania. Robert jej opowiadał, że przede wszystkim łaskawy pan bardzo się zdenerwował i natychmiast, bez zbędnych ceregieli, się nie zgodził. Łaskawa pani również

nie była zachwycona niezwykłym pomysłem córki. Szczególnie że nadweryżłyoby to domowy budżet. Jednak troska o słabe nerwy Kathariny okazała się silniejsza niż wszystkie obawy. Marie została zawołana do czerwonego salonu i musiała sporo rzeczy wysłuchać z ust łaskawej pani. Że nie powinna sobie wiele obiecywać po wykonywaniu tego dziwnego polecenia. Że powinna nadrabiać zaległości w pracy wieczorami. Że nie będzie miała zapłacone za pozowanie. Że musi zachować absolutne milczenie na temat tego, co się dzieje w pokoju łaskawej panienki.

– Wchodź, wchodź!

Marie delikatnie zapukała, ale panienka Katharina miała wyostrzony słuch. Postawiła sztalugi przy oknie i rozsunęła zasłony. Panienka narzekała często na „te głupie, wiszące płachty”, które zabierają światło z pomieszczeń.

– Usiądź przy oknie, Marie. I ściągnij materiał ze sztalugi. Rozpuść włosy, tak żeby okalały ci twarz. Tak, dobrze. A teraz przesun się trochę w lewo. Już. Tak jest dobrze. Muszę to namalować farbami, twoje włosy mienią się w słońcu złotem i czerwienią, a czasami nawet mają zielony połysk.

Na początku panna Katharina wydawała się jej bardzo dziwną osobą, czasami zastanawiała się nawet, czy ma nie po kolei w głowie. Później zrozumiała, że ta młoda kobieta po prostu patrzy z innej perspektywy na świat. Jak człowiek, który wygląda pięknie i okazale, ale gdy się obróci, okazuje się, że ma kaprawe oko, a na twarzy paskudne brodawki. Albo że ma opadnięte ramię. Gdyby na to spojrzeć w ten sposób, zawsze miała rację. Nie malowała wymyślonych rzeczy, ona po prostu inaczej je widziała. Tak samo było ze złotymi, czerwonymi i zielonymi refleksami, które było widać w słońcu na jej włosach. Marie była przekonana, że naprawdę tam były.

– Weź sobie kartki papieru i ołówek, spróbuj narysować to, co ci wczoraj pokazałam.

– Dziękuję, łaskawa panienko.

– Nie powinnaś już mówić do mnie „łaskawa panienko” – zwróciła jej uwagę. – „Panienko Katharino” zupełnie wystarczy.

Marie wstała, żeby wziąć kartki, i od razu wróciła do pozowania. Gdyby chodziło jedynie o pozowanie, szybko by się znudziła. Ale były też rozmowy, które panienka tak śmiało z nią prowadziła i które dawały jej do myślenia. I rysunki, które sama mogła wykonywać. Na dobrym papierze, używając węgielków, czerwonej kredy oraz czarnego tuszu. To było jedno z jej wielkich marzeń, które teraz, przez krótki czas, mogło się realizować. Marie czuła, że to

szczęście nie może trwać długo. Gdy jednak do niej przyszło, trzymała je kurczowo obiema rękami.

– Jesteś uzdolniona, Marie. Jeśli dalej będziesz tak pilnie pracować, może zostaniesz prawdziwą artystką! Jak pięknie oddałaś ten cień. Kto ci powiedział, jak to zrobić?

– To przecież widać.

Oczywiście zdawała sobie sprawę, że panienka Katharina ma skłonności do przesady. Nigdy ona, Marie Hofgartner, nie zostanie artystką. I tak pewnie jest lepiej. Nawet jeśli łaskawa panienka Katharina wychwalała artystów pod niebiosa. Michał Anioł – jego obrazy panienka pokazywała Marie w grubej książce – ten był dla Kathariny prawie tak ważny jak Bóg. Ale to, co malował, było tak naprawdę bluźnierstwem. Przede wszystkim dlatego, że malował głównie nagich ludzi. Jego obrazy były jednak wspaniałe. Większe i piękniejsze niż wszystko, co dotychczas widziała.

Od czasu do czasu panienka Katharina wypytywała ją o różne rzeczy. O sierociniec. O czas, gdy pracowała jako szwaczka i jako pomoc domowa. Czasami wyrażała też dość niezwykle poglądy. Mówiła, że to prawdziwe szczęście, gdy człowiek może robić wszystko na własną rękę. I że aby stać się silny, musi przeciwstawić się całemu światu. Twierdziła, że lepiej jest pracować na utrzymanie pracą własnych rąk, niż żyć w luksusie, jak ona w tej willi.

– To upokarzające, żyć za pieniądze innych ludzi – powiedziała. – Po co ja jestem na tym świecie? Muszę ładnie wyglądać i zachowywać się stosownie. Wymaga się też ode mnie, żebym poślubiła mężczyznę, odpowiedniej pozycji społecznej, który będzie przynosił korzyści interesom mojego ojca.

Twierdziła, że tylko sztuka czyni jej życie znośnym. Marie chętnie by ją wyśmiała, ale oczywiście nie mogła tego zrobić. Ta młoda kobieta mieszka w bajecznie pięknym domu i ma cudownie umeblowany pokój tylko dla siebie. Do tego wspaniałe sukienki. Zimą jest jej ciepło i zawsze ma wystarczającą ilość jedzenia. I jeszcze narzeka. Cóż było złego w poślubieniu rozsądnego mężczyzny, który będzie się opiekował rodziną? Albo w tym, że mogła żyć w dobrobycie i poczuciu bezpieczeństwa? O takim szczęściu Marie nawet nie śmiała marzyć.

– Obserwowałam cię, Marie, i często wzbudzałaś mój podziw. To, w jaki sposób myślisz. Co mogę powiedzieć? Jesteś tylko pomocą kuchenną, ale potrafisz bronić swojej godności. Nie pozwalasz innym sobą pomiatać.

– Nie inaczej, łaskawa panienko. Albo uważa się na siebie, albo idzie się na dno. Kto traci siebie, zaczyna się czołgać przed innymi, pozwala się upokarzać, staje się małym człowiekiem i niszczy siebie samego...

Wypowiedziała na głos spostrzeżenia, które cały czas tkwiły w niej, ale które zawsze zostawiała jedynie dla siebie.

– Jaka ty jesteś mądra, Marie.

Jak ona nie miała o niczym pojęcia, ta córka bogatego właściciela fabryki. Uważała pewnie sierociniec za miejsce, w którym Marie została dobrze wychowana i przygotowana do dalszego życia. Cóż, przecież spędziła dwa lata na pensji dla młodych dam, tam uczyła się etykiety, języków, prowadzenia domu i tego typu rzeczy.

– Nie uwierzysz, jak ostro się tam z nami obchodzono. Nawet w niedzielne popołudnia musiałyśmy siedzieć przy haftowaniu. I każda, która dopuściła się nawet najmniejszego wykroczenia, była ukarana.

– Ukarana?

– Musiałyśmy pisać długie eseje i czasami szłyśmy spać bez kolacji.

– Ach...

Marie się zawahała. Czy byłoby w porządku, zniszczyć te barwne wyobrażenia panienki? Czy powinna jej opowiedzieć o laniu, które się dostawało w sierocińcu za nieposłuszeństwo? Miała jej pokazać blizny na rękach, które również powstały po biciu? Opowiedzieć o dniach bez jedzenia, o długich godzinach spędzonych w strasznie zimnej piwnicy, do której trafiały nieposłuszne dzieci? Jeszcze gorsze od kar wymierzanych przez Pappert i jej pracowników było to, co dziewczęta robiły sobie nawzajem.

– To było szczególnie okropne dla małych dzieci – powiedziała cicho. – Nikt nie chronił ich przed złośliwością starszych dziewcząt.

– Czy one je szczypały?

– Robiły wiele nieprzyjemnych rzeczy. W nocy, w sali sypialnej. Na początku postępowały też tak ze mną. Ale ja szybko zaczęłam się bronić, i musiały zostawić mnie w spokoju.

– Co, co więc robiły? Zabierały wam koce?...

– Naprawdę chce panienka wiedzieć?

Panienka patrzyła na nią wielkimi, przerażonymi oczami. Co sobie teraz myślała? Marie była przez chwilę przekonana, że posunęła się za daleko. Przesadziła i dlatego nigdy już nie zostanie poproszona do tego pięknego pokoju, w który mogła sobie spokojnie siedzieć i malować. Panienka jednak

doszła do siebie szybciej, niż Marie mogłaby podejrzewać.

– To okropne – powiedziała. – Ale nawet takie okropieństwa są częścią naszego życia.

Cóż, oczywiście, pomyślała Marie. Jeśli się tego nigdy nie doświadczyło na własnym ciele, można w ten sposób na to patrzeć. Zdawała sobie sprawę, że choć panienka słuchała jej strasznych opowieści, to i tak nie była w stanie ich w pełni zrozumieć. Bardzo szczegółowo opisywała jej, jak ciężko musiała pracować jako pomoc domowa, jak krótko sypiała, jak wczołgiwała się na duszne półpiętro nad kuchennym piecem, gdzie było jej miejsce do spania, a mimo to tęsknota panienci Kathariny za prostym życiem pozostawała niezmienna.

– To dla mnie wielkie szczęście, że cię spotkałam, Marie. Nikt inny nie potrafiłby mi tak barwnie opowiedzieć, co się dzieje w prawdziwym świecie. Ty znasz takie życie. To inne życie. Takie prawdziwe. A do tego jesteś bardzo utalentowaną artystką. Jak ja długo musiałam się męczyć, żeby narysować coś we właściwych proporcjach. A ty... ty rysujesz prosto i wszystko jest doskonałe. Ach, Marie, chciałabym, żebyś była moją przyjaciółką...

Panienka Katharina nie miała wielu przyjaciółek, a jej siostra Elisabeth przeciwnie – ciągle zapraszała na herbatę jakieś młode damy. Było tak prawdopodobnie dlatego, że panienkę Katharinę okropnie nudziły tematy związane z modą, mężczyznami i innymi dziewczętami. Znacznie bardziej wolała rozmawiać o życiu, o sztuce i Marie była sobie w stanie wyobrazić, że te nietypowe zainteresowania i poglądy panienci mogły spotykać się z nierozumieniem.

– Marie?

Panienka trzymała wciąż pędzel w dłoni, ale to, co chodziło jej właśnie po głowie, nie zdawało się mieć związku z rysunkiem.

– Tak, panienko Katharino?

Marie była pochłonięta rysowaniem. Teraz wpatrywała się z fascynacją w kolorowe punkty i plamy na płótnie panienci. Wyglądały jak rozbłyskające fajerwerki.

– Byłaś już kiedyś zakochana?

Marie milczała zdumiona. Co to było za pytanie!

– Tak – powiedziała wolno. – Ale nie przyniosło to nic dobrego.

Panienka wsadziła pędzel do szklanki z wodą i wytarła palce ściereczką. Nie wyglądała na zadowoloną.

– Dlaczego mówisz, że to nie było dobre?

– Bo przyniosło wiele smutku.

Panienka pokręciła głową z dezaprobatą i zapewniła Marie, że musi być w błędzie.

– Zastanów się, o czym mówisz, moja mała, kochana Marie. To musiała być jedynie niezbyt intensywna fascynacja, nic więcej. Prawdziwa wielka miłość jest nieskończenie cudownym uczuciem. Nie ma nic piękniejszego na tym świecie niż kochanie kogoś całym sercem.

O nie, pomyślała Marie. Te słowa brzmią tak, jakby łaskawa panienska faktycznie dała się nabrać temu Francuzowi. Temu piękniśowi, o którym opowiadała Auguste. Ona zna się z pokojówką z domu Riedingerów i dysponuje wszelkimi możliwymi plotkami.

– Możliwe, że naprawdę tak jest – powiedziała Marie niepewnie. – Ja jednak jeszcze tego nie przeżyłam.

Panienka się uśmiechnęła i nie zostało już śladu po jej spochmurnieniu. Marie była wciąż bardzo młoda, pewnego dnia miłość przyjdzie i do niej i uczyni ją szczęśliwą.

– To jest jak wędrowanie po niebie. Kochany przez ciebie człowiek jest wszędzie, gdzie ty jesteś, bo żyje w twoich myślach. Cokolwiek robisz, on stoi obok, szepcze ci słodkie słowa, powtarza to, co już mówił, ale dodaje też ciągle coś nowego, co jest jeszcze piękniejsze i bardziej fascynujące.

– A więc tak to jest z miłością... – powiedziała Marie niepewnie. – To brzmi prawie przerażająco. Jakby się traciło samego siebie.

– Taka jest właśnie natura miłości – powiedziała panienska. – Oddajesz siebie i otrzymujesz za to coś bardzo cennego. Serce ukochanej osoby, jej duszę, całe jej istnienie.

Marie była zadowolona, że ktoś właśnie zapukał do drzwi, bo na te niesamowite wynurzenia panienski musiałyby odpowiedzieć coś, co najpewniej by się jej nie spodobało. Drzwi po chwili się otworzyły i wszedł panicz.

– Tutaj się chowasz, siostrzyczko. Myślałem, że będziesz na dole, w holu. Dziewczęta dekorują choinkę!

– Ach! – zawołała panienska z przerażeniem. – Zupełnie zapomniałam. Chodź, Marie, musimy zejść na dół i pomóc. To dopiero byłoby, gdybym w tym roku przegapiła strojenie choinki. To u nas tradycja, że robią to wszystkie kobiety mieszkające w willi.

Szybko rozpięła fartuch malarski, który chronił jej suknię.

– Tylko bez pośpiechu – zaśmiał się jej brat. – Robert i Gustav dopiero rozstawili jodełkę. Przedstaw mi najpierw lepiej swoją piękną modelkę.

Marie siedziała na krześle jak sparaliżowana, tylko blok papieru, który trzymała w rękach, nieco drżał. Oczywiście wiedziała, że panicz wrócił do domu z Monachium. Ale to, że wszedł nagle do pokoju, podziało na nią tak, jakby zła wróżka dotknęła ją swoją różdżką i zamieniła w kamień.

– To jest Marie – powiedziała panienka, zrzucając fartuch na podłogę. – Czyż nie jest zachwycającą modelką? Znalazłam ją na dole, w kuchni.

Marie spojrzała na młodego mężczyznę. Oczywiście nie pamiętał, że już raz ją widział. A może jednak przypomniał sobie to krótkie spotkanie? Starła się uporządkować myśli, ale czuła na niego ogromną złość, która zaczęła ją zalewać jak krew. Szybko zeskoczyła z fotela, nie wypadało siedzieć przy młodym panu.

– W kuchni? – zapytał z uśmiechem, taksując ją wzrokiem od stóp do głów. – Ale przecież nie u nas w willi?

– Jestem pomocą kuchenną, łaskawy panie – powiedziała i poczuła się szczęśliwa, że była w stanie wymówić te słowa. – Od października jestem u państwa na służbie.

Nagle zdała sobie sprawę, że stoi przed nim z rozpuszczonymi włosami. Pośpiesznie chwyciła czepek i wsunęła w niego ciemne, niesforne włosy, opadające jej na plecy. Jej zmieszanie było tym większe, że każdy jej ruch młody pan śledził wzrokiem wyrażającym jednocześnie zdumienie i zachwyt.

– Jak na dziewczynę z kuchni jesteś zbyt piękna, Marie – powiedział zmienionym głosem.

Te słowa nie były dla niej niczym nowym. Właściciel domu, w którym wcześniej pracowała, mówił to samo. On również starał się nadać swojemu głosowi uwodzicielski ton. Uważała, że to śmieszne. Miękki, zaczepny głos młodych panów był jednak niebezpieczny, mógł poruszyć i sprawić, że dreszcz przechodził po całym ciele.

– Mylisz się, łaskawy panie. Nie jestem piękna.

Roześmiał się i z zaciekawieniem spojrzał na płótno stojące na sztalugach. Wydawało się, że nie bardzo wie, co zrobić. Zmrużył więc oczy, a na jego czole pojawiły się dwie faliste linie. Wyglądał zabawnie. Nie był pięknišem, jak wielu młodych panów, którzy smarowali włosy pomadą i podkręcali sumiaste wąsy. Był jednym z tych, którzy niespecjalnie przejmowali się swoim wyglądem, ale dodawało mu to jedynie ujmującego uroku.

– Wiesz, co oznaczają te barwne fajerwerki, Marie? Nie, nie uciekaj. Mówię do ciebie.

Jego głos stał się teraz bardziej energiczny, niemal władczy. Posłusznie została przy drzwiach, którymi właśnie chciała niepostrzeżenie się wymknąć.

– Proszę wybaczyć, łaskawy panie, ale panienska nakazała mi pójść za nią.

Odwróciła się i ośmieliła się spojrzeć mu prosto w oczy. Pod wpływem jej wzroku, pełnego wyrzutu, wydawał się czuć nieco niepewnie, rozłożył ramiona i powiedział z ironią, że oczywiście wola jego siostry jest ważniejsza niż jego.

– Do usług, łaskawy panie.

Ukloniła się i sama poczuła, że ten ruch był bardziej zalotny niż wyrażający posłuszeństwo. Gdy zbiegała na dół schodami dla służby, musiała uspokajać bijące jak młotem serce. To nic, mówiła sama do siebie. I nie będzie niczym więcej. Jestem na to za bardzo zamknięta.

17

Na dole, w holu, zgromadził się wesoły tłum. Jodła, wysoka na trzy metry, została ustawiona po lewej stronie szerokiego wejścia na schody. O ile Marie mogła się zorientować, to Else dostała zadanie zakrycia gałązkami gołego pnia drzewka na dole. Robert stał wysoko na drabinie i zgodnie z poleceniem łaskawej pani osadzał właśnie ostatnią czerwoną świecę. Auguste, Jordan i kucharka przyniosły brązowy karton i postawiły go na środku holu. Znajdowały się w nim ozdoby choinkowe.

– Robercie, myślę, że już jest w porządku. I pod żadnym pozorem nie zapomnij ustawić wiader z wodą w kątach. Na Pomorzu dwór kiedyś spłonął, bo...

– Oj, mamó – powiedziała panienska Elisabeth. – Każdego roku opowiadasz to znów od nowa...

– Liso, nie da się za wiele opowiadać o tym zdarzeniu.

Marie wybiegła z kuchni i otworzyła drzwi do holu, żeby podziwiać piękne drzewko. Poczowała intensywny zapach żywicy i igieł, który przypomniał jej chrześcijańskie msze w bazylice Świętych Ulryka i Afry. Dzieci z sierocińca musiały się wtedy ładnie ubrać i w parach – zawsze dwie dziewczynki razem, trzymając się za ręce – szły do kościoła ciemnymi ulicami. Któregoś razu szła ze swoją przyjaciółką Dodo – jak dawno to było.

– Nie, Kitty, nie chcę, żebyś wchodziła na drabinę. Zostaw to Robertowi. Możesz mu jednak podawać bombki.

Biedny Robert. Gdy łaskawa panienska podawała mu czerwoną bombkę, wziął ją, jakby była kulą żywego ognia. Miłość nie była szczęściem, lecz największym dopustem. Pod żadnym pozorem nie można sobie na nią pozwolić.

– Marie! Co ty tak tam stoisz?

To gospodyni, panna Schmalzler. Złapała Marie za ramiona i popchnęła ją do kartonu z ozdobami. Wszystkie pudełka były już otwarte i bił z nich wielki

blask. Błyszczały złote i czerwone bombki, gwiazdy ze złotego papieru i ze srebrnej lamety. Dla bezpieczeństwa wszystkie były pakowane w gazetę.

– Weź bombkę i powieś ją na drzewku – poleciła panna Schmalzler. – A potem idź do kuchni i zajmij się swoją pracą.

– Tak, panno Schmalzler.

Bardzo ostrożnie wyjęła z kartonu złotą kulkę i wywołała tym uśmiech na twarzy łaskawej pani. Wyglądało na to, że Alicia Melzer niesłychanie się cieszy tą chwilą. Pokazywała gestami, gdzie i które powinny być powieszone, od dołu drzewka do góry i tak, by były widoczne z każdej strony. Zmuszała tym samym biednego Roberta do przestawiania drabiny w tę i z powrotem. Robert miał najwięcej pracy, gdyż kobiety dosięgały jedynie do niższych gałęzi jodły. Rano w Wigilię będzie można wieszać pierniki, które wypiekano razem z kucharką. Pod żadnym pretekstem nie można było robić tego wcześniej, bo jak wskazywało doświadczenie, te słodkie bombki znikają w tajemniczy sposób, tak że pierwszego świątecznego dnia nie można było odnaleźć nawet konika czy brązowego serduszka pośród zielonych gałęzi.

– Robercie, dziękuję, że zgodziłeś się poroznosić prezenty pracownikom – powiedziała łaskawa pani, przez cały czas uważnie oglądając drzewko.

– Proszę wybaczyć, łaskawa pani, ale otrzymałem polecenie, żeby powieźć panienki na saniach. Młody pan i pan Bräuer będą nam towarzyszyć konno.

– Ach! – zawołała Alicia Melzer gniewnie. – Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?

– To był wspaniały pomysł Paula, mamó – wyjaśniła panienka Elisabeth. – Kitty i ja, nikt nas nawet nie zapytał o zdanie. Prawda, Kitty?

Panienka Katharina stała na stołku i wieszała kawałek srebrnej lamety na zielonej gałęzi. Była tak zajęta, że jedynie przytaknęła.

– Paul tak zarządził? – zapytała łaskawa pani już nieco udobruchana. – Cóż, jest to naprawdę dobry pomysł, zwłaszcza przy tej pogodzie. Panno Schmalzler, powiedz Gustavowi, że będzie musiał roznieść kilka paczek. A jeśli on nie da rady, zorientuj się, kto by to mógł być.

– Ależ oczywiście, łaskawa pani.

Marie już wiedziała, kto to będzie. Najpierw musiała jednak obrać ziemniaki na obiad, obrać warzywa, pokroić cebulę do pieczenia. Potem jeszcze umyć blachy do pieczenia, a drzewko, owszem, zaraz będzie stało w holu w pełnej krasie, pięknie i bogato zdobione, ale potem trzeba będzie tam pozamiatać i umyć podłogę. Z westchnieniem Marie przewidziała też, jak zakończy się

cały proces sprzątanía. Gdy młodzi państwo wrócą z zimowej wycieczki, wejdą mokrymi od śniegu butami do holu.

– Marie! Chodź już, musisz poroznosić prezenty! – krzyknęła Brunnenmayer z kuchni.

Wczoraj wieczorem razem pakowali paczki przy kuchennym stole. We wszystkich było to samo: dziesięć ciasteczek świątecznych, dokładnie odliczonych, zapakowanych w papierową tubkę z kolorowym nadrukiem. Kiełbasa i kaszanka zawinięte w papier pergaminowy, mała butelka czerwonego wina, które Robert nazwał „szczawiem z późnego winobrania”. Do tego kawałek bawełny z kolorowym wzorem, według Jordan za mały na uszycie sukienki, za duży na bluzkę. To były materiały z błędami w nadruku, na których wzory nie nachodziły na siebie tak jak trzeba. Materiały, które tak naprawdę trzeba byłoby wyrzucić, dzięki temu znalazły jednak swoje zastosowanie.

– Te trzy paczki powinny zostać dostarczone na przedmieścia, znasz dobrze tę okolicę, prawda?

Kucharka ułożyła już te bożonarodzeniowe dary w dużym koszu, a adresy znajdowały się na liście. Marie od razu rozpoznała ulice i wiedziała, że są to najbiedniejsze dzielnice miasta.

– Oczywiście musisz pilnować, żeby ci żadnej z tych rzeczy nie ukradziono – ostrzegęła kucharka. – Przed świętami na ulicach jest dużo motłochu.

– Będę uważać.

Włożyła grube skarpety i zarzuciła na ramiona wełnianą chustę, którą jej podarowano. Nie bała się zimna, doświadczyła go wiele razy, nie podobało jej się jedynie to, że mogła gdzieś na ulicy spotkać swoich dawnych państwa. Gdy wyszła na dziedziniec tylnym wyjściem, drobne płatki śniegu wirowały w lodowatym zimowym powietrzu. Z głębi parku dał się słyszeć rytmiczny dźwięk dzwonek, a po chwili również głośnie i radosne głosy oraz parskanie koni. Na parkowej drodze pojawił się jeździec, kierując się ku bramie, a za nim jechały czerwone sanie, które ciągnęły dwa konie. Drugi jeździec podążał za saniami. Wydawało się, że uczestnicy kuligu chcą zrobić próbną rundę wokół posiadłości, zanim wyjadą na niepewny teren lasów i łąk.

– Hej, Marie! – usłyszała głos panienki Kathariny. – Wsiadaj! Mamy jeszcze miejsce na saniach!

Marie nigdy nie widziała tak wspaniałych sań, miały kształt otwartego powozu, z przodu dźwżył lejce Robert, a obie panienki siedziały naprzeciw

siebie, otulone w futra i koce.

– No proszę cię, Kitty – usłyszała panienkę Elisabeth. – Pomoc kuchenna ma z pewnością inne rzeczy do zrobienia niż jazda z nami na wycieczkę.

Panicz pomachał radośnie w stronę okna znajdującego się na pierwszym piętrze, przy którym prawdopodobnie łaskawa pani obserwowała zimową eskapadę. Płozy sań skrzypiały i tarły na zwirowej drodze, bo rano ogrodnik odgarniał z niej śnieg. Drugi jeździec niemal nie widział Marie, bo wiatr sypał śniegiem i musiał przymknąć oczy. Marie nasunęła wełnianą chustę na głowę i mocno zawiązała na piersiach.

– Uwważaj, żebyś się po drodze nie przeziębila – rzuciła do niej złośliwie Jordan.

Wszyscy pracownicy byli zadowoleni, bo mogli przetrwać to zimno w ciepłych pomieszczeniach willi. Marie szła energicznie. Wcześniej dowiedziała się, że żelazna brama do parku nie została zamówiona przez dyrektora Melzera. Duży obszar parkowy, na którym stała teraz posiadłość, był w poprzednim stuleciu ogromnym ogrodem, który założył bogaty kupiec z Augsburga. Melzer wybudował fabrykę włókienniczą przy tym pięknym ogrodzie i po kilku latach udało mu się wykupić ten klejnot natury od spadkobierców kupca. Jakie to dziwne, myślała Marie, gdy szła ulicą obok zabudowań fabrycznych. Murowana posiadłość i park z egzotycznymi gatunkami drzew został kupiony za pieniądze, które zarobiono w tych ciemnych fabrycznych halach. Jak to możliwe, że z brudnych pieniędzy powstały tak piękne rzeczy?

Za bramą Jakoba ulice stawały się coraz węższe, budynki wyglądały na zniszczone, a w chodniku widniało mnóstwo głębokich dziur. Nikt tutaj nie sprzątał śniegu, poodgarniano tylko wąskie ścieżki prowadzące do domów. Unikano jeżdżenia tymi drogami samochodami i wozami ze strachu przez zniszczeniem kół lub osi. Jedynie dzieci biegały wokół i rzucały w siebie śnieżkami albo gdzieś po kątach powierzały sobie sekrety. Kilku chłopaków wrywało sobie papierosy, które palili w pośpiechu, niezbyt zręcznie się z nimi obchodząc. Gdy Marie przechodziła obok nich, zaczęli ją zaczepiać i jeden odważył się zawołać:

– Ej, ty! Pokaż, co tam masz w tym koszu!

Zaczęli się śmiać. Znała ten typ wyrostków, nieraz musiała się przed takimi bronić. Byli głośni, ale nie niebezpieczni.

– Wąsów jeszcze nie ma, ale skręt w ustach już jest – krzyknęła. – Zwiewaj

albo ci pokażę!

Pierwszy adres odnalazła szybko. Niechlujnie ubrana, gruba kobieta otworzyła drzwi i wyrwała jej pakunek z rąk.

– No, wreszcie!

Gdy powiedziała te słowa, buchnęła chmura alkoholu.

– Podziękuj pani dyrektorowej i wesołych świąt.

– Wesołych świąt.

Chwilę później do drzwi przyczłapał mężczyzna i zaczął domagać się oddania pakunku.

– To należy do mnie! Zabieraj te grube łapska, pijana rozpustnico!

Marie nie miała ochoty oglądać tej sceny, śpieszyła się, żeby dostarczyć następne pakunki. Tym razem musiała szukać dłużej, bo nie mogła odnaleźć numeru domu. Wspięła się wreszcie po krętych, zniszczonych schodach, przeszła obok śmierdzącego klozetu i zapukała do drzwi. Otworzyło dwoje dzieci, chłopiec o blond włosach i ciemnowłosa dziewczynka, trzymająca na rękach czarno-białego kota.

– Mamy nie ma w domu...

– Chciałabym tylko zostawić prezent. Z okazji świąt Bożego Narodzenia. Połóż paczkę na stole, ale nie otwieraj, dopóki mama nie wróci do domu, dobrze?

Oboje skierowali wzrok na pakunek i obiecali tak zrobić, jak Marie im kazała. Marie popatrzyła jeszcze raz na drzwi, na których nie było żadnej tabliczki, ale po chwili doszła do wniosku, że paczka na pewno dotarła na właściwe miejsce. Zeszła schodami na dół. Pozostała jeszcze tylko jedna paczka. Och, jak bardzo tęskniła za ciepłym piecem w kuchni. Za filiżanką kawy z mlekiem. Może dostałaby też pierniczek w kształcie serca...

Na dole, na jednej z uliczek, omal nie została potrącona przez mężczyznę, który pchał taczkę z kilkoma beczułkami.

– Uwaga! – warknął na nią.

Szła za nim, szukając ostatniego adresu. Zatrzymał się przed knajpą, a Marie zorientowała się, że to miejsce, którego ona szuka. „Zielone Drzewo” było napisane na szyldzie przy wejściu.

– Pani Deubel, czy tutaj mieszka? – zapytała gospodyni ubranej w łachmany, która brała właśnie beczułkę od mężczyzny z niezadowoloną miną.

– Na górze!

Gdy wspinała się schodami na górę, usłyszała narzekania gospodyni, która

najwyraźniej miała wiele do zarzucenia sznapsowi przywiezionemu przez mężczyznę. Na klatce schodowej było zimno i wietrznie, i gdy wreszcie znalazła się przed drzwiami z tabliczką „Deubel”, miała zamiar po prostu zostawić paczkę na progu i jak najszybciej stąd uciec. Kiedy właśnie tak chciała zrobić, drzwi otworzyły się z przeciągłym skrzypnięciem. Zobaczyła spiczasty nos i wystający podbródek właścicielki mieszkania. Pani Deubel miała na głowie wełnianą chustę, która zakrywała czoło. Małe jasne oczy świadczyły jednak o tym, że nie była zalęknioną staruszką, ale energiczną, czujną kobietą.

– Przychodzisz od pani dyrektorowej? Pewnie przynosisz prezent świąteczny? Wejź do środka, dziewczyno, jesteś przemarznięta.

Marie uznała, że kobieta jest nieco przerażająca. Prawdopodobnie to wrażenie wywoływał kontrast między jej drobnym, wątłym ciałem i bystrymi, niebieskimi oczami.

– Bardzo dziękuję, pani Deubel, ale chciałabym zostawić paczkę, bo muszę szybko wrócić.

Możliwe, że starsza pani miała lepszy wzrok niż słuch, bo nie zważając na sprzeciw Marie, wprowadziła ją do mieszkania. Dziewczyna z wahaniem weszła do małego pokoju. Najbardziej zaskoczyło ją to, że w piecu palił się ogień i w pomieszczeniu było przyjemnie ciepło.

– Połóż to na komodzie – powiedziała kobieta i usiadła na wiklinowym fotelu, na którym leżała poduszka. – Dobrze wiem, co jest w środku. Co roku to samo. Kiełbasy są dobre, wino zawsze daję zięciowi. Gdy córka nie chce, żeby był w domu, wysyła go do knajpy. On wie wszystko o winach i piwach... Usiądźże na stołku, dziewczyno. Masz przecież kilka minut dla starszej kobiety.

– Tak naprawdę muszę szybko być z powrotem...

Mimo to usiadła na stołku, słuchała paplaniny staruszki i ogrzewała zmarznięte kończyny tym cudownym ciepłem, którym promieniał pokój. Jakie zabawne przedmioty zgromadziła ta kobieta. Drewniane kloce, w których ktoś rzeźbił postacie ludzkie i zwierzęta, ale nie ukończył pracy. Wyglądały tak, jakby te biedne istoty chciały wyswobodzić się z drewna, w którym zostały uwięzione, ale części ich ciał utknęły w nim na zawsze. Na komodzie stała rzeźba wykuta w kamieniu, przedstawiająca głowę kobiety, też niedokończona. Twarz była gotowa, ale włosy jedynie pobieżnie zarysowane. Marie patrzyła na rzeźbę i miała nieodparte wrażenie, że już tu kiedyś była. Może jednak

poczucie to wywoływało po prostu ciepło pieca i paplanina starszej kobiety. Wiedziała też, że gdy z zimna nagle wchodziła do bardzo ciepłego pomieszczenia, miała lekkie zawroty głowy.

– Gdy tak ci się przyglądam, dziewczyno, wydaje mi się, że cię znam. Pochodzisz z Augsburga?

– Tak, oczywiście... Byłam w tej części miasta na służbie. Może widziała mnie pani kiedyś na ulicy. Robiłam zakupy i zabierałam czasami dzieci ze sobą.

– Nie, nie. Od wielu lat nie wychodzę na ulicę. Siedzę sobie tutaj ciągle przy piecu i czekam, aż córka przyniesie mi jedzenie. A powiedz no, nie jesteś przypadkiem Hofgartnerówną?

Serce Marie na chwilę zamarło. Kobieta znała jej nazwisko. Jak to możliwe?

– Tak, nazywam się Hofgartner. Marie Hofgartner.

– Marie – powtórzyła kobieta z zadowoleniem. – Ach, więc takie dała imię dziewczynce. Marie. Biedactwo. Nikt jej nie chciał, więc odesłali ją do sierocińca...

– O kim pani mówi? – pytała Marie.

Starsza kobieta mrugnęła jasnyniebieskimi oczami. Zmierzyła Marie starym wzrokiem i znów przytaknęła, kiwając głową.

– Od razu to wiedziałam. Bo ty masz oczy swojej matki. Ona była w połowie Francuzką, dlatego miała takie oczy. Jak czarny jedwab. Tak czarne, że można się było w nich przeglądać jak w lustrze.

– Znała pani moją matkę? – wyszeptała Marie.

Powiedziano jej tylko, że matka umarła. Cierpiała na gruźlicę, a pochowano ją na cmentarzu Hermana. Była biedna i niczego jej nie zostawiła, nawet nazwiska ojca. Tylko tyle wiedziała. Jeśli coś opowiadała, to było to imaginowane, wymarzone albo po prostu celowo przeinaczone.

– Jeśli jesteś Marie Hofgartner, to oczywiście znałam twoją matkę. Wtedy mieszkała tutaj. Początkowo wynajmowała dwa pokoje obok siebie, ale później było ją stać tylko na jeden, a i tak ciągle była nam dłużna pieniądze. A za te pieniądze kupowała farby, papier i ołówki.

Marie wydawało się, że śni. Ta groteskowo wyglądająca kobieta, ten dziwny pokój, w którym ponoć kiedyś mieszkała jej matka. Przecież to nie mogła być prawda. Musiała mówić o jakiejś innej kobiecie, która też nosiła nazwisko Hofgartner. To nie było przecież rzadkie nazwisko. Podobnie jak imię Marie. To musi być jakaś pomyłka. Albo ta starsza pani właśnie wszystko sobie

wymyśliła. Co za niestworzone rzeczy opowiadała?

Luise Hofgartner malowała. Z tego żyła. Początkowo chodziła po bogatych domach i malowała dzieci, i za to dostawała pieniądze. Później, gdy była chora, zleceń miała coraz mniej. Ciągłe kaszlała, dlatego nie chciano jej wpuszczać do domów.

– Zawsze gdy szła malować, zabierała ciebie ze sobą. Była dobrą matką. Była zrozpaczona, gdy wiedziała, że umrze i nie będzie miała z kim zostawić dziecka. Hofgartnerówna była jednak bardzo uparta i bezczelna. Jeśli ktoś jej nie odpowiadał, nie chciała malować dla niego. Mógł jej wiele proponować, ale ona wolała mieć długi, niż wyrazić zgodę. Pewnego dnia przyszli jacyś mężczyźni i wszystko jej zabrali. Meble, które jeszcze były jej...

Z głośnym skrzypnięciem otworzyły się drzwi i staruszka przerwała. W progu stała gospodyni, którą Marie widziała na dole, w knajpie. Niosła tacę, na której stał talerz z chlebem i serem oraz kubek z jakimś parującym napojem.

– Co tak zagadujesz tę biedną dziewczynę na śmierć? – warknęła i odsunęła na bok pakunek od pani Melzer, żeby postawić tacę na komodzie.

– A co ty nie widzisz, Mathilde? Przecież to jest dziewczyna z Hofgartnerów. Marie. Wyrosła, biedna mała. Ładna jest i wygląda tak samo jak Luise...

Gospodyni potrzebowała trochę czasu, żeby pozbierać w głowie znane jej fakty. Przyptarywała się Marie, potem spojrzała na matkę, potem znów na Marie, która wciąż siedziała bez ruchu na stołku.

– Jesteś Marie Hofgartner?

– Tak, nazywam się Marie Hofgartner... Ale ja nie wiem, czy...

Gospodyni nawet jej nie słuchała. Z grymasem na twarz zaczęła przypatrywać się jej, jakby była niebezpieczną złodziejką.

– Tak, tak, Marie Hofgartner. I przyniosłaś prezenty? Jesteś może na służbie u dyrektora Melzera?

Marie przytaknęła. Powiedziała, że jest zatrudniona w kuchni.

– Patrzcie no – powiedziała do siebie właścicielka knajpy. – W kuchni. Właściwie czemu nie.

– Pamiętasz to jeszcze, Mathilde? – zapytała staruszka. – Pamiętasz, jak przyszli ci mężczyźni i zabrali jej rzeczy? Meble, ubrania, a nawet kołdrę? I narzędzia, których używała do malowania. Nawet się wtedy nie skrzywiła. Przycisnęła tylko mocno dziecko do siebie i pozwoliła działać się temu, co się

działo. To było takie niesprawiedliwe...

– Zamknij się! – wtrąciła się gospodyni. – To nie są sprawy, w które możemy się mieszać. Nic o tym nie wiemy. Niczego nie widziałyśmy.

Starsza kobieta spojrzała z wyrzutem na córkę i wymruczała coś pod nosem. Teraz dopiero było widać, że prawie nie ma zębów.

– To było bardzo okrutne – kontynuowała wyraźnie zdenerwowana. – Stał się okropny grzech. Pan Bóg wszystko to widział.

Marie chciała zapytać, czy wszystkie meble zabrano z mieszkania. Zanim jednak zdążyła otworzyć usta, gospodyni chwyciła ją mocno za rękę.

– Wstawaj i idź już sobie – powiedziała ostro. – I więcej nie przychodź. Zrozumiałaś? Nigdy więcej nie chcę cię tu widzieć, Marie Hofgartner.

Jej uścisk był naprawdę mocny i z pewnością pozostawi siny ślad. Jeszcze bardziej nieprzejednany był wyraz jej twarzy, który dał Marie wyraźnie do zrozumienia, że mówiła poważnie.

– Nie rozumiem...

– I nie musisz. Ruszaj stąd!

Marie spojrzała pytającym wzrokiem na starszą kobietę, ale ta była już zajęta moczeniem chleba w herbacie. Dzięki temu łatwiej jej było go jeść. Marie wstała rozgniewana. Najpierw opowiadają jej niestworzone rzeczy, a później tak po prostu wyrzucają.

– Dziękuję za miłe przyjęcie – rzuciła z ironią. – I wesołych świąt.

Chwyciła za klamkę i zamknęła za sobą drzwi. Na schodach usłyszała, jak właścicielka beszta staruszkę.

– Czy ty już zupełnie zdziecinniałaś na starość? Mówisz, co ci ślina na język przyniesie!

– To, co jest prawdą, prawdą pozostanie. Co mnie obchodzi, że Melzer będzie wściekły? Pewnego dnia Bóg i jego ukaże za jego grzechy. Jestem stara i wkrótce umrę.

– A to, że mnie narobisz problemów, jest ci obojętne? A może sobie myślisz, że ja niedługo też kopnę w kalendarz? To by ci pasowało, ty stara...

Marie stała na schodach. Dobrze usłyszała? Czy ta staruszka naprawdę powiedziała „Melzer”? Czy miała na myśli dyrektora Melzera? Czy to on zabrał tamtej biednej kobiecie wszystkie meble? Czy była zadłużona u niego?

Na dole w drzwiach do knajpy kotłowali się nowi klienci, a w środku kilku mężczyzn coś jadło, piło piwo w kufkach i przywoływało gospodynię. Marie śpieszyła się, żeby opuścić ten dom.

Gdy była już na zewnątrz, poczuła gryzące zimno. Nasunęła chustę na głowę, żeby zasłonić uszy, i poczuła od razu, jak mróz wspina się po jej nogach. To już nieważne. Będzie szła bardzo szybko przez pół godziny, a później się ogrzeje przy kuchennym piecu. A nad tą dziwną sprawą, o której opowiedziała jej staruszka, nie powinna się zastanawiać. Z pewnością wszystko wymyśliła. Jej matka nigdy nie żyła w biedzie. Była bogata i szczęśliwa i bardzo kochała ojca Marie. Mieszkali w pięknym domu w dobrej dzielnicy aż do śmierci. Tak właśnie było, wiedziała o tym dobrze. Bo tak to sobie wymyśliła. Ale jednak... Gdyby ta staruszka wszystko sobie tylko wydumała, jej córka nie miałaby powodu, żeby się aż tak zdenerwować. „Co jest prawdą, prawdą pozostanie”, powiedziała staruszka. Dyrektor Melzer wyniósł wszystkie rzeczy z pokoju Luise Hofgartner, dlatego że była u niego zadłużona...

– Jest tutaj! – usłyszała za sobą radosny, męski głos.

Była tak pochłonięta rozmyślaniami, że wcześniej nie usłyszała dzwoneczków przy saniach. Gdy się odwróciła, zobaczyła nadjeżdżające konie. Ich chrapy parowały w lodowatym powietrzu. Z przodu jechał Robert, a jego kurtka i czapka były mocno przyprószone śniegiem.

– Marie, mój Boże. Biedactwo prawie zamarzła!

To była panienka Katharina. Pochyliła się do przodu i zaczęła ciągnąć Roberta za kurtkę.

– Stać! Zatrzymaj konie, Robercie! Pozwól jej wsiąść!

Robert posłuchał od razu, ale dwa jabłkowite konie posłuchały jego polecenia niechętnie, bo musiały zahamować bardzo gwałtownie, żeby się zatrzymać.

– No, na Boga, Kitty – jęknęła panienka Elisabeth, która w futrze wyglądała jak kura o potarganych czerwono-brązowych piórach – taki krótki kawałek naprawdę mogłaby przejść sama.

Marie była tego samego zdania, ale nikt jej o nic nie zapytał. Panicz zsiadł z konia i zawołał do Roberta, żeby został na miejscu. Zręcznie otworzył boczne drzwiczki sań i spuścił małe schodki.

– Bardzo proszę, łaskawa panienko – powiedział figlarnie i podał jej nawet rękę. – Pod futrzanym przykryciem jest przyjemnie ciepło, ale jeśli nadal byłoby ci zimno, mamy butelkę grzanego wina i trochę bożonarodzeniowego keksa.

Nie pozostało jej nic innego jak tylko wsiąść do sań, odmowa byłaby zbyt nieuprzejma. Zignorowała jednak podaną przez panicza rękę i bez jego

pomocy wsiadła sama. Zdjął z siedzenia pusty koszyk i postawił go obok Roberta.

– Chodź do mnie, Marie. Ależ jesteś lodowata. Naprawdę tylko ta cienka chusta ma cię chronić przed zimnem? Czy to jest możliwe? Jutro z samego rana porozmawiam o tym z mamą. Okryj się dobrze. Masz tu jeszcze trochę mojego wełnianego koca. I futro. Nie jest przyjemnie? Butelka z ciepłym winem, którą dała nam kucharka, jest już niestety pusta. Nie sądzi pan, drogi panie Bräuer, że Marie dobrze do mnie pasuje?

– Oczywiście, oczywiście, panienko Melzer...

Odpowiedź Alfonsa Bräuera wydawała się nieco wymuszona, prawdopodobnie nie przywykł do dłuższych jazd konnych zimową porą. Saniami trochę szarpnęło, więc ściągnął lejce i konie przesunęły się na swoją pozycję. Zadzwończy dzwoneczki z obu stron sań, a powolne sunięcie płoz po śnieżnej pokrywie było niemalże niesłyszalne.

– To jest tak, jakby się leciało – powiedziała panienska Katharina. – Jaka szkoda, Marie, że nie było cię z nami wcześniej, gdy jechaliśmy leśnymi drogami. Pod ośnieżonymi gałęziami, które wisiały nisko nad nami, obok zamarzniętych strumieni, taka gwałtowna cisza przyrody...

Marie zauważyła, że powoli wraca jej czucie w nogach, zmarznięte stopy aż bolały od tego nagłego ciepła. Tym bardziej nieprzyjemny był pełen pogardy wzrok panienski Elisabeth, która taksowała Marie od stóp do głów.

– Całkowite milczenie natury... i tylko dźwięk dzwoneczków przyczepionych do sań... – powiedziała Marie, a panienska Katharina szczerze się zaśmiała.

– Masz rację, Marie. A wyobraź też sobie, że widzieliśmy jelenia. Stał zupełnie nieruchomo na łące i patrzył, jak jedziemy. I dopiero gdy byliśmy już bardzo blisko, uciekł do lasu w kilku długich, eleganckich susach. Ach, powinniśmy częściej podziwiać przyrodę. To nieprawdziwe życie w mieście, za murami domów, to przecież takie nienaturalne. W Wiedniu jest taka sekta, która buduje szałas w lesie i kąpie się nago w rzece...

– Kitty, proszę cię! – zawołała panienska Elisabeth zarumieniona.

Panienska Katharina się roześmiała. Miała na sobie białe futro, którego kołnierz postawiła wysoko, a szerokie rondo kapelusza przewiązała wełnianym szalikiem. Jej wargi były delikatnie zaczerwienione, oczy błyszczały – była jeszcze piękniejsza niż zwykle.

– Zróbmy jeszcze jedną małą rundę przez park! – zawołała. – Tak lubię stare

drzewa pokryte śniegiem. Wyglądają jak istoty z innego świata, jak olbrzymy i leśne elfy.

Marie zobaczyła, że panienka Elisabeth przewróciła oczami, ale się nie odezwała. Prawdopodobnie wiedziała, że sprzeciw by nic nie dał, bo również panicz uważał, że można sprawić Marie tę przyjemność. A Alfons Bräuer nie ośmieliłby się przecież odmówić czegokolwiek swojej uwielbianej Katharinie.

– Zobacz, Marie, czy nie wspaniale jest tak sunąć przed siebie? O mój Boże! Słońce zachodzi! Zaraz wjedziemy prosto w różowe chmury!

Zachodzące słońce pięknie zaczerwieniło ciemne chmury nad horyzontem. Wydawało się, że są one przezroczyste i dlatego przepuszczają przez siebie ogniste płomienie, które stapiają się z linią horyzontu. Chmury nagle się rozsunęły i jaskrawoczerwone promienie zalały cały park.

– Och, jak pięknie – wyszeptała panienka Katharina.

Nawet panienka Elisabeth, która musiała się odwrócić, żeby zobaczyć to bajeczne przedstawienie, była pod ogromnym wrażeniem. Panicz zatrzymał konia i stał w ciszy, obserwując płonące zimowe niebo i zabarwiony na różowo śnieg okrywający park.

– To jest ukoronowanie naszej wycieczki – powiedziała panienka Katharina.

– Nigdy wcześniej nie widziałam takiego zachodu słońca. Och, drogi panie Bräuer, jestem panu ogromnie wdzięczna, że namówił nas pan na tę wyprawę!

– A co ze mną? – zaśmiał się panicz. – To w końcu był mój pomysł, czyż nie? To przecież ja wam obu zaproponowałem wycieczkę.

Gdy sanie znalazły się na podjeździe przed willą, Robert zatrzymał konie tuż przy wejściu, żeby młode damy od razu mogły wejść do holu. Dopiero teraz panienka Katharina zauważyła, że Marie płacze.

– Co się stało? Jesteś chora? Czy ktoś cię skrzywdził? Powiedz mi, Marie.

– To jest... Sama nie wiem... – wyjąkała Marie, gdy łzy niepowstrzymanie spływały jej po policzkach.

Panicz wziął ją za ramię, gdy zsiadała z sań. W jego szarych oczach widać było zmartwienie i współczucie.

– Czy to moja wina? – zapytał cicho. – Nie chciałem ci zrobić przykrości. Naprawdę nie. Chciałem jedynie, żebyś dzieliła z nami naszą radość.

– Nie, nie – powiedziała zaskoczona. – To nie ma z panem nic wspólnego. To tylko moje nerwy.

– Twoje nerwy? – wtrąciła się szydlerczy panienka Elisabeth. – Nie

wiedziałam nawet, że pomoce kuchenne mają nerwy.

Marie mocno naciągnęła chustę na ramiona i dygnęła przed młodym państwem, zanim pobiegła do kuchni. Na szczęście nikt inny jej nie widział.

18

Dobry wieczór, Robercie.

- Dobry wieczór, panie dyrektorze. Życzę panu błogosławionych świąt.
- Tylko spokojnie, Robercie. Święta Bożego Narodzenia jeszcze się nie zaczęły. Mimo to bardzo dziękuję.

Robert przytaknął nieco zmieszany. Zaczekał, aż dyrektor odpowiednio się umości w samochodzie, i jak najdelikatniej zamknął drzwi. Później obszedł samochód i usiadł za kierownicą. Melzer spojrzął na zegar fabryczny, którego ogromny cyferblat był dobrze widoczny nad wejściem do budynków fabrycznych. Za pięć minut kończono pracę, dzisiaj, w Wigilię, godzinę wcześniej niż zwykle. Za chwilę szeroka droga prowadząca do bramy zaczerni się od tłumy ludzi, robotników, którzy jak najszybciej będą chcieli być w domu.

- Niech pan jedzie. Na co czekamy?
- Tak, oczywiście, panie dyrektorze.

Odźwierny otworzył bramę, a Melzer wychylił się przez okno, żeby życzyć mężczyźnie wesołych świąt. Ten zdjął z głowy czapkę, ukłonił się i odpowiedział, ale z powodu huk silnika dyrektor nie był w stanie go zrozumieć. Na pewno jednak było to coś miłego. Na zewnątrz przed bramą zebrała się grupa kobiet i dzieci, które z szacunkiem odsuwały się na bok, by przepuścić jadący samochód. Melzer wiedział, dlaczego się tu zebrały. W Wigilię była wypłacana pracownikom mała premia i kobiety chciały udaremnić mężom wydanie wszystkich pieniędzy w knajpie.

Melzer znów opadł na oparcie siedzenia i poczuł się wyjątkowo niewygodnie. Zazwyczaj wracał do domu pieszo, szedł dwadzieścia minut szybkim krokiem i oddychał głęboko, żeby jak najwięcej tlenu znalazło się w płucach. Przy tej wspaniałej zimowej pogodzie chętnie zrobiłby sobie małą przechadzkę po parku, ale niestety nie miał na to czasu. Słyszał, że właśnie zawyły syreny fabryczne, ogłaszając koniec pracy, a w domu Alicia już na

pewno niecierpliwie spogląda na zegarek. Nie lubił tych wydumanych uroczystości. Możliwe, że wzięło się to z jego dzieciństwa. Dni świąteczne obchodzono po spartańsku, bo w rodzinie było dużo dzieci i ciągle brakowało pieniędzy. Oczywiście Alicia ma inne doświadczenia. W posiadłości na Pomorzu sporo wiedziano o świętowaniu, były tam pielęgnowane stare bożonarodzeniowe tradycje, ucztowano więc, zapraszano gości i urządzano radosne konne przejażdżki po pobliskich lasach i łąkach. Nawet wtedy, gdy niezapłacone rachunki zalegały na biurku jej ojca. Starał się skierować myśli na inny temat, bo nie chciał znów zdenerwować Alicii. Przecież przesadna rozrzutność i wystawność jej rodziny nie była jej winą. Spojrzał na tył głowy Roberta, później na oświetlone ulice i cieszył się z nowych lamp łukowych, które władze wreszcie zdecydowały się założyć. Emitowały co prawda wciąż słabe światło i z oddali miasto nie było zbyt wyraźnie widoczne. Kilka kształtów można było jednak rozpoznać. Na przykład okrągłą kopułę Perlachturm przy ratuszu oraz zarys bazyliki Świętych Ulryka i Afry, a reszty trzeba się było domyślić. Po drugiej stronie migotały światła hal, również w innych fabrykach szykują się do obchodzenia świąt. Rano będzie Boże Narodzenie i wszystkie maszyny na ten czas zostały zatrzymane.

Willa była bogato oświetlona. Po obu stronach portalu przy głównym wejściu nie tylko rozwieszono sztuczne oświetlenie elektryczne, ale dodatkowo wetknięto w śnieg zapalone pochodnie. Jutro, gdy przyjdą goście, ogrodnik ozdobi cały podjazd i bramę właśnie takimi pochodniami. Działo się tak na polecenie Alicii, a on się nie sprzeciwiał. Wszystko, co proponowała Alicia, było w naprawdę dobrym stylu, robiło wrażenie na gościach i zbierało pochwały. Tak naprawdę był jej bardzo wdzięczny, bo sam niezbyt się znał na tych kwestiach. Alicia od wielu lat była jego pomocną i wierną życiową partnerką, kobietą stojącą u jego boku, na której mógł polegać. Gdyby tylko była bardziej surowa w stosunku do dzieci. Kitty, jego zdaniem, ma za dużo swobody. Przede wszystkim jednak Paul. Popełnia zbyt wiele błędów, bo mama zawsze chroni swojego synka. Melzer wziął głęboki oddech, któremu towarzyszyło lekkie westchnienie. Znów powróciła złość na Alicię.

– Proszę bardzo, panie dyrektorze.

Robert zaparkował tuż przed wejściem i otworzył drzwi. Melzer wysiadł i jeszcze raz skinął mu przyjaźnie głową. Całkiem zdolny chłopak z tego Roberta. Nie tylko jest szoferem, zna się też na samochodach, wykonał już kilka napraw. Również jego pracę w domu uważał za zadowalającą, Alicia

twierdzi, że należy zatrzymać go w posiadłości, bo za kilka lat mógłby nawet zastąpić Schmalzler. Ma zadatki na dobrego kamerdynera albo lokaja, jak to się dzisiaj mówi. Kamerdyner dodaje splendoru, dzięki temu dana posiadłość cieszy się większym poważaniem. Melzer oddał Auguste kapelusze i rękawiczki, pozwolił Else pomóc sobie zdjąć płaszcz i przystanął na chwilę, by podziwiać ogromną jodłę, stojącą w holu. Zapalono świece i wyłączono oświetlenie elektryczne, żeby wzmocnić efekt i rzeczywiście zrobiło się uroczyście i tajemniczo. Przede wszystkim dlatego, że światło świeczek odbijało się w bombkach, a drzewko było ozdobione łańcuchem w kolorze delikatnego złota.

– Johannie, czyż nie jest pięknie?

Alicia podeszła do niego z błogim uśmiechem. A on nie miał serca, żeby powiedzieć, że jego zdaniem ten świąteczny wystrój to przesada. Przytaknął jedynie i mruknął, że wszystko jest perfekcyjne, jak każdego roku. Podał jej ramię i poszli razem, krok za krokiem, przez hol aż do drzewka mieniącego się złotem i czerwonią, wokół którego, jak zawsze, zebrała się służba. Wszyscy pracownicy go witali. Robert, Gustav i jego dziadek pochylili głowy, kobiety delikatnie się ukłoniły. Tylko Schmalzler nie dygnęła, wstydziła się wykonać ten staromodny gest, przywitała więc Melzera tak jak mężczyźni. Zupełnie z tyłu, częściowo schowana za grubą Brunnenmayer, stała z pewnością Marie. Melzer kilka razy spotkał ją na korytarzu, gdy wieczorem Kitty zapraszała ją do swojego pokoju. Była teraz ładną dziewczyną, nie przypominała już wygłodniałej myszy. Była niesłychanie podobna do swojej matki, co nagle odczuł jako coś okropnego. Choć poczuł w środku nieprzyjemne ukłucie, starał się uśmiechnąć serdecznie i zaczął wygłaszać obowiązkowe przemówienie bożonarodzeniowe.

– Moi drodzy mieszkańcy tego domu, choć może powinienem raczej powiedzieć, dobre duchy tego domostwa. Czym bylibyśmy my, rodzina Melzerów, bez waszej ciągłej pracy i troski? Już dawno umarlibyśmy z głodu i pewnie też byśmy jeszcze zamarzli.

Rozległ się śmiech, a on się ucieszył i starał się żartować, wygłaszając przemowę. Nazwał pannę Schmalzler „honorową szafarką zasobów domowych”, starego ogrodnika „panem na stu tysiącach drzew”, a Brunnenmayer dostał się tytuł „mistrzynie rozkoszy podniebienia”. Przemówienie zakończył podziękowaniem skierowanym do wszystkich pracowników i życzeniem, by zawsze ich łączyły wzajemne dobre relacje.

Alicia podeszła do stołu, na którym leżały prezenty zapakowane w kolorowy papier. Według obowiązującego zwyczaju w pierwszej kolejności podchodzili po nie pracownicy najniżsi rangą i w tym wypadku była to Marie. Wychudzona dziewczyna teraz wyglądała już znacznie zdrowiej, nabierała kobiecych kształtów, a ponieważ z okazji świąt zdjęła czepek, było widać, że ma gęste ciemne włosy. Mała piękność w bawełnianej sukience w szkocką kratę. A jak się poruszała! Nie jak dziewczyna z kuchni, z opadniętymi ramionami i spuszczoną głową, gdy nagle staje w centrum zainteresowania. Nie, Marie była wyprostowana i uśmiechała się promiennie jak księżniczka, gdy odbierała prezent z rąk Alicii. Melzer znów poczuł dotkliwe ukłucie, które bardzo szybko przerodziło się w gniew. Uroczystość trwała, a on myślał tylko o tym, że ta drobna istota cieszy się w jego domu niesamowitymi przywilejami. To mogło zepsuć tę dziewczynę, która już teraz zachowywała się tak władczo, jakby nie była zwykłą pomocą kuchenną, lecz co najmniej gospodynią domu. Cała ta sytuacja skończy się źle, jeśli on w porę tego nie ukróci. Eleonore Schmalzler – jak co roku – podziękowała pracownikom za ich starania, chwaliła państwa za ich wyrozumiałość i dobroć i podkreślała, jak wszyscy są dumni, że mogą należeć do służby pracującej w posiadłości. Melzer pomyślał o planach żony i przez chwilę zrobiło mu się żal Schmalzler. Bardzo była przywiązana do swojego stanowiska, zawsze rzetelnie wywiązywała się z obowiązków, taka zmiana byłaby dla niej niesamowicie bolesnym ciosem. Znał jednak Alicię i wiedział, że zapewni Eleonore Schmalzler dożywotnie utrzymanie.

Po zakończonych przemowach pracownicy rozeszli się do pomieszczeń gospodarczych i można było przejść do kolejnego punktu programu. Na górze w jadalni był już przygotowany zimny bufet dla rodziny. Aby stało się zadość tradycji, pracownicy mogli uczestniczyć w czasie Wigilii w mszy świętej w katedrze. Rodzina obchodziła swoją małą uroczystość, a później wszyscy razem jechali na wieczorną mszę świętą. Dyrektor Melzer sam prowadził samochód, w którym jechała jego rodzina.

– Widziałeś, jak ich oczy błyszczały z radości? – Mówiąc to, Alicia, która szła schodami przed nim, odwróciła się do niego z uśmiechem.

Naprawdę zadbała o swój wygląd. Włosy miała pięknie ułożone, siwe odrosty ufarbowane, i mimo pięćdziesięciu lat wciąż miała w sobie coś dziewczęcego, co go wzruszało i pociągało, ale czasami również było dość kłopotliwe.

– Tak, obdarzyłaś ich bardzo hojnie, mój skarbie.

W tym zdaniu zabrzmiała również nuta niezadowolenia. Melzer nie był zwolennikiem dawania prezentów. Jemu samemu nigdy niczego nie podarowano, ani w dzieciństwie, ani później. Wszystko, czego pragnął, sam wymusił od losu.

– Johannie, tylko raz w roku jest Boże Narodzenie.

– Oczywiście. I często małe rzeczy sprawiają największą przyjemność.

Alicia naturalnie wyczuła wyrzut, ale nie zareagowała. Był jej za to wdzięczny. W Wigilię nie powinni się spierać. A on musiał bardziej popracować nad tym, by szybciej odzyskiwać nad sobą panowanie. Tak naprawdę jego zły nastrój wynikał z faktu, że jutro przez cały dzień maszyny miały po prostu bezużytecznie stać w fabryce. A on dostał pilne zamówienie – tkaniny z nadrukiem, które powinien dostarczyć na początku roku.

Jadalnia była świątecznie udekorowana, stół pięknie nakryty, a na licznych platerach znajdowały się smakołyki na zimno, ułożone w formie bufetu. Widok ozorków i zimnych nóżek poprawił mu nastrój, od rana nic nie jadł. Elisabeth czekała na rodziców. Objęła ojca za szyję i życzyła mu radosnych świąt.

– Wcześniej musiałyśmy zawsze recytować wierszyki – zażartowała. – I śpiewać pieśni bożonarodzeniowe. Boże, jak dobrze, że te czasy już minęły!

Pierwszy raz tego wieczoru naprawdę szczerze się uśmiechnął. Próby wspólnego śpiewania, ze względu na brak odpowiednich umiejętności jego i Elisabeth, się nie powiodły. Alicia znosiła ich fałszowanie ze stoickim spokojem, ale Kitty, która była tak samo muzykalna jak jej matka, marudziła, że zaraz odpadną jej uszy.

– A gdzie pozostała dwójka? Paul i Kitty?

– Są w pokoju Kitty i pakują prezenty – zameldowała Elisabeth.

– Powinni to przygotować wcześniej – mruknął ojciec.

Nie powiedział nic więcej, ale następnego dnia miał zamiar porozmawiać z Alicią o tym, że młodych ludzi trzeba przyzwyczaić do punktualności. Życzył też sobie, by uczestniczyli w Wigilii dla pracowników w holu, w końcu jego dzieci również żyją w tej posiadłości.

– Sprawdzę, co z nimi.

Elisabeth wyszła na korytarz, a Alicia zapalała świece na stole. Przez jej uśmiech przebijał pewien niepokój, bo oczywiście wyczuwała napięcie męża, a on miał przez to wyrzuty sumienia. W żadnym razie nie chciał jej zepsuć tego wieczoru, wiedział przecież, że z niemalże dziecięcą radością zajmowała się

przygotowaniami.

– Wszystko wygląda pięknie, Alicio. A ozorki pachną aż na korytarzu.

Nagrodziła go radosnym uśmiechem. Specjalnie dla niego, dodatkowo, zleciła przyrządzenie ozorków, wiedziała przecież, że to jego ulubiona potrawa.

– Podoba ci się, że palą się oba rodzaje świateł? Myślę, że pięknie wyglądają zapalone świece podczas kolacji.

– Oczywiście, najdroższa.

Po co kazała założyć światło elektryczne w pokoju, skoro uważa, że piękniej będzie jeść kolację przy świecach? Przełknął jednak w milczeniu swoje niezadowolenie. Szczególnie teraz, gdy Kitty i Paul zostali przyprowadzeni przez Elisabeth.

– Wesołych świąt, tato! Mamo, jak tu pięknie! A jak pachnie! Igliwiem i zimnymi nóżkami, cudowne bożonarodzeniowe połączenie!

Jak nieprawdopodobnie różne były jego córki. Elisabeth raczej spokojna, o pełnych kształtach, z urody przypominała matkę. Dziewczyna, która na pierwszy rzut oka nie wydaje się atrakcyjna. Oprócz wyglądu odziedziczyła jednak po matce również stanowczość. Kitty jest zupełnie inna, mocno wrodziła się w klan swojej matki. Czarujący wróbelek, śliczna, uwodzicielska, a przy tym wrażliwa, z tendencją do ciągłych zmian nastrojów.

– W czerwonym salonie mamy dla ciebie niespodziankę, tato.

„Wróbelek” objęła go i pocałowała, przyciskając pachnące loki do jego policzków, i wyznała, że już od wielu tygodni cieszyła się na ten wieczór. Paul ograniczył się do życzenia rodzicom wesołych świąt. Darował sobie obejmowanie, bo wiedział, że ojciec uznałby to za „fałszywe pozerstwo”. Od incydentu w fabryce sprzed kilku tygodni stosunki między nim i ojcem były napięte.

– Teraz możemy spróbować, co też nasza poczciwa Brunnenmayer na dzisiaj przygotowała. Johannie, podaj mi swój talerz.

Lubił, by Alicia trochę mu usługiwała, zwłaszcza że ewidentnie sprawiało jej to przyjemność. Pozostali wybrali potrawy i z pełnymi talerzami usiedli przy stole. Uważał, że taka forma spożywania posiłków, gdy samemu nakłada się sobie jedzenie, jest dużo przyjemniejsza niż sztywne obiady, w czasie których trzeba zabawiać rozmową damę siedzącą obok przy stole i czekać, aż służący zabierze naczynia.

– Wszystko jest wyborne, mamo! Sałatka z kurczaka – prawdziwa poezja.

Tylko rostbefu nie będę jeść, to jest przecież na wpół surowe!

– To jest pyszne, Kitty – powiedział Paul. – Dokładnie takie, jak być powinno. Tatarzy swego czasu wkładali surowe mięso pod siodła, żeby dojrzewało w czasie jazdy.

– Dziękuję. Teraz na pewno tego nie tknę.

– À propos, siodło, Paul – powiedział Melzer, jedząc drugą porcję ozorków w galarecie. – Słyszałem, że sprzedałeś je Alfonsowi Bräuerowi.

Paul mógł być zły jedynie na siebie, bo sam podsunął ojcu temat. Tak, chciał wyświadczyć przysługę dobremu Alfonsowi, bo ten często pytał, czy nie chciałby mu sprzedać siodła. On sam ma drugie, należące do dziadka, które mama przywiozła z Pomorza. Melzer co prawda wyczuł, że coś jest na rzeczy, a i Alicia patrzyła na syna badawczo, jednakże nie ciągnął tematu. Skoro również Alicia niczego nie podejrzewała, jego syn sam będzie musiał ponieść konsekwencje głupoty, którą z pewnością popełnił. To może odnieść dobre albo też złe skutki. Mógł mieć jedynie nadzieję, że syn nie wdał się w rodzinę matki i że nie narobił hazardowych długów. W tym czasie Kitty recytowała pochwały na cześć młodego Bräuera. Mówiła, że jest naprawdę dobrodusznym i serdecznym człowiekiem, świetnie się z nim bawiła, a pomysł z wycieczką saniami również był jego.

– To zdolny młody człowiek – potwierdził Melzer.

Już teraz młody Bräuer był człowiekiem niezastąpionym w banku ojca. Miał naturę chytrego lisa i z pewnością wiele się nauczył od ojca.

– No popatrz, a podoba ci się on? Może już ci się oświadczył?

Alicia powiedziała mu o trzech propozycjach małżeństwa, które Kitty odrzuciła. Jeśli chodzi o Bräuera, uważałby to jednak za niefortunne posunięcie.

– Ależ nie, tato. I nie sędzę, bym je przyjęła. On jest dla mnie jak brat, jak Paul, tylko łagodniejszy i bardziej godny zaufania.

– Och, dziękuję ci, siostrzyczko! Czy twoim zdaniem tak bardzo wszystkich zawodzę?

Wzruszyła ramionami i wydeła lekko usta. Święte nieba, ta dziewczyna naprawdę była małą kokietką. Biedny Alfons Bräuer.

– Nie ma cię tu. Ciągłe jesteś w Monachium...

Melzer zapytałby teraz chętnie syna o przebieg studiów. Byłoby to pytanie podstępne, bo miał już pewną wiedzę na ten temat. Ale dzisiaj była Wigilia i odsunął tę z pewnością niezbyt przyjemną rozmowę na później.

– Nałożysz mi jeszcze trochę ozorków, moja droga? – zapytał żonę.

– Ależ z przyjemnością, najdroższy.

Pochylił się nad talerzem, konwersację pozostawił żonie i dzieciom. Rozmawiali wesoło i żywo, podnosili szklanki i wznosili toasty za mamę, za niego, w końcu za święta Bożego Narodzenia. Później Kitty i Paul poszli na górę do czerwonego salonu.

– Zamknąć oczy, nie patrzeć. Otworzyć dopiero, gdy każe!

Słysząc było dźwięk pocieranej zapalki, szepty Kitty i odpowiedź Elisabeth, czymś podenerwowanej.

– Teraz!

Po kryjomu przynieśli i przystroili małe drzewko, które w tej chwili świeciło jasnym światłem i dzięki temu widać było, że na stole i na podłodze zostały porozkładane prezenty.

– Ach, jak pięknie to wymyśliliście, widzisz, Johann?

– Oczywiście, masz rację, moja droga.

Poczuł, że radość innych go wzruszyła. Tak, właściwie mógłby być dumny z potomstwa, gdyby tylko te „niespodzianki” nie kończyły się zawsze tak, jak się spodziewał. W ogóle, co to za wariactwo z tymi zdobionymi drzewami? Gdy on był dzieckiem, nie było czegoś takiego. Tylko girlanda z zielonych gałęzi nad drzwiami wejściowymi i pęk gałązek w izbie.

– Dla ciebie, tato!

Elisabeth kupiła mu etui na okulary, z najlepszej skóry i ze złotym nadrukiem. Praktyczny i mądry prezent. Poczuł, jak bardzo była szczęśliwa, że prezent mu się podobał, poklepał ją niezręcznie po ramieniu. Elisabeth przydałaby się jakaś zachęta, z porucznikiem najpewniej nic nie wyjdzie. A była bardzo zakochana w tym chłopaku, nawet on to zauważył. Teraz on rozdał resztę prezentów. Dla Alicii miał kolie z białego złota, z brylantami i akwamarynami, dla córek kupił bransoletki ze złota, z rubinami. Paul otrzymał wieczne pióro oprawione w skórę, amerykański model, który zamówił przez swojego partnera handlowego. Również Alicia przygotowała dla męża drogi prezent. Kupiła mu spinki do mankietów i szpilkę do krawata, pasujące do siebie. Na ciemnoniebieskim kamieniu były wyryte jego inicjały „JM”, otoczone złotą girlandą.

– A podoba ci się nasze dzieło? – chciała wiedzieć Kitty.

Paul naprawdę musiał nie mieć pieniędzy. Napisał wiersze, nawet nie takie złe, i umieścił je jako podpisy do rysunków siostry. Johann powstrzymał się od

ironicznej uwagi. Przynajmniej jego syn wykazał się pomysłowością. Rysunków Kitty nie był w stanie ocenić, bo sam nie umiał narysować nawet prostej kreski.

– Bardzo piękne, moja dziewczynka – pochwalił ją. – Zwłaszcza ten z widokiem naszego parku. Powieszę go w biurze.

Ku jego zaskoczeniu przez twarz Kitty przemknął cień. Chwilę później uśmiechnęła się jednak chytrze. Och, jakże ona potrafiła grać!

– Ten obrazek nie jest ode mnie, tato. Tak bardzo spodobał się Paulowi, że go tutaj przynieśliśmy.

– Nie od ciebie? – zdziwiła się Alicia. – To kto go namalował? Nie ty, Paul, prawda?

Kitty zachichotała radośnie. Nie, Paul ma dwie lewe ręce, jeśli chodzi o rysowanie.

– Marie go narysowała.

Melzer myślał, że się przesłyszał.

– Marie? Która Marie?

– Ta, która jest moją modelką. Ona ma wielki talent, tato. Powinniśmy jej pomóc w zrobieniu kariery artystycznej, ona jest...

– Mówisz o tej Marie, która pracuje w kuchni, tak?

Słysząc było wściekłość w jego głosie. Tym jednym zdaniem zniszczył cały świąteczny, wesoły nastrój. Kitty zamilkła. Spojrzała na niego wielkimi niebieskimi oczami z wyrzutem. Jednakże wściekłość, która od jakiegoś czasu w nim wzbierała, była już nie do opanowania. Artystka. Wielki talent. Ta mała jest więc dokładnie w takim momencie życia, w jakim wtedy była jej matka. A on powinien ją może jeszcze w tym wspierać.

– Kitty, nie podoba mi się ta dziwna relacja między tobą i Marie.

Mogła próbować jakoś się bronić, ale on brnął dalej, nie zważając na nic.

– Od dzisiaj koniec z pozowaniem. Dziewczyna pracująca w kuchni nie ma czego szukać w twoim pokoju. A jeśli odkryję, że ktoś przeciwstawi się mojemu postanowieniu, dziewczyna z miejsca zostanie zwolniona.

Po tym wybuchu Melzera zapanowała cisza. Niebieskie oczy Kitty zmieniły się nagle w wąskie szparki, była na niego zła. Paul wbił zęby w dolną wargę, by się nie odezwać. Elisabeth była bardzo zadowolona.

– Powinniśmy teraz przebrać się do kościoła – powiedziała Alicia, przerywając tę chwilę milczenia, trwającą całą wieczność. – Dzieci, proszę, zgaście ostrożnie świece.

19

Marie razem z innymi pracownikami poszła na wigilijną wieczorną mszę. Po raz pierwszy w życiu nie drżała z zimna w kościelnej ławce, bo w swojej świątecznej paczce znalazła zimowy płaszcz i ocieplane futrem buty. Były to z pewnością rzeczy panienki Kathariny. Ledwie jednak Marie, ubrana w nowe rzeczy, wyszła na oświetlony dziedziniec, już usłyszała oburzony głos Jordan.

– No, patrzcie ją. Ten płaszcz łaskawa panienka kazała sobie uszyć zaledwie dwa lata temu. Najlepsze sukno, podszyte futrem. A buty też są prawie nowe. To naprawdę książęce prezenty jak dla dziewczyny pracującej w kuchni.

– Nikogo nie interesuje twoje zdanie, Jordan – odpowiedziała panna Schmalzler, która przechodziła właśnie obok Marie. – Świętujemy dzisiaj narodziny naszego Pana, Jezusa Chrystusa, który nas nauczał pokory i miłości bliźniego.

– Ja to powiedziałam tylko dlatego, żeby dziewczyna bardzo szanowała te rzeczy.

– Będzie to robić i bez twoich uwag!

Marie była naprawdę dumna ze swoich prezentów i bardzo za nie wdzięczna. To był niezwykle luksus posiadać takie rzeczy, taki płaszcz, który był nie tylko cudownie ciepły, ale i pasował na nią jak ulał. Również buty z delikatnym futerkiem były idealne. Tak zatem czują się bogate damy zimą. Jaka szkoda, że nie miała kapelusza pasującego do tych ubiorów i musiała pozostać przy wełnianej chuście. Gdy wracała z mszy do willi, państwo akurat wsiadali do samochodu. Musieli się śpieszyć, bo jedynie przelotnie skinęli głowami pracownikom. Panicz zdążył się jednak do niej uśmiechnąć i nawet lekko się uklonić. Poczwała ukłucie w klatce piersiowej, bolesne i jednocześnie słodkie, i przestraszyła się, bo przecież wierzyła, że ma wszystko pod kontrolą. On tylko by się ze mnie śmiał, pomyślała i nagle poczuła, że chce, żeby zabrano jej ten gruby płaszcz i ciepłe buty, bo przecież była tylko pomocą kuchenną, nie powinna ich mieć.

W dni świąteczne było dużo pracy. Gościom nie tylko należało dostarczyć rozrywki, ale również ich zakwaterować, a pokoje zostały przydzielone krewnym według ich indywidualnych wymagań. Łaskawa pani dokładnie zaplanowała przebieg wizyt, a więc przejażdżki, chwile poświęcone na rozmowę, zwiedzanie fabryki, wspólne uczestniczenie w mszy bożonarodzeniowej i oczywiście czas na spożywanie posiłków. Nikt w posiadłości nie cieszył się z tych odwiedzin, ale łaskawa pani z żelazną konsekwencją trzymała się swoich przyzwyczajęń. Pierwszego dnia zjeżdżali krewni jej męża, drugiego dnia willa wypełniała się von Maydornami. Jako że krewni o szlacheckich korzeniach musieli odbyć dość długą podróż, zostawali zazwyczaj na kilka dni, co wyraźnie denerwowało Melzera. Alicia pilnowała, żeby krewni z obu stron się nie spotykali, bo już przed laty okazało się, że obie rodziny się wzajemnie nie tolerują.

– Ech, a mimo to wciąż mamy w willi gości – westchnęła Else. – Ci ludzie myślą, że mogą bezkarnie sprawdzać wszystkie kąty i szpiegować. Wczoraj znalazłam siostrę łaskawego pana w pokoju do prasowania.

– To jeszcze nic – podchwyciła Auguste. – Ten grubas ze zwisającymi uszami wbiegł za mną aż na trzecie piętro i koniecznie chciał wiedzieć, gdzie jest moja sypialnia.

– I co? – dopytywał ironicznie Robert. – Powiedziałaś mu?

– A jeśli? – odparowała.

– To twoja sprawa – odpowiedział, wzruszając ramionami.

Marie położyła się wieczorem do łóżka śmiertelnie zmęczona, ale nie mogła zasnąć. Coś, co tkwiło głęboko w niej, nie dawało jej spokoju i sprawiało, że powracało w myślach mnóstwo wspomnień, niekończące się serie obrazów. To, o czym już zapomniała, pojawiało się teraz świeże i żywe, jakby wydarzyło się wczoraj. Twarz młodej kobiety, okolona ciemnymi włosami. Jej uśmiech był tak czuły, że Marie ścisnęło się serce, a na poduszkę spływały łzy. Dziecięce łóżeczko z białymi prętami. Czy to było w sierocińcu? Znowu była dzieckiem, potrząsała szczebelkami i między nie wkładała stópki. Widziała sztalugi i kobietę stojącą przed nimi, malującą na płótnie. Czy to Kitty? Wyglądała podobnie do niej, ale to nie była ona. Choć szara jak cień, żyła, śmiała się, mówiła do niej i spoglądała na płótno, przechodząc. Nagle zrobiła się zupełnie przezroczysta, aż w końcu zniknęła.

W wizjach Marie często pojawiał się też obraz głowy dziewczyny wykutej w kamieniu. Przesuwała palcem po jej gładkiej twarzy, dotykała czoła, nosa,

ust... Jej dłoń była bardzo mała, jak dłoń dziecka. To musi się skończyć, pomyślała zrozpaczona, gdy znów wstała z łóżka zmęczona i niewyspana. Muszę znaleźć w tym sens, bo w przeciwnym razie znów będę chora. Czy to naprawdę była moja mama, ta kobieta, która mieszkała tam, w ubogim pokoiku? Artystka, która nie dostawała już zleceń. Która żyła sama, z małą córką, bez męża? Która popadła w długi i straciła wszystko, co posiadała? Ta, która zadłużyła się u dyrektora Melzera? Marie pragnęła, żeby ta kobieta nie była jej matką. Dlaczego jednak ta wyrzeźbiona w kamieniu głowa wydawała jej się tak znajoma? I dlaczego tamta starsza kobieta uważała, że Marie jest bardzo podobna do swojej matki? Jeśli tak było, chciałyby więcej wiedzieć na ten temat. Nawet jeśli ta wiedza byłaby ogromnie bolesna i wszystkie jej piękne fantazje zamieniła w fałszywe obrazki. Przypadek sprawił, że ujawniła się jej część prawdy, teraz musiała odkryć resztę. Tylko jak? Kogo mogłaby zapytać? Starszej pani Deubel zabroniono rozmawiać z nią, choć z pewnością wiedziała dość dużo. Może powinna spróbować popytać w sąsiedztwie? Nie mogła jednak dać się złapać gospodyni. Kto mógłby jej pomóc? Może powinna zapytać dyrektora Melzera, czy pamięta malarkę Luise Hofgartner, której przed laty kazał zabrać cały dobytek za długi? On jednak na pewno nie będzie miał czasu, żeby odpowiadać na dociekliwe pytania dziewczyny pracującej w kuchni. Pappert! Ona może będzie coś wiedziała. Było jednak wątpliwe, czy cokolwiek powie. Nie mogła przecież mnie znieść, a ta niechęć zdecydowanie była obustronna. Najbardziej obiecującym źródłem informacji była więc staruszka Deubel. Marie musiała podjąć ryzyko, potajemnie się do niej zakraść i ją wypytać. Przed rozpoczęciem nowego roku miała wolne popołudnie – wykorzystała je właśnie na tę wizytę. A jeśli starsza kobieta nie będzie chciała mówić, weźmie ze sobą pięć marek, które dostała w świątecznym prezencie, być może one pobudzą panią Deubel do mówienia.

Po drugim dniu świąt, dniu świętego Szczepana, zaczęła się odwilż. Na drogach pojawiło się wiele brudnych kałuż, które wczesnym rankiem były jeszcze pokryte lodem. Śnieg się topił i jego dziewicza biel przekształciła się w zbitą na poboczach brązową lub żółą breję. W parku w wielu miejscach było widać zieloną łąkę. Od czasu do czasu z drzew spadała mała lawina śnieżna, która rozsypywała się w słońcu na grupki pojedynczych płatków, uwalniając od ciężaru gałęzie drzew.

Marie otuliła się starą chustą, w ślicznym płaszczu budziłaby jedynie nieufność mieszkańców przedmieścia. Poza tym nie było już tak zimno, woda

kapła z drzew i z rynien, a zimowe słońce przeglądało się w kałużach.

– No i co? Idziesz odwiedzić ukochanego? – zadrwiła Auguste. – Pozdrów go ode mnie!

Od kilku dni znów czuła się znakomicie, nudności zniknęły, a omdlenia już jej nie męczyły. Zrobiła się jedynie trochę pełniejsza, ale i tak wyglądała kwitnąco i zdrowo.

– Zostałaś odesłana przez łaskawą panienkę, prawda? – Auguste dalej ją dręczyła. – Ani razu od czasu Wigilii nie kazała cię do siebie zawołać.

– Łaskawa panienska jest chora.

Auguste zaśmiała się, jakby wiedziała lepiej. Jednak teraz zostawiła Marie w spokoju i wróciła do kuchni.

Chociaż Marie bardzo się starała omijać kałuże na ulicach, woda przemoczyła jej stare buty, jeszcze zanim przeszła przez bramę Jakoba. Nie przeszkadzało jej to zbyt, myśli miała zajęte czymś zupełnie innym. A może gospodyni naprawdę bała się Melzera? Gdzieś kryła się tajemnica, o której nikt, a przede wszystkim Marie Hofgartner, nie mógł się dowiedzieć. Na ulicach panował spokój, tak jakby te świąteczne dni wyciszyły mieszkańców. Jedynie kilkoro dzieci bawiło się w przeskakiwanie kałuży albo w rzucanie kamieni do dziur wypełnionych wodą. Cieszyły się i piszczwały, gdy wytryskiwała z nich brudna, brązowa ciecz. Przy jednym z wejść do domu zasnął jakiś pijany mężczyzna, oparty plecami o zimny kamień. Obok niego leżał kudłaty pies, który zawarczał na Marie, gdy przechodziła. Zatrzymała się w pobliżu knajpy, żeby rozejrzeć się po okolicy. Na ulicy nie było nikogo, ale okna w kamienicy były zbyt małe, by dało się zajrzeć przez nie do środka. Marie miała jedynie nadzieję, że w knajpie byli jacyś goście, a gospodyni musiała zakasać rękawy i nie łąziła w tę i z powrotem po klatce schodowej. Jeśli to tylko było możliwe, chowała się w bramach domów, ale ostatnią część trasy trzeba było przejść bez ukrywania się, żeby dotrzeć do drzwi budynku. Za nimi – to jeszcze pamiętała – ciągnął się wąski korytarz, na wprost znajdowały się schody, a po prawej stronie drzwi do szynku. Przy tej pogodzie gospodyni musiała napalić w piecu i chyba pozamykała wszystkie drzwi, żeby zatrzymać ciepło. Istniały więc spore szanse, że Marie będzie mogła przemknąć schodami niezauważona. Szczęście jej sprzyjało. Drewniane, stare stopnie skrzypiały co prawda ogłuszająco, ale udało jej się dotrzeć do mieszkania starszej pani, nie zwracając niczyjej uwagi.

– Wejdz, Marie – usłyszała z mieszkania.

Pani Deubel musiała ją zobaczyć przez okno, jeszcze gdy szła ulicą. A wierzyła, że jest taka sprytna. Otworzyła szerzej drzwi, przerażona strasznym skrzypnięciem, i zamknęła je za sobą. W środku siedziała staruszka. Miała na sobie tę samą sukienkę, co podczas ostatniej wizyty Marie, i tę samą chustę zawiązaną na głowie.

– Szczęść Boże, pani Deubel... Ja przychodzę, bo...

– Bo jesteś ciekawa, co? – przerwała jej starsza kobieta. – Przynosisz ze sobą nieszczęście, dziewczyno. Ale grzech zawsze przyciąga nieszczęście. A ja nie chcę obciążać mojej duszy już żadnym grzechem. Takie grzechy są potem ogromnym ciężarem na sądzie naszego Pana. Mogłyby mnie kosztować zbawienie...

Marie przestępowała niecierpliwie z nogi na nogę. Teraz staruszka mówi tyle niepotrzebnych rzeczy, a potem pojawi się jej córka i wszystko pójdzie na marne. W końcu przerwała jej pytaniem.

– Proszę, niech mi pani opowie więcej o mojej matce. Czy to ona zrobiła tę rzeźbę w kształcie kobiecej głowy? I te prace w drewnie? I dlaczego zaciągnęła dług akurat u dyrektora Melzera?

Kobieta patrzyła na nią jasnymi, czujnymi oczami.

– U dyrektora Melzera?

– Tak, u dyrektora Melzera – powtórzyła Marie.

Czyżby chciała teraz kłamać? Z czystego strachu przed córką nie powiedzieć prawdy?

– To on przecież pozabierał mojej matce meble – ciągnęła uparcie.

– Skąd to wiesz? – syknęła staruszka.

– Po prostu wiem.

Pani Deubel zaczęła przygryzać dolną wargę, a wykrzywionymi palcami rozwiązała zręcznie wełnianą chustę i ściągnęła ją z głowy. Widać było, że ma siwe, niemal białe włosy.

– To było już pod koniec. Wcześniej szło jej całkiem dobrze. Przyszła tutaj z różowym maleństwem na rękach. Miała wszystko, co trzeba, meble, dywany, obrazy na ścianach i wszystkie te rzeczy, które były jej potrzebne do pracy. Kawałki drewna i marmur. Rzeźbiła w nich, za pomocą dłuta i młotka. I malowała. A jej mały robaczek spokojnie spał.

– Ale dlaczego później popadła w długi?

Dziwny grymas pojawił się na twarzy starszej kobiety. Długi miała od samego początku, to typowe dla artystów. Ale gdy już nic nie miała, zaczęła

coraz więcej pożyczać. Wszędzie, gdziekolwiek jej coś dano. Ale dyrektor Melzer, on przejął jej długi i żądał spłaty tych pieniędzy, wszystkich naraz.

– Po prostu nie powinna była pozostać tak lekkomyślna. Tak dumna i uparta. Dla ciebie nie powinna była. Ale stało się to, co się stać musiało. Doszło do strasznej kłótni, gdy on przyszedł po pieniądze. Wyrzuciła go, rozbiła mu doniczkę na głowie. Wtedy wysłał do niej kilku mężczyzn, a oni zapakowali na wóz cały jej dobytek i odjechali z nim. Zostawili jej tylko materac i koc, w który ty byłaś owinięta.

Powiedziała to bez współczucia, jej zdaniem Luise Hofgartner sama była winna tego smutnego końca, który ją spotkał. Marie ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć czegoś nieuprzejmego, ale była wzburzona. Może więc jej matka tylko dlatego zachorowała, że żyła w biedzie? Głodowała i marzła, bo dyrektor Melzer wszystko jej zabrał?

– Na co zmarła? Była przecież bardzo młoda, prawda?

– Tak... ona chorowała na gruźlicę. Ciągłe miała gorączkę, a potem pluća krwią. Koniec przyszedł bardzo szybko. Może byłoby dobrze, gdyby tylko się z nim nie kłóciła.

Starsza kobieta westchnęła ciężko; wspomnienia, które przywołała, musiały i dla niej być trudne. Oparła się znów na krzesło, a ręce położyła na rzeźbionych poręczach.

– Gdy miał nastąpić koniec, prosiła nas, żebyśmy posłali po księdza. Zrobiliśmy to, przecież jesteśmy chrześcijanami. Wielebny przyszedł, wysłuchał, odpuścił grzechy i umarła w naszym Panu, Jezusie Chrystusie.

Marie poczuła przeszywający jej ciało gwałtowny dreszcz. Tak, wiedziała, że życie potrafi być okrutne. Odebrało jej matkę oraz Dodo. Śmierć była dla wszystkich taka sama, niezależnie od tego, czy jej ofiary były młode, czy stare, czy były kochane, czy nienawidzone, czy zostawiała małe dziecko bez matki...

– A potem wielebny Leutwien zabrał cię do sierocińca...

Marie słuchała z uwagą. Znała przecież to nazwisko. To był ksiądz, który czasami przychodził do sierocińca i modlił się z nimi. W czasie Wielkiego Postu przed Wielkanocą, a także przed świętami Bożego Narodzenia.

– Czy wielebny Leutwien znał moją matkę? Ale tak czy inaczej, on nigdy...

Nagle podskoczyła, bo usłyszała za sobą niepokojący dźwięk – ktoś otworzył drzwi do izby i wszedł wprost na nią.

– Tak właśnie podejrzewałam! – wrzasnęła gospodyni. – Franz nawet ją widział, ale początkowo nie chciałam mu wierzyć. Wynoś się, ty bękarcie! Ty

córko dziwki!

Rzuciła się na Marie, żeby złapać ją za włosy, ale dziewczyna poderwała się z miejsca i zasłoniła krzesłem, na którym siedziała. Gospodyni wpadła na podstawioną przeszkodę, uderzyła się w kolano i przeklęła siarczyście.

– Żeby cię szlag, diablico! Wezwałam policję, stań sobie przed sądem! Ty pomioście diabła!

Marie wykorzystała fakt, że gruba gospodyni nie potrafiła się tak szybko poruszać, i przebiegła koło niej na klatkę schodową. Słyszała, że na górze gospodyni wyzywała się na swojej matce, która zresztą też potrafiła się odgryźć i robiła to bardzo głośno. Ucieczka Marie przebiegała pomyślnie aż do małego korytarzyka przy drzwiach wejściowych. Tam czekał na nią Franz, ten sam mężczyzna, który kilka dni temu przywiózł beczki z wódką na taczce.

– Odsuń się i mnie przepuść! – zażądała, łapiąc oddech.

Miał ostre rysy, jego nos wyglądał jak kartofel, a usta były wąskie i sinawe. Nawet nie drgnął, łapiąc Marie za rękę. Wrzasnęła głośno z bólu, a on ściągnął ją siłą ze schodów i oparł plecami o drzwi wejściowe.

– Przyszłaś szpiegować, co?

Trzymał ją mocno jedną ręką i zamachnął się drugą, wolną, żeby uderzyć ją w twarz. W ostatniej chwili Marie zorientowała się, że czuje kłankę za plecami, i mocno ją nacisnęła. Drzwi się otworzyły, mężczyzna nie trafił Marie. Wypadła jednak prosto na ulicę i upadła na plecy. Przez chwilę była oszołomiona, ale zaraz starała się stanąć na nogi. On jednak był szybszy, stanął nad nią i pochylił się, żeby złapać ją za włosy.

– Ej, ty! – zabrzmiał zdenerwowany męski głos. – Zostaw ją natychmiast!

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie, niemal w sekundzie, i Marie uświadomiła to sobie znacznie później. Najpierw krzyknęła z bólu, bo Franz nie potrafił się powstrzymać, by nie złapać jej za włosy i pociągnąć za nie do góry. Chwilę później to on wrzeszczał z bólu i wściekłości. Atakujący złapał go od tyłu za gardło i wcisnął mu głowę w klatkę piersiową. Chwył był tak precyzyjny, że Franz nie mógł złapać powietrza.

– To się nazywa „uścisk ramieniem”, drogi przyjacielu. Musisz teraz stać spokojnie, bo w przeciwnym razie odbije się to w negatywny sposób na twoim zdrowiu.

Marie odgarnęła z twarzy długie włosy, paliła ją skóra na głowie, wiedziała jednak doskonale, że musi teraz wstać jak najszybciej i uciekać. Podniosła się, chwyciła chustę, która leżała na ziemi cała ubrudzona, i zamarła.

– Marie! Wielkie nieba! Marie!

– Łaskawy pan...

O Boże. Dlaczego los musi być tak podły. Jej wybawcą musiał być właśnie panicz Melzer. Na początku nawet jej nie rozpoznał. Prawdopodobnie pomógłby każdej kobiecie, która zostałaby wyrzucona na ulicę i pobita przez takiego potwora.

– Oszalałeś, Franz? – warknęła na niego gospodyni, stojąc teraz w drzwiach.

– Puść go natychmiast. Słyszałeś? Wracaj tam, gdzie twoje miejsce. To młody pan Melzer, ty durniu!

– Puszczę go – wychrypiał Franz. – Gdy tylko on mnie puści!

Paul rozluźnił uścisk i puścił swoją ofiarę, która mocno kaszłała i przeklinając pod nosem, poszła prosto do knajpy.

– Marie, co ty tutaj robisz? W tej okolicy? – pytał z przerażeniem. – Byłaś może w tym szynku?

Miała ochotę zapaść się pod ziemię. Co mogła mu powiedzieć? W żadnym razie nie prawdę. Tylko jak w tak krótkim czasie wymyślić wiarygodne kłamstwo?

– Ja... ja szukałam tutaj swojej przyjaciółki. Mieszkała ze mną w sierocińcu. Ma na imię Dodo.

Biedna Dodo na pewno wybaczyłaby jej to kłamstwo. Może patrzy na nią teraz z nieba i ją wspiera.

– Tutaj? – zapytał z powątpiewaniem w głosie.

– Tak. Pracuje w jakiejś jadłodajni, tak mi powiedziała...

Potrząsnął głową, jakby nie wierzył w to, co mu powiedziała. Później jednak położył jej ręce na ramiona i zapytał z niepokojem, czy nie jest ranna.

– Nie będę się skarżyć, łaskawy panie. Tylko moja chusta jest niestety rozerwana.

– W takim razie chodź – zdecydował. – Odprowadzę cię do bramy Jakoba, stamtąd bezpiecznie wrócisz do willi.

– Nie powinieneś tego robić, łaskawy panie. Mogą nas razem zobaczyć.

– Martwisz się o swoją reputację? – zapytał nieco poirytowany. – Jeśli tak, to przede wszystkim nie powinnaś sama się błąkać po ciemnych uliczkach.

W milczeniu poszła z nim. Był taki opiekuńczy. Brał ją za rękę, gdy musieli przechodzić przez wyrwy w drodze, puszczał ją przodem, gdy uliczka była wąska. Marie zaczynała czuć ból na plecach i ramionach, siniaki będą jej jeszcze przez kilka dni przypominać o tej wyprawie. Gorsze było jednak to, że

tak wiele straciła w oczach panicza. Co on mógł teraz o niej myśleć? Z pewnością przejrzał jej kłamstwo i sądzi, że ona ma w tej okropnej knajpie ukochanego. Bo gdzie indziej pomoc kuchenna mogłaby pójść w wolne popołudnie?

Mijający ich przechodnie nie kryli swego zainteresowania. Dobrze ubrany młody mężczyzna i dziewczyna w podartej, brudnej chuście stanowili naprawdę osobliwą parę. Marie związała rozpuszczone włosy i założyła chustę, ale wiatr i tak co jakiś czas wyciągał grube pasma włosów, które opadały jej na twarz. Gdy dotarli do bramy Jakoba, robiło się już ciemno, a latarnie uliczne nie były jeszcze zapalone. Jedynie w oddali świeciły się światła w fabryce. Paul stanął w zacienionej bramie, ona również się zatrzymała.

– Możesz już iść, Marie – powiedział cicho. – Czy mogę cię o coś prosić?

Nigdy wcześniej nie stał tak blisko niej. Stał tak blisko, że czuła jego ciepło, zapach włosów i skóry. Sprawilo to, że zaczęła drzeć z dziwnej, niezrozumiałej tęsknoty.

– O wszystko, czego pan chce, łaskawy panie.

Spojrzała na niego, a jego intensywne spojrzenie utkwione w niej sprawilo, że natychmiast zrozumiała, że jej odpowiedź mogła zostać źle zrozumiana. Nie miała jednak siły się tym martwić.

– Obiecay mi, że nigdy więcej nie będziesz tak nierozważna – powiedział i delikatnie położył rękę na jej ramieniu. – Dziękuję Bogu, że pojawiłem się tam w porę, żeby cię obronić.

– Wybacz mi, łaskawy panie – wyszeptała. – Jestem winna ogromne podziękowanie za to, że mnie pan uratował.

– Zrobiłem to chętnie, Marie. I zrobiłbym dla ciebie znacznie więcej, gdyby tylko to było możliwe.

Przez krótką chwilę wydawało się jej, że przyciągnął ją do siebie, a ona podążyła za jego ruchem, oczarowana tą nagłą bliskością. Jego szare oczy brały ją całą w posiadanie, zachłannie pożerał ją wzrokiem.

– Marie – szepnął powoli. – Idź już, proszę. Idź, zanim będzie za późno.

Spłoszyła się i przestraszyła samej siebie. Gwałtownym ruchem naciągnęła chustę i pobiegła ulicą przed siebie. Nie obejrzała się do tyłu ani razu.

20

Alicia poczuła na sobie pełne strachu, pytające spojrzenie szofera, gdy ten otwierał jej drzwi. Zirykowało ją to. To zrozumiałe, że służba wiedziała o tym, co się działo u państwa, to było naturalne, bo w końcu wszyscy mieszkańcy willi stanowili jedną wielką rodzinę. Te żenujące i bolesne wydarzenia chętnie by jednak ukryła przed pracownikami.

– Do willi, Robercie – powiedziała w uprzejmy, ale zdystansowany sposób.

– Już się robi, pani dyrektorowo.

Widziała, jak to na niego podziałało, ale spokojnie zamknął drzwi, obszedł samochód i usiadł za kierownicą. Niedaleko piszczały i skrzypiały „elektryczki”. Przez chwilę widziała konduktora ubranego na niebiesko, który stał dostojnie w pojeździe. Pasażerów było w środku tylko dwóch albo trzech. Nie lubiła tych głośnych, piszczących na szynach tramwajów i z tęsknotą wspominała te stare, konne.

– Proszę mi wybaczyć, łaskawa pani... Nie chciałbym się pani naprzykrzać, ale...

Robert odwrócił się w jej stronę. A więc jednak!

– O co chodzi, Robercie? Jest mi zimno i byłabym wdzięczna, gdybyśmy szybko mogli ruszyć.

Przełknął ślinę, widziała wyraźnie, jak poruszała się jego grdyka.

– Sądziłem, że doktor Schleicher pojedzie razem z nami. To przecież pilne, prawda?

– Doktor Schleicher nie jest tutaj niezbędny. Ale w ciągu kilku dni przyjedzie do posiadłości.

Głębokie rozczarowanie malowało się na jego twarzy. Jeśli się nie myliła, biedak miał worki pod oczami z niewyspania. To było bardziej niż irytujące, bo pokładała w Robercie tak wielkie nadzieje. Niestety, młody mężczyzna najwyraźniej nie potrafi trzymać na wodzy swoich uczuć. Brakowało mu samodyscypliny. Umiejętności, którą Schmalzler posiadała aż w nadmiarze.

Na szczęście ostatnia odpowiedź sprawiła, że był zadowolony, i uruchomił maszynę. Ruch w centrum Augsburga już wcześniej był dość spory, teraz natomiast między furmankami coraz częściej jeździły automobile, a konne dorożki stawały się rzadkością.

Tak naprawdę Alicia była tak samo rozczarowana jak Robert, bo obiecywała sobie znacznie więcej po wizycie u doktora Schleichera. On jednak zadawał rozmaite pytania, chłodno i rzeczowo, nie licząc się z jej obawami.

– Jak długo już?

– Od trzech, nie, czterech dni... Już nie wiem, jak mogę pomóc, panie doktorze. Nie chce się przede mną otworzyć. I nic też do niej nie dociera.

– I wszystko to z powodu tego zakazu?

– Nie potrafię wskazać innego powodu.

Miała nadzieję, że z miejsca odwoła wszystkie wizyty i pojedzie z nią do willi. Czyż nie chodziło o sprawę życia i śmierci? Jej córka miała skłonności do melancholii i – jak się jej wydawało – również do autodestrukcyjnego zachowania. A teraz chyba postanowiła żywcem się zagłodzić.

– Nie uważam tego za konieczne, droga pani dyrektorowo. W tym wypadku wskazana jest raczej cierpliwość. Proszę mnie informować na bieżąco i jeśli sytuacja będzie naprawdę niepokojąca, oczywiście zaraz przybędę.

Chciała go zapewnić, że jej zdaniem już teraz jest ogromnie niepokojąca, ale lekko ironiczny uśmiezek, który dostrzegła na jego twarzy, powstrzymał ją. Możliwe, że odbierała to wszystko zbyt dramatycznie. Pod żadnym pozorem nie chciała się ośmieszyć przed lekarzem.

– Dziękuję serdecznie za pomoc, doktorze.

Pochylił się nad jej ręką i złożył na niej elegancki pocałunek, a jego stalowoniebieskie oczy wpatrywały się w nią przenikliwie. Do tej pory ten gest bardzo się jej podobał. Odbierała nieświadomie jego pragnienie – oczywiście oddane z pełną czcią – złożenia szarmanckiego hołdu jej kobiecości. Dzisiaj jednak ten jego intensywny wzrok wydał jej się arogancki i fałszywy.

Gdy wchodziła do willi, Auguste natychmiast podeszła, żeby zabrać płaszcz, kapelusz i zimowe buty.

– Czy mój syn już wrócił?

Auguste uśmiechnęła się do niej. Ostatnio ta dziewczyna była niezwykle wesoła, wręcz tryskała zdrowiem. Cóż, jeśli do czegoś doszło między nią i Robertem, musi to zakończyć się małżeństwem, a dla niej, Alicii, też to

będzie korzystna sytuacja. To wybije Robertowi z głowy wszystkie głupstwa i zatrzyma go w posiadłości.

– Łaskawy pan jest na górze, w swoim pokoju.

– Poproś go do czerwonego salonu. I daj Marie te rękawiczki. Niestety, poplamiły się olejem.

– Oczywiście, łaskawa pani.

Obiad zaczynał się mniej więcej za godzinę, ale już było wątpliwe, czy Johann się na nim pojawi. Miał problemy w fabryce, dwie maszyny się zepsuły i musiano je szybko naprawić. Wyglądało na to, że będzie jeść tylko z Paulem i Elisabeth. Przechodząc obok przystrojonego drzewka do schodów, zahaczyła niechcący o gałązkę i zobaczyła, że jodła wkrótce zacznie tracić igły. Lepiej będzie więc nie zapalać świec w sylwestra. Choinka spełniła swoje zadanie, w pierwszych dniach stycznia trzeba będzie ją rozebrać i na tyłach parku pociąć na opał. W jadalni najpewniej nie było jeszcze nakryte, Robert chyba wciąż zajmował się samochodem. Zamknęła drzwi i weszła po schodach na piętro, gdzie mieściły się prywatne sypialnie członów rodziny.

– Katharina?

Nie miała wielkich nadziei, ale mimo to zapukała do pokoju córki. Tak jak się spodziewała, nie dostała odpowiedzi. Katharina już w pierwszy dzień świąt zamknęła się u siebie i ani prośby, ani groźby nie sprawiły, by otworzyła drzwi. Johann najpierw wzruszył ramionami, później wpadł we wściekłość i stwierdził, że należy wezwać ślusarza, by otworzył drzwi.

– Nie denerwuj się, tato – powiedziała Elisabeth. – Im mniej uwagi będzie się na nią zwracać, tym szybciej skończy ten swój teatrzyk.

Johann faktycznie się uspokoił i nie poświęcał już tej sprawie więcej czasu. Ojcowie, pomyślała Alicia i westchnęła cicho. Najpierw robią wiele hałasu i sieją panikę, a później i tak zrzucają odpowiedzialność na kobiety. Taki właśnie był jej ojciec i tak samo zachowywał się Johann. Ale jeśli ona sobie coś zrobiła?

– Katharina, odezwij się chociaż, proszę. Bardzo się o ciebie martwię!

Nic. Po prostu ręce opadają. Jak długo będzie trwał bunt tej dziewczyny?

Paul czekał na nią w czerwonym salonie. Siedział w fotelu z gazetą na kolanach. Mała choinka wciąż jeszcze stała na niskim stoliku, niektóre prezenty ciągle pod nią leżały, a resztę niedawno sprzątnęła Else. Gdy Alicia weszła, Paul rzucił gazetę na podłogę i podszedł do niej.

– Dzień dobry, mamó. Jesteś bardzo blada. Czy twoja misja u doktora Schleichera się powiodła?

– Niestety nie.

Paul spędził noc na mieście, ponieważ jeden z jego przyjaciół świętował urodziny. Alicia widziała, że jej syn wyglądał na niewyspanego. Cóż, dzisiaj młodzi ludzie świętują intensywnie. Począł, aż usiadł na sofie, a wtedy on również zajął miejsce na fotelu, chociaż nie opierał pleców jak wcześniej. Siedział ze zgiętymi kolanami i wygiętym tułowiem, jakby przygotowywał się do skoku.

– Nie bądź zła, mamó, ale doktor ma rację. Wiesz przecież, że kocham moją małą siostrę ponad wszystko, ale ona jest przecież okropnym uparciuchem.

– Dziewczyna nie jest zdrowa, Paul. Ma słabe nerwy i tendencję do popadania w mroczny nastrój. Myślę, że zakaz ojca ubódł ją do żywego. Pamiętasz, jaka była zrównoważona i szczęśliwa, gdy Marie było wolno do niej przychodzić?

Paul nie mógł tego potwierdzić własną obserwacją, bo był w tym czasie w Monachium, ale skoro mama tak mówi, musiała to być prawda.

– Ojciec musiał mieć powody, żeby wydać ten zakaz – powiedział ostrożnie, bo wiedział, że matka nie znosiła, gdy krytykowali ojca. – Prawdopodobnie można jednak było zachować się taktowniej. Masz z pewnością rację, mamó. Katharina jest bardzo wrażliwa.

– Więcej niż wrażliwa – odpowiedziała Alicia. – Ogromnie się o nią martwię.

Spojrzał w stronę drzwi i zmarszczył czoło.

– Mówię to niechętnie, ale obawiam się, że powinniśmy przeciwstawić się zakazowi ojca.

Alicia westchnęła ciężko. Koniecznie należało podjąć jakąś decyzję. Od wczorajszego rana żadne dźwięki nie dochodziły z pokoju Kathariny. Było bardzo możliwe, że straciła przytomność. Albo gorzej.

– Obcy ślusarz otwierający na siłę drzwi – powiedziała Alicia z wahaniem – ten pomysł zdecydowanie mi się nie podoba. Kto wie, w jakim stanie ją znajdziemy. Nie, lepiej już Gustav albo Robert.

– Nie uważam, by angażowanie Roberta było dobrym pomysłem, mamó. To ja wykonam tę czarną robotę.

– Ty?

Paul uśmiechnął się zawadiacko.

– Myślałaś, że nie potrafię się obchodzić z młotkiem i dłutem?

Słyszac słowo „dłuto”, Alicia zadrżała. W jej własnym domu będą się zachowywać jak włamywacze! Co za wstyd!

– Nie, Paul, nie będziesz tego robił. Lepiej zawołam Marie.

Paul zadrżał, gdy usłyszał to imię. Marszcząc brwi, powiedział, że chce wiedzieć, co też Marie może zdziałać w tej kwestii.

– Podejdzie pod drzwi i porozmawia z Kitty. Jej odpowie, jestem tego całkowicie pewna. Chyba że faktycznie nie jest w stanie...

Zacisnęła mocno usta, ale mimo wszelkich starań, by kontrolować emocje, zaczęły jej płynąć łzy po policzkach. Otarła je szybko ręką.

– Rozumiem twoje obawy, mamó – powiedział czule Paul, bo dobrze widział jej łzy. – Jestem jednak przeciwny temu, by angażować Marie w tę historię.

Alicia wyciągnęła z rękawa batystową chusteczkę, żeby wytrzeć łzy z policzków. Wzięła się w garść i spojrzała zirytowana na syna.

– Nie rozumiem cię, Paul! Ta dziewczyna jest przecież przyczyną wszystkich naszych trosk! Dlaczego w ogóle miałabym ją oszczędzać?

Paul zrobił nieokreślony ruch i niechcący trafił ręką w choinkę. Jedna z kolorowych bombek spadła i potoczyła się po dywanie.

– To nie jest wina Marie, że Kitty wybrała ją na swoją modelkę. Marie robi tylko to, co jej nakazujemy. I właśnie dlatego nie jest odpowiedzialna za tarapaty, w których znalazła się teraz Kitty.

– Jakie tarapaty? – zapytała Alicia, której powoli zaczynało brakować cierpliwości.

– Nie pamiętasz już, co ojciec zagroził, że zrobi? Że jeśli Marie kiedykolwiek zostanie przyłapaną u Kitty, to natychmiast ją zwolni.

Alicia wyobrażała sobie zupełnie inaczej tę rozmowę z synem. Do tej pory Paul zawsze był dla niej wsparciem, popierał jej zdanie i na swój nieco zbyt śmiały sposób, poprawiał jej nastrój. Dzisiaj wydał jej się obcy. Dlaczego właściwie tak bardzo wstawiał się za tą dziewczyną?

– Dobrze, Paul – uśmiechnęła się z przymusem. – Posłucham twojego ostrzeżenia.

– Dziękuję ci, mamó!

Zeskoczył z fotela i zaczął chodzić wzburzony po pokoju. Dwa razy się zatrzymał i odwrócił w jej stronę, jakby chciał coś powiedzieć, ale tego nie zrobił. Wreszcie podszedł do drzwi i położył rękę na klamce.

- Postaram się raz jeszcze porozmawiać z Kitty. Życz mi szczęścia, mamo!
- Ależ oczywiście.

Siedziała bez ruchu, gdy syn szedł na drugie piętro. Cóż za chaos! Oby nie zrobił niczego nieprzemyślanego! Może wyważy drzwi? I na koniec jeszcze się zrani...

- Łaskawa pani...

Eleonore Schmalzler po cichu, czyli w zgodzie ze swoją naturą, weszła do pokoju. Ta kobieta miała doprawdy szósty zmysł co do tego, kiedy jest potrzebna, bo Alicia właśnie chciała ją zawołać.

– Dobrze, że akurat jest pani pod ręką, panno Schmalzler. Chciałabym, żeby przyprowadziła pani do mnie Marie.

- Oczywiście, łaskawa pani. Mam nawet co do tego pewne spostrzeżenie.

- Spostrzeżenie? Jakiego rodzaju?

Jej odpowiedź zabrzmiała bardzo niegrzecznie i Alicia zdenerwowała się swoim brakiem samokontroli. Gospodyni wykazała znacznie więcej taktu, nawet się uśmiechnęła.

– Jest to może raczej pewien pomysł, łaskawa pani. Propozycja. Widzi pani, ja dość długo myślałam o tym, jak możemy pomóc łaskawej panience, nie sprzeciwiając się zakazowi pana dyrektora. I dzisiaj w nocy przyszedł mi do głowy pewien nietypowy pomysł.

Alicia westchnęła przeciągle i nasłuchiwała z niepokojem dźwięków dochodzących z korytarza. Czy już słyhać uderzenia młotka? Czy dłuto już zdziera kawałki drewna z drzwi? Jednak nie, było zupełnie spokojnie.

- Niech pani mówi, panno Schmalzler. Ale proszę, tylko szybko.

21

Może faktycznie przecięła sobie nadgarstki. To się zdarza u ludzi, którzy mają słabe nerwy.

Nieczuła uwaga Auguste wywarła na reszcie pracowników niewypowiedziane złe wrażenie. Else, która siedziała obok niej przy stole, szturchnęła ją mocno łokciem, a kucharka powiedziała na głos, że Auguste jest bezduszną kanalią. Robert podniósł się znad swojej kawy z mlekiem, a wyglądał jak chodzące nieszczęście, i tylko popatrzył na Auguste z niechęcią.

– Nie mówiłam tego poważnie – usprawiedliwiała się Auguste. – Nie można już pozartować?

– To był cholernie kiepski żart, Auguste – zauważyła Else.

Kucharka wróciła znów do garnków stojących na kuchni, za pół godziny musiał być gotowy obiad. Schab wieprzowy nadziewany śliwkami, purée ziemniaczane, surówka z białej kapusty. Później krem waniliowy z kawową pianką. Przygotowywany był dla pięciu osób, ale przy stole najpewniej będą siedziały tylko trzy.

– Robercie, łaskawa panienska nie jest chora – wtrąciła się teraz Jordan. – Nie musisz się martwić.

Jordan zawsze miała słabość do Roberta. Auguste skwitowała to zdanie wściekłym spojrzeniem i pochyliła się, by wziąć z talerza świąteczny piernik. W willi panował zwyczaj, zgodnie z którym po świętach Bożego Narodzenia służba mogła dojeść ciasta, które zostały. Else spojrzała z zaciekawieniem na pokojówkę.

– Nie jest chora? Ale przecież łaskawa pani mówi wszystkim, że panienska Katharina źle się czuje.

Jordan uniosła brwi, co nadało jej twarzy wyraz wyniosłości. Było oczywiste, że wiedziała więcej niż inni. Jako pokojówka była z państwem w bliskich relacjach.

– W każdym razie to zupełnie nienaturalne, że od kilku dni niczego nie zjadła – pozwoliła sobie skomentować kucharka. – Wszystko, co przez ten czas przygotowywałam dla biednej pani, wracało do mnie nieruszone.

– Jeśli więc nie jest chora, to dlaczego nic nie je? – Robert chciał się dowiedzieć od Jordan.

– To wszystko jest wina Marie – powiedziała Jordan i wzruszyła ramionami.

Te słowa oczywiście nie przysporzyły Marie sympatii. W dodatku nie mogła się bronić, bo wyszła po opał do pieca. Okazało się jednak, że wśród pracowników ma też oddanych przyjaciół.

– Zostawcie Marie w spokoju! – skarciła ich kucharka. – To na pewno nie jest jej wina.

Podniosła garnek z duszonym schabem, zestawiała go z pieca i przełożyła do porcelanowego naczynia, a następnie połała sosem. Wykonywała te czynności, stojąc blisko filiżanki z kawą Marii Jordan.

– Niech pani uważa, bo poplamę mi pani tym sosem suknię!

– To niech się pani odsunie. Tutaj się pracuje!

– To co w końcu jest łaskawej pani? – nie dawał za wygraną Robert. – I co to ma wspólnego z Marie?

– A na pewno nakryłeś już stół w jadalni? – wtrąciła się Auguste, zanim Jordan zdążyła odpowiedzieć.

– Oczywiście – warknął Robert.

– Powinieneś więc być gotowy do podawania dań, zaraz będzie pora obiadu.

– Sam wiem, co mam robić – odpowiedział rozzłoszczony. – Przestań wydawać mi polecenia, ty irytująca, pyskata kobieto!

Wszyscy zamilkli ze zdziwienia, bo zazwyczaj posłuszny i potulny Robert nigdy nie przeciwstawił się w tak głośny i stanowczy sposób. W tej samej chwili do kuchni weszła Marie z dużym koszem wypełnionym drewnem na opał. Postawiła ciężar, a ponieważ czuła, że coś wisi w powietrzu, stanęła wyczekująco w drzwiach. Auguste była blada jak ściana, tylko jej oczy pałały wściekłością.

– Uważaj, Roberte Scherer. Naprawdę bardzo mocno uważaj, bo będziesz tego gorzko żałować.

Robert spojrzął na nią, jakby chciał się na nią rzucić. Po chwili zeskoczył z krzesła jak oparzony i pobiegł w stronę schodów. Na klatce schodowej niemalże zderzył się z panną Schmalzler, która właśnie szła do kuchni.

– Robercie! Spóźniasz się! Państwo czekają już na górze w jadalni!

– Proszę wybaczyć, już idę!

Odsunęła się, żeby go przepuścić, a jej wzrok powędrował od razu do kuchni. Maria Jordan piła kawę i świadomie bardzo powolnym ruchem brała kawałek ciasta z talerza. Potem wstała i poszła do pralni, żeby zająć się wywabianiem plam po oleju z rękawiczek szanownej pani.

– Choinka w czerwonym salonie powinna już zostać rozebrana i wyniesiona na podwórze – powiedziała gospodyni.

Auguste i Else zapewniły, że już wczoraj chciały zapytać, jak długo choinka powinna tam zostać, bo na dywanie wokół niej leżało bardzo dużo igieł. Gdy poszły się tym zająć, gospodyni skierowała wzrok na Marie. Dziewczyna postawiła kosz z drewnem koło pieca i zaczęła starannie wkładać polana w miejsce do tego przeznaczone.

– Gdy skończysz, Marie, umyj ręce i przyjdź do mojego biura.

– Tak, panno Schmalzler.

Gospodyni skinęła zadowolona i spojrzała z uznaniem na Brunnenmayer, bo przygotowany przez nią schab pachniał wybornie. Po chwili wyszła. Marie milczała, nie przestając dokładać drewna do pieca. Brunnenmayer postawiła naczynia i sztucce w windzie na jedzenie i pociągnęła za kabel, żeby zasygnalizować Robertowi, że może podawać. Marie wsłuchiwała się w ciche szuranie i klekotanie windy, nie przerywając pracy.

– Oby tylko nie chciała, żebyś jakoś naprawiła tę sytuację, dziewczyno – westchnęła kucharka. – Co możesz poradzić na to, że panienska się w tobie zadurzyła? Jordan wie więcej, niż mówi. Ona nie może cię znieść, Jordan oczywiście. I dlatego jest o to zazdrosna.

Marie jej nie słuchała. Przez kilka ostatnich nocy prawie wcale nie spała, bo czuła dziwny rodzaj zmęczenia, a raczej dziwne uczucie, jakby unosiła się nad ziemią. Jeszcze się nie zdecydowała na wykonanie ostatecznego kroku, kroku, który będzie musiała wykonać, jeśli poczuje, że w przeciwnym razie utraci samą siebie. Zakochała się. Tak nieszczęśliwie, jak tylko młoda kobieta może się zakochać. Pomoc kuchenna zakochała się w paniczku. Z tego mogło wynikać jedynie wielkie nieszczęście. Oczywiście nie dla młodego pana, tylko dla dziewczyny pracującej w kuchni. A do tego dochodziła jeszcze nieszczęśliwa historia jej matki, w której brał udział dyrektor Melzer i nie był bez winy. Kto mógł jednak twierdzić, że nie miał prawa domagać się zwrotu pieniędzy? Był jednak bezwzględny, zabierając jej wszystko, również środki

konieczne do życia. Zgrzeszył, jak powiedziała starsza pani Deubel. Nie, lepiej było po prostu zostawić tę sprawę. Być może to znak od losu, że Schmalzler zawołała ją do biura. Umyła ręce, tak jak ją proszono, i zdjęła brudny fartuch. Gdy stała przed drzwiami biura, zastanawiała się, czy jeśli ją zwolnią, to wolno jej będzie wziąć ze sobą ten piękny płaszcz i zimowe buty. Sukienki i fartuchy musiałyby zwrócić, ale płaszcz i buty to w końcu prezent bożonarodzeniowy.

Panna Schmalzler siedziała przy biurku, a przed nią leżały rozłożone rozmaite dokumenty. Gdy Marie weszła, spojrzała przed siebie i włożyła pióro z powrotem do kałamarza.

– Marie. No, nareszcie. Wejź i zamknij drzwi. Usiądź tam i słuchaj mnie uważnie, bo mam ci do zakomunikowania coś, co na pewno cię zaskoczy.

Mimo wydanego polecenia, Marie postanowiła stać. Zbierała się na odwagę, żeby zacząć mówić, i siadanie nie było w tej sytuacji najlepszym pomysłem.

– Ja też mam pani coś do powiedzenia, panno Schmalzler. I nie chciałabym z tym...

Gospodyni poruszyła się zniecierpliwiona. Sprawa była zbyt pilna, by mogła teraz wysłuchiwać skarg Marie.

– Na to jeszcze przyjdzie czas. Posłuchaj mnie teraz.

– Nie, chciałabym...

– Cicho! Pani dyrektorowa Melzer zamierza zaoferować ci inne stanowisko, Marie. Znacznie lepsze. Muszę przyznać, że przez całe życie nie słyszałam o tak nieprawdopodobnym łucie szczęścia.

Marie była zdecydowana, że od razu odrzuci tę cudowną posadę. Chciała iść dalej i nie zastanawiać się już nad tragiczną historią życia swojej matki. A przede wszystkim uciec od tęsknoty własnego serca.

– W jednym zdaniu: pani dyrektorowa Melzer oferuje ci posadę pokojówki. Oczywiście nie znasz obowiązków pokojówki, ale ponieważ do tej pory dość szybko uczyłaś się swoich powinności, sądzę, że nie będzie trudno wprowadzić cię w tajniki nowej posady.

To faktycznie była niewiarygodna wiadomość. Marie spodziewała się, że co najwyżej kiedyś znajdzie się na stanowisku zajmowanym przez Else, a tutaj od razu główna pokojówka! Pokusa była ogromna. Ostatecznie też młody pan niebawem wyjedzie do Monachium, by kontynuować studia. Będzie go widywała jedynie w czasie przerw między semestrami. Chwilę później fakty sprowadziły ją jednak z powrotem na ziemię. Bo dlaczego zaproponowano jej

taką posadę? Żeby ją pogrążyć? Wyjaśnienie ich motywacji nie przyszło łatwo panie Schmalzler, ale wreszcie dotarła do decydującego punktu oferty.

– Byłabyś odpowiedzialna przede wszystkim za panienkę Katharinę. I nie będę zaprzeczać, że tym samym wyświadczyłabyś sporą przysługę łaskawej pani. Zwłaszcza teraz, gdy panienka Katharina siedzi zamknięta w swoim pokoju i nikogo nie wpuszcza.

– Ale dlaczego ona to robi? – zapytała Marie, nie chcąc dłużej słuchać wymijających opowieści panny Schmalzler.

Gospodyni wzięła głęboki oddech i spojrzała przenikliwie na Marie.

– Jeśli powiem ci prawdę, Marie, oczekuję, że zachowasz to wyłącznie dla siebie. Rozumiemy się?

Marie przytaknęła. Jordan słusznie podejrzewała, że miało to związek z nią, z Marie.

– Pan dyrektor Melzer w wigilijny wieczór wydał pewien zakaz. Zabronił ci chodzić do pokoju łaskawej panienki. Według niego dziewczyna pracująca w kuchni nie powinna przebywać w pokoju jego córki.

– Ja... rozumiem... – powiedziała cicho Marie.

W tym samym momencie musiała jednak bardzo się starać, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Panienka na złość ojcowskiemu zakazowi zamknęła się w pokoju, a łaskawa pani znalazła bardzo sprytnie rozwiązanie. Pomoc kuchenna nie powinna przychodzić do pokoju łaskawej panienki. Natomiast pokojówka już jak najbardziej. Wahała się. Musiała teraz zrobić ostateczny krok, ale brakowało jej tego najważniejszego bodźca, który pomógłby jej się zdecydować. Czy mogła zostawić łaskawą panienkę? Zwłaszcza teraz, gdy ona tak ofiarnie walczyła o ich przyjaźń? Decydując się na podjęcie ryzyka, które mogło zaszkodzić jej zdrowiu. To było bardzo odważne, wręcz heroiczne. Marie postanowiła, że wesprze łaskawą panienkę w jej walce. Przecież zawsze mogła zrezygnować. Później, wiosną lub latem. Bo kto już w styczniu, gdy w dodatku trzyma trzaskający mróz, może wiedzieć, co przyniesie nadchodzący rok?

Już po kilku minutach Marie znalazła się pod pokojem łaskawej panienki. Obok niej stała pani dyrektorowa, biała ze strachu o swoją córkę. Panicz pobiegł do ogrodnika, by przynieść od niego narzędzia.

– W żadnym razie nie chcę, żeby mój syn siłą otwierał te drzwi. Powiedz coś do niej, proszę cię. Tobie na pewno odpowie.

Marie była zdezorientowana. Nigdy wcześniej nie widziała łaskawej pani,

zawsze silnej i stanowczej, w takiej rozpaczy. Przysunęła się więc do białych, kasetonowych drzwi, jak tylko było to możliwe.

– Panienska Katharina? To ja, Marie. Jestem od teraz panienski pokojówką.

Słysząc było gwałtowne kroki, stołek lub krzesło zostały przesunięte spod drzwi, a następnie klucz obrócił się w zamku. W szparze między futryną i drzwiami widać było panienskę w białej nocnej koszuli, ze zmierzwionymi lokami opadającymi na ramiona.

– Marie! Moja kochana Marie! Wejdz, mam ci tyle do opowiedzenia! Pokojówka! Ojej, co to za pomysł! To wspaniale! Chodź, chodź, czemu tu jeszcze stoisz? Kochana mamó, przynieś mi, proszę, coś sensownego do jedzenia, dobrze? Przez cztery dni żyłam jedynie świątecznym keksem.

Panienska była nieco nadpobudliwa, ale zupełnie nie było po niej widać czterech dni głodówki. Mówiła więcej niż zwykle, rzuciła się matce na szyję i zaciągnęła Marie do swojego pokoju. Chciała jak najszybciej podzielić się z nową pokojówką tym, co ją dręczyło.

– Jesteś jedyną osobą, z którą mogę o nim porozmawiać. On jest jak piękne marzenie, jak nieznaną księżę, który odwzajemnił mój uśmiech, a później rozpułnął się we mgle. Ach, Marie, gdybyś tylko wiedziała, jak bardzo cierpię i jak jednocześnie jestem nieprawdopodobnie szczęśliwa...

22

Adela jest po prostu boska, przyjacielu. Ten głos, ta figura... O tak, matka natura obdarzyła ją bardzo hojnie!

Paula rozbawił zachwyty przyjaciela. Wszyscy wstali w loży i bili głośne brawa śpiewaczce, która wielokrotnie kłaniała się publiczności. Wystawiano *Zemstę nietoperza* Johanna Straussa, operetkę, w której pije się sporo szampana. Doskonały wybór na wieczór sylwestrowy.

– Odsuń się, muszę się zamachnąć. No proszę!

Julius Kammer, student medycy, zamierzał rzucić uwielbianej przez siebie Adeli bukiet kwiatów na scenę. Rzucił jednak zbyt blisko i kwiaty wylądowały na głowie jednego z muzyków z orkiestry. Szczery śmiech wybuchł więc wśród muzyków i w lożach. Tylko Julius miał zmartwioną minę. Te kwiaty miały przecież otworzyć mu drogę zarówno do serca, jak i do garderoby pięknej Adeli.

– Tak właśnie się dzieje, gdy skąpi się na wynajęcie posłańca!

– Uważaj, ten piękny chłopiec grający na tubie właśnie ci posłał tęskne spojrzenie! I wyławia teraz twoje róże ze swojego instrumentu!

Julius nie zwracał uwagi na kpiny kolegów i koniec końców robił dobrą minę do złej gry. Olśniewająca Adela została obrzucona kwiatami, więc jego i tak nie miały szansy zostać zauważone.

– Zostało jeszcze pół godziny do Nowego Roku, schodzimy na dół? – zapytał Alfons Bräuer. – Ja stawiam pierwszą kolejkę szampana.

– Słuchajcie, słuchajcie! Czyżbyś był dzisiaj tak wspaniałomyślny, co?

Paul od czasu do czasu naciągał na coś zakochanego młodego człowieka i bawiło go to. Oczywiście nie był szczególnie z siebie dumny, Alfons był na jego łasce, dopóki usychał z tęsknoty do jego młodszej siostry. Zapłacił nawet bez wahania wygórowaną cenę za siodło.

Na scenie zasuwano teraz kurtyny i pośpiesznie usuwano dekoracje, żeby ustawić stół z napojami alkoholowymi i małymi przekąskami. Muzycy

z orkiestry, w przeciwieństwie do śpiewaków, zostawali na scenie, bo mieli zagrać jeszcze potpourri z rozmaitych operetek, a później będą przygrywać do tańca. Teatr w domu zdrojowym Göggingen słynął ze wspaniałych występów i przedstawień. Zwłaszcza mieszczaństwo i młodzi ludzie doceniali jego nowoczesną, żeliwną konstrukcję, która pierwotnie była halą sanatoryjną, ale obecnie pełniła funkcję teatru i sceny koncertowej. „Prawowici” mieszkańcy Augsburga, do których należało również małżeństwo Melzerów, uważali jednak to pomieszczenie, zdobione wysokimi, monumentalnymi witrażami, za mało eleganckie. Można się poczuć jak w cyrku, oceniła mało przychylnie matka Paula. A publiczność – no cóż...

Chcieli właśnie pójść na dół na parkiet, zwłaszcza że mężczyzna z obsługi teatru otworzył drzwi łóż.

– Czy to aby dozwolone? – zapytał prowokacyjnie Klaus von Hagemann. – Chcieliśmy właśnie do was wpaść. Ale nie przeszkadzajcie sobie, koledzy, na wszelki wypadek mamy szampana w pogotowiu!

Był w towarzystwie dobrego przyjaciela, porucznika Ernsta von Klippsteina z Berlina. Przystojnego, z imponującym zarostem i niebieskimi oczami. Typowego, książkowego mieszkańca Prus. Towarzyszyły im dwie piękne blondynki, jedna w błyszczącej zielonej sukni, druga, którą von Hagemann nazywał „chórzystką”, była ubrana na błękitno. Uśmiechnięty kelner przyniósł tacę, na której stały kieliszki. Również w innych łóżach goście pili teraz szampana. Wielu z nich się znało, dlatego przerzucano się toastami. Jedyne publiczność z parteru musiała poczekać na alkohol, bo jeszcze nie zakończono porządkowania sceny.

– Za to, co kochamy!

– Za cudownych artystów! Zwłaszcza tych obecnych!

– Za cesarza i naszą niemiecką ojczyznę!

Ostatni toast został wzniesiony oczywiście przez porucznika von Klippsteina. Prusak! Jeden z tych, którzy już nie mogli się doczekać, żeby wziąć udział w wojnie za cesarza i ojczyznę. Wszystko jedno przeciwko komu, ważne, by można było walczyć i otrzymać odznaczenie.

Paul poczuł na sobie wzrok chórzystki. Dopił więc zawartość swojego kieliszka i zapytał ją, w której partii śpiewała. Ach, tylko w chórze. W scenie z księciem Orlofskim, krótko przed wielką arią Adeli. Stała na skraju sceny. Może nawet ją widział? Paul pamiętał tylko ciemność, ale nie został dopuszczony do słowa, bo chórzystka zaraz zaczęła mówić o dyrygencie,

o wielu trudnych próbach, o złośliwych solistkach i koleżankach, które już od trzydziestu lat śpiewają w chórze operowym i powinny rozumieć, że nadszedł czas, by ustąpić miejsca młodszym. Ucieszył się, gdy do rozmowy wmieszał się Julius i odbił mu gadatliwą dziewczynę.

– Za dziesięć minut – powiedział von Klippstein, sprawdzając czas na kieszonkowym zegarku. – A co mówi pański zegarek?

– Jest w naprawie – mruknął Paul.

Von Klippstein uśmiechnął się i powiedział, że nie ma większej tragedii w sylwestra niż brak zegarka. Choć chwili, w której wybije północ dzisiaj w Augsburgu, nie da się jednak przegapić.

– To będzie wspaniały rok – ciągnął z błyszczącymi oczami. – Chwalebny rok dla naszej ojczyzny, a także dla mnie i dla mojej rodziny. W maju biorę ślub.

– Moje gratulacje!

Cóż za konsekwentne dążenie do celu! Ten chłopak pewnie nie był starszy od niego, a już robił karierę wojskową i planował przyszłość tak, by odnieść jak największy sukces w każdej dziedzinie. Adele Deulitz, córka przedsiębiorcy z Berlina. Paul pamiętał, że słyszał kiedyś to nazwisko w związku z którąś z fabryk produkujących maszyny. Tutaj, w Augsburgu, von Klippstein był tylko z wizytą. Był spokrewniony z von Hagemannami.

– Prawdopodobnie mi pan nie uwierzy – powiedział porucznik do Paula i zrobił krok w jego stronę, bo hałas robił się coraz większy. Na dole szturmowano scenę, na której w końcu pojawiły się napoje i przekąski. – Prawdopodobnie mi pan nie uwierzy – powtórzył von Klippstein – ale to jest małżeństwo z miłości.

– Tak? Naprawdę? Więc tym bardziej gratuluję!

Spojrzał na niego. I nagle jego rozmówca wydał się Paulowi już nie tak sztywnym i zimnym Prusakim. Zakochał się i szczęście było wyraźnie widać w jego oczach. Dziewczynę swoich marzeń uczyni niebawem swoją żoną. Godne pozazdroszczenia.

– Ej, Paul. Zaraz się zacznie. Pomóż nam otworzyć okno, żebyśmy mogli zobaczyć fajerwerki! – przerwał im Julius.

Rzucił się natychmiast do wysokich okien, ale okazało się, że nie da się ich otworzyć. Zarówno Julius, jak i Alfons byli tym ogromnie zawiedzeni. Paul zauważył, że obaj są już bardziej niż podchmieleni, w czasie przerwy w przedstawieniu wypili sporo wina. Paul wiedział, że jego przyjaciela

Juliusa ciągnie do alkoholu, ale to, że porządny Alfons tyle dzisiaj wypił, musiało wynikać z faktu, że był głęboko rozczarowany. Miał zapewne nadzieję, że Kitty będzie dziś towarzyszyć bratu, ale ona z Elisabeth i rodzicami została zaproszona na przyjęcie u burmistrza, gdzie z pewnością śmiertelnie się wynudzi.

Podszedł do nich podenerwowany mężczyzna z obsługi i prosił młodych panów, żeby nie uszkodzili okien. Na dole, na parterze, zaraz zostaną otworzone szklane drzwi, aby goście mogli oglądać pokaz fajerwerków. Tutaj, na górze, jest to jednak... Zamilkł, bo orkiestra zaczęła grać. Po chwili mężczyzna we fraku, którego Paul wcześniej nie widział, wzniosł do góry ręce, żeby uciszyć rozkrzyczanych gości, i zaczął odliczać.

– Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem...

Liczono razem z nim i w pośpiechu napełniano kieliszki szampanem. Paul poczuł nagle, że chórzystka się do niego przytuliła.

– Cztery, trzy, dwa... Tysiąc dziewięćset czternasty!

Przy słowach „tysiąc dziewięćset czternasty” cała sala ryknęła z zachwytem, tak że nawet przez chwilę nie było słyhać fanfar granych przez orkiestrę.

– Szczęśliwego Nowego Roku! Za dobry, wspaniały, wielki Nowy Rok!

Chórzystka położyła obie ręce na szyi Paula i bezceremonialnie pocałowała go w policzek. Z konieczności musiał odwzajemnić pocałunek. Potem po kolei rzucała się każdemu z przyjaciół na szyję, przepijała do każdego i nie przestawała chichotać. Paul poszedł pośpiesznie do szatni, poprosił o płaszcz, kapelusz i rękawiczki i zszedł na parter. Faktycznie, drzwi zostały otwarte i część publiczności była już na zewnątrz, obserwując pokaz fajerwerków. Również przed teatrem wystrzeliwano je w zimowe niebo. Szybowały z gwizdem do góry, wybuchały i rozpryskiwały się, przyjmując kształt żółtych i czerwonych gwiazd. Przez kilka sekund zatrzymywały się na czarnym niebie jak ogniste kwiaty, a potem roztopiały się w nicłość.

– Czy to nie wspaniałe? – zawołał von Hagemann, który przyszedł za Paulem. – Bardzo wyraźnie widać kontury domów, gdy fajerwerki wybuchają na niebie. Te światełka płoną na niebie jak olbrzymie choinki. A niech to, raz jeszcze, sądzę, że to będzie wspaniały rok!

Jedna z petard wybuchła niespodziewanie niedaleko nich, rozległ się krzyk przerażenia, a potem śmiech.

– Czy twoja siostra czasem mnie wspomina? – porucznik zapytał Paula.

– Która siostra?

– Młodsza, Katharina.

Paul marzył mimo grubego płaszcza. Stanie bez ruchu mu nie sprzyjało. I znów, znów Kitty. Nie miał pojęcia, co sądziła o Klausie von Hagemannie, i nie chciał tego wiedzieć.

– Nie przypominam sobie... Ona teraz bardzo dużo maluje, obsesyjnie, można by powiedzieć...

To przynajmniej nie było kłamstwem. Kitty przez cały czas siedziała w pokoju z nową pokojówką i namiętnie malowała. Marie została główną pokojówką, kto by pomyślał?

– Zaczęła odczuwać do mnie dość wyraźną awersję – ciągnął porucznik. – A to mnie bardzo dziwi, bo jeszcze niedawno miała do mnie zupełnie inny stosunek. Czy to może być powodem tej nagłej zmiany?

Paul wzruszył ramionami. Jego mała siostrzyczka najwyraźniej znów wyrządziła dość znaczne szkody. Biedak, widać, że mocno go to ubodło.

– Może w końcu się zakochała?

Paul zaśmiał się z tego przypuszczenia. Kitty jeszcze dziś rano mówiła o kawalerach poznawanych na balu i twierdziła, że wszyscy są wąsatymi pingwinami. Gdy zauważył, że porucznik poczuł się urażony jego uśmiechem, udzielił szybkiej odpowiedzi.

– Tak, na pewno – powiedział z westchnieniem. – Co tydzień w kimś innym. O ile nadążam, w tym tygodniu jest to pewien Rafael. W zeszłym tygodniu był Michał Anioł...

Von Hagemann obserwował uważnie lot zielonej rakiety, patrzył, jak pęka w górze i jak delikatne pajęczki rozbłyskują na nocnym niebie. Potem kopnął jeden z kamieni leżących na grządce pokrytej zielonym igliwem i bez słowa wszedł znów do teatru. Słysząc było pierwsze takty operetki, muzycy zaczęli grać zapowiedziane potpourri. Po panującym hałasie i brzęku szkła można było jednak wnioskować, że nikt ich nie słucha. Gdy się odwrócił, w wejściu do budynku zobaczył młodą parę, objętą i zatopioną w długim pocałunku.

– Ach, tu jesteś, Paul. Przyjdź do nas, do łóżki.

Jego przyjaciel Julius lekko się kołysał. Nic to jednak nie znaczyło, Julius mógł bowiem wypić ogromną ilość alkoholu, a i tak nie był zbyt pijany.

– Zaprosiliśmy dwie panie z baletu, będziesz zachwycony! – dodał nieco zaczepnie. – Poza tym ta chórzystka z blond włosami już dwa razy o ciebie pytała.

– Mam spotkanie – skłamał Paul. – Może wpadnę później.

– No kto by pomyślał – powiedział Julius nie bez zazdrości. – W takim razie życzę ci wiele przyjemności!

– Dziękuję, przyjacielu.

Szedł przez korytarz niedoszłego domu uzdrowiskowego, żeby złapać dorożkę, i czuł się tak, jakby się od czegoś uwolnił. Przez moment się wahał, ale zdecydował się na dorożkę konną, podał woźnicy cel podróży i wsiadł do środka. Do rodzinnej posiadłości nie było daleko, mógł pójść pieszo. Szybkim marszem zajęłoby mu to może pół godziny. Znał okolicę między Augsburgiem i Göggingen całkiem dobrze. Jako nastolatek przychodził tutaj z kolegami, latem, żeby kąpać się w niewielkich rzeczках i łowić ryby, zimą, by jeździć na łyżwach. Wszystkie te przyjemności były mu zabronione, ale który nastoletni chłopak przestrzega takich zakazów?

Siedział w dorożce mniej niż pięć minut, a już zrozumiał, że dokonał złego wyboru. Pojazd był bardzo stary, skrzypiał i trząsał na bruku, a obicie, równie stare, nieznośnie śmierdziało stęchlizną. Paul otworzył okno i głęboko odetchnął zimowym powietrzem, w którym czuć jeszcze było zapach ognia i siarki. Wciąż wystrzeliwano w górę pojedyncze rakiety, które prezentowały feerię barw w pełnej krasie, mając do dyspozycji całe zimowe niebo tylko dla siebie. Im dłużej dorożka podrygiwała na drodze, tym bardziej dobry nastrój Paula zbliżał się do punktu zerowego. Za kilka dni będzie musiał wrócić do Monachium, do swojego małego pokoju, i kontynuować studia. Nie miał na to nawet najmniejszej ochoty. Na szczęście będzie mógł chociaż wykupić zegarek z lombardu. Wstydział się swojej łatwowierności i myślał o tym, jak ojciec w fabryce nazwał go głupcem. To było gorzkie doświadczenie, zostać tak ponizonym. Zwłaszcza że słyszeli to wszyscy pracownicy i na twarzach kilku z nich dostrzegł złośliwą satysfakcję. Znowu poczuł oburzenie, które mu wtedy towarzyszyło, poprawił się na siedzeniu dorożki i szerzej otworzył okno.

Oczywiście ojciec miał rację, jego obliczenia były błędne, nie wziął pod uwagę wielu czynników. W ojcowskiej reprimendzie wyczuł jednak rozczarowanie i to było szczególnie bolesne. Dlaczego sądził, że jest w stanie zrobić obliczenia w pięć minut? Rażąco przecenił swoje możliwości i to mu wytknięto. Niesłuchanie mocno. Zbyt mocno.

Próbował odpędzić złe myśli, ale nie potrafił. Z ojcem nie było łatwo, wiedział to dobrze. Ale przecież go kochał. Zwłaszcza teraz, gdy fabryka boryka się z problemami i ojciec dopiero późnymi wieczorami wraca do willi, Paul cierpiał, że nie może zostać. Dwie maszyny były zepsute, kolejna

pracowała, powielając błędy w nadruku, a naprawy nie były skuteczne. Do tego nie wykonano ustalonych zamówień w terminie, fabryka miała opóźnienia, klienci byli niezadowoleni. Nie dowiedział się tego od ojca, bo ten po powrocie do domu nie mówił ani słowa i dusił w sobie zmartwienia. Paul wiedział o tych problemach, bo złapał kiedyś w fabryce jednego z majstrów, Huntzingera, i wypytał o wszystko.

– Wcześniej się to nie zdarzało – narzekał Huntzinger. – Wtedy pan Burkard pilnował maszyn i gdy jedna się zepsuła, konstruował następną.

– Ten pan Burkard?

– Oczywiście. To on zaprojektował te wszystkie maszyny. To był dobry człowiek i znał się doskonale na mechanice. Skonstruował też maszyny do szycia i rowery.

Paul zastanawiał się, skąd zna to nazwisko, aż przyszło mu do głowy, że pewnie chodzi o Jakoba Burkarda, byłego współnika ojca, który nie żył od wielu lat. Cóż, Huntzinger też nie był już najmłodszy.

Gdy wreszcie na końcu drogi Paul zobaczył posiadłość rodziców, poczuł dziwną ulgę i zaczęło w nim budzić się coś w rodzaju oczekiwania. Willa była oświetlona, a na parterze, gdzie znajdowały się pomieszczenia gospodarcze, w wielu oknach również paliło się światło. Na pierwszym piętrze było zupełnie ciemno, a na drugim tylko w jednym oknie się świeciło. Wyteżył mocno wzrok – to musiał być pokój Kitty. Serce zaczęło mu mocniej bić, miał ochotę śpiewać na głos. Dorożka zatrzymała się przed schodami prowadzącymi do drzwi wejściowych, zeskoczył ze schodka i wręczył woźnicy napiwek. Starzec powinien mieć jeszcze choć trochę przyjemności w życiu, a i dla jego klaczy też chciałby zrobić coś dobrego. Widać przecież, że nie będą już długo razem jeździć, woźnica, dość już wiekowy, i koń, z pewnością pamiętający lepsze czasy.

Z kapeluszem i rękawiczkami w dłoni wspiał się po schodach i zamiast użyć dzwonka, przekręcił klucz i sam sobie otworzył drzwi. Dlaczego nie mógłby się na to odważyć? Przecież niczego od niej nie żądał. Było między nimi trochę bliskości, miła rozmowa, a w jej oczach dostrzegał tę aksamitną, ciemną otchłań. Chciałby choć na chwilę się w niej zatopić... W holu panował półmrok, tylko w oddali, przy wejściu na schody, paliła się lampa naftowa, która miała ułatwiać personelowi podejście do przełącznika światła elektrycznego. Nikt nie zauważył, że wszedł. Prawdopodobnie służący siedzieli wciąż razem w kuchni, świętując noc sylwestrową. Nagle przyszło

mu do głowy, że niektórzy z nich z pewnością mają w dzisiejszy wieczór wolne i świętują sylwestra z przyjaciółmi i rodziną. Tylko którzy? I czy nie powinni już niebawem wracać? Znów ujrzał przed oczami obrzydliwą knajpę, przed którą jakiś brutalny typ powalił Marie na ziemię... Czy jeszcze kiedyś tam pójdzie? Nie, przecież mu to obiecała. Ale kto powiedział, że dotrzyma tej obietnicy? „Nigdy! Jeszcze nie upadłam na głowę! Nigdy w życiu już tego nie zrobię!”

Paul właśnie wchodził na klatkę schodową, gdy z kuchni dotarły do jego uszu gniewne słowa. To musiał być głos Roberta. Paul przystanął, ale uznał, że to nie w porządku podsłuchiwać rozmowy służby, i wszedł na schody. Dywan sprawiał, że jego kroki były niemal bezgłośnie.

– Chcesz siedzieć w więzieniu, tak? Spać na ulicy, bo nikt już cię nigdy nie zatrudni z takim wpisem w książce pracowniczej...

To była Auguste. Do niego zawsze się uśmiechała w naiwny, uległy sposób, a teraz była naprawdę wściekła.

– Skończ z tym wreszcie! Nikt mi niczego nie udowodni, ty też nie!

Zaciekawiony Paul postanowił zatrzymać się i wyteńczyć słuch. Wydaje się, że doszło do jakiejś paskudnej historii. I do tego z udziałem Roberta, którego nigdy by o nic takiego nie podejrzewał.

– Mogę przysiąc przed sądem – zagroziła mu Auguste półszepem. – Zabrałeś list łaskawej panienci i zamiast niego zaniósłeś na pocztę inny. Wyciągnąłeś go wcześniej ze swojej kurtki.

– Nie bądź śmieszna, Auguste. Po co miałbym to robić? Co ja mam do listów łaskawej panienci?

Paul usłyszał krótki i szyderczy śmiech Auguste. Brzmiało to tak, jakby musiała zakasać.

– Dlaczego? To przecież oczywiste! Bo nie chciałeś, żeby napisała list miłosny do porucznika von Hagemanna! Ze ślepej zazdrości zamieniłeś ten list na inny, który sam napisałeś. Może nawet skopiowałeś pismo łaskawej panienci i podrobiłeś jej podpis? Wiesz, że pójdiesz za to do więzienia, jeśli to wyjdzie na jaw?

– Nic z tego, co powiedziałaś, nie jest prawdą! Sama jesteś zamroczona zazdrością i wymyślasz kłamstwa. Kto uwierzy w te twoje brednie? Nikt. Wszystko to się skupi na tobie, Auguste.

– Jeśli mnie poślubisz, Robercie, o wszystkim zapomnę – powiedziała Auguste zmienionym głosem. – Robię to tylko dlatego, że widzę, jak się

zatracasz w niemożliwej miłości. Czy poważnie myślisz, że...

– Pssst! – syknął. – Cicho bądź. Ktoś idzie.

– Kto mógłby iść? Wszędzie jest ciemno.

Paul poczuł niepokój, gdy zobaczył, że Robert wyszedł teraz z kuchni do holu. Ukrywanie się przed własnym sługą było dość zabawne, ale gdyby Robert odkrył, że podsłuchuje ich rozmowę, czułby bolesne zażenowanie. Przykucnął, tak by ukryć się w cieniu rzucanym przez poręcz schodów, zanim Robert nie wrócił do kuchni. Powoli i po cichu ruszył potem po schodach, rozmyślając o podsłyszanej rozmowie. Nie był dumny z tego, co zrobił, ale wyglądało na to, że biedny porucznik Klaus von Hagemann otrzymał sfałszowany list. Przy okazji zapyta Kitty o to, ale o ile zna swoją małą siostrzyczkę, z pewnością nie napisała listu miłosnego do porucznika. W gruncie rzeczy była to więc błahostka, znacznie ważniejszy był natomiast fakt, że Robert dopuścił się oszustwa. Musiał błędnie ocenić tego chłopaka. Powinien koniecznie porozmawiać o tym z mamą. Ale później. Teraz miał inne plany. Wszedł do czerwonego salonu, włączył górne światło i zadzwonił elektrycznym dzwonkiem. Robert potrzebował mniej niż minutę, żeby wejść na górę po schodach.

– Łaskawy pan... nie słyszeliśmy, że pan wszedł... Życzę panu szczęśliwego Nowego Roku!

Robert był wyraźnie zdenerwowany i Paul, ponieważ miał lepszy nastrój, postanowił go uspokoić.

– Życzę ci tego samego, Robercie. Oby ten Nowy Rok spełnił nasze wszystkie marzenia i nadzieje.

Robert skłonił się z uśmiechem i nie odpowiedział. Myślał wyłącznie o tym, czy młody pan mógł słyszeć rozmowę, która z pewnością nie powinna dotrzeć do pańskich uszu.

– Czy reszta mojej rodziny jest jeszcze poza domem, czy wszyscy już śpią?

– Pana rodzice i obie łaskawe panienki są wciąż poza domem. Spodziewamy się jednak, że już niedługo powinni być z powrotem.

– Też tak sędzę – powiedział Paul wesoło. – Przynieś na górę szampana i kieliszki, byśmy jeszcze raz wspólnie mogli wznieść toast za Nowy Rok.

– Oczywiście, łaskawy panie.

Tym razem Paul miał wrażenie, że czas stanął w miejscu, zanim Robert znów pojawił się w czerwonym salonie. Przyniósł butelki szampana w srebrnym kuble, wypełnionym pokruszonymi kostkami lodu.

– Postaw tutaj. Sam go otworzę. Dziękuję.

Zaczekał, aż Robert wyjdzie z czerwonego salonu, a potem otworzył jedną z dwóch butelek i nalał alkohol do dwóch kieliszków. Szampan był wciąż ciepły, pienił się w kieliszku tak mocno, że musiał dolewać po trochu. Niespokojnie podszedł do okna. Czy samochód stał już na podjeździe przed willą? Nie, na szczęście, to było tylko złudzenie.

Z dwoma kieliszkami w rękach wyszedł pośpiesznie na korytarz, wszedł szybko i bez rozlania kropli napoju schodami na drugie piętro i postawił swój alkoholowy ładunek na komodzie, stojącej w korytarzu. Znowu jego puls przyspieszył, ale nie było to spowodowane szybkim wchodzeniem po schodach. Zapukał. Nic. Przyszła mu do głowy straszna myśl, że Kitty mogła po prostu nie wyłączyć światła, gdy wychodziła z pokoju. Zapukał raz jeszcze, tym razem głośniejsze. Znowu nic. Chciał wiedzieć, co to znaczy. Zdecydowanie pociągnął za klamkę i otworzył drzwi. Była tam! Stała z rysownikiem przed sztalugą i wpatrywała się w otwartą książkę. No proszę, kopiowała zdjęcie słynnego *Dawida Michała Anioła*.

– Łaskawy pan... Proszę wybaczyć... Byłam tak skupiona...

Przepiękne ciemne oczy patrzyły teraz na niego z przerażeniem. Wyglądała jak jeleni, zapędzony przez myśliwych w ślepy zaułek.

– Nie musisz się bać, Marie. To ja powinienem przeprosić ciebie, bo zajrzałem tu nieproszony.

Nie było żadnych wątpliwości, że go słyszała. Sądziła jednak, że sobie pójdzie, jeśli nie zareaguje na pukanie do drzwi. Zrobił kilka kroków i wszedł do pokoju. Chciał zobaczyć jej szkicownik, ale ona schowała go zarumieniona za plecami i zamknęła książkę gwałtownym ruchem. Dlaczego zamierzała narysować nagiego chłopca? Podobało mu się, że była taka wstydliva. Nie, wtedy na przedmieściu na pewno nie powiedziała mu prawdy.

– Prawdziwi artyści nie ukrywają swoich prac. Sztuka jest dla wszystkich. Nawet dla mnie.

– Nie jestem żadną artystką, łaskawy panie. Rysuję tylko dlatego, że łaskawa panienska mi kazała. Uczy mnie i muszę wykonać swoje zadanie.

To było zupełnie inne oblicze jego siostry. Kitty jako surowa nauczycielka rysunku. Wciąż potrafiła sprawiać niespodzianki.

– Skoro jednak już tu oboje stoimy – powiedział z beztroską miną – możemy wznieść noworoczny toast.

Wyczarował dwa pełne kieliszki i podał jej jeden. Ona się odsunęła.

– Dziękuję bardzo, łaskawy panie, ale proszę, nie chciałabym pić alkoholu.

Wzdrygnęła się, pomyślał. Mój Boże, jak ona ładnie wygląda w tej nowej sukni. Sznurowała ją? Oczywiście.

– Jednego łyka szampana za szczęśliwy Nowy Rok nie możesz mi odmówić. No już, bądź odważną dziewczyną i weź kieliszek. Tak, tak dobrze...

Wzięła smukły kieliszek tak zgrabnie w dłoń, jak gdyby to naczynie zostało stworzone tylko po to, by prezentować się pięknie w jej małej ręce o bardzo szczupłych palcach. Udało się jej również uśmiechnąć, a wyraziste spojrzenie jej ciemnych oczu odebrało mu mowę. Marie, szeleściło w jego myślach. Marie, Marie.

– W takim razie wypijemy za pana – powiedziała pewniejszym głosem. – I za pana rodzinę. Niech to będzie radosny i pomyślny rok dla was wszystkich.

– I za ciebie, Marie. Za ten szczęśliwy czas, który spędziliśmy razem w posiadłości.

Gdy stuknęli się kieliszkami, zaśpiewały delikatnym, jasnym dźwiękiem. Chwilę później rozbawionym głosem stwierdził, że Marie prawdopodobnie nigdy wcześniej nie piła szampana. Zmarszczyła nos i faktycznie poprzestała na jednym, małym łyku.

– Opowiedz mi więcej o tych lekcjach – poprosił. – Chętnie bym zobaczył, co do tej pory namalowałaś.

– Chętnie, łaskawy panie, ale nie teraz. Odpowiem na wszystkie pytania, gdy łaskawa panienka wróci do swojego pokoju.

– Ona niedługo powinna być z powrotem. Możemy tu na nią poczekać i trochę porozmawiać...

– To niemożliwe, łaskawy panie.

Wypił szybko swój kieliszek szampana i zastąpił jej drogę, gdy chciała uciec na korytarz. Stała teraz blisko niego i nie wiedziała, co zrobić. Miała nadzieję, że ją przepuści. Nie uczynił tego jednak. Tym razem naprawdę chciał ją sprowokować, krew pulsowała w jego żyłach. Od kilku dni i nocy myślał tylko o niej. O Marie. Wyciągnął ręce i objął ją. Poczł, jak drży, i ogarnęło go przemożne pragnienie, żeby ją pocałować. Jak jej skóra lśniła, jak usta błyszczwały czerwienią, jak wspa...

– Nie! – powiedziała głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Nie chcę, żeby pan to zrobił.

Skamieniała w jego ramionach. Była twarda i zimna jak marmurowy posąg, który jeszcze nie został skończony. Puścił ją i cofnął się, przerażony

wściekłością, którą zobaczył w jej oczach.

– Nie chcę tego, bo to nie doprowadzi nas do niczego dobrego, łaskawy panie. Dobrej nocy!

Przeszła koło niego i wyszła z pokoju, a on tym razem ją przepuścił. Przez jakiś czas stał nieruchomo w progu i usłyszał, jak zamknęła za sobą drzwi, prowadzące na schody dla służby. Dopiero teraz się odwrócił i wpatrywał w pusty, ciemny korytarz. Ona naprawdę go odrzuciła.

CZEŚĆ III
ZIMA 1914

23

Nie uważam, żeby to był dobry pomysł, Kitty.

Alicia odchrząknęła, żeby pozbyć się dręczącej ją guli w gardle, a potem wypła łyk gorącej kawy. Od rana jej nastrój nie był najlepszy. Bolało ją gardło, pękała głowa. Choć miała na sobie grube futro, wczoraj wieczorem potwornie zmarzła, stojąc na balkonie. Zmroziło ją na kość, gdy stała bez ruchu podczas noworocznego przemówienia, które Johann wygłosił do pracowników. Robert i Gustav rozlewali sznapsa, był też chleb i kakao. Było to niezwykle budujące, gdy wszyscy ci ludzie wiwatowali „swojemu” dyrektorowi, wychwalali państwa Melzerów i opijali z nimi Nowy Rok. Ci ich pracownicy to byli naprawdę oddani ludzie. Z małymi wyjątkami – to oczywiste. Ale tak było wszędzie.

– Dlaczego nie, mamó? – pytała Kitty z typową dla niej natarczywością. – Robert nas zawiezie na miejsce, a stamtąd weźmiemy taksówkę do domu.

Oczywiście przedstawiła swój szalony pomysł dopiero teraz, gdy ojciec po śniadaniu wyszedł do fabryki. Johann po prostu by jej tego zabronił. Nie, i basta.

– Chcesz jechać z Marie do muzeum? – wtrąciła się Elisabeth.

– Chcemy zobaczyć kolekcję sztuki zgromadzonej w kościele Świętej Katarzyny. Co w tym złego? Marie jest utalentowaną malarką, a ja ją uczę. Powinna poznawać różne style w sztuce.

– Nasza pomoc kuchenna ma studiować malarstwo! – krzyknęła Elisabeth i zaśmiała się szyderczo. – Czasami naprawdę się zastanawiam, co się dzieje w twojej głowie, Kitty. Może jednak brak ci piątej klepki?

Słyszając te słowa, Kitty zaczęła się bronić. Marie nie jest pomocą kuchenną, tylko jej pokojówką. A poza tym ona, Elisabeth, ciągle gdzieś wychodzi ze swoimi przyjaciółkami, z Dorotheą i Serafiną, i dlatego nie ma najmniejszego prawa, żeby...

– Możemy zająć się tym tematem w spokoju? – wtrąciła się Alicia. – Choćby

dlatego, że wciąż to moje zdanie jest najważniejsze.

Obie córki natychmiast zaczęły okazywać troskę o zdrowie matki. Elisabeth przyniosła ciepły sok z cytryny, Kitty, przypomniała sobie z dzieciństwa, że pomagają ciepłe okłady na gardło i szalwia.

– Robert! Gdzie znów się podziewa ten chłopak?

– Daj mu spokój, Elisabeth – przerwała Alicia. – Pójdę się położyć i napiję się naparu z czarnego bzu.

Robert otworzył drzwi, nie wywołując najmniejszego szelestu. Przyniósł na tacy czajnik ze świeżo zaparzoną herbatą i dzbanuszek ze śmietaną.

– Powiedz kucharce, żeby podgrzała więcej soku z cytryny i włożyła do niego miodu – nakazała Elisabeth.

– Oczywiście, łaskawa panienko, ale nie jestem pewien, czy mamy jeszcze cytrynę. Już do herbaty brakło...

To niesamowite, że za każdym razem, gdy widział Kitty, jego oczy zaczynały płonąć. Jedną ręką wziął pusty dzbanek, a w drugiej trzymał tacę z pełnym. Ustawiał pusty dzbanek obok pełnego, a potem mógł zestawić dzbanek z herbatą z tacy i ustawić go na podstawce na stole. Każdy inny człowiek, pomyślała Kitty, upuściłby tacę. Robertowi jednak udało się ta sztuka i pewnie zrobiłby to nawet z zamkniętymi oczami.

– Ach, właśnie, Robercie – powiedziała Kitty. – Czy wyjazd do miasta byłby dziś możliwy? Pytam, bo w nocy znów padał śnieg.

Elisabeth rzuciła matce spojrzenie pełne oburzenia, ale Alicia nie zareagowała. Kłótnia przy służącym nie wchodziła w grę.

– Ależ nie ma żadnego problemu, łaskawa panienko – odpowiedział Robert pośpiesznie, a pusty czajnik, który trzymał na tacy, nieco się poruszył. – Gustav i ja wyczyściliśmy dziś rano podjazdy ze śniegu, a ulice już od dawna są przejezdne. Gdzie mam zabrać panienkę?

– Dziękuję, Robercie – weszła mu w słowo Alicia. – Później damy ci znać.

– Oczywiście, łaskawa pani.

Swoje rozczarowanie ukrył za usługną pozą i zanim wyszedł, otrzymał jeszcze polecenie przyniesienia większej ilości naparu z czarnego bzu oraz zabrania brudnych naczyń dyrektora.

– Świetnie się składa, mamó! – zawołała radośnie Kitty. – Robert może nas zawieźć do kościoła Świętej Katarzyny, a w drodze powrotnej kupić w sklepie kolonialnym cytrynę. To by ci bardzo pomogło. Masz całkowitą rację, Liso. Sok z cytryny jest najlepszy na przeziębienie.

Elisabeth przewróciła oczami i przez chwilę zatrzymała wzrok na sztukateriach zdobiących sufit, a Alicia westchnęła z bezsilności. Nie, czuła się dzisiaj zbyt słabo, żeby wchodzić w ostrą polemikę z Kitty. Zwłaszcza że czuła wciąż w kościach ostatnią kłótnię z córką, po której ta zamknęła się w pokoju na kilka dni.

– W imię Boże. Ale chcę, żebyś traktowała Marie jak pokojówkę, a nie przyjaciółkę, gdy spotkasz kogoś ze znajomych. Nie mówię tego bez powodu, Kitty. Twoja relacja z Marie wszystkim nam wydaje się zdecydowanie zbyt swobodna.

Kitty była bardzo zadowolona i nie miała zamiaru wywoływać niepotrzebnego konfliktu. Oczywiście, nie będzie traktować Marie jak najlepszej przyjaciółki. Przynajmniej nie publicznie. Marie również jest zupełnie świadoma swojej pozycji. I tak, teraz pójdzie coś przekąsić, żeby mama nie żyła w strachu o to, że umrze z głodu. Elisabeth nalała sobie herbatę i patrzyła z zazdrością, jak Kitty nakłada sobie pyszne maślane rogaliki z szynką. Jak to było możliwe, że ta dziewczyna nie przybierała na wadze nawet o gram, a mogła jeść, ile dusza zapagnie? Ona mogła jedynie popatrzeć na rogaliki z szynką, bo jej obwód w talii znów powiększył się o kilka centymetrów.

– Wreszcie mogę się spokojnie oddalić – powiedziała Alicia, znów mocno odchrząkując. – Czy któraś z was chce poczytać gazetę? Nie? W takim razie wezmę ją ze sobą na górę.

Podczas gdy Alicia w szlafroku poszła do sypialni, żeby popijać tam gorący napar z czarnego bzu przeciwko rozwijającemu się przeziębieniu, Kitty podbiegła radośnie do okna, żeby przekonać się, czy drogi faktycznie nadawały się do jazdy samochodem. W rzeczywistości trzeba było ponownie usunąć śnieg z uliczek w parku i Gustav już się tym zajmował. Odgarniał łopatą śnieg energicznie i w szybkim tempie, nie wydawał się przy tym zmęczony. Cóż za silny mężczyzna! Widziała, jak jego oddech zamieniał się w parę na lodowatym powietrzu. Gdy się obróciła, zobaczyła, że Robert sprzątał stół po śniadaniu, a robił to tak sprawnie, że nie było słychać najdrobniejszego szcęknięcia czy brzęknięcia naczyń.

– Robercie, chciałabym być z Marie w kościele Świętej Katarzyny o godzinie jedenastej.

– W takim razie powinniśmy wyjechać o wpół do jedenastej, łaskawa panienko.

Tanecznym krokiem pobiegła przez korytarz, szybko weszła po schodach i zorientowała się, że jej serce bije naprawdę gwałtownie. Biegła bardzo szybko, za szybko. I może wypła za dużo herbaty. Powinna była wziąć kawę, po herbacie czuje się niespokojna. O mój Boże, jakże była podekscytowana. Ku jej zdumieniu, z pokoju dochodził czyjś głos. To była Marie. Później usłyszała też pannę Schmalzler. Co ona robiła w jej pokoju? Do tego rozpoznała jeszcze złośliwe warczenie Jordan. Nieprawdopodobne! Nikt nie zauważył, że weszła, wszystkie trzy kobiety stały w otwartych drzwiach jej szafy z ubraniami. Kitty spojrzała na mały zegar z wahadłem, który stał na komodzie, i stwierdziła, że do wpół do jedenastej zostały jeszcze dwie godziny. Zastanawiała się, czy nie powinna przerwać tej walki na słowa prowadzonej we wnętrzu jej szafy, ale uznała, że znacznie ciekawiej będzie posłuchać.

– Garderoba łaskawej panienki to moja działka! – warczała Jordan. – Odkąd jestem w tym domu, tak właśnie jest.

– Tak zostało zarządzane i musisz się podporządkować, Jordan – powiedziała Schmalzler ze stanowczym spokojem. – Będzie pani służyć łaskawej pani i panience Elisabeth, bo Marie jest teraz przydzielona do łaskawej panienki Kathariny.

– Ona wszystko zniszczy! – krzyczała zdenerwowana Jordan. – Ona przecież nie ma pojęcia, jak się obchodzić z sukniami z jedwabiu. Z balowymi sukniami. Z popołudniowymi kostiumami. Nie mówiąc o bieliźnie! Czy ona w ogóle potrafi prasować?

– Mówię przecież pani już po raz kolejny, że sama nauczę tego Marie – odpowiedziała gospodyni, której głos był teraz już nieco bardziej zniecierpliwiony. – Nie musi pani się martwić.

Kitty usiadła na jednym z jasnoniebieskich foteli. To była dla niej całkiem obiecująca rozrywka. Nie lubiła Marii Jordan, bo była fałszywą żmiją, która uwielbiała rozsiewać plotki.

– Nie jestem zupełnie osamotniona w tej opinii – powiedziała Jordan zaczepnie. – Wszyscy pracownicy potraktowali przeniesienie Marie jak policzek. Wykonuje się latami uczciwie i pilnie swoją pracę, uczy się od podstaw i wtedy otrzymuje się wyższe stanowisko. Ale tacy jak Marie, dzieci szczęścia, osiągają to w kilka tygodni. Więcej już nie mówię. Nie jestem zazdrosna. Nie ja. Ja nie mam powodów.

– Też tak uważam, panno Jordan. Czy mogłaby nas pani teraz zostawić same,

żebyśmy mogły wykonać swoją pracę?

– Ależ oczywiście, już idę! Ale mówię pani, panno Schmalzler, nie będę na tyle głupia, żeby biec z pomocą, gdy nowa pokojówka nie będzie sobie radzić. Czy ona potrafi szyć? Na pewno jej nie pomogę, gdy będzie musiała coś uszyć!

– Potrafię bardzo dobrze szyć, panno Jordan.

To był głos Marie. Mój Boże, jakich złośliwości musi słuchać ta biedaczka. Kitty była oburzona. Jeśli mama nie zajmie się Jordan, ona sama wyrzuci tę okropną, kłótliwą kobietę prosto na ulicę. Może choć teraz narobi jej trochę strachu, gdy Jordan wyjdzie i zobaczy przed sobą łaskawą panienkę.

– Do... do usług... łaskawa panienko – wyjąkała czerwona ze wstydu. – Ja chciałam jeszcze tylko doglądnać panienki sukienek i przekazać kilka cennych wskazówek Marie.

– Tak, z pewnością – powiedziała chłodno Kitty. – Słyszałam to aż nazbyt wyraźnie. Życzę sobie, panno Jordan, żeby w przyszłości traktowała pani Marie uprzejmie.

Jordan zrozumiała, że Kitty już od jakiegoś czasu słuchała ich rozmowy, i wyraźnie się wystraszyła.

– Oczywiście, łaskawa panienko – wyszeptała. – Proszę o wybaczenie, moje nerwy przemówiły za mnie.

Kitty przytaknęła wyniośle. Rola karzącej księżniczki Turandot podobała się jej bardzo. Machnęła jeszcze ręką w kierunku drzwi.

– Nawiasem mówiąc, więcej cię tu nie potrzebuję. Sądzę, że mamie jesteś potrzebna. Poszła się położyć, bo dokucza jej przeziębienie.

– W takim... w takim razie proszę mi wybaczyć...

Wydawała się zadowolona, że wreszcie może opuścić miejsce zbrodni. Gospodyni zachowała się w tej żenującej sytuacji ze znacznie większą godnością, przeprosiła za zamieszanie i udało jej się nawet wstawić dobrym słowem za Jordan.

– Nie powinna panienka brać jej za złe tej niechęci, nie jest jej łatwo tak nagle porzucić sporą część dawnych obowiązków. Z pewnością się z tym pogodzi.

– Mam taką nadzieję!

Kitty poczekała, aż Schmalzler wyjdzie, i natychmiast zapoznała Marie ze swoimi planami. Będą zwiedzać muzeum miejskie Augsburga, a także ratusz i kilka większych kościołów. Miała zamiar dać Marie pełną edukację artystyczną, bo to bardzo ważne, gdy ma się tak ogromny talent. Marie

powinna wziąć ze sobą szkicownik i ołówki, żeby wykonać kilka rysunków. W ten sposób wiele się nauczy, ona sama tak robiła, gdy uczyła się w szkole sztuk pięknych. Przez chwilę chciała zaproponować przyjaciółce, żeby włożyła jeden z jej tweedowych kostiumów, ale zrezygnowała. Marie mogła nosić zwykły strój pokojówki, prostą, długą spódnicę, czarną bluzkę i co najwyżej delikatną biżuterię, której zresztą nie miała. Włosy upięła, co sprawiło, że wyglądała doroślej, ale i bardziej uroczo. Nie, dzisiaj Marie nie mogła wyglądać jeszcze ładniej i nie jak młoda dama. Kitty miała po temu swoje powody, które jednak nie wiązały się absolutnie w żaden sposób z nakazem mamy.

– Wyjeżdżamy o wpół do jedenastej – oznajmiła i znów spojrzała na zegar z wahadłem. Czy to możliwe, że wskazówka minutowa przesunęła się jedynie o kwadrans? – Muszę jeszcze wziąć kąpiel i ułożyć włosy. Olejek różany, Marie. I mydło, które leży w wiszącej szafce. To z wyrzeźbioną różą.

Marie poszła posłusznie wszystko przygotować.

Mój Boże, tylko dlaczego ten czas tak wolno płynął? Słyszała na korytarzu ochrypy głos mamy, ona też zapewne chciała wziąć kąpiel. Kitty westchnęła. Oby tylko nie kazała jej zostać. Minuty ciągnęły się jak krople lepkiego miodu. Zaczęła rysować, ale nie potrafiła się skupić. Poszła na dół do czerwonego salonu i włączyła gramofon, posłuchała arii z opery *Turandot* i uznała, że zdecydowanie przecenia się Enrica Caruso. Wył przerażająco, ale być może była to sprawa gramofonu albo jej niecierpliwości. Poszła z powrotem na górę, żeby poinstruować Marie, które kostiumy ma wyciągnąć z szafy, a sama wyjęła pantofle. Nie potrafiła się zdecydować, co włożyć. Tę z aksamitu w kolorze kukurydzy? Czy nie za krzykliwa? Lepsza będzie ta beżowa, do tego bluzka i długa jasnoniebieska marynarka? Nie, w tym wyglądała jak pracownica biurowa. Lepsza będzie ciemna czerwień, ten kolor pasował jej najlepiej. Do tego mały kapelusik z tiulowym welonem, a włosy tylko tak delikatnie upięte, żeby spływały falą na plecy.

Na dole, w holu, musiały jeszcze poczekać na Roberta, który czekał na listę zakupów od kucharki. Kazano mu również pojechać do apteki po aspirynę dla łaskawej pani.

– Jestem niepokieszony, łaskawa panienko – powiedział bez tchu, gdy w końcu się pojawił. – Ale niech się panienka nie martwi, dotrzemy na miejsce punktualnie.

– O mój Boże – powiedziała Marie. – Te kilka minut niczego nie zmieni.

Przecież nikt na nas nie czeka, prawda?

– Tylko sztuka sakralna – odpowiedziała Kitty i ucieszyła się, że przyszedł jej do głowy ten żart.

Robert bardzo się starał. Ruszył z impetem ulicą do bramy, wyjechał ostrożnie na szosę i był zmuszony trochę zwolnić. Zaczynał padać śnieg, na chodnikach było widać pobłyskujące mokre plamy, a w zacienionych miejscach tworzył się lód, tak że samochód niepokojąco się kołysał.

– Bądź spokojna, łaskawa panienko, gdy dotrzemy do miasta, będzie lepiej. Trzymaj się mocno poręczy, żebyś się nie zraniła.

Kilka załadowanych furmanek jechało z naprzeciwka i woźnica jednej z nich przeklął siarczyście, gdy samochód przejechał niebezpiecznie blisko koni.

– Jak mi przejedziesz konie, to koniec z tym twoim śmierdzącym blaszanym gruchotem!

Kitty poczuła, że serce podchodzi jej do gardła, złapała Marie za rękę i była szczęśliwa, że przyjaciółka jest taka opanowana.

Gdy minęli bramę Jakoba, jazda stała się spokojniejsza, bo tutaj śnieg został rozjechany przez niezliczoną ilość kół i końskich kopyt. Robert jechał Jakoberberstrasse do samego Perlachberg, gdzie utknął w gąszczu samochodów, furmanek, dorożek i pieszych. Podjechał tramwaj i motorniczy chwycił linkę dzwonka.

– Co się dzieje? Dobry Boże, co oni wszyscy tutaj robią?

– Musiał się zdarzyć jakiś wypadek, łaskawa panienko. Zaraz się dowiem.

– Stój! Nie podchodź tam! – krzyknęła przerażona Kitty, gdy Robert otworzył drzwi i wysiadł.

– On zaraz wróci, panienko Katharino – powiedziała Marie z uśmiechem. – Niech panienka spojrzy, po prostu rozmawia z kierowcą innego automobilu.

Kitty postanowiła, że w razie potrzeby pójdzie pieszo, ale Robert zaraz był z powrotem i doniósł, że tuż przed ratuszem furmanka wjechała w beczki z piwem. Beczki potoczyły się we wszystkich kierunkach, uszkodziły dwa samochody i zraniły kilkoro pieszych.

– I co teraz zrobimy? – zapytała wystraszona Kitty. – Musimy zawrócić?

Robert ściągnął czapkę i uśmiechnął się przebiegle. Obie panie powinny się mocno trzymać, bo zamierzał skorzystać z objazdu. Zaraz też skierował samochód na lewo, przejechał między taksówką a tramwajem i znalazł się w wąskiej uliczce. Samochód podskakiwał i chwiało się, ale po chwili, jakimś cudem, znalazł się na Maximilianstrasse. Sprytnie objechał więc plac wokół

ratusza. Kilka taksówek i samochodów podążyło za nim, kierowcy machali do siebie, trąbili zadowoleni, a Robert pękał z dumy.

– Wspaniale to zrobiłeś – pochwaliła Kitty. – Zobacz, Marie, stąd widać Perlachturm i ratusz. Czyż uważasz, że są ładne te wieże z cebulastymi kopułami? Niektórzy twierdzą, że to imponujący budynek, według mnie jest tylko masywny i nudny. Klasycyzm, widać to po tych wąskich trójkątach nad oknami. Dość proste i regularne, dwa skrzydła ułożone wokół centrum jak oda do śmierci. Ale szlachetny...

Była teraz tak podekscytowana, że usta jej się nie zamykały. Słowa i zdania wypływały z niej jak strumień. Wciskała palce w siedzenie przed sobą i czuła, że musi mówić to wszystko, po prostu aby mówić. Samą ją to nieco rozbawiło.

– Widzisz, Marie, teraz już jesteśmy w śródmieściu. Nie bywałeś tu zbyt często, prawda?

– Rzadko miałam tu coś do załatwienia...

Nie dała Marie czasu na udzielenie dokładniejszej odpowiedzi, tylko mówiła dalej. Czy widziała kiedykolwiek fontannę Augusta? Nie? August był rzymskim cesarzem, to musiała wiedzieć. A teraz, w oddali, można dostrzec smukłą wieżę bazyliki Świętych Ulryka i Afry. Czy nie uważa, że Maximilianstrasse jest niezwykle szeroka i imponująca? Na jednym końcu ratusz, na drugim bazylika świętych. Można to rozumieć symbolicznie, kościoły i wieże miejskie to siły, które czyniły miasto wielkim. Przynajmniej – i tutaj zaczęła chichotać – tak nam mówiono w szkole.

Samochód jechał teraz stabilnie. Na ulicy widać było chłopców odśnieżających łopatami chodniki i kobiety z koszykami pełnymi zakupów omijające ostrożnie kałuże, a za nimi słychać było dzwonek tramwaju, który szczęśliwie uciekł z zamieszania pod ratuszem.

– Już prawie jesteśmy na miejscu, Marie. Z tamtej strony znajduje się fontanna Merkurego, tutaj skręcimy w lewo na Hallstrasse. Wiesz, kto to był Merkury? Nie, nie rzymski cesarz. Merkury był kimś ważniejszym, był bogiem. Bogiem kupców i złodziei. A także posłańców – miał skrzydełka przy sandałach. Musisz zapamiętać, kim był Merkury, Marie. Również dlatego, że to był bardzo przystojny młody bóg. Miał oczy czarne jak smoła, kręcone włosy, a gdy był podekscytowany, złote iskry tańczyły w jego źrenicach.

Znowu zachichotała. O Boże, o czym ona znowu mówi? Co Robert musi sobie o niej myśleć? Ale czemu przejmuje się Robertem? On jest tylko pracownikiem. A Marie, jej słodka Marie, ją zrozumie, tego była pewna.

Kościół Świętej Katarzyny, w którym znajdowała się kolekcja sztuki, przy pięknym, białym pałacu Schaezlerów wyglądał dość żałośnie. Podczas wysiadania z samochodu Kitty powiedziała, że Schaezlerowie są wyniośli i nie szukają kontaktu z nowobogackimi fabrykantami. Pałac wyglądał jak zamek z bajki, wewnątrz było utrzymane w stylu barokowym, z dużą ilością złocień i kryształowymi lustrami, które optycznie powiększały pomieszczenia.

Kitty poleciła Robertowi, żeby pojechał i pozałatwiał zleczone sprawy. Nie, nie musi po nią przyjeżdżać, zawoła taksówkę. Zapłaciła za bilety wstępu, które sprzedawał mężczyzna o śnieżnobiałych wąsach. Płaszcz zatrzymała, było zimno, a pomieszczeń nie ogrzewano, żeby nie zaszkodziło to obrazom.

– Widzisz, Marie, tam wiszą jedne z największych obrazów w bazylice, a zamówiły je jeszcze zakonnice. Hans Holbein namalował dwa z nich. Jakie zakonnice? Cóż, ten kościół był wcześniej własnością klasztoru, myślę, że należały więc do dominikanek. Ich modlitwy mogły uratować biednych grzeszników od wiecznego potępienia, dlatego były bogate i mogły zamawiać te wspaniałe dzieła sztuki. Jak widzisz, we wcześniejszych czasach sztuka była związana z Kościołem albo z pieniędzmi. To jest odrażające, Marie. Sztuka powinna być wolna, powinna wznosić się do nieba, jak piękny, opalizujący ptak...

Mężczyzna ubrany w ciemnoniebieski uniform dał jej znak, żeby nie mówiła tak głośno, umilkła więc zaskoczona.

– Myślę, że powinnaś sobie wybrać jeden z obrazów ołtarzowych – szepnęła do Marie. – Pamiętaj, że powstały w szesnastym wieku i dlatego wydają się dość staromodne. Namalowali je jednak wielcy malarze. Zwróć uwagę na ekspresję ciała, na mimikę... Zaczynaj najlepiej od razu.

Nie miała pojęcia, która jest godzina, wiedziała jednak, że jedenasta z pewnością już dawno minęła. Marie była nieco zdziwiona, że już w pierwszym pomieszczeniu została jej zlecona praca do wykonania, bo chętnie obejrzałaby najpierw całe zbiory. Z powodzeniem mogłaby to zrobić, obrazy jej przecież nie uciekną. Nie obrazy.

– Zostawię cię teraz samą, moja droga Marie, żebyś mogła w spokoju malować. Masz dużo czasu, najpierw dokładnie wszystko przestuduj.

Próbowała zdjąć ciężki płaszcz i zostawić go do przypilnowania Marie – po co w końcu wybierała strój z taką starannością? Było jednak zbyt zimno, marzła nawet w płaszczu. Powoli, jak przystało na osobę zainteresowaną, szła przez wysokie pomieszczenie, które dość dobrze zachowało swoją pierwotną,

duchową przestrzeń. Gotyckie filary zakończone ostrołukami krzyżowały się nad nią w gwiaździstym sklepieniu. Skinęła głową strażnikowi i weszła do drugiej sali, w której zobaczyła dwie kobiety. Jej serce nagle zamarło i najchętniej przebiegłaby przez to pomieszczenie, by sprawdzić, czy ktoś jeszcze nie przebywał w dwóch sąsiednich salach. Opanowała się jednak. Kim teraz była? Małą, głupią dziewczynką, która chciała zdobyć złotą piłkę? O nie. Nie musiała się śpieszyć. Może to i dobrze, że trochę się spóźniła. Dzięki temu nie przyjdzie mu może do głowy, że jest w nim zakochana. Albo że jest od niego całkowicie uzależniona, jak wszystkie inne. O nie, ona jest Kathariną Melzer, która już od swojego pierwszego balu sprzed czterech tygodni nazywana jest zachwycającą małą księżniczką. A jeśli się z nim spotka, będzie to dla niego niepojęta łaska. W pokoju obok siedziała tylko jedna z pracownic ubranych na ciemnoniebiesko i robiła na drutach fioletowe skarpetki. Niesłychane! Wokół było tyle arcydzieł, a ta kobieta siedziała na krześle z tępym wyrazem twarzy i stukwała drutami. Kitty przeszła do drugiej sali i skręciła w prawo. Jeśli go tam nie było, to znaczy, że albo nie przyszedł, albo opuścił wystawę wcześniej. Dlaczego czuła tak wyraźnie to nieokreślone rozczarowanie? Mogła mu przecież być zupełnie obojętna. Moja wina, panie Duchamps. Szkoda tylko zmarnowanego czasu... Jednak tam był. Stał odwrócony do niej plecami i oglądał obrazy jednego z mistrzów ze Szwabii. Nie odwrócił się, gdy weszła do pomieszczenia. Dopiero gdy podeszła, poruszył się.

– Jak późno mademoiselle tu dotarła – powiedział i się uśmiechnął. – Obawiałem się już, że się mademoiselle rozmyśliła.

Jego uśmiech oblał ją jak ciepła fala. Niebiosa, jego oczy były pełne złotych iskerek! Jak mężczyzna mógł być tak wspaniały, tak zachwycający?

– Zatrzymały nas nieprzewidziane przeszkody – powiedziała.

Przyjął jej usprawiedliwienie, nie zadając dalszych pytań.

– Jestem tym bardziej szczęśliwy, że udało się tu mademoiselle dotrzeć.

Poczuła drżenie kolan, gdy pochylił się, żeby złożyć szarmancki pocałunek na jej dłoni. Gorący płomień rozpałił wierzch jej dłoni. Czy jego usta naprawdę tak mocno ucałowały jej rękę, czy tylko jej się wydawało?

– Cóż, miałam trochę spraw do załatwienia na mieście – skłamała i uśmiechnęła się do niego. – Ale ta wystawa zdecydowanie warta jest ponownego zobaczenia.

– Oczywiście masz rację, mademoiselle Cathérine...

Jak pięknie jej imię brzmiało w jego ustach. Mówił z lekko wyczuwalnym francuskim akcentem, poza tym doskonale władał niemieckim. Jak na syna producenta jedwabiu z Lyonu było to niezwykle. Miał jednak matkę Niemkę i od kilku lat nadzorował oddział jednej z firm z Lyonu w Augsburgu. Poznali się na jej pierwszym balu i od tego czasu spotkali się kilkakrotnie. Ostatni raz na sylwestrze, w czasie tego niesamowicie nudnego przyjęcia u burmistrza.

Spojrzał w stronę wejścia do sali, w którym pojawił się jeden ze strażników. Po chwili mężczyzna wyszedł.

– Wiem, mademoiselle, że jestem nazbyt śmiały – powiedział powoli. – Ale nie mogę przepuścić i tej okazji, by nie powiedzieć, jak wielkie zrobiłaś na mnie wrażenie. Myślałem o panience dniami i nocami, mademoiselle. Żyję z twoim obrazem w sercu, rozmawiam z panienką, słyszę twój głos w mojej wyobraźni, tak, wierzę nawet czasami, że czuję ciepło twojej małej dłoni, mademoiselle...

Spijała te słowa z jego ust, były dla niej czystym szczęściem. To było to, na co z takim utęsknieniem czekała przez wszystkie te dni. Jego oczy błyszczące jak złoto, miękki, niski głos. Mój Boże. To, co mówił, nie było poezją najwyższych lotów, słyszała podobne słowa od innych. W jego ustach brzmiały jednak cudownie.

– Proszę, nie śmiej się ze mnie, Cathérine. Otworzyłem przed tobą serce, bo wierzę, że ja również nie jestem tobie obojętny. Nie może być inaczej, bo wtedy nie stałabyś tu przede mną...

W jego wzroku zauważyła pewność zwycięzcy, która ją nieco rozgniewała. Ale jednocześnie bardzo się jej podobała. On nie był jednym z tych wstydliwych chłopców, którzy oblegali ją na wieczornych spotkaniach towarzyskich. On był mężczyzną i wiedział, czego chce.

– Przyznam, że byłam zaintrygowana – powiedziała kokieteryjnie. – Może dlatego, że mamy wiele wspólnego, a przede wszystkim łączy nas miłość do sztuki...

Dwie starsze panie wychodziły powoli z sali, szły obok siebie, przystawały tu i tam, żeby wymienić opinie na temat obrazów. Minęła wieczność, zanim wreszcie zniknęły. W tym czasie Kitty i Duchamps stali już naprzeciw siebie, w milczeniu, zatopieni jedno w drugim.

– Miłość – mówił wolno. – Miłość do życia, do piękna, do sztuki... Jakże chciałbym ci to wszystko opowiedzieć, mademoiselle. Od dziś świat wydaje mi się zupełnie nowy, jakbym dopiero się urodził. Nie śmiej się, proszę, ze

mnie...

Zachichotała, i była to raczej reakcja nerwowa niż prawdziwy śmiech, ale zupełnie zbiła go z tropu.

– Wyśmiewa się panienka ze mnie? Naprawdę jestem aż tak zabawny?

Nagle przysunął się do niej, czuła jego oddech, zapach jego płaszcza, uścisk ręki. Jego usta szukały jej warg i nagle stało się coś niepojętego.

– Wybacz mi – wyszeptał jej do ucha. – Nie chciałem tego zrobić. Nie tutaj, nie tak szybko...

Złote iskierki z jego oczu wbijały się w nią niczym strzały, jej serce waliło jak młotem, puls przyspieszył. Co to było? I o czym on teraz mówi?

– Nie możesz sądzić, że jestem lekkomyślnym uwodzicielem, mademoiselle. Przemówiła przeze mnie namiętność. *Mon Dieu*, zakochałem się. Nie przydarzyło mi się to od lat, przysięgam. *Coup de foudre*, grom z jasnego nieba. Uderzył we mnie i nie mogę nic z tym zrobić. Czy wybaczysz mi moje zuchwalstwo? To było głupie i nietaktowne.

– Wybaczanie... – przerwała mu. – To wszystko stało się tak szybko... Czy mógłby pan zrobić to raz jeszcze, proszę?

Gdy spełniał jej życzenie, świat kręcił się wokół nich jak szalony. Jak w filmie, stare obrazy przepływały obok nich, chaos kształtów i kolorów, święci i grzesznicy, krajobrazy, zwierzęta, budowle... Najbardziej jednak upajała się nieznanym jej zapachem mężczyzny, który ulatniał się z jego włosów i skóry i osnuwał ją całkowicie.

24

Wybrałabym ten materiał, łaskawa panienko. – Marie zdecydowanym gestem wskazała na jedną z trzech bel materiałów, rozłożonych na stole.

Był to drogi jedwabny atłas w kolorze delikatnego błękitu. Do wyboru była jeszcze satyna w mdłym różu oraz jasnozielony atłas.

– Dlaczego akurat ten? – zdziwiła się Elisabeth.

– Dlatego że błękit pasuje do panienki cery i przede wszystkim do koloru oczu. Widzi panienka?

Marie podniosła belę materiału, rozwinęła z niej kilka metrów i położyła siedzącej przed lustrem Elisabeth na ramionach.

– Matową stroną na wierzchu i tylko przy wyłogach oraz dekolcie można dać błyszczący materiał. Prosty krój, rękawy wąskie i będzie jeszcze potrzebny szyfon w tym samym kolorze. Falbany tylko na dole sukni, na trenie wyglądałyby zbyt obficie. Przy dekolcie może być jeszcze kwiat, który dla panienki uszyję.

Elisabeth spojrzała w lustro i stwierdziła, że musi przyznać rację nowej pokojówce. Jak ona pięknie ułożyła materiał na jej ramionach, jak idealnie zaznaczyła dekolt i zebrała atłas w talii. Miała talent, ta mała Marie. Gdyby tylko dostała żurnale, od razu wymyśliłaby mnóstwo rzeczy, które byłyby szykowne, modne i – co najważniejsze – odpowiednie dla pełnej figury.

– Do tego można oczywiście włożyć na szyję jakąś biżuterię. Perły albo delikatny złoty łańcuszek z niebieskimi kamieniami.

Mogłaby założyć naszyjnik z akwamarynami, który tata podarował jej trzy lata temu na Boże Narodzenie. Tak, podobał jej się ten pomysł.

– Włosy zostawiłabym z tyłu rozpuszczone, może miejscami upięte, ale nie mocno. Kilka loków na czole. Jeśli panienka chce, uszyję również ozdobę do włosów. Wstęgę z koralików i piór.

Komponowała tego typu ozdoby doskonale, przez rok pracy u krawcowej musiała szyć głównie kwiaty. Od wielu dni obie maszyny do szycia nie

przestawały pracować, bo wykańczane były również suknie balowe mamy i Kitty. Posłano po krawcową, panią Zimmermann, która znała się na swoim fachu i pracowała niezawodnie. Pomysły Marie, jej gust i doskonała znajomość materiałów, były jednak nie do przecenienia. Elisabeth początkowo nie mogła znieść Marie, uważała, że ta pomoc kuchenna za bardzo zadziera nosa. I do tego te wszystkie sprawy z Kitty – po prostu skandaliczne. Teraz zdecydowanie zmieniała zdanie. Dziewczyna była jak klejnot noszony we włosach, który w kuchni na pewno by się zniszczył.

– Tak właśnie zrobimy, Marie. Narysuj projekt dla pani Zimmermann, żeby mogła go uszyć.

– Oczywiście, łaskawa panienko. A czy mam też narysować kilka kwiatów i ozdób do włosów? Tak żeby panienka zobaczyła, co dla niej wymyśliłam?

– To bardzo dobry pomysł, Marie.

Niedbale kiwnęła ręką i czekała cierpliwie, aż pokojówka wyswobodzi ją z materiału. Naprawdę dobrze rysowała, ta mała. Kitty mogła zaliczać kurs za kursem, ale nie dorównywała tej niepozornej pokojówce. Jej obrazy miały coś w sobie. Elisabeth nie wiedziała, co prawda, czym było to „coś”, ale było tam i pochłaniało widza. Niezwykle u dziewczyny, która – jak mama jej kiedyś zdradziła – dorastała w sierocińcu. Podniosła się, spojrzała raz jeszcze w lustro, które jak zwykle pokazało jej bladą twarz z podwójnym podbródkiem. Tylko włosy wyglądały dziś dobrze – to była zasługa Jordan, która od tygodni, desperacko i bezskutecznie próbując dorównać nowej pokojówce, dawała z siebie wszystko. Wyszła z pokoju do szycia, żeby jeszcze przed obiadem napisać do chorej przyjaciółki. Serafina była z nią razem w szkole z internatem, ale przede wszystkim jej ojciec, pułkownik von Sontheim, był przełożonym porucznika von Hagemanna. Porucznik został wysłany z powrotem do swojego pułku i Elisabeth martwiła się, że nie dostanie przepustki na bal w domu Melzerów.

– Proszę wybaczyć, łaskawa panienko...

– O co chodzi, Robercie?

Rzucił szybkie spojrzenie na drzwi do pokoju do szycia, zza których dochodziło terkotanie maszyn.

– Nie tutaj na korytarzu, łaskawa panienko. To... poufna sprawa.

– Ja nie mam za dużo czasu...

– To dotyczy listu, łaskawa panienko. Listu do porucznika von Hagemanna...

Przestraszona obrzuciła go spojrzeniem i zobaczyła, że jest opanowany, że

nie wpadł w panikę. Mimo to sprawa była niepokojąca.

– Chodź tutaj.

Rozejrzała się uważnie, czy korytarz jest pusty, potem otworzyła drzwi do swojego pokoju i oboje weszli do środka. Robert nie powinien był wchodzić do jej sypialni, ale potrzeba nie zna zasad.

– Co się stało?

– Auguste widziała, jak zamieniałem listy.

To nie była dobra wiadomość, ale dziewczyna dość długo milczała, dlaczego więc przychodzi z tym akurat teraz?

– Nie wie, kto napisał podmieniony list, łaskawa panienko. Podejrzewa mnie, i możliwe, że powie o swoim przypuszczeniu waszej matce oraz twojej siostrze, panienko.

– Dlaczego miałyby to zrobić? Myślałam, że ty i Auguste bierzecie ślub.

Nie, absolutnie nie. Auguste próbuje go zmusić do ślubu, ale nie zamierza ulec jej szantażowi. Elisabeth to rozumiała.

– Grozi, że powie o całej sprawie, jeśli nie zostanie zaprowadzona do ołtarza? Czy tak?

– O to dokładnie chodzi, łaskawa panienko – potwierdził Robert. – Ale proszę się nie martwić. Jeśli nawet powie coś niedorzecznego, nikt jej nie uwierzy.

Elisabeth milczała. Była innego zdania. Chodziła zamyślona po pokoju, z miejsca na miejsce, pociągnęła za bogato dekorowane zasłony. Trzeba zmusić tę małą szantażystkę do milczenia i to jeszcze dziś.

– Dziękuję, Robercie. Możesz już iść, wszystkim się zajmę.

Uklonił się, nie mógł się jednak zdecydować, czy wyjść, bo coś jeszcze leżało mu na sercu.

– Zrozum mnie, proszę, łaskawa panienko. Jestem bardzo dumny, że mogę pracować w willi. Łaskawa pani zawsze była dla mnie uprzejma i myślę, że pokłada we mnie pewne nadzieje. Byłoby dla mnie straszne, gdyby ta mała przysługa, którą paniencie wyświadczyłem...

– Już dobrze, Robercie, nikt się o tym nie dowie.

Chciał mówić dalej, ale jej zniecierpliwiony głos sprawił, że zamilkł. Czy to było mądre posunięcie, żeby się jej zwierzyć? Jeszcze pięć minut temu był pewien, że to jedyny możliwy sposób, że znalazł wyjście z sytuacji. Teraz nie był już o tym przekonany. Uchylił lekko drzwi i zastygł nieruchomo. Maria Jordan szła korytarzem ze stosem wyprasowanej białej pościeli, a po drugiej

stronie zobaczył krawcową, która udawała się za potrzebą na górę, do klozetu dla służby. Poczekał cierpliwie, aż obie kobiety sobie pójdą, a następnie przemknął na schody dla służby.

Elisabeth nie zwracała na niego uwagi, była zajęta innymi sprawami. Z górnej szuflady komody wyjęła skrzynkę oprawioną w zieloną skórę i postawiła ją na toalecie przed trzyczęściowym lustrem. Na zielonym tle były tłoczone złote ornamenty: kwiaty, splątane gałęzie, a także ptaszki i motyle. Wybłągała ją od matki kilka lat temu i trzymała w niej ulubione drobiazgi. Pierścionki, broszki, kilka sznurów pereł – dwa z nich tak długie, że mogła nimi okręcić szyję trzy lub nawet cztery razy. Była dumna, bo kiedyś będzie mogła pokazać te skarby mężowi. Być może nie była najładniejsza, nie była jedną z tych dziewczyn, które zachwycają wąską talią i miną nieporadnej kobietki, ale byłaby dla męża energiczną i wierną żoną. I w żadnym razie nie była biedna. Klaus von Hagemann nie miałby żadnych powodów do narzekania.

Pośród najcenniejszych rzeczy był też jasnoniebieski akwamaryn. Zawieszka miała kształt kwiatu o trzech płatkach, w środku znajdował się diament, a akwamaryny w płatkach były obramowane drobnymi diamencikami. Klejnot wisiał na złotym łańcuszku, który można było więcej niż raz owinąć wokół szyi. Na próbę zawiesiła go sobie na dekolcie i pochyliła się do lustra. Czy w tej jasnoniebieskiej balowej sukni spodoba się porucznikowi? Oczywiście, w porównaniu z Kitty i tak nie ma żadnych szans. Ona będzie mieć suknię z białego atłasu, z trenem z delikatnego różowego szyfonu i naszytymi na nim kwiatami róży. Będzie wyglądać w tym stroju jak wróżka z baśni. Kitty nie potrzebuje żadnych ozdób. Piękna skóra, smukła szyja, delikatny zarys niewielkiego biustu – wszystko bez skazy. Droga biżuteria tylko niepotrzebnie by przytłoczyła jej dziecięco-oszałamiającą aparycję. Elisabeth z głębokim westchnieniem oparła się na krześle. Trzymała przez chwilę wisiorek z akwamarynem w ręce i przycisnęła dzwonek elektryczny. Niemal natychmiast pojawiła się Jordan, nadgorliwa w podejściu do swoich obowiązków i bardzo zdeterminowana.

– Auguste miała mi przynieść herbatę.

Na bladej twarzy Jordan widoczne było ogromne rozczarowanie. Faktycznie nie było jej łatwo, bo służyła już wyłącznie ich matce. A i ta od czasu do czasu wołała do siebie Marie.

– Ja również mogę przynieść łaskawej panience herbatę.

– Chcę, żeby Auguste mi ją podała!

Jordan odebrała to jako kolejne upokorzenie i wycofała się z cierpiętniczą miną. Elisabeth była teraz na nią tym bardziej zła. Ta irytująca osoba omal nie zepsuła jej całej intrygi. Auguste kazała na siebie czekać. Prawdopodobnie dużo czasu zajmowało jej przygotowywanie obiadu na dole, w kuchni. Do tej pory nie została zatrudniona nowa pomoc kuchenna, dlatego Else i Auguste musiały pomagać tam z doskoku.

– Herbata, łaskawa panienko.

Wreszcie! Elisabeth widziała, jak Auguste trzyma tacę i filiżankę na herbatę w jednej ręce, a drugą otwierała sobie drzwi. Z przodu spódnica wybrzuszała się już dość mocno, ale fartuch jeszcze to zakrywał. W jak zaawansowanej była ciąży? Czy dziecko miało się urodzić już na wiosnę?

– Postaw ją po tej stronie stołu. Nie, nie musisz nalewać, chcę, żeby herbata jeszcze przez chwilę naciągała.

– Oczywiście, łaskawa panienko.

Dygnęła i uśmiechnęła się pocziwie. Miała swoje za uszami, ta mała szantażystka. Cwana i głupia jednocześnie – trudno, by takie połączenie mogło skłonić mężczyznę do małżeństwa. Sztuką jest skłonić go, żeby zrobił to dobrowolnie.

– Podejdź bliżej, chcę z tobą porozmawiać!

Już chciała otworzyć drzwi, żeby wyjść, więc bezwiednie i bezgłośnie westchnęła, gdy okazało się, że nie załatwi sprawy tak szybko, jak sądziła. Stała teraz z opuszczonymi ramionami przed łaskawą panienką, która wciąż siedziała na krześle przy toalecie. Elisabeth trzymała w rękach zawieszkę z akwamarynów, a złoty łańcuch zwisał jej aż na kolana.

– Podoba ci się ta biżuteria, Auguste?

Pytanie zaskoczyło dziewczynę. Patrzyła na błyszczące diamenty, na jasnoniebieskie kamienie i przełknęła ślinę. Potem przytaknęła w milczeniu.

– Jest wspaniała, łaskawa panienko.

– Ja też tak sądzę – potwierdziła Elisabeth i podniosła wisiołek nieco wyżej.
– To mój ulubiony, prezent od ojca.

Auguste nie wiedziała, co powinna odpowiedzieć, uśmiechała się tylko i czekała niecierpliwie, aż będzie mogła zejść na dół.

– Tym bardziej zabolalo mnie, gdy ten piękny wisiołek zniknął kilka dni temu. Dzisiaj jednak na szczęście się znalazł.

Auguste wpatrywała się w nią i widziała w jej oczach, że coś się szykuje.

Elisabeth zastawiała pułapkę.

– Znalazł się pod twoim materacem, Auguste. Co masz na ten temat do powiedzenia?

Auguste ledwie otworzyła usta, wyjąkała kilka pozbawionych sensu słów, a potem zaczęła zawodzić i przysięgać na najświętszą Matkę Boską i wszystkich innych świętych, że nie mogłaby czegoś takiego zrobić, inaczej niech będzie potępiona. Jest niewinna, a ktoś złośliwie chce, żeby została oskarżona.

– Ja również byłam zaskoczona, moja droga – powiedziała Elisabeth. – Mam jednak świadka, który razem ze mną znalazł ten wisiołek.

– Świadka?

– Roberta.

Dziewczyna tak bardzo zbladła, że Elisabeth zaczęła się szczerze bać, czy nie zemdleje, tak jak już raz się stało.

– Usiądź na krześle – poleciła służącej. – A teraz chciałabym, żebyśmy spokojnie porozmawiali o tym nieszczęśliwym zdarzeniu.

– Robert – wyszeptała Auguste. – Robert znalazł ten wisiołek pod moim materacem?

– Oboje tam byliśmy – powiedziała Elisabeth bez mrugnięcia okiem. – Podjęłam decyzję, żeby przeszukać pokoje służby. Nie była to dla mnie łatwa decyzja, ale ze względu na tak dotkliwą stratę, nie miałam wyjścia.

– Robert...

Teraz Auguste naprawdę zaczęła zawodzić. Ona uważa, że jej kochanek jest zamieszany w całą sprawę. Ze wszystkich możliwych świadków to Robertowi mogłoby zależeć na jej oskarżeniu. Musiałaby ją zapoznać z całą sytuacją, żeby wiedziała, dlaczego on coś takiego powiedział.

– Przestań natychmiast płakać, Auguste. Sprawa jest trudna, nawet bardzo. Jeśli złożysz doniesienie, będziesz musiała iść do więzienia.

– Ja... ja niczego nie ukradłam – szlochała Auguste. – Przysięgam na wszystkich...

– Już dobrze – przerwała jej Elisabeth. – Posłuchaj. Biorąc pod uwagę twój stan i fakt, że dotychczas nigdy cię o nic nie oskarżono, jestem gotowa puścić to płazem, ale tylko pod warunkiem, że ty również okazysz lojalność.

Auguste jeszcze nie całkiem rozumiała, ale następne zdanie pozwoliło jej pojąć, o co chodzi.

– Mówiąc o lojalności, mam na myśli, żebyś nie wysuwała fałszywych

oskarżeń przeciwko innym pracownikom. Przede wszystkim przeciwko Robertowi.

Było cudownie obserwować twarz Auguste. Nie była tak głupia, jak się wydawała. Coś jej świtało w głowie.

– Zresztą chcecie się pobrać – dodała perfidnie Elisabeth. – To ważne, żeby twoje dziecko miało ojca.

Głowa Auguste opadła na piersi. Przez chwilę Elisabeth znów bała się, że zemdleje. Tak się jednak nie stało. Wzięła się w garść i stała już przed panienką wyprostowana.

– Zrozumiałam łaskawą panienkę – powiedziała cicho.

– Wspaniale – odpowiedziała Elisabeth przyjaźnie i włożyła wisiorek do szkatułki na biżuterię. – Jesteśmy więc jednomyślni, prawda?

Auguste przytaknęła.

– Nalej mi herbatę, zanim wyjdiesz.

25

Ależ to było odurzające! Płatanina głosów, ciche dźwięki instrumentów, zapach perfum i pomad, to całe wibrujące, drżące oczekiwanie. Kitty stała na progu sali balowej, żeby nasycić oczy mrowiem sukni balowych, różowymi oraz łabędziobiałymi dekolantami, artystycznie ułożonymi fryzurami z mnóstwem loków. Młode dziewczęta przypominały delikatne kwiaty, panowie mieli na sobie szlachetną czerń – prawie wszyscy pojawili się we frakach.

– Czy się nie spóźniłem, droga panienko? Jeszcze jeden taniec z panienką i moje szczęście będzie absolutne.

To był Alfons Bräuer, niedźwiedziowaty, dobroduszny i jak zawsze posłuszny. Cóż za nudny mężczyzna. Kitty była jednak w dobrym humorze i wyjęła karnecik z torebki w kolorze srebrnym – jej ulubionej, którą zaprojektowała i uszyła dla niej Marie. Wpatrywała się we wpisy ze zmarszczonym czołem.

– Mam jeszcze wolnego kadryla pod koniec wieczoru.

Dwaj młodzi mężczyźni podążali przez salę balową i okazując Kitty swoje zainteresowanie, starali się odsunąć Alfonsa Bräuera. Ten jednak stał w miejscu i postanowił, że nie ruszy się nawet na krok, dopóki nie otrzyma od Kitty zgody na taniec.

– Proszę więc mnie wpisać – powiedział i zaczął szukać w kieszeni fraka swego karnetu i pióra. – Muszę się przyznać, że nie jestem rewelacyjnym tancerzem. Szczególnie kadryl, który wymaga dużej precyzji, wprawia mnie w zakłopotanie.

Kitty uśmiechnęła się do niego. To było aż nazbyt komiczne, gdy ciągle prosił o wybaczenie. Inni mężczyźni chwalili się zręcznością w tańcu, rozprawiali o umiejętnościach jeździeckich, o swoich gustach literackich, niektórzy udawali nawet, że znali się na sztuce. Alfons Bräuer zaś ciągle ukrywał swoje zalety.

– To nic nie szkodzi – powiedziała radośnie. – Sami wymyślimy kroki

i wszyscy będą nas naśladować.

– Jest pani zbyt wspaniałomyślna, panienko Katharino.

Nazwał ją „panienką Kathariną”, co oznaczało dużą poufność. Po drugiej stronie sali widziała przez chwilę mamę, stojącą między gośćmi. Uśmiechnęła się zachęcająco do Bräuera. Kitty to zdenerwowało – bo znów snuła plany małżeńskie. Tata miał rację, powinna to pozostawić losowi. Usłyszała też głos brata, który pełnił funkcję aranżera balu w domu Melzerów. Goście zaczęli wchodzić do sali balowej, żeby nie przepuścić słów powitania, rozmowy i śmiechy umilkły, muzycy odstawili instrumenty. Kitty wyszła na korytarz, i tak wiedziała, co Paul powie. Około godziny dziesiątej będzie dłuższa przerwa, żeby tańczący goście mogli trochę ochłonać i wzmocnić się przy bufecie. Dla kobiet, które nie udzielały się w tańcu – były już zbyt wiekowe albo po prostu niezbyt ładne – ustawiono w bibliotece krzesła do siedzenia. Panowie, którzy unikali tańca, mogli pójść do pokoju dla mężczyzn, w którym wolno im było palić. Ci posiadacze kozich bródek stanowili osobliwe zbiorowisko, uskarżające się na podagrę.

Kitty uniosła nieco tren, delikatne falbanki w kolorze różowym oraz kwiaty Marie doszywała jeszcze w nocy, żeby były gotowe na bal. Jej suknia to była czysta poezja. Kitty namówiła Marie, żeby ją przymierzyła dla zabawy, bo miały taką samą figurę. Marie również wyglądała w niej jak rozkwitający kwiat róży. Jaka szkoda, że nie wolno jej było tańczyć na balu. Z drugiej jednak strony może to i dobrze, kto wie, czyby mu się nie spodobała? Życzyła swojej drogiej Marie całego dobra i szczęścia, jakie istnieje na Ziemi, ale nie tego mężczyzny.

Oczywiście przyszedł spóźniony. Gérard Duchamps pojawiał się na balu jedynie na chwilę i nigdy nie był punktualny. Była jednak pewna, że tym razem przyjdzie na pewno. Do tej pory musiała się użerać ciągle z tymi nudnymi, męczącymi chłopcami „usychającymi z tęsknoty”. Gdy o tym myślała, od razu zaczynała chichotać. Nazwał ich tak Paul, z którym dzisiaj przy śniadaniu tak wspaniale się jej plotkował. Aby być na balu, przyjechał do domu z Monachium. Jeden z kelnerów zaproponował jej *petit fours*, które rozniósł na srebrnej tacy, skusiła się na jedno. Brunnenmayer, jak co roku, wzięła sobie za punkt honoru, że sama przygotowuje wszystkie potrawy na bal. Te niewielkie słodkości składały się z delikatnych ciasteczek, kremu maślanego, kandyzowanych owoców i musu czekoladowego. *Petit fours* podawano w papierowych kołnierzykach, tak, żeby państwo nie ubrudzili sobie nimi

białych rękawiczek.

– Znów widzę cię przy jedzeniu, siostrzyczko?

Kitty przeżuwała coś bardzo zadowolona i przytaknęła Elisabeth. Darowała sobie komentarz, że nie musiała przecież żyć całe dni na niesłodzonej herbacie, jak robiła to ostatnio Elisabeth. Musiała też jednak przyznać, że zamierzony efekt był widoczny.

– Wyglądasz dzisiaj ślicznie – powiedziała Kitty. – A ta jasnoniebieska suknia jest jak ze snu. Czy Marie to nie skarb?

– Jest bardzo utalentowana, nie ma co do tego wątpliwości.

Wielu młodych mężczyzn śpieszyło z różnych stron do Kitty i była zmuszona wysłuchiwać z ich ust masy niewyszukanych komplementów. Nie, niestety jej karnecik jest już wypełniony. Ale może w czasie przerwy znajdzie czas na rozmowę – nawet taka odpowiedź bardzo ich cieszyła. Elisabeth również witała się z gośćmi, co chwila jednak zerknęła w stronę wejścia. Mama i tata zaraz mieli otwierać bal, ale ten, którego Elisabeth oczekiwała z utęsknieniem, jeszcze się nie pojawił. Wątpliwe też było, czy w ogóle przyjdzie. Kitty czuła się winna, choć to nie ona była przecież odpowiedzialna za chwiejność porucznika von Hagemanna. Na wyraźne polecenie mamy napisała do niego kilka słów, w których powiedziała, że jest niezwykle zaszczyczona jego oświadczeniami, ale nie jest jeszcze gotowa na małżeństwo. Był sympatycznym młodym mężczyzną, pełnym entuzjazmu, namiętym, elokwentnym i od czasu do czasu bywał też dowcipny. Ale przy Duchampsie porucznik von Hagemann nie miał żadnych szans.

– Z pewnością musiał najpierw wypełnić służbowe obowiązki i przyjdzie dopiero po dziewiątej – powiedziała Kitty, gdy sala opustoszała.

Chciała podnieść siostrę na duchu, ale Elisabeth nie była w nastroju, by wysłuchiwać słów pociechy od Kitty.

– O kim mówisz? – zapytała obłudnie. – Z pewnością o panu Duchampsie, który wyłącznie dla ciebie ma tu przyjechać z Lyonu?

– Z Lyonu?

Elisabeth aż promieniała z radości. Miała naprawdę satysfakcję, że pierwsza przekazała Kitty złe wieści. Sądziła, że jej siostra wiedziała już o tym, od mamy albo personelu.

– Tak. Wyjechał przedwczoraj. Nie wiedziałaś?

Kitty czuła, że bolesna, złowroga ciemność zaczyna się unosić znad podłogi. Szara mgła, która ją przykrywa. Mimo to się nie poddawała.

– Nie, nie wiedziałam – odpowiedziała tak spokojnie, jak tylko potrafiła. – Nie czekam na niego, Liso.

– Oczywiście, że nie – odparła drwiąco.

Kitty ucieszyła się, że wreszcie rozległa się muzyka i ogłoszono pierwszy taniec. Oczywiście to był walc, mama go uwielbiała i wybierała bardzo spokojną wersję, zdecydowanie różniącą się od walca wiedeńskiego. Powodem takiego wyboru była deformacja jej prawej stopy, ale też trudny do zaprzeczenia fakt, że dyrektor Melzer był najgorszym tancerzem na Ziemi.

– Łaskawa panienko? Już się obawiałem, że panienkę zgubiłem.

Jej pierwszy partner przecisnął się ofiarnie przez zgromadzony tłum. Był to Hermann Kochendorf, spadkobierca dobrze prosperującego przedsiębiorstwa handlowego i członek zarządu miejskiego. Wielce wpływowy i wielce uzdolniony kawaler, który już dawno świętował swoje czterdzieste urodziny.

– Och, nie tak łatwo mnie zgubić, panie Kochendorf. Przecież willa jest moim domem.

Podał jej rękę i poprowadził do sali balowej, gdzie jej rodzice spełniali swoją powinność, wykonując pierwszy taniec. Salę tworzyły jadalnia i czerwony salon – otworzono skrzydłowe drzwi, które zazwyczaj oddzielały od siebie oba pokoje. Służba usunęła z nich wszystkie meble i dywany, zostawiono jedynie kilka krzeseł dla osób, które nie tańczyły, ale chciały obserwować przebieg balu. Kitty patrzyła na babcię Alfonsa Bräuera, ubraną w głęboko wydekoltowaną suknię w kolorze bzu. Nie, w tym wieku zdecydowanie nie powinno się już wybierać ubrań z tak mocnymi wycięciami. Na krajobraz złożony ze zmarszczek i wgłębień, nawet kolia z brylantów nie mogła nic poradzić. Seniora Bräuer zajęła miejsce na wyściełanym fotelu i przez małą lornetkę gorliwie obserwowała taniec. Inne panie w średnim i zaawansowanym wieku również powyciągały binokle z haftowanych torebek, żeby oceniać toaletę młodych dziewcząt. Większość z nich znała Kitty z przyjęć charytatywnych urządzanych przez jej matkę. Później będzie musiała się przywitać z tymi ciekawskimi srokami, teraz wyciągały one mocno szyję, żeby przyjrzeć się „zachwycającej księżniczce” tego balu.

Co chwila kolejne pary ośmielały się wyjść na parkiet i Kitty czuła, jak bardzo jej ojciec cieszy się z tego powodu. Nienawidził podskakiwać tak na oczach wszystkich, a dzisiaj wydawał się szczególnie mało zgrabny w tańcu – już dwa razy przydepnął mamie tren sukni. Myślał o swoich problemach. Paul powiedział, że w fabryce maszyny znów się zepsuły, były opóźnienia

w produkcji. Z pewnością dlatego tata od tygodni był całkiem nieobecny. Nie rozgniewał się nawet, gdy mu powiedziano, że Marie od tej pory będzie pokojówką. Pokręcił tylko głową i już więcej się tym nie zajmował.

– Czy odważymy się, łaskawa panienko?

– Teraz albo nigdy, panie Kochendorf!

Kitty, prowadzona przez partnera, weszła między tańczące pary, jej ciało zaczęło poruszać się w rytmie walca. Muzykę miała we krwi, dźwięk skrzypiec wstrząsał nią, na pianinie grała sama, choć nie tak perfekcyjnie, jakby sobie tego życzyła. W jej wyobraźni muzyka zawsze była piękniejsza i miała intensywniejszy wydźwięk niż ta, którą potrafiła odtworzyć na fortepianie.

– To ogromna przyjemność tańczyć z łaskawą panienką – powiedział Kochendorf, gdy muzyka przestała grać. – Czy mogę przynieść panience coś orzeźwiającego? Może lody? Plasterki pomarańczy w cukrze? Albo lampkę szampana?

– Och, bardzo dziękuję, ale nie piję alkoholu. Tam jest lemoniada.

Po drugiej stronie sali Robert wnosił tacę z lemoniadą i tam właśnie zaczął przepychać się ofiarnie Kochendorf między tańczącymi i gapiami, żeby przynieść słodzony napój swojej damie. Kitty była bardzo zadowolona, że choć na chwilę sobie poszedł. Kochendorf nie był ani młody, ani przystojny. Jego wychudzona twarz, ruda, kręcona broda i głęboko osadzone oczy sprawiały, że w kręgu przyjaciół Paula był nazywany „zagłodzonym Hermannem”, a Elisabeth powiedziała kiedyś, że za żadne skarby nie chciałaby spotkać tego mężczyzny wieczorem w pobliżu cmentarza. Był on jednakże niezwykle inteligentnym i odnoszącym sukcesy przedsiębiorcą, który – ku wielkiemu zaskoczeniu Kitty – całkiem dobrze znał się na sztuce.

– No i co, księżniczko? Jak ci się podoba to podskakiwanie?

Odwróciła się do brata ze skrzywioną miną.

– Całkiem, całkiem. Przynajmniej do tego momentu. Którą damę wybrałeś jako pierwszą partnerkę do walca?

– Żadnej – odpowiedział równie niezadowolony. – Ja czuwam nad przebiegiem balu, to jest moje zadanie.

– Ale przecież możesz też tańczyć – odpowiedziała. – Czyżbyś nie czuł tęsknych spojrzeń dziewcząt na twoich pięknych plecach? Jak możesz być tak okrutny, mój drogi braciszku?

Rzeczywiście zwracał na siebie uwagę, jej starszy brat. Jego blond włosy

były pięknie przygładzone, czarny frak leżał na nim jak ulał, a zuchwały wyraz twarzy czynił młodego Melzera tym atrakcyjniejszym.

– Wczoraj namówiłam Marie, żeby włożyła moją suknię – zmieniła temat Kitty. – Wyobraź sobie, że pasowała, jakby była na nią uszyta. I wyglądała w niej jak...

– Idzie twój mężczyzna z lemoniadą, siostrzyczko – przerwał jej zdecydowanie. – Baw się dobrze w następnym walcu.

Kitty uśmiechnęła się w wymuszony sposób. Taniec, który odzwierciedla muzykę, łączy dwa ciała w uścisku, to może być niebo na ziemi. Jednak tylko wtedy, gdy jest się w ramionach tego jedyne, tego właściwego, tego, którego nie sposób porównać z żadnym innym.

– Czy mogę panienkę poprosić do następnego walca?

– Chętnie pójdę.

Gdy była w ramionach Hermanna Kochendorfa, niebo było bardzo odległe. Cuchnął naftaliną, tłustą pomadą do włosów, której zresztą używało też kilku innych panów na sali. Poddawała się automatycznie wszystkim zwrotom i zawijasom, a w przelocie unosiła twarz, patrząc na tańczących. Jak zwykle młodzi mężczyźni nie spuszczała z niej oka, pozdrawiali z uśmiechem, kiwali głowami i wydawali się szczerze żałować, że nie tańczy tego walca z nimi. Widziała też spojrzenia, pełne podziwu albo zazdrości, kierowane na nią przez inne tancerki, a także błyski binokli i lornetek ich czujnych matek, babek i cioć. Od czasu do czasu poprzez dźwięki muzyki słyszała niektóre z komentarzy.

– Nie, co za księżniczka!

– Jest zdecydowanie za chuda!

– Zachwycająca! Do tego urocza i taka naturalna!

– Na pewno jest chora.

– Trochę jak lalka.

– Jak ona kiedykolwiek urodzi dziecko?

Powinna się z tego śmiać, ale te komentarze napełniły ją smutkiem. Dlaczego te panie są tak złośliwe? Na przyjęciach charytatywnych urządzanych przez mamę siedzą uśmiechnięte w czerwonym salonie, jedzą i piją na koszt gospodarzy i robią na drutach te głupie czapki dla dzieci z Afryki. I dlaczego Paul tańczy teraz z tą paskudną panną w zieleni, córką jednego z urzędników miejskich? O Boże, jaka ta dziewczyna była niezdarna i jak żałośnie odrzucała głowę do tyłu, gdy się śmiała. Elisabeth tańczyła z Alfonsem Bräuerem, który miał kłopoty z polką. To było zabawne i jednocześnie tragiczne patrzeć, jak ci

dwoje się męczą, jak próbują się uporać z tym tańcem w jakiś przyzwoity sposób...

– To była dla mnie wielka przyjemność, łaskawa panienko. Jestem ogromnie zasmucony, że muszę panienkę teraz oddać komuś innemu.

Dlaczego czas płynie tak wolno? Żeby już była przerwa. Jeśli on w ogóle dzisiaj przyjdzie, zrobi to właśnie w trakcie przerwy. Na pewno przyjdzie, musi. Czy podczas pożegnania nie wyznał, że ma jej jeszcze tak wiele do powiedzenia? Jak mógł tak po prostu uciec do Lyonu? Tańczyła teraz jak we śnie, podążała za dźwiękami muzyki i dopasowywała się do ruchów partnera. Odpowiadała na jego komentarze bez żadnego namysłu. Śmiała się, nie wiedząc z czego. Przyjdzie. Z całą pewnością się pojawi. Bo jeśli go nie będzie, pozostanie jej tylko umrzeć.

– Drodzy goście, musimy podarować naszym muzykom trochę czasu na odpoczynek, i dlatego ogłaszamy przerwę. Bufet czeka na państwa w pokoju obok. Oprócz wina i ponczu pomarańczowego proponujemy bardzo smaczne augsburskie piwo...

Nareszcie. Odsunęła się od swojego partnera, młodego adepta prawa o nazwisku Grünling, uśmiechnęła się do niego i pośpiesznie wbiegła na górę, żeby zdążyć skorzystać z jednej z toalet, które niebawem zostaną całkowicie zablokowane przez gości. Wszystko tu było przygotowane, żeby panie mogły się odświeżyć, grzebienie, szczotki, wstążki do włosów, a także pudry. A najważniejsze, gdy się stało na palcach, można było przez małe okienko zerknąć na wjazd. Tak! Kitty wyciągała się najwyżej, jak mogła. Jakiś automobil zbliżał się do willi, limuzyna z wysoko umieszczonymi światłami. Serce zaczęło jej mocno bić. Mógł być to tylko spóźniony gość, nikt na pewno nie kazał się o tej porze odwozić do domu. Do toalety weszły teraz trzy młode dziewczęta, przyjaciółki Elisabeth, z którymi musiała się przywitać. Jak wspaniały jest bal, te suknie, ta muzyka. Czy jej brat przypadkiem nie jest zakochany, bo wydaje się taki roztargniony. Kitty rozbawiło to przypuszczenie. Do toalety weszły teraz dwie starsze panie, więc natychmiast zmieniły temat. Mówiły, że wcześniej tańczono jedną polkę i kilka tańców francuskich. Dzisiaj jednak jest tańczony walc. O walcu *Grubenlicht* nie pamiętano, za to dwa razy były *Róże z Południa*, a walc *España* ogłoszono co najmniej cztery razy!

Gdy wysiadł z samochodu, zostawił płaszcz i kapelusz w holu, potem wszedł schodami na górę i przywitał się z mamą. W końcu przeszedł przez pokój, rozmawiał ze znajomymi, całował w rękę młode i starsze panie i szukał jej.

A ona mu tego nie ułatwiała. Powinien przynajmniej przez chwilę jej poszukać. Do tej pory przecież to ona musiała czekać na niego. Kitty wdała się w rozmowę z jedną z przyjaciółek Elisabeth, poszła z nią do pokoju siostry, w którym zebrało się kilka młodych dziewcząt, żeby wymienić się plotkami i spostrzeżeniami. Łazienki były teraz przepełnione, przed pokojem obok sypialni Elisabeth utworzyła się długa kolejka. Czy dość długo już narażała go na tortury? Powinna kazać mu czekać całą przerwę, ale to byłby niefortunny pomysł, bo później zaraz musiałyby zacząć tańczyć i nie znalazłaby okazji, żeby z nim porozmawiać. Znacznie mądrzej było zejść ze schodów i udać zaskoczoną, gdy wreszcie ją znajdzie.

– Pan tutaj? Powiedziano mi, że wyjechał pan do Francji.

– W istocie, tak właśnie było, łaskawa panienko. Wróciłem jednak, żeby być na balu...

Czy tak właśnie by powiedział? Prawdopodobnie nie. Raczej usprawiedliwiłby się jakimiś interesami, ważną umową, mszą albo czymś w tym rodzaju. Gérard Duchamps nie był pochlebcą jak inni, którzy zabiegali o jej względy. Nie musiał być.

Zeszła powoli schodami na pierwsze piętro, skinęła przyjaźnie głową damom, które szły naprzeciw niej, i miała nadzieję, że nie spotka po drodze matki. Po chwili musiała się jeszcze krótko przywitać z innymi gośćmi. Alicii nie było widać ani na schodach, ani na korytarzu. Duchamps też nie. Kitty stanęła na korytarzu dolnego piętra i starała się lepiej przyjrzeć poruszającemu się tam tłumowi. Sala taneczna opustoszała, goście szli do bufetu, zagłądali do biblioteki, spotykali się w pokoju dla palaczy albo śmiało przechadzali się po korytarzu na parterze. Tam kazali sobie podać płaszcze i kapelusze i wychodzili na oświetlone podwórze. Było lodowato zimno, łąki w parku wyglądały jak posypane cukrem, a kamyki leżące na drogach lśniły w świetle elektrycznym. Może był w pokoju dla palących albo w bibliotece, starała się zgadnąć Kitty. Na pewno nie przy bufecie. Prędzej czy później znów wyjdzie na korytarz, musiała jedynie poczekać. Gdyby choć chwilę mogła tu sobie spokojnie postać i żeby nie zaczepiał jej żaden natrętny mężczyzna...

– Dobry wieczór!

Poruszyła się zaskoczona, bo nagle stanął przed nią porucznik von Hagemann. Jego głos brzmiał dziwnie obco, najpewniej był zachrypnięty.

– Porucznik von Hagemann. To cudownie, że przyjął pan nasze zaproszenie.

O co mu chodziło? Patrzył na nią w tak ponury sposób, jakby naprawdę miał

jej za złe, że odrzuciła jego starania. Mój Boże, przecież nie był jedyny.

– Długo się wahałem, łaskawa panienko – odpowiedział półgłosem. – Ale w końcu uznałem, że twój list wymaga odpowiedzi.

– Mój list... Ach, tak...

Stojąc przed nim, starała się ukradkiem zerknąć na korytarz. Jak to niedobrze, że chce akurat teraz z nią rozmawiać. Nie mógłby się zająć Elisabeth?

– Twój list, łaskawa panienko, uświadomił mi, że bardzo się co do ciebie myliłem. Jesteś tak samo piękna, jak i chłodna, Katharino. Lodowata i pozbawiona serca. Życzę tyko panience, żebyś poczuła kiedyś na własnej skórze, jak to jest być tak podle odrzuconym.

Była tak przerażona tym, co usłyszała, że nie wypowiedziała ani słowa. On nie czekał na jakąkolwiek odpowiedź, zrobił tylko płytki, ironiczny ukłon i odszedł. Co to właściwie było? Lodowata i pozbawiona serca? Podle odrzucony? Ale przecież bardzo się starała napisać tak przyjaźnie, jak najlepiej potrafiła... Czuła, jak znów ogarnia ją przemożny smutek. Dlaczego się obraził? Nie zrobiła mu nic złego. I dlaczego jeszcze nie trafiła na Duchamps'a? Przecież już przyjechał... O nie, przemknęło jej w myślach. To von Hagemann właśnie podjechał samochodem. To porucznik von Hagemann, a nie Gérard Duchamps pojawił się spóźniony na balu. On nie przyjedzie. Jest w Lyonie.

Elisabeth szła, wyraźnie się śpiesząc, zawołała ją po imieniu. Kitty stała wciąż w miejscu zupełnie osłupiała, odpowiedziała coś jakiemuś młodemu mężczyźnie, ale nie wiedziała co. To nie miało znaczenia, i tak zawsze mówiło się to samo. Porucznik von Hagemann spotkał na korytarzu jej siostrę i Kitty widziała, jak twarz Elisabeth promienieje, jak się do niego uśmiecha i mówi kilka słów. Porucznik odpowiedział ze śmiertelnie poważną miną, był tak sztywny, jakby połknął swój bagnet. Po chwili ukłonił się i uśmiech Elisabeth zniknął. Nie miał zamiaru zostać.

– Nigdy ci tego nie zapomnę, ty złośliwa wiedźmo – syknęła Elisabeth, gdy koło niej przechodziła.

Kitty ledwie to usłyszała. Ze straszliwą świadomością dotarło do niej, że wyczekiwany przez nią mężczyzna się nie pojawi. Wieczór, na który tak bardzo się cieszyła, od tego momentu będzie dla niej jedynie udręką, nic już dzisiaj nie sprawi jej przyjemności, nawet muzyka. Inni będą wymieniać miłosne spojrzenia, będą żartować, dla niej świat stał się jałowy i pusty. A mama i tak

będzie ją naciskać, żeby zachowała pozory.

– Łaskawa panienko – powiedział Alfons Bräuer, który właśnie pojawił się obok niej. – Powinnaś coś zjeść, proszę, chodź ze mną.

Co za dziwny człowiek. Myśli, że powinna coś zjeść, bo wygląda blado. Ale było jej wszystko jedno. Bezwolnie przyjęła jego ramię i pozwoliła się zaprowadzić do bufetu. Ach, żeby ten wieczór już minął. Marie. Gdzie była jej droga Marie? Pragnęła rzucić się jej na szyję i pozwolić płynąć łzom. Marie była jedyną osobą na całym świecie, której mogła zaufać.

26

Paul? Jesteś już?

Ktoś pukał mocno w drzwi jego pokoju. Otworzył oczy i uświadomił sobie, że okropny ból głowy to nie jest zły sen, ale smutna rzeczywistość.

– Jeszcze nie całkiem, mam. Wejź, proszę.

Otworzyła drzwi gwałtownym ruchem i podeszła chwiejnym krokiem do okna, żeby rozsunąć ciężkie aksamitne zasłony. Paul poczuł bolesne ukłucia w czaszce, gdy padły na niego ostre promienie zimowego słońca. Gdyby tylko nie próbował wczoraj zatopić ponurego nastroju w ogromnej ilości czerwonego wina.

– Ból głowy?

Skąd ona to wiedziała? Mama miała jakąś niezwykłą umiejętność dostrzegania na pierwszy rzut oka, co mu dolega.

– Gorzej. Dwadzieścia silników w mózgu. I wszystkie na pełnym obrotach.

Mówiąc to, myślał o maszynach szwalniczych, które stały w fabryce i powodowały nieznośny hałas. Alicia podeszła do łóżka i położyła małą, chłodną dłoń na czole syna.

– O tak, czuć to wyraźnie. Biedny chłopiec, przyniosę ci proszki.

– Oj, nie – zaczął się bronić. – Wstanę zaraz, już mi się robi lepiej!

Zupełnie nie wierzył we własne słowa, ale nie podobało mu się, że w wieku dwudziestu sześciu lat jest traktowany wciąż jak mały chłopiec.

– Jak wolisz – powiedziała przyjaźnie. – Śniadanie jemy dzisiaj w pokojach. Na dole służba jest wciąż zajęta sprząaniem.

Przeciągnął palcami po zmierzwionych włosach i odsunął kołdrę, żeby wyswobodzić nogi i wstać z łóżka. Czuł, że całe jego ciało jest wypełnione ołowiem. A był przekonany, że wieczory spędzone w bractwach studenckich uodporniły go na działanie alkoholu. Piwo z Monachium okazało się jednak czymś zupełnie innym niż francuskie czerwone wino.

– Ojciec czeka na ciebie w biurze około jedenastej.

Potrzebował kilku sekund, żeby dotarł do niego sens tej wypowiedzi. Czy to możliwe? Ojciec zmienił zdanie i przystał na jego propozycję? Chciał zasięgnąć jego rady w kwestii obecnych problemów w fabryce. Czy to miał na myśli?

– Czy powiedział, czego ode mnie chce?

Alicia wzruszyła ramionami, ale wyglądała na zmartwioną. Oczywiście – nie powinien w żadnym razie sądzić, że to będzie rozmowa pojednawcza. Paul czuł, jak wzbiera w nim gniew i w dodatku zaczyna skręcać go w żołądku. Cholera, to nie był dobry dzień na mężne stawianie czoła ojcu. Najpewniej chce go zbesztać za lekceważenie studiów. I to właśnie tam, w biurze, gdzie dwie wścibskie sekretarki tylko strzygą uszami.

– Zachowaj spokój i zjedz dobre śniadanie – poradziła mu Alicia. – Polecę Else, żeby przyniosła ci coś pożywnego.

– Dziękuję, mamó.

Włożył jedwabny szlafrok, poszedł chwiejnym krokiem do łazienki, obmył się pośpiesznie i zobaczył w lustrze swoją bladą twarz. Matka wciąż uważała, że wszelkie cierpienia mogą zostać złagodzone przez dobry posiłek. A jemu żołądek podskakiwał do gardła, ilekroć pomyślał choćby o bułce z masłem. Zaczął szukać w komodzie czystej bielizny i koszuli, wyciągnął garnitur z szafy i uświadomił sobie, że nie jest łatwo wkładać skarpety z szalejącym żołądkiem. Która była godzina? Szukał we wczorajszym ubraniu kieszonkowego zegarka, znalazł go w jedwabnej kamizelce i otworzył wieczko. Już po dziesiątej. Nie miał zbyt dużo czasu na dochodzenie do siebie, zanim stawi się przed ojcem. Co prawda znalazł w kieszeni zegarek – w przeciwnym razie byłby to kolejny powód do robienia wyrzutów. Powoli włożył resztę garderoby, a na koniec założył spinki do mankietów, dzięki którym ubranie było kompletne. Gdy będzie przechodził przez część administracyjną fabryki, chciał być ubrany jak panicz, a nie urzędnik siedzący za biurkiem bez płaszcza i w koszuli o podwiniętych rękawach.

Else zapukała i przyniosła zastawioną tacę. Kawa, świeże bułeczki, szynka, jajecznicą, miód, kilka rodzajów marmolady, masło. Brunnenmayer musiało się wydawać, że młody pan jest na skraju śmierci głodowej.

– Dziękuję, Else. Postaw to tam na stole.

Postanowił, że nawet nie spojrzy na jedzenie, ale kątem oka dostrzegł małą tubkę z proszkami przeciwbólowymi leżącą tuż obok szklanki z wodą. Może warto było pójść za radą matki. Lekceważąc śmierć, która jego zdaniem mogła

zaraz nadejść, z trudem zjadł pół suchej bułki – należało coś zjeść przed przyjęciem tabletki – i popił biały proszek wodą. Natychmiast poczuł się lepiej, co nie mogło być zasługą proszków, nie działały tak szybko. Być może lekarstwem okazała się zimna woda. Krótki rzut oka przez okno uświadomił mu, że mimo intensywnego słońca, na zewnątrz musi być zimno, bo na drzewach i łąkach w parku wciąż rozpościerał się biały szron. Lód i jasne światło – idealne połączenie na przeszywający ból głowy. Nieszczęścia zazwyczaj chodzą parami, pomyślał zrezygnowany.

Ojciec oczywiście będzie czuł się dobrze i będzie pełen energii. Jak zawsze, gdy dowodził pracami w ukochanej fabryce. Gdy schodził po schodach, przy każdym kroku jego czaszkę coś rozsadzało od środka. Na pierwszym piętrze panowało straszne zamieszanie, meble były przesuwane, zasłony wieszane, rozkładano zrolowane dywany. Robert starał się zamknąć drzwi łączące jadalnię i czerwony salon, ale się zacinały, tak że musiał je mocno popychać plecami. Else i Auguste niosły kosz, do którego wkładały brudne naczynia i sztuce, by zanieść je do jadalni. Jordan pośpiesznie podała mu okrycie i tylko Schmalzler przywitała go serdecznie i życzyła mu dobrego dnia.

– Dziękuję, panno Schmalzler. Życzę pani tego samego.

Czy powiedział to jedynie dla żartu? Służba z pewnością nie miała dziś przyjemnego dnia, musieli się uwijać od samego rana do wieczora, by doprowadzić pokoje do porządku. Jego serdeczne życzenie musiało więc zabrzmieć w jej uszach jak okrutny żart. Był nawet zadowolony, że nie spotkał Marie. W jego obecnym stanie nie byłoby to zbyt fortunate. Los jednak nie sprzyjał mu do końca. Na samym dole, na korytarzu podbiegła do niego z kopertą, którą właśnie przyniósł posłaniec.

– Przyniosłam płaszcz, łaskawy panie.

Była tak pięknie świeża. Czy zauważyła, jak on żałośnie się dzisiaj czuł? Oczywiście, że tak, widział delikatny, ironiczny uśmiech na jej twarzy. Ależ miała piękne usta. Nawet teraz, gdy był chory jak pies, chciał dotykać jej warg. Delikatnie, tak by ledwie to poczuła. Lekki podmuch, słodki i ciepły.

– Niech pan poczeka, łaskawy panie. Jeszcze wełniany szalik. I czapka, na zewnątrz jest bardzo zimno. Tutaj są rękawiczki. I powinien pan jeszcze założyć ocieplane buty.

– Dbasz o mnie jak matka! – zadrwił.

Zaczerwieniła się. Sądziła, że do jej zadań należy dbanie o dobro jej państwa. Dygnęła więc szybko i poszła dalej z listem w ręce. Zwinnie jak

młoda sarna. Jeszcze raz przeklął w duchu czerwone wino, w którym chciał utopić swoje zmartwienia, i naciągnął czapkę głęboko na czoło. Rzeczywiście, zimno biło mocno w odsłonięte części ciała, a przy nosie i ustach umościły się białe chmurki.

– Łaskawy pan! – usłyszał podenerwowany głos Roberta. – Za pięć minut będę tu z samochodem. Gdyby łaskawy pan mógł poczekać w holu...

Z pewnością to nadopiekuńczość matki odciągnęła Roberta od pracy. Rozzłościło go to.

– W porządku, Robercie. Nie potrzebuję samochodu, pójdę pieszo.

Już po kilku krokach poczuł, że spacer na lodowatym powietrzu dobrze mu zrobi. Wciągał do płuc świeże, zimne powietrze i wydychał to nasycone czerwonym winem, które krystalizowało się w przestrzeni pod postacią białej pary. Zamarznięty śnieg skrzypiał pod butami, kilka wróbli spierało się o jedzenie, wyłożone w karmniku dla ptaków, które Kitty kazała powiesić. Na drodze, która prowadziła do fabryki ojca, napotkał jadący z naprzeciwka automobil, który co chwila ślizgał się na pokrytej lodem kostce brukowej. Uśmiechnął się i był tym bardziej zadowolony, że odrzucił troskę matki. Dzięki temu mógł wziąć mały rozbieg i ślizgać się z przyjemnością po zlodowaciałej powierzchni. Takie „lodowiska” jeszcze jako uczeń robił razem ze swoimi kolegami. Zawsze ślizgało im się wyśmienicie. Cholera – proszek faktycznie sprawił, że czuł się znacznie lepiej.

– Dzień dobry, panie Melzer.

– Dobry, panie Gruber. Zimno, co?

Portier uśmiechnął się i powiedział, że nie jest tak źle. Dopiero gdy temperatura spada poniżej dwudziestu stopni, potrzebuje małego łyżeczka czegoś mocniejszego, żeby było mu ciepło. Paul przytaknął ze zrozumieniem i przeszedł przez dziedziniec do części administracyjnej budynku. Popatrzył przed siebie i między dwiema furmankami, które właśnie przyjechały, zobaczył jeden z samochodów rodziny. Ojciec nie przyszedł dziś pieszo, jak miał w zwyczaju. W dusznych pomieszczeniach administracyjnych jego podły nastrój zaczął powracać. Znał te długie korytarze i małe biura, w których pisano obszerne listy i wyciągano całe rzędy liczb z maszyn liczących. W jednym z tych biur na drugim piętrze przeżył wtedy swoje Waterloo. Jeden drobny błąd i wszystko legło w gruzach. Gdyby złożono ofertę według jego obliczeń, fabryka poniosłaby spore straty.

– Dzień dobry paniom!

– Dzień dobry, panie Melzer! Ojciec już na pana czeka.

Hoffmann zamrugła, jakby coś jej wpadło do oka, Lüders skupiła się na wciskaniu klawiszy czarnej maszyny do pisania. To dowodziło, że w biurze dyrektora nie panowała najlepsza atmosfera. Henriette Hoffmann podeszła do drzwi gabinetu szefa wszystkich szefów i delikatnie zapukała. Dobry Boże, ona naprawdę nosiła zwiewną spódnicę i brązowe pantofle na słupkowym obcasie. Do tego tak mocno się sznurowała, że jej tułów wydawał się jak zrobiony z żelaza.

– Pański syn przyszedł.

– Wpuść go.

Nie zabrzmiało to jak przyjazne zaproszenie, raczej jak rozkaz wydany w gniewie. Teraz Paul miał pewność, że rozmowa nie będzie należała do przyjemnych.

– Czy mam przynieść kawę, panie dyrektorze? – usłużnie zapytała Hoffmann.

– Nie.

Sekretarka wzięła płaszcz Paula i zamknęła za nim drzwi tak ostrożnie, jakby cały budynek miał się zawalić przy nawet najcichszym skrzypnięciu klamki.

– Siadaj!

Johann Melzer wskazał jeden z małych skórzanych foteli, przeznaczonych dla gości. Sam siedział wciąż za biurkiem zawalonym dokumentami, złożył jeszcze szybki podpis pod jednym z pism, zamknął teczkę i zdjął okulary.

– Wpół do dwunastej! – powiedział ostrym tonem.

Musiał specjalnie sięgnąć po zegarek kieszonkowy, żeby sprawdzić godzinę, bo w pomieszczeniu nie było żadnego wiszącego zegara.

– Przyszedłem pieszo.

Zrobiło to na ojcu wrażenie, dlatego darował już sobie uwagę, że w takiej sytuacji Paul powinien po prostu wyjść wcześniej. Od razu przeszedł do rzeczy.

– Wybrałem biuro na miejsce naszej rozmowy, bo chciałbym, by była to rozmowa między ojcem i synem, w cztery oczy.

To wiele wyjaśniało. Nie chciał po prostu, by mama się do niej wmieszała. A na terenie posiadłości robiła to ciągle.

– Jestem do dyspozycji – odpowiedział Paul z zamierzoną, delikatną nutką ironii. – Chodzi o moje studia?

– W rzeczy samej.

Ojciec pozwolił Paulowi skręcać się z niepewności. Ostrożnie zdjął okulary

ze złotą oprawką i starannie umieścił je w obłożonym skórą metalowym etui. Pokrywa klapnęła i ojciec położył etui obok podstawki, na której znajdowały się pióra i otwieracze do listów. Kałamarz, podstawka i suszka z bibułką były wykonane z ciemnozielonych kamieni półszlachetnych – prezenty od mamy.

– Paul, będę grał z tobą w otwarte karty. Zasięgnąłem opinii u twoich profesorów.

Tego się właśnie obawiał. Cenił też bardzo u ojca to, że nie bawi się z nim teraz w kotka i myszkę.

– Sam wiesz, jakich odpowiedzi mi udzielili – ciągnął Johann Melzer.

– Takich, które cię nie zadowolają, prawda? – odparł Paul z wymuszonym uśmiechem.

Ojciec nie znał się na żartach, zwłaszcza dzisiaj. Jego twarz nagle skamieniała i Paul był wdzięczny, że nie zaczął wrzeszczeć, tak jak wtedy. A miał powody. Przez sześć semestrów opłacał synowi mieszkanie i wyżywienie. Poza tym chesne oraz składki w bractwach. A do tego trzeba było kupić odpowiednie ubranie, książki i inne niezbędne rzeczy. A teraz dowiedział się, że jego syn od kilku miesięcy nie chodzi na wykłady. Wyniki egzaminów również były opłakane.

– To wszystko, co masz do powiedzenia?

Paul zebrał się w sobie. Od dawna chciał porozmawiać z ojcem, ale zawsze to odkładał. Jakie to było naiwne z jego strony. Teraz, gdy dziecko zostało wylane z kąpielą, jego sytuacja była najgorszą z możliwych.

– Nie, ojcze.

Odchrząknął. Na zewnątrz zawyły syreny fabryczne, było południe i część pracowników miała teraz przerwę. Reszta jadła posiłek później, bo maszyny nie mogły przerwać pracy w żadnym momencie.

– Właśnie w tym rzecz – kontynuował, gdy przekłete syreny wreszcie skończyły swoją arię. – Studia prawnicze po prostu nie są dla mnie. Jest mi nieprawdopodobnie trudno wbić sobie do głowy te wszystkie przepisy prawa i zapisy. Nie jestem miłośnikiem książek, ojcze.

– Ach! – mruknął Johann Melzer z gryzącą ironią.

Odchylił się znów w fotelu i obserwował Paula przymrużonymi oczami. W tym spojrzeniu można było rozpoznać pogardę, rozczarowanie, głęboką złość. Paul najchętniej natychmiast wstałby z fotela. Miał wrażenie, że na stojąco lepiej by mu było rozmawiać. To pragnienie było też z pewnością powodowane przekonaniem, że w ten sposób, być może, byłby w stanie

odeprzeć przeszywający wzrok ojca.

– Znacznie chętniej studiowałbym elektrotechnikę. Interesuję się maszynami, nowymi rozwiązaniami, możliwościami, które sprawią, że elektronika otworzy przed nami ulepszoną przyszłość. Jestem przekonany, że wkrótce nie będzie już silników parowych, a i turbiny wodne staną się przeżytkiem.

– Czyżby? – powątpiewał ojciec. – Cóż, ja w żadnym razie nie dzielę twojego euforycznego przekonania. Elektrotechnika! Myślisz poważnie, że mógłbym raz jeszcze na tyle ci zaufać, by finansować twoje kolejne studia?

Zabrzmiało to jak wyrzut. Paul jednak się nie poddawał.

– Wysłuchałem już kilku wykładów z tej dziedziny, ojczu. To jest zupełnie coś innego niż suche teksty prawnicze, to są technologie przyszłości. Nie możemy tych odkryć tak po prostu lekce...

Johann Melzer gwałtownie odchylił się na oparcie fotela.

– Posłuchaj no, Paul – bezceremonialnie przerwał natchnioną przemowę syna. – Nie mam ani czasu, ani ochoty na długie dyskusje z tobą. Od dzisiaj będziesz swoje zainteresowania techniczne rozwijał tutaj, w fabryce. Liczę na to, że szybko się wszystkiego nauczysz, o przedzeniu, o tkaniu, o materiałoznawstwie. Poznasz każdy proces, będziesz obsługiwał każdą maszynę własnymi rękami i nauczysz się, w razie potrzeby, wykonać proste naprawy.

– Nie mam nic przeciwko temu, ojczu. Praca wolontariacka w fabryce jest właśnie tym, co chciałbym teraz robić.

– Myślę nie o wolontariacie, tylko o porządnym przygotowaniu do dalszej pracy. Będziesz tutaj nie paniczem, ale praktykantem i będziesz musiał być posłuszny majstrom. Od godziny ósmej rano do osiemnastej, sześć dni w tygodniu.

Paul się wzdrygnął. To, co ojciec miał na myśli, nie było żadnym szkoleniem. Chodziło mu ewidentnie o to, żeby upokorzyć syna, żeby wyplenić z niego naleciałości szlacheckiego pochodzenia zaszczone przez matkę, żeby umieścić go dokładnie tam, gdzie on, jego ojciec, zaczynał, będąc w jego wieku. Na samym dole.

– Jak mam nauczyć się czegoś o maszynach, skoro przez dziesięć godzin dziennie będę zajęty wiązaniem zerwanych nici!

– W ten sposób nauczysz się, czym jest praca. Ciężka praca, Paul. Jeśli ktoś chce prowadzić fabrykę, musi wiedzieć, jak wykonać najprostsze czynności.

Johann Melzer sięgnął po etui i otworzył je. Gest ten oznaczał, że nie ma

zamiaru ciągnąć tej rozmowy.

– Rozważ moją propozycję, bo innej nie dostaniesz. Jeśli zdecydujesz, że chcesz prowadzić rozwiązłe życie swoich wujków–panów, musisz to załatwić z matką. Jeśli jednak kiedyś masz być moim następcą, muszę mieć pewność, że podejdziesz do tej kwestii z należytą powagą.

– Oczywiście, że traktuję to poważnie, ojcze! Ale tej oferty nikt...

– Panie dyrektorze! Panie dyrektorze!

To była Hoffmann, która wydawało się, wpadła w histerię.

– Co się dzieje? – odburknął Johann Melzer. – Czy nie mówiłem, że nie chcę, żeby mi przeszkadzano?

– W przedzalni zdarzył się wypadek, panie dyrektorze!

To był głos majstra Huntzingera i to wystarczyło, żeby Johann Melzer poderwał się z fotela.

– Wypadek? Czy ktoś został ranny?

Huntzinger sam pozwolił sobie na wyminięcie Hoffmann i wejście do biura szefa. To oznaczało, że sprawa jest naprawdę poważna. Na pomarszczonej twarzy nie było nawet śladu młodzieńczej beztroski, ale wąsy sterczały nadal zawadiacko. Mimo wzburzenia nie zapomniał zdjąć czapki.

– Młoda dziewczyna została przyciśnięta przez wagon selfaktora, panie dyrektorze.

Johann Melzer zbladł, Paul poczuł ciarki na plecach.

– Czy została zmiażdżona?

Huntzinger stał przed dyrektorem ze spuszczoną głową jak zbity pies. Wiadomo jednak było, że nie ponosi on odpowiedzialności za ten wypadek.

– Próbowaliśmy zatrzymać wagon – mówił. – Ale nie zdążyliśmy i mała tam utknęła. Przeciąłem więc pas napędowy.

– Czyli maszyna teraz stoi?

Huntzinger przytaknął z poczuciem winy. Dobrze wiedział, jak duże zaległości w dostawach miała fabryka. A teraz zawiodła kolejna maszyna. Paul ruszył się z miejsca i podbiegł do sekretarki.

– Niech pani zadzwoni po lekarza!

– Tak, natychmiast, panie Melzer... Czy mam zadzwonić po lekarza, panie dyrektorze? – zapytała poirytowana Hoffmann.

– Niech pani zadzwoni po lekarza Greinera – nakazał Paul. – Proszę to zrobić natychmiast! Na co pani czeka?

Sekretarka spojrzała pytająco na bezradnego dyrektora, który właśnie

wychodził z biura.

– Cóż, niech pani zrobi to, co mówi mój syn! – huknął Johann Melzer.

– Oczywiście, natychmiast!

Paul i jego ojciec zarzucili płaszcze i podążyli za Huntzingerem prosto do przędzalni. Pierwsze, na co zwrócił uwagę Paul, gdy wszedł na halę, to straszny hałas. Sprawne maszyny działały nieprzerwanie mimo zaistniałego wypadku. Później zauważył, że w hali jest bardzo ciemno. Z powodu oszczędności sprawę oświetlenia zostawiono zimowemu słońcu, światło elektryczne było wyłączone. Ukośne promienie słoneczne niemal wcale nie docierały do pomieszczenia, bo okna dachowe wychodziły na północ.

– Gdzie?

– Tam, panie dyrektorze.

– Niech pan powie ludziom, żeby się nie lenili, tylko wracali do roboty.

– Tak jest, panie dyrektorze!

Mimo zdenerwowania Paul zauważył, że ojciec jest śmiertelnie blady. Martwił się o zepsutą maszynę czy o ranną dziewczynę? Prawdopodobnie obie kwestie nie dawały mu spokoju. Dwoje robotników, prządka i człowiek pilnujący pracy maszyny, stało bezradnie nad nieruchomym urządzeniem, a wagon znajdował się mniej więcej w połowie drogi, jaką miał przebyć. Dopiero gdy przeszli między wagonem a maszyną, zobaczyli leżącą na podłodze ranną dziewczynę. Jasna krew pokrywała dziwnie skręcone ciało poszkodowanej, jedna z robotnic kuciała obok niej i starała się zatamować krwawienie chusteczką.

– Na miłość boską! – krzyknął Johann Melzer, gdy zobaczył krew.

Musiał się oprzeć o maszynę, oddychał ciężko. Paul szybko podszedł do dziewczyny, uklęknął przy niej i sprawdził jej puls. Był słaby, ledwie wyczuwalny. Z głębokiej rany na przedramieniu płynęła jasna krew, która dawno już przemoczyła chusteczkę jej koleżanki.

– Niech mi pani da swoją chustę. Szybko. Musimy obwiązać ramię, w przeciwnym razie się wykrwawi.

Młoda robotnica wytarła ręce o spódnicę i niepewnie zdjęła chustę z głowy.

– Bez obaw, damy pani nową. Niech pani mocno przytrzyma ramię. Tak, tak jest dobrze. Potrzebuję jeszcze kawałka drewna albo czegoś podobnego...

Przeszukał kurtkę, znalazł w kieszeni ołówek, włożył go pod chustę i ściągnął ją jeszcze mocniej.

– Ona chciała szybko podbiec, żeby związać nici – wyjaśniła jej koleżanka.

– Zahaczyła się o maszynę i już nie wyszła. Maszyna ją ścisnęła, obie ręce i ramiona. Usłyszałam jej krzyk. Mimo tego okropnego hałasu, usłyszałam ją. A jej twarz, do końca życia nie zapomnę. Oczy wyszły jej na wierzch, usta miała szeroko otwarte, święta Panienko Maryjo, bądź dla nas łaskawa, ocal nas biednych grzeszników od śmierci.

– Ile ona ma lat?

Paul ostrożnie ściągnął nieprzytomnej dziewczynie chustę z czoła. Poczł ogarniającą go złość. To było jeszcze dziecko, miało najwyżej jedenaście, dwanaście lat. Dlaczego rodzice posłali ją do fabryki, a nie do szkoły? I odkąd w fabryce ojca są zatrudniane dzieci? Chwalono się przecież wszędzie dobrymi świadczeniami socjalnymi, przedszkolami, mieszkaniami, łaźniami, bibliotekami...

– Gdzie jest lekarz? – usłyszał głos ojca. – Huntzinger, biegnij do portiera i zadzwońcie jeszcze raz po lekarza!

– Tak jest, panie dyrektorze!

– Nie! – krzyknął Paul, a Huntzinger stanął zdenerwowany.

– Niech mi pani pomoże – powiedział do młodej robotnicy. – Niech pani mocno trzyma jej ramię. Czy ma płaszcz? Niech go pani weźmie.

Musiał zebrać siły, żeby podnieść dziewczynę z kałuży krwi. Opłacało się, że jako student sam kilkakrotnie się bił i pomagał opatrywać obrażenia. Miał kolegów, którzy widząc kroplę krwi, natychmiast mdleli. On do nich nie należał. Garnituru prawdopodobnie nie da się już wyczyścić, ale czy to ważne? Wyniósł dziewczynę na rękach z hali, odprowadzany ciekawskimi i zasmuconymi spojrzeniami pracowników. Na zewnątrz czekała jej koleżanka, prawdopodobnie jedyna osoba w całej fabryce, która zachowała zimną krew.

– To jest jej płaszcz, panie Melzer.

– Przykryj ją. Tak jest dobrze. Niech pani idzie ze mną, zawiozę dziewczynę do szpitala.

– Mam jechać z panem? – spytała wystraszona. – Nie mogę. Jak potem wykonam swoją normę?

– Zajmiemy się tym.

Potrwało dobrą chwilę, zanim przyniesiono klucze do samochodu. Johann Melzer był tak dezorientowany, że nie mógł sobie przypomnieć, gdzie je położył.

– Co chcesz zrobić, Paul? Zawieźć ją do szpitala?

– Tak.

Ojciec kilkakrotnie kiwnął głową. Paul widział, że trzęsą mu się ręce. Jak bezsilny był w obliczu tej tragedii. Role się odwróciły. Teraz Paul mówił, co należy robić, a ojciec wykonywał jego polecenia. Młoda robotnica i ranna dziewczyna zostały umieszczone na tylnych siedzeniach samochodu. Tymczasem znaleziono matkę poszkodowanej, ona również pracowała w przędzalni. Była bardzo szczupłą kobietą ze spiczastym podbródkiem i zapadniętymi policzkami, która teraz nieustannie lamentowała i wznosiła ręce ku niebu.

– Co to za głupia dziewczyna! Ostrzegałam ją, ale nie chciała słuchać. Przysięgam panu, panie dyrektorze. Ostrzegałam ją. Sama jest winna, że zdarzyło się to nieszczęście...

– Niech pani wraca do pracy – odpowiedział.

Potem zapukał w okno limuzyny, w której Paul już zajął miejsce za kierownicą. Paul z trudem odsunął szybę, bo zacinała się z powodu zimna. Co tam jeszcze. Śpieszyli się.

– Dziękuję ci, Paul.

Słowa te dotarły do niego pod postacią białego obłoku pary wodnej, ale je zrozumiał i poczuł się dumny.

– Teraz już będzie wszystko dobrze, ojciec. Dam ci znać, jak tylko będzie coś wiadomo.

Przejechali powoli przez bramę. W lusterku widział ojca stojącego na podwórzu w ciemnym płaszczu, bez kapelusza. Pozostawał na miejscu bez ruchu, odprowadzając wzrokiem odjeżdżający samochód.

Marie chodziła z listem w tę i z powrotem. Nie było adresu nadawcy, ale wiedziała dobrze, kto napisał „Panienska Katharina Melzer” zamaszystym pismem na kopercie. Nie był to pierwszy list tego typu i tak jak inne nie został dostarczony z pocztą. Posłaniec przyniósł list do Willi i miał przykazane, by nie oddawać go nikomu innemu tylko pokojówce Marie. Co jakiś czas Marie wręczała mu w zamian różowy pachnący perfumami liścik od panienki. Dzisiaj jednak musiał odejść z pustymi rękami.

Marie nie miała dobrych przeczuć, gdy wbiegała schodami na drugie piętro. Co jednak mogła zrobić? Czy powinna powiedzieć łaskawej pani o tej potajemnej wymianie listów? Zdradziłaby wtedy panienkę Katharinę. Nie, nie miała serca, żeby to zrobić. Zwłaszcza teraz, kiedy biedactwo płakało pół nocy. A poza tym list był tylko kawałkiem papieru, nie objęciem ani pocałunkiem. I niczym, czego panienka mogłaby żałować. Zapukała do drzwi. Gdy nikt nie odpowiedział, delikatnie pociągnęła za klamkę i zajrzała do środka. Taca ze śniadaniem wciąż stała na stole, kawa, którą w filiżance posłała panience, zrobiła się zimna. Marie weszła cicho do pokoju. Chodziła na palcach, żeby nie zakłócać spokoju. Aha, czyli panienka położyła się na łóżku w ubraniu i zasnęła. Marie niepewnie przyglądała się śpiącej i uśmiechnęła się bezwiednie. Panienska zwinęła się w kłębek jak kociak, rękami objęła poduszkę, a twarz całkowicie zasłoniły włosy.

– Marie? – wyszeptała Katharina. – Marie, czy to ty?

Panienska miała niezwykle płytki sen. W niektóre noce, zwłaszcza podczas pełni, nie sypiała wcale. Przynajmniej tak twierdziła. Teraz się przeciągnęła, ziewnęła i odsunęła włosy na bok.

– Tak, to ja. Przyniosłam pocztę dla panienki.

Jednym gwałtownym ruchem Katharina zeskoczyła z łóżka.

– Poczta? Jaka poczta? Przyniesiona przez posłańca?

Marie nie odpowiedziała, tylko podała jej list. Katharina wyrwała jej

kopertę z ręki, spojrzała na nią i błogi uśmiech pojawił się na jej bladej twarzy.

– Wiedziałam – wyszeptała. – Marie, wiedziałam, że o mnie nie zapomni.

– Jakżeby mógł, panienko Katharino? Niech panienka przeczyta sobie list w spokoju. Przyniosę świeżą kawę.

– Nie, nie! – krzyknęła podekscytowana panienka Katharina, gdy otwierała kopertę. – Musisz cieszyć się ze mną, w przeciwnym razie ja też nie będę.

Marie usiadła posłusznie na sofie i cierpliwie czekała. Katharina była całkowicie pochłonięta czytaniem, tylko od czasu do czasu brała głębszy oddech albo zaczynała chichotać. Szeptała też do siebie: „o mój ukochany!”, „och, jakże mnie dręczysz”, „nie, to jest zdecydowanie zbyt śmiałe”. Marie pogрузyła się w tym czasie we własnych myślach. Jak bardzo zakłopotany był panicz, gdy odbierał od niej płaszcz, szalik i rękawiczki. Był blady i wyglądał na niewyspanego. Nic dziwnego, Robert opowiadał w kuchni, że młody pan siedział w pokoju dla panów z dwoma przyjaciółmi i pił z nimi czerwone wino. Rano Robert musiał odwieźć obu do ich domów i zauważył, że sporo pustych butelek stało na rzeźbionym regale. Marie uważała, że ten, kto tak bezmyślnie nadużywa wina, nie zasługuje na współczucie, ale i tak było jej przykro, gdy patrzyła na Paula. Jego ojciec zażądał, żeby odwiedził go w fabryce, a każdy w posiadłości, zwłaszcza służba, wiedział, że syn i ojciec nie żyją ostatnio w zgodzie. Biedny Paul, jaka szkoda, że nie mogła mu pomóc...

– Ach, Marie! – krzyknęła panienka Katharina radośnie. – Jestem taka szczęśliwa! Chcesz wiedzieć, co mi napisał? Jakie wyznania poczynił? Poczekaj, przeczytam ci. Nie gniewaj się, ale całego listu nie mogę ci dać do przeczytania. Są tam miejsca... tak, tak... intymne, że sama byś nie chciała, żebym ci pokazała.

Tak naprawdę Marie wcale nie była zainteresowana tymi wynurzeniami, wiedziała dobrze, jak wyglądają takie listy, pisane przez Francuzów, którzy niezwykle sprawnie posługiwali się językiem niemieckim. Katharina wyjaśniła jej, że Gérard Duchamps ma matkę Niemkę i dorastał, mówiąc w dwóch językach.

– Nazwał mnie swoją najdroższą przyjaciółką, Marie. I marzy o tym, żeby ze mną... nie, nie, to zbyt szalone... Chciałby ze mną odwiedzić ogrody Claude'a Moneta. Chciałby się ze mną przechadzać po ogrodach pełnych kwiatów i oglądać błyszczące oczka wodne, w których pływają lilie...

Monet był francuskim malarzem – tyle Marie już zdążyła się dowiedzieć. Wielokrotnie pojawiały się w tych listach odwołania do artystów, bo pan Duchamps doskonale wiedział, jak zaimponować panience Katharinie. Co miała na myśli, mówiąc o intymnych fragmentach? Marie słuchała cierpliwie. Tym razem Katharina była taka szczęśliwa, że nie potrafiła wręcz przestać mówić. Jeszcze przed chwilą leżała na poduszkach blada i zatroskana, a teraz siedziała ze skrzyżowanymi nogami na sofie, policzki miała zaróżowione, a oczy pełne blasku. To nie jest normalne, pomyślała zaniepokojona Marie. Jak to możliwe, że jeden list, niezależnie od tego, jak kwiecistym stylem napisany, może wywoływać tak radykalną zmianę nastroju? Jak ogromną władzę ma ten mężczyzna nad Kathariną!

– Czy to nie jest wspaniałe! – wykrzyknęła rozmarzona panienska i przycisnęła arkusz papieru do piersi. – Same jego słowa mogłyby mnie uczynić bardzo szczęśliwą. A gdyby wczoraj wieczorem stanął przede mną, Marie, myślę, że umarłabym ze szczęścia.

A dzisiaj rano twierdziła, że musi umrzeć, bo monsieur Duchamps nie pojawił się na balu w willi. Musiała siedzieć przy niej dobrą godzinę i ją pocieszać.

– W to akurat nie wierzę, panienko Katharino – wyraziła swoje zdanie ostrożnie. – Myślę raczej, że przyjęłaby go panienska pięknie wyprostowana i ze szczerym uśmiechem.

Katharina patrzyła na nią przez dłuższą chwilę zdziwiona, zanim zrozumiała, że to żart.

– Och, Marie, myślisz, że mogłabym być aż tak silna? – zachichotała.

– Ależ tak – odpowiedziała Marie. – Myślę, że jesteś silniejsza, niż przypuszczasz, panienko Katharino. I dobrze by było, gdyby on panienkę szanował.

Katharina machnęła lekceważąco ręką, nie rozumiała, czemu Marie wspomniała akurat o takiej kwestii. Rozwaga, szacunek, one sprawiają, że nosi się ciągle głowę zadartą wysoko. Jakie to nudne i beznamiętne.

– Miłość jest jak ogień, Marie. Jak gorące płomienie, które nas osaczają. Sami także płoniemy, ale potem powstajemy z popiołów niczym feniks i zanurzamy się w błogosławionym połączeniu z ukochanym.

Marie uznała tę wizję za bardziej niż przerażającą, ale panienska była nią zafascynowana i uważała, że jedynie w ten sposób można doświadczyć miłości w całej jej sile i głębi. Wszystko inne było nieistotne.

– Przynieś mi papier i ołówek. I świeżą kawę, bądź tak kochana. Ach i jeszcze rogalik z marmoladą bardzo chętnie bym zjadła... A potem masz chwilę wolnego, moja słodka Marie. O niebiosy! Jest już prawie południe. Czy to możliwe, że przespałam już pół dnia...

Na dole w kuchni Auguste i Else siedziały przy stole z filiżankami kawy z mlekiem w rękach. Znalazły pół godziny, żeby odpocząć po trudach sprzątnięcia. Kucharka była zajęta robieniem obiadu dla państwa – wyczarowała go z pozostałości po wczorajszym bufecie.

– Panienska chce kawę? Teraz? Zrób ją sama, Marie, ja mam mnóstwo pracy.

– Oczywiście, już dobrze.

– To jest skandal. Wszystko muszę robić zawsze sama.

Kucharka wciąż nie pogodziła się z faktem, że zabrano Marie. Gdyby chociaż państwo zatrudnili nową pomoc kuchenną, ale nie, figa z makiem.

– Brunnenmayer, ona jest krzepką babą, która wszystko może robić sama. Tak właśnie oni myślą!

Zamilkła, bo w kuchni pojawiła się panna Schmalzler, a ona nie tolerowała tego typu rozmów. Zapytała jedynie o Roberta.

– Jest na dole w piwniczce z winem, wybiera coś z zasobów.

– Else, biegnij i zawołaj go tutaj. Musi natychmiast zawieźć łaskawą panią do fabryki.

– Do fabryki?

Wszyscy w kuchni zamilkli ze zdziwienia. Co łaskawa pani mogła robić w fabryce? Kiedy ona tam ostatnio była? Ponad rok temu z okazji trzydziestej rocznicy istnienia przedsiębiorstwa. I to przez niespełną godzinę, bo łaskawa pani nie była w stanie znieść hałasu i chaosu, który tam panował. Schmalzler milczała, można było jednak zauważyć, że się śpieszy. Auguste zaraz powinna pójść do holu, bo łaskawa pani niedługo zejdzie na dół i trzeba jej będzie podać płaszcz i kapelusz. Potem gospodyni zniknęła i zostawiła resztę pracowników bez odpowiedzi.

– Ale chyba nic się nie stało, prawda? – wyszeptała przestraszona Marie.

– Może szlag trafił pana dyrektora – skomentowała Auguste. – Tak właśnie się dzieje, gdy człowiek za dużo pracuje. On jest już dość stary, ostatniej wiosny świętował swoje sześćdziesiąte urodziny.

– Zamknij się! – zdenerwowała się kucharka.

– Ja tylko mówię...

Auguste podniosła się z trudem, żeby pójść do przedpokoju, ale w tej samej

chwili do kuchni weszła Maria Jordan, żeby ogłosić, że łaskawa pani już wsiadła do samochodu.

– Co? Bez płaszcza i kapelusza?

– Co ty opowiadasz? – oburzyła się Jordan. – Oczywiście, że podałam jej futro i czarny kapelusz. To w końcu moje zadanie jako pokojówki.

Auguste wzruszyła ramionami. Odkąd Marie została pokojówką, Maria Jordan żyła w ciągłym strachu, że przestanie być potrzebna. I tym bardziej chwaliła się doświadczeniem i zaufaniem, które pokładała w niej łaskawa pani.

– Wiesz w ogóle, co się stało? – zapytała.

– Śmiertelny wypadek? – Auguste była żądna sensacji.

– To możliwe!

– Wiedziałam! Jezus Maria! Ale to nie łaskawy pan?

Maria Jordan starała się być mroczna i tajemnicza. Słyszała telefon z fabryki do łaskawej pani.

– Nigdy wcześniej nie widziałam jej tak zrozpaczonej. Zrobiła się biała jak kreda i przycisnęła rękę do piersi.

– Na miłość boską! – wyszeptała Else.

– Tak mówisz, Mario? – zbesztła ją kucharka. – Nie możesz nie wetknąć nosa w każde zdanie, które się tu mówi? Kto w ogóle dzwonił?

– Cóż, to był łaskawy pan.

Wszyscy odetchnęli z ulgą. To znaczyło, że dyrektor Melzer żyje. Tylko Auguste była rozczarowana.

– Tak? Co było tak ekscytującego?

Jordan wstała, żeby nalać sobie kawę do filizanki. Robiła to przez całą wieczność, by jeszcze wzmocnić panujące w kuchni napięcie.

– Łaskawy pan dzwonił, żeby poinformować, że jego i panicza nie będzie na obiedzie – powiedziała, pijąc kilka łyków gorącego napoju.

Wymieniono między sobą spojrzenia. Czy Jordan nabijała ich w butelkę? Czy łaskawa pani mogła się tak przejąć tą wiadomością, skoro przecież przychodziły one do Willi niemalże każdego dnia? Maria Jordan doszła do wniosku, że nie powinna już dalej przesadzać z zaznaczaniem swojej wyższości.

– Nie mogą przyjechać na obiad, bo w fabryce zdarzył się okropny wypadek. Młody pan jest w szpitalu...

Marie w jednej chwili poczuła, że ziemia osuwa się jej spod nóg. Paul był ranny. Paul, który jeszcze przed chwilą stał przed nią, który był tak ujmujący

i chłopięcy w swoim zawstydzeniu...

– Młody pan? Czy on nie żyje? – zapytała niewzruszona Auguste.

– Nikt tego nie wie. – Maria Jordan znów popadła w ponury ton. – Ale skoro zabrano go do szpitala, na pewno jest jeszcze nadzieja.

– Na pewno. W przeciwnym razie pojechaliby zaraz do kostnicy...

– Wiadomo, co się stało?

– Coś strasznego. Zmiażdżenie przez maszynę.

– Święta Mario i Józefie!

– Może połamano mu wszystkie kości...

– A na końcu pękła czaszka...

– Czy nie przewidziałam, że dojdzie do nieszczęścia? Nikt z was nie chciał mi wierzyć. A teraz to właśnie się stało!

Marie czuła szum w głowie. Patrzyła na wszystkich po kolei, słyszała, co mówiono, ale nie była w stanie stwierdzić, kto mówi. Coś podpowiadało jej, że nie może wierzyć w najgorsze, ale natychmiast stawały jej przed oczami przerażające wizje. Paul, który leży zmiażdżony przez maszynę, cały we krwi. Zrozpaczony, starał się wyswobodzić, walczył z napierającą metalową konstrukcją, która centymetr po centymetrze miażdżyła jego ciało. Żaden człowiek nie byłby w stanie, jedynie siłą mięśni, odsunąć tego żelaznego potwora. Dlaczego nikt mu nie pomógł? Gdzie byli robotnicy? I dlaczego on był tak lekkomyślny?

Tymczasem Auguste i Maria Jordan wymieniały się ponurymi przypuszczeniami, Esle okraszała je opowieścią o śmiertelnym wypadku jej wujka w fabryce żelaza, a Brunnenmayer zauważyła, że najgorszy jest fakt, iż ojciec i syn do samego końca pozostali ze sobą skłócenii. Marie nie była w stanie dłużej wytrzymać w kuchni. Pobiegła schodami dla służby na drugie piętro i dopiero gdy stanęła przed drzwiami do pokoju panienki, zauważyła, że zapomniała wziąć ze sobą kawę. Dlaczego tak łatwo dałam się wyprowadzić z równowagi? – pomyślała. Może sytuacja wcale nie wygląda tak źle. Siniaki, złamana ręka, nic zagrażającego życiu. Wzięła się mocno w garść i raz jeszcze zeszła do kuchni, żeby na małej srebrnej tacy postawić pełny czajniczek i cały zestaw – jak się należało – zanieść na górę. I ani słowa panience Katharinie. Przynajmniej dopóki ktoś nie będzie wiedział, co dokładnie się stało.

Już po kilku krokach poczuła, jak dopada ją rozpacz. Dlaczego zachowała się tak chłodno w sylwestrową noc? Czyż nie marzyła o tym, by być blisko niego, by z nim rozmawiać i czuć na sobie jego czuły wzrok? Może nawet

znaleźć się w jego ramionach... Bała się, że się zatraci, że zrobi coś głupiego, że to wszystko mogło się dla nich obojga skończyć fatalnie... Cóż, teraz najpewniej on nigdy się nie dowie, że ona go...

– Kitty! Elisabeth? Gdzie jesteście?

Musiała się oprzeć plecami o ścianę. Jej serce biło niebezpiecznie szybko. Boże drogi, to był jego głos.

– Czy wszyscy w tym domu poszaleli? – beszał ich Paul, na pół zmartwiony i rozbawiony. – Kitty?

Szturmował schody, a jego postać wyglądała w przyciemnionym świetle jak zjawą. Marie zamknęła oczy.

– Marie? Źle się czujesz? Marie?!

Wzięła się w garść, choć nie była w stanie powstrzymać gwałtownego bicia serca. Był cały i zdrowy. To wszystko było jedynie pomyłką.

– Łaskawy pan... – powiedziała cicho.

Musiał poczuć ogromną ulgę, bo podszedł do niej z uśmiechem na twarzy.

– Powiedz no, bałaś się o mnie, Marie? Tak było? Dlatego jesteś taka blada?

– Wszyscy... wszyscy bardzo się martwiliśmy.

– Ty również?

Teraz już przestał się uśmiechać. Stał przed nią całkiem poważny i patrzył jej w oczy, prosząco, błagalnie, wzrokiem pełnym nadziei. Marie była zbyt poruszona, żeby zachować mądrą ostrożność. Dotarło to do niej samej dopiero później.

– Mówili, że wpadł pan pod maszynę, a potem został zawieszony do szpitala. Może nawet martwy – wyjąkała. – Bałam się, że już więcej pana nie zobaczę...

Milczał i tylko na nią patrzył. Nie odważył się nawet podać jej ręki, żeby nie zniszczyć tego pięknego momentu. Powinien jej wyjaśnić tysiące rzeczy, ale nie było to dla niego ważne. Ważne było jedynie to słodkie przerażenie malujące się na twarzy Marie, drżenie jej rąk, łzy, które błyszczały w jej oczach. Wszystko to działo się z jego powodu i było mu w stanie powiedzieć więcej, niż mogły wyrazić słowa.

– Nie musisz się bać, Marie – wyszeptał wreszcie. – Od dzisiaj będziemy się widywać każdego dnia, bo nie wrócę już do Monachium.

Wydawała się bardziej zszokowana niż ucieszona tą wiadomością. Było to zrozumiałe. Skąd mogła wiedzieć, że mówi to poważnie. Tak poważnie, że sam nie do końca to rozumiał.

– Posłuchaj, Marie – zaczął i poczuł natychmiast, że było mu niesłychanie trudno wyrazić wiarygodnie wszystko to, co go poruszyło. – Jest coś, co muszę ci wyjaśnić. Na pewno zabrmi to bardzo dziwnie, ale zapewniam cię...

W tej chwili otworzyły się drzwi i pojawiła się Kitty w białym, jedwabnym, błyszczącym szlafroku.

– Paul! – zawołała radośnie. – Spałeś dobrze? Wczorajszy bal był wspaniały, prawda? Ale kim była ta zasuszona kobieta w zielonej sukni, z którą tańczyłeś polkę? Boże, jest paskudna. Czy jest przynajmniej bogata?

Uśmiechnęła się przekornie, rzuciła się bratu na szyję i starała się go nakłonić, żeby zatańczył z nią polkę na korytarzu. Wreszcie jednak stwierdziła, że porusza się jak zmęczony pluszowy miś.

– Zaraz będzie obiad, Paul, braciszku. Powinniśmy się szybko przebrać. W przeciwnym razie mama będzie niezadowolona. Idziesz, Marie?

Marie parzyła, jak rodzeństwo podskakuje na korytarzu. Zauważyła też bezradność w oczach Paula. Zapanował nagle osobliwy nastrój: mieszanina szczęścia, żalu i nadziei.

– Tak, oczywiście – powiedziała cicho.

Po chwili doszła do siebie.

– Zielona suknia z szerokimi rękawami, panno Katharino? Czy ta ciemnoniebieska z białym marynarskim kołnierzem?

Kitty stała obok sztalug i przekrzywiła głowę, jak zawsze, gdy o czymś myślała.

– Lepiej bez marynarskiego kołnierza – powiedziała. – Tylko wyleję na niego zupę.

– Zatem ta zielona?

– Marie?

Dopiero co otworzyła drzwi do szafy i przez ramię spojrzała na Kitty.

– Tak, panienko Katharino?

– Czy Paul się do ciebie zaleca? Mów prawdę!

Marie przypomniała sobie, że na korytarzu stali bardzo blisko siebie. Katharina musiała to zauważyć i wyciągnąć wnioski.

– Twój brat jest dla mnie bardzo miły.

Kitty się roześmiała. Miły to zdecydowanie złe określenie. Paul był szarmanckim, wspaniałym rozmówcą, śmiałym chłopakiem z młodzieńczą werwą. Cennym jak złoto. Najlepszy brat na świecie.

– Wystrzegaj się go, Marie – dodała z nagłą powagą. – Przed laty uwiódł

jedną z naszych młodszych pokojówek.

Elisabeth nie mogła zrozumieć, dlaczego dorośli ludzie zachowują się tak śmiesznie. Zwłaszcza mama, która nawet przed córkami zawsze się kontrolowała, starała się zachować twarz i była wobec nich bardzo wymagająca. Zdaniem Elisabeth zachowywała się zupełnie bezzasadnie. A co gorsza, winę za każdym razem zrzucała na tatę.

– Przestraszyłeś mnie śmiertelnie, Johannie! Myślałam, że serce przestanie mi bić, gdy powiedziałeś, że Paul jest w szpitalu.

Ojciec nerwowo przesuwiał sztucce i talerze, choć stół do obiadu jak zawsze był nakryty nienagannie.

– Jest mi nieskończenie przykro, Alicio – powiedział pokornie. – Byłem bardzo zdenerwowany i najwyraźniej źle się wyraziłem.

– Łatwo się mówi! To było więcej niż nierozsądne, mogłeś wpędzić mnie do grobu. Drzę na samą myśl, że...

Elisabeth się nie wychylała. Wiedziała, że włączanie się w kłótnie rodziców było nierozsądne, ale mina taty, wyrażająca wyrzuty sumienia, mocno ją bolała.

– Mogłaś dopytać się, o co chodzi, mamo.

Matka spojrzała na nią z przyganą.

– Niestety było to niemożliwe, bo tata odłożył słuchawkę, zanim mogłam wypowiedzieć słowo.

– W takim razie mogłaś oddzwonić.

Tak jak się spodziewała, gniew matki skupił się teraz na niej. Czy sądziła, że jej matka nie potrafi wykonać połączenia telefonicznego? Dzwoniła już kilka razy do fabryki, ale nikt nigdy nie podnosił słuchawki.

– To jest dla mnie zupełnie niezrozumiałe. – Tata pokręcił głową.

– Dla mnie również, Johannie. Dwie sekretarki i żadna nie jest w stanie...

Przerwała, bo Kitty i Paul właśnie weszli do jadalni. Paul wydawał się w doskonałym humorze, wprost promieniał, gdy siadał na krześle i rozkładał

serwetkę. Kitty najpierw podeszła do mamy, objęła ją i jak zawsze zaczęła mówić o różnych sprawach. Elisabeth cicho westchnęła. Jej młodsza siostra była tak strasznie emocjonalna, że trudno to było znosić.

– Biedna mama! Mój Boże, jak strasznie musiałaś cierpieć! Oj, tato, to jest zupełnie niewybaczalne. Jak mogłeś tak zdenerwować mamę? Czasami jesteś naprawdę tak... tak zimny. Tak mało przewidujący. Zupełnie nie starasz się rozumieć, jak bardzo możesz zranić wrażliwe serca. Och, mamó, tak bardzo ci współczuję. Czemu mi nic nie powiedziałaś? Dopiero od Paula dowiedziałam się o tej całej historii.

Ku zdziwieniu Elisabeth mama zaczęła bronić ojca. Nagle Alicia stwierdziła, że prawdopodobnie zareagowała zbyt gwałtownie, że kierowała się uczuciami, zamiast posłuchać głosu rozsądku. Uśmiechnęła się potem do ojca i spojrzała na Paula. A on grymasem, który pojawił się na jego twarzy, dał jej do zrozumienia, że mogłaby się już uspokoić, przecież cały i zdrowy siedzi teraz przy obiedzie i poza tym jest bardzo głodny.

– Nawiasem mówiąc, zastanawia mnie, dlaczego nikt z was nie pyta o tę zranioną dziewczynę. Biedactwo ma dopiero trzynaście lat i ten wypadek naznaczył ją na całe życie!

Ku zaskoczeniu Elisabeth ojciec przytaknął. Stwierdził, że ta dziewczyna w najwyższym stopniu zasługuje na współczucie wszystkich.

– Ona ma dopiero trzynaście lat? – zapytała Kitty przerażona.

Machinalnie wzięła serwetkę z talerza, bo Robert właśnie miał zamiar podać bulion z jajkami.

– Tak, prawda, biedna dziewczyna – powiedziała Alicia. – Johannie, jak to możliwe, że w fabryce pracuje taka młoda osoba? Czy nie powinna raczej chodzić do szkoły?

Ojciec wiał się ze zdenerwowania. Oczywiście, młodzi ludzie aż do ukończenia czternastego roku życia mieli obowiązek chodzić do szkoły. Powszechnie jednak zatrudniano trzynastoletnie dziewczęta w gospodarstwie domowym, dlatego więc nie w fabryce. Nastoletnie osoby mają dobry wzrok i szczupłe palce, są bardzo zręczne, a do tego czują się dumne, że dostają własne pieniądze.

– Ty tak sądzisz, tato – sprzeciwiła się Kitty. – Wiem od Marie, jakie to okropne, gdy dziesięć godzin dziennie trzeba pracować przy maszynie. Głupieje się od tego, zmysły się przytępiają, mózg wysycha...

– Tak powiedziała Marie? – zapytał Paul.

Mój Boże, jak niewiarygodnie dużo kryło się współczucia w tym pytaniu. Elisabeth zastanawiała się, czy miłość do Marie przeniosła się teraz z Kitty na Paula.

– Cóż, to jednak spora przesada – stwierdziła Elisabeth. – Marie nauczyła się obsługiwać maszynę do szycia i nabyła wiedzę o materiałach i kolorystyce. W gruncie rzeczy powinna być za to wdzięczna.

– Że też mogłaś coś takiego powiedzieć, Liso! – oburzyła się Kitty. – Zachowujesz się jak pies rzeźnika!

– Katharino!

To zareagowała mama, która postanowiła zdusić w zarodku kolejną siostrzaną kłótnię. Przez chwilę w jadalni panowała cisza. Paul położył rękę na ramieniu Kitty – ten gest oznaczał: całkowicie się z tobą zgadzam, ale nie ma potrzeby aż tak się denerwować. Ojciec myślami znów był w fabryce, a mama czekała na moment, aż Robert poda danie główne, by kontynuować rozmowę. Były tematy, których nie należało poruszać przy służbie.

– Nie życzę sobie kłótni przy stole. A już na pewno nie przy pracownikach.

– Mam ci przypomnieć, że to ty nalegałaś, żeby zatrudnić Marie, i jeszcze zrobiłaś z niej pokojówkę?

Ojciec nie mógł sobie darować tej uwagi, a mama przełknęła ją bez słowa. Elisabeth w napięciu patrzyła na Kitty, ale ta się nie odezwała. Zaczęła natomiast mówić ojciec.

– Chciałbym skorzystać z okazji, żeby ogłosić coś w rodzinnym gronie. Paul, to dotyczy ciebie.

Odsunął talerz i usiadł prosto, tak że wydawał się jeszcze wyższy. Paul odłożył sztućce i spojrzał wyczekująco na ojca.

– Nie szczędziłem ci dzisiaj wyrzutów, Paul. O co chodziło, nie będziemy tutaj dyskutować, sam wiesz, że dałeś mi powody do niezadowolenia...

Paul spuścił wzrok, Kitty chciała coś wtrącić, ale ojciec mówił dalej.

– Później jednak mnie zaskoczyłeś, więcej nawet, pozytywnie mnie zaskoczyłeś! – ciągnął Johann Melzer. – Udowodniłeś mi, że potrafisz wykazać się wielką odwagą i zdecydowaniem. Mogę śmiało przyznać, że ja w tej sytuacji byłem zupełnie bezradny i bez twojej szybkiej interwencji ta dziewczyna mogłaby już nie żyć...

Nikt nawet się nie poruszył. Rzadko zdarzało się, by Johann Melzer tak oficjalnie przemawiał do rodziny, a do tego jeszcze z własnej woli przyznał się do swojej słabości. Alicia siedziała z szeroko otwartymi oczami, jakby nie

mogła uwierzyć w to, co właśnie usłyszała. A to nie był koniec przemowy.

– Synu, jestem z ciebie dumny – powiedział Johann Melzer. – I bardzo się cieszę, że mogę to tutaj szczerze przyznać.

Elisabeth miała wrażenie, że uczestniczy w jakiejś sztuce teatralnej. Czy to był jej tata? Ten, który zawsze był niezadowolony z Paula, który zawsze robił mu przytyki? A teraz uniósł kieliszek do góry i wzniósł za niego toast. Paul przyłączył się do toastu i wypił z ojcem.

– Zawstydzasz mnie, tato, zrobiłem po prostu to, co musiało zostać zrobione.

– I to właśnie było to, czego mógłbym oczekiwać od syna!

Mama powoli dochodziła do siebie i wciąż jeszcze z niedowierzaniem patrzyła na wszystkich siedzących przy stole. Potem położyła rękę na dłoni męża i zapytała cicho, niemalże bojaźliwie:

– Czy to oznacza, że te nieszczęsne właśnie...

– Już postanowione, Alicio! – powiedział Melzer. – Paul będzie pracował w fabryce jako praktykant, zapozna się z wszystkimi procedurami, z pracą każdego działu, będzie obecny przy wszystkich negocjacjach i zyska pełny wgląd w moje działania.

Jeśli tylko wszystko dobrze pójdzie, pomyślała Elisabeth. Kitty, naiwne dziecko, wiwatowała w głos i twierdziła, że tata już dawno powinien był podjąć taką decyzję. Mama musiała wyjąć chusteczkę z rękawa, żeby otrzeć łzy szczęścia.

– Ach, Johannie – wyjąkała. – Nie mogłeś mi dać większego powodu do radości. Jak ten wasz spór leżał mi na sercu!

Cóż to był za dziwny dzień, nawet Elisabeth została zainfekowana ogólnym wzruszeniem i musiała wytrzeć ukradkiem kilka łez z twarzy. Gdy Robert wszedł, żeby posprzątać naczynia i wnieść deser, zastał rodzinę w stanie tak widocznego rozrzewnienia, że przezornie zatrzymał się blisko drzwi.

– Johannie, dzisiaj po raz drugi dałeś mi naszego syna – zawołała Alicja. – Najpierw byłam przerażona, że stało mu się coś złego, a teraz pogodziłeś się z nim!

– Mamo – szepnęła Elisabeth, bo ten teatrzyk powoli zaczynał się robić boleśnie żenujący. – Robert chciałby wnieść deser.

Alicja dała znać Robertowi, żeby bez wahania wykonywał swoją pracę, a potem znów oparła się wygodnie w fotelu. Robiła to bardzo rzadko, bo wpajano jej, że należy siedzieć prosto i plecami jedynie delikatnie dotykać oparcia krzesła czy fotela. To był jednak wyjątkowy dzień, jeden z tych dni,

które przeżywa się nieczęsto. Dzień, który zaczął się od okropnych wieści i zamienił się w symfonię radości. W zamyśleniu obserwowała Roberta, który jak zawsze sprawnie radził sobie z wnoszeniem i wynoszeniem naczyń i który właśnie podawał deser – marynowaną gruszkę z kremem jajecznym z brandy – z werwą i bezbłędnie jak zwykle.

– Ja również muszę wam powiedzieć o pewnej decyzji, którą podjęłam – odezwała się Alicia, gdy Robert opuścił pokój. – Dotyczy ona Auguste.

– Auguste? A co z nią? – chciał wiedzieć ojciec.

Mieszał łyżką w pucharku z deserem, co robił zawsze, gdy potrawa bardzo mu smakowała. Kitty wpatrywała się w sufit, a matka uśmiechnęła się łagodnie. Paul utkwiał wesoły wzrok w kieliszku z winem. Jedyne Elisabeth uważała, że to chwila, w której należy zachować powagę. Oczywiście tata nie zauważył, że Auguste była w odmiennym stanie. Co można było powiedzieć na jego korzyść, Johann Melzer był mężczyzną, którego zupełnie nie interesowała żeńska część służby.

– Biedna Auguste będzie miała dziecko. Dziecko Roberta, który nie chce się z nią ożenić – Alicia podsumowała sytuację w dwóch zdaniach.

Powszechną praktyką było odsyłanie pokojówek, które aż tak bardzo się zapomniały. Nikt nie mógłby im z tego powodu robić wyrzutów. Po rozmowie z panną Schmalzler Alicia zaczęła jednak mieć w tej kwestii wątpliwości. Przede wszystkim dlatego, że – jak przekonywała Auguste – rodzina nie przyjęłaby jej z powrotem. Jej matka wyszła drugi raz za mąż i miała już dość gęb do wyżywienia.

– W gruncie rzeczy jest to niewypowiedzianie smutne, że Robert się tak głupio zapiera, bo zarówno on, jak i Auguste są godnymi zaufania i lojalnymi pracownikami, których chciałabym zatrzymać. Gdyby poślubił Auguste, mogliby zamieszkać w domu w parku i dalej dla nas pracować.

Zdezorientowany Johann Melzer zapytał, dlaczego Robert nie chce tego ślubu.

– Tego nikt nie rozumie, tato – wtrąciła się Elisabeth. – Po prostu chce zachować wolność.

Uchwyciła karcący wzrok matki i zamilkła urażona. Co mama sobie właściwie myślała? Sądziła, że wyjawi tacie, w kim biedny Robert jest tak beznadziejnie zakochany? Prędzej odgryzłaby sobie język.

– A może dziecko nie jest jego? – dopytywał się ojciec. – Co my wiemy tak naprawdę o sposobie życia tej... Auguste? Może miała też innych kochanków?

Alicia zmarszczyła brwi, pytanie męża było zdecydowanie zbyt dociekliwe. Zwłaszcza że przy stole siedziały ich obie córki.

– Panna Schmalzler zapewniała mnie, że Auguste utrzymywała stosunki tylko z Robertem – powiedziała Alicia półgłosem, odwracając się przy tym wyraźnie w stronę męża. – To trwa od kilku tygodni i wiedzą już wszyscy pracownicy. W związku z tym jest niemalże pewne, że ojcem jest Robert.

– Cóż, jeśli tak jest...

Ojciec przedstawił swoje wątpliwości i uznał, że teraz może przejść spokojnie do deseru. We wszystkim, co dotyczyło prowadzenia domu i służby, i tak Alicia zawsze miała ostatnie słowo.

– Moi drodzy – Alicia spojrzała na Paula, któremu właśnie Elisabeth z ciężkim sercem oddawała swój deser – Pan Bóg zesłał mi dzisiaj dużo dobrych wieści, za które jestem niezmiernie wdzięczna. Dlatego ja również chcę postąpić miłosiernie i łaskawie wobec osoby, którą mi powierzono.

O nie, pomyślała zdeglustowana Elisabeth, która liczyła na to, że Auguste zostanie odprawiona.

– Przekażę Auguste, że może zostać. O dziecku też pomyślimy. Kto wie, czy Robert nie zmieni zdania, gdy już się ono urodzi?

Uśmiechnięta Alicia zwróciła się do męża, który najpierw wzruszył ramionami, a później jej przytaknął.

– Czy myślisz, że to dobrze, by dać im taki przykład? – wtrąciła się znów Elisabeth. – Może się później okazać, że i inni pracownicy będą ciągle liczyć na twoją wspaniałomyślność.

– A kto niby miałby to zrobić? – zaśmiała się Kitty. – Może Jordan albo Schmalzler? Ach, pewnie miałaś na myśli Brunnenmayer, siostrzyczko. Wątpię jednak, że mogłaby nam jeszcze przynieść nieślubne dziecko...

– Katharino! Jak ty się wyrażasz! – skarciła ją matka.

– Brunnenmayer z pewnością nie – powiedziała rozzłoszczona Elisabeth. – Ale co z Marie, która budzi zainteresowanie nawet naszych gości? Tak młodych, jak i starszych. Bardzo łatwo może do czegoś takiego dojść.

Kitty chciała odpowiedzieć, ale tym razem uprzedził ją Paul.

– Uważaj na słowa, Liso – upomniał ją ostro. – Marie jest zdecydowanie zbyt mądra, by wplątywać się w takie historie.

– Paul, masz absolutną rację – powiedziała Kitty i znacząco spojrzała na brata. – Marie ma własne wyobrażenie miłości. Mówiąc dokładniej: trzyma się od niej z daleka. I w jej położeniu jest to najlepsze wyjście.

– Też uważam, że Marie nie popełniłaby takiego błędu – mama włączyła się w rozważania. – Poproszę panią Schmalzler, by powiadomiła Auguste o mojej decyzji. Myślę nawet, że będę szczęśliwa, gdy znowu tutaj usłyszę dziecięcy śmiech.

Elisabeth przewróciła oczami. Tak, Kitty na pewno odziedziczyła skłonność do sentymentalizmu po mamie.

29

Hanna Weber? Jedną chwilę, proszę!

Siostra z białym czepkiem na głowie wędrowała palcem wskazującym po liście przyjętych, potem poprawiła okulary na czubku nosa i spojrzała na obu mężczyzn. Wyglądali jak dobrzy katolicy.

– Przywiozłem ją tu wczoraj – wyjaśnił Paul. – Dziewczyna miała wypadek, została przyciśnięta przez maszynę.

– Wczoraj siostra Benedicta była na dyżurze. Czy ta Hanna Weber jest może protestantką?

Paul popatrzył pytająco na ojca, a on wzruszył ramionami. W fabryce zatrudniał setki robotników i robotnic, jak mógł pamiętać, jakiego są wyznania.

– A jeśliby tak było?

– Wtedy pacjentka będzie się znajdować w zachodnim skrzydle szpitala, gdzie są umieszczani protestanci.

– Dobry Boże!

Siostra miłosierdzia łagodnie uśmiechnęła się do dobrze ubranych panów z krzaczastymi brwiami i dała do zrozumienia, że niestety nie jest w stanie zrobić dla nich nic więcej.

– Zapytamy więc tam, ojczcie.

Szybkim krokiem przemierzali korytarz głównej części szpitala i dostrzegli dwie siostry strażniczki, które siedziały w niewielkim oszklonym pomieszczeniu. Zamiast wysokich, wyglądających na średniowieczne nakryć głowy miały białe, płaskie, skromne czepki, które przypominały nocne czapeczki i były związane pod brodą. Nakrycie głowy diakonis.

– Hanna Weber? Ach, tak, dziewczyna z fabryki. Jedną chwilę, proszę...

Znowu trzeba było czekać. Kolejny raz nastąpiło przesuwanie palcem wskazującym wzdłuż listy nazwisk. Jeśli i w tym wykazie nie było Hanny Weber, oznaczać to mogło tylko jedno: dziewczyna nie żyła. Paul czuł napięcie

ojca, a za moment również własną ulgę, gdy diakonisa spojrzała na nich i powiedziała:

– Pokój siedemnasty. Ale tylko dziesięć minut. Możecie, panowie, pojechać windą. Drugie piętro, zaraz obok kaplicy.

Dzielili kabinę windy z dwiema paniami, z pewnością matką i córką, oraz starszym panem, który ponurym tonem mówił coś do siebie pod nosem. Córka miała na sobie nową sukienkę i wzbudziła szczególne zainteresowanie Paula, bo pod spodem nie nosiła gorsetu. Nie było też czego sznurować, bo młoda kobieta była płaska jak chłopiec.

– Pokój siedemnaście. To tutaj, ojczu.

Johann Melzer wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wytarł spocone czoło. Zapach środków dezynfekcyjnych, formaliny i innych żrących substancji wywołał u niego mdłości. Bardziej jeszcze niż wizyta w szpitalu sprzed miesiąca, która go wówczas głęboko poruszyła i zmusiła do działania. Co przyniosło fatalne rezultaty.

W pokoju numer siedemnaście znajdowało się dziesięć łóżek. Mała Hanna leżała przy ścianie między dwiema starszymi kobietami. Przy oknie, gdzie było nieco jaśniej i weselej, łóżko zajmowała pulchna kobieta w różowym szlafroku, która właśnie plotkowała z chudym, ponuro wyglądającym mężczyzną, najpewniej jej mężem. Paul skinął grzecznie głową wszystkim wokoło i podszedł do łóżka dziewczyny. Nie spała i spojrzała ze zdziwieniem na tego obcego mężczyznę o jasnoniebieskich oczach. Obie ręce miała w gipsie, a jej klatka piersiowa i głowa były owinięte bandażem.

– Pamiętasz mnie, Hanno? – zapytał Paul. – Jestem Paul Melzer, to ja cię wczoraj przywiozłem do szpitala. Sądzę jednak, że głęboko wtedy spałaś, prawda?

Czy zrozumiała, co powiedział? Patrzyła na niego, mrużyła oczy i poruszała niemo ustami. Powiedziała coś tak bezgłośnym szeptem, że musiał się nad nią pochylić, by cokolwiek usłyszeć. Kobieta w różowym szlafroku, dla odmiany, nie przestawała mówić nawet na chwilę.

– Ja... nie wiem...

Paul uśmiechnął się zadowolony. Mogła mówić, Bogu dzięki. Czy rozumiała jednak, co się z nią dzieje? Nie chciał o to pytać.

– Czy coś cię boli?

Chciała potrząsnąć głową, ale nie była w stanie, przez unieruchamiający ją bandaż.

– Jest... mi dobrze... – wyszeptała.

– Powinno być wszystko w porządku – powiedział Paul. – Troszczymy się o ciebie, Hanno. Niedługo znów będziesz zdrowa. I pójdziesz też do szkoły.

Potrzebowała chwili, żeby pojąć, co do niej powiedział ten obcy mężczyzna. Potem skrzywiła twarz w krótkim uśmiechu.

– Chłopcy... oni chodzą do szkoły. Ja i Erna... chodzimy z mamą... do fabryki.

Paul zrozumiał. Słyszał już wcześniej o tym, że w wielodzietnych rodzinach dziewczynki od najmłodszych lat posyła się do fabryki, żeby chociaż chłopcy mogli chodzić do szkoły.

– Teraz po prostu odpoczywaj, a niedługo będziesz zdrowa.

– Tak... – odpowiedziała posłusznie.

Potem zamknęła oczy. Wydawało się, że nawet ta krótka rozmowa śmiertelnie ją zmęczyła. Paul się wyprostował i spojrzał pytająco na ojca, który znów wycierał chusteczką czoło.

– Idziemy – powiedział Johann Melzer. – Nie powinniśmy teraz zbyt jej męczyć, wciąż jest bardzo słaba.

Na korytarzu spotkali lekarza, który właśnie szedł do pacjentów, i Johann Melzer zapytał o stan jej zdrowia. Przede wszystkim, czy będzie żyć i czy będzie jeszcze w stanie ruszać ręką. I czy doznała jakichś wewnętrznych obrażeń. Młody lekarz wyjaśnił, że trzeba trochę czasu, by móc odpowiedzieć na te pytania. Pacjentka jest młoda i ma całe życie przed sobą.

– Nie powinno jej niczego brakować – powiedział Johann Melzer ochryplym głosem. – Pokryję wszelkie koszty.

Lekarz się uśmiechnął. Tutaj, w szpitalu, dla pacjentki zostanie zrobione wszystko, co leży w ich mocy, dyrektor Melzer przecież dobrze o tym wie. On nie ma wątpliwości, że i tym razem uda się uratować jego podopieczną. Skinął lekko głową, życzył mu miłego dnia i odszedł.

– Również tym razem? – zapytał zdziwiony Paul. – Ojczy, co miał na myśli?

Johann zawahał się przed udzieleniem odpowiedzi. Nie podobało mu się, że lekarz uczynił tę głupią aluzję, ale faktycznie raz już się to zdarzyło i nie chciał okłamywać syna. Prędzej czy później i tak by się dowiedział.

– Pół roku temu była tutaj Marie. Krwotok. Leżała nawet w tym samym pokoju, co mała Hanna.

Paul był tak zdumiony, że stał przez chwilę w drzwiach do windy.

– Marie? Mówisz o naszej Marie? O pokojówce Marie?

– A o jakiej innej?

Teraz to Johann Melzer był zaskoczony, bo nie spodziewał się tak dużego zainteresowania ze strony Paula.

– Krwotok? Czyżby początek gruźlicy?

Uspokoił wzburzonego syna i wepchnął go lekko do środka windy. Nie, na szczęście nie stwierdzono choroby płuc. Raczej przemęczenie fizyczne. Dziewczyna jest wątła i – jak wyjaśnił mu lekarz – nie nadaje się do ciężkiej roboty w fabryce. Przez pół roku pracowała jako szwaczka u Steyermanna i nie była to zła praca. Ale uciekła stamtąd i niedługo później zachorowała.

– A gdzie przebywała podczas choroby? Przecież nie w dzielnicy na obrzeżach miasta?

Johann Melzer miał nadzieję, że wystarczy jedynie krótkie wyjaśnienie, ale najwyraźniej Paul nie miał zamiaru przestać go wypytywać. Dlaczego tak bardzo zainteresował się przeszłością Marie? Oczywiście ta mała była bardzo ładna, tak jak jej matka. Zaniepokoiła go myśl, że Paul mógł się interesować Marie.

– Na obrzeżach miasta? Bzdura. Była w Sierocińcu Siedmiu Męczennic, tam gdzie dorastała.

Winda zatrzymała się gwałtownie. Przez szklane drzwi widać było tłumek odwiedzających, którzy chcieli jechać na górę. Zadowolony, że przesłuchanie dobiegło końca, Johann Melzer otworzył drzwi. Paul nie był jednak gotowy, żeby zakończyć rozmowę.

– I dlatego lekarz nazwał Marie twoją podopieczną?

To pytanie najbardziej go przeraziło. Musiał znaleźć odpowiedź, która będzie satysfakcjonująca dla syna i która nie wyjawia całej bolesnej prawdy.

– Opiekowałem się nią trochę, bo znałem jej ojca. Był dobrym pracownikiem.

Przy wyjściu spotkali dwie znajome. Były to kobiety, które angażowały się w działalność charytatywną Alicii i z czystej miłości bliźniego odwiedzały w szpitalu osamotnionych pacjentów, by podarować im trochę ciasta, Biblię i oczywiście swoje wsparcie. Przekazano sobie pozdrowienia, a że damy okazały się dobrze poinformowane na temat wypadku, złożyły im wyrazy współczucia.

Gdy wyszli ze szpitala, Johann Melzer napełnił płuca solidną porcją świeżego porannego powietrza i już po chwili znów przeistoczył się w surowego pana dyrektora.

– A teraz szybko! – powiedział i pomachał na Roberta, który czekał w samochodzie. – O dziesiątej spotkanie z prawnikiem, o jedenastej Francuzi.

– Aha, producenci jedwabiu z Lyonu?

– To może być naprawdę dobra transakcja – burknął Melzer senior. – O ile tylko nie dojdzie do wojny.

Paul się uśmiechnął. Od jakiegoś czasu ojciec ciągle mówił o wojnie. Co za brednie. Może jedynie tam na Bałkanach, gdzie różne narody żyją w konflikcie. Kajzer był przecież wnukiem wielkiej Wiktorii z Anglii, łączyły go też dobre stosunki z carem Rosji. A Francuzi niedawno, w 1771 roku, dostali po głowie.

– Idę, ojciec – zawołał Paul wesoło, gdy Johann Melzer wsiadał do samochodu. – Muszę tylko jeszcze wpaść do sklepu z rękawiczkami, mama mnie o to bardzo prosiła, bo potrzebuje na dzisiejszy wieczór w operze takich z licowej skóry.

– Na Boga! – mruknął ojciec niezadowolony. – W takim razie musisz się pośpieszyć! Chciałbym, żebyś był obecny podczas narady z prawnikiem.

– Oczywiście!

Znajdowali się blisko bramy Jakoba, skąd było niedaleko do centrum, więc Paul postanowił, że pójdzie pieszo. Założył kapelusz i poszedł szybkim krokiem z okolicy szpitala w stronę uliczek przemysłowych, znajdujących się w centrum. Z pewnością Augsburg był dumny z ogromnego budynku szpitala, wybudowanego ze lśniącej cegły, imponującej wielopiętrowej budowli z okrągłymi oknami łukowymi, które zostały zaprojektowane przez architekta Gollwitzerera w połowie ubiegłego stulecia. Tylko kto chętnie przebywał nawet w takim szpitalu?

Gdy szedł najpierw pod górę, a później skręcił w Barfüsserstrasse, rozmyślał o tym, co ojciec wyjawiał mu na temat Marie. Krwotok – na Boga! Nie był lekarzem, ale miał świadomość, że takie rzeczy mogą nieść śmiertelne skutki. Ale dzięki Bogu, ona przeżyła. Jak silna musiała więc być ta wątła istota, że mimo poważnej choroby, którą niedawno przeszła, dała sobie radę z pracą w kuchni. Nie miał dokładnej wiedzy na temat tego, co należy do obowiązków pomocy kuchennej, ale wiedział, że musiała przynosić drewno i każdego ranka rozpalać we wszystkich piecach w willi. Była na samym dole służbowej hierarchii i musiała wykonywać robotę, która dla innych była zbyt męcząca i mało komfortowa. Dlaczego nikt nie pomyślał o tym, by jej ulżyć? Ojciec przecież wiedział, że dochodzi do siebie po ciężkiej chorobie.

A przecież tak właśnie należało uczynić. On sam nie wiedział prawie nic na ten temat, bo był w tym czasie w Monachium. Cóż, dobrze, że teraz Marie jest już pokojówką i że Kitty znalazła w niej oddaną rozmówczynię. Musiał nieco zwolnić kroku, bo przez szybki marsz zaczynał się pocić. Jak na styczniowy dzień pogoda była wyjątkowo mglista. Niebo było zachmurzone, a Perlachturm, której górna część wystawała ponad dachy innych budynków, była spowita ciemną mgłą. Już teraz widział mały sklepik Ernstine Sauerbier, dwa wysokie okna wystawowe, dwie jasnozielone kunsztownie zaprojektowane kolumny, a nad nimi zwisające pędy delikatnych kwiatów. Z jakiegoś powodu mama zamawiała rękawiczki dla siebie wyłącznie w tym sklepie, być może po prostu wiedziała, że jeśli zostaną uszkodzone, właścicielka je naprawi. Przystanął przed witryną i rzucił wzrokiem na wystawę. Rękawiczki na delikatne damskie dłonie, proste i obszyte koronką, takie, które sięgają do łokcia, cieniuteńkie i wręcz przezroczyste, takie, które odsłaniają palce i jeszcze takie z białej koziej skóry, które są tak wygodne, jakby wsuwało się na dłonie drugą skórę. Para kosztowała tyle, ile robotnica zarabiała przez cały rok, teraz to wiedział. Pomyślał o rękach Marie, tak małych i pięknie uformowanych, które z pewnością nie znały takich drogich rękawiczek. Nie miała rodziców i wychowywała się w sierocińcu, wycierpiała wiele, a mimo to wciąż jest odważna i niestrudzona. Czyż setki razy bardziej nie zasługiwała na podziw niż młode dziewczęta z tak zwanego dobrego towarzystwa, które nie miały w głowach nic prócz pięknych sukien, spacerów i haftów – rzeczy zupełnie zbędnych?

– Pan Melzer? Jak dobrze pana widzieć. Czy interesują pana damskie rękawiczki?

Zanim jeszcze się odwrócił, lekki francuski akcent zdradził mu, kto będzie jego rozmówcą. Pan Gérard Duchamps był znów w Augsburgu, gdzie jego ojciec założył oddział rodzinnej firmy.

– Monsieur Duchamps, witam pana – powiedział bez szczerego entuzjazmu.
– Nie, nie jestem szczególnym zwolennikiem damskich akcesoriów. Jestem tutaj, bo zostałem zatrudniony przez moją matkę jako kurier.

– W takim razie dzielimy podobny los – powiedział z uśmiechem Duchamps.
– Mnie wysłano po prezent dla mojej matki i siostry. Cenna jest u nas licowana skóra, tutaj wyprawiana. A mieszkańcy Augsburga coraz bardziej są zainteresowani jedwabiem, wytwarzanym w Lyonie. Mam więc ogromną nadzieję, że nasze rokowania zakończą się pomyślnie.

Oczywiście – francuscy kontrahenci z wizytą u ojca. Mógł się przecież tego domyślić. Cóż, jeśli zaoferują przyzwoity produkt za dobrą cenę, byłoby świetnie. W fabryce zaczęto produkować jedwabne materiały z nadrukiem, które zostały bardzo dobrze przyjęte przez klientów. Jedwab zza morza jest co prawda tańszy niż francuski, ale koszty transportu sprawiają, że produkt staje się nieporównywalnie droższy.

– Dlaczego nie? To leży w interesie obu stron, prawda?

Duchamps przytaknął i melancholijnym wzrokiem zapatrzył się na białe koronkowe rękawiczki. Paul kolejny raz uświadomił sobie, że nie lubi tego Francuza. Jak to się działo, że wszystkie kobiety padały mu do stóp? Może był szczególnie urodziwy? Ani trochę! Gérard Duchamps był mężczyzną średniego wzrostu, jego ruchy były pewne, bardzo harmonijne, ale według Paula nie był wysportowany. Miał wąski nos i zdaniem Paula zbyt ostry, oczy czarne jak Cyganie, usta prowokacyjnie wydęte. Może to właśnie tak fascynowało kobiety. A może także jego maniera, by każdy temat zakończyć jakimś niebanalnym zdaniem. Mógł być intrygujący, ten francuski fircyk łamiący serca. A przy tym, to nawet Paul musiał przyznać, nie wygadywał bzdur. Wszystko, co mówił, miało sens.

– Bardzo mnie to cieszy – dodał Paul uprzejmie, choć nie był tego taki całkiem pewien. – Zobaczmy się więc później...

Uchylił kapelusza, żeby się pożegnać, i zamierzał wykonać powierzone mu zadanie, ale Duchamps najwyraźniej nie pozwolił mu odejść.

– Pardon, mam jeszcze jedno pytanie.

Chcąc nie chcąc, Paul zatrzymał się z uprzejmym uśmiechem. Co to znaczy? Dlaczego ten Francuz nagle przybrał tak poważną minę, jakby chodziło o śmierć i życie?

– To jest bardzo osobiste pytanie – powiedział Duchamps. – I zadaję je panu, bo ufam, że powie mi pan prawdę.

Faktycznie, ten Gérard Duchamps potrafił być niezwykle przekonujący. Natychmiast wzbudził w Paulu sympatię i pragnienie, by nie zawieść pokładanego w nim zaufania.

– Jeśli to jest tylko w mojej mocy, to oczywiście.

Grupa młodych kobiet podeszła teraz pod okno wystawowe, oglądając z zachwytem rękawiczki, i Duchamps, który wzbudził zainteresowanie każdej z nich, przeszedł z Pauliem w boczną uliczkę.

– Moje pytanie dotyczy pana siostry.

– Której?

– Panienci Kathariny.

Oczywiście, inny wariant bardzo by Paula zdziwił. Chyba jest już skazany na to, by ciągle udzielać informacji na temat swojej czarującej siostry.

– Czynię to niechętnie, panie Duchamps – bronił się. – Mógłby pan pójść z tym pytaniem równie dobrze do mojej siostry albo jeszcze lepiej do moich rodziców.

– Monsieur Paul, z pańską siostrą już od dawna utrzymuję kontakt.

Paul wpatrywał się w niego i nie mógł uwierzyć. Czy to możliwe, że ten francuski casanova podbił serce Kitty? A może to jedynie przechwałki?

– Oto moje pytanie: czy pańska rodzina byłaby gotowa zaakceptować zięcia, który jest Francuzem? Niech pan mnie zrozumie: kocham pana siostrę i poważnie traktuję tę miłość. Chciałbym poślubić Katharinę.

Paul musiał najpierw wziąć głęboki oddech. Ten fircyk chce poślubić Katharinę. I jeśli mówi prawdę, Kitty już przyjęła jego propozycję. Musiała mu jednak powiedzieć, że istnieje pewien problem.

– Czy chce pan poznać moje zdanie? – zapytał, by zyskać na czasie.

Duchamps przytaknął. Jego natarczywe spojrzenie sprawiło Paulowi przykrość. Chłopak był zakochany, kto mógł mieć mu to za złe? Poślubiłby Kitty i zabrał ze sobą do Lyonu. Posiadłość bez Kitty. Jej pusty pokój. Żadnych wesołych rozmów wieczorami, żadnego szczerego śmiechu, żadnych szalonych pomysłów. Nie byłoby też już tych małych tajemnic, którymi zawsze się dzielili. Niech to szlag, nie chce oddawać swojej młodszej siostry.

– Moja siostra z pewnością panu powiedziała, że moja matka wciąż cierpi z powodu śmierci swojego najstarszego brata. Zginął we francusko-niemieckiej wojnie, gdy jeszcze był dzieckiem.

Duchamps o tym wiedział. To była oczywiście wielka strata, jednakże po obu stronach były wtedy ofiary. Nieszczęsny młody człowiek nie zginął od francuskiej kuli, ale dość banalnie, od niegroźnego zranienia, które doprowadziło niespodziewanie do zakażenia krwi.

– Ma pan rację, ja to widzę podobnie. Jednakże moja matka jest w tej kwestii zupełnie nieprzejednana. Jeśli więc będzie się pan starał o moją siostrę, to ona pierwsza pana odrzuci.

Mówił prawdę, w tej sprawie nie miał sobie nic do zarzucenia. Przeciwnie, uprzejmie przemilczał fakt, że matka żywi ogromną nienawiść do Francji, odwiecznego wroga, i do wszystkich Francuzów. Nie akceptuje nawet

szampana, choć go uwielbiają wszyscy w willi, i zastąpiła go szampanem z Krymu, ale ten okazał się za słodki i wywoływał okropne bóle głowy, dlatego z niechęcią zgodziła się na powrót do francuskiego.

– Jeśli naprawdę chce pan poślubić Kitty, musi pan być niezwykle wytrwały – dodał, gdyż zasmucona twarz rozmówcy sprawiła, że jemu też zrobiło się przykro.

Duchamps podziękował, sam żywił już wcześniej takie właśnie obawy.

– Monsieur Paul, bardzo pana proszę, by zapomniał pan o tej rozmowie.

Uchylił kapelusza i uśmiechnął się do Paula, zanim się odwrócił i odszedł. Czyż nie chciał kupić rękawiczek? Cóż, pewnie to był pretekst. Paul czuł lekkie wyrzuty sumienia, przede wszystkim wobec Kitty. Z drugiej jednak strony jego siostra zasługiwała na lepszego męża niż ten francuski pożeracz niewieścich serc.

d="w_cieniu_tajemnic-35.html" xml:lang="pl-PL" aid="10DJ41">

Przejmujące zimno, ciągnące od kamiennej podłogi, na której stały kościelne ławki, przesywało Marie na wskroś. Mimo ciepłego płaszcza i butów ocieplanych futrem czuła się na wpół zamrożona i miała nadzieję, że msza wreszcie dobiegnie końca. Wstydziła się tych grzesznych myśli. Czy te trzy starsze kobiety w ławce przed nią nie czuły jeszcze bardziej zimna? A mimo to uczestniczyły w ceremonii z głębokim oddaniem, klękały w odpowiednich momentach, śpiewały pieśni głośnymi, nieco drżącymi głosami i bezbłędnie wypowiadały modlitwy po łacinie.

Poranna msza u Świętego Maksymiliana zaczynała się o szóstej rano, na zewnątrz było zupełnie ciemno i tylko lampy łukowe oraz elektryczne oświetlenie w niektórych sklepach rozjaśniało nieco ten poranny mrok. Marie szła pieszo dobre pół godziny, by nie spóźnić się na mszę, i miała nadzieję, że niepostrzeżenie uda jej się wrócić później na trzecie piętro willi. Nie powiedziała nikomu o tej niecodziennej wizycie w kościele, bo w przeciwnym razie wszyscy zaczęliby snuć najdziwniejsze przypuszczenia, dlaczego pokojówka Marie tak wcześnie udaje się na mszę. Na pewno z powodu okropnych grzechów, które chce wyznać. Nakaz sumienia. A może spotyka się tam z kochankiem? Szczególnie Auguste miała bardzo płodną wyobraźnię i z determinacją rozpuszczała plotki.

Woń kadzidła wypełniła wysokie, jasne pomieszczenie kościoła i dotarła aż do tylnych ławek. Marie starała się oddychać płytko, drażnił ją ten zapach. Wierni klęczeli, została rozdana komunia. Jeden z trzech zaspanych, mrużących oczy ministrantów zaczął dzwonić kościelnymi dzwonekami i przez opary kadzidła Marie widziała, jak wielebny Leutwien odstawia naczynie z hostią i pije ze złotego kielicha z wygrawerowanymi wzorami. Z jakiegoś powodu zrobiło jej się niedobrze. Mogło to być spowodowane zapachem kadzidła albo tym, że nic rano nie zjadła. A może chodziło o świadomość, że to właśnie ten człowiek przed laty dawał jej matce ostatnie namaszczenie. Wzięła się

w garść i ucieszyła się, że ksiądz udzielił błogosławieństwa i zagrały organy. Wielebny i ministranci poszli do zakrystii, a pobożni wierni – głównie kobiety w zaawansowanym wieku – podnieśli się, zapięli płaszcze, zawiązali mocniej szale i włożyli nakrycia głowy. Na zewnątrz wiał lodowaty wiatr, który niósł ze sobą płatki śniegu, droga do domu nie będzie przyjemnością.

Marie poczekała, aż ławki będą puste, podeszła pod ołtarz, przeżegnała się szybko przed świętą Panną Maryją i poszła w lewą stronę, gdzie udali się ksiądz i ministranci. Gdy wyszła, w ławkach zaczęła się kręcić zakrystianka, pulchna, zaspana kobieta, która zbierała zapomniane śpiewniki i wkładała je do przeznaczonej do tego celu drewnianej skrzynki. Marie miała szczęście, wielebny Leutwien zamierzał wyjść z kościoła przez wyjście z zakrystii. Na ciche zawołanie Marie odwrócił się i spojrzał na nią z dezaprobatą. Możliwe, że jej nie rozpoznał, bo wyłączył już lampę w zakrystii, a zakrystianka właśnie zgasła świece przy ołtarzu. Młoda, dobrze ubrana kobieta prawie nigdy nie pojawiała się na porannej mszy.

– Co mogę dla pani zrobić?

– Ja... ja chciałabym zamówić wypominki, wielebny.

Pomyślał początkowo, że przyszła do spowiedzi. Zdarzało się od czasu do czasu, że młode kobiety chodziły do spowiedzi do obcej parafii, bo wolały powierzyć swoje grzechy obcemu kapłanowi, a nie temu, który je zna. Ale wypominki, to akurat nic niezwykłego.

– A w czyjej intencji?

– Mojej matki. Nazywała się Luise Hofgartner i zmarła jakieś szesnaście lat temu w domu na przedmieściu.

Czy sobie przypomni? Marie w napięciu obserwowała księdza, który zrobił teraz kilka kroków w głąb zakrystii, żeby zapalić lampę gazową na stole.

– Ty jesteś może Marie Hofgartner?

– Tak, wielebny.

Skinął na nią, żeby podeszła bliżej, zdjął okulary i mierzył ją zdumionym wzrokiem z góry na dół.

– Jesteś ładnie ubrana, Marie. Prawie cię nie poznałem.

– Pamięta mnie więc ksiądz?

– Oczywiście. Często cię widywałem w sierocińcu. Jesteś teraz na służbie w posiadłości Melzerów, prawda? Jako pomoc kuchenna, czy się myłę?

– Jako pokojówka.

Zdziwił się, z trudem nałożył znów okulary i wydawał się wątpić, że Marie

mówi prawdę. Żadna służąca nie awansuje tak szybko z pomocy kuchennej na pokojówkę.

– Jako pokojówka. Cóż, to bardzo szybko. Przed świętami Bożego Narodzenia pomagałaś tam jeszcze w kuchni.

Marie nie miała ochoty dyskutować z nim na ten temat. W każdym razie wydawało się, że wie o niej dość dużo. Tylko skąd?

– Nie wiem, ile kosztują wypominki – powiedziała ostrożnie. – Oszczędziłam dwadzieścia marek. Czy to wystarczy?

Przytaknął. Chciał wiedzieć, na kiedy chciała je zamówić, czy życzy sobie jakąś specjalną dedykację? Nie? W takim razie przeczyta wypominki w najbliższą niedzielę, po sumie. Czy to jej odpowiada? Marie się zgodziła i policzyła na stole swoje marki i fenigi. Jakie to dziwne, że ksiądz, który wcześniej tak uroczyście wyglądał w ornacie, był teraz tak przeciętny i niepozorny, gdy siedział przed nią i liczył pieniądze. Zebrała się na odwagę.

– Ksiądz znał moją mamę, prawda?

Podniósł głowę znad zapisków i ponownie zdjął okulary. Jego spojrzenie było przenikliwe.

– Tak, znałem ją.

– Jak ona wyglądała?

Pytanie to wydało mu się jednocześnie naiwne i wzruszające. Bez wątplenia istniały przecież zdjęcia jej matki, tak samo jak rysunki, które zrobiła. Może jednak wszystko zostało stracone.

– Była podobna do ciebie, włosy miała ciemne jak twoje, a oczy ciemnobrązowe. Możliwe, że była trochę wyższa niż ty. Była artystką. Malowała i rzeźbiła. Jeśli wiesz, co to znaczy...

Marie przytaknęła. Oczywiście, że wie, czym są obrazy i rzeźby.

– Na przykład niedokończona rzeźba dziewczęcej głowy – powiedziała. – Tylko twarz została wyrzeźbiona, włosy i ramiona nie...

Milczał i patrzył przed siebie. Rozmyślał? Próbował sobie przypomnieć tę rzeźbę? Musiał ją przecież wtedy widzieć. Ale może nie zwracał uwagi na każdy szczegół w jej mieszkaniu?

– Skąd o tym wiesz? – zapytał wreszcie.

Znów ukrył swoje oczy za grubymi szklami, trudno było oszacować, czy pyta o to ze złością, czy jest jedynie zaskoczony. Serce Marie biło niespokojnie.

– Widziałam pokój, w którym zmarła moja matka. Znajduje się w dolnej części miasta.

Czekała, czy coś odpowie, ale wielebny milczał.

– Wiem też, że narobiła długów i że dyrektor Melzer kazał zabrać za to wszystkie meble z jej pokoju.

– Wiesz o tym? Kto ci to powiedział?

– Stara pani Deubel. Powiedziała też, że moja matka sama jest winna swojego nieszczęścia, bo tak lekkomyślnie pożyczała pieniądze.

Duchowny wreszcie się poruszył. Odetchnął ciężko i pokręcił głową.

– Nie, Marie, to nie jest prawda. Twoja matka była wyjątkową osobą, której nie można mierzyć miarą zwykłej gospodyni. Pieniądze nie znaczyły dla niej wiele.

Marie uśmiechnęła się z ulgą. Tak dobrze było usłyszeć, że wielebny Leutwien bierze w obronę jej matkę. Marie podobało się, że pieniądze nie były dla niej istotne.

– Te popiersia z marmuru i te wykonane w drewnie, to ona je zrobiła? Mam na myśli przedmioty, które wciąż znajdują się w jej dawnym pokoju.

Pomyślał przez chwilę i potwierdził. Pamiętał przede wszystkim marmurową rzeźbę, bo pracowała nad nią prawie do samego końca.

– Prawdopodobnie pożyczała pieniądze również od rodziny Deubelów i podarowała im za to rzeźbę.

To naświetliło Marie sytuację. Jaka szkoda, że pani Deubel nie odstąpiła jej tej głowy.

– Chciałabym mieć coś, co należało do mojej mamy. Coś, czego dotyczyły jej ręce, co by mnie z nią łączyło – powiedziała smutno. – Ale nie mam niczego.

Czekała chwilę, nie była pewna, czy ksiądz cokolwiek odpowie, lecz on milczał. Chciał zakończyć tę rozmowę? Nie miał nic więcej do powiedzenia czy nie chciał już nic powiedzieć? Czy on również bał się dyrektora Melzera? To niemożliwe, był przecież księdzem, człowiekiem oddanym Kościołowi. Jak ktoś mógł mu zaszkodzić? Faktycznie, zamknął notes i wstał. Podeszedł w milczeniu do ciemnej szafy z dębowego drewna i wyjął z niej płaszcz i kapelusz, które mocno pachniały kulkami na mole.

– Ile masz lat, Marie? – zapytał, gdy nakładał płaszcz.

– Osiemnaście, prawie dziewiętnaście.

Założył kapelusz i zdjął gruby pęk kluczy, wiszący na jednym z haków na ścianie.

– Chodź ze mną na plebanię. Powiem ci i pokażę, co wiem o twojej matce.

Zaskoczona poszła za nim po pokrytych lodem schodach, prowadzących aż

do samej bramy wyjściowej, poczekała posłusznie w śniegu, aż zamknie ją od zewnątrz. W niemal zupełnej ciemności szli po świeżym śniegu, który skrzypiał lekko pod butami. Plebania była położona naprzeciwko kościoła. Na korytarzu czuć było ostry zapach, jak z dopiero co rozpalonego drewna. Gospodyni wielebnego Leutwiena zamierzała mu podać śniadanie.

– Tutaj, wejść, proszę...

Otworzył drzwi i wszedł do środka, żeby zapalić lampę. O, to dopiero zdziwienie, w tych starych murach założono światło elektryczne. W środku były regały z książkami, tak jak w willi, tylko nie tak mocno zdobione rzeźbieniami, a za to pełne grubych woluminów. I biurko z kasztanowego drewna, ze stosem papierów i książek. Na podłodze też wszędzie leżały księgi, trzeba było ostrożnie przechodzić, żeby nie potraścić jakiejś góry papierów. Na kominku stał drewniany krzyż i mała figurka Maryi, piękna młoda kobieta trzymająca dziecko na rękach.

– Usiądź tutaj, Marie.

Podniósł z krzesła grubą teczkę wypełnioną dokumentami, żeby mogła na nim usiąść. Ściągnął zaśnieżony płaszcz i kapelusz. Ostrożnie wyniósł na korytarz, prawdopodobnie bał się, że spadające płatki śniegu zamoczą papiery. Po chwili wrócił z łopatką węgla i rozpałił ogień w kominku.

– Los twojej matki bardzo leży mi na sercu – powiedział przez ramię. – Była uczciwym człowiekiem, odważnym i wyjątkowym. Gdy pierwszy raz ją spotkałem, ciebie nie było jeszcze na świecie. Wtedy dawałem ślub twoim rodzicom.

Wzdrygnęła się gwałtownie. Jej rodzice wzięli ślub, dokładnie tak jak sobie wymarzyła. Czyli Pappert, ta złośliwa kobieta, przez cały czas kłamała. A więc nie pochodziła z nieprawego łoża, a jej ojciec nie był nieznanym.

– Czy... czy ksiądz znał również mojego ojca?

– Oczywiście.

Wielebny Leutwien przekroczył kilka stosów z papierami, a następnie pochylił się, żeby wziąć z regału grubą książkę w solidnej oprawie. Jak to się stało, że już za pierwszym razem wziął tę właściwą, pozostało dla Marie tajemnicą, bo na regale stało mnóstwo tomów i wszystkie wyglądały tak samo. Odsunął dokumenty leżące na biurku, żeby położyć tam książkę. Otworzył ją, przekartkował i przesuwając palcem po jednej ze stron.

– Chodź, Marie, zobacz. Tutaj, w księdze parafialnej zostało to zapisane.

Pełna szacunku dla jego rozeznania, stanęła obok niego i odszyfrowała

ledwie widoczne literki:

Tutaj, 24 stycznia 1895 roku o godzinie dziesiątej rano w kościele pojawili się wynalazca i konstruktor Jakob Burkard oraz malarka Luise Hofgartner, żeby przyjąć sakrament małżeństwa. Świadcami byli gospodyni Alwine Deubel oraz fabrykant Johann Melzer.

Czytała wpis dwa razy, poruszając ustami, ale nie wydając żadnego dźwięku. Powoli docierał do niej sens przeczytanych zdań. Jej rodzice wzięli ślub tutaj, w tym kościele, a dyrektor Melzer był ich świadkiem.

– Ale skoro moi rodzice wzięli ślub, to dlaczego nie nazywam się Burkard po moim ojcu?

Ksiądz westchnął i dalej przewracał strony. Jego palce przesuwają się po ściśle zapisanych kolumnach, aż zatrzymały się na niewielkiej notatce:

Tutaj, 29 stycznia 1895 roku wynalazca i konstruktor Jakob Burkard został pochowany. Miał tylko trzydzieści osiem lat. Boże, bądź łaskaw jego duszy.

Jej ojciec zmarł zaledwie kilka dni po ślubie. O Boże, jakie to straszne.

– Dałem im wtedy ślub, kierując się miłosierdziem – powiedział ksiądz. – Ale to było niezgodne z prawem, bo twoi rodzice nie mieli jeszcze ślubu cywilnego. Twoja matka zawsze wzbierała się przed burżuazyjnym małżeństwem. To były jej przekonania, które ja podzielałem, choć jej o tym nie mówiłem. Gdy jednak życie twojego ojca dobiegało końca, dała się namówić przynajmniej na ślub kościelny. Przed Bogiem byli małżeństwem, podkreślam to zawsze. Prawa boskie przewyższają prawa ludzkie.

Powiedział to z pełnym przekonaniem i dodał, że w swoich najlepszych czasach jej ojciec był genialnym konstruktorem, że może być z niego dumna, bo Johann Melzer wiele mu zawdzięcza.

– Mój ojciec pracował dla dyrektora Melzera?

Kapłana ogarnął gniew. A więc celowo nie powiedział dziewczynie, czyją jest córką. Umieścił ją w sierocińcu, naopowiadał jej kłamstw o rodzicach, a potem – cóż za wielkoduszność – wziął do siebie jako pomoc kuchenną.

– Twój ojciec, Marie, zbudował wszystkie maszyny, które są w fabryce, i ciągle je ulepszał. Bez Jakoba Burkarda fabryka włókiennicza Melzera by nie

istniała.

Ktoś musiał to wreszcie powiedzieć. Niech dyrektor Melzer wstrzyma swoje hojne datki na rzecz kościoła Świętego Maksymiliana, niech uruchomi swoje wpływy, żeby wysłać wielebnego Leutwiena na wcześniejszą emeryturę. Zdumiona mina tej dziewczyny, na której twarzy powoli ukazywało się szczęście, tak, to błogosławieństwo było dla niego wystarczającą nagrodą.

– Czy... czy to jest prawda? – wyjąkała. – Mój tata był tak wspaniałym konstruktorem... wszystkie maszyny... o mój Boże!

Wcześniej nawet nie przypuszczała, że mógł być konstruktorem. Teraz zrozumiała, to on wynalazł te wszystkie skomplikowane urządzenia i je wybudował. I też najpewniej to on potrafił je naprawić, gdy się psuły. Szuranie i skrzypienie przerwały jej zamyślenie. Wielebny Leutwien odstawił krzeselko, bo chciał otworzyć jedną z dwóch szuflad biurka. Panował w niej taki sam bałagan jak w pomieszczeniu, dokumenty, wszelkiego rodzaju dewocjalia, tekturowe pudełka i cynowe kasetki – wszystko to kłębiło się obok siebie. Szukał czegoś usilnie, mruzczał coś w złości pod nosem, otwierał raz po raz jakieś pudełka, aż znalazł to właściwe. Kartonowe pudełeczko, kwadratowe, nie większe od dłoni, oklejone wyblakłym papierem w różę. Było przewiązane różową wstążką, więc niecierpliwie ją rozwiązał i otworzył wieczko.

– To dała mi twoja matka, zanim zmarła. Powinnaś je dostać zaraz po osiągnięciu pełnoletności. Myślę jednak, że Luise Hofgartner by zrozumiała, dlaczego daję ci je teraz.

Pudełko było wyścielone niewielką warstwą białej waty. Pod nią leżał cienki srebrny łańcuszek z zawieszka. Misternie rzeźbiony kluczyk. Ręce Marie drżały, gdy podnosiła pudełeczko. To dłonie jej matki go dotykały, to one włożyły watę do środka i umieściły w niej wisiołek. Z pewnością sama go nosiła i była to jedyna spuścizna dla jej dziecka, które samo, bez matki i ojca, musiało iść przez życie. Matka była bardzo mądra, że powierzyła ten wisiołek księdzu, bo u niego był bezpieczny. Gdyby wisiołek znalazł się w rękach pani Deubel albo Pappert, Marie nigdy by go nawet nie zobaczyła.

– To nie jest cenna rzecz, Marie – powiedział ksiądz z uśmiechem. – Raczej pamiątka. Ale powinnaś bardzo ją szanować.

– Będę, ojczcie. Dziękuję z całego serca!

Ostrożnie zamknęła pudełeczko, związała wstążką i włożyła do kieszeni płaszcza. Gdy chciała przyklęknąć, żeby ucałować wielebnego w dłoń,

wzdrygnął się. On przecież był tylko człowiekiem, powinna podziękować Bogu i ufać jego łasce.

Przez na wpół zaciemniony korytarz szła gospodyni, bardzo chuda kobieta o ostrym nosie i małych ptasich oczach. Niosła dla księdza śniadanie na tacy: kawę, marmoladę, mały kawałek masła i suchy chleb z poprzedniego dnia.

– Czy pani też chciałaby tutaj zjeść śniadanie? – zapytała wojowniczo.

– Pięknie dziękuję, ale muszę już iść.

– W takim razie niech pani idzie z Bogiem!

Wiatr mocno wiał, a śnieg sypał teraz tak gwałtownie, że było prawie niemożliwe odróżnienie drogi od chodnika. Która mogła być godzina? Całkowita ciemność zmieniła się w szarówkę, ale było wciąż zbyt ciemno, by dało się rozpoznać godzinę na zegarze na wieży ratuszowej. Prawdopodobnie była już siódma, musiała więc mieć sporo szczęścia, by nikt nie zauważył, że wraca do willi. Prawie nie czuła zimna, biegła jak we śnie, gdy nastawał świt, i dopiero po pewnym czasie zauważyła, że wielu robotników szło drogą, która prowadziła do oświetlonej już fabryki. Ścisnęła mocno w prawej ręce małe pudełeczko w kieszeni płaszcza, dziedzictwo jej matki, dowód na to, że to wszystko nie było jedynie snem. Do głowy przychodziły jej kolejne pytania, jedno po drugim. Dyrektor Melzer znał jej rodziców, jej ojciec był bardzo ważnym człowiekiem w jego fabryce. Dlaczego więc później nakazał ograbić jej mieszkanie? Ojciec był wielkim, genialnym konstruktorem – ach, jakże była dumna! Dyrektor Melzer wiele mu zawdzięcza. Dlaczego jednak nigdy jej nie powiedział, kim był jej ojciec? Jak to wszystko ze sobą powiązać?

Przy bramie do części parkowej posiadłości rzeczywistość znów ją dopadła. Stała i obserwowała okolicę. Na dole w kuchni i w pomieszczeniach gospodarczych paliło się światło, również na drugim piętrze, w kilku pokojach było jasno. Znaczyło to, że dyrektor Melzer, łaskawa pani i panicz już wstali, żeby o wpół do ósmej być na śniadaniu w jadalni. Panienska Katharina i panienska Elisabeth jadły zazwyczaj śniadanie nieco później, obie nie lubiły tak wcześnie wstawać, a już zwłaszcza w ciemne poranki lutowe. Westchnęła przygnębiona. Teraz Robert wniesie śniadanie do jadalni, a służący usiądą przy stole w kuchni, żeby wypić szybką poranną kawę. Oczywiście zauważyli już, że jej nie ma. Tylko w jeden wiarygodny sposób mogła wytłumaczyć swoją nieobecność. Będzie musiała powiedzieć, że panienska Katharina zawołała ją do siebie w nocy i że została w jej pokoju prawie do samego rana. Zdarzało się już to zresztą kilkakrotnie, bo Katharina często miała problemy

z zasypianiem, a nie chciała brać tabletek, które zapisał jej lekarz. Zastanawiała się tylko, co powie panience, gdy wślizgnie się teraz do niej do pokoju w płaszczu i zimowych butach. Poszła na poranną mszę do kościoła Świętego Maksymiliana, bo chciała zamówić wypominki na dzień imienin swojej zmarłej matki. To było wiarygodne wyjaśnienie, nawet bardzo, a najlepsze, że była to prawda.

Przemykała za drzewami, stojącymi wzdłuż prawie całej drogi, żeby niezauważenie dojść do drzwi prowadzących do pralni. Jak dobrze, że wciąż pada śnieg, dzięki temu nikt nie zauważy śladów, które zostawiła. Jej plan był następujący: pralnia była ciemna i pusta, dojdzie więc po omacku do drzwi i przebiegnie szybko korytarzem, w którym paliła się jedynie lampa naftowa. A stąd przez magazyn mogła w mgnieniu oka znaleźć się na schodach dla służby. Oby tylko nie spotkała na nich Roberta, niosącego jedzenie! Wtedy niezauważona znajdzie się na drugim piętrze. Po cichu zdejmie płaszcz i buty i przez korytarz pobiegnie do pokoju panienki Kathariny. Jeśli spotka tam łaskawą panią albo dyrektora Melzera, pomyślą, że niesie na ręce sukienkę panienki. Może się jedynie wydać dziwne, że pokojówka chodzi w skarpetkach.

– Łaskawa panienko? To ja, Marie.

Musi jeszcze mocno spać, bo nie padła żadna odpowiedź.

– Panienko Katharino?

Gdzieś zaskrzypiały drzwi, jakby ktoś wychodził z łazienki. Marie zebrała się w sobie i otworzyła drzwi do pokoju, by szybko wślizgnąć się do środka. Wewnątrz, jak zawsze, na stoliku nocnym paliła się mała lampka, której blask Katharina tłumiała, zakładając na nią jedwabną chustę. Nie mogła spać przy jasnym świetle, bała się jednak ciemności, znalazła więc takie rozwiązanie. Marie popatrzyła na lampkę, a potem jej wzrok powędrował na łóżko. Było w nieładzie, jak zwykle. Było jednak puste. Czyżby Katharina poszła już do łazienki? Czy dzisiaj, wyjątkowo, wstała wcześniej? Marie szukała wzrokiem porannej sukni panienki i wtedy dopiero zauważyła kartkę papieru, leżącą na poduszce. Kartka papieru listowego, który Katharina wyjęła ze swojej teczki i pokryła kilkoma linijkami liter.

Moja słodka Marie,

najchętniej wzięłabym Cię ze sobą, ale Gérard uważa, że mogłabyś być dla

nas przeszkodą. Wybacz, moja kochana, moja jedyna powierniczko. Gdy tylko znajdziemy dla siebie jakieś miejsce na stałe, napiszę do Ciebie, być mogła do nas dojechać. Tylko miłość się liczy, wszystko inne to tylko błąhostki.

Twoja przyjaciółka Katharina

d="w_cieniu_tajemnic-36.html" xml:lang="pl-PL" aid="11C3M1">

31

Nie rozumiem...

Alicia w drżących rękach trzymała kartkę. To mógł być przecież jedynie głupi żart. Kitty często wymyślała jakieś niestosowne rzeczy, w końcu była dość niezwykłą dziewczyną.

– Obawiam się, że opuściła willę już bardzo wcześnie rano, łaskawa pani. Może nawet w nocy. Zabrała bieliznę, buty i ubrania. Również węgle i szkicowniki. Nie wiem, czy brakuje czegoś jeszcze.

Twarz pani Melzer sprawiała wrażenie sparaliżowanej, w tej chwili wyglądała zaskakująco staro.

– Ukryła się gdzieś, żeby się z nas później śmiać – powiedziała cicho, ale słychać było w jej głosie, że sama w to nie wierzy.

Marie czuła się strasznie źle. To była jej wina. Mogła to przewidzieć, gdyby tylko ruszyła głową. Była jednak zajęta własnymi sprawami. Wszystkie smutki, każda tragedia, która zdarzy się w tym domu, zostanie jej przypisana.

– Łaskawa pani, być może na dworcu można się dowiedzieć, dokąd pojechali...

– Na dworcu? Myślisz, że oni... Kim w ogóle jest ten Gérard? Chyba nie...

– Chodzi o monsieur Gérarda Duchamps z Lyonu – wyjaśniła Marie.

W tym momencie drzwi do jadalni otworzyły się i do środka wszedł dyrektor Melzer.

– Nie życzę sobie, by to nazwisko było kiedykolwiek wymawiane w moim domu – warknął z wściekłością. – Przynajmniej nie przed śniadaniem.

Żona w milczeniu podała mu ręcznie zapisaną kartkę.

– Johannie, boję się... boję się, że nasza Kitty popełniła okropną głupotę.

Przeczytał, opuścił kartkę, popatrzył na żonę oszalałym wzrokiem, przeczytał jeszcze raz i spojrzął na Marie.

– To jest skierowane do ciebie, prawda? – zapytał.

– Tak, panie dyrektorze Melzer.

– Moja kochana, moja jedyna powierniczko – zacytował z pogardą. – A teraz mów, co się za tym kryje?

Ton jego głosu był przerażająco ostry, w ten sam sposób zmuszał ludzi z fabryki do mówienia. Z fabryki, którą zawdzięczał jej ojcu. Ale teraz to z pewnością nie była chwila, żeby rozmawiać z nim na ten temat.

– Nie wiem. Nie miałam pojęcia, że panienka chce zrobić coś takiego.

– Nie kłam! – wrzasnął, tracąc panowanie nad sobą. – Przecież tu jest napisane „moja jedyna powierniczko”. Skoro jesteś powierniczką mojej córki, musiała ci wyjawić, dokąd ma zamiar uciec z tym przeklętym Francuzem!

Marie nie dała mu tej satysfakcji, nie popłakała się ze strachu. Była w swoim życiu wielokrotnie zastraszana i miała już odporną skórę. Przykre było jedynie to, że na pewno słyhać go na całym korytarzu.

– Niestety nie, panie dyrektorze. Ale możliwe, że jest to napisane w jednym z listów.

Wymienił spojrzenia z małżonką, a później wpatrywał się w Marie, jakby chciał ją pożreć. Wyglądał przerażająco, jego twarz była czerwona, oczy pod krzaczastymi, ciemnymi brwiami szeroko otwarte, a usta sine.

– Listy? Jakie listy?

Musiała o tym powiedzieć, bo za bardzo jej to leżało na sercu. Poza tym i tak by je znaleźli, panienka na pewno nie wzięła ze sobą całej korespondencji.

– Panienka i pan Duchamps pisali do siebie listy. Przesyłali je nie poprzez pocztę, tylko przez posłańca.

Spodziewała się, że znów oszaleje, może nawet zacznie ją bić. On jednak był zaskakująco opanowany.

– Potajemna wymiana listów między naszą córką i tym... tym francuskim gadułą. Tym samym, który wczoraj bezczelnie złożył nam przesadnie wyśrubowaną ofertę. Zadziwiające! Dlaczego nic o tym nie wiedziałaś, Alicio?

– Ja? – broniła się jego żona. – Nie usłyszałaś właśnie, że potajemnie wymieniali listy za pośrednictwem posłańca?

Był zbyt wściekły, by słyszeć cokolwiek. Wzburzony chodził w tę i z powrotem, wyciągał zegarek i znów wkładał do kieszeni, aż wreszcie stanął w miejscu.

– Robert! Dzwoń po Roberta, Alicio!

Drzwi się otworzyły, ale zamiast Roberta wszedł panicz, wciąż w bonzurce, ale już odświeżony i rześki. Gdy zobaczył Marie, na jego twarzy pojawił się

uśmiech. Po chwili zastygł w zdumieniu.

– Co tu się dzieje?

Zamiast odpowiedzieć, ojciec wręczył mu kartkę, którą wcześniej zdążył już zmiąć. Paul z niepokojem spojrział na Marie, a później na wiadomość.

– Wielki Boże! – wyszeptał.

– Chcesz mi powiedzieć, że również nie miałeś pojęcia o tej... tej relacji? – szalał dalej Johann Melzer.

Paul został uratowany od udzielenia odpowiedzi, bo w tym momencie do pokoju wszedł przywołany wcześniej Robert. Jego twarz była śmiertelnie blada, oczywiście było, że dowiedział się już, co się wydarzyło.

– Czy odwiózł pan dzisiaj wcześniej rano moją córkę Katharinę na dworzec? Z kuframi i torbami podróznymi?

Marie głęboko współczuła Robertowi, który przecież sam mocno cierpiał z powodu tego, co się stało. Tak, krótko po północy odwiózł samochodem panienkę Katharinę na dworzec. Sądził, że uzgodniła tę podróż z rodzicami, miała się spotkać na miejscu z przyjaciółką, a potem razem chciały jechać do Bad Tölz, żeby wypocząć.

– O północy! Co pan sobie myślał? – ryknął z wściekłością Johann Melzer. – Bez konsultacji z rodziną? Robisz ze mnie durnia, Robercie?

– Ja naprawdę uwierzyłem, panie dyrektorze – zapewniał Robert ze zrozpaczoną miną. – Dopiero na dworcu zacząłem mieć wątpliwości. Ponieważ panienka pod żadnym pozorem nie chciała, żebym jej towarzyszył w drodze na peron. Wzięła tragarza, pomachała mi i zniknęła w mroku hali dworcowej. Ach, powinienem był ją śledzić. Odwieźć z powrotem. Ale byłem zbyt tchórzliwy, przyznaję to. Bałem się, że się zbłążnię i zostanę wyśmiany. Ja chciałem...

– Niech pan milczy! – przerwał mu Joahann Melzer. – Będzie musiał pan ponieść konsekwencje swojego czynu. I ty także, Marie, jeszcze dziś...

– Czeka, ojczu! – wtrącił się zdenerwowany Paul. – Powinniśmy teraz działać rozważnie i nie podejmować żadnych pochopnych decyzji. Im mniej informacji o tym niefortunnym zdarzeniu wypłynie poza tę willę, tym lepiej.

– Paul ma rację – poparła go Alicia, która zdążyła już wziąć się w garść. – Jeśli te sprawy staną się tematem plotek w mieście, odbije się to na reputacji Kitty.

Johann Melzer parsknął przez nos. Czy Alicia naprawdę tak sądzi? Uważa, że można jeszcze uniknąć skandalu?

– Pojadę teraz na dworzec i postaram się dowiedzieć, dokąd się udali – oznajmił Paul. – Potem poinformuję policję dworcową, żeby zatrzymali taką parę, jeśli oczywiście znajdują się jeszcze na terytorium niemieckim.

– Policja? – krzyknęła przerażona Alicia. – W żadnym razie, Paul. Chcesz, żeby twoja siostra została przyprawiona do domu w kajdankach jak jakaś zbrodniarka?

– Jak dla mnie, to powinna zostać tutaj przywieziona w kaftanie bezpieczeństwa! – mruknął Johann Melzer i znów spojrzął na zegarek. – Podstawowa kwestia jest taka, że uciekła z Francuzem. Pójdę teraz do fabryki i zamówię rozmowę międzykrajową, do Lyonu. Zrobię staremu Duchampsowi prawdziwe piekło.

Wyglądało na to, że czuł wyraźną ulgę, iż wreszcie idzie do fabryki, gdzie już od dawna na niego czekano. Paul wypił trochę kawy, połknął kilka kęsów maślanego rogalika i zbiegł na dół, gdzie Else czekała już na niego z płaszczem i kapeluszem.

– Robercie, zobowiązuje cię do tego, byś absolutnie nikomu nie mówił o tym, co się wydarzyło – nakazała Alicia. – A ty, Marie, pokażesz mi listy w pokoju mojej córki.

– Tak, łaskawa pani.

W drzwiach prawie zderzyła się z Elisabeth, która w kiepskim nastroju zeszła na śniadanie, bo zasnęła.

– Coś się stało? Tata mówił tak głośno, że i na trzecim piętrze na pewno wszystko było słychać...

– Twoja siostra uciekła z monsieur Duchampsem!

Elisabeth musiała usiąść, takiego doznała szoku. Marie była już na korytarzu, ale dobrze słyszała jej wściekły krzyk.

– Ta głupia gęś zrujnowała moją reputację!

Marie biegła schodami na górę i usłyszała za sobą sapanie i dyszenie Alicii, więc zwolniła, bo wiedziała, że łaskawa pani ma sztywną kostkę.

– No, biegnij! Nie musisz na mnie czekać! – rozkazała jej Alicia.

Marie posłusznie poszła szybko na górę. Otworzyła drzwi do pokoju i rozsunała zasłony. Poranne słońce było jakby rozproszone, nie oświetlało zbyt mocno pomieszczenia, trzeba było więc włączyć światło elektryczne.

– Gdzie? W biurku?

– Tak, łaskawa pani. W teczce z listami. Nie w zielonej, która leży zaraz na wierzchu w szufladzie. Dalej, tam powinna być jasnobrązowa teczka...

Przez chwilę Marie miała nadzieję, że Kitty wzięła listy ze sobą albo przynajmniej je zniszczyła. Alicia jednak wyciągnęła odpowiednią teczkę już za pierwszym razem. Wypełnioną listami.

– Niewiarygodne! – jęknęła Alicia. – To przecież musiało trwać miesiące. A ty nie powiedziałaś mi o tym ani słowa.

– To było tylko kilka tygodni...

Spojrzała z wściekłością na Marie, a ona w zakłopotaniu spuściła wzrok. Jak mogła uwierzyć, że kilka słów napisane na małej karteczce może być tak niebezpieczne. Kitty i Francuz już od jakiegoś czasu musieli rozmawiać ze sobą na temat ucieczki. Dlaczego choć raz potajemnie nie zajrzała do tej teczki z listami? Miała przecież tyle okazji...

– Faktycznie spakowała walizkę... Brakuje też futra. Butów zimowych w kolorze beżowym, szarego kostiumu z wełny. O nieba, ona nie wzięła nawet nocnej koszuli...

Alicia grzebała zawzięcia w szafie, wyciągała szuflady, wyrzucała z nich bieliznę, a przy tym zrzuciła na podłogę szklane naczynie, które stało na komodzie. To był flakonik francuskich perfum, które podarowała córce na urodziny.

– Zbierz to i wyrzuć do śmieci. I ani słowa innym pracownikom, słyszysz?

Marie przytaknęła posłusznie. Na co właściwie liczyła łaskawa pani? Tutaj w willi ściany mają uszy.

– A co to jest? To są przecież rzeczy, które... ach, tak... oczywiście. Płaszcz i buty, które dostałaś na Boże Narodzenie. Co to ma znaczyć, Marie?

Każde nieszczęście ściąga za sobą następną katastrofę, pomyślała Marie. Była tak przerażona, że zapomniała zabrać swoje rzeczy z pokoju panienki.

– Ja... byłam na mszy, łaskawa pani. A gdy wróciłam, było już tak późno, że weszłam w płaszczu i butach do pokoju łaskawej panienki, żeby ją obudzić.

Oczywiście Alicia nie uwierzyła w ani jedno jej słowo. To był przecież najlepszy dowód na to, że Marie była w spisku z jej córką. Z pewnością chciała jej towarzyszyć i przygotowała już nawet swoje rzeczy na tę podróż, ale Kitty zmieniła zdanie. Tak jak napisała w liście.

– Nie, nie było tak! Przysięgam pani, że nie miałam pojęcia o tym planie ucieczki!

– Zamilcz! Co masz w kieszeni płaszcza?

Marie zamarła. Pudełko z prezentem od jej matki.

– To należy do mnie.

Alicja otworzyła pudełeczko, wyjęła watę i zobaczyła łańcuszek z zawieszką. Nie, ta bezwartościowa rzecz na pewno nie należała do jej córki. Zamknęła wieczko i rzuciła pudełko Marie.

– Twoje kłamstwa ci nie pomogą – powiedziała z głęboką pogardą. – To, co teraz się dzieje z moim biednym dzieckiem, to jest twoja wina. Nigdy ci tego nie zapomnę, Marie.

Mimo że czuła wyrzuty sumienia, uważała, że to było niesprawiedliwe. Jak ona sama mogła ponosić winę za to wszystko? Zastanawiała się nawet, czy nie powołać się na wielebnego Leutwiena jako świadka, że faktycznie była na porannej mszy. Porzuciła jednak tę myśl. Kto wie, czy nie zabrano by jej wówczas wisiora od matki? Miała go przecież dostać dopiero za dwa lata, gdy skończy dwadzieścia jeden lat.

– Zejdź mi z oczu! I pamiętaj, kara cię nie minie, jeśli powiesz komukolwiek choć słowo o tym zdarzeniu!

Marie zrobiła obowiązkowy dyg, wzięła płaszcz i buty. Gdy wychodziła, prawie staranowała Auguste, bo pilna pracownica była oczywiście przyklejona do dziurki od klucza. Miała, jak wiadomo, przygotowane odpowiednie usprawiedliwienie. Szła ze świeżą pościelą dla łaskawej pani i właśnie chciała zapukać do drzwi. Była tam też Else, która przysłała, aby doprowadzić do porządku łazienkę łaskawych państwa. I musiała otworzyć przy tym szeroko drzwi do ich pokoju, tak żeby przypadkiem nic z rozmowy jej nie umknęło. Marie ruszyła wąskimi schodami dla służby na trzecie piętro, żeby zanieść płaszcz i buty do swojego pokoju. Wyczerpana usiadła na niezasałanym łóżku i oparła głowę na rękach. Myśli kłębiły się w jej głowie jak rój wypuszczonych z klatek ptaków. Biedna Kitty – na pewno nie będzie szczęśliwa z mężczyzną, który namówił ją na popełnienie takiej głupoty. Gdyby tylko mogła jej pomóc! Wyglądało jednak na to, że na razie nie jest w stanie pomóc samej sobie. Odprawia ją – to było więcej niż pewne. Będzie musiała opuścić posiadłość, w środku zimy, bez perspektywy na podjęcie innej pracy, bez pieniędzy, bo wszystkie oszczędności wydała na wypominki. Ale może tak było lepiej, może w ten sposób jej matka z nieba troszczyła się o swoje dziecko. Nie zobaczy więcej Paula. Żadnych więcej tęsknych spojrzeń, żadnych namiętnych snów w nocy, żadnego łomotania serca, gdy przechodził obok niej na korytarzu. Uwoni się od tego. Po tej głupiej, niefortunnej miłości i tak pozostałby tylko głęboki smutek. Odszukała pudełeczko z wisiorcem i wzięła go w drżące dłonie. Zanim ktoś wpadnie na

okrutny pomysł, by jej go zabrać, powinna go sobie zawiesić na szyi. Pod sukienką nie będzie go widać. Zamknęła pudełeczko i położyła je na białej komodzie. Potem wysunęła szufladę i wyciągnęła z niej tobołek. Prawie pięć miesięcy temu zmieściła w nim cały swój dobytek, tym razem też dobrze jej posłuży. Nie będzie czekać, aż wypędzą ją stąd w niesławie, pomyślała. O nie, cokolwiek się będzie działo. Miała prawo zadawać pytania i to właśnie postanowiła zrobić, zanim stąd odejdzie. Muszą wyjaśnić jej, dlaczego milczą na temat Jakoba Burkarda, jej ojca, bez którego fabryka Melzerów by nie istniała! Wyciągnęła z komody bieliznę, skarpety, wyprasowane sukienki, do tego dwie opaski do włosów i szczoteczkę do zębów oraz buty. Włożyła to wszystko do tobołka, bo dobrze wiedziała, że gdy później będzie opuszczać willę, będzie musiała rozwiązać sznurki i pokazać, co się znajduje w środku. Ale jeszcze do tego nie doszło.

W jej żołądku burczało nieznośnie, postanowiła więc zejść do kuchni i zjeść przynajmniej jeszcze jeden ciepły posiłek, zanim odejdzie. Brunnenmayer będzie jej mocno współczuć, a ogrodnik Bliefert i jego wnuk Gustav też byli dobrymi ludźmi. Else była jak chorągiewka na wietrze, na pewno nie będzie się smucić z powodu odejścia Marie, a intrygantka Auguste tym bardziej nie. Może nawet bardziej będzie przykro Schmalzler, która zawsze starała się być sprawiedliwa i na początku brała nawet kilka razy Marie w obronę. A to, że nie będzie już więcej słuchać w nocy chrapania Marii Jordan, zdecydowanie nie było wielką stratą. Powoli schodziła schodami i nasłuchiwała dochodzących do jej uszu dźwięków: bicia stojącego zegara w pokoju dla panów, trzaskania ognia palącego się w kominku i odległego dźwięku skrzypienia parkietu, po którym ktoś chodził. Jakie to dziwne. Po raz pierwszy poczuła w sercu ukłucie smutku. Ten dom niemal wrósł w nią. Każdy pokój, każdy mebel, każdy przedmiot wydawał się należeć do niej, a ludzi, którzy tutaj mieszkali, niezależnie od okoliczności, dobrze znała.

Może Paulowi uda się jeszcze złapać ich na dworcu, pomyślała smutno. Może Kitty niedługo wróci do domu i wszystko okaże się niefortunną pomyłką. Wiedziała jednak dobrze, że to życzenie się nie spełni. W kuchni na dole pachniało wspaniale kawą i świeżym pieczywem. Na piecu gotowała się wołowina w wywarze warzywnym, która miała być podana wieczorem. Jak zwykle oczekiwano gości. Auguste siedziała przy stole z czerwoną, zapłakaną twarzą. Obok niej stała Else, starając się ją pocieszyć.

– Nic sobie nie robi, Guste. Nie jest przecież głupi. Pobiega trochę po

okolicy, wypuści z siebie trochę pary i wróci.

– Państwo... go... go zwolnią! – wyszlochała. – Że też... że też musiał odwieźć tę wiedźmę!

– Nie mów w ten sposób o Melzerach! – przerwała jej Brunnenmayer. – Tego nie zniosę. Panienska i tak jest wystarczająco nieszczęśliwa.

Auguste głośno pociągnęła nosem i zachichotała, co brzmiało raczej jak szloch.

– Ona? Jej przecież jest bardzo dobrze! Jest gorąco zakochana w tym biednym Francuzie. Nie zauważyliście, że nie wzięła ze sobą nawet nocnej koszuli? Cóż, pewnie nie będzie jej potrzebować...

– Musisz coś o tym wiedzieć! – zauważyła chłodno kucharka i zabrała się do robienia sałatki z białej kapusty.

Marie, nieproszona, podeszła do pieca, żeby wziąć z niego jasnoniebieski emaliowany czajniczek. Nalała sobie kawy i usiadła przy stole. Sięgnęła po rogalik, była bardzo głodna.

– Co się dzieje z Robertem? – zapytała.

Auguste rzuciła jej nieprzyjazne spojrzenie, a Else wzięła duży łyk kawy z filiżanki. Żadna jej nie odpowiedziała. Służąca Else była w rozterce i wydawało się, że to z powodu wyjątkowej pozycji, jaką zajmowała Marie w posiadłości. Mówiło się, że przeszła na drugą stronę, czyli dołączyła do Auguste i Marii Jordan, które były wrogami dziewczyny.

– Poszedł sobie – powiedziała Brunnenmayer, która nie troszczyła się o podziały wśród pracowników. – Łaskawy pan jest wściekły, bo Robert miał go zawieźć do fabryki. Przepadł jednak nie wiadomo gdzie i łaskawy pan sam musiał usiąść za kierownicą.

Marie milczała zakłopotana. Może i Auguste miała powody, żeby martwić się o Roberta. Był głęboko zrozpaczony, że nieświadomie pomógł w ucieczce łaskawej paniencie. Marie domyślała się, z jaką łatwością Kitty go nabrała. Biedak był tak zakochany w paniencie, że zrobiłby wszystko, co ta mu każe, nawet się nad tym nie zastanawiając. To nie było uczciwe ze strony Kathariny. W gruncie rzeczy na swój sposób była tak samo egoistyczna jak jej siostra Elisabeth. Obie nie zwracają sobie głowy tym, czy nie zaszkodzą swoim zachowaniem innym ludziom.

– Jego rzeczy wciąż są w pokoju – powiedziała Else z zamiarem pocieszenia Auguste.

– To pewnie poszedł się zabić! – odpowiedziała Auguste i znów zaczęła

łkać.

Pozostali też ocierali oczy z łez albo raczej z powodu cebuli, którą właśnie kroila Brunnenmayer.

Maria Jordan właśnie wpadła do kuchni, żeby podzielić się mnóstwem zaskakujących wieści.

– Daj mi szybko kawę, Else. Mój Boże, łaskawa pani jest chora z rozpaczy. Jeśli jej nie przyniosę kawy, przysięgam wam, załamie się całkiem. Moja droga Jordan, powiedziała. Moja droga Jordan, jestem taka szczęśliwa, że przynajmniej ty jesteś wobec mnie lojalna i nie zdradzasz mnie, jak czynią inni ludzie...

Rzuciła przy tym Marie długie spojrzenie, które wyrażało pogardę i triumf. Jej rywalka była zniszczona. Całkowicie zdeptana. I nawet pies by już od niej nie wziął kawałka chleba.

– Chciała jechać na łeb na szyję do Lyonu, żeby porozmawiać z ojcem tego Francuza. Ale razem z panienką Elisabeth udało nam się wybić jej to z głowy. Łaskawa pani, mówię do niej, droga łaskawa pani, to jest zadanie dla mężczyzny, a nie dla słabej kobiety. A poza tym skąd pani może wiedzieć, czy stary Duchamps wie o machinacjach swojego syna? Bardzo możliwe, że jest tak samo zaskoczony całą sytuacją jak my.

– Ale jakie to jest romantyczne! Dwoje młodych zakochanych ludzi podróżuje razem przez Europę, odwiedzają Barcelonę, Wenecję, Londyn czy Edynburg. Uciekają przed rodzicami, którzy są przeciwni ich miłości i chcą ich rozdzielić...

– Przeczytałaś wiele kieszonkowych romansów, co? – warknęła Auguste.

– Ja uważam, że to nie jest romantyczne, tylko lekkomyślne – oceniła Jordan, unosząc spiczasty podbródek.

– Romantyzm kończy się najpóźniej wtedy, gdy zaczyna brakować pieniędzy – dorzuciła rzeczowo kucharka.

Marie pomyślała, że się z nią zgadza. Także wtedy, gdy Else buńczucznie dodała, że przecież młody mężczyzna może pracować, żeby zarobić pieniądze na utrzymanie kobiety. Jeśli więc Francuz naprawdę kocha panienkę, tak właśnie robi. W odpowiedzi usłyszała szydery chichot Jordan. Ona uważała, że znacznie bardziej prawdopodobne jest, iż kiedy ten młody mężczyzna dostanie od panienki tyle, ile będzie chciał, po prostu ją zostawi.

– Tacy właśnie są Francuzi – podsumowała, gryząc maślany rogalik. – Każdy przecież wie, że nie warto ufać Francuzom. Biedna panienka wróci zraniona

i nieszczęśliwa, ale straci już wielbicieli przez swoją zniszczoną reputację. Żaden nie będzie jej teraz chciał. Możliwe, że nawet zajdzie w ciążę...

– Panno Jordan!

Jordan zamilkła, bo do kuchni weszła właśnie gospodyni. Eleonore Schmalzler podeszła do stołu, nie zważając na to, że Else w ułamku sekundy przyniosła dla niej kubek z kawą.

– Jak usłyszałam, plotki kwitną tutaj imponująco – skomentowała pogardliwie. – Przede wszystkim od pani, panno Jordan, oczekiwałam więcej dyskrecji. Posada pokojówki oznacza bliską relację z państwem, dowiadujemy się o intymnych sprawach i powinniśmy je zachować wyłącznie dla siebie. Tak ma pani myśleć.

Na białych policzkach Marii Jordan i na jej szyi pojawiły się czerwone plamy. Gdyby miała jakiegokolwiek wątpliwości, powinna pamiętać, że Schmalzler wciąż jest w lepszych stosunkach z łaskawą panią, w końcu znają się od dziesięcioleci.

– Oczywiście, panno Schmalzler. Wyłącznie dla siebie. Nawet jeśli miałyby nas to udławić...

– Czy Robert wrócił?

Pytanie gospodyni zostało pominięte milczeniem. Ogrodnik Bliefert był z Gustavem w parku. Jeden z cisów złamał się pod ciężarem śniegu i musiał zostać usunięty, a drzewo przetransportowane w odpowiednie miejsce.

– W takim razie chciałabym z obecnymi tutaj wyjaśnić pewne istotne kwestie, które omówiliśmy razem z łaskawą panią. Po pierwsze, ani słowo o wyjeździe panienki i wszystkim, co się wiąże z tą sprawą, nie może wyjść poza tę posiadłość. Po drugie, dzisiaj wieczorem na kolację są zaproszeni państwo Bräuerowie, pan doktor Schleicher z małżonką i państwo Manzingerowie z dwiema córkami. Wszyscy powinni być doskonale przygotowani, jak zawsze. Znów, ani słowa o tym, co wydarzyło się w nocy. Panienka Katharina musiała nas opuścić z powodu okropnej migreny, wszyscy to rozumiemy.

Gorliwe przytaknięcia obecnych, z Marie włącznie, która postanowiła opuścić willę, zaświadczały o gotowości odegrania tego teatryku.

– A co będzie, jeśli Robert nie wróci na czas? – zapytała Jordan.

– Zatrudniłam już innego służącego – odpowiedziała Schmalzler. – Marie, idź teraz posprzątać w szafie z ubraniami łaskawej panienki. Około piątej panienka Elisabeth oczekuje cię u siebie, chce, żebyś pomogła jej się

przebrać.

Jordan zrobiła rozczarowaną minę. Sądziła, że teraz również panienska Elisabeth będzie korzystała wyłącznie z jej usług. Młoda dama najwyraźniej jednak ceniła sobie bardziej „nowoczesny szyk” niż lojalność i uczciwość służby. Przykre.

Marie była rozrywana i z jednej strony czuła pewnego rodzaju dumę, że opuści willę, mając właśnie taką pozycję. Najpierw chciała jednak przeprowadzić poważną rozmowę z dyrektorem Melzerem. Z drugiej strony nie chciała też zostawić państwa w takiej sytuacji. Fakt, że panienska Elisabeth prosi ją do siebie, oznaczał, że nie wszyscy obarczali ją winą za ucieczkę Kathariny. Zamyślona szła schodami na drugie piętro, żeby posprzątać garderobę Kathariny. Już kładła rękę na klamce, gdy nagle usłyszała za sobą znajomy głos i podskoczyła przestraszona.

– Marie! Poczekaj, Marie!

Młody pan biegł w rozpiętym płaszczu przez korytarz, w ręce trzymał kapelusz.

– Marie! – powiedział i stanął przy niej. – Cieszę się, że cię widzę. Bałem się już, że mogłaś opuścić willę.

Milczała, a on znów poczuł ten sam strach.

– Nie chciałaś tego zrobić, prawda?

– Co miałoby mnie przed tym powstrzymać, łaskawy panie?

Prychnął ze złością. Powinna wreszcie przestać nazywać go „łaskawym panem”. Po chwili uspokoił się trochę, przygładził rozczochrane włosy, widać było, że to, co się stało, zupełnie wyprowadziło go z równowagi.

– Czy udało się panu czegoś dowiedzieć na dworcu?

– Zależy, jak na to spojrzeć – powiedział niezadowolony. – Dowiedziałem się, że wyjechali do Paryża. Nie są już na terytorium niemieckim, nie można więc jej zatrzymać. Jeśli chce się natomiast zatrzymać dwoje podróżujących obywateli niemieckich na francuskim dworcu, trzeba wypełnić najpierw setki formularzy.

– I co? Co teraz pan robi?

Westchnął głęboko i spojrzął na mokry kapelusz, który trzymał w ręce. Jeszcze nie wiedział, musiał najpierw omówić to z rodziną.

– Czy trudno jest kogoś odnaleźć w Paryżu?

Uśmiechnął się, bo wiedział, że zapytała go o to zupełnie poważnie.

– Jak igłę w stogu siana. Na pewno zatrzymali się w jakimś małym hotelu,

ale kto powiedział, że zameldowali się pod prawdziwym nazwiskiem?

– A można kogoś zatrudnić, żeby ich odnalazł? – pytała. – Najlepiej jakiegoś Francuza, który dobrze zna okolicę. Oczywiście trzeba by mu było zapłacić.

– Masz na myśli detektywa?

Jeszcze nigdy nie słyszała tego słowa, co wydało mu się niezwykle urocze. Jakże była świeża. I mądra. Pomysł nie był głupi, tylko mama będzie oponować, by to właśnie Francuz śledził jej córkę.

– Chciałabym móc zrobić cokolwiek, żeby panienka wróciła – powiedziała smutno Marie. – To jest w dużej części moja wina, to, co się wydarzyło. Mogłam to przewidzieć.

– Ależ nie! – krzyknął zdumiony. – Nikt oprócz Kitty nie jest temu winien. W końcu ona nie jest już dzieckiem i nie można jej więzić. I proszę bardzo, jeśli chcesz szukać winnych, ten prawdziwy stoi przed tobą. Ja, durny, również dołożyłem swoje trzy grosze do tej historii.

– Pan?

Opowiedział jej o spotkaniu z Duchampsem. Ten młody człowiek nie jest taki zły, bez wątpienia miał szczerą intencję.

– To ja, naiwny, dość wyraźnie go zniechęcałem, żeby zatrzymać w domu Kitty. Być może był to decydujący impuls, żeby porwać się na tę szaloną ucieczkę. Mój Boże, ci dwoje są jak niegrzeczne, robiące na złość dzieci. Gdyby to ode mnie zależało, chętnie bym ją przełożył przez kolano i sprawił jej porządne lanie!

Początkowo się zirytował, bo widział, że Marie rozśmieszyły jego słowa. Po chwili jednak udzieliła mu się jej wesołość, rozbawił go jego słuszny gniew.

– Ach – westchnął. – To wspaniałe, jak potrafisz mnie w tej sytuacji uspokoić, a nawet doprowadzić do śmiechu, Marie. Wiesz, że w żadnym razie nie możesz odejść, prawda?

Powinna była to przemilczeć, nie dać się wciągnąć w tę grę. Nie była jednak na to gotowa, zwłaszcza gdy patrzył na nią tak tęsknym wzrokiem.

– Dlaczego nie powinnam odejść?

Wydawało się jej teraz, że wręcz pożera ją wzrokiem, i zaczęła drzeć na całym ciele. Jeden nieznaczny ruch, jeden maleńki krok i spadnie w przepaść. W słodką otchłań jego ramion.

– Naprawdę tego nie wiesz, Marie?

– Skąd mogłabym wiedzieć?

Stało się. Szybciej niż mogłaby się tego spodziewać, przytulił ją do piersi.

Czuła szalone bicie jego serca i wiedziała, że mogłaby tańczyć do jego rytmu. Czy to było właśnie to, czego się bała? Ten czuły i jednocześnie gwałtowny uścisk? Te gorące usta, które szukały jej warg, jego oddech, narastające pragnienie. Wszystko to było jednocześnie straszne i wspaniałe. Czuła się tak, jakby leciała wraz z nim prosto ku płonącemu porannemu niebu.

– Musisz tu zostać – szepnął jej do ucha. – Musisz, bo ja cię Kocham i nie przeżyłbym, jeśli byś odeszła.

Nasycała się brzmieniem tych słów, objęła go rękami i wsłuchiwała się w szybkie bicie jego serca.

– A poza tym – ciągnął – czy Kitty nie napisała, że wyjawia ci miejsce swojego pobytu? Jesteś naszą jedyną nadzieją, Marie.

d="w_cieniu_tajemnic-37.html" xml:lang="pl-PL" aid="12AK81">

CZEŚĆ IV
WIOSNA 1914

Panie dyrektorze?

Sekretarka lekko uchyliła drzwi, tak że gdy siedział za biurkiem, mógł jedynie dostrzec jej spiczasty nos i wąskie usta.

– O co chodzi?

Hoffmann mówiła powoli, niepewnym głosem, jakby chciała dać mu wyraźnie do zrozumienia, że sama nie ma nic wspólnego z tą bezczelnością. Ona jest tylko zmuszona do przekazania wiadomości.

– Pański syn pyta, czy będzie pan na obiedzie w willi.

Melzer prychnął zdenerwowany i skierował złowrogi wzrok na tę niewielką szczelinę między drzwiami i futryną. Odkąd Paul zaczął pracować w fabryce, każdego popołudnia zadawał mu właśnie to pytanie. Jego syn miał duży apetyt i nie miewał mdłości, nawet gdy zjadał duży posiłek. O szczęśliwa młodości! On koło południa nie mógł nic przełknąć, bo jego myśli nieustannie krążyły wokół spraw związanych z fabryką. Ale w porządku – nie mógł narzekać na Paula. Wręcz przeciwnie. Syn był pełen zapału, miał bystry umysł, wszystkim się interesował, zadawał pytania, angażował się. Brakowało mu jedynie powagi. Wciąż żartował z sekretarkami, na górze w dziale rachunków również znano już jego poczucie humoru, a gdy prowadzili negocjacje z partnerami biznesowymi, proponował im wino albo bawarską wódkę z goryczki, co wyraźnie rozluźniało atmosferę. Pomijając tego typu gafy, które można było przypisać młodemu wiekowi, Paul był kompetentnym i godnym zaufania współpracownikiem, który niebawem będzie dla niego prawdziwym wsparciem.

– Niech pani mu powie, że już idę. Niech uruchamia samochód.

Hoffmann przytaknęła z entuzjazmem i śpieszyła się, żeby przekazać wiadomość. Oczywiście Paul szturmem zdobył serca obu sekretarek, obie bez wahania poszłyby za nim w ogień. Melzer z ciężkim westchnieniem odsunął na bok obliczenia, nie zgadzały się, bo jedna z zepsutych maszyn nie poddawała

się żadnym próbom naprawy. Zanim poszedł do Paula, wyrzął przez okno – znów padało. Śnieg się topił i ta niesprzyjająca wczesnowiosenna pogoda sprawiała, że ulice i wszystko dookoła zamieniało się w breję. Prawdziwa katastrofa dla powozów i samochodów, najpewniejszy transport gwarantowała teraz kolej. Był dopiero początek marca, pogoda mogła jeszcze długo tak kapryścić.

Paul bardzo powoli podjechał samochodem przed wejście do budynków administracyjnych, żeby nie pochłapać płaszcza i kapelusza swojego ojca.

– Cieszę się, ojcze, że ze mną jedziesz! – zawołał przez okno samochodu. – Będzie pstrąg w migdałach i kompot z gruszek!

Melzer usiadł na miejscu obok kierowcy i pozwolił, żeby to Paul przejechał ten krótki odcinek między fabryką i willą. Młodemu sprawiało to przyjemność, a poza tym było to też na swój sposób konieczne, bo następca Roberta, Humbert, potrafił dobrze podawać posiłki, ale na jeździe samochodem wcale się nie znał. Szkoda mu było Roberta. Z rozpaczy, że nieświadomie dopomógł Kitty w ucieczce, wyjechał i od tamtej pory nikt o nim nie słyszał. Było to dobre cztery tygodnie temu. Od córki też nie otrzymał żadnego listu, żadnej depechy, niczego. Przeprowadził burzliwą rozmowę telefoniczną ze starym Duchampsem, która ciągnęła się w nieskończoność, bo on ledwie mówił po francusku, a Duchamps też władał językiem niemieckim o tyle o ile. W dodatku ożenił się z okropną Niemką, starą jędzą. W tej rozmowie dowiedział się natomiast, że stary Duchamps pojęcia nie miał o machinacjach syna i oczywiście tego, co się stało, również nie pochwalał. Zapewnił go, że będą szukać tych dwojga i przemówią im do rozumu. Jego syn jako człowiek honoru poślubi dziewczynę. I tego mu tylko jeszcze brakowało, przecież Alicia nigdy nie zgodzi się na to, żeby jej zięciem został Francuz. A i on sam po nieudanych negocjacjach w styczniu był całkowicie przekonany, że Duchampsowie, fabrykanci z Lyonu, byli bandą oszustów i złodziei.

– Nie rób takiej ponurej miny, ojcze, bo zaczynam się o ciebie bać!

Paul uśmiechnął się do niego wesoło i z fantazją okrążył gazon, by podjechać przed wejście do willi. Humbert wyszedł do nich z rozłożonym parasolem, Auguste stanęła w drzwiach, dygnęła i wzięła od nich płaszcze i kapelusze. Faktycznie, teraz nawet on widział, że dziewczyna coraz bardziej się zaokrągla i robi się niezdarą. Kiedy można się było spodziewać dziecka? Kolejny raz uświadomił sobie, że niestety zupełnie nie ma pamięci do takich rzeczy. Musiało to jednak być wkrótce. Od tego momentu w willi będzie się

wychowywało nieślubne dziecko młodszej pokojówki, tak zdecydowała Alicia. Cóż, reputacja rodziny i tak już była zrujnowana, jeden bękart więcej nie robił różnicy. Opanowało go gorzkie rozczarowanie i odebrało mu resztki apetytu. W jadalni czekała na nich Elisabeth, która niecierpliwie wierciła się na krześle i ucieszyła się, że ojciec przyjechał do domu na obiad. Przynajmniej na tej córce mógł polegać. Elisabeth była zbyt mądra, by popełnić taką głupotę, jakiej dopuściła się Kitty. Przywitał ją z uśmiechem i powiedział, że wyjątkowo ładnie wygląda w tej zielonej sukni.

– Dziękuję, tato. To bardzo stara suknia, którą Marie trochę przerobiła.

Marie. Co drugie słowo wymawiane w tym domu to „Marie”. Początkowo liczył się z tym, że Alicia ją zwolni. Ale do tego nie doszło, jakoś się z nią pogodziła. Marie była niezbędna. Projektowała ubrania, szyła, cerowała, zawsze wiedziała lepiej...

– Gdzie jest mama? – chciał wiedzieć Paul.

– Zaraz przyjdzie – odpowiedziała Elisabeth. – Prowadzi, jedną z wielu, długą rozmowę z Marie. O Kitty oczywiście. Można by pomyśleć, że rozmawiają o jakiejś świętej!

Melzer, rozgniewany, odsunął krzesło i usiadł. Nie był zadowolony, że kazała mu na siebie czekać. Uważał, że skoro on już przyjeżdża na obiad do willi, to uprzemie byłoby dostosować się do jego harmonogramu.

– Wybaczcie, że kazałam wam na siebie czekać.

Twarz Alicii wciąż była zaczerwieniona, powieki lekko napuchnięte. Znów płakała z powodu utraconej córki. Rozmowy z Marie jej nie pomagały, przeciwnie, powodowały, że jeszcze mocniej pogrążała się w cierpieniu.

Milczał, gdy Humbert podawał zupę. Niezwykły człowiek z tego młodego mężczyzny. Szczupły, wysoki blondyn, ubranie leżało na nim tak idealnie, jakby dopiero co zostało wyprasowane. I do tego ten elegancki, miękki sposób poruszania się. Nie, Robert jednak odpowiadał mu bardziej.

– Naprawdę dobry ten rosół wołowy – powiedziała Alicia. – Johannie, smakuje ci?

– Tak, dziękuję. Nie jest zły.

Zjadł kilka łyżek z chlebem i spojrzął przez okno. Padało coraz mocniej, a spadające krople tworzyły skomplikowane wzory na szybach i błąkały się po szkle, aż spadły na parapet.

– Kitty nie lubi rosółu, żadnego rodzaju – powiedziała Alicia w zamyśleniu.

– Nie rozumiałam dlaczego, dopóki Marie nie otworzyła mi oczu. Kitty

podczas spacerów często widziała stada zwierząt, kochała je i wiedziała, że któreś z nich musi umrzeć, żeby można ugotować taki rosół...

– To jest doprawdy absurdalne – powiedziała Elisabeth. – Mamy teraz głodować, bo moja mała siostra współczuje krowom?

Rozgniewana Alicia pokręciła głową.

– Nikt tego od ciebie nie wymaga, Liso. Chociaż nie zaszkodzi, jeśli będziesz trochę bardziej ograniczała jedzenie. Nasza Kitty jest bardzo delikatna i wrażliwa. Powinniśmy mieć to na uwadze, gdy do nas wróci.

Twarz Elisabeth stała się czerwona niczym rak, wyglądała, jakby za chwilę miała się rozplakać. Melzer wiedział, że Alicia dotknęła czułego punktu córki. Elisabeth była pulchna, a nie odpowiadało to aktualnej modzie. Jemu jednak jej figura wydawała się bardzo ładna.

– Źle ją potraktowaliśmy, Johannie – ciągnęła Alicia. – Kitty potrzebowała naszego zrozumienia, a my ciągle jej czegoś zakazywaliśmy.

Początkowo pominął milczeniem jej słowa, bo Humbert zbierał talerze po zupie i wnosił danie główne. Elegancko i z godnością radził sobie z misami i talerzami, można było wręcz pomyśleć, że już jako dziecko uczył się w odpowiedni sposób stawiać sosjerkę na stół. Ponadto ogłaszał, co jest w danym dniu na obiad.

– Pstrąg z migdałami, sos maślany, plasterki cytryny...

– Dziękujemy, Humbercie.

Melzer zerknął na swój talerz. Nienawidził ryb, bo trzeba było włożyć zbyt dużo wysiłku, żeby je zjeść, uważając ciągle na zdradzieckie ości. Niezależnie od tego, po prostu nie miał apetytu. W ponurym nastroju słuchał, jak Paul stara się wytłumaczyć matce, że Kitty nie jest już dzieckiem i nie potrzebuje specjalnego traktowania.

– Mamo, sama jest odpowiedzialna za swoje czyny!

– Oczywiście! – wtrąciła się Elisabeth.

– Nie, Paul, uważam, że jest inaczej – sprzeciwiła się Alicia. – Kitty jest artystką, zrozumiałam to dzięki Marie. Kitty potrzebuje więcej wolności. Powinniśmy też bardziej wspierać jej talent, pojechać z nią do Paryża, tak jak zawsze chciała.

Teraz Melzer nie potrafił już się powstrzymać.

– Do Paryża? I co jeszcze? Może do Rzymu oraz Wenecji? A może moja zepsuta córeczka chciałaby jeszcze w Nowym Jorku rozwijać umiejętność rysowania? Moja droga Alicio, zupełnie się z tobą nie zgadzam. Kitty nie

potrzebowała więcej wolności, przeciwnie, my powinniśmy ją krócej trzymać. To jest to, czego żałuję najbardziej. Nie udało nam się wychować naszej córki zgodnie z przykazaniami naszego Pana: „Kto miłuje swego syna, często używa na niego różgi, aby na końcu mógł się nim cieszyć”². Jezus, syn Syracha, tak powiedział, i również dzisiaj te słowa nie straciły na znaczeniu.

– Ależ tato! – wtrącił się Paul, podczas gdy Alicia milczała. – Jezus, syn Syracha, mój Boże. To przecież zupełnie wyszło z mody!

Jego żart nie znalazł uznania przy rodzinnym stole. Melzera bolało, że po raz kolejny zepsuł nastrój, ale pewne rzeczy musiały zostać powiedziane.

– Całe to gadanie o wolności i zrozumieniu! – wrzasnął poirytowany. – W taki sposób nie wychowa się posłusznej córki, Alicio. I pozwól, że powiem ci jeszcze jedno: jeśli Katharina odważy się kiedykolwiek pojawić w moim domu, dam jej do zrozumienia, że nie uznaję jej już za swoją córkę.

– Johannie, nie mówisz tego poważnie! – wyszeptała Alicia przerażona.

– Mówię to bardzo poważnie, Alicio. Nie pozwolę mojej córce wchodzić sobie na głowę. Zdecydowała się opuścić ten dom, zrezygnowała z ochrony i wsparcia rodziców. Zrobiła to potajemnie, za naszymi plecami i do tego jeszcze z Francuzem, podłym podcinaczem gardeł. Kitty już dla mnie nie istnieje!

Teraz, po tym jak dał upust swojemu gniewowi, poczuł ulgę. W tym samym czasie jednak naszyły go również wyrzuty sumienia. Oczywiście, że dałby sobie przemówić do sumienia, przecież nie jest potworem. Nie mógł jednak teraz tego powiedzieć, żeby nie stracić wiarygodności.

– Ja tatę bardzo dobrze rozumiem – powiedziała Elisabeth i sprawnym ruchem odsunęła kręgosłup pstrąga na talerzu.

– Zapominasz, Johannie – powiedziała z wymuszonym spokojem Alicia – zapominasz, że to jest również mój dom. I mówię ci to prosto w oczy: jeśli moja córka Katharina będzie chciała wrócić na łono rodziny, przyjmę ją z otwartymi ramionami. Jestem i będę jej matką do końca życia, a ona jest i będzie moim dzieckiem. A jeśli chcesz posługiwać się argumentami pochodzącymi z Biblii, przypomnę ci przypowieść o synu marnotrawnym.

Johann Melzer oczywiście znał tę przypowieść, ale zupełnie nie wiązał jej z zaistniałą sytuacją.

– Myślisz, że twojej córce wyjdzie na dobre, jeśli jej wybaczysz i będziesz ją rozpieszczać? – warknął.

– Nie pozwolę, żeby moje dziecko wylądowało na ulicy!
– Czy powiedziałem, że pozwolę jej umrzeć z głodu? – Zakasłał, bo poczuł, że właśnie w gardle utknęła mu mała ość. Wypił haustem szklankę wody i wyczerpany oparł się na krześle.

– Wiesz, tato – powiedział Paul, który wstał, żeby poklepać go po plecach – Kitty z pewnością popełniła błąd i rozumiem, że jesteś na nią zły. Mimo to jest nadal moją małą siostrą i gdy wróci, będę pierwszym, który najpierw przywoła ją do porządku, ale później serdecznie ją uściska.

– Możesz postąpić, jak uważasz za słuszne – powiedział ponuro. – Ja natomiast podjąłem decyzję i chciałbym, żeby była szanowana.

Alicia milczała w czasie tej wymiany zdań. Uniosła lekko podbródek, a to miało oznaczać, że podtrzymuje swój sprzeciw. Znow więc była między nimi wojna – ależ on tego nie znosił. Kolejny raz walnął coś prosto z mostu. Ach, nigdy nie był dyplomatą, i z pewnością już nigdy się nim nie stanie.

– Mam pilną pracę do wykonania – oznajmił i rzucił serwetę na stół. – Dokończ jedzenie w spokoju, Paul. Będę w przędzalni, gdybyś mnie szukał.

W drzwiach prawie wpadł na nowego służącego, który szedł właśnie z dwoma pełnymi półmiskami. Humbert bardzo się starał wyminąć śpieszącego się pana domu i jednocześnie nie utracić nic z zawartości obu naczyń.

– Bardzo przepraszam, łaskawy panie.

– To nie twoja wina.

Idąc przez korytarz, próbował zapomnieć o tej niemiłej rodzinnej scenie i skupić myśli na fabryce. Zamówienie z Anglii na nową bawełnę z nadrukiem już zostało złożone – ta transakcja powinna znow podnieść notowania fabryki. Z drugiej jednak strony wciąż męczyło go przecucie, że ten spokój nie może trwać długo. Kajzer kazał wybudować okręty wojenne, żeby podkopać opinię o wspaniałej brytyjskiej marynarce. Brytyjczycy natomiast sprawią zapewne, że niemiecka przewaga nie potrwa długo. A może jednak...

Przystanął, bo właśnie w tej chwili z drugiego piętra schodziła młoda pracownica. Ona też się zatrzymała. Pewnie spodziewała się skarcenia za to, że nie użyła schodów dla służby. Wyteżył wzrok, bo w taką ponurą pogodę w korytarzu było dość ciemno. Pokojówka. Miała jakieś ubrania przewieszane na ręce, prawdopodobnie, żeby zanieść je do pralni. Jordan? Nie, to była Marie. Dygnęła, gdy koło niej przechodził, i nie wiedział dlaczego, ale wyczuł ironię w tym geście.

– Marie?

Przeszła już kawałek, teraz musiała się zatrzymać i odwrócić w jego stronę.

– Tak, panie Melzer?

Nie powinna była powiedzieć „łaskawy panie”? Albo przynajmniej „panie dyrektorze Melzer”? Chciał ją zbesztać, ale coś dziwnego w jej spojrzeniu sprawiło, że tego nie zrobił.

Miała piękne ciemne oczy. Jej wzrok nie był rozmarzony, ale bardzo czujny. Znał ten wzrok. Mój Boże – gdzie się podział miniony czas?

– Chciałbym coś z tobą omówić. Chodźmy do biblioteki, tam nikt nam nie będzie przeszkadzał.

– Oczywiście, panie Melzer.

² Według *Mądrości Syracha*, 30,1, jednej z ksiąg dydaktycznych Starego Testamentu, za Biblią Tysiąclecia, wyd. IV.

d="w_cieniu_tajemnic-39.html" xml:lang="pl-PL" aid="147LC1">

Szła przodem, a on podążał za nią, nie mogąc odwrócić od niej oczu. Jak pewnie i lekko szła. Wyprostowana, ale nie sztywna. Idąc, kołysała nieco biodrami, ale nie tak, by celowo zwracać uwagę mężczyzn. Zatrzymała się przed biblioteką, spojrzała na niego i chciała mu otworzyć drzwi, ale on był szybszy. Nie był w stanie powiedzieć, dlaczego to zrobił, ale nacisnął klamkę i popchnął drzwi, jakby była damą. I właśnie tak, wyprostowana i pewna siebie, ta młoda dama przeszła obok niego i weszła do biblioteki. Niesamowite, pomyślał. Ta sama arogancja, musiała ją odziedziczyć po matce. Nawet dzieciństwo spędzone w sierocińcu nie mogło tego zmienić.

Podszedł do kominka, w którym dzisiaj nie palił się ogień, i włączył lampę. Nie będzie tego romantycznego oświetlenia, chce widzieć ją dokładnie, gdy będzie z nią rozmawiał. Marie stanęła na środku pokoju, położyła na fotelu ubrania, które niosła, i czekała, aż zacznie z nią rozmawiać. Jej wzrok był spokojny i na swój sposób – stanowczy.

– Chciałbym porozmawiać z tobą o dwóch kwestiach, obie dotyczą mojej córki Kathariny.

Nie wydawała się zaskoczona, być może właśnie tego się spodziewała. Przez chwilę patrzył na nią, zaintrygowany kontrastem między ciemną suknią pokojówki a jej promienną młodością. Nie była starsza od Kitty, ta Marie Hofgartner, wyglądała nawet podobnie do niej, przynajmniej z daleka. A jednak te dwie kobiety pochodziły z zupełnie różnych światów. Czy chciałby mieć córkę taką jak Marie? Odsunął od siebie ten szalony pomysł.

– Po pierwsze, nie życzę sobie, żebyś ciągle rozmawiała z łaskawą panią o Katharinie. Te rozmowy za bardzo obciążają moją żonę i pogłębiają jej smutek.

Spuściła ciemne oczy, ten nakaz wyraźnie się jej nie spodobał. Nie oczekiwał zresztą niczego innego.

– To jest tak, panie Melzer, że ja nigdy nie zaczynam tych rozmów. Ale gdy

łaskawa pani zadaje mi pytania, muszę jej odpowiadać.

Sprzeciwiała mu się, to było do przewidzenia.

– Udzielaj więc odpowiedzi tak krótkich, jak to tylko możliwe. Zrozumiałaś?

– Bardzo dobrze pana rozumiem, panie Melzer – odpowiedziała, przekrzywiając lekko głowę. – Uważam jednak, że łaskawa pani nie cierpi z powodu tych rozmów. Przeciwnie, wydaje mi się, że możliwość porozmawiania o paniencie Katahrinie przynosi jej ulgę.

– Nie tobie to oceniać – odparł. – Przestrzegaj mojego zalecenia, w przeciwnym razie będę musiał podjąć stosowne działania.

Milczała, co również uznał za odpowiedź. Złościł się na siebie, że był na tyle niemądry, by jej grozić. Marie była pod ochroną Alicii i wiedziała dobrze, że wiele musiałyby się zdarzyć, by została odprawiona.

– Drugi punkt dotyczy tego przekłętogo listu, który napisała do ciebie moja córka.

Poczuł teraz dziwny niepokój i zaczął chodzić przed kominkiem w tę i z powrotem. Jego żołądek płonął, nie powinien był jeść ryby. Być może rosółu również nie tolerował. Współczucie dla krów. Coś tak śmiesznego mogła wymyślić jedynie Kitty.

– Czy w tym czasie moja córka w jakikolwiek sposób się z tobą kontaktowała? Obiecała przecież, że poda ci swój adres, żebyś mogła do niej przyjechać. Czy tak?

Zatrzymał się, żeby dobrze widzieć jej twarz, gdy będzie odpowiadała. Miał duże doświadczenie z kłamcami, którzy stawali przed nim i musieli odpowiadać na jego pytania. Prawie zawsze widać było, kiedy kłamią.

– Tak, tak napisała, ale do tej pory nie otrzymałam od niej żadnej wiadomości. Mam tylko nadzieję, że to dobry znak.

Nie, jednak mówiła prawdę. Nie należała do tego typu ludzi, którzy na poczekaniu wymyślają rozmaite kłamstwa. Mogłyby co najwyżej nie udzielić odpowiedzi na niektóre pytania, by zachować pewne sprawy dla siebie.

– W każdym razie – warknął nieprzyjaźnie – gdyby moja córka odezwała się do ciebie, przez posłańca albo za pośrednictwem poczty, chcę być pierwszy o tym poinformowany.

– Ale... ale łaskawa pani chciała...

Teraz załała go żółć. Czy naprawdę jej się wydaje, że może z nim dyskutować? Kimże ona jest? Pokojówką, która jeszcze niedawno była biedną, wynędzniałą pomocą kuchenną!

– Czy słyszałaś, co powiedziałem?

– Tak, panie Melzer.

– Oczekuję więc, że to zrobisz.

Znów milczała. Sądziła, że może sobie z nim pogrywać w tak perfidny sposób? I wierzyć skrycie, że nie obiecała przynieść otrzymanej wiadomości najpierw do pana dyrektora?

– Otrzymam odpowiedź?

Zacisnęła usta i wbiła wzrok w podłogę. Potem spojrzała na niego. W jej ciemnych oczach widać było blask, którego nie potrafił nazwać. Prawdopodobnie oznaczał, że była na niego wściekła.

– Jeżeli tak bardzo panu na tym zależy, panie Melzer, tak właśnie zrobię.

Nic więcej nie powie? Cóż, mógł mieć tylko nadzieję, że Alicia nie będzie w stanie natychmiast wsiąść do pociągu i pojechać pod wskazany adres, żeby uratować swoją ukochaną, nieposłuszną córeczkę. Ta myśl jeszcze bardziej go zaniepokoiła, bo żona w czasie tak pochopnie podjętej podróży mogła wpaść w kłopoty.

– Wspaniale – powiedział, choć nie widział niczego wspaniałego w tej rozmowie. – Możesz już iść.

Wyciągnął rękę, żeby zgasić lampę, zatrzymał się jednak, bo Marie nie zrobiła nawet kroku.

– Ja również mam dwie sprawy, które chciałam z panem omówić, panie Melzer.

Sądził przez chwilę, że się przesłyszał. Czy faktycznie zażądała, żeby omówił z nią jakieś dwie sprawy? To przecież niemożliwe, musiał być bardzo zmęczony.

– Co powiedziałaś?

Wciąż stała w tym samym miejscu. Skrzyżowała ręce na brzuchu. Jej twarz była spokojna, oczy zmrużone.

– Już się pana nie boję, bo jest mi zupełnie obojętne, czy mnie pan odeśle, czy nie. Chciałabym jednak wiedzieć, dlaczego nigdy mi pan nie powiedział, że jestem córką Jakoba Burkarda.

A więc o to chodzi. Kto mógł jej o tym powiedzieć? Ta stara wiedźma z przedmieścia? Ktoś z fabryki? Przecież nie Pappert...

– Mam co do tego pewność, bo wielebny Leutwien pokazał mi zapis z księgi parafialnej. Był pan świadkiem moich rodziców.

A więc ksiądz jej powiedział. Źle ocenił Leutwiena, nie był tak dyskretny,

jak Melzer na to liczył. Czuł, że puls mu przyśpiesza, i oblał się potem. Co wiedziała? Czego nie?

– Jeśli widziałaś księgę parafialną, to wiesz, że ci dwoje związali się małżeństwem kościelnym, ale nie mieli ślubu cywilnego. Małżeństwo było więc nieważne.

– Ważne czy nie, moim ojcem jest Jakob Burkard. Dlaczego ciągle mi mówiono, że mój ojciec jest nieznany?

Jak była uparta, jak zdeterminowana. Przyszła do niego jako oskarżycielka, a teraz zaczyna jemu, swojemu pracodawcy, stawiać żądania.

– Posłuchaj, Marie. Nie mam teraz czasu na rozmowę o tych sprawach. Porozmawiamy później, gdy będziesz pełnoletnia.

Zgasił lampę i szybkim krokiem podszedł do drzwi. Marie go jednak uprzedziła, zakryła klamkę swoim ciałem i wpatrywała się w niego tak uparcie, że się cofnął.

– Chciałabym teraz otrzymać informacje, panie Melzer. Ryzykując nawet, że mnie pan wyrzuci. Nie ruszę się z tego miejsca, dopóki nie udzieli mi pan odpowiedzi.

Mógł po prostu zawołać Auguste albo Else czy też Jordan. A później odepchnąć spod drzwi tę bezczelną, drobną dziewczynę. Wtedy jednak na pewno naopowiadałaby jego żonie jakichś niestworzonych rzeczy, a tego wolałby uniknąć. Alicia znała tylko część prawdy.

– Jeśli myślisz, że w ten sposób mnie zmusisz, dobrze, otrzymasz odpowiedzi. Ale nie będą ci się one podobały, Marie Hofgartner. To także powód, dla którego powinnaś się o tym wszystkim dowiedzieć, gdy będziesz pełnoletnia.

Zbladła, ale wciąż tkwiła uparcie w miejscu. Jakiej odwagi czy też raczej jakiej zawziętości potrzeba, żeby się w ten sposób zachowywać? Ależ ona przypomina swoją matkę! Znów widzi ją przed sobą, Luise Hofgartner, dumną i bezczelną w gniewie i odporną na wszelkie próby negocjacji.

– Dlaczego więc? – powtórzyła. – Dlaczego pan przemilczał, że mój ojciec skonstruował maszyny w pańskiej fabryce? Że bez niego nie byłoby fabryki włókienniczej Melzerów!

Co jeszcze ten ksiądz jej powiedział? Melzer musiał zwalczyć palący ból w żołądku, jego umysł pracował szybko i jasno jak zawsze. Musiał jej opowiedzieć o wszystkim od początku, tylko tak mógł się jej pozbyć.

– Jakob Burkard faktycznie był bardzo zdolnym człowiekiem – powiedział

powoli. – Ale to nie był twój ojciec.

Był perfidny i czuł, jak wielki grzech na siebie bierze. Jeden grzech pociąga za sobą drugi, większy. Zawsze. Ten jednak dotknie go do żywego i nigdy już się z niego nie uzdrowi.

– Jakob Burkard był gotowy poślubić twoją ciężarną matkę, jego ukochaną Luise Hofgartner, i adoptować dziecko, które się urodzi. Nikt nie wie, kto był prawdziwym ojcem dziecka. Może ona sama nie wiedziała, w końcu była artystką i prowadziła swobodne życie...

Widział ból w jej oczach, patrzył, jak drżą jej usta, i podziwiał, że mimo to się trzyma. Niesamowita dziewczyna. Jaka szkoda, że nie urodziła się pod lepszą gwiazdą.

– To prawda? – zapytała. – Czy wymyślił to pan na poczekaniu?

Przejrzała go ta sprytna mała. Udało mu się jednak uniknąć konkretnej odpowiedzi.

– Słuchaj dalej. Jakob Burkard zmarł kilka dni po ślubie kościelnym. I to z powodu alkoholu, którego niestety od lat nadużywał. W pewnym sensie możesz więc się cieszyć, że nie jesteś jego córką. Takie skłonności są dziedziczne.

Zagryzała usta i wbiła w niego wzrok. Przyjęcie tego stworzenia do domu było okropnym błędem. Inaczej nie musiałby teraz walczyć ze swoim sumieniem. Chciał nad nią czuwać, zatroszczyć się, by nauczyła się jakiegoś zawodu, z czasem może nawet wydać ją za męża. Ale Marie stawiała opór, odwracała się rozdrażniona. Znowu zostanie zwolniona.

– Przykro mi, że musiałem ci to wszystko powiedzieć, Marie – powiedział obłudnie. – Zmusiłaś mnie do tego. Jesteś zadowolona?

– Nie!

Sądził, że w ten sposób utnie rozmowę, ale to była córka Luise, nie mogło więc pójść tak szybko.

– Coś jeszcze? Mój czas jest ograniczony. Myślisz, że nie mam nic więcej do zrobienia, tylko odpowiadać na twoje pytania?

– Dlaczego zabrał pan mojej matce wszystko, co posiadała? Wiem, że miała długi, ale musiał pan być tak okrutny?

O tym mogła jej opowiedzieć tylko ta przeklęta starucha. Chyba straciła rozum. Albo na stare lata stała się pobożna i bała się wiecznego potępienia. Miała ku temu wszelkie powody, stara wiedźma.

– Nie wiem, co masz na myśli.

– Zabrał pan jej wszystkie meble, nawet kołdrę i ubrania. To mam na myśli. Zostało jej jedynie łóżko, na którym zmarła.

Wciąż miał przed oczami twarz zmarłej i zrobiło mu się niedobrze. Leutwien zostawił mu wtedy wiadomość, więc pojechał na miejsce, do kamienicy na obrzeżach miasta. Jej sztywna twarz jak z wosku, bujne włosy, dziecko, które leżało obok na łóżku i nie chciało puścić matki. Musiano je zabrać siłą, żeby wynieść zmarłą.

– To jakieś nieporozumienie – mruknął. – Pomogłem jej sprzedać kilka mebli, bo potrzebowała pieniędzy. Sąsiadka musiała się pomylić.

Jej ciemne oczy wręcz wwierały się w niego. Prawdopodobnie znów mu nie uwierzyła. Musiał raz jeszcze przypomnieć starej Deubel, że nie powinna rozpowiadać takich rzeczy. Przecież kilka lat temu kupił tę kamienicę i przyległe budynki, powinna więc być ostrożniejsza.

– Wystarczy już!

Stanowczo wyciągnął rękę w stronę klamki, a ona tym razem się odsunęła. Gwałtownym ruchem otworzył drzwi i wyszedł tak szybko, jakby uciekał.

d="w_cieniu_tajemnic-40.html" xml:lang="pl-PL" aid="1565U1">

34

Elisabeth westchnęła zniecierpliwiona i spróbowała raz jeszcze.

– Ależ mammo! Przy takiej pięknej wiosennej pogodzie nie możesz ciągle siedzieć w pokoju.

– Czego chcesz, Liso? – odpowiedziała, starając się dobrać odpowiedni kolor nici do haftu. – Wczoraj zrobiłam sobie długi spacer po parku, dzisiaj natomiast chciałabym dokończyć haft.

– Tylko godzinę, mammo. Potrzebuję nowych rękawiczek z dzianiny, poprzednia para mi popękała. I jeszcze podwiązki. A mogłybyśmy się też rozejrzeć za przędzą do haftowania.

– Weź ze sobą Marie, Gustav chętnie was zawiezie do miasta. Dam ci trochę pieniędzy.

Elisabeth jęknęła głośno. Dlaczego mama tak bardzo się wycofała i całe dni siedzi zamknięta w willi? Może rozmowa by jej choć odrobinę pomogła? Nie, z pewnością nie. Wiadomość, że zachwycająca Katharina Melzer, słodka królowa sezonu balowego, uciekła z Francuzem Gérardem Duchampsem, obiegła Augsburg i okolicę. W czasie spotkań towarzyskich przy kawie i bez wątpienia również na posiedzeniach stowarzyszeń charytatywnych skandal ten został omówiony i oczywiście nie zawsze ze współczuciem, ale szyderczo i złośliwie. Tata miał rację – za bardzo zepsuli Kitty. Elisabeth to wiedziała, ona zawsze musiała być tą, która postępuje właściwie i daje z siebie to, co najlepsze. Jej ślicznej siostrzyczce natomiast wolno było wszystko: brać lekcje rysunku, odwiedzać wystawy, uczyć się rzeźbić. Kupiono jej całą masę książek o sztuce, nawet tata nie pytał, ile kosztują. Kiedy jednak ona, Elisabeth, chciała dostać nuty do sonat fortepianowych, powiedziano jej, że są drogie i że powinna poszukać najpierw w antykwariacie.

– Kiedy ostatni raz byłaś w mieście, mammo? Kilka tygodni temu? – zapytała niezadowolona.

Alicia machnęła tylko ręką i dalej szukała odpowiedniego koloru. Na sofie

w czerwonym salonie leżały obok siebie różne rodzaje włóczek do haftowania, starannie uporządkowane według odcieni, a mimo to nie mogła znaleźć takiego, który pasowałby na zewnętrzne płatki delikatnej róży z jej wyszywanki.

– A jaki mam powód, żeby co tydzień jeździć do miasta?

– A dlaczego nie dostajemy już żadnych zaproszeń? Dlaczego nigdzie nie bywamy? Żadnych wieczorków towarzyskich, żadnych balów, a nawet koncertów?

– Co niedziela chodzimy na mszę. A sezon balowy już dawno się skończył.

Alicia była poirytowana. Co Elisabeth chciała osiągnąć, czyniąc jej wyrzuty? I tak dużo siły kosztowało ją utrzymywanie siebie samej w ryzach i nie potrafiła też pozbyć się panicznego strachu o swoje biedne dziecko. Po każdym zaproszeniu, które kiedyś sprawiłoby jej wiele radości, teraz czuła się tak, jakby stąpała po cienkim lodzie. W każdej wypowiedzi doszukiwała się ironicznej uwagi, w każdym uśmiechu złośliwości albo krępującego współczucia dla mocno doświadczonych rodziców.

– Elisabeth, przecież dobrze wiesz, dlaczego zapraszamy do nas jedynie wąskie grono bliskich przyjaciół. Dlaczego obcy ludzie mają cieszyć się z naszego nieszczęścia?

– I sądzisz, że pomoże nam ukrywanie się przed całym światem?

– Przynajmniej przez najbliższe miesiące powinniśmy ograniczyć spotkania towarzyskie. Później, gdy sprawa ucichnie, wszystko wróci do normy, będzie, jak było.

Spojrzała na Elisabeth z uśmiechem proszącym o zrozumienie. Miała nadzieję, że jej córka nie będzie mogła dalej podsycać swojego gniewu. Bo i po co? Ona i tak już cierpiała wystarczająco z powodu egoizmu Kitty i nie zasłużyła nawet w najmniejszym stopniu, by być celem jej ataku.

– W takim razie można tylko mieć nadzieję, że droga Kitty w niedalekiej przyszłości pójdzie po rozum do głowy – warknęła i niechętnie sięgnęła po robótkę, którą zaczęła kilka tygodni temu.

– Liso, każdego dnia się o to modlę!

W głębi serca Elisabeth uważała, że Kitty spokojnie mogłaby tam zostać. Powinna poślubić tego Francuza i żyć z nim w Lyonie. A oni, tutaj w Augsburgu, byłiby uwolnieni od jej irytującej obecności. Ale jeśli zły los tak sprawi, to księżniczka jeszcze kiedyś pojawi się w willi i wtedy tata, który tak głośno niedawno podkreślał swoje oburzenie, będzie ostatnim, który

odesłałby ją z domu. Będą ją karmić, znów regularnie wozić do doktora Schleichera – teraz dopiero będzie miała o czym opowiadać – a mama będzie z oczu swojej biednej Kitty czytać, czego sobie ona życzy. Tata pewnie powarczy przez chwilę, a później jej wybaczy. Paul powie jej, co o tym wszystkim myśli, ale bardzo szybko puści to w niepamięć. Znów będzie tak jak dawniej. Z tą tylko różnicą, że Kitty nie będzie już ulubienicą młodych panów szukających żony. Z tym będzie koniec, bo mocno się skompromitowała, wiążąc się z Francuzem, i już nikt nie zapragnie wziąć jej za żonę. I dobrze jej tak, pomyślała Elisabeth z goryczą. Ta mała bestia zniszczyła po raz kolejny wszystkie jej plany. Kilka dni przed wybuchem skandalu Elisabeth spotkała całkiem niespodziewanie porucznika von Hagemanna u jednej z przyjaciółek, był przez kilka dni na przepustce w Augsburgu, bo umarła jego ciocia. Popłotkowali trochę, znów się do siebie zbliżyli i zapytał nawet, czy przy okazji może złożyć wizytę w willi. Z całą pewnością nie z powodu Kitty, bo mówił o niej z zauważalnym chłodem. Z jej, Elisabeth, powodu.

Kiedy jednak wyszło na jaw, że córka fabrykanta Melzera uciekła z Francuzem, ciekawscy wpraszali się na spotkania do ich posiadłości, ale nigdy porucznik von Hagemann. Był na to zbyt taktowny. Miała nadzieję, że spotka go na którymś z ostatnich domowych balów, ale matka postanowiła, że nie będą brać udziału w tego typu wydarzeniach. Elisabeth musiała więc zostać w domu. Z wściekłości chwyciła teraz za szydełko, ale wzór się jej poskręcał i wszystko okazało się do niczego.

Był koniec marca, Kitty nie było od dwóch miesięcy i nikt nie miał pojęcia, gdzie i z kim przebywa. Jakie to niesprawiedliwe, pomyślała Elisabeth. Nikt z nas nie zrobił nic nieprzyzwoitego czy złego, ale wszyscy musimy cierpieć, bo Kitty postanowiła uciec. A ona cierpi najbardziej, bo siostra odebrała szczęście jej życia. Teraz porucznik jest już z pewnością tak zmęczony ich rodziną, że będzie szukał sobie żony gdzie indziej.

Przysunęła haft do światła, by poluzować nadmiernie poskręcane nici, i przyszła jej do głowy okropna wizja, że z pewnością zostanie starą panną, skoro do jej codziennych zajęć należało teraz haftowanie i szycie. O Boże, za kilka lat będzie tutaj siedzieć z Kitty i robić na szydełku kolorowe czapki dla biednych dzieci z Nigerii, podczas gdy wokół nich będą biegać wesoło dzieci Paula. Paul był mężczyzną i do tego jeszcze następcą ojca w fabryce – na pewno znajdzie sobie odpowiednią żonę. Ciocia Kitty i ciocia Lisa, obie niezamężne, oczywiście będą mogły zostać w willi, każda dostanie małą

sypialnię i będą żyły we wdzięcznej pokorze, aż staną się stare i brzydkie. Oczywiście nie będą miały nic do powiedzenia w kwestii prowadzenia domu, bo ten przywilej przypadnie przyszłej żonie Paula. Ach, co za straszna wizja! Była szczęśliwa, że właśnie w tej chwili weszła Auguste i zapowiedziała gościa. Dobry Boże, ta dziewczyna była teraz napuchnięta jak bułka drożdżowa, brzuch prawie rozrywał jej bluzkę, a i spódnicę miała bardzo opiętą. Co interesujące, najwyraźniej jest tak, że w czasie ciąży również piersi stają się dużo większe. Cóż, ją to doświadczenie ominie, żadnego męża, żadnej ciąży.

– Kto to jest, Auguste?

Auguste postawiła przed Alicią srebrną tackę, na której leżała wizytówka.

– Alfons Bräuer!

Alicia spojrzała niepewnie na Elisabeth. O młodym mężczyźnie, który jeszcze dwa miesiące temu tak często odwiedzał willę, od czasu wiadomego zdarzenia więcej nie słyszano. Podobnie jak inni ich znajomi, dziwnym trafem przestał się pojawiać.

– Nie bardzo rozumiem – powiedziała Alicja – czego on może chcieć.

Elisabeth wzruszyła ramionami. No co? Prawdopodobnie chce wyjaśnić, że nigdy nie składał Kitty propozycji małżeństwa. Nawet jeśli mógł w jakiś sposób dawać do zrozumienia, że jest zainteresowany Kathariną Melzer, chciał powiedzieć wyraźnie, że nigdy oficjalnie się jej nie oświadczył. Nie on pierwszy sądził, że musi wykręcić się z tej afery, bo Kitty otrzymywała wiele propozycji, ale żadnej nie przyjęła.

– Nie czuję się zbyt dobrze – powiedziała Alicja drżącym głosem. Potrząsnęła głową i odłożyła haft na sofę. – Ale nie, to byłoby tchórzostwo. Powiedz, proszę, panu Bräuerowi, że zapraszam go do środka.

Auguste dygnęła, co przy jej obfitej figurze wyglądało dość komicznie, i wyszła, ciężko stąpając.

– Liso, chcesz pójść na górę?

– Nie, mamę. Zostanę tutaj. To jest całkiem interesujące, co też ci młodzi panowie wymyślają na swoje usprawiedliwienie. Jestem zaintrygowana, co nam powie poczciwy Alfons.

Młody Bräuer miał na sobie jasnoszary popołudniowy garnitur, co sprawiało, że wyglądał bardzo wiosennie. Ponadto wydawało się, że schudł, garnitur leżał teraz na nim idealnie, inaczej niż wcześniej; wówczas miało się wrażenie, że gdy weźmie głębszy oddech, rozejdą się szwy w marynarce.

– Łaskawa pani, łaskawa panienko, proszę o wybaczenie tego niespodziewanego najścia...

– Ależ drogi panie Bräuer, zapraszam pana! – powiedziała Alicia z wymuszonym uśmiechem, gdy on na powitanie pocałował ją w rękę.

– Raczej musimy wybaczyć, że tak długo pana u nas nie było – powiedziała złośliwie Elisabeth. – Tęskniliśmy za panem, drogi panie Bräuer.

Obie kobiety przygotowały się na to, że teraz będą słuchać wyjaśnienia, które od początku do końca jest zmyślane.

– Żałuję ogromnie, że nie przekazałem pani żadnej wiadomości, łaskawa pani – mówił Alfons Bräuer. – Bałem się jednak, że dodatkowo panią zaniepokoję, i dlatego zaniechałem tego.

Jego czoło było mokre ze zdenerwowania. Wyciągnął śnieżnobiałą chusteczkę z kieszeni marynarki, żeby obetrzeć pot. Nie zareagował nawet na zaproszenie Alicii, żeby usiadł na czerwonym fotelu.

– Przychodzę prosto z dworca, moje bagaże są jeszcze w samochodzie. Pierwsze kroki tutaj w Augsburgu skierowałem właśnie do willi, ponieważ kilka istotnych pytań wręcz pali moją duszę.

Spojrzały na niego, nie kryjąc zdziwienia, i to sprawiło, że ostatnia iskierka nadziei, która tliła się w jego oczach, w jednej chwili zgasła.

– Czy ona... czy panienka Katharina wróciła?

Alicia wahała się, czy udzielić mu odpowiedzi, bo zachowanie młodego człowieka wydawało się bardziej niż dziwne. Całe miasto wiedziało, że Kathariny Melzer nie ma w Augsburgu. Dlaczego więc pytał? W końcu, gdy milczenie stawało się krępujące, Elisabeth postanowiła ratować sytuację.

– Niestety nie, panie Bräuer. Wciąż nie mamy żadnej wiadomości od mojej siostry.

– Tego się właśnie obawiałem – westchnął ciężko i opadł na fotel. – Naprawdę nie wiem, co dalej robić.

Oparł łokcie na kolanach i schował twarz w dłoniach. Po chwili podniósł wzrok i uśmiechnął się niewesoło.

– Przez cały czas szukaliśmy ich. Sprawdzaliśmy w każdym hotelu, w każdym pensjonacie, byliśmy w każdym bistro, rozmawialiśmy z policją, wysłaliśmy za nimi miejscowych detektywów. Nic. Przez dwa miesiące prawie nie spaliśmy, przemierzając każdą ulicę i uliczkę, wchodziliśmy nawet do sklepów, pytając o nią. Bez rezultatu. W końcu się poddaliśmy, mój ojciec stracił cierpliwość, bo potrzebuje mnie w banku.

Alicia musiała się skupić, żeby uporządkować to, co usłyszała. Elisabeth szybciej zrozumiała, o co chodzi.

– Był pan w Paryżu i szukał Kitty?

– Właśnie tak, panienko Elisabeth.

Alicia teraz wreszcie pojęła. Święci Pańscy, jeśli to była prawda, ona potraktowała tego młodego człowieka niesprawiedliwie. Teraz dopiero zobaczyła, jaki jest blady i niewyspany. I jaki wychudzony.

– Mój drogi, młody przyjacielu – powiedziała wzruszona. – Nie potrafię nawet wyrazić, jak bardzo mnie zaskoczyłeś i jakie to zrobiło na mnie wrażenie. Ja również chciałam szukać mojego nieszczęsnego dziecka w Paryżu, ale rodzina mnie powstrzymała...

– Słusznie, łaskawa pani. W tym nieskończenie wielkim mieście, to jak szukanie igły w stogu siana. Tylko przypadkiem nasze poszukiwania mogłyby okazać się owocne, ale niestety takie szczęście nie było nam widać pisane.

– Ale pan nie był sam w Paryżu? Kto panu towarzyszył? – wtrąciła się Elisabeth.

– Nie wspomniałem o tym? Przepraszam, jestem bardzo zdenerwowany, panienko. Podróżowałem razem z waszym szoferem, Robertem.

– No popatrz! – krzyknęła Elisabeth. – A my tak bardzo się martwiliśmy, bo nagle zniknął bez wieści.

Około południa wiadomego dnia Robert pojawił się w banku Bräuer & Syn i poprosił o rozmowę w cztery oczy z młodym panem Bräuerem. Najpierw go odprawiono, ale gdy powiedział, że chodzi o panienkę Katharinę Melzer i że jest to sprawa życia i śmierci, zaprowadzono go do biura Alfonsa Bräuera. Rozmowa trwała zaledwie kilka minut, a potem Alfons Bräuer zebrał potrzebne środki i dwie godziny później obaj siedzieli w nocnym pociągu do Monachium, a tam przesiedli się do kolejnego nocnego pociągu do Paryża. Co za szalone przedsięwzięcie, pomyślała Elisabeth. Dwaj młodzi mężczyźni, obaj zakochani w tej samej dziewczynie, siedzą w ciemną noc w jednym przedziale. O czym mogli ze sobą rozmawiać? Co sobie wyznawali w trakcie podróży? Co przed sobą ukrywali? Z pewnością łączyła ich wspólna nienawiść do tego Francuza, który tak spodobał się Kitty, że z nim uciekła. Ale na pewno nie byli w stanie gniewać się na Kitty. Księżniczka była przecież zupełnie niewinna i czysta jak łza, nikt nie mógłby sądzić, że ponosi odpowiedzialność za własne czyny.

– Jestem głęboko wzruszona, mój młody przyjacielu – powiedziała Alicja

kolejny raz, a w jej oczach pojawiły się łzy. – Jak bardzo pan musiał się poświęcić, żeby zająć się poszukiwaniem mojej córki! Ach, tak bardzo bym chciała, żeby pana wysiłek został nagrodzony! Ale co się właściwie stało z Robertem? Gdzie on się zatrzymał?

– Robert? Ach, on...

W tym momencie Alfons Bräuer przebywał myślami zupełnie gdzie indziej i zmuszał się wręcz, by odpowiedzieć na pytanie pani Melzer.

– Mój wierny kompan Robert Scherer, nie mam słów, by to wyrazić, łaskawa pani. On zrobił wszystko, co leży w mocy człowieka, by znaleźć pani córkę. Wpadł nawet w śmiertelne niebezpieczeństwo, został zraniony nożem, gdy przemierzał nocą niebezpieczną okolicę. Ofiarowałem mu pewną sumę pieniędzy, bo jest teraz bez pracy. Powiedział, że chciałby opuścić Niemcy i wyjechać za morze, żeby tam szukać szczęścia.

– Dobry Boże! Zwrócimy panu tę sumę, panie Bräuer. W końcu Robert ma u nas zaległe wypłaty.

Elisabeth pomyślała o Auguste, która już nigdy nie zobaczy ojca swojego dziecka. Cóż, jej bardzo odpowiadało, żeby Robert już do nich nie wrócił. Wtedy nie będzie mógł nikomu powiedzieć o zamienionych listach. A i Auguste będzie trzymać buzię na kłódkę, bo i tak ma niesamowite szczęście, że mimo cięży zachowała swoje stanowisko.

Alfons Bräuer, teraz bardzo czerwony na twarzy, wycierał pot z czoła oraz policzków i usilnie, ale bezowocnie próbował poluzować kołnierzyk koszuli. Potem wstał z krzesła i robiąc szybkie, głębokie wdechy, stanął przed obiema kobietami.

– Chciałbym, żeby łaskawa pani mnie dobrze zrozumiała – powiedział uroczyście.

Spojrzał najpierw na Alicię, a potem na lekko oszołomioną Elisabeth.

– Kocham pani córkę Katharinę i to okropne wydarzenie nie umniejsza ani odrobinę mojego oddania.

Zamilkł. Elisabeth czekała z zapartym tchem na dalszy ciąg. Czy coś takiego było możliwe? Zdarza się to przecież jedynie w bajkach.

– Tym samym chciałbym panią prosić o rękę pani córki Kathariny.

Wypowiedział te słowa głośno i dobitnie, znów ocierając pot z czoła chusteczką. Alicia była jak sparaliżowana. Elisabeth czuła przemożną potrzebę wybuchnięcia histerycznym śmiechem. Gdy jednak kontynuował przemowę już cichym głosem, uznała tę sprawę za tragiczną.

– Kiedykolwiek ona tutaj wróci, cokolwiek się jej przydarzy, będę podtrzymywał moją propozycję. Chciałbym kochać Katharinę jako małżonkę, chciałbym ją szanować, chronić i bronić przed wszelkim złem. Jak długo będę żył.

Zakrztusił się lekko, bo wiele wysiłku kosztowało go wypowiedzenie tych słów. Możliwe, że ułożył je sobie już w pociągu, bo nawet na moment się nie zawahał.

– Dziękuję panu – powiedziała Alicia, która jeszcze nie wiedziała, jak potraktować to niespodziewane wyznanie. – Dziękuję panu z całego serca, mój drogi, młody przyjacielu. Jest pan odważnym i uczciwym człowiekiem.

Teraz Alicia również wyciągnęła chusteczkę. Elisabeth musiała się mocno trzymać w ryzach, bo nagle poczuła gwałtowną złość. A może była to zazdrość? Niesamowite! Kitty mogła się skompromitować, uciec nie wiadomo gdzie, dzielić łóżko z Francuzem – a i tak znajdą się wielbicieli, którym nie będzie to przeszkadzać. Alfons Bräuer był dziedzicem prywatnego banku – wiele młodych dam z towarzystwa zagięło na niego parol.

– Jeśli mogę, łaskawa pani, przyjdę jeszcze jutro, aby z panią porozmawiać. Nie możemy tracić nadziei – słyszała, jak powiedział do jej matki.

Chciałabym, żeby Kitty umarła, pomyślała Elisabeth i przeraziła ją ta okropna, grzeszna myśl.

d="w_cieniu_tajemnic-41.html" xml:lang="pl-PL" aid="164MG1">

Kwadrans, najwyżej pół godziny, pomyślała Marie i przyśpieszyła kroku. Nikt niczego nie zauważył. W parku było słychać dźwięk piły ręcznej. Gustav stał na drabinie opartej o pień starego cedru i przycinał uschnięte gałęzie. Pomachała mu wesoło, a on odwzajemnił gest. Pod cedrem stał wózek, stary Bliefert zbierał do niego obcięte gałęzie.

W myślach powtarzała sobie, co miała załatwić. Para dzianinowych damskich rękawiczek, rozmiar siedem, jasne z drobnym wzorkiem. Jedwabne nici do haftowania: zielone w odcieniu liści lipy oraz blad różowe, pani Melzer dała jej odpowiednie na wzór. Kilka rolek nici do szycia: ciemnozielonych, jasnoniebieskich, matowobiałych, opakowanie igieł, trzy metry koronki na koszulę nocną. I co jeszcze? Było coś jeszcze. A! Rolka gumki.

Panienka Elisabeth miała jej towarzyszyć podczas zakupów, ale od obiadu męczy ją okropna migrena i leży w łóżku. Marie nie lubiła za bardzo Elisabeth, ale chwilami współczuła jej, że to ona musi cierpieć z powodu bezmyślnej ucieczki Kitty. Najbardziej to, co się stało, dotknęło jednak łaskawą panią, która potwornie się martwiła o córkę. Paul również był zaniepokojony, choć starał się nie dać tego po sobie poznać. Z pewnością cierpiał również dyrektor Melzer, ale jemu Marie nie była w stanie współczuć. Całe noce nie mogła spać. Przewracała się w łóżku z boku na bok i starała się sobie przypomnieć każde zdanie, które powiedział wielebny Leutwien. Była pewna, że przynajmniej kilkakrotnie nazwał Jakoba Burkarda jej ojcem. Nie było mowy o adopcji ani o tym, że jej matka była w ciąży z innym mężczyzną, gdy brała ślub. Ale może zataiła ciążę przed księdzem. Marie urodziła się 8 czerwca 1895 roku – jeśli to, co jej powiedzieli w sierocińcu, jest prawdą. Matka musiała być więc w czwartym lub piątym miesiącu ciąży, gdy wychodziła za mąż. Tylko z kim właściwie była w ciąży?

Och, jak pogardliwie Melzer wyrażał się o jej matce! Artystka, która

prowadziła swobodne życie. Brzmiało to tak, jakby uważał Luise Hofgartner za kobietę rozwiązłą, która zadawała się raz z tym, raz z innym mężczyzną. Czy nie wyszła za mąż? Za człowieka, który stał już wtedy nad grobem? Czy ten kościelny ślub nie był oznaką wielkiej miłości? Z pewnością był. Ale nie ma żadnego dowodu na to, że dziecko, które nosiła Luise Hofgartner, było tego mężczyzny, z którym złączyła się przed Bogiem. Ale przecież w księdze parafialnej musiał zostać zapisany również jej chrzest. I tam bez wątplenia podano imię jej ojca. Musi jeszcze raz porozmawiać z wielebnym Leutwieniem i poprosić go, żeby przejrzał księgi. Z pewnością to dla niej uczyni. W tym miesiącu nie ma już żadnych wolnych wyjść, ale teraz, gdy wysłano ją po zakupy, nadarzała się okazja. Wielebny Leutwien sięgnie po odpowiednią księgę w swoim pokoju, w kilka sekund odnajdzie informację i cała sprawa zajmie niewiele czasu jemu i jej. Musi jedynie wziąć pod uwagę czas potrzebny na dojście do kościoła Maksymiliana, ale nie było to bardzo daleko, a ona szybko chodziła.

Wszystko jednak dzisiaj sprzysięgało się przeciwko niej. W sklepie z rękawiczkami Ernstine Sauerbier niewyobrażalnie długo czekała, aż pani doktorowa Wohlgemut i jej córka zdecydują się wreszcie na parę śnieżnobiałych jedwabnych rękawiczek. Oczywiście było, że szykuje się u nich ślub, dlatego z taką uwagą wybierały każdą rzecz. W domu towarowym naturalnie mieli nici do szycia i gumkę, ale nie było tam wielkiego wyboru przedzy do haftowania. Poszła więc po nie i po koronkę do dwóch innych sklepów, i gdy już miała wszystko, czego potrzebowała, okazało się, że minęła cała godzina. Trudno, pomyślała, to nie potrwa dłużej niż kwadrans, i skierowała się w stronę kościoła Maksymiliana.

W świetle dziennym plebania robiła wrażenie mocno zaniedbanej, prawdopodobnie również dlatego, że teraz, na początku kwietnia, krzewy były wciąż nagie, a odpadający tynk odkrywał metalową kratownicę. Wspięła się po trzech stopniach z piaskowca, podeszła do drzwi i nacisnęła dzwonek. Usłyszała, jak ze środka ktoś człapiącym krokiem zbliżał się do drzwi, po czym drzwi z ciemnego dębu uchyliły się i w niewielkiej szparze pojawiła się twarz gospodyni.

– Szczęść Boże – powiedziała Marie tak przyjaźnie, jak tylko potrafiła. – Chciałabym rozmawiać z wielebnym.

– Chce się pani wyspowiadać?

Marie zaskoczyło to pytanie. Co właściwie obchodziło gospodynię, jaką

sprawę miała do księdza?

– Jestem Marie Hofgartner i bardzo bym chciała rozmawiać z wielebnym.

Czy tymi słowami rozgniewała starszą kobietę? Głośno wciągnęła powietrze przez nos i spojrzała na Marie ze złością.

– Wielebnego Leutwiena nie ma.

Co za pech! Już wcześniej zauważyła, że to nie jest jej szczęśliwy dzień.

– A kiedy wróci?

– To może potrwać godzinę albo dwie. Najpierw przygotowuje uczniów do bierzmowania, a potem jest wieczorna msza.

Innymi słowy, chciała się jej pozbyć. Wielebny po prostu nie miał dziś dla niej czasu.

– A gdybym tylko chciała się wyspowiadać? – spróbowała ponownie.

– Jeśli chce się pani wyspowiadać, w kościele jest kapłan, który wysłucha spowiedzi.

Po tych słowach schowała się do środka, a szpara w drzwiach znikła. Co za obrzydliwa stara wiedźma! Marie rozczarowana szła przez dziedziniec kościelny, mrużąc oczy przed oślepiającym kwietniowym słońcem. Będzie musiała znów iść na poranną mszę, tam przynajmniej złapie księdza. Na pewno się teraz nie podda, wie już dość dużo. Albo zbyt mało – zależy, jak na to spojrzeć. Gdy przeszła kilka następnych ulic, wpadło jej do głowy, żeby jeszcze raz porozmawiać ze starą panią Deubel. Nie było to bezpieczne przedsięwzięcie, ale skoro gospodyni zobaczyła, że Marie opiekuje się młody pan Melzer, nie powinna po raz drugi nasyłać na nią dozorczy. Właśnie tak! Dlaczego wcześniej na to nie wpadła? Stara pani Deubel wiedziała bardzo dużo o jej matce i z pewnością nie opowiedziała jej z tego nawet połowy. Wróci oczywiście zbyt późno do willi i będzie musiała wymyślić sobie jakieś usprawiedliwienie. W tej chwili jednak nie było to ważne. Idąc wąskimi uliczkami, skróci sobie drogę. Pracowała kiedyś na obrzeżach miasta i dobrze je znała.

Kwietniowe słońce było bezlitosne. Oświetlało knajpę, do której się zbliżała, rażącą jasnością i ujawniało postępujący rozpad tego zrujnowanego budynku. Wydawało się, że zupełnie nikt o niego nie dba, miejscami prześwitywał szkielet z belek, gdzieś tam drewnogniło, a wróble budowały sobie gniazda w prześwitach. Dobrze choć, że ci nieproszeni mieszkańcy są tak radośni z natury. Wróble trzepotały skrzydłami, zbierały materiały potrzebne do budowy gniazd i walczyły o każdy kąsek.

Nie zastanawiając się, Marie poszła schodami na górę. Nikt jej nie zatrzymywał. Jednakże zanim dotknęła drzwi na piętrze, gwałtownie się one otworzyły. Przestraszona odskoczyła, bo przed nią stała rozwścieczona gospodyni.

– Znowu przyszłaś szpiegować, Marie Hofgartner? – zapytała z pogardą i uśmiechnęła się szyderczo.

Nawet gdy nie otwierała zbyt szeroko ust, widać było, że brakuje jej jednego z siekaczy.

– A co pani do tego? Chcę odwiedzić pani matkę, proszę mnie przepuścić!

Grymas kobiety zmienił się w śmiech, który przeraził Marie. Złośliwy, pełen nienawiści, jednocześnie ujawniał zgorzknienie człowieka, który zawsze znajdował się po mrocznej stronie życia.

– Przyszłaś za późno. Idź sobie na górę, rozejrzyj się. Nie znajdziesz tam mojej matki, bo od dwóch tygodni leży w grobie.

Umarła. Wszyscy święci! Czemu wcześniej nie pomyślała, żeby jeszcze raz przyjść i wypytać staruszkę? Teraz było już za późno. Na zawsze za późno.

– Przykro mi... – wyszeptała. – Moje kondolencje...

– A tak! – bąknęła gospodyni, odsuwając siwe pasmo włosów z twarzy. – Stara żyła już wystarczająco długo. Od lat nie wychodziła z mieszkania, wszystko musiałam jej donosić na górę. A na koniec stała się głupia jak dziecko, dobrze, że już odeszła.

Marie nie wiedziała, co odpowiedzieć. Skinęła jedynie na do widzenia, odwróciła się i odeszła. To faktycznie nie był jej dobry dzień. W końcu co się źle zaczyna, to się i źle kończy. Zmarnowała tylko niepotrzebnie czas, zostanie zbesztana i jeszcze musi wymyślić jakąś wiarygodną wymówkę, dlaczego wraca tak późno. Na szczęście kupiła wszystko, co jej kazano. Rękawiczki, przedzę, koronki, gumkę, nici do szycia. O Boże! Zapomniała o igłach! Była już przy wejściu do parku i zamierzała przejść do willi przez szeroki podjazd dla samochodów, gdy sobie o tym przypomniała. Przystanęła przerażona – jeszcze i to! Cóż, było za późno, żeby wrócić do miasta i...

– Uważaj! Na Boga! Marie!

Równocześnie z ostrzegającym okrzykiem usłyszała skrzypnięcie i trzaśnięcie czegoś dużego. Oblała ją ciemność, poczuła ukłucie na ramieniu i krzyknęła z bólu.

– Ty głupcze! Zobacz, co narobiłeś!

– Sądziłem, dziadku, że ta jeszcze się trzyma. Skąd mogłem wiedzieć, że jest

tak zgniła i że spadnie?

Marie stała oszołomiona na drodze. Upuściła kosz z zakupami i trzymała się za bolące ramię. Gałąź ogromnego dębu spadła na nią, omijając głowę dosłownie o kilka centymetrów, i uderzyła ją w lewe ramię.

– Żeby tylko nie było złamane – lamentował stary Bliefert. – Możesz ruszać ręką, Marie? Dobry Boże, pozwól mi najpierw odciągnąć tę przeklętą gałąź.

– Już dobrze – wymamrotała Marie.

Musiała się schylić, bo stary mężczyzna tak niezręcznie podniósł ogromny konar, że o mały włos nie podrapał jej twarzy.

– Czekaj, dziadku, już idę!

Gustav pośpiesznie odstawił drabinę i corpus delicti podniósł do góry z taką łatwością, jakby nie ważył więcej niż piórko. Jednym gwałtownym ruchem wyrzucił zmurszałą gałąź na łąkę, opuścił ramiona i patrzył na Marie z takim poczuciem winy, jakby był złajany uczniakiem.

– Jestem takim głupcem, panienko Marie... Czy... czy bardzo boli? Dziadek może zrobić panience okład ze swojego cudownego balsamu, który pomaga na siniaki.

Marie poruszyła ostrożnie ramieniem, czuła, że jest dziwnie zdrętwiałe. Mogła jednak podnieść rękę, miała więc szczęście w nieszczęściu.

– Nie jest tak źle – powiedziała i uśmiechnęła się z wysiłkiem. – A słowo „panienka” zachowaj lepiej dla prawdziwych panien. Ja jestem Marie, nie żadna panienka.

Gustav skrzywił się lekko i uśmiechnął przekornie, jakby wiedział lepiej.

– Dla mnie jesteś panienką. Z tym się człowiek rodzi. Niektóre są córkami szlachetnie urodzonych panów, a zachowują się jak wiejskie półgłówki i nigdy nie będą damami. A inne przychodzą pracować jako pomoce kuchenne, ale tak naprawdę są młodymi paniami...

– Będziesz się dalej tak gapić? – wtrącił się dziadek. – Biegnij szybko i powiedz w willi, że Marie jest tutaj z nami. Miała wypadek i musi zostać nasmarowana cudownym balsamem.

Polecenie nie spodobało się Gustavowi, a Marie, która zebrała zakupy z ziemi, też miała zastrzeżenia.

– To bardzo miłe, ale już jestem spóźniona, panie Bliefert. Lepiej przyjdę innym razem. Ręka już prawie nie boli.

– Jeśli jej zaraz nie rozsmaruję, rano będzie spuchnięta i granatowa. A w ciągu dnia nie będziesz mogła nią ruszać.

Nie brzmiało to zbyt dobrze. Marie dysponowała już sporym doświadczeniem z siniakami i opuchnięciami, w sierocińcu często i mocno była poobijana. Faktycznie mogło być gorzej, jeśli uderzyła się we wrażliwe miejsce.

– Jeśli pan tak mówi – powiedziała zdenerwowana. – Ale pod warunkiem, że potrwa to krótko.

Gustav westchnął ciężko, bo w willi na pewno będą go pytać, co to był za wypadek, i nie będzie mógł skłamać. Miał nadzieję, że łaskawa pani się o tym nie dowie. Od lat liczył przecież na to, że w końcu z pomocnika ogrodnika stanie się prawdziwym ogrodnikiem. Niechętnie poszedł do willi, a stary Bliefert złapał za uchwyt taczki i przykazał Marie, żeby poszła za nim.

Domek ogrodników pochodził jeszcze z czasów, gdy park był w posiadaniu pewnego bogatego kupca, który tutaj, tuż przed wejściem do miasta, stworzył swój mały raj. Ten parterowy budynek, zbudowany z kamienia, miał służyć za szopę na narzędzia i schronienie dla niższych stopniem pracowników. Później Johann Melzer, kolejny właściciel, odnowił dach i kupił Bliefertowi, który wprowadził się tam z żoną i dziećmi, materiały potrzebne do przeprowadzenia remontu.

– Wcześniej było tyle życia w tym domu – opowiadał stary ogrodnik, gdy wchodzili do kuchni. – Moje dzieciaki wybiegały mi naprzeciw, gdy wracałem, a moja Erna zawsze czekała na mnie z obiadem grzejącym się na piecu. Dziesięcioro albo nawet dwanaścioro siadało nas przy stole, bo chłopcy przyprowadzali często kolegów. To były dzieci biednych ludzi i jadły u nas do syta. Później przychodzili synowie i wnuki, w domu było więc zamieszanie, a czasami nawet kłótnie, ale Erna zawsze wszystkich brała pod swoje skrzydła. Później w domu stawało się coraz ciszej, i gdy opiekowała się już tylko mną i Gustavem, brakowało jej dziecięcych śmiechów i okrzyków. Zmarła i zostaliśmy sami, dwaj mężczyźni.

Faktycznie, na pierwszy rzut oka było widać, że w tym domu brakuje kobiecej ręki. Marie tylko pokiwała głową, gdy zobaczyła bałagan w kuchni, brudne naczynia i poczerniałe ściany. Czy od śmierci żony ogrodnika były tu myte podłogi? Okien na pewno nikt nie mył, bo wyglądały, jakby były ślepe.

– Usiądź na ławce, Marie – polecił jej starszy mężczyzna, który zauważył jej zdumiony wzrok. – Nie zwracaj uwagi na Minkę, ona tylko śpi i troszczy się o gości.

Uśmiechnął się nieśmiało, jakby chciał przeprosić za bałagan, i poszedł do

sąsiedniego pokoju, prawdopodobnie sypialni, żeby przynieść magiczny balsam. Marie spojrzała z szacunkiem na śpiącą Minke, dużego burego kota zwiniętego w kłębek na poduszce. Gdy Marie się zbliżyła, kotka poruszyła uszami, otworzyła oczy tak, że przypominały wąskie szparki, prychnęła i się przeciągnęła. Marie zauważyła, że Minka ma długie pazury, postrzępione uszy i zdecydowanie była kocurem, nie kotką. Gdy głaskała go po miękkiej sierści, zrobił natychmiast koci grzbiet i zaczął mrużyć.

– Widać, że bardzo cię polubiła – powiedział stary Bliefert. – Usiądź sobie, będzie się cieszyła, że jest głaskana.

Naprawdę nie wiedział, że Minka to kocur? Dziwne. W każdym razie Minka uwielbiał czułości, parskął, sapał, mrużkał, ocierał się grubym łebkiem o rękę Marie i ani przez chwilę nie miał dość. Dopiero gdy ogrodnik potrząsnął przyniesioną szklaną butelką i ją odkorkował, Minka zaprzestał zalotów, uniósł pyszczek, postawił ogon i położył łapę na stole.

– Ona uwielbia mój cudowny balsam! – zaśmiał się ogrodnik. – Ale nie może go pić, nie można jej go dawać.

Marie była przekonana o słuszności tych słów, bo balsam pachniał tak mocno, że ledwie mogła oddychać.

– Co... co w nim jest?

Bliefert powąchał badawczo butelkę, przytaknął zadowolony i wyciągnął szufladę, żeby wyjąć z niej ręczniki kuchenne.

– Jest w nim wszystko to, co pomaga na siniaki i opuchlizny: olej lniany, wosk pszczeli, arnika i rumianek, bylica pospolita, babka lancetowata. I inne składniki, których lepiej nie będę wymieniał.

Gdy przyłożył ściereczkę do szyjki butelki i ją odwrócił, intensywny zapach brązowej cieczy stał się jeszcze intensywniejszy, ku uciesze kocura Minki, który zaczął teraz wręcz gruchać. Prawdopodobnie ogrodnik dodał do mikstury walerianę, ale też coś uzyskanego z końskiej uryny. Faj!

– No to teraz pokaż mi swoje śliczne ramiona, dziewczyno. Lepiej, żebyśmy skończyli, nim przyjdzie Gustav, bo mu oczy wyjdą na wierzch.

Marie rozpięła płaszcz i bluzkę, ściągnęła nieco koszulę i spostrzegła, że jej ramię już jest spuchnięte.

– Auu!

– Musi zostać dobrze wsmarowany, inaczej nie pomoże. Bądź dzielną dziewczyną, wytrzymaj jeszcze trochę, a będziesz mieć spokojną noc i rano nie będziesz już obolała.

Teraz nie czuła nic prócz piekącego, okropnego bólu. Ledwie się powstrzymywała, by nie odskoczyć i nie uciec, ale nie chciała się ośmieszać, i siedziała spokojnie.

– No! – mruknął wreszcie z zadowoleniem i puścił jej rękę. Podeszedł, by zrzucić Minkę ze stołu. – Teraz szybko się ubierz, żeby zatrzymać ciepło. Zobaczysz zaraz, jak działa magiczny balsam. Nie zostanie śladu po siniaku.

Minka prychnął i patrzył zdenerwowany, jak starszy mężczyzna ponownie korkuje butelkę z nęcącą dla niego zawartością. Marie ubrała się i miała wrażenie, że jej ramię pali żywy ogień. Cóż to za diabelska mikstura! Tylko jak w willi wytłumaczy ten dziwny zapach, którym teraz cała przesiąkła?

– To śmierdzi jak stajnia! Skąd pochodzi ten zapach?

Uśmiechnął się i raz jeszcze docisnął korek. Tak, w środku było coś od konia. Przywiózł to od starego znajomego, który trzyma konie. Pan Melzer sam ma cztery piękne koniki, kasztanową klacz i trzy brązowe wałachy.

– Zanim wynaleziono automobile, zawsze jeździł jednym z powozów. Wtedy znacznie szybciej jeździło się końmi, i one nie kapryszą tak jak samochody. Ja też często woziłem pana Melzera.

No proszę, był nie tylko ogrodnikiem, ale też woźnicą. Marie spróbowała ostrożnie unieść palące ramię i musiała przyznać, że prawie już nie czuła bólu. Bliefert wziął teraz na kolana mruczącego kota, żeby podrapać go czule za uchem.

– Wtedy pan Melzer bardzo dużo wychodził, również wieczorami jeździł do miasta i czasami musiałem długo czekać, aż będzie chciał wrócić do domu.

Marie musiała mieć aż na czole wypisane pierwsze skojarzenia, bo Bliefert dodał natychmiast, że to było wcześniej, zanim pan Melzer się ożenił. Później Bliefert woził głównie jego młodą małżonkę, na zakupy albo w odwiedziny do przyjaciółek.

– Tak to jest u bogatych dam – powiedział. – Moja Erna niewiele wychodziła przez całe swoje życie. Zawsze była w domu z dziećmi i miała co robić w ogrodzie albo w domu.

Marie przytaknęła uprzejmie i dziękując serdecznie, chciała się już pożegnać, ale Bliefertowi zebrało się na wspomnienia.

– Wieczorami Melzerowie często byli zapraszani do różnych znajomych, woziłem więc ich do tych domów, a sam siedziałem w knajpie i czekałem, aż będą chcieli wrócić. Knajpę Zielone Drzewo pamiętam wciąż dobrze. Było tam przytulnie, piwo też nie było złe, tylko ta gospodyni... ona była jędzą...

Co on powiedział? Zielone Drzewo?

Musiał chyba mieć na myśli inne miejsce, bo w okolicy tej knajpy nie ma przecież żadnych domów szlachetnie urodzonych ludzi.

– Był pan pod Zielonym Drzewem? U pani Deubel może?

– Tak się nazywała – przytaknął. – I faktycznie była diablicą³, ta stara i ta młoda też.

– Woził pan dyrektora Melzera na przedmieścia? Do domu, w którym znajduje się gospoda Zielone Drzewo?

Przytaknął, niezadowolony nałożył czapkę na głowę i naciągnął ją mocno na czoło. Fakt, że powiedział tak głupią rzecz, musiał świadczyć o tym, że był już w wieku, w którym zaczyna się dzieciństwo.

– Dyrektor Melzer odwiedzał tam kobietę o nazwisku Luise Hofgartner, prawda? – nie dawała za wygraną Marie.

Spojrzał na nią zaczerwienionymi oczami i przytaknął. Tak, tak się nazywała. Malarka czy jakoś tak. Dzika kobieta to była – tak, na świętego Franciszka, oj, była! Przed taką to nawet sam Belzebub by uciekał!

– A dlaczego? – zapytała Marie oburzona.

– No cóż – warknął Bliefert i podrapał się mocno po karku. – Kłócili się, pan Melzer i ta malarka. Tak głośno, że było słychać aż na dole, w gospodzie. Było mi naprawdę wstyd przed ludźmi, bo pan dyrektor ryknął kiedyś tak mocno, że wszyscy zaczęli się śmiać. A gdy w końcu zszedł i zawołał mnie, był tak wściekły, jak go nigdy wcześniej nie widziałem. Wybiegł purpurowy, można byłoby sobie pomyśleć, że zaraz szlag go trafi.

Brzmiało to naprawdę dziwnie. Jej matka nie mogła spłacić swoich długów i to na pewno nie było przyjemne dla dyrektora Melzera, ale właściwie w jakiś sposób musiał się z tym liczyć. Co więc aż tak go denerwowało?

– To było też dla niego bardzo nieprzyjemne, bo koniecznie potrzebował tych dokumentów – ciągnął Bliefert.

O czym on mówi? To było coś zupełnie nowego.

– Jakich dokumentów?

Wzruszył ramionami i zrobił głęboki wdech, wyrażający niezadowolenie. Kocur Minka przestał mrużyć i wszedł z powrotem na swoją poduszkę.

– Dokumenty jakieś. Rysunki. Były bardzo istotne dla pana dyrektora Melzera. Myślę, że dotyczyły maszyn w fabryce.

– Rysunki konstrukcyjne maszyn, to chciał dostać od Luise Hofgartner?

– Tak, plany konstrukcyjne, na których bardzo dokładnie i wyraźnie było narysowane, jak w środku wyglądają maszyny. Zaproponował jej za to bardzo dużo pieniędzy, a ona i tak nie chciała mu ich dać, ta szalona kobieta.

– Dlaczego nie?

– Z czystej złośliwości, tak powiedział dyrektor Melzer.

Marie milczała. Czy to, co powiedział ten starszy mężczyzna, było prawdą? Jeśli jej matka faktycznie posiadała te plany, mogła je dostać tylko od Jakoba Burkarda. Czy ksiądz nie powiedział, że to on zaprojektował i zbudował wszystkie maszyny w fabryce? Ale dlaczego nie sprzedała ich Melzerowi? Przecież potrzebowała pieniędzy. Jedno było pewne. Jeśli to, co mówi stary ogrodnik, jest prawdą, to dyrektor Melzer ją okłamał. Nie sprzedał mebli jej matki, żeby miała pieniądze. On je przejął, bo chciał ją przyprzeć do muru. Tylko dlaczego nie chciała mu oddać tych planów?

– Teraz to już naprawdę się rozgadałem – powiedział ogrodnik i wstał energicznie. – Musimy jeszcze pociąć zmurszałe drewno i schować je na zimę. Tylko gdzie się podziewa Gustav?

Było aż nazbyt widoczne, że po prostu chce uniknąć dalszego ciągu tej krępującej rozmowy. Nachylił się poufale nad Marie i powiedział, że Gustav zwariował na punkcie tej młodszej pokojówki. Ma na imię Adele albo Anna Maria.

– Ach, myśli pan o Auguste? Ale ona jest przecież w ciąży.

Stary zachichotał. To właśnie podoba się Gustavowi. Już dwa razy przyłapał go przy kuchennych drzwiach z Auguste. Nie, czegoś takiego zupełnie się nie spodziewał po tym prostym chłopaku.

Marie wreszcie wstała i bardzo się cieszyła, że znów jest na świeżym powietrzu, bo smród magicznego balsamu wciąż wypełniał małą kuchnię. Jak dziwnie czasami dzieje się w życiu. Miała dziś dwa razy pecha i to, czego chciała się dowiedzieć, wciąż jest przed nią ukryte w cieniu tajemnicy. Otrzymała jednak do rozwiązania również nową zagadkę.

Zanim stary Bliefert chwycił uchwyt taczki, zatrzymał się jeszcze i odwrócił w stronę Marie.

– Powiedz no, czy ty przypadkiem też nie nazywasz się Hofgartner? Czy coś mi się pomyliło?

– Tak, zgadza się. Jestem Marie Hofgartner.

Przytaknął zadowolony, że jego głowa jeszcze zupełnie go nie zawodzi.

– Co za zabawny zbieg okoliczności!

[3](#) *Der Deubel* w języku niemieckim oznacza diabła.

d="w_cieniu_tajemnic-42.html" xml:lang="pl-PL" aid="173721">

36

Cholera! Natychmiast chcę rozmawiać z panem dyrektorem Melzerem! Zaraz, tutaj na miejscu!

Te głośne żądania dochodzące z sekretariatu, które słyhać było również na korytarzu, nie były obce Paulowi. Co za irytująca osoba ta Grete Weber. Niestety trzeba było się z nią obchodzić jak z jajkiem, bo informacja o wypadku jej córki, o ile to było możliwe, nie powinna przeniknąć do publicznej wiadomości. Zwłaszcza że dziewczyna miała dopiero trzynaście lat.

– Pan dyrektor Melzer jest teraz zajęty i nie ma dla pani czasu.

To była panna Lüders. Nienaturalnie chłodna i rzeczowa. Niestety, jej trud nie przyniósł oczekiwanego efektu.

– No to ja wam coś powiem, wy delikatne paniusie!

Kobieta teraz zaczęła wrzeszczeć dwa razy głośniej i trzy razy bardziej zajadle:

– Nawet jeśli jesteście zasznurowane i wystrojone, a wasze ręce nigdy nie skalały się pracą, gdy mówię, że chcę rozmawiać z dyrektorem, to macie mnie zapowiedzieć! Bo moja biedna córka Hanna miała wypadek w przedzalni, a ma dopiero trzynaście lat! I powinna chodzić do szkoły. A ja chyba nie powinnam tego rozpowiadać. Zrozumiałyście?!

Paul uznał, że sekretarki potrzebują męskiego wsparcia, i energicznie otworzył drzwi. Trzy pary oczu zwróciły się w jego stronę. Panna Lüders spojrzała na niego z ulgą, a panna Henriette Hoffmann wpatrywała się w niego, jakby był świętym Michałem, pogromcą smoka. Tylko bezpośrednio zainteresowana kobieta patrzyła na niego wrogo, bo jego wejście wytrąciło jej broń z ręki.

– Cóż, moje panie – powiedział z uśmiechem. – Czy przerwa obiadowa już się skończyła? Raczej nie! Nalegam, żebyście panie zjadły porządny obiad.

Policzki sekretarek poróżnowiały, obie się uśmiechnęły. Panna Lüders zdjęła

okulary. Hoffmann odłożyła nadgryzioną kanapkę z serem na stół i zdobyła się na stwierdzenie, że zawsze jest gotowa załatwiać problemy swojego szefa, nawet w czasie przerwy obiadowej. Grete Weber otworzyła usta, żeby zwrócić na siebie uwagę, ale Paul ją uprzedził.

– Pani Weber! No proszę, a właśnie chciałem pójść do przędzalni, sprawdzić, co u pani. Jak się ma Hanna? Czy są jakieś postępy w leczeniu?

Te słowa zostały wypowiedziane w tak przyjazny sposób, że kobieta wpadła w zakłopotanie. Tak, młody pan Melzer był zupełnie inny niż jego ojciec. Ale oczywiście on tutaj na razie nie miał nic do powiedzenia. Jeszcze nie.

– Postępy? Drogi Panie Jezu! Jej jest gorzej, panie Melzer. Nawet gdy lekarze mówią, że jest lepiej, to matka przecież zna swoje dziecko, co?

Paul potwierdził. Matki zawsze mają prawdziwe przeczucia, to jest wiadome.

– A więc co jest nie tak? – chciał wiedzieć Paul. – Czy złamanie się nie goi?

– Nic się nie goi! – krzyknęła pani Weber i zrobiła gest ręką wyrażający zniechęcenie. – O zdrowieniu w ogóle nie można mówić. Jest zupełnie sztywna. I taka chuda. I pieniędzy też już nie ma, więc nie mogę jej przynieść więcej soków czy smakołyków. Ona po prostu opada z ciała, moja biedna dziewczyna.

Paul wysłuchał tego, co powiedziała, i stwierdził, że jest bardzo zmartwiony. Jeszcze dzisiaj odwiedzi Hannę w szpitalu i o wszystkim powie swojemu ojcu. Pani Weber zrobiła wielkie oczy, sądziła, że jej skarga zostanie inaczej przyjęta, że dostanie do ręki dwadzieścia marek albo chociaż dziesięć. Co by z nimi zrobiła, to jej sprawa. A teraz młody pan Melzer chciał jechać do szpitala, żeby porozmawiać z lekarzami.

– Wie pan – zaczęła tym razem ostrożnie – ci lekarze się tylko kręcą, bo chcą się pozbyć Hanny. Chcą, żeby poszła do domu. Ale kto się będzie nią opiekował? Ja muszę pracować, chłopcy chodzą do szkoły, a po południu biegają z kolegami. Babka jest zdiecinniała, musimy ją przywiązywać do łóżka, boby uciekła i więcej by nie wróciła do domu.

– A pani mąż?

Skrzywiła się i prychnęła głośno. Nie, na pewno nie. Jego prawie nigdy nie ma. I tak jest lepiej.

– Niech się pani nie martwi, pani Weber. Zawiozłem Hannę do szpitala i zatroszczę się o to, żeby znów była zdrowa.

Złapał ją za rękę i uściśnął mocno. Kobieta była tak oszołomiona, że

poruszała się jak manekin, było to dla niej zupełnie niezwykle, że tak wysoko urodzony pan wziął ją za rękę. Nie umyła ich przecież nawet, zanim tu przyszła, tylko szybko wytarła olej z maszyn w fartuch.

– To... to ja bardzo serdecznie panu dziękuję – wyjąkała. – Za to, że się pan tak troszczy o Hannę... Chciałabym jeszcze tylko dwadzieścia marek...

– Porozmawiam o tym z ojcem, droga pani Weber. A teraz wszyscy wracamy do pracy, przerwa obiadowa się skończyła. Panno Hoffmann, będę dyktować. I proszę wziąć ten gruby notes, bo będzie tego dużo.

Henriette Hoffmann wzięła gruby notatnik i pióro, podczas gdy Lüders wsunęła do maszyny do pisania kartkę z dwoma znakami firmowymi, żeby napisać list handlowy. Dobrze się dogadywała z koleżanką, ale bolało ją, że młody pan Melzer tylko pannie Hoffmann dyktuje swoje listy. Czy szybciej pisała na maszynie? Nie, nie było tak. A może po prostu bardziej mu się podobał nos panny Hoffmann?

Drzwi zamknęły się za Grete Weber. Bogu dzięki, ta irytująca kobieta wreszcie sobie poszła.

– Bezczelność – zauważyła Hoffmann, gdy już usiadła w sąsiednim pokoju przed maszyną do pisania. – Pan dyrektor jest zbyt wielkoduszny. Inny już dawno by ją zwolnił.

Paul nie zareagował na tę uwagę. Zlecił sekretarce dużo listów do napisania: ułożył ofertę, sformułował odpowiedź na skargę, stworzył propozycje podjęcia działań promocyjnych, zaproponował podjęcie współpracy z Wiedniem, Petersburgiem i Ameryką Południową. Oczywiście wszystko należało przedstawić surowemu panu dyrektorowi do oceny. Jego ojciec powinien wiedzieć, że dużo się nauczył o fabryce i teraz rozwijał własne pomysły. Trzeba było myśleć o współpracy międzynarodowej, żeby podejmować duże inicjatywy handlowe. Z Anglią stosunki układały się dobrze i wspaniale, ale należało zapaść korzenie także w Rosji, Włoszech czy we Francji, bo tam były ogromne rynki zbytu. Ojciec jednak ciągle powtarzał, że może wybuchnąć wojna. Rosyjski car wzmacniał armię – no i? Niemcy powiększyły flotę wojenną, Anglia zbudowała nawet samoloty, dzięki którym można było śledzić wroga z powietrza. Rządzący się puszyli, chcieli sobie wzajemnie zaimponować, ale żaden z nich nie odważyłby się naprawdę zaatakować. A w dodatku rządzące dynastie były ze sobą powiązane i spowinowaczone.

Po dobrej godzinie panna Hoffmann westchnęła, bolały ją już ręce, zapytała

więc, czy może pan Melzer chciałby się napić kawy.

– Już kończymy, panno Hoffmann. Z panią poszło jak po maśle. Do jutrzejszego popołudnia może sobie pani odpocząć od pisania na maszynie.

– Bardzo dziękuję, panie Melzer. To przyjemność z panem pracować.

Spojrzał później na ojca, który z ponurą miną czytał pismo, a następnie je wyrzucił. Paul mógł przynajmniej teraz pokazać, że jego studia na coś się przydały. Był to list od prawnika – konkurent pozywał Melzera, że bezprawnie wykorzystał jego wzory na materiałach, inaczej mówiąc, że je ukradł.

– Tak nie można, tato.

– Ale jest denerwujące. Zabiera pieniądze i energię. Jakbyśmy nie mieli innych zmartwień.

Ojciec wydawał się zdenerwowany i przemęczony, Paul niemal zaczął się o niego martwić. Miał ponad sześćdziesiąt lat i przez ostatnie miesiące wyraźnie się postarzał. Jego broda stała się zupełnie siwa, a pod oczami utworzyły się półkoliste pierścienie zmarszczek.

– Jadę do szpitala, żeby sprawdzić, jaki jest stan Hanny Weber. Jej matka była tutaj.

Ojciec wydawał się cieszyć z faktu, że Paul zajmie się tą sprawą. Tak, nawet w biurze słyszał tę kobietę, bezwstydną osobą. Gdyby nie wydarzył się ten niefortunny wypadek, już dawno wyrzuciłby ją na ulicę. Popęłił błąd, dając jej kilka razy pieniądze.

Paul się uśmiechnął i zdusił w sobie uwagę, że ojciec faktycznie popełnił błąd. Zrobił to, bo dyrektor i tak sam złościł się z tego powodu.

– Kobiety – mruknął Melzer senior. – Czytałeś już może artykuł w dzisiejszym „Allgemeinen Zeitung”? Sufrażystki! Dzikie furie o kobiecych kształtach! Hołota pozbawiona wstydu! W Anglii rozbiły szyby w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Rzucają się pod dorożki, podkładają ogień pod domy, kąpią się nago w rzekach...

– Hola! – krzyknął Paul rozbawiony. – Ojczy, ciebie to naprawdę mocno denerwuje. A te kobiety walczą jedynie o prawo do głosowania i szczerze nie potrafię zrozumieć, dlaczego nie chce im się...

Dyrektor Melzer spojrzał na syna tak, jakby widział go po raz pierwszy. Czy nie dociera do niego, że Europa zatonie, jeśli kobiety zyskają prawa wyborcze, krzyknął wojowniczo.

– Jest wiele mądrych i rozumnych kobiet, na przykład mama.

Teraz został zapędzony w kozi róg. Powiedział, że oczywiście przeciwko

jego matce nie chciał występować. Mimo to uważał, że kobiety takie jak Alicia powinny wykorzystywać swoje zdolności w sprawach domowych, dla dobra mężów i rodzin. Co bez wątpienia Alicia robiła. Żadna kobieta nie była w stanie zrozumieć skomplikowanych działań w Reichstagu, ich umysł, za przeproszeniem, po prostu nie jest wystarczająco rozwinięty. Losy narodów muszą pisać mężczyźni, tak było zawsze i tak powinno zostać. Paul się nie przeciwstawiał, choć nie we wszystkich kwestiach zgadzał się z ojcem. To Kitty przede wszystkim stanowczo opowiadała się za działaniami sufrażystek, bo ona uwielbiała prowokować otoczenie niezwyklejmi przekonaniami i pomysłami. Od wielu dni ojciec nie powiedział nawet słowa na temat Kitty, ale ten gwałtowny wybuch gniewu świadczył o tym, że cały czas zajmuje go sprawa utraconej córki.

– Będę z powrotem za godzinę albo dwie, ojczcie.

– Tylko nie trać niepotrzebnie czasu!

Pojechał do willi, zaparkował samochód tuż przy wejściu i wbiegł na górę schodami, mijając osłupiałą Else. Na korytarzu na pierwszym piętrze wyszła mu naprzeciw gospodyni, wyprostowana i zadbana jak zawsze, z uśmiechem na zmęczonej twarzy.

– Czy moja mama jest w czerwonym salonie, panno Schmalzler?

– Pańska matka leży w łóżku, ma okropną migrenę.

– Och, nieeee! Czy zechciałaby pani przekazać jej wiadomość, gdy poczuje się lepiej?

– Oczywiście.

Oboje się do siebie uśmiechnęli. Odkąd tylko pamiętał, panna Schmalzler była w domu. Zawsze wiedziała więcej niż rodzice o jego „potajemnych” wycieczkach, pierwszych próbach palenia papierosów czy pierwszych miłościach. Zazwyczaj go kryła, nawet wtedy, gdy sama wpadała przez to w kłopoty, dobra dusza.

– Jadę do szpitala, odwiedzić tę biedną dziewczynę ranną w wypadku – wyjaśnił. – I wezmę ze sobą Marie.

– Marie? Ale co ona ma z tym wspólnego?

Oczywiście natychmiast go przejrzała. Prędzej mógł ukryć coś przed Lisą czy rodzicami niż przed pracownikami. A przede wszystkim nie przed panną Schmalzler.

– Powinna porozmawiać z tą dziewczyną – starał się wymyślić jakieś wyjaśnienie. – Są pewne niejasności. Mnie dziewczyna nie chce nic

powiedzieć, ale może Marie powie.

– To całkiem prawdopodobne – potwierdziła gospodyni z poważną miną. – Przyślę Marie na dół.

Uśmiechnął się do niej i prawie miał ochotę rzucić się jej na szyję.

– Dziękuję, panno Schmalzler. Czekam w samochodzie.

Nie rozmawiał z Marie od czasu tego nierozważnego i zarazem wspaniałego pocałunku. Unikała go. O ile było to możliwe, używała schodów dla służby i wykonywała swoje obowiązki w pokojach, do których on nie miał dostępu. Najpierw był głęboko rozczarowany, nawet wściekły. Co on takiego zrobił, że postanowiła się przed nim ukrywać? Pocałował ją, nic więcej. I był zupełnie pewien, że jej do tego nie zmusił. Poddała mu się, ta zachowawcza Marie. Objęła go za szyję, a on wyczuł jej słodkie oddanie, ponadto odwzajemniła jego pocałunek. Inny wykorzystałby okazję i starałby się zaciągnąć ją do sypialni. Może on też powinien był to zrobić. Nie, pomyślał zaraz zawstydzony. To oznaczałoby koniec. Po pierwsze, nie poszłaby z nim. Po drugie, uważałaby go na pewno za kobieciarza. Konieczna była cierpliwość, musiał dać jej czas i poczekać na odpowiedni moment, by ujawnić jej prawdziwe zamiary. Nie chciał mieć z nią romansu, chciał... czegoś innego. Sam tylko nie był jeszcze pewien, co to miałyby być. Kilka razy spotkał ją w holu, uśmiechnął się do niej i życzył jej miłego dnia. Ona życzyła mu tego samego i poszła w swoją stronę. Ton jej głosu był poważny, ale nie nieprzyjazny. Kilka razy spotkał ją też w czerwonym salonie, razem z Lisą i matką. Siedziała na fotelu, robiła coś szydełkiem i opowiadała właśnie pewną historię, która rozśmieszyła obie kobiety. Gdyby się ujawnił w pełni ze swoimi uczuciami, matka natychmiast odesłałaby Marie. Ale sądząc po ostatnich tygodniach, wiedział już na pewno, że w ten sposób zbyt wiele nie osiągnie. Cierpliwość była istotną cnotą, ale im dłużej zwlekał z deklaracją, tym bardziej wzrastało napięcie między nimi. Nic dziwnego, skąd mogła wiedzieć, co on naprawdę myśli. Sam był przecież zaskoczony własnymi odczuciami. Musiał z nią porozmawiać, sam na sam, bez świadków, bez podsłuchiwczy. Samochód idealnie się nadawał na taką rozmowę.

Kazała mu na siebie czekać. Niecierpliwie siedział na miejscu kierowcy i bębnił opuszkami palców w kierownicę. Humbert mu opowiedział, że Marie była wczoraj po południu w domku starego ogrodnika. Zraniła się w parku i ogrodnik się nią zajął. Niestety Humbert nie był w stanie powiedzieć, który z ogrodników opatrywał ranę Marie. Młody czy stary. Gustav Bliefert nie był

co prawda adonisem, a i rozumem zbytnio nie grzeszył, ale był bliżej Marie niż on. I chociaż istniały oczywiste różnice pozycji między pokojówką i ogrodnikiem, to i tak znacznie mniej dotkliwie niż między pokojówką a paniczem.

– Bardzo przepraszam, że musiał pan czekać, łaskawy panie.

Jej słowa wyrwały go z zamyślenia. Spojrzał na jej poważną, lekko zaniepokojoną twarz. Wreszcie tutaj była. Usprawiedliwiała się – szczerze czy tylko grała? – że musiała jeszcze uczesać jego siostrę, bo ta wybierała się w odwiedzinę do koleżanki.

– Usiądź obok mnie.

Trzymała już w ręce klamkę tylnych drzwi, ale posłusznie usiadła obok niego. Dano jej ciemną suknię i z tego samego materiału długi żakiet z zaznaczoną talią. Jeśli się nie mylił, te rzeczy pochodziły z szafy Kitty. Włosy jak zawsze miała spięte i tym razem ukryte pod małym, uroczym kapelusikiem, którego nigdy nie widział ani u Kitty, ani u niej.

– Wyglądasz ślicznie, Marie.

Spojrzała na niego, a jej wymowne spojrzenie sprawiło, że zupełnie został zbity z tropu. Nie zrobił teraz niczego głupiego, powtarzał sobie i zapalił silnik. Niestety zgasł po chwili i musiał powtórzyć proces.

– Niełatwo jest prowadzić samochód – stwierdziła. – Czy są kobiety, które to potrafią?

– Oczywiście. To naprawdę nie jest trudne, ja tylko jestem czasami trochę niezdarzy.

Zaśmiał się zakłopotany i skierował auto w stronę rabatki kwiatowych, na których kłębiły się teraz żółte narcyzy oraz czerwone tulipany. Na łące w parku widać było wszędzie liliowe krokusy, które przypominały puchate poduszki. Marie z ciekawością obserwowała każdy jego ruch, patrzyła na wskaźnik prędkości, starała się dowiedzieć, co robi z nogami i gdzie są hamulce. Co to jest skrzynia biegów, jaką moc ma taki samochód, czy nie jest niebezpieczny i czy może wybuchnąć.

– Jeślibym teraz wyszedł, otworzył bak z benzyną i wrzucił do zbiornika zapaloną zapałkę, to tak, z pewnością nastąpiłby głośny wybuch.

Chciała wiedzieć, czy miał już kiedyś wypadek.

– Na szczęście nie – odparł. – Ale słyszałem, że ty miałaś jakiś wczoraj i ogrodnik musiał ci pomóc.

Spojrzała na niego zdziwiona, ale po chwili wydawała się już raczej

rozbawiona.

– Dobry Boże, echo niesie się w willi naprawdę szeroko. Kto panu o tym powiedział?

– Nie pamiętam. Po prostu obilo mi się o uszy. Mam nadzieję, że nie zraniłaś się poważnie.

– Nie było tak źle – odpowiedziała z uśmiechem. – Zmurszała gałąź spadła mi na ramię.

– Gałąź? Dobry Boże!

– I stary Bliefert posmarował mnie swoim magicznym balsamem.

Aha, a więc stary ogrodnik. Smarował jej rękę, ale przecież na pewno nie przez sukienkę. Paul poczuł, że rośnie w nim łagodny gniew, ale po chwili zrozumiał, że w tej sytuacji jego zazdrość była co najmniej komiczna. Bliefert miał jakieś siedemdziesiąt lat.

Przejechał przez bramę Jakoba i skierował samochód na lewo. Małe liche domki przeplatały się tutaj z miejskimi solidnymi budynkami, a między nimi wznosiły się hale magazynowe oraz remizy. Tutaj już zieleńły się krzewy, a w zapuszczonych ogródkach i zieleńcach w grubych kępach wyrastała trawa, pośród której można było dostrzec promieniejące bielą stokrotki i żółte mlecze.

– Ten balsam to jakaś diabelska mikstura – ciągnęła podekscytowana.

Słuchał, jak opowiada o kuchni, w której panował straszny bałagan, o kotce Mince, która tak naprawdę jest kocurem, i jak zastanawia się nad składnikami tego cudacznego panaceum. Potrafiła być na tyle zabawna, opowiadając o tym wszystkim, że musiał mocno się skupić, aby samochód nie wylądował w rowie, bo woźnice powożący końmi nienawidzili tej nowoczesnej konkurencji, która powoli, ale skutecznie odbierała im zatrudnienie i zarobek.

Zaparkował przed głównym budynkiem szpitala, zbudowanym z gotyckiej cegły, i wyłączył silnik.

– Poczekaj chwilę – powiedział, gdy sięgała już do klamki u drzwi, żeby wysiąść z samochodu. – Muszę ci coś powiedzieć, Marie.

Zastygła w bezruchu w sztywnej pozie obok niego.

– Niech pan sobie daruje – uprzedziła go. – Dobrze wiem, co chce pan powiedzieć.

– Ach tak?

Spojrzała na niego nieprzyjaźnie spod przymkniętych powiek.

– Chce mi pan powiedzieć, że było panu bardzo przyjemnie, gdy mnie pan

całował. I że spodziewa się pan, że mnie też się podobało...

– A było tak?

Odwróciła twarz w jego stronę i wydawała się płonąć.

– Tak.

To było niezwykle szczere wyznanie. Nie ośmielił się go skomentować, czekał tylko z zapartym tchem, co stanie się dalej.

– Mówię to panu, bo jest to prawda – ciągnęła. – I dlatego, że nie chcę, by były między nami kłamstwa. Mam o panu dobre zdanie, panie Melzer. I dlatego proszę, żeby pan nigdy więcej tego nie robił.

Cóż za dziewczyna! Gdzie teraz spotyka się taką postawę, taką odwagę, szczerość, taką ufność. Chciałby ją teraz wziąć w ramiona i powiedzieć jej, że ją kocha, że nie chce nigdy być z żadną inną kobietą. Do końca życia. Na całą wieczność. A co zrobił? Powiedział coś głupiego, zamiast wyznać, że szczerze ją kocha. Że też bardzo ją ceni, że od pierwszej chwili zwróciła jego uwagę, już wtedy, jesienią, gdy zjawiła się w willi ze swoim tobołkiem. Czy pamiętała tamtą chwilę? Siedział w samochodzie, który przejechał koło niej. Pragnął powiedzieć, że chce dla niej tego, co najlepsze, żeby była szczęśliwa. I żeby była zawsze blisko niego...

Słuchała go, marszcząc czoło, i chyba jednak nie był tak sprytny w swojej mowie, jak mogło mu się wydawać. W końcu powiedziała tylko, że skoro już przyjechali pod szpital, to powinni do niego wejść. Chyba że ta wizyta była jedynie pretekstem do rozmowy.

– Ależ nie!

Niechętnie otworzył drzwi samochodu i obszedł go szybko, żeby pomóc jej wysiąść. Marie jednak stała już na zewnątrz i stało się dla niego jasne, że to niestosowne podawać pracownicy rękę, gdy ta wysiada z samochodu. Dbał w ogóle o to? Właściwie ani trochę, ale Marie najpewniej by to przeszkadzało.

– Chodźmy.

Spojrzał niezadowolony przed siebie, był zły. Jak mógł zachować się tak nietaktownie? Dlaczego nie udało mu się otwarcie porozmawiać z Marie o swoich marzeniach i planach, a zamiast tego plątał się w słowach jak obłąkany? Był przecież elokwentny, potrafił sobie radzić nawet z trudnymi ludźmi, umiał rozwiązywać spory i wyrażać swoje zdanie na większym forum. Tylko przy Marie czuł się tak, jakby nagle stracił mowę. Co ona sobie o nim pomyślała? Najpewniej, że jest kompletnym idiotą, bo cóż innego, myślał

zrozpaczony. Jeśli dotychczas szanowała mnie jako człowieka i jako mężczyznę, to dzisiaj straciłem jej szacunek. Nie miał dość odwagi, żeby podjąć decyzję i ją jej przedstawić.

– Czas odwiedzin już się kończy – powiedziała siostra zakonna, pilnująca wejścia do protestanckiego oddziału szpitala.

– Bardzo dziękujemy, siostro, będziemy się śpieszyć.

Poszli schodami, bo nie chciał jechać w windzie sam na sam z Marie. Tak się skompromitował, że w tej chwili nie potrafił znieść jej oceniającego spojrzenia. Gdy szli przed długi ciemny korytarz, powtórzył jej tylko to, co powiedziała matka Hanny.

– Jeśli mała faktycznie jest tak słaba, powinna jeszcze przez jakiś czas zostać w szpitalu – skomentowała jego słowa Marie.

– Zaraz się przekonamy. Marie, może zechciałabyś zamienić z nią kilka słów?

Drzwi do pokoju siedemnaście były uchylone, a trzej wesoło przekrzykujący się chłopcy biegali naprzeciwko windy.

– No patrzcie – wyszeptał Paul. – Czy to są jej bracia?

W pokoju było duszno. Położono tu jeszcze jedną pacjentkę i na niewielkiej przestrzeni stało teraz jedenaście łóżek, z których jedno było zasłonięte białym parawanem. Gadatliwej kobiety, która leżała na łóżku pod oknem, nie było już w sali. Na jej łóżku siedziała teraz wychudzona, stara kobieta w różowej koszuli nocnej, patrząca nieobecny wzrokiem przez okno.

– Jestem na pogrzebie – powiedziała z wyrzutem. – Zachowujcie się stosownie, moi państwo.

– Przepraszamy – odpowiedział Paul, ale go nie usłyszała.

Łóżko małej Hanny było mocno skotłowane, a na prześcieradle widniała spora plama. Czyżby to była sprawka jej braci? Hanna nie miała już bandaża na głowie, widać było miejsce, w którym wygolono jej włosy. Gdyby nie lewe ramię w gipsie, wydawałoby się, że nie potrzebowała już opieki szpitalnej.

– Witaj, Hanno – pozdrowił ją Paul. – Pamiętasz mnie jeszcze?

– Pan Melzer, prawda?

– Zgadza się – powiedział z uśmiechem. – A to jest Marie, moja dobra znajoma.

Dziewczyna była onieśmielona. Pomimo długiego wypoczynku i dobrego jedzenia nie przytyła ani grama. Słuchał przez chwilę, jak Marie całkiem swobodnie rozmawia z małą – spokojnie, serdecznie i jakby – po matczynemu.

Wyglądało na to, że spodobała się dziewczynie, co go akurat zupełnie nie dziwiło. Ta biedna istota z pewnością nie zaznała w swoim życiu zbyt wiele czułości od matki.

Na korytarzu udało mu się złapać jedną z siostr i zaczął ją wypytywać o dziewczynę. Hanna była kochaną istotą, zawsze posłuszną, nigdy nie krzyczała, nie protestowała. Ale ci jej bracia, to zupełnie inna historia, na nich ciągle trzeba mieć oko.

– Jak to?

Codziennie przychodzą do szpitala, nawet wtedy, gdy nie jest to czas odwiedzin. Wkradają się do pokoju Hanny i wszystko jej wyjadają. Często już ich stąd wyrzucała, ale oni zawsze wracają.

– Także to, co kazał wysyłać pan Melzer: weki z sokami, jabłka, słodkie ciasta, wszystko zawsze trafia do żołądków tych trzech małych chuliganów.

– Niewiarygodne! – krzyknął Paul rozgniewany.

Teraz zrozumiał, dlaczego dziewczynka wciąż jest tak chuda. I dlaczego Grete Weber tak bardzo nie chciała, żeby jej córka opuszczała szpital. Dzięki temu jej potomstwo było najedzone w najtańszy dla niej sposób.

– A co ze złamaną ręką? Potłuczeniami? Ranami na głowie?

– Niech pan zapyta lekarza, on przekaze panu dokładne informacje.

– A co mówi pani doświadczenie, siostrze?

Uśmiechnęła się. Podobało się jej, że tak wysoko ocenia jej umiejętności zawodowe. I faktycznie, dobra pielęgniarka wiedziała często więcej niż lekarz.

– Złamaną rękę trzeba przez jakiś czas oszczędzać, w przeciwnym razie nie wróci do dawnej sprawności. W skrócie powiedziałabym tak: dziewczyna miała dużo szczęścia, panie Melzer.

– Bardzo dziękuję, siostrze.

– Niestety musicie państwo już wyjść, czas odwiedzin dobiegł końca.

W szpitalnym pokoju Marie wciąż siedziała przy łóżku Hanny. Gdy wszedł, obie spojrzały na niego jak na kogoś, kto przerywa im intymną rozmowę. O czym ze sobą rozmawiały? Oczywiście Hanny, wcześniej wypełnione pustką, teraz wyglądały wręcz na radosne.

– Jestem na pogrzebie – powiedziała znowu starsza kobieta. – Zachowujcie się stosownie, moi państwo.

Podszedł do łóżka Hanny, żeby się pożegnać. Zapewnił ją, że wszystko będzie dobrze. Niedługo wyjdzie ze szpitala, a gdy lekarze zdejną gips,

będzie mogła znów posługiwać się ręką.

– Niezwykła dziewczyna – powiedziała Marie, gdy szli korytarzem w kierunku wyjścia. – A ta starsza kobieta jest zupełnie niepoczytalna. Czasami zrywa się z łóżka i chce uciekać. Hanna dwa razy podtrzymała ją, żeby nie upadła.

– Powiedziała ci, że jej trzech bracia wszystko jej wyjadają?

Otworzył drzwi do windy i przepuścił Marie. Starsze małżeństwo, które najpewniej też kogoś odwiedzało, wsiadło za nimi. Do windy udało się jeszcze wcisnąć grubej kobiecie w aksamitnym kapeluszu z szerokim rondem i towarzyszącemu jej wychudzonemu chłystkowi.

– Winda jest tylko dla czterech osób – oburzał się starszy mężczyzna.

– Jedna mniej czy więcej nie ma znaczenia! – odpowiedziała kobieta w kapeluszu.

– Tak, ale pani waży tyle, co trzy!

– Bezczelność!

– Ale tak jest!

Wszyscy byli szczęśliwi, gdy winda zjechała na parter i Paul otworzył wreszcie drzwi.

Małżeństwo, chłopak i gruba kobieta w kapeluszu przeszli koło niego w pośpiechu, ostatnia wyszła Marie. Spojrzeli na siebie, uśmiechnęli się i wybuchnęli śmiechem. Jedna z sióstr spojrzała na nich zdumiona, gdy nie mogli złapać tchu z rozbawienia, bo w tym miejscu nie słyszało się śmiechu zbyt często. Dopiero przy wyjściu doszli do siebie i Marie stwierdziła, że po tym, co zrobili, nie może już nigdy się pojawić w tym szpitalu.

– A tam! – powiedział Paul wesoło.

Tym razem nie pozwolił się uprzedzić, otworzył jej drzwi samochodu, tak by usiadła na miejscu obok kierowcy, a ona wsiadła, jakby robiła tak zawsze.

– Dowiedziałam się bardzo wiele o Hannie – powiedziała. – Jej matka nie ma lekko, musi utrzymać ich wszystkich. Posłała trzech chłopców do szkoły, musi ich wyżywić i kupić im ubrania. Hanna jest piątym kołem u wozu. Jako dziesięciolatka musiała już chodzić sprzątać u obcych ludzi, a gdy miała dwanaście, matka zabrała ją do fabryki, kłamiąc, że ma trzynaście.

Był pod wrażeniem. Wszystko to dziewczyna wyjawiała jej w tak krótkim czasie?

– I nawet więcej. Pieniądze, które zarabiała Hanna, nigdy nie były wydane na nią. Większość przepił jej ojciec. Z powodu alkoholizmu musiał opuścić

osiedle pracownicze, dyrektor Melzer nie toleruje sytuacji, w której pracownik wydaje całą wypłatę na wódkę.

– Dobry Boże! Dlaczego nigdy o tym nie powiedziała?

Marie popatrzyła na niego z politowaniem i wówczas zrozumiał, że są takie sprawy na tym świecie, które do tej pory były zupełnie nieznanymi dla synowi fabrykanta.

– Bo się bała. Nie słyszał pan nigdy o tym, że pijący mężowie biją swoje żony i córki?

Marie była teraz bardzo poważna, spojrzała na niego zmrużonymi ciemnymi oczami i wydeła lekko dolną wargę. Obserwował ją ukradkiem – jeszcze przed chwilą śmiała się tak wesoło, a teraz stawała się zamknięta i ponura.

– Jeśli Hanna wróci do rodziny, nie czeka jej nic dobrego – powiedziała.

Westchnął. Bez wątplenia miała rację. Ale czy to nie dotyczy wielu osób? Jakiej przyszłości mogła oczekiwać córka robotnicy? Była już prawie zdrowa, wypadek na szczęście nie będzie miał negatywnych konsekwencji.

– W willi wciąż potrzebna jest pomoc kuchenna – powiedziała Marie i spojrzała na niego badawczo.

No patrzcie, już miała własne plany. Uśmiechnął się. Nie był to właściwie zły pomysł, ale dziewczyna była jeszcze za młoda.

– Mogłaby rano chodzić do szkoły, a po południu wykonywać swoją pracę.

O takim układzie jeszcze nigdy nie słyszał. Włączył silnik i obiecał porozmawiać o tym z matką. Ona była odpowiedzialna za prowadzenie domu i służbę, ani on, ani ojciec nie mieli w tej kwestii zbyt wiele do powiedzenia.

– Naprawdę? A sądziłam, że to pana ojciec ma ostatnie słowo we wszystkich sprawach.

Uśmiechnął się, choć nie poczuł się zbyt komfortowo po jej uwadze. Chciała mu dać wyraźnie do zrozumienia, że on również podporządkowuje się woli ojca we wszystkim? Nawet w kwestii miłości? W wyborze swojej... swojej żony?

Objął ją szybkim spojrzeniem i był pewien, że zobaczył na jej twarzy głęboki smutek. I dopiero teraz, w tej właśnie chwili, wiedział już, co chce osiągnąć.

d="w_cieniu_tajemnic-43.html" xml:lang="pl-PL" aid="181NK1">

Marii Jordan prawie stanęło serce, gdy zauważyła dobrze znaną jej sylwetkę na schodach dla służby. Święta Panienko Maryjo, sądziła, że wreszcie na dobre uwolniła się od tego człowieka. Szczęście w nieszczęściu – nie było tutaj nikogo oprócz nich dwojga.

– Czego chcesz? – syknęła przez zaciśnięte zęby. – Nie masz tu już czego szukać, zapłaciłam ci.

Odwrócił się, a ona wystraszyła się bardzo, gdy zobaczyła jego opuchniętą twarz, twarz pijaka. Nos miał obrzęknięty, pokryty siecią grubszych i cieńszych żyłek, usta sinawe, a skóra na policzkach zwisała bezwładnie pod rzadką brodą. Przed laty był z niego całkiem przystojny mężczyzna, ale ten czas dawno minął.

– Czemu się złościś, Mariella? – odburknął. – Kiedyś nie mogłaś się doczekać, aż do ciebie przyjdę. Siedziałaś na łóżku i czekałaś rozgorączkowana, aż wrócę. Ściągałaś koszulę, żeby tylko mój przyjaciel mógł w ciebie...

Jego głos przeszedł w dziwnie śpiewny ton, który przypominał jej natychmiast dawno minione czasy. Nie poczuła jednakże nic prócz obrzydzenia. Zwłaszcza gdy owionął ją obrzydliwy smród potu, brudu i taniego wina.

– Zamilcz! – syknęła. – To już minęło na zawsze, nie rozumiesz? A teraz idź! Wynoś się! Tylko tak, żeby nikt cię nie widział!

Na jego twarzy pojawił się teraz pijacki uśmiech, dziwny i jednocześnie groźny. Do Marii Jordan dotarło, że nie będzie tak łatwo się go pozbyć.

– Pójdę już sobie, Mariella, ale dopiero wtedy, gdy dostanę, co mi się należy.

– Nic ci się nie należy, przeklęty szantażysto! Chyba tylko piekło, to będziesz miał na pewno!

Zaśmiał się i zaraz wstrząsnął nim atak kaszlu. Jordan się przeraziła.

W każdej chwili ktoś z pracowników mógł wejść na schody. Humbert albo Else, może też Auguste, chociaż ta wolała teraz zostawać na dole, w kuchni. Marie na szczęście była poza domem, tylko jej by jeszcze brakowało.

– Chodź ze mną na górę! Szybko. Idź, stary pijaku!

– No, no, kiedyś inaczej ze mną rozmawiałaś.

Ciągnęła go za sobą po wąskich schodach aż na trzecie piętro, tam rozejrzała się, czy droga wolna, i wepchnęła go na korytarz. To było prawie nieprawdopodobne, żeby teraz, po południu, ktoś się kręcił przy pokojach dla służby. Ale oczywiście nigdy nie wiadomo.

– Tutaj! Właź do środka!

Wszedł do pokoju i gdy ona powoli i ostrożnie zamykała drzwi, rzucił się na jedno z łóżek. Wściekła kazała mu zejść ze świeżej pościeli. Spytała, czy on siebie widział, jest cały brudny, jakby właśnie wyszedł z rynsztoku. Podniósł się, uśmiechnął oblesnie i chciał wiedzieć, czy to jest jej łóżko. Nie? To kto na nim śpi? Może jakaś ładna dziewczyna? Z delikatnymi biodrami i okrągłymi piersiami? Gdzie ona teraz jest?

– Zamknij dziób, ty stary strachu na wróble! Albo każę cię zabrać policji!

Groźba ta sprawiła, że przez chwilę się zastanawiał, i Jordan zorientowała się, że ma powody, by bać się policji. Był jednak zbyt przebiegły, by uwierzyć w jej blef.

– Jeśli to zrobisz, Mariella, wtedy twoi państwo dowiedzą się o tobie bardzo nieładnych rzeczy. Wciąż dobrze pamiętam, jak stałaś na scenie w krótkiej spódniczce i majtałaś nogami.

Miała ją w garści. Chociaż to było tak dawno temu, że nie mogło być prawdziwe. Miała siedemnaście lat i tańczyła w berlińskim variétés, śpiewała kuplety razem z pewnym aktorem i nawet występowała solo. Tak zaczęła się ich miłość, przystojnego Josefa Hoferera, kaprała w wojsku, i delikatnej tancerki, która wówczas nazywała się Mariella. Wszystko zniszczył. Zaszła z nim w ciążę, musiała skończyć z tańcem, a potem jeszcze poroniła. A on zostawił ją z tym samą, jej przystojny Josef. Dopiero gdy zatrudniła się jako pokojówka u jednej z aktorek, pojawił się znów. Spędzili ze sobą kilka namiętnych nocy, a potem chciał już od niej tylko pieniędzy. Ciągle. Przez lata nie dawał jej spokoju. Ostatni raz przyszedł tutaj do willi minionego lata i wtedy z wściekłością poprzysięgła mu, że więcej pieniędzy nie dostanie.

– Zapijesz się na śmierć – skarciła go. – Nie mogę ci dać więcej pieniędzy.

– Ależ możesz, Mariella. Chcesz milczenia, to będziesz musiała, bo inaczej

zacznę mówić.

To już długo nie potrwa, przemknęło jej przez głowę. Nie mógł już nawet stać, chwiał się w miejscu. Jeśli szybko się go nie pozbędzie ze swojego pokoju, pewnie tu upadnie i będzie tak leżał. Bolało ją, że ponownie musi mu dać pieniądze, bo te, które chowała w chusteczce, w tylnej części szuflady w komodzie, miały być na później. Na czas, gdy będzie stara i nie będzie mogła pracować. Zobaczył, że grzebie w szufladzie, stanęła jednak tak, że nie mógł widzieć, ile pieniędzy znajduje się w zawiniątku.

– Pięć marek? Kpisz ze mnie?

– Więcej nie będzie! Basta!

Schował pieniądze i powiedział, że jeśli dostanie tylko tak niewielką sumę, to będzie musiał wrócić jutro rano. Zagroziła mu policją, dołożyła jednak jeszcze kolejne pięć marek, zamknęła szufladę i odwróciła się do niego.

– A teraz ruszaj w swoją stronę, Sepp.

– Życz mi szczęścia, Mariella.

– Tego ci akurat bardzo potrzeba! A teraz wynocha!

To był błąd, że wypędziła go tak bez namysłu, zamiast najpierw dobrze się rozejrzeć po korytarzu. Zrozumiała to jednak dopiero wtedy, gdy był już za drzwiami, a ona usłyszała piskliwy, krótki krzyk. Brzmiał jak wrzask młodej dziewczyny, która zauważyła przy porannej toalecie, że ktoś ją podgląda. Humbert, ten komiczny dziwak, szedł do swojego pokoju i wpadł na Seppa. Na skutek tego niespodziewanego zderzenia Sepp stracił równowagę i uwiesił się na przerażonym Humbercie, żeby nie upaść. Humbert zaczął krzyczeć, nie wiedząc, kim jest ten brudny, cuchnący starzec. Był bardzo wrażliwy, w końcu zawsze chodził wystrojony i wychuchany jak lalka. Maria Jordan złapała Seppa za ramiona i odciągnęła, żeby Humbert mógł się od niego uwolnić. Oboje dyszeli i patrzyli na siebie z przerażeniem.

– Czego on... czego taki tu szuka? – wyjąkał kamerdyner i podjął beznadziejną próbę wygładzenia pomiętej kamizelki.

– Nie wiem! – krzyknęła Maria Jordan. – Musiał się tutaj zakraść, chłopcze.

Popchnęła Seppa w kierunku schodów i zaczęła głośno jęczeć, że nigdzie nie można czuć się bezpiecznie, złodzieje czyhają wszędzie, nawet tutaj, w willi. Humbert był wciąż oszołomiony, w końcu zrobił kilka niepewnych kroków do tyłu, potem się odwrócił i poszedł pośpiesznie do swojego pokoju.

– Wreszcie zniknął – syknęła do Seppa. – Jeśli teraz doniesie na mnie do państwa, to koniec.

Spojrzała na klatkę schodową, zobaczyła, że jest pusta, i posłała szybkie błagania do niebios, żeby już nikogo więcej nie spotkali. Modlitwa została wysłuchana, Sepp wprawdzie nieznośnie wolno kuśtykał po schodach, jednak wreszcie usłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych. Był na zewnątrz – Bogu dzięki. Jeśli będzie miała odrobinę szczęścia, to za te dziesięć marek zapije się na śmierć, a ona pozbędzie się go wreszcie na stałe. Gdy wróciła do pokoju, żeby doprowadzić łóżko Marie do porządku, myślała, kim mógłby być ten mężczyzna. Wysoki, szczupły, jak wtedy, gdy się spotkali, z kręconymi blond włosami i wąsami, których wielu mu zazdrościło. Nie miał dobrych manier, pochodził z biednego środowiska i nie był żadnym finezyjnym mówcą, ale mówił wprost, czego chciał. A wtedy chciał jej, subtelnej Marielli. Przychodził każdego wieczoru, zostawał do południa, pozwalał, żeby go żywiła, pił ogromne ilości wina, a gdy byli razem w łóżku, kochali się trzy, a nawet cztery razy z rzędu. Taki był z niego amant. A teraz został z niego tylko ten jęczący cień człowieka.

Zastanawiała się, czy powinna wziąć do czyszczenia płaszcz z czerwonej wełny i pasujący do niego kapelusz łaskawej pani. Rano niedziela wielkanocna, łaskawa pani będzie potrzebować rzeczy do kościoła. Przypomniała sobie jednak w porę, że Alicia Melzer leży w łóżku z ciężką migreną, i nie należało jej teraz przeszkadzać. Lepiej zajmie się najpierw zimowymi brązowymi pantoflami panienki, zostawiła je na dole w holu, gdy wróciła z wizyty u koleżanki. Gustav, ten prosty chłopak, spisał się świetnie jako szofer, kto by pomyślał? I zawsze stara się kręcić koło Auguste. Czeka, aż będzie wynosić wiadro z kuchni tylnymi drzwiami, i wyrzuca za nią odpady na kompostownik. Gdy wraca z pustym wiadrem, odbiera nagrodę. Przykłada się do tego, co robi, a ciąża wcale mu nie przeszkadza. Auguste natomiast zrobiła się tak gruba, że można się obawiać, że zaraz pęknie. I tak że znalazł się jakiś, który kiedykolwiek...

– Maria! Masz pójść do łaskawej panienki. Natychmiast.

Właśnie podniosła buty z podłogi, żeby je obejrzeć, gdy Else ją zawołała zdyszczanym i stanowczym tonem. Jordan przeczuwała coś złego.

– Natychmiast ma pani przyjść – powtórzyła Else.

– Dobrze już, nie jestem głucha.

Czy ktokolwiek w tym domu był tak pozbawiony charakteru jak ta młodsza pokojówka? Ponura stara panna trzymała zawsze z tymi, którym akurat wiodło się tutaj dobrze. Jeszcze dwie godziny temu pytała przymilnie, czy ma

przynieść Marii Jordan kawę. Teraz zgrywała się i myślała, że może nią dyrygować.

Panienka Elisabeth siedziała na bladoniebieskiej sofie i trzymała w ręce otwartą książkę. Wciąż była w wyjściowym kostiumie, do którego Marie zaprojektowała jej długą marynarkę z jedynie lekko zaznaczoną talią. Jordan zaczęła zalewać żółć. Marie, ciągle tylko Marie. Miała gust, wiedziała, co jest modne, projektowała marynarki i sukienki, przerabiała stare kapelusze na nowe cudenka, szyła kwiatki, torebki, ozdóbki...

– Właśnie był u mnie Humbert, Mario – powiedziała Elisabeth i włożyła zakładkę między strony książki. – Cóż to za dziwna historia wydarzyła się na piętrze dla służby?

Teraz należało wykazać się sprytem i wyciągnąć głowę z pętli. Jordan spojrzała na łaskawą panienkę i zorientowała się, że nie interesowała ją zbytnio ta sprawa. Co za szczęście, że łaskawa pani ma migrenę. Alicia Melzer na pewno by uznała, że nie należy lekceważyć tego zdarzenia.

– Ach, ktoś wszedł tu pijany, bo zabłądził – odpowiedziała, uśmiechając się uspokajająco. – Wie panienka, jaki jest Humbert. Nadwrażliwy i nerwowy. Robi z igły widły.

Twarz panienki Elisabeth pozostawała niewzruszona. A Jordan wiedziała, że kiedyś śmiała się z przewrażliwienia Humberta. Było to w czerwonym salonie. Siedziały tam razem z łaskawą panią. Ona, Maria Jordan, przyniosła im koszyk z nićmi do haftowania i zaraz potem ją odesłano. Marie jednak siedziała razem z paniami i opowiadała o różnych głupotach, z których się głośno śmiały. Dotyczyły one również Humberta.

– Cóż, w żadnym razie nie uważam, by było to normalne, że na piętrze dla służby kręcą się jacyś ludzie, którzy nie mieszkają w tym domu – stwierdziła panienka. – Zna pani tego człowieka, Mario?

– Nigdy w życiu go nie widziałam, łaskawa panienko.

Starła się zachować spokojną twarz, nawet gdy panienka wpatrywała się w nią badawczym wzrokiem. Musiałoby naprawdę wiele się wydarzyć, żeby dała coś po sobie poznać.

– Jakie to dziwne – ciągnęła Elisabeth, nie spuszczać z niej wzroku. – Humbert powiedział, że ten mężczyzna wychodził z twojego pokoju.

Teraz jeszcze bardziej Jordan żałowała, że ta śmieszna kreatura zajęła miejsce Roberta. Co za bezczelny plotkarz! Robert zachowałby się mądrzej, nie poszedłby z tym prosto do państwa, tylko najpierw porozmawiałby z nią.

– Z mojego pokoju?

Śmiała się histerycznie, zapewniając, że gdy się jest w jej wieku, nie zawiera się już znajomości z mężczyznami. Ponadto ten obcy człowiek był bardzo zaniedbany i brudny.

– To też powiedział Humbert. Wspomniał nawet, że bardzo mocno śmierdziało od niego wódka.

– Też to zauważyłam, łaskawa panienko. Musiałam użyć dużo słownej perswazji, żeby go wypchnąć na dół schodami, a potem wyrzucić z willi. Może mogłam wszcząć alarm, ale uznałam, że nie trzeba z tego robić sensacji. Ludzie lubią gadać...

Panienska co prawda jej słuchała, ale nie wydawała się przekonana wyjaśnieniem. Z jej siostrą byłoby inaczej, panienska Katharina szybko zapominała i lubiła przeskakiwać z tematu na temat. Panienska Elisabeth odziedziczyła wiele ze swojego ojca.

– Jednakże chciałabym wiedzieć, co ten mężczyzna robił w twoim pokoju, Mario. I dlaczego ty w tym czasie byłaś na górze.

Dlaczego nie pytała, co robił tam Humbert? Ale dobrze, przecież nie upadła jeszcze na głowę. Miała potrzebę i poszła na górę, żeby skorzystać z toalety. Gdy stamtąd wyszła, udała się jeszcze do swojego pokoju po świeżą chusteczkę, bo jest trochę przeziębiona.

– I już w środku zaskoczył panią ten nieznajomy?

Jordan przytaknęła. Tak właśnie było, może to przysiąc na wszystkich świętych i Najświętszą Panienskę.

– Oczywiście bałam się o swoje oszczędności, łaskawa panienko. Wie panienska, odkładam zawsze jakąś niewielką sumę, żeby mieć coś na starość.

– A potem? Pewnie wołała pani o pomoc?

– Tak, oczywiście. Ale to nie był brutalny drań, raczej tchórz. Gdy zaczęłam krzyczeć, on wybiegł wystraszony. I wtedy zderzył się z Humbertem.

Panienska Elisabeth wzięła głęboki oddech, na jej twarzy malowało się niedowierzanie. Musiała jednak zadowolić się tym wyjaśnieniem, brzmiało przecież rozsądnie i wiarygodnie.

– Humbert ani słowem nie wspominał o tym, że wołałaś o pomoc. Myślę, że pani coś przede mną ukrywa.

Jordan czuła, jak uchodzi z niej powietrze. Nie doceniła tej dziewczyny, ona była bardziej niebezpieczna niż łaskawa pani. Teraz mogło pomóc jedynie brnięcie dalej, w kolejne kłamstwo.

– Jestem w tym domu już ponad dziesięć lat, łaskawa panienko. Nie zasłużyłam na to, żeby mi nie ufano!

Jej oburzenie nie zrobiło na Elisabeth żadnego wrażenia. Panienka uniosła jedynie brwi.

– Mario, sądzę, że zna pani tego mężczyznę. Jeśli tak jest, będzie lepiej dla nas wszystkich, jeśli powie o tym pani od razu.

Niewiarygodne. Ta młoda dziewczyna domyśliła się tak wiele, że teraz ona stoi przyparta do ściany. Wyznać prawdę? A przynajmniej jej część? Ale z prawdą jest jak z szalikiem z włóczki – gdy znajdzie się jedną dziurę i pociągnie za nić, to spruje się całość.

– Przysięgam, panienko, że absolutnie nie znam tego mężczyzny. Muszę jednak panience coś wyznać. Zrobiłam to z chrześcijańskiego miłosierdzia i dlatego, że niechętnie oczerniam innych pracowników...

Na twarzy panienki widać było zadowolenie, ale też nieufność. Nie była łatwowierna, ani trochę. Trzeba było ostrożnie przejść do rzeczy, to była jej ostatnia szansa, żeby wyjść z tego bez szwanku.

– No więc niech pani mówi, no dalej – warknęła panienka niecierpliwie. – Mam dzisiaj inne rzeczy do zrobienia.

Co też ona miała do zrobienia, łaskawa panienka! Poczytać książkę? Przejrzeć swoją biżuterię? Iść na spacer po parku?

– Ten mężczyzna nie przyszedł do mnie. On przyszedł do Marie, śpimy przecież w tym samym pokoju.

– Do Marie? – zapytała z niedowierzaniem. – Czego od niej chciał?

– Nie powiedział, łaskawa panienko. A ja nie wypytywałam, tylko od razu go wyrzuciłam.

– No dobrze – powiedziała Elisabeth. – Przy okazji zapytam o to Marie. Do tego czasu masz na ten temat milczeć. Nie chcę, żeby moja matka dowiedziała się o tym incydencie, jej nerwy i tak są bardzo nadwerżone.

– Oczywiście, łaskawa panienko.

Było trudno stwierdzić, czy jej uwierzyła, czy też nie. Jedno było teraz dla Jordan pewne: siedziała na beczce prochu, która w każdej chwili mogła wybuchnąć.

– Możesz już iść, Mario. Niech pani wyczyści moją niebieską pelerynę. Kapelusza niech pani nie dotyka, Marie się nim zajmie.

d="w_cieniu_tajemnic-44.html" xml:lang="pl-PL" aid="190861">

38

Sekretarka Henriette Hoffmann zapukała krótko w drzwi biura i weszła, jeszcze zanim Paul ją poprosił do środka. Jej jasnoniebieskie oczy, ukryte za okularami, były okrągłe ze zdenerwowania.

– Przepraszam, panie Melzer, ale na zewnątrz jest pewien... pan.

– Pewien pan?

Podawała Paulowi wizytówkę. Drżała lekko w jej rękach, ale Paul i tak widział bardzo wyraźnie nazwisko gościa.

– Mój Boże! – zawołał, wstając gwałtownie. – Jest sam czy towarzyszy mu?...

– Jest sam, panie Melzer. Mam go poprosić do środka czy chce pan poczekać, aż dyrektor Melzer wróci z obchodu?

– Wpuścić go natychmiast do środka! – zawołał zniecierpliwiony.

Gérard Duchamps zmienił się jedynie nieznacznie. Wciąż był ubrany zgodnie z najnowszą modą, czarne kręcone włosy miał starannie obcięte, a mała bródka wokół pełnych ust budziła skojarzenie z Don Giovannim Mozarta. Tylko oczy były jakby podkrążone, musiał w ostatnim czasie nie sypiać zbyt wiele.

– Przypuszczam, że się mnie pan nie spodziewał, panie Melzer...

Jego uśmiech stanowił mieszaninę ironii, zażenowania i smutku. Paul nigdy nie widział człowieka, który uśmiechałby się w ten sposób.

– W żadnym razie!

Paul odetchnął ciężko. Właśnie stał przed nim ten mężczyzna, ten uwodziciel pozbawiony skrupułów, który na zawsze skompromitował jego małą siostrzyczkę. Miał nieodpartą ochotę przyłożyć mu z pięści w twarz, ale powstrzymał go przed tym ten jego dziwny uśmiech.

– Splamiłem honor pana siostry – powiedział Duchamps cichym, spokojnym głosem. – Nadszarpnąłem reputację pana rodziny. Jeśli to panu pomoże, dam panu satysfakcję.

To była honorowa propozycja. Porucznik von Hagemann nie zawahałby się jej przyjąć. Bracia matki również byliby zachwyceni. Ale Paul nie był.

– Chce się pan ze mną pojedynkować? – zapytał z sarkazmem. – Na pistolety? Szpady?

– Pan jest poszkodowany, to pan powinien wybrać broń.

Paul patrzył w ciemne oczy Francuza, w których właśnie zapaliły się jasne iskierki. Wzrastał w nim gniew.

– A cóż to za dziecinada? – warknął.

Chwycił marmurowy przycisk do papieru stojący na biurku i cisnął nim o podłogę. Przycisk rozbił się na trzy części i pozostawił brzydką rysę na drewnianej powierzchni. Duchamps nawet nie drgnął, choć przedmiot równie dobrze mógł być wycelowany w niego. Spojrzał na marmurowe szczątki, a potem na Paula. Badawczo, ale też z pewnego rodzaju zrozumieniem.

– Żałuję wielu rzeczy, panie Melzer. Biorę jednak odpowiedzialność za to, co zrobiłem. Jestem gotów poślubić pana siostrę, nawet jeśli zostanie wydziedziczony przez mojego ojca.

Na Paulu nie zrobiło to oczekiwanego wrażenia. Jakie to wielkoduszne! Był łaskaw wziąć Kitty za żonę. Jakby rodzina Melzerów właśnie na to czekała. Z drugiej strony nie można było o tym decydować bez Kitty.

– Gdzie jest moja siostra? Chcę z nią porozmawiać.

Jego rozmówca wpatrywał się w niego, jakby przemówił właśnie po chińsku.

– Nie rozumiem... – powiedział cicho.

– Chcę wiedzieć, gdzie jest Kitty. Pan ją wywiózł, tak czy nie?

Duchamps zbladł, otworzył usta, jego wargi drżały.

– Ale... ale ja sądziłem, że ona jest tutaj – wyjąkał.

– Tutaj?

Czy on sobie z niego kpi? Od miesiący nie mieli wieści od Kitty, a tym bardziej jej nie widzieli. A teraz ten mężczyzna twierdzi, że...

– *Mon Dieu! Je l'ai accompagné à la gare. Elle est montée dans le train, j'en suis sûre...*

Paul podskoczył do Francuza, złapał go za kłapy marynarki i potrząsnął nim.

– Niech pan mówi po niemiecku, człowieku. Odprowadził pan Kitty na dworzec? Siedział pan z nią w pociągu? Kiedy? Gdzie?

Duchamps uwolnił się od niego energicznym ruchem i zrobił kilka kroków do tyłu. Przerazenie, które teraz wyraźnie było widać na jego twarzy, nie było

udawane. Paul poczuł, że opanowuje go panika. Kitty. Jego młodsza siostra. Jego naiwna młodsza siostra...

– W Paryżu. Pokłóciliśmy się i Kitty chciała wracać do rodziny. Ona jest jak dziecko i jak już coś sobie wbije do głowy... Kupiłem jej więc bilet i odprowadziłem na dworzec. To było we wtorek po Wielkanocy.

Przez głowę Paula przelatywały ciągi faktów i liczb. Niedziela wielkanocna była 12 kwietnia, wtorek to był więc 14. Dzisiaj był 25 kwietnia. Boże miłosierny!

– Może zatrzymała się u przyjaciół – mówił Duchamps cichym głosem. – Może u jakichś krewnych?

To była jedyna nadzieja, choć w takiej sytuacji z pewnością wysłałaby wiadomość do Marie. Słysząc było trzask drzwi w sekretariacie.

– Co? Kto przyszedł?

Obaj się wzdrygnęli – to był głos Johanna Melzera. Nieco zachrypnięty i poirytowany, zapowiadał burzę, która miała zostać za chwilę wyładowana na nich wszystkich, nie tylko w nim samym.

– Niech pan się uspokoi. Pana syn jest z nim.

– Zejdź mi z drogi, Lüders!

– Niech pan nie robi nic pochopnie, panie dyrektorze. Błagam pana.

– On naprawdę ośmielił się tutaj przyjść! Mój dom kałać swoją obecnością!

Paul mimowolnie stanął przed Duchampsem, który oczekiwał w bezruchu nadchodzącej katastrofy. Drzwi się otworzyły i w progu stanął Johann Melzer, w płaszczu i kapeluszu. Za nim było widać obie przerażone sekretarki.

– Gdzie jest moja córka? Oddawaj mi natychmiast moje dziecko, ty nikczemniku! Moja dziewczynka, moja Kitty...

Paul nigdy nie widział ojca w takim stanie. Długo tłumiony smutek, rozczarowana miłość ojcowska, urażona duma – wszystko to teraz wybuchło. Paul musiał doskoczyć do wściekłego mężczyzny i powstrzymać go, by nie zaczął okładać pięściami Gérarda Duchampsza.

– Kitty tutaj nie ma, ojczu. Niech to do ciebie dotrze. Gérard Duchamps też nie wie, gdzie się zatrzymała.

Johann Melzer sapał ze zdenerwowania i próbował znów wyrwać się z silnych objęć syna, ale w końcu się poddał.

– On nie jest tego wart – wyszeptał, z trudem łapiąc oddech. – Nie jest wart, bym ubrudził sobie nim ręce.

– Usiądź, tato. Musimy działać razem, żeby odnaleźć Kitty. Uspokój się,

napij się wody.

Panna Hoffmann nie tracąc przytomności umysłu, przyniosła wcześniej szklanek zimnej wody, a panna Lüders drżącymi rękami podniosła kapelusz szefa, który podczas tej awantury upadł na ziemię.

– O co chodzi z Kitty? Gdzie ona jest?

Johann Melzer, dyrektor budzący powszechny strach, siedział teraz w fotelu, ledwie dysząc. Oczy miał zaczerwienione, a usta sine. Paul nie mógł znieść przejętych spojrzeń obu kobiet, podziękował więc im za pomoc i je odesłał. Duchamps stał oparty plecami o ścianę, przygryzał dolną wargę. Gdy Paul zmierzył go wzrokiem, ujął twarz w dłonie. Po ataku wściekłości dyrektora Melzera stracił opanowanie.

– Oni się pokłócili, ojciec. Kitty zaraz po Wielkanocy wsiadła do pociągu, żeby wrócić do Niemiec. Gdzie wysiadła, niestety nikt nie wie.

Przebieg wydarzeń przedstawiony przez Paula Johann Melzer zrozumiał szybko. Doszedł do siebie i chciał wiedzieć, co to było za połączenie, na których stacjach pociąg się zatrzymywał, czy Kitty miała jakieś pieniądze. Odrzucając wrogość, nawet sam zaczął wypytywać Duchamps o szczegóły, ale głosem bardziej niż chłodnym.

– Ach tak, dwie walizki i torba podróżna. Musiała więc wynająć tragarza.

– Musimy wypytać wszystkich znajomych i krewnych – zasugerował Paul. – Może pojechała na Pomorze, żeby ukryć się na farmie wujka.

Johann Melzer podniósł się z fotela, gniewnie odrzucając pomoc Paula. Machinacje tego mężczyzny – rzucił pogardliwe spojrzenie w stronę Duchamps – spowodowały już dość przykrości jego rodzinie. Wypytywanie przyjaciół i krewnych – jakie z tego buchną plotki! Duchamps odzyskał panowanie nad sobą. Ze zmarszczonym czołem słuchał rozmowy i spokojnie udzielał odpowiedzi na stawiane mu pytania. Teraz słyhać było, że bierze głęboki oddech, jakby przygotowywał się do wyrażenia sprzeciwu wobec tego, co usłyszał.

– Moja rozpacz jest nie mniejsza niż pańska, panie Melzer. Kocham Kitty, przyjechałem tutaj, żeby się z nią pogodzić. Jednakże...

– Daruj pan sobie te wynurzenia.

– Musimy zawiadomić policję – ciągnął Duchamps, nie zwracając uwagi na wyrzut Melzera. – Zgłosić zaginięcie, tutaj w Niemczech i we Francji. Kitty jest taka ufna, nigdy nie pozwalałem jej chodzić samej. Ale ona broniła się rękami i nogami przed moim towarzystwem.

Paul wiedział, co Duchamps chciał powiedzieć, i opanowało go uczucie ogromnej bezradności. Oczywiście trzeba było również rozważyć, czy Kitty nie padła ofiarą przestępstwa. Młoda dziewczyna, śliczna i sama w pociągu. W dodatku tak bardzo lubiła mówić, że każdemu by opowiedziała, skąd wyjeżdża, dokąd jedzie, zwłaszcza że pokłóciła się z ukochanym.

– Musimy to zrobić – usłyszał głos ojca. – Ja tutaj w Augsburgu, a pan, monsieur, we Francji. Paul, daj mu kartkę i długopis. Powinien wszystko dokładnie opisać. Ubranie, biżuterię, bagaże, współpasażerów i wszystko, co jeszcze może mieć znaczenie.

Starał się nie nazywać Francuza jego nazwiskiem, i nie dbając dłużej o Duchampsa, wyszedł z biura. Zostawił kilka instrukcji sekretarkom i wrócił.

– Jadę na posterunek policji – powiedział do Paula. – Podczas mojej nieobecności ty przejmujesz moje obowiązki w fabryce. Gdy wrócę, pojedziesz z misją dyplomatyczną do domu. Przekażesz im wieści najdelikatniej, jak się da.

– Oczywiście, ojczule! A nie powinienem ci towarzyszyć na posterunek?

– Nie!

Milcząc, wziął od Francuza karteczkę, którą ten przygotował, ale nawet na niego nie spojrzał. Przebiegł szybko wzrokiem, co zostało tam napisane, złożył kartkę i wsunął ją do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Bez pośpiechu sięgnął po kapelusz i założył go. Skinął głową Paulowi i wyszedł.

– Wszystko się wyjaśni – powiedział Duchamps cichym głosem. – Bardzo tylko pana proszę, żeby wysłał mi pan wiadomość do Lyonu, gdy Kitty się odnajdzie.

– Oczywiście. I chciałbym prosić o to samo, gdyby Kitty pojawiła się u pana.

– Naturalnie.

Paulowi błysnęła myśl, aby powiedzieć Francuzowi coś pojednawczego na pożegnanie. Cokolwiek zrobił, szczerze kochał Kitty i nie był – Bóg wie – pierwszym, który stracił głowę z jej powodu. Ale odstręczająca mina Duchampsa odebrała mu odwagę i rozstali się w milczeniu.

Johann Melzer był poza fabryką niecałą godzinę. Po powrocie kazał pannie Lüders, aby przekazała Paulowi, że samochód zaparkował na podwórzu. Może go wziąć, gdy będzie wracał do willi, on sam chciał się przejść, potrzebował

trochę świeżego powietrza. Paul przyjął jego polecenie z mieszanymi uczuciami. Od czasu ucieczki Kitty mama chorowała, tonęła w ponurych nastrojach, a migreny, które kiedyś miewała sporadycznie, teraz męczyły ją ciągle. Należało więc bardzo ostrożnie przekazać jej wiadomość. Gdy zapalił silnik i skierował samochód na drogę prowadzącą do bramy, zaczął obmyślać taktykę.

– Szczęść Boże, panie Gruber!

– Szczęść Boże, panie Melzer! Mamy piękną wiosnę, prawda?

Paul spojrzał na rumianą twarz portiera i przytaknął przyjaźnie. Faktycznie, słońce mocno świeciło na bezchmurnym, błękitnym niebie i odbijało się w nieskazitelnie czystych szybach budynków. Na podwórzach i ulicach dzielnicy przemysłowej kwietniowe słońce oświetlało niestety jedynie szare mury i bure kałuże. Również niewielkie łąki, które ostały się na tym terenie, poryte były ciemnymi wyrwami, w których zalegało błoto. Tylko mlecze kwitły nieposkromione wszędzie tam, gdzie miały ochotę, nawet na ulicy, między kostką brukową.

Kitty rozstała się z Gérardem Duchampsem. Tak, to będzie dobra nowina. Mama nienawidziła tego Francuza z całego serca. Potem Kitty wsiadła do pociągu, żeby wrócić do domu. To była prawda, Duchamps w wiarygodny sposób o tym zapewniał. Okazało się to jednak niebezpieczne. Dlaczego nie dojechała do Augsburga? I dlaczego nie wróciła skruszona do rodziny? Paul mocno nacisnął na hamulce, bo dwaj uczniowie wybiegli na ulicę, a skórzane tornistry obijały im się o plecy.

– Łobuzy! – krzyknął zdenerwowany, bo wytrącili go z wymyślania odpowiedniej taktyki.

Kitty bała się wrócić do domu, przecież uciekła wbrew woli rodziców. Było więc zupełnie zrozumiałe, że postanowiła najpierw zatrzymać się u przyjaciółki. Tyle że Kitty, w przeciwieństwie do Elisabeth, nie miała w Augsburgu żadnych przyjaciółek. Trudno będzie przekonać mamę, że pojechała do przyjaciół.

Zwolnił nieco i skręcił na drogę prowadzącą do willi. Był niezadowolony z efektów rozmyślenia. Mama być może mu uwierzy, ale Elisabeth nie usatysfakcjonują jego wyjaśnienia, będzie zadawać pytania, a mama nabierze podejrzeń. O meldunku na policji nie może wspomnieć nawet słowem. Najlepiej byłoby najpierw przedyskutować to z Marie. Zasięgnąć jej rady. Była taktowna, może wpadnie na jakiś dobry pomysł, jak przedstawić całą

sprawę wiarygodnie i jednocześnie nie wywołując niepotrzebnej paniki. Bardzo tęsknił teraz za jej głosem, za jej rozsądnym, spokojnym podejściem do życia. Za jej szyderczymi, uroczymi uśmieszkami, które nie pasowały do jej rozmarzonych oczu.

Zaparkował przed drzwiami wejściowymi i powiedział do Humberta, któremu oddawał kluczyki:

- Niech pan powie Gustavowi, żeby odstawił samochód do garażu.
- Tak jest, panie Melzer.
- Gdzie jest Marie?
- U łaskawej pani, panie Melzer.

Bardzo mu nie pasował taki stan rzeczy, bo chciał porozmawiać z Marie w cztery oczy. Rozzłoszczony trzasnął drzwiami samochodu, gdy z niego wysiadał.

- Czy moja siostra jest w domu?
- Jest poza domem z dwiema koleżankami. Ktoś miał je uczyć jazdy automobilem.

Niesamowite. Od jakiegoś czasu Elisabeth prowadzi bardzo niezależne życie. Teraz chciała się też nauczyć, jak się prowadzi samochód.

- Kto zechciał uczyć te młode damy jazdy samochodem? Ktoś z naszych znajomych?

Humbert zawahał się z udzieleniem odpowiedzi, był w willi dopiero od niedawna i jeszcze nie znał dobrze wszystkich nazwisk.

- Porucznik von Hagen. Przepraszam, nie. Von Hagenau. Też nie. Von Hagensen...

- Porucznik von Hagemann?
- Właśnie ten – wykrzyknął Humbert z ulgą. – Łaskawa panienska i jej dwie koleżanki spotykają się już drugi raz z tym dżentelmenem.
- Dziękuję, Humbercie. Oddaj kluczyki Gustavowi.

Nastrój Paula, już i tak dość ponury, jeszcze się pogorszył przez tę nowinę. Von Hagemann nie zachował się w porządku wobec Elisabeth, a teraz ona się z nim spotyka? Czy nie ma za grosz dumy?

W korytarzu zostawił Else rękawiczki, płaszcz oraz buty i pobiegł schodami na pierwsze piętro. Drzwi do jadalni były otwarte i zobaczył Auguste, która zamiast nakrywać stół do obiadu, przystawiała ucho do drzwi łączących jadalnię z czerwonym salonem. Gdy dostrzegła Paula, przestraszyła się i podbiegła do stołu, aby rozkładać talerze. Jej brzuch był tak ogromny, że

mogła na nim ustawiać filizanki do kawy jak na stoliku. W dodatku takie z podstawką. Paul zachował się tak, jakby nie zauważył, że podsłuchuje. Ciągłe strofowanie personelu nie było dobrym wyjściem, zwłaszcza dzisiaj. No, to teraz śmiało. Poprawił krawat. Wszystko będzie dobrze. Marie jest w środku, będzie uspokajać mamę. Wziął głęboki oddech, zapukał lekko i otworzył drzwi.

– Przeszkadzam?

– Paul? Jak mógłbyś przeszkadzać? Ach, Paul, wspaniale, że jesteś, to zrządzenie losu!

Ku jego zaskoczeniu Alicia podbiegła do niego i go przytuliła. Jej twarz promieniała, uśmiechała się i zdrabniała jego imię. Niepewnie spojrzął na Marie, która stała przy fortepianie i trzymała w rękach kartkę. Czyżby list? Marie również promieniała. Mrugnęła nawet do niego.

– Nie chciałabyś mi powiedzieć, co wspaniałego się wydarzyło?

– Usiądź, Paul – poleciła Alicia i popchnęła go na sofę. – Bądź cicho i posłuchaj tego, co zaraz przeczyta Marie. Ach, wszystko będzie dobrze. Marie to przecież prawdziwe dziecko szczęścia. Czytaj, Marie. Jeszcze raz, na głos.

Paul czuł się nieswojo, ale postanowił, że najpierw będzie milczał i czekał, co się stanie. W jakiej ogromnej euforii była mama. Od dawna nie widział jej w stanie tak bezgranicznego zachwyty.

– To jest list, który łaskawa panienska napisała z Paryża – powiedziała Marie. – Jest adresowany do mnie, więc łaskawa pani nie chciała go sama otwierać. Poprosiła, żebym przyszła i go przeczytała.

– List od Kitty, Paul! Znak życia! Jak długo na to czekaliśmy! – krzyknęła matka wzruszona.

Z Paryża, pomyślał Paul i musiał ukryć rozczarowanie. Kitty musiała napisać list jeszcze przed Wielkanocą, bo zaraz po świętach opuściła Paryż. Może jednak były tam jakieś wskazówki, gdzie mogła później pojechać.

Moja najdroższa Marie,

nie gniewaj się, że piszę dopiero teraz. Myślami jestem ciągle przy Tobie, moja przyjaciółko. Bardzo chciałam przy każdej okazji dzielić się z Tobą wszystkimi moimi wspaniałymi przeżyciami. Nie, nie jestem z Tobą całkowicie szczerą. Z początku, gdy pijana ze szczęścia leżałam

w ramionach Gérarda, wierzyłam, że nie potrzebuję już niczego i nikogo oprócz tego ukochanego mężczyzny. Czy nie powiedziałam Ci, że tylko miłość się liczy, a wszystko inne to błażostki? Cóż, droga Marie, myliłam się. Miłość to płomień, który pali się tylko przez krótki czas, a potem zbyt szybko zamienia się w mały płomyczek, przy którym można sobie tylko ogrzać ręce. A w pewnej chwili i on się wypala, i wtedy pozostaje tylko popiół.

Zdecydowałam się zostać tutaj, w Paryżu, bo to miasto pełne sztuki i poezji. Potrzebuję Cię bardzo, żebym mogła dzielić się z Tobą wszystkim. Jestem przekonana, że jest to miejsce dla Ciebie. Mam też niespodziankę, którą dla Ciebie przygotowałam i którą ujawnię dopiero wtedy, gdy do mnie przyjedziesz. To bardzo proste. Weź swoje oszczędności i kup sobie bilet. Najpierw musisz pojechać do Monachium, a tam wsiąść w pociąg do Paryża. Jeśli nie wystarczy Ci pieniędzy, weź moją biżuterię z niebieskiej szkatuły i sprzedaj ją. Gdy będziesz w Paryżu, kieruj się w stronę budki z kwiatami przy głównym wyjściu i zapytaj o Sophie. Ona jest moją dobrą przyjaciółką i powie Ci, jak dość do mojego mieszkania.

Czekam na Ciebie niecierpliwie. Życie jest piękne, Marie.

Twoja przyjaciółka Kitty

– To wszystko? – zapytał Paul rozczarowany, gdy Marie zamilkła.

Radosny śmiech matki umilkł na chwilę, a potem pokręciła głową na tak naiwne pytanie. Czy nie słuchał uważnie? Kitty ma się dobrze, żyje sobie w Paryżu i – na to miała ogromną nadzieję – na dobre rozstała się z tym Francuzem.

– Paul, będzie ją łatwo znaleźć. Musimy tylko zrobić tak, jak napisała. Marie musi z nami pojechać i pójść sama do tej budki z kwiatami, żeby Sophie nie wyczuła podstępu i podała nam adres.

– Tak – wymamrotał. – To wydaje się całkiem proste.

– To dlaczego jest pan tak nieufny, łaskawy panie? – zapytała Marie.

Oczywiście wyczuła, że wie więcej niż one. Jej ciemne oczy z pewnością czytały w jego myślach. Zmusił się do uśmiechu, ale zaczął też ostrożnie podważać, niestety fałszywe, nadzieje matki.

– Cóż – wycedził markotnie. – Ten plan na pewno zadziała, jeśli Kitty wciąż mieszka w Paryżu.

– A gdzie indziej miałyby być? – spytała zniecierpliwiona Alicia. – Pisze, że czeka na Marie, a poza tym wysłała list w zeszłą sobotę.

– W sobotę? Masz na myśli wielkanocną sobotę, mamó?

Alicia westchnęła, zirytowana już mocno na swojego podejrzliwego syna. Nie, to była sobota przed tygodniem.

– Dlaczego, Marie, nie przeczytałaś listu tak, jak prosiłam, od samego początku?

– Przepraszam, łaskawa pani, sądziłam, że data nie jest tak ważna...

W tej chwili Paul wziął kopertę ze stołu i obejrzał ją dokładnie. Stemplowana w Paryżu, 18 kwietnia 1914 roku. Czyli cztery dni po tym, jak wsiadła do pociągu do Monachium! Oszukała więc Duchamps, że wraca do Niemiec. W rzeczywistości musiała wysiąść na najbliższej stacji i wrócić do Paryża. Och, Kitty! Ty moja mała sprytna siostrzyczko!

d="w_cieniu_tajemnic-45.html" xml:lang="pl-PL"
aid="19UOO1">

CZEŚĆ V
KWIECIEŃ 1914

Marie czuła się okropnie. Jak oszustka paradowała w kostiumie panienki Kathariny w kolorze delikatnej zieleni oraz w jej butach z ciemnozielonej skóry. Co gorsza, łaskawa pani nalegała też, żeby założyła kapelusz zdobiony piórami bażanta, który stanowił część stroju.

– Czy to pierwszy raz? – zapytał Paul z uśmiechem, gdy na dworcu w Augsburgu podał jej rękę, żeby ułatwić jej wsiadanie do pociągu.

Marie musiała unieść spódnicę, bo żelazne stopnie były strome jak w dawnych powozach.

– Tak, jeszcze nigdy nie jechałam koleją – odpowiedziała.

– I to od razu do Paryża – wtrącił się Alfons Bräuer. – To trwa piętnaście godzin, licząc oczywiście od Monachium. Ale wszystko pójdzie doskonale, musi pani tylko siedzieć, a pociąg sam będzie jechał.

Alfons Bräuer, gdy złożył wczoraj swoją cotygodniową wizytę, otrzymał podniecające wieści od Alicii. Spędzono wieczór, układając dokładny plan. Johannowi Melzerowi udało się powstrzymać żonę przed podróżą, a i on w żadnym razie nie chciał „rzucić się w tę przygodę”, zwłaszcza że jego obecność w fabryce była niezbędną. Alfons Bräuer natomiast zdecydował natychmiast, że pojedzie do Paryża. Paul, który miał ogromną nadzieję, że będzie mógł podróżować sam z Marie, chcąc nie chcąc, musiał się zgodzić na jego towarzystwo.

Spotkali się następnego ranka na dworcu w Augsburgu, gdzie Marie nieufnym wzrokiem obserwowała syczącą, buchającą parą lokomotywę. Wcześniej te terkoczące pociągi i dymiące lokomotywy widziała jedynie z dużej odległości. Jak głośne były te ogromne potwory, te góry z żelaza, w których kipiało i wrzało. Cieszyła się, że czuje rękę Paula, którą ten wsunął pod jej ramię. Gdyby ktoś zobaczył, że odprowadza ją na pociąg, uznałby to za gorszące zachowanie. Tymczasem szli złączeni za ręce jak stare małżeństwo i Marie zastanawiała się, co myśli o niej teraz Alfons Bräuer. Jechali pierwszą

klasą, ściany przedziałów były wyłożone drewnem, a na obitych aksamitem miejscach siedziało się jak na wygodnych fotelach. Paul otworzył drzwi, poprosił, żeby usiadła przy oknie, i dał napiwki obu tragarzom.

– W Monachium musimy się pośpieszyć – powiedział Alfons Bräuer, gdy siadał naprzeciwko niej. – Mamy tylko dziesięć minut na to, żeby przesiąść się do pociągu ekspresowego do Paryża.

Pod uważnym wzrokiem Paula Alfons Bräuer zrobił lekki ukłon w stronę Marie i wymruczał pod nosem coś w rodzaju „pani pozwoli”, zanim zajął miejsce. Marie nieśmiało się uśmiechnęła i odwzajemniła ukłon.

– Dziesięć minut? Zrobimy to bez problemu!

Paul zachowywał się tak swobodnie. Od razu odnalazł odpowiedni peron, a potem szedł tak po prostu przez kłęby szarego i białego dymu lokomotywy, aż znalazł właściwy przedział. Nic nie było w stanie zburzyć jego nastroju, wręcz upajał się tą podróżą. Ona natomiast miała spory problem, by ukryć emocje. Wszystko było obce, począwszy od ubrań, w które ją wciśnięto, kończąc na tym luksusowym przedziale, w którym bała się nawet poruszyć, żeby nie ubrudzić aksamitnych poduszek. Przede wszystkim jednak ciążyła jej odpowiedzialność, którą złożono na jej barki.

– Przywieziesz mi moją Kitty, prawda? – powiedziała rano łaskawa pani na pożegnanie. – Ufam ci całkowicie, moja droga Marie. Bóg ci za to zapłaci, dziewczyno.

A jeśli Kitty odmówi? W liście jej słowa brzmiały tak, jakby zamierzała zostać w Paryżu na dłużej. Prawdopodobnie nie będzie zachwycona, że Marie pojawi się w towarzystwie Paula i Alfonsa Bräuera, żeby zabrać ją do domu.

– Dlaczego jesteś taka poważna? – zapytał Paul i usiadł obok niej. Zmusiła się, żeby się uśmiechnąć, i stwierdziła, że jest nieco zmęczona. – Martwisz się, prawda?

Przytaknęła. Oczywiście się domyślił. Nic dziwnego, był dobrym obserwatorem i zbyt często doskonale wiedział, co jej leży na sercu.

– Nie jesteś sama, Marie – powiedział powoli, dotykając jej ramienia. – Obaj, ja i Alfons, jesteśmy z tobą. Nawet jeśli moja siostra i tym razem będzie tym małym, upartym człowieczkiem, którym bywa, uda nam się ją przekonać.

Spojrzała na niego i po raz pierwszy w życiu czuła, że ktoś ją wspiera. Jakiś niezawodny przyjaciel, opiekun. Nawet jeśli to potrwa tylko kilka dni, dopóki nie znajdą Kitty i nie przywiozą jej do domu, to i tak było to wspaniałe uczucie. Przerwali rozmowę, gdy do przedziału zaczęli wchodzić inni

pasazerowie. Wymieniono uprzejmości, starszy pan otworzył „Allgemeine Zeitung” i zagłębił się w czytaniu, a starsza pani przyglądała się z uwagą Marie i chciała się koniecznie dowiedzieć, gdzie kupiła materiał, z którego był uszyty jej kostium.

– To jest surowy jedwab z Indii, łaskawa pani.

Kobieta miała na sobie czarny kapelusz z szerokim rondem, ozdobiony sztucznymi różami i rajerem. Do samego Monachium jechała wyprostowana na krawędzi siedzenia, tak żeby ten cenny przedmiot nie opierał się o ścianę przedziału. Gdy dojechano do Monachium, wśród podróżujących zapanowało kompletne zamieszanie. Torowano sobie wyjścia, obrzucano wyzwiskami i popychano, kufry stanowiły dodatkowe przeszkody, a wypełnionymi torbami taranowano innych podróżnych. Co rusz rozlegało się desperackie wołanie: „tragarz!”. Marie stosowała się do wskazówek Paula, to on z obu mężczyzn był tym bardziej zorientowanym. Gdy Alfons speszony wciąż stał jeszcze na peronie, złorzecząc, Paul zdążył w tym czasie załatwić dwóch tragarzy.

– Tutaj! Tam stoi! Lokomotywa spuszcza parę!

– Cholera! – jęknął Alfons i zaczął biec.

Niespodziewanie okazało się, że dziesięć minut to faktycznie dużo czasu. Gdy cała trójka, nie mogąc złapać oddechu, wreszcie zajęła miejsca w pociągu ekspresowym do Paryża, tragarzom zostało jeszcze mnóstwo czasu, żeby władować bagaże.

– Teraz już możemy w spokoju cieszyć się podróżą – powiedział radośnie Paul, gdy Alfons wycierał pot z czoła chusteczką. – Powinniśmy wziąć wagon sypialny – dodał. – Z pewnością będzie nam niewygodnie tak jechać aż do rana.

Do Marii dotarło wówczas, że spędzi noc z dwoma mężczyznami w tym małym przedziale. To było dla niej dość dziwne. Ale i tak wydawało się znacznie lepsze od podróżowania w wagonie sypialnym, w którym prawdopodobnie trzeba by się było rozebrać i leżeć na łóżku w koszuli nocnej. Jak dużo osób może jechać w jednym przedziale sypialnym? Czy kobiety i mężczyźni podróżują w nich oddzielnie? W tym przedziale tak nie było. Chwilę później siedziała razem z Paulem i Alfonsem w wagonie restauracyjnym, jadła omlet z pieczarkami i piła wodę mineralną. Ten dzień był tak mało realny, że musiał to być sen. Siedziała przy tym pięknym stole nakrytym białym obrusem, zamawiała obiad i jakby tego było mało, widziała przez okno przesuające się lasy i łąki. Paul siedział naprzeciwko,

obserwował każdy jej ruch i uśmiechał się wesoło.

– Podoba ci się? Smakuje ci omlet? Powinniśmy zamówić jeszcze deskę serów na stół, francuskie sery nie mają sobie równych.

– Tak samo jak czerwone wino – dodał Alfons, który po drugim kieliszku burgunda miał wyśmienity humor.

– Bardzo dziękuję – odpowiedziała Marie. – Ja zostanę przy wodzie mineralnej, a zamiast serów poprosiłabym o kawę.

– Kelner! Proszę deskę serów, dwa razy burgund i kawa dla pani – zamówił Paul jednym tchem.

Odkąd wsiedli do ekspresu, Alfons przyglądał się Marie uważnie, a potem przenosił wzrok na Paula. Marie dobrze wiedziała, o czym myśli. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Paul traktuje pokojówkę swojej siostry jak panienkę. Oczywiście młody, dobrze wychowany mężczyzna powinien być uprzejmy dla pracowników, ale tutaj kryło się jeszcze coś więcej. Nie było w zwyczaju przepuszczanie pokojówki na schodach i nie pozwalało się jej siedzieć przy tym samym stole w wagonie restauracyjnym. Alfons postanowił, że przy dogodnej okazji porozmawia o tym z Paulem, po dobrym jedzeniu i sporej ilości wina poczuł jednak nieodpartą potrzebę snu. Gdy wrócili do przedziału, wytłumaczył współpasażerom, że pół nocy nie mógł spać z nerwów, złożył ręce na brzuchu i zasnął. Po czym dało się słyszeć ciche odgłosy chrapania, które mieszały się ze stukotem i turkotem jadącego pociągu. Ra-tatatata ... Chhhrrrr ... Ra-tatatata ... Chhhrrrr ... Ratatatata.

Marie siedziała obok Paula w milczeniu, wyglądała przez okno, z którego było teraz widać niebieskawe skały i ciemne lasy. Kiedy poczuła, że Paul na nią patrzy, odwróciła twarz w jego stronę. Uśmiechnął się radośnie i wskazał na śpiącego.

– Jak dziecko. Chciałbym umieć spać tak mocno.

– Powinien pan w takim razie wypić trochę tego pysznego francuskiego wina.

– Lepiej nie. Podobałoby ci się, gdybym teraz siedział na fotelu obok ciebie i chrapał?

– Czemu nie – odpowiedziała, wzruszając ramionami. – Do Paryża jest jeszcze daleko. Myślę, że wszyscy powinniśmy się trochę przespać, żebyśmy rano byli wypoczęci.

– Oczywiście masz absolutną rację.

Znowu milczała przez chwilę, wyglądała przez okno, patrzyła na

chrapiącego Alfonsa, byleby nie spoglądać na niego.

– Łaskawy panie...

Zareagował wściekłym okrzykiem.

– Jak miałaś do mnie mówić?

– Przepraszam... panie Melzer.

– Już lepiej – mruknął. – Ale najbardziej by mi się podobało, gdybyś zaczęła używać mojego imienia.

Przestraszyła się. Jak mógł wymyślić coś takiego? Jak wpadł na pomysł, że może wymagać od niej czegoś takiego?

– Tego na pewno nie zrobię, panie Melzer.

Wzięła głęboki, długi oddech, teraz na pewno był na nią zły. Ocknęła się jednak ze swoich rozmyślań, gdy ścisnął jej dłoń.

– Nie bój się, Marie – wyszeptał. – Zachowaj spokój, bo obudzisz naszego śpiocha. Muszę ci powiedzieć o czymś, co już od dawna mnie gnębi. Muszę to dzisiaj zrobić, w przeciwnym razie przez całe życie będę myślał o sobie jak o tchórze.

Marie zamarła. Chciał uczynić jej wyznanie miłosne, prosić, by mu się oddała, bo podbiła jego serce. Użyje takich albo podobnych słów, prawdopodobnie piękniejszych, bo był uzdolnionym mówcą, ten młody pan. Pragnęła usłyszeć te słowa, nawet jeśli nie będzie mogła potraktować ich poważnie. Bo tego nie robi pod żadnym pozorem. Nawet jeśli ją to zniszczy.

– Jak bardzo jesteś odważna, Marie?

To nieoczekiwane pytanie nie pasowało do czułych słów, których oczekiwała. W dodatku ścisnął teraz jej dłoń tak mocno, że aż ją zabolowało.

– Ja? Cóż, sądzę, że nie jestem zbyt odważna, panie Melzer.

– Ja też nie jestem – wyznał. – Ale są takie momenty w życiu, gdy trzeba zebrać w sobie całą swoją odwagę i posłuchać serca. Tylko w ten sposób można osiągnąć swój cel.

– To na pewno prawda.

Jak sprytnie zaczął rozmowę. Wielki cel. Czy rozpoczęcie romansu z pokojówką faktycznie było tak wielkim celem? Może dlatego, że ciągle stawiała mu opór.

– Spójrz na mnie – poprosił.

Zrobiła tak, jak jej powiedział, i zobaczyła jego udręczoną twarz. Musiał bardzo cierpieć z powodu tej namiętności. Czy nie rozumiał, co jej robi? Chce, żeby dokąd ją to doprowadziło?

– Wielki cel? – zapytała. – Jak to możliwe, panie Melzer?

Mogło to zabrzmieć nieco ironicznie, bo zacisnął usta, jakby poczuł się dotknięty, a nawet poirytowany.

– Ja nie żartuję, Marie – powiedział. – Pytam cię tutaj bardzo poważnie, czy zostaniesz moją żoną.

Marie poczuła lekki zawrót głowy. Pociąg wybijał wciąż swój stały rytm, ra-tatata, Alfons chrapał nieprzerwanie, lokomotywa wydała z siebie przeciągły gwizd. W tym hałasie padły jego słowa: Czy zostaniesz moją żoną? Musiała oszaleć, przecież on nigdy nie powiedziałby czegoś takiego.

– To były szczerze i poważne oświadczenia, panno Hofgartner – powiedział ktoś siedzący obok niej. – I myślę, że zasługują na odpowiedź.

Przeszedł ją dreszcz, poczuła ucisk w gardle i łzy stanęły jej w oczach. Powoli odwróciła twarz w jego stronę.

– Pańska propozycja bardzo mi pochlebia...

To się mówi w takich sytuacjach, prawda? Jej głos brzmiał strasznie obco. Pierwsza łąza zaczęła jej spływać po policzku.

– Nie mogę jej jednak przyjąć.

Patrzył na nią dzikim wzrokiem. Prawie zaczęła się bać, że zrobi coś szalonego, że złapie ją za ramiona i nią potrząśnie albo zacznie ją całować. On jednak zachował spokój.

– Dlaczego nie, Marie? Nie kochasz mnie?

Co miała powiedzieć? Kochała go bardziej niż cokolwiek na świecie. Ale lepiej będzie, gdy to przemilczy.

– To przyniesie nieszczęście nam obojemu, panie Melzer. Pan nie może poślubić pokojówki.

– Chcę wiedzieć, czy mnie kochasz – upierał się, próbując objąć ją ramieniem. – Jeśli kochasz mnie tak mocno jak ja ciebie, to przezwyciężymy wszystkie trudności.

– Nie!

– Co masz na myśli, mówiąc „nie”?

– Czy muszę to panu tłumaczyć? Wszyscy będą przeciwko nam, pana rodzice, siostry, cała rodzina, wszyscy przyjaciele i znajomi, całe miasto...

– Tego się boisz? Jestem przy tobie, Marie. Nikt nie ośmieli się obrażać mojej żony, nawet moja rodzina. Jeśli tylko będziesz ze mną, to nam się uda.

– Nie! Nie możemy!

– A więc mnie nie kochasz! – krzyknął rozczarowany i puścił ją. – Zapomnij

o tym, co powiedziałem, Marie. Jestem idiotą. Wyobrażałem sobie, że ty czujesz to samo, co ja.

Dźgnęła go prosto w serce. Siedział teraz koło niej zrozpaczony, pochylony do przodu, opierał ręce na kolanach i patrzył w podłogę. Tak bardzo chciała go teraz objąć i powiedzieć, jak bardzo go kocha. Bardziej niż mógłby to sobie wyobrazić.

– Może... – zaczęła ostrożnie i zamilkła.

Nie, nie mogła mu powiedzieć, co ją trapi. O niczym związanym z obrzezami miasta i o tym, co najpewniej wydarzyło się w mieszkaniu przy gospodzie Zielone Drzewo. To wszystko były tylko zjawy przeszłości, jej strach mógł być zupełnie bezpodstawny.

– Może? – wyszeptał. – Co może?

– Może to mój dowód miłości, że powstrzymuję pana przed uczynieniem tak lekkomyślnego, pochopnego kroku?

– Świetnie! – warknął. – Ale ja nazwałbym to tchórzostwem.

d="w_cieniu_tajemnic-47.html" xml:lang="pl-PL" aid="1BRPS1">

Idź wzdłuż ulicą, aż zobaczysz po lewej stronie kawiarnię Léon. Wejdź tam. *Entrez dans le café, Mademoiselle. Montez l'escalier.* Schodami na górę. *Jusqu'au cinquième étage.* Na piąte piętro. *Sous le toit.* Na poddasze.

– *Bonne chance, mademoiselle.* Dużo szczęścia – powiedział gospodarz i mrugnął do niej porozumiewawczo.

– *Merci beaucoup, monsieur* – powiedział Alfons zamiast niej. – *La facture, s'il vous plaît.*

Paul skinął tylko i tym razem to Alfons uregulował rachunek za trzy duże filiżanki ohydnej kawy i koszyk chrupiących rogalików – croissantów. Alfons był wyspany i niecierpliwy jak młody rumak. Dlaczego nie poszli jeszcze tam, gdzie przebywa Katharina? A jeszcze lepiej byłoby, gdyby mógł pójść sam, ale nie chciał jej wystraszyć.

– Myślę, że lepiej będzie, jeśli Marie pójdzie do Kitty bez nas – powiedział Paul. – Wybada sytuację i ostrożnie przekaze mojej siostrze, że przyjechaliśmy tutaj, żeby zabrać ją z powrotem do Niemiec.

Alfons nie chciał psuć stosunków ze swoim przyszłym szwagrem, przytaknął więc na zgodę i zabrał się do piątego croissanta. Marie z trudem zjadła pół rogalika, a Paul, który do końca podróży siedział obok niej w milczeniu, twierdził, że nie ma apetytu. Wciąż traktował Marie bardzo uprzejmie, ale nie patrzył na nią i zwracał się do niej tylko wtedy, gdy było to konieczne.

– Do tej pory wszystko idzie po naszej myśli – cieszył się Alfons. – Danie karteczki z adresem tej Sophie od kwiatów było bardzo sprytnym pomysłem Kathariny. *Eh, patron! Encore un café, s'il vous plaît!*

Teraz Alfons mógł pokazać, na co go stać. Nie na darmo spędził kilka miesięcy w Paryżu, rozeznał się w okolicy, wiedział, jak poruszać się podziemnym tramwajem, zwanym metrem, i mówił płynnie po francusku. Akcent, co prawda, miał dość toporny, ale rozumiano go. Paul z kolei prawie wcale się nie odzywał, tak że Marie bała się nawet na niego spojrzeć.

– W takim razie idę – oznajmiła. – Gdzie was znajdę, panowie, gdy odnajdę Kitty?

Alfons spojrział na Paula, ale ten wzruszył ramionami. Był zmęczony ciągłą odpowiedzialnością za tę wyprawę.

– Może pani zostawić gospodarzowi wiadomość – zdecydował Alfons. – Znajdziemy sobie jakiś hotel w pobliżu i będziemy zaglądać do kawiarni.

– Dobrze.

Wstała, wzięła walizkę i torbę podróżną. Paul popatrzył na nią ponuro, a Alfons zapytał ze współczuciem, czy bagaż nie jest zbyt ciężki. Mógłby ponieść za nią walizki do Café Léon. A najlepiej też wnieść po schodach, mieszkanie jest przecież na piątym piętrze.

– Bardzo panu dziękuję. Poradzę sobie.

Rozczarowany Alfons opadł z powrotem na krzesło i wziął z koszyka ostatni croissant. Chętnie by z nią poszedł, żeby jak najszybciej zobaczyć Kitty. Gdy był tutaj z Robertem, setki razy mijał Café Léon, bo była naprzeciwko stacji metra. Możliwe, że Kitty nawet ich widziała. Wtedy jednak był z nią ten Francuz, ten oszust, kłamca. To on z pewnością zabronił jej zejść na dół i przywitać się ze starymi znajomymi z Niemiec. Jak dobrze, że wyrzuciła na bruk tego okropnego mężczyznę.

Marie słyszała jego głos za plecami jeszcze przez chwilę, szła wyprostowana, energicznym krokiem. Idący z naprzeciwka patrzyli na nią ze zdumieniem, a potem usuwali się na bok. Francuzi uważali za dość osobliwe, że młoda, dobrze ubrana kobieta sama idzie ulicą z walizką i dużą torbą. Prawie cała zawartość bagażu należała do Kitty, łaskawa pani pakowała te rzeczy niemal całą noc. Również pieniądze, które Marie miała w skórzanym etui powieszonym na szyi, powinna oddać jej córce. Musiała przy tym obiecać, że ani łaskawy pan, ani Paul się o tym nie dowiedzą.

Jak szeroki był ten bulwar! Jak się właściwie nazywał? Aha, Boulevard de Clichy. Nie była to ulica, tylko aleja z drzewami pośrodku, ze słupami ogłoszeniowymi i małymi straganikami. W pobliżu przejeżdżały tramwaje. Mały piesek podbiegł do niej, obwąchał ją i pobiegł dalej. Domy paryskie właściwie nie różniły się zbyt od tych w Augsburgu, miały tylko odchyłone na zewnątrz okiennice, takich nie było w Niemczech. Na ulicach nie było też tak dużo śmieci jak w Augsburgu, tej okropnej plagi. Przed Café Léon siedzieli zwyczajnie ubrani mężczyźni, pili piwo i palili papierosy. Niechętnie weszła do środka, przy stoliku tuż obok recepcji siedziały dwie kobiety zajęte

rozmową, one również paliły. Mogły to być jedynie kobiety wykonujące wiadomą profesję, inne młode kobiety nigdy nie paliłyby w miejscu publicznym. Kogo powinna zapytać o Kitty? Za barem stała kobieta w średnim wieku i rozmawiała z młodym mężczyzną. Miała kasztanowobrzązowe włosy, z wpiętym w nie okrągłym grzebieniem, na sporym, wystającym brzuchu opinał się fartuch, który z założenia miał być biały.

– *Mademoiselle? Qu'est-ce qu'il y a?*

Nie zabrzmiało to zbyt przyjaźnie, jakby mówiła: Co tutaj robisz z tym swoim ogromnym bagażem?

– *Mademoiselle Katharina Melzer.*

Musiała powtórzyć nazwisko i wtedy na twarzy gospodyni pojawił się uśmiech.

– *Vous êtes Marie?*

– *Marie... oui... Marie Hofgartner.*

Nauczyła się tego jednego słowa. „Oui” oznaczało „tak”.

– *Marie Ofgartener! Bien! Och, Marcel!*

Gospodyni się odwróciła i krzyknęła coś w stronę kuchni – to była mieszanina dźwięków, które Marie przypominały szybko płynącą, szumiącą wodę. Co to był za język? Nie sposób było odróżnić od siebie pojedynczych słów. Po chwili pojawił się mały ciemnowłosy chłopiec, który bez pytania chwycił jej walizkę i ruszył z nią. Gdy gospodyni kiwnęła, żeby poszła za nim, Marie miała tylko szczerą nadzieję, że faktycznie zaprowadzi ją do Kitty, a nie ukradnie jej bagaż. Tak się na szczęście nie stało.

Droga prowadziła przez wąską klatkę schodową, po skrzypiących drewnianych schodach w górę. W końcu znaleźli się w małym ciemnym korytarzu. Marie nie mogła złapać tchu po tej pośpiesznej wspinaczce, a młody człowiek również dyszał, gdy wreszcie postawił walizki przed drzwiami.

– *Bardzo dziękuję – powiedziała Marie. – Merci.*

Okazało się, co było zaskakujące dla niej samej, że nauczyła się jeszcze jednego francuskiego słowa i prawidłowo go użyła. Sięgnęła do kieszeni kurtki, w której miała francuskie monety, włożone tam przezornie przez Alfonsa. Chłopak machnął jednak ręką, mówiąc coś o *mademoiselle Cathérine*, i zbiegł z lekkością schodami na dół. Nie chciał napiwku, pomyślała Marie. Z pewnością również jest oczarowany panią Kitty. Zbliżyła się do drzwi, nie znalazła ani tabliczki z nazwiskiem, ani dzwonka, więc zapukała.

– Halo? Panienska Katharina? To ja, Marie!

W środku słycać było jakiś ruch, coś ciężkiego spadło na podłogę, zabrzmiał cichy okrzyk i gniewne miauczenie kota.

– Marie! Marie! Jestem tuż pod drzwiami. Idź sobie, Sérafine, prawie cię zdeptałam, głupi kocie!

Drzwi skrzypnęły, Marie usłyszała jęk i narzekanie Kitty, pomogła jej więc odsunąć przeszkodę, która uniemożliwiała pełne otwarcie drzwi. Stała przed nią łaskawa panienska. Wyglądała pięknie jak zawsze, nawet jeśli miała nieco zaniedbane włosy, a na długiej, białej koszuli nocnej widać było plamy z sadzy. Prawdopodobnie walczyła z piecykiem, Kitty nigdy się nie uczyła, jak należy rozpalać ogień.

– Marie! Moja słodka przyjaciółko! Wiedziałam, że przyjedziesz. Będziemy takie szczęśliwe. Dlaczego jesteś tak wcześnie? Ach, wiem, ten głupi pociąg jechał przez całą noc i w Paryżu zatrzymał się wczesnym rankiem. Nie mylę się, prawda?

– Nie, nie myli się panienska.

– Chodź do środka. Co za wielka waliza? I jeszcze ta torba? Wzięłaś ze sobą wszystko, co posiadasz? Dobrze zrobiłaś. Och, teraz już wszystko będzie dobrze, teraz, gdy jesteś tutaj ze mną. Pokażę ci Montmartre. I Montparnasse, gdzie żyją poeci i Rosjanie. I Luwr! Zobaczysz Mona Lizę, którą ukradziono, ale która wisi już teraz na swoim miejscu.

Marie wniosła walizkę, a Kitty mocowała się z torbą. Śmiejąc się, wrzuciła ją na swoje łóżko, mówiąc, że Marie z pewnością przywiozła cały stos kamieni z Augsburga. Prosiła, żeby nie przeraziła się panującym tutaj nieładem, jeszcze dzisiaj nie posprzątała, ale zaraz to zdrobi. Najpierw jednak pokaże jej mieszkanie.

– To jest takie ptasie gniazdo, Marie. Jeden pokój dla ciebie, jeden dla mnie. Jest jeszcze kuchnia, co prawda mała, ale znajduje się w niej stół, przy którym możemy obie jeść. Tylko ten piec jest okropny. Oparzyłam już sobie palec, a ogień i tak ciągle gaśnie.

Co to był za bałagan! Bluzki i ręczniki, tubki z farbami, ołówki, filizanki po kawie, zwiędłe kwiaty, spinki do włosów, poduszki z pierzem – porozdzierane, niedokończone rysunki, suchy chleb i setki innych rzeczy leżały razem na łóżku, na podłodze i na sprzętach. Marie wiedziała, że Kitty nie potrafi dbać o porządek, ale nie mieściło jej się w głowie, że człowiek może wytrzymać w takim chaosie. Wszędzie było też bardzo brudno: na ścianach

wisiały pajęczyny, a tapeta i sufit przy piecu były czarne jak węgiel.

– Czy ten widok nie jest bajeczny, Marie? – zachwycła się Kitty, która nic sobie nie robiła z takich drobiazgów jak dymiący piec. – Zobacz! Tam w dole te białe kopuły to bazylika Sacré Coeur. Symbol Montmartre’u. Pokażę ci go później.

Faktycznie, widok z tego małego okna mógł wiele wynagrodzić. Widać było z góry dachy, ulice i aleje, szare gołębie i bezczelne wróble, które przysiadły na rynnach, a ludzie na dole byli mali jak zabawki. Sacré Coeur była kościołem, ale ta śnieżnobiała budowla przypominała raczej orientalny zamek z baśni, z wieloma małymi kopułami.

– Niebo wydaje się być tak blisko – wyszeptała Marie. – Niemal można go dotknąć, gdy wyciągnie się rękę, a jednocześnie jest ono tak nieskończenie dalekie.

Usłyszała za sobą śmiech Kitty i odwróciła się. Gruby rudy kot wskoczył na łóżko Kitty i ułożył się wygodnie na torbie podróżnej przywiezionej przez Marie.

– Sérafine, jesteś po prostu niemożliwa! – zachichotała Kitty. – Wiesz, Marie, ona przychodzi i odchodzi, kiedy ma ochotę. Ale kiedy w nocy jest zimno i człowiek czuje się samotny, jest cudownie mieć obok siebie taką ciepłą, mrużącą Sérafine.

Marie delikatnie gładziła grubą, jedwabistą sierść tej kociej łazęgi i przypomniała sobie Minkę, kota ogrodnika.

– Mogę rozpakować twoją torbę, Marie?

– Oczywiście. I walizkę też. Te rzeczy są dla ciebie, panienko Katharino. Panienci mama je spakowała.

Promienna twarz Kathariny nagle pociemniała, odsunęła rękę i nie była już ciekawa, co jest w środku.

– Mama? To ona wie, dokąd pojechałaś?

– Tak. Powiedziałam jej. Ona bardzo się o panienkę martwiła i pomyślała, że wszystkie te rzeczy się paniencie przydadzą...

– O mój Boże!

Marie podniosła z walizki grubego kota i odsunęła zamek. Na wierzchu leżały jej rzeczy, bielizna na zmianę, spódnica i bluzka, pończochy, druga para butów, koszula nocna. Pod spodem Alicia spakowała drobiazgi, które wydawały się jej niezbędne do prowadzenia porządnego życia. Szczoteczkę do zębów, środki od bólu zębów i głowy, szczotkę do czyszczenia ubrań,

kolorowe pudełko z chusteczkami, kilka buteleczek perfum, pachnące mydło, dwie jedwabne koszulki, ciepłą koszulę wykonaną z angory, latarkę, baterie, kilka książek.

– Kochana mama – powiedziała Kitty i spojrzała na Marie wielkimi, smutnymi oczami. – Wszystko u niej dobrze? Nie zamartwia się za bardzo, prawda?

– Z pewnością byłaby znacznie szczęśliwsza, gdybyś wróciła do domu, panienko Katharino.

Wybuchnie teraz płaczem? Marie dobrze wiedziała, że w głębi duszy Kitty bardzo cierpi z powodu rozstania z rodziną. Nie dopuszczała jednak żalu do siebie. Natychmiast zmieniła temat i odsunęła swoje strapienie.

– Powinnaś mówić do mnie Kitty. Nie jesteśmy już panienką i pokojówką, jesteśmy przyjaciółkami. Żyjemy i pracujemy razem, to jest warte więcej niż cokolwiek innego!

– Spróbuję – powiedziała Marie. – To jest dla mnie tak niezwykle, że pewnie nie od razu się tego nauczę.

– Poćwiczmy więc zaraz. Jak masz do mnie mówić?

– Kitty.

Promieniała z radości i natychmiast podarowała Marie trzy małe flakoniki perfum. Potem otworzyła walizkę i przekonała się, że Alicia zapakowała dla córki nie tylko ubrania, ale też jedzenie. Wędzoną szynkę, ciastka w cynowej puszcze, praliny, czekolady i marcepan, konserwy z mięsa wołowego, torebki z ziarnami kawy.

– Mama musi uważać, że przymieram głodem – wyjąkała Kitty. – Te ziarna kawy są na wagę złota, Marie. Kawa tutaj, we Francji, jest obrzydliwa.

– Twoja mama bardzo za tobą tęskni, Kitty. Twój tata także.

– Napiszę do nich.

Zabrzmiało to ostro i ucięło rozmowę na ten temat. Panienska Katharina nie chciała niczego żałować, wciąż wierzyła w złote sny o swojej przyszłości. Marie zawahała się, czy powinna jej oddać teraz pieniądze od matki. Jak niemądrze postąpiła Alicia Melzer. Te wszystkie rzeczy tylko utwierdzą Kitty w przekonaniu, że realizacja jej szalonych planów jest jak najbardziej możliwa. Planów, by żyć i pracować tutaj, w Paryżu. Co ona sobie w ogóle myśli? Z czego chce zapłacić czynsz, za co kupić jedzenie? Może ze sprzedaży swoich rysunków?

– Zaraz się ubiorę i pokażę ci Montmartre. Możemy też po drodze coś zjeść,

jest tutaj mnóstwo kawiarni i restauracji.

Zamknęła walizkę i zaczęła przeszukiwać komodę, robiła to trzy razy w tę i z powrotem, aż w końcu znalazła to, czego szukała. Nie zwróciła najmniejszej uwagi na doskonale uszyte kostiumy, które posłała jej Alicia, zamiast nich włożyła pomiętą, luźną sukienkę, spinaną w talii paskiem. Odstawała dość mocno na biodrach, wspierając się na drucianym kole, a niżej mocno się zwężała – przy kostkach spódnica była tak wąska, że można było w niej stawiać wyłącznie drobne kroczi. Aby móc normalnie w niej chodzić, Kitty zrobiła dwa długie rozcięcia.

– Ale... ale gdy będzie panienka szła... będzie widać całe nogi aż do kolan!
– wyjąkała Marie przerażona.

– No i? jesteśmy na Montmartrze, moja mała Marie. A nie w pruderyjnym Augsburgu. Tutaj we Francji panuje teraz styl tanga!

Okazało się, że był to nieprzyzwoicie drogi model sukni dyktatora mody Paula Poireta, który kupił jej Gérard Duchamps na początku ich podróży. Wydał mnóstwo pieniędzy na swoją wymagającą kochankę, nie tylko na ubrania i buty, ale również na pobyty w hotelach, materiały do malowania, liczne drobiazgi, które Kitty koniecznie chciała mieć, na przykład jedwabne parasolki i tym podobne.

– Na początku każdą noc spędzaliśmy w innym hotelu – mówiła Kitty, gdy schodziły po schodach. – I zawsze pod fałszywymi nazwiskami. Musieliśmy być ostrożni, bo ojciec Gérarda kazał go szukać.

Z jednego z wtrąconych zdań Marie się dowiedziała, że Gérard przedstawił ją swojemu ojcu jako przyszłą synową. Wybuchł skandal, bo Gérard z kolei jej nie powiedział, że od dwóch lat był zaręczony z córką partnera handlowego swojego ojca. Béatrice Monnier liczyła na to, że zostanie panią Duchamps, zerwanie zaręczyn mogło mieć poważne konsekwencje dla funkcjonowania przedsiębiorstwa Duchampsów.

– To są okropni ludzie, Marie. Powiedzieli, że to „le boche” dla ich rodziny. Czyli obraza.

Marie milczała, ale zrobiło jej się żal Kitty. Z pewnością liczyła na to, że z otwartymi ramionami zostanie przywitana w tej rodzinie jako żona Gérarda. Jak okropne musiało być rozczarowanie. I jak podłe było to, że Gérard Duchamps ukrywał przed nią swoje zaręczyny z inną. Nic dziwnego, że ich miłość ostygła. Bo tak właśnie było, prawda?

– Dlaczego zawsze mam takie niemądre marzenia? – mówiła dalej Kitty. –

Wciąż myślę o Gérardzie. Dlatego usunęłam go z mojego życia. Rach-ciach. Precz z nim. Tylko ze swoich snów nie mogę go wymazać. Wciąż mnie prześladuje, tu i tam... To śmieszne, prawda, Marie?

– To zupełnie normalne – powiedziała Marie smutno. – Marzenia robią z nami, co chcą.

Gdy wychodziły na zewnątrz z Café Léon, gospodyni zawołała do niej na powitanie, a Kitty odpowiedziała po francusku.

– *Une petite promenade, Solange. A bientôt!*

– Co jej powiedziałaś?

Kitty podniosła głowę wysoko i wyjaśniła, że tymczasem dość dobrze nauczyła się francuskiego. Powiedziała gospodyni – jej imię to Solange – że idą sobie właśnie na krótki spacer i że niedługo będą z powrotem. Ciepłe kwietniowe słońce znów poprawiło humor Kitty, nie przestawała mówić, o malarzach, których poznała, o poetach, o marszandach. Był na przykład niejaki mousieur Kahnweiler, który przy Rue Vignon wystawiał zupełnie szalone obrazy.

– Nazywają się kubistami. Wszystko zamieniają w kwadraty i sześciiany, czy to nie wspaniałe?

Marie uważała, że to raczej śmieszne. Gdy Kitty nachylała się do niej, mówiąc coś w zaufaniu i udając dorosłą, Marie obserwowała ludzi idących bulwarem. Kobiety zdecydowanie nie były ubrane w stylu tanga, ta modna ekstrawagancja była z pewnością zarezerwowana wyłącznie dla bardzo bogatych mieszkańców. Francuzki, które je mijały, były ubrane raczej konserwatywnie, miały długie spódnice, jasne bluzki, chusty na ramionach, małe kapelusze na głowach. Gdy szła z Kitty wąskimi uliczkami, zauważyła, że w sklepach z żywnością, obok serów, szynek i pasztetów, sprzedawano także obrazy. Były to wyłącznie małe obrazki, na których widniały kwiaty, łąki, czasem także ludzie, i wydawały się one Marie bardzo proste, jakby malowało je dziecko, Kitty twierdziła jednak, że to jest wielka sztuka.

– Jaka szkoda, że te obrazy stoją między śmierdzącymi serami i tłustymi pasztetami. Malarze są biedni i oddają swoje płótna za odrobinę zupy, bo głodują.

O tym Kitty opowiadała Marie już w Augsburgu. O twórcach, którzy głodują i muszą żyć i bez uznania, i bez pieniędzy. Tak jak nieszczęsny Vincent van Gogh, który za życia sprzedał jedynie kilka obrazów. Marie nie wiedziała, czy ma się z tego śmiać, czy to opłakiwać. Kitty już wcześniej mówiła przecież

ciągle o „świętej biedzie artystów” i podziwiała „prawdziwą sztukę, którą można osiągnąć jedynie poprzez całkowite wyrzeczenie się wszystkiego”. Czy zamierzała, razem z Marie, wprowadzić w życie tę wizję?

– Nie przestrasz się. Jest tutaj trochę brudno i ciasno. To jest Rue Gabrielle, są tu miejsca, do których nie wolno wchodzić kobietom. Tutaj krzyżuje się z Rue Ravignan, tam jest dom, w którym malarze żyją i pracują jak w ulu. Z tyłu, w ogrodzie, tam są atelier malarskie, jedno obok drugiego. Wielkie szyby, przez które wpada mnóstwo światła. Nie takie jak maleńkie okienka w moim mieszkaniu. Może się przeprowadzimy, Marie. Do ogromnego atelier, w którym obie będziemy malować.

Marie stanęła za Kitty i nie mogła uwierzyć, że między tymi zrujnowanymi drewnianymi domami i brudnymi kamiennymi fasadami budynków kwitnie wspaniała wolna sztuka. Po drodze minęły kilka knajpek, bezbarwnych i nieprzytulnych, najpewniej dopiero wieczorami zaczynało się tam życie, a wino było tak ohydne, że nawet biedny malarz mógł sobie na nie pozwolić. Na rogu stali trzej mężczyźni, kloszardzi, którzy zaciekle się ze sobą kłócili. W ciemnym wejściu do jednego z domów siedziała na krześle stara kobieta i wpatrywała się przed siebie ślepych oczami. Tak bardzo różniła się ta okolica od przedmieść Augsburga? Wieczorami tymi wąskimi uliczkami chodziły dziewczęta, ustawiały się z papierosami pod latarniami i targowały ceny własnych usług. Była bardzo szczęśliwa, gdy opuściła tę okropną okolicę. Dla Kitty jednak to wszystko, bieda, brud, prostytutki i wystający na ulicach kanciarze, wydawało się mieć szczególny urok. Malarze? Wielcy artyści? Z tego, co widziała Marie, chodzili tutaj tylko biedni pijacy, panie lekkich obyczajów albo inne podejrzone kreatury. Wyjątkiem były jedynie grupy turystów, ubranych zupełnie bez smaku, którzy przechadzali się ulicami i rozmawiali po angielsku czy holendersku. Oni też zajmowali małe knajpki i zamawiali głośno i władczo „bière” albo „du vin”, jakby to do nich należał cały Montmartre.

– Widziałaś zaledwie kilku malarzy, bo oni teraz pracują. Dopóki światło jest dobre. Wieczorami wychodzą z pracowni, żeby jeść i świętować.

– Aha... A czy są też kobiety, które malują? Oprócz nas dwóch?

Kitty twierdziła, że poznała tylko kilka, ale są to wyłącznie zarozumiałe kozy i każda romansuje z jakimś artystą, który ją potem utrzymuje.

– Nadejdzie czas, gdy to zmienimy, Marie. Nie będziemy potrzebować kochanków, bo będziemy trzymać się razem. Chodź teraz ze mną – obiecałam

ci niespodziankę. Będziesz zaskoczona, moja mała Marie. Och, jestem taka ciekawa, co powiesz!

Złapała Marie za rękę i pociągnęła ją za sobą. Boulevard de Clichy był pełen ludzi, podziwiali grupę maszerujących żołnierzy. Obie kobiety, z konieczności, również musiały przystanąć i Kitty zaczęła opowiadać, że w zeszłym tygodniu Paryż odwiedziła królewska para z Anglii. Od tego czasu ciągle odbywają się takie przemarsze, może żołnierze z *Dziadka do orzechów* nie lubią już siedzieć w swoich koszarach.

– Z *Dziadka do orzechów*?

– Zobacz, jak są ubrani. Tak jak drewniany żołnierz z *Dziadka do orzechów*, którego przyniósł mi kiedyś tata z jarmarku bożonarodzeniowego.

Nie było to zupełnie błędne skojarzenie, bo francuscy żołnierze nie byli ubrani w oliwkowe mundury, które Marie widziała na bawarskich mężczyznach. Ci mieli niebieskie płaszcze, krótsze z przodu, dłuższe z tyłu, a pod nimi czerwone spodnie. Tylko ich pistolety i bagnety w żadnym razie nie wydawały się drewnianymi zabawkami.

– Wujek Rudolf, brat mamy, powtarzał zawsze, że Francuzi to żołnierze z papieru. Gdy zaczyna padać deszcz, uciekają, żeby nie rozmoknąć.

Marie cieszyła się, że nikt nie rozumiał, co Kitty mówiła tak głośno. Zwinnie przeciskała się przez tłum, mężczyźni się tylko uśmiechali, a kobiety kiwały przyjaźnie głowami. Nawet podejrzane typy, stojące na poboczach, robiły im miejsce, jeden z nich skłonił się nawet szarmancko niczym młody dzentelmen. Przed Café Léon zaczęli już gromadzić się ludzie. Gospodarz poustawiał na chodniku krzesła i stoliki, zarezerwowała je grupa angielskich turystów. Pulchna Solange roznosiła wino, wodę i ciepłe paszteciki. Gdy zobaczyła Marie i Kitty, pomachała do nich.

– Zarezerwowała dla nas stolik, dobra kobieta. Wiesz, Marie, gdyby nie Solange i Léon, to myślę, że pewnie wróciłabym do Augsburga zaraz po tym, jak nasza miłość umarła.

Marie nie odpowiedziała. W kawiarni za barem stał teraz Marcel, a dziewczyna o ogniste rudy włosach była zajęta nalewaniem piwa do kufli. To była Susanne, córka Solange i Léona. Patron był teraz w kuchni i tylko co jakiś czas widać było za kuchennym okienkiem jego zaczerwienioną twarz.

– Będziesz zaskoczona, gdy wreszcie wyjdzie z tej swojej norki – powiedziała Kitty, gdy usiadły przy niewielkim stoliku w rogu. – Jest

Bretończykiem, ogromnym mężczyzną z blond włosami, jak wiking. Chciałam ci go pokazać, ale się nie zgodził. Jest bardzo nadęty, wiesz...

W kącie było dość ciemnawo i nie widać było ludzi przechadzających się po bulwarze. Za to Marie dostrzegła liczne fotografie, oprawione i powieszona na ścianach. Może gospodarz chwalił się tutaj swoimi bretońskimi krewnymi.

– Weźmiemy menu numer jeden, tobie też będzie smakować. A do tego wino? Nie? Chcąc nie chcąc, musisz się nauczyć pić wino, moja mała Marie. Francuzi ciągle piją wino, mieszają je nawet z wodą. Weźmiemy pół litra różowego i do tego karafkę wody.

– *Eh Marcel, deux fois le numéro un, un demi de rosé et une bouteille d'eau.*

Jak chciała zapłacić rachunek? Miała pieniądze? Czy po prostu brała na kreskę? Marie zdecydowała, że jeszcze poczeka i w ostateczności ujawni, że ma pieniądze od łaskawej pani. To i tak były niemieckie pieniądze, które trzeba było wymienić na franki. Marcel przyniósł i rozlał napoje. Marie niepewnie patrzyła na różowy płyn w kieliszku. Czerwone wino bardzo szybko sprawiało, że stawała się pijana, o czym dowiedziała się, gdy musiała je pić, będąc na służbie na obrzeżach Augsburga. Wtedy z ciekawości wypila to, co zostało w jednej z butelek, a potem zaszumiało jej w głowie i przez całą noc czuła się bardzo chora. To jednak nie było czerwone wino, tylko różowe. I mogła je mieszać z wodą.

– Za nas dwie! – powiedziała Kitty uroczyście i podniosła kieliszek. – Żeby nam było razem dobrze, żebyśmy pilnie pracowały i abyśmy kiedyś były tak sławne, by sobie wyrywano nasze obrazy.

– Za naszą przyjaźń, Kitty!

Marie nie miała już czasu, żeby mieszać wino z wodą. Wzięła głęboki łyk i poczuła, jak alkohol zaczyna płonąć w jej żołądku. Zrobiło jej się przyjemnie, a po drugim łyku przestała mieć wyrzuty sumienia.

– Za naszą przyjaźń! – powiedziała. I nie chciała zwodzić Kitty ani przed nią udawać, że tak będzie, gdy Paul i Alfons niecierpliwie czekali na wiadomość od niej.

– Czy tutaj nie jest pięknie? – powiedziała Kitty podekscytowana. – Jesteśmy tutaj wolne, Marie. Nikt nam niczego nie każe, robimy, co nam się podoba. Siedzimy tutaj i pijemy wino, jemy obiad, a potem pojedziemy do Luwru i będziemy spacerować nad Sekwaną. Weźmiemy ze sobą bloki i będziemy rysować. Ach, tak się cieszę, że będziesz rysować. Masz ogromny

talent i szybko mnie prześcigniesz, dobrze to wiem!

Marie ogarnęło przyjemne ciepło i wzięła jeszcze jeden głęboki łyk. Poczuała się tak, jakby pływała. Jaka szkoda, że marzenia Kitty niebawem zostaną zniszczone. Niewątpliwie kuszące było takie życie, pełne wolności. Kitty i ona razem w ptasim gnieździe wysoko nad dachami miasta. Ach, dołożyłaby starań, żeby to miejsce wyglądało pięknie, posprzątałaby, pomalowałaby ściany na jasny kolor i kupiłaby kwiaty w doniczkach. Z tego mieszkania można by zrobić prawdziwe cacko. Całymi dniami chodziłyby po tym wielkim mieście i rysowały. Ludzi, domy, Sekwanę, wieżę Eiffla. I może też zamieniałyby wszystko w kwadraty i sześciiany. Musiała się zaśmiać. Ale czy Kitty nie mówiła, że tak właśnie wygląda współczesna sztuka?

– Uwważaj! Teraz właśnie nadchodzi moja niespodzianka!

Co Kitty wymyśliła tym razem? Zerwała się i pobiegła, najpewniej na górę, do ptasiego gniazda, i zostawiła Marie samą przy stoliku. Jakie szczęście, że nie była młodą damą, tylko zwykłą pokojówką, bo inaczej uznano by za bardzo niewłaściwe, że siedzi sama w kawiarni. Kitty nie śpieszyła się ze swoją niespodzianką, Marie wielokrotnie napotykała zdumione spojrzenie gospodyni. A gdy Kitty wreszcie się pojawiła, jej suknia była pomięta, ale najpewniej nawet tego nie zauważyła. Trzymała w rękach fotografię, którą najpierw przetarła rąbkiem sukienki, a następnie położyła na stoliku przed Marie.

– Mój Boże, ile się jej naszukałam. A tak naprawdę łatwo można było ją znaleźć, bo wcisnęłam ją między filiżanki w kredensie. Spójrz, Marie, czy to nie dziwne?

Fotografia musiała być bardzo stara, bo mocno wyblakła. Można było jednak dostrzec na niej młodą parę, która stoi dość sztywno przed – bez wątpienia specjalnie na tę okazję – przystrojonym stołem i trzyma się za ręce. Kobieta miała na sobie jasną suknię, luźno opadającą poniżej talii, i upięte włosy, a mężczyzna był ubrany w ciemny garnitur i miał wąsy. Na stole leżała paleta malarska i stały naczynia z pędzlami i kilka tubek farb. Wydawało się, że zdjęcie zrobiono w pracowni fotografa.

– Bardzo ładne...

– Spójrz na dół – powiedziała Kitty zniecierpliwiona. – Mój Boże, jesteś ślepa?

Marie wypijała ostatni łyk wina i napełniła kieliszek wodą. W dolnym rogu było coś napisane piórem, napis też już mocno wyblakł. *Luise Hofgartner, peintre allemande, et son fiancé, M. Jakob Burkard.* Marie przeczytała napis

raz jeszcze, potem literki zaczęły pląsać jej przed oczami. Przez cały czas słyszała, co Kitty mówi z taką ekscytacją, ale nie składało się jej to w sensowną całość.

– Wyobraź sobie, Marie, że kiedyś z Gérardem zobaczyliśmy rysunek w pewnym małym sklepiku. Gdzie to było? Może w Saint Germain albo gdzieś indziej. Cóż, rysunek, namalowany węglem, przedstawiał młodą dziewczynę, myślę, że Florę, boginię wiosny. Spodobał mi się, weszliśmy więc do środka i zapytaliśmy, kto go namalował i ile kosztuje. Co za niespodzianka, była to niemiecka malarka nosząca twoje nazwisko. Może jesteście jakoś spokrewnione? Nie byłoby w tym nic dziwnego, bo masz ogromny talent, Marie.

– Co znaczą te słowa po francusku, Kitty? – przerwała jej, patrząc na zdjęcie.

– To znaczy: Luise Hofgartner, niemiecka malarka, i jej narzeczony, pan Jakob Burkard.

– Narzeczony? Jesteś pewna, że to jest to słowo?

– Całkowicie pewna. Gérard mi to wtedy przetłumaczył, a on mówi tak samo dobrze po francusku, jak po niemiecku. Handlarz miał wiele jej obrazków, mówił, że była wielką artystką i pracowała jak opętana, ale później wyjechała do Niemiec i nikt już o niej więcej nie słyszał. Był tak szczęśliwy, że kupiliśmy ten rysunek, że podarował nam jeszcze tę fotografię. Ci dwoje wyglądają na takich radosnych, nie sądzisz?

To było niezaprzeczone, inaczej nie trzymaliby się przecież za ręce. Tutaj w Paryżu. Marie kolejny raz wzięła w ręce fotografię i w wyblakłych kształtach i liniach starała się dojrzeć jakieś szczegóły. Czy się śmiali? Czy nosili obrączki? Suknia jej matki wygląda na dość modną, ale może dlatego nie była wcięta, bo matka była wówczas w ciąży?

– Zapytałaś może, kiedy zrobiono to zdjęcie?

– Nie pomyśleliśmy o tym – powiedziała Kitty. – Jest z pewnością bardzo stare. Wyobraź sobie natomiast, że odnaleźliśmy jeszcze więcej jej obrazów. Trzy z nich są w galerii Kahnweilera, a inne widziałam w małym sklepiku nad Sekwaną. Ale Gérard, ten okropny skąpiec, nie chciał kupić żadnego. Wyobrażasz sobie? I jeszcze twierdził, że mnie kocha...

– Rysunek – powiedziała Marie drżącym głosem. – Masz jeszcze ten rysunek?

Nie otrzymała odpowiedzi, bo Kitty podniosła głowę i spojrzała

przerazonym wzrokiem na otwierające się właśnie drzwi. Pojawili się w nich Paul i Alfons.

– Zdradziłaś mnie – wyszeptała Kitty. – Ty fałszywa żmijo!
d="w_cieniu_tajemnic-48.html" xml:lang="pl-PL"
aid="1CQAE1">

41

Ci dwaj nie mogli przyjść w bardziej nieodpowiednim momencie. Co oni sobie myśleli? Czy wspólnie nie ustalili, że na wiadomość od Marie mają czekać w kawiarni na dole, przy stacji metra? Paul odpowiedział na pełen wyrzutów wzrok Marie wzruszeniem ramion, a Alfons był tak odurzony widokiem Kitty, że nawet nie zauważył niezadowolenia Marie. Z wyrazem twarzy oznajmającym, że w jego życiu po długich miesiącach smutnej zimy wreszcie wyszło wiosenne słońce, podszedł do stołu, przy którym siedziały obie kobiety.

– Łaskawa panienska! Co za szczęśliwy dzień! Bardzo się cieszę, że panienkę widzę!

Kitty spojrzała na niego przymrużonymi oczami niezbyt przyjaźnie, a jej brat Paul został przywitany wręcz wrogo.

– Jaki to szczęśliwy zbieg okoliczności! – zakpiła. – Idzie się jakby nigdy nic wzdłuż Boulevard de Clichy, nie myśli się o niczym złym i nagle widzi się swoją młodszą siostrę, siedzącą w kawiarni.

– Tak właśnie było! – zawołał Alfons naiwnie podekscytowany. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy paniom?

– Nie mam pojęcia! – powiedziała Kitty złośliwie. – Właśnie jemy i trochę plotkujemy. Co mogą mieć kobiety do omówienia między sobą? Jakieś intymne sprawy. Ale przysiądźcie się, oczywiście, intymny nastrój i tak już przepadł. Prawda, Marie?

– Nie wiem, co ma panienska Katharina na myśli – odpowiedziała Marie urażona. Ze względu na sytuację lepiej będzie, jeśli nie będzie zwracać się do Kitty po imieniu.

– Wiesz doskonale, ty kłamliwa kobieto!

Teraz wtrącił się Paul, nękany wyrzutami sumienia. Gdyby tylko nie posłuchał namów Alfonsa, żeby pójść do Café Léon. To oni sprawili, że Marie wpadła w kłopoty.

– Kitty, nie masz żadnego powodu, żeby obrazać Marie! – powiedział oburzony. – Pilnuj lepiej swojego nosa. Kto okłamywał dzień w dzień, a potem którejś nocy uciekł nie wiadomo gdzie?

– Ach, Paul – mruknęła Kitty drwiąco. – Wiedziałam, że kiedyś cię zaprzęgna do rodzinnego wozu. Jeśli jednak sądzisz, że wrócę z tobą do Augsburga, to się mylisz. Prędzej pójde do piekła!

– Zaraz, zaraz! – Alfons uniósł ręce w uspokajającym geście. – Nie chcemy się przecież kłócić, drodzy przyjaciele. Kto tu mówi o Augsburgu? Cieszymy się, że jesteśmy w pięknym Paryżu. W mieście sztuki i miłości.

Po tym entuzjastycznym przemówieniu zapadła cisza. Kitty patrzyła na Alfonsa, marszcząc brwi i zastanawiając się, czy mówił poważnie, czy tylko się przymilał, jak zazwyczaj robił. Paul i Marie wymienili zdziwione spojrzenia.

– *Ce sont des amis?* – zapytała Solange, która obserwowała całe zdarzenie, nie rozumiejąc ani słowa.

– *Mon frère Paul et son ami Alphonse.*

Solange zaproponowała, że przyniesie dodatkowe dwa krzesła, żeby panowie mogli zająć miejsca przy stole, ale Kitty grzecznie odmówiła.

– Nagle straciłam apetyt – wyjaśniła i wstała od stolika. – Zjedz moją porcję, Marie, na pewno jesteś głodna po długiej podróży. Ja potrzebuję teraz jedynie świeżego powietrza.

– To śmieszne, że znów uciekasz, Kitty – powiedział rozgniewany Paul. – To z twojego powodu zostawiliśmy wszystko i przyjechaliśmy tutaj, bo się o ciebie martwiliśmy.

– Niepotrzebnie!

Jej arogancki ton doprowadził Paula do wściekłości. Już w Augsburgu mówił, że ma ogromną ochotę przełożyć swoją małą siostrę przez kolano. Teraz, w tej chwili, też czuł przemożne pragnienie, by sprawić jej braterskie lanie.

– Słuchaj no, panienko – powiedział ostrożnie, żeby nie wzbudzać niepotrzebnie jeszcze większego zainteresowania. – Nasza matka jest chora ze zmartwienia, ale to ci jest zupełnie obojętne. Nie interesuje cię także, że ojciec nie czuje się dobrze, a Elisabeth musi cierpieć przez twój egoizm, że nasza rodzina stała się obiektem kpin całego miasta. Gdybyś nie musiała zawsze tak głupio stawiać na swoim...

Kitty przeszła obok Marie, żeby jak najszybciej opuścić kawiarnię. Była

teraz bliska płaczu, choć nigdy by się do tego nie przyznała.

– Powinieneś zostać kaznodzieją, Paul. Abraham a Santa Clara z haczykowatym nosem i kapturem nasuniętym na głowę. Pasowałyby ci...

– Panienko Katharino, proszę! – zawołała Marie. – Nie odchodź tak, proszę. Spróbujmy rozsądnie porozmawiać!

Kitty wzięła głęboki oddech, żeby dać Marie jakąś złośliwą odpowiedź, ale w tej samej chwili Alfons zaszedł jej drogę. Z pewnością ta naprawdę ogromna przeszkoda sprawiła, że poczuła się niezbyt pewnie i milczała.

– Droga panienko Katharino – powiedział uspokajająco. – Co za wspaniały pomysł, żeby się trochę przejść po okolicy. Ja też nie jestem głodny.

Jeśli do tej pory nie kłamał, teraz robił to niewątpliwie, pomyślała Marie.

– Wolałbym pochodzić po galeriach. Musi panienka wiedzieć, że jestem teraz entuzjastycznym kolekcjonerem współczesnej sztuki.

Kitty uniosła lewą brew, nie wiedziała nic o pasji Alfonsa do zbierania dzieł sztuki. Faktycznie jego ojciec powiesił kilka obrazów w posiadłości Bräuerów, jednak nie z miłości do sztuki, tylko jako inwestycję, jak śmiała się zawsze jego matka.

– Cóż – powiedział. – Kubiści, jak się ich nazywa, są teraz do kupienia w śmiesznie niskich cenach, ale za kilka lat trzeba będzie zapłacić bardzo dużo za ich obrazy.

Alfons uśmiechnął się błogo. Marie nie mogła uwierzyć, jak szybko ten potężny, niezdarny chłopak, oszalały z miłości, stał się przebiegłym uwodzicielem.

– Gdyby ktoś taki jak panienka, droga Katharino, udzielał mi rad i wspierał mnie swoją znajomością sztuki przy kupnie obrazów, z pewnością uniknąłbym wielu błędów. Zna może panienka jakąś galerię w pobliżu, którą warto odwiedzić?

– To byłaby na pewno Kahnweiler przy Rue Vignon, ale to jest dość daleko stąd.

– Weźmiemy taksówkę, panienko Katharino. Albo pojedziemy metrem. To trzy stacje, jeśli dobrze pamiętam.

Kitty spojrzała na niego z podziwem. Znał Paryż, kto by pomyślał. W tym nudnym młodym człowieku można było odnaleźć więcej, niż jej się wcześniej wydawało.

– Metro to bardzo dobry pomysł! Lubię te stacje pod ziemią. Niektóre z nich przypominają podziemne pałace.

- Mogę panience towarzyszyć? – zapytał i uklonił się pełen nadziei.
- Jeśli chce pan mieć na swoich barkach egoistyczną i niewdzięczną osobę, którą jestem, to proszę bardzo, jestem do dyspozycji.
- Żartujesz sobie, panienko Katharino.
- Głośnym śmiechem skomentował jej wyrzuty sumienia. Paplając jak nakręcona, wyszła z kawiarni u jego boku, a już na zewnątrz odwróciła się do Paula, uśmiechnęła się triumfująco i dumna z siebie wzięła swojego kawalera pod rękę. Odstając na biodrach spódnica kołysała się podczas chodzenia, a przy każdym kroku widać było jej zgrabne łydki aż do kolan.
- Wielki Boże – wyszeptał Paul z niedowierzaniem, gdy ją zobaczył w pełnej okazałości.
- To nie jest tak, jak się wydaje – powiedziała Marie. – Ona nie chce przyznać, że popełniła ogromny błąd, i dlatego zachowuje się jak zbuntowane dziecko. Tak naprawdę, w głębi serca jest bardzo nieszczęśliwa.
- Paul prychnął i stwierdził, że to dziecinne zachowanie kiedyś musi się skończyć. A powinno najpóźniej wtedy, gdy zaczęła krzywdzić innych ludzi.
- Ma pan rację – odpowiedziała Marie. – Mimo to bardzo mi jest jej żal. Sądzę, że ona wciąż kocha tego Gérarda.
- Jeszcze i to!
- Westchnął i zapytał, czy może usiąść koło niej przy stole.
- Byłoby bardzo miło – odpowiedziała. – Kitty zamówiła dla nas menu numer jeden i wino. Sama nie dam sobie z tym rady.
- Ach, to więc dlatego – powiedział ponuro i odsunął krzesło. – A miałem nadzieję, że będziesz chciała po prostu ze mną porozmawiać.
- Milczała, a on nieproszony sięgnął po wino, nalał sobie do kieliszka i wypił jednym haustem. Potem, głodny, zabrał się do przystawek.
- Nie mam nic przeciwko rozmowie, panie Melzer. Przede wszystkim musimy się zastanowić, jak namówić Kitty na podróż powrotną do domu, bo ona wbiła sobie do głowy, że będziemy razem tutaj, na Montmartrze, żyć i malować.
- Przeżuwał właśnie warzywa i marynowaną rybę z sosem czosnkowym, a całość popijał winem.
- Z powodu naszego niedyplomatycznego zagrania Kitty na pewno nabrała większego dystansu wobec naszego wspaniałego planu. Nie powinienem był słuchać Alfonsa...
- Ach tak. W końcu ja też musiałam jej powiedzieć szczerą prawdę. Cóż,

rzuciliśmy ją w ramiona uszczęśliwionego Alfonsa, i może nie jest to takie złe.

Wzruszył ramionami, nie wyglądał na przekonanego.

– Czy ona wie o jego propozycji?

– Nie powiedziałam ani słowa na ten temat.

– To problem – wyszeptał i spojrzał na nią. – Życzyłbym tego Alfonsowi z całego serca, a i dla Kitty byłby to dobry związek. Ale jeśli twierdzisz, że ona kocha wciąż tego Francuza...

– Tak myślę, nawet jeśli nie mówi tego wprost.

– Na domiar złego on też nie chce z niej zrezygnować. Przyjechał do Augsburga, żeby się z nią pogodzić i prosić o jej rękę.

Wcześniej nie powiedział o tym nikomu, ani Marie, ani Alfonsowi, ani rodzicom. Oczywiście można po prostu odrzucić jego propozycję, gdyby próbował ją ponowić.

– Wtedy Gérard zostanie potraktowany podobnie jak Kitty – zauważyła Marie i opowiedziała o jego narzeczonej Béatrice i o tym, jak się zachowano wobec niej w domu Duchampsów.

– Nie mogę zrozumieć, dlaczego postawił ją w takiej sytuacji – syknął Paul przekonany, że honor rodziny Melzerów został zszargany. – Musiał przecież wiedzieć, że jego rodzice nie zaakceptują tego małżeństwa.

Zdenerwowany rzucił serwetę na stół i wypił resztę wina z kieliszka. Gdy spojrzał ponownie na Marie, zauważył ironiczny uśmiech na jej twarzy.

– Co w tym zabawnego?

– Cieszę się, że jest pan taki mądry. Bez wątpienia nie powinno się stawiać kochanej osoby w takim położeniu. Jeśli związek musi pokonywać tak wielkie przeszkody, zazwyczaj pozostawia po sobie jedynie smutek i żal.

Spojrzał na nią wielkimi oczami. Kiedy pojął, co miała na myśli, potrząsnął głową. Nie można porównywać ze sobą tych sytuacji, bo są to dwa zupełnie różne przypadki. Poza tym on przyjął i zaakceptował jej odpowiedź na jego pochopną propozycję. Nie potrzeba mówić o tym raz jeszcze.

– Bardzo się cieszę, że patrzy pan na to w ten sposób, panie Melzer. Mam nadzieję, że mimo wszystko, pozostaniemy przyjaciółmi. Jeśli w ogóle przykłada pan jakąkolwiek wartość do przyjaźni ze mną.

– Oczywiście, że tak – powiedział bez większego przekonania. – Mam też nadzieję, że zostaniesz u nas w willi, także wtedy, gdy ja... kiedyś się ożenię i założę rodzinę. Będzie wspaniale, jeśli kiedyś będziesz wychowywać moje dzieci.

Ta wizja wydała się Marie absurdalna. No tak, to zemsta za kosza, którego mu dała. Naprawdę sądzi, że będzie służyć jego żonie i wychowywać jego dzieci? Nie, raczej poszuka sobie nowej pracy w innym mieście. Jaka szkoda, że Kitty była na nią zła. Może faktycznie powinna z nią zostać tutaj, na Montmartrze? Życ z sprzedaży obrazów. Jej matka przecież tak właśnie robiła, przynajmniej przez pewien czas.

– Cóż to jest?

Dotarło do niej, że zupełnie zapomniała o fotografii. Gdy Paul i Alfons tak niespodziewanie się pojawili, odwróciła zdjęcie na drugą stronę, a teraz Paul z ciekawości po nie sięgnął. Marszcząc czoło, przyglądał się parze, rzucał pytające spojrzenie na Marie i chciał już odłożyć fotografię na bok, gdy dostrzegł napis umieszczony w dolnym rogu.

– To nic takiego – powiedziała Marie i chciała wyjąć mu zdjęcie z ręki. On jednak szybko się cofnął i nie zdążyła go zabrać.

– Nic? Tutaj jest twoje nazwisko, Hofgartner. Malarka z Niemiec, a ten mężczyzna to jej... Jakie to dziwne...

– Niech pan to natychmiast odda! – krzyknęła i przechyliła się przez stół, żeby odebrać fotografię.

– Powoli, powoli, panienko Hofgartner. Ten człowiek nazywa się Jakob Burkard, a ja znam to nazwisko. Ale to jest bardziej niż nieprawdopodobne, by mogło chodzić o tego samego człowieka.

– Z pewnością – przerwała mu. – A teraz chciałabym odzyskać zdjęcie. Proszę!

Zawahał się, najpewniej dlatego, że jej „proszę” nie brzmiało delikatnie, tylko raczej władczo.

– Marie, czy ta fotografia należy do ciebie?

– Należy do Kitty. Znalazła ją w małym sklepie w Saint Germain.

– Poczekaj chwilę, zaraz.

Drogi Boże, modliła się w duchu Marie. Niech ten sufit się zawali albo ześlij zaćmienie słońca, cokolwiek, byleby go powstrzymać przed zadawaniem dalszych pytań. Mógłby się nawet zdarzyć jakiś mały wypadek drogowy, byleby oczywiście nikt poważnie nie ucierpiał.

– Czy to przypadkiem nie jest twoja matka, Luise Hofgartner? Wygląda zupełnie jak ty.

Strzał w dziesiątkę. Skąd u niego taka intuicja?

– Luise Hofgartner, malarka. Oczywiście, przecież Kitty mówiła, że masz

ogromny talent malarski. W Boże Narodzenie przemyciła nawet jako prezent jeden z twoich rysunków. Ale to chyba nie może być Jakob Burkard, były wspólnik mojego ojca...

– Wspólnik? – zawołała Marie i zrozumiała w tym momencie, że się zdradziła.

– Jakob Burkard był wspólnikiem w fabryce mojego ojca – wyjaśnił i przypatrywał się jej uważnie. – Razem założyli fabrykę, o ile wiem. Burkard był geniuszem, konstruował maszyny, a mój ojciec wziął na swoje barki kwestie handlowe. Niestety, Burkard wcześniej zmarł.

Zamilkł i w zamyśleniu spojrzął na Marie. Coś wydawało mu się niejasne, coś nim wstrząsnęło i nie dawało mu spokoju.

– Nie wiedziałem, że był żonaty.

– Nie mieli cywilego ślubu, tylko kościelny.

Pokiwał głową. Tylko kościelny, a więc taki, który nie jest uznawany przez prawo. Niestety. Ale zaraz, zaraz. Podniósł głowę i spojrzął na nią jak ktoś, kto doznał olśnienia.

– Kościelny czy też nie, jeśli jesteś córką Jakoba Burkarda, to nie możesz być biedna jak mysz kościelna. Masz prawo do części fabryki, należącej do twojego ojca. A jeśli tak faktycznie jest...

Podeksycytowany przejechał ręką po włosach, które i tak już były mocno zmierzwiłone. Jego oczy błyszczały teraz z podniecenia.

– Marie, jeśli się okaże, że naprawdę tak jest, to musisz bezwzględnie zostać moją żoną. To żywotny interes mojej rodziny. Zanim poślubisz kogoś innego i utracimy bezpowrotnie część fabryki.

Marie powoli wyciągnęła rękę i zabrała zdjęcie. To, co właśnie wyrzucił z siebie, było tak niejasne i szalone, że nic z tego nie zrozumiała. A jego ostatnie zdanie wydało jej się oburzające.

– Pańskie obawy o fabrykę, panie Melzer, są nieuzasadnione – powiedziała chłodno. – Jakob Burkard nie był moim ojcem.

– Jesteś całkiem pewna?

– Absolutnie – skłamała. – Ale nawet gdyby nim był, nie wpadłabym na pomysł, żeby się wzbogacić kosztem rodziny Melzerów!

Rozłożył ręce i zapewnił ją, że nie to miał na myśli. Wiedział przecież, że nie zależało jej na pieniądzach, w przeciwnym razie bez wahania przyjęłaby jego oświadczenia.

– No właśnie – odpowiedziała rozgniewana, bo znów powracał ten temat. –

Jeśli kiedyś wyjdę za mąż, to nie z wyrachowania, tylko z miłości.

Paul zareagował gwałtownie. Wstał i skłonił się przed nią z szyderczą miną. Gniew i ból złączyły się w jedno.

– Zrozumiałem. – Jego głos zabrzmiał głucho. – To była tylko taka błażostka, prawda? Słodkie spojrzenia, miłosne wyznania, pocałunek, miała panienka radość ze sprawdzania swoich zdolności uwodzenia. A ja głupiec dałem się nabrać!

Wszyscy święci, nie to miała na myśli. Zanim jednak zdążyła wyjaśnić swoje niezręczne stwierdzenie, on już stał przy gospodyni i płacił rachunek, a potem założył na głowę swój słomkowy kapelusz i wyszedł, nie odwracając się nawet w jej stronę.

d="w_cieniu_tajemnic-49.html" xml:lang="pl-PL" aid="1DOR01">

W metrze było mnóstwo osób. Kitty przylgnęła do jednego z żelaznych drążków, żeby się nie przewrócić, gdy podziemny pociąg szarpał albo hamował. Pojazd jechał tak szybko, że można było dostać zawrotu głowy. Te piski i turkoty, i ten zapach. Nie wiedziała, że ludzie stłoczeni razem na małej przestrzeni mogą tak okropnie śmierdzieć. Starym tłuszczem, potem, zepsutymi zębami i przede wszystkim czosnkiem.

– Jest panience niedobrze? – zapytał troskliwie Alfons. – Może lepiej wysiadźmy na następnej stacji i jednak weźmy taksówkę?

– Nie, już dobrze.

Za nic na świecie nie chciała skompromitować się przy tym mężczyźnie. Gdyby był tutaj Gérard, jemu by wyznała, jak okropnie się czuje. Otwierała się na niego coraz bardziej i bardziej, powierzała mu swoje najskrytsze myśli i uczucia. To był jednak błąd. Później zarzucił jej, że jest kapryśna, dzisiaj chce tego, jutro czegoś innego. Nie wiadomo, o co jej chodzi.

– Zaraz będziemy na miejscu, panienko Katharino.

Przysunął się trochę bliżej, żeby osłonić ją przed pewnym młodym mężczyzną w roboczym ubraniu, który patrzył na nią pożądliwie. Nagle uświadomiła sobie, jak wyzywająco jest ubrana. Może jednak lepiej byłoby, gdyby włożyła jeden ze staroświeckich kostiumów przysłanych jej przez matkę. Przynajmniej tutaj, w metrze, model sukni od Paula Poireta był nie na miejscu.

– Nie widzisz, że wszyscy mężczyźni się na ciebie gapią? – powiedział do niej Gérard, gdy się ubrała tak na spacer.

– No i co z tego?

Roześmiała się i stwierdziła, że jego zazdrość jest zabawna. Później, gdy jednak szła sama ulicą, wołano za nią. Nie rozumiała, co prawda, wszystkiego, co mówią ci mężczyźni, ale było to na pewno odrażające i budzące strach. Alfons Bräuer nie był mężczyzną, w którym można by się zakochać, ale

przyjemnie było go mieć przy sobie. Gdy wysiedli z metra, zaoferował jej ramię, poprowadził schodami na górę i żaden z tych obleśnych proletariuszy nie ośmielił się do niej zbliżyć czy czegokolwiek do niej powiedzieć.

– Wyglądasz tak mizernie, panienko Katharino. Może powinniśmy najpierw wzmocnić się jakąś małą przekąską. Nie jedliśmy obiadu.

Katharina musiała przyznać, że wizja siedzenia w jakiejś przyjemnej restauracji i bycia obsługiwanym wydała jej się niesłychanie kusząca. Miała za sobą kilka przerażających dni i nocy. Durny piec nie dawał się rozpalić, a ciasteczka, które znalazła w swojej torbie podróźnej, dawno już zostały zjedzone. To było nieprzyjemne, zamawiać posiłki u Solange na dole i nie móc za nie zapłacić. A jej usilne próby sprzedawania swoich rysunków turystom zupełnie się nie powiodły. Nie chciano kupować jej szkiców, a zapraszanie artystki na obiad – to było takie żenujące.

Alfons wybrał restaurację przy Boulevard des Italiens, niedaleko opery. Siedzieli tam w atmosferze Ludwika XV na obijanych aksamitem krzesłach, w otoczeniu ozdobnych złotych ram i błyszczących, kryształowych luster. Było to miejsce, w którym znacznie bardziej czuła się jak w domu niż na ubogich ulicach Montmartre’u czy w metrze. Jeśli miałyby być zupełnie szczerą, to życie artystki w ogóle jej się nie podobało. Może gdyby je dzieliła z Marie, byłoby całkiem romantyczne. Ona jest mądra i opanowana, w jej towarzystwie czuła się bezpiecznie. Przed Marie też otworzyła serce, opowiedziała jej o swojej utraczonej miłości i w pełni jej zaufała. Niestety, Marie okazała się podstępna zdrajczynią.

– *S’il vous plaît, Madame.*

Jeden z kelnerów podał jej kartę, a ona starała się zrozumieć francuskie słowa. Alfons, który zajął miejsce naprzeciwko niej, przejrzał całe menu z zadziwiającą szybkością, a potem pokazał jej dania, które wydawały się smaczne.

– *Escalope de veau* – naprawdę godne polecenia. A do tego trochę miękkiej fasolki i *pommes de terre*. Musi panienska wiedzieć, że we Francji kartofle są uznawane za warzywa.

Kitty widziała jego zaczerwienione policzki i błysk w oczach, gdy wybierał dla nich dania. Była pewna, że jest wielbicielem dobrej kuchni. Skąd jednak znał tak dobrze francuski?

– Wezmę więc *escalope* jako danie główne – powiedziała z uśmiechem. – Do tego rybę, ale małą porcję. Żadnej zupy. Orientalne owoce na deser, to

brzmi naprawdę dobrze.

– Białe wino do ryby?

– *Eau minérale, s'il vous plait.*

– Jak sobie życzysz, panienko Katharino. Mam nadzieję, że nie będziesz miała mi za złe, jeśli dla siebie zamówię mały kieliszek wina.

– Absolutnie nie. To może jedynie nastroić cię miło do robienia zakupów, drogi Alfonsie.

Rozpromienił się, gdy nazwała go „drogim Alfonsem”, była to poufałość, na którą nawet nie ośmielił się mieć nadziei. Ach, tak łatwo było go zadowolić. Delikatny uśmiech, miłe słowo, przyjazny gest, nie potrzebował więcej do szczęścia. Dlaczego wszyscy mężczyźni nie mogą być tacy? Dlaczego właśnie ten jeden mężczyzna, którego kocha się ponad wszystko, musi okazywać się tak trudnym? Całymi godzinami leżał na łóżku zamyślony. Co z nimi będzie? Z czego będą żyć? Czy nie głaskała go czule? Czy nie wspierała go i nie mówiła, że wszystko się znajdzie, musi tylko wierzyć i ufać w jej miłość? On jednak nazywał to dziecinny i naiwnym zachowaniem i zaklinał ją, żeby zadzwoniła do rodziców. On był gotowy żyć w Niemczech, a w razie potrzeby podjąć nawet pracę w fabryce jej ojca. Ona tego za nic nie chciała. Po to uciekła z willi, żeby w końcu skruszona wrócić do domu i prosić o wybaczenie? Wolałaby zostać w Paryżu i żyć z nim na Montmartrze. On jednak uważał, że to szalony pomysł. Czy nie mogłaby się w końcu obudzić i myśleć racjonalnie? A potem jeszcze mówił o Béatrice, że mu strasznie przykro, bo ją skrzywdził. Zawiódł rodzinę i firma jego ojca poniesie przez to straty. Rozgniewało ją to i zapytała, czy to jest może jej wina. Ach, tak wiele razy się kłócili przez te ostatnie dni. Tylko kiedy się obejmowali, a ich ciała się jednoczyły, kiedy oddawali się temu kolorowemu oszołomieniu – wtedy się godzili. Te słodkie godziny w jego ramionach, kiedy nic ich nie dzieliło, nawet cienki materiał nocnych koszul.

– Ta zupa z porów jest doskonała, panienko Katharino. Szkoda, że jej nie zamówiłaś. Nie chciałabyś spróbować? *Garçon – une deuxième cuillère, s'il vous plaît!*

Chcąc zrobić mu przyjemność, spróbowała tej głupiej zupy z porów i wyjaśniła, że jest zbyt mocno przyprawiona pieprzem. Zdziwiło go to, bo zapewniano, że nie ma w niej ani okruszka pieprzu. Nie sprzeciwiał się jej jednak. Sięgnęła po wodę i w lustrze ściennym dostrzegła małżeństwo, które usiadło na końcu sali. Ich ubrania na pewno nie były tanie, materiały

wyglądały na bardzo dobrej jakości, ale krój był koszmarne staroświecki. Nic dziwnego, na pewno byli już dość starzy, pewnie koło pięćdziesiątki. Kobieta farbowała co prawda włosy na blond, ale przy czubku głowy widać było siwiznę. Jej mąż był niski i chudy, a białe włosy zaczesywał na jedną stronę, by nie było widać różowej łysiny na środku głowy. Nie rozmawiali ze sobą wiele, ale Kitty miała wrażenie, że doskonale się rozumieją. Czy to było wszystko, co zostaje z wielkiej namiętności po długich latach małżeństwa? Pełne zrozumienia milczenie i rozmowy o błahostkach? Dobry Boże, to lepiej, że jej wielka miłość zakończyła się w chwili, gdy jeszcze była gorąca i żywa.

– Mam nadzieję, że się panienka nie nudzi – powiedział Alfons i odsunął pusty talerz po zupie. – Nie jestem artystą, panienko Katharino. Brakuje mi talentu, czego nieskończenie żałuję.

Wyglądał na szczerze nieszczęśliwego, a ona zaczęła się zastanawiać, jakie są powody jej dzisiejszej małomówności. Cóż, przecież nie mogła mu powiedzieć, o czym naprawdę myśli.

– Wie pan, Alfonsie, ja po prostu ciągle myślę o tym, co mój brat mi wylał na głowę. To było tak niesprawiedliwe, że ledwie powstrzymałam łzy. Jak on może twierdzić, że jest mi obojętne, że moja matka cierpi? W ogóle nie jest mi to obojętne, ale w tej chwili nie mogę tego zmienić. Mam na łeb na szyję wracać do Augsburga, gdzie będę obrażana i więziona? Czy mama będzie wtedy szczęśliwsza? – Patrzył na nią w zamyśleniu i gdy sądziła już, że powie coś trywialnego, przedstawił jej całkiem interesujący wniosek.

– Panienko Katharino, mogłabyś zadzwonić do swojej matki. Na pocztę można zamówić połączenie, zaaranżuję to, jeśli panienka będzie chciała. Matka poczuje na pewno dużą ulgę, kiedy usłyszy panienki głos.

– To... to może nie byłoby wcale głupie – wyjąkała.

Drogi Boże, to będzie prawie tak przerażające, jakbym miała wsiąść do pociągu i jechać do domu. A tak w ogóle: co mama by powiedziała? A gdyby to Elisabeth podeszła do telefonu? Ogarnął ją strach, była więc szczęśliwa, że właśnie wnieśli rybę.

– Skąd zna pan tak dobrze francuski? – zmieniła temat. – Muszę przyznać, że jestem pełna uznania. Paul mówi wprawdzie po francusku, a i dla mnie ten język staje się zrozumiały. Ale pan, drogi Alfonsie, mógłby bez żadnych trudności rozmawiać z paryżanami.

– Och, przesadza panienka!

Widziała, jak wielką radość sprawiła mu ta pochwała. Cóż za dziwny

mężczyzna. Gdy kupował bilety do metra, zamawiał jedzenie, gdy prowadził ją przez miasto albo pytał o drogę, wydawał się zaskakująco pewny siebie. Kiedy natomiast ona z nim rozmawiała, był nieśmiały jak uczeń i czerwienił się przy byle okazji. Podobało jej się to? Nie, właściwie nie. Gérard nigdy nie był niepewny w jej obecności. Zawsze był taki sam. W jednej chwili niepokorny i zapalczywy, a potem znów czuły, delikatny i łagodny. Potrafił się mocno zdenerwować i ją obrazić, a później żałował swoich słów i prosił o wybaczenie. Ach, jak cudownie było się godzić po takiej burzliwej kłótni. Stawać się z nim jednością, czuć jego dłonie na nagiej skórze, jego dzikość, jego siłę.

– Spędziłem luty i marzec w Paryżu – wyznał Alfons.

– Ach tak? – spytała roztargniona. – Był pan w podróży handlowej?

Zawahał się. Zastanawiał się, czy to dobry pomysł, by dać jej szczerą odpowiedź. Po chwili jednak zebrał się w sobie i zaczął mówić.

– Nie, panienko Katharino. Byłem tutaj razem z Robertem i szukaliśmy panienki.

– Mnie? – krzyknęła zdumiona.

– Oczywiście. Przeszukiwaliśmy przez dwa miesiące wzdłuż i wszerz miasto, ale nie natrafiliśmy na panienkę. Przypuszczam, że dobrze się panienka ukryła.

Kitty położyła widelec do ryby obok talerza i odchyliła się na krześle. Czy mówił prawdę? Nie wyobrażała sobie, że mógłby kłamać. Dobry Boże, więc jej i Gérardowi przez dwa miesiące ci dwaj mężczyźni deptali po piętach. Jak mądrze postępował Gérard, podając w hotelach fałszywe nazwiska.

– Ukryła? Cóż, dużo jeździliśmy. Mówi pan, że Robert też tutaj był? I mówi pan o Robercie Schererze, naszym pracowniku?

– Państwa byłym pracowniku. Bo on wyjechał na zawsze. Biedny człowiek, czuł się winny wobec państwa rodziny, że odwiózł panienkę na dworzec.

– Dobry Boże!

Najchętniej by teraz wstała i uciekła. Dlaczego cały czas dzisiaj tak się działo, że miała wyrzuty sumienia? Najpierw mama, która bardzo cierpi, a teraz jeszcze i Robert. Wyjechał – czy więc i za to miała odpokutowywać w piekle? Zaraz Alfons jej powie, że z jej powodu przez dwa miesiące nie mógł pracować, bank ma teraz przez to spore straty. I to oczywiście wszystko jej wina.

– Cóż, to było dość pochopne przedsięwzięcie – powiedział Alfons i wytarł

usta serwetką z materiału. – A można by zaryzykować stwierdzenie, że to była dziecinada. Powiniennem darzyć cię większym zaufaniem, panienko Katharino.

No patrzcie go, tego pochlebcę, pomyślała. Miał jednak rację, co za głupi pomysł, żeby mnie szukać.

– Poradziła sobie panienska w tej sytuacji bez niczyjej pomocy – kontynuował. – Pozbyła się panienska tego lekkomyślnego uwodziciela i udało się panience całkiem samej dobrze się zaaklimatyzować w tym wielkim mieście. Z całą powagą, panienko Katharino, chapeau bas!

Alfons uczynił taki gest, jakby zdejmował kapelusz z głowy i wymachiwał nim w powietrzu. Kitty wydało się to bardzo zabawne. On był w gruncie rzeczy niesłychanie emocjonalnym człowiekiem, tylko nie zauważało się tego natychmiast, bo nie nosił serca na dłoni. I chociaż zdenerwowało ją wyrażenie „lekkomyślny uwodziciel”, Kitty pochlebiała jego ocenę sytuacji. Zwłaszcza że faktycznie tak właśnie było. Gérard nie chciał jej puścić, gdy po gwałtownej kłótni powiedziała mu, że chce wrócić do Niemiec. Co właściwie zrobiła? Albo przynajmniej miała zamiar zrobić – wsiąść do pociągu i jechać do domu. To, że na pierwszej stacji wysiadła i wróciła na Montmartre, nie wynikało z faktu, że koniecznie chciała znów widzieć Gérarda. Pojechała z powrotem do Paryża, bo bała się ojca.

– A czym się zajmujesz, Alfonsie, gdy oczywiście nie jesteś zajęty szukaniem czyichś wyrodných córek? Pytam o to, co właściwie robi ktoś, kto ma bank?

Jedząc główne danie, starał się uczciwie opowiedzieć Kitty, co to jest prowadzenie banku. To była w gruncie rzeczy prosta i niezwykle ważna praca. Po pierwsze, banki umożliwiają przedsiębiorcom i kupcom dokonywanie korzystnych inwestycji. One wyciągają pieniądze, przedsiębiorcy biorą pożyczki, a później one otrzymują powiększoną kwotę z powrotem. Oczywiście pożyczają się z dopłatą, zwaną odsetkami.

– Sprzedaje pan więc swoje pieniądze z zyskiem! – zażartowała.

Był rozbawiony. Nikt nigdy wcześniej tak tego nie ujął, ale miała całkowitą rację. Daje pewną kwotę i otrzymuje w zamian większą. Właśnie tak prosta jest bankowość.

– A skąd ma pan tak dużo pieniędzy?

Cóż, nie ma ich aż tak dużo, bronił się. Kapitał jest zazwyczaj w ruchu – jak również pod postacią hipoteki, związany z akcjami handlowymi, to nie jest tak, że w piwnicy w banku ma skrzynie pełne złotych monet.

– Nie? O jaka szkoda!

– Zamiast tego część naszych pieniędzy zdecydowałem się zainwestować w obrazy. Z jednej strony z zachwytu dla sztuki, z drugiej, wzrost wartości jest tutaj bardzo prawdopodobny i na pewno pewniejszy niż z posiadania złotych monet.

Kitty się to nie spodobało. Chciał kupować obrazy, żeby je potem sprzedawać za wyższe ceny. To było czyste barbarzyństwo. Nie sprzedaje się przyjaciół.

– Nigdy jednak nie sprzedałbym obrazu bliskiego twojemu sercu, panienko Katharino. Wręcz przeciwnie, podarowałbym go panience!

Zaczęła chichotać i wyjaśniła, że pewnie wtedy zostałyby mu same gołe ściany, bo jest dużo obrazów, które są bliskie jej sercu. Na to on oświadczył uroczyście, że dotrzymałby słowa.

– Nie wiem tylko, gdzie mogłabym je wszystkie powiesić – westchnęła. – W tej chwili mam dość ciasne mieszkanie. A w rodzinnej willi wszystkie ściany są już ozdobione.

– Jestem pewien, że taka możliwość istnieje – powiedział. – O jednym mogę też już panienkę teraz zapewnić, zawsze będę przy panience.

Uklonił się, wypowiadając te słowa, i wydawało się, że szczególnie tej ostatniej części zdania przypisuje duże znaczenie, bo wypowiedział ją wolno, z odpowiednią intonacją. Kitty jednak zaczynała nużyć rozmowa przybierająca taki obrót i jej odpowiedź była dość chłodna:

– Bardzo dziękuję!

Pochyliła uprzejmie głowę i skupiła się na orientalnych owocach, które miała na talerzu. Wszystkie były pyszne. Słodkie pomarańcze, ananasy, ciemnoczerwone granaty, matowoniebieskie figi, a nawet śnieżnobiałe i włókniste w środku kokosy. Od czasu do czasu czuła na sobie jego zawiedzione spojrzenie, które rzucał jej znad stołu. Czy jego słów nie powinna kwitować milczeniem? Jeśli tak, to z pewnością nie będzie chciał o tym więcej rozmawiać. I tak chyba było lepiej, bo nie miała dziś nastroju do wysłuchiwania intymnych wyznań Alfonsa Bräuera. Zostawił hojny napiwek, co zrobiło na niej dobre wrażenie, bo jej ojciec i Gérard byli pod tym względem zenująco skąpi. Potem spacerowała z nim pod rękę po bulwarze. Kierowali się na Rue Vignon. Podobało się jej, że chętnie przystawał z nią przy każdej wystawie, żeby obejrzeć eksponowane produkty. Wszystko wydawało się go interesować, nawet kapelusze i torby, damskie rękawiczki i koronkowe obrusy. Książki i antyki też oglądał z wielkim zaangażowaniem.

Wypowiadał się na temat małych obrazów, wystawianych do kupienia między różnego rodzaju ozdobnymi naczyniami oraz innymi bibelotami. Wszystko, co mówił, wydawało się Kitty bardzo mądre.

– Pan z pewnością nigdy by nie kupił czegoś tylko dlatego, że ładnie wygląda i że się pan zakochał w tej rzeczy – zażartowała.

– Dla mnie samego z pewnością nie. Ale jeśli jednak mógłbym tym komuś sprawić radość, wtedy bym się nie wahał.

– Jest pan dobrym człowiekiem, Alfonsie! – zażartowała ponownie i zobaczyła, że on się czerwieni.

– Zupełnie nie. Jestem bankierem, daję coś, żeby potem odzyskać to z nawiązką. W tym przypadku nie chodzi o pieniądze, tylko o... uczucia.

Dobry Boże! Nawet gdy mówi o tym w żartach, jest pewne, że widzi świat zupełnie inaczej niż ona. Dawać i brać. Kupować i sprzedawać. Zyskiwać i tracić. Można żyć w aż tak przewidywalny sposób? Jak w partii szachów? Dokładnie planować każdy ruch, wiedzieć, co inni ludzie czują, co robią, i włączać to do swojego planu. Co za okropność. Umarłaby, gdyby musiała żyć w ten sposób.

Galerię Kahnweiler Kitty dobrze знаła, chyba nawet zbyt często bywała tutaj z Gérardem. Można tu było znaleźć prace młodych artystów, którzy odważali się proponować w sztuce coś nowego. Pośród nich wyróżniały się nazwiska: Picasso, Braque czy Modigliani – prace tych artystów można było oglądać za oknami wystawowymi. Często widziała też nazwiska zupełnie nieznane, ale obrazy tych twórców nie robiły na Kitty mniejszego wrażenia. Niestety, Gérard, będąc tutaj, zrozumiał, że nie ma ochoty kupić ani jednego obrazu – a to dlatego, że nie potrafił znieść właściciela galerii. Z głęboko osadzonymi i wąskimi oczami Kahnweiler nie był ani zbyt piękny, ani – według Kitty – szczególnie przystojny. Był jednak zupełnie opętany swoją pasją i całe życie poświęcał artystom z Montmartre’u, więc dla Kitty cała reszta się nie liczyła.

Galeria była dość mała i Kahnweiler nie wysiłał się zbyt, by zaprezentować w korzystny sposób obrazy wszystkich swoich klientów. W oknach często stały jedynie puste sztalugi, kawałki połamanych luster na zmiętych gazetach. Galeria składała się z niewielu pomieszczeń, część obrazów wisiała na ścianach, pozostałe porozstawiano na podłodze, tyłem do oglądających, tak że trzeba było je unieść i odwrócić, żeby je obejrzeć. Kitty wiedziała, że w budynku znajdują się magazyny, które nie są dostępne dla publiczności. Tylko wtedy, gdy pojawiał się jakiś naprawdę dobry klient,

właściciel pokazywał te skarby.

Dzisiaj Kahnweiler siedział przy stole z kilkoma przyjaciółmi, pito kawę, jedzono ciastka i coś gorąco negocjowano. Nawet Alfons tylko częściowo zrozumiał, o czym dyskutowano, chodziło o pewną wystawę, która miała zostać otwarta w Grand Palais. Czy ci ludzie w wystrzępionych ubraniach też byli malarzami? Spoglądali na Kitty z zaciekawieniem, a na Alfonsa patrzyli dość wrogo. Może uważają go za spekulanta, kogoś, kto kupuje tanio, a chce sprzedać z zyskiem? Cóż, gdyby tak sądzili, nie całkiem byłiby w błędzie. Alfons zdawał się nie przejmować ich spojrzeniami. W spokoju oglądał obrazy, podnosił co rusz jakiś obraz z podłogi, obracał, oglądał dokładnie i ciągle pytał Kitty o zdanie. Umiał odróżnić prawdziwego artystę od oszusta, jego wybór był zawsze dobrze przemyślany, ale decyzji nie podejmował łatwo. Nie, ten obraz nie był wiele wart, nie ma w sobie nic niezwykłego, takich stoją tu tuziny. Obrazy, które Kitty uważała za okropne, on chwalił i odkładał, żeby zapytać o cenę. Potem chciał wiedzieć, czy ona znalazła tutaj swój ulubiony obraz. Czy jest taki, który uwielbia i nie można go w żadnym razie zostawić w tej galerii. Takich było więcej niż jeden. W końcu wszystkie cztery dołożył do pozostałych i stwierdził, że Kitty ma niezwykły gust. Właśnie te też wpadły mu w oko.

– Może jeszcze ten mały!

Trzymała w rękach kobiecy akt, jeden z trzech obrazów Luise Hofgartner. Kobieta o ostrych rysach twarzy i z wyzywającą miną, która miała pod szyją zawiązaną chustę w kratę. Był namalowany w nowoczesnym stylu, utrzymany w żywych barwach i czystych formach, tło natomiast było gładkie, żadnej głębi, jedynie czerwona pusta płaszczyzna, a po lewej stronie obrazu widział turkusowy trójkąt. Prawdopodobnie fragment mebla, drzwi albo zredukowana postać ludzka. Kitty rozmyślała. Tak, była zła na Marie, w przeciwnym razie bardzo by się jej ten obraz podobał. A poza tym, tak, miała miękkie serce, nie musiała być z nią skłócona przez całą wieczność.

– *C'est magnifique, n'est-ce pas?* – usłyszała obok siebie kobiecy głos. – *Hélas, vous ne pouvez pas l'acheter.*

Musiała się zorientować, że Kitty nie zrozumiała, bo młoda kobieta – najpewniej dobra znajoma właściciela – próbowała powiedzieć to samo po niemiecku.

– Jest sprzedany, na *cadeau de mariage*, prezent ślubny. Nie zauważyła pani karteczki?

Teraz dopiero Kitty dostrzegła karteczkę, którą umieszczono z tyłu obrazu, między ramą i płótnem. „M.G. Duchamps, Lyon”.

– *Il va le prendre demain.* Odbierze go pojutrze.

Kitty wpatrywała się w bilecik, ale litery nie składały się w żaden sensowny ciąg, przeskakiwały z miejsca na miejsce, w tę i z powrotem. To był czysty absurd, te słowa nie mogły być tutaj napisane.

– Mówi pani, że *cadeau de mariage*? Prezent ślubny?

– *C'est ce qu'il a dit.* Tak nam powiedział, mademoiselle.

Alfons podszedł do niej, żeby dowiedzieć się czegoś więcej na temat tego obrazka.

– Już sprzedany? – nie krył rozczarowania. – Jaka szkoda, wyjątkowo mi się podoba. Co myślisz, panienko Katharino?

Nie myślała. Była zupełnie nieobecna.

– Panienko Katharino?

– Ja... ja nie wiem – wyjąkała, nie wiedząc, co mówi.

– Nie czuje się panienka dobrze? Jest panienka bardzo blada. Niech panienka usiądzie, przyniosę szklankę wody.

Czuła, że jej kolana są jak z waty, pozwoliła się więc poprowadzić do krzesła. Przyniósł wodę, zapytał trzy razy, czy jest jej lepiej, i dopiero, gdy powiedziała, że czuje się już bardzo dobrze, zaczął finalizować kupno obrazów.

– *Monsieur Kahnweiler? Je m'intéresse à quelques peintures.*

– *Vous êtes Français, Monsieur?*

– *Allemand.*

– Możemy więc równie dobrze negocjować w języku niemieckim.

Kitty nie była zainteresowana targowaniem się. Siedziała skulona na krześle w kącie galerii i nieobecny wzrokiem patrzyła przed siebie. Kupił więc prezent ślubny. Oczywiście dla narzeczonej. Dla Béatrice, która tak bardzo liczyła na to, że go poślubi. O Boże, tak szybko rzucił się w jej ramiona. Wrócił na łono rodziny. I to właśnie ten obraz, który – jak wiedział – tak bardzo chciała mieć, kupił dla Béatrice z okazji ślubu. Dlaczego to zrobił, nie miała pojęcia, bo przecież naprawdę kochał tylko ją. Kitty. Jego uroczą wróżka z bajki, jego gwiazdka z nieba, słodki cukiereczek. Musiała wziąć się w garść, żeby nie wybuchnąć płaczem. To był koniec. Wszystko przepadło na zawsze. Ale on zobaczy, co na tym zyska. Poprowadzi tę okropną Béatrice do ołtarza, a potem weźmie ją do małżeńskiego łóża. Dużo przyjemności panu

życzę, monsieur Duchamps. Mam nadzieję, że zbyt szybko się nie skończy.

Dopiero gdy po ponad godzinie sprzedaż dużej liczby obrazów przypieczętowano uściskiem dłoni oraz czekiem, Kitty wróciła do siebie. Pochwaliła Alfonsa za dobry pomysł, by zapakować kupione obrazy i wysłać pociągiem do Augsburga.

– Pomogę panu przy ich wieszaniu – powiedziała. – Światło to istota rzeczy. Gdy obraz jest źle oświetlony, traci niezwykle istotną część swojego znaczenia.

Wieczorem rzuciła się Paulowi i Marie na szyję, na dowód, że chce zakończyć tę głupią, niepotrzebną kłótnię i że to wszystko jest dla niej bardzo bolesne. We czwórkę siedzieli jeszcze przez kilka godzin u Solange, w Café Léon, pili wino i Kitty nie przestawała gadać o niebieskich migdałach. Alfons również był podekscytowany i mówił znacznie więcej niż zazwyczaj, paplał nawet o różnych mało istotnych rzeczach i śmiał się z własnych dowcipów. Ani on, ani Kitty nie zauważyli nawet, jak bardzo Marie i Paul są milczący. Kitty doszła do wniosku, że tak szybko, jak to możliwe, powinna wrócić do Augsburga. Nie zdradziła, z jakiego powodu tak nagle zmieniła zdanie, nie drażono więc tego tematu, bo wszyscy byli ogromnie zadowoleni z jej decyzji.

d="w_cieniu_tajemnic-50.html" xml:lang="pl-PL" aid="1ENBI1">

43

Alicia spała tej nocy niewiele i była bardzo niespokojna. Mimo to wstała o zwykłej porze i jadła śniadanie razem z mężem. Johann wydawał się pochłonięty własnymi myślami, zajął się czytaniem gazety i jadł maślane rogaliki, które mu nałożyła, zapominając o konfiturze.

– Czy w fabryce wszystko w porządku? – zapytała, dobrze wiedząc, że niechętnie rozmawia z nią o interesach.

– Oczywiście... Dlaczego pytasz?

– Wyglądasz na bardzo spiętego. Martwię się o ciebie.

Zareagował złością, jakby go haniebnie obraziła. Czyżby zapomniała, że Paula nie będzie w fabryce przez bliżej nieokreślony czas? Że z powodu Kitty wszystko zostało postawione na głowie? Czy zasługiwała na to, żeby rodzina tak wiele dla niej poświęciła? Nie, nie zasługiwała. Musiała głodować i marznąć, żeby w końcu doceniła, co jej dawano przez osiemnaście lat. Alicia milczała, żeby nie zdenerwować się jeszcze bardziej. Gdy pożegnał się z nią szybkim pocałunkiem w czoło, tak z przyzwyczajenia, oparł ręce na jej ramieniu. Przeraziła się, bo jego dłonie były lodowate. Może się przeziębził? Czyżby grypa?

– Czy Hanna spisuje się dobrze w kuchni? – zapytał już przy drzwiach.

Alicję zdziwiło to pytanie, bo zazwyczaj mąż nie wykazywał najmniejszego zainteresowania tym, jak się sprawuje służba. W tym wypadku jednak najpewniej dręczyły go wyrzuty sumienia, bo Hanna Weber została przecież poszkodowana w jego fabryce. Dlatego propozycja Paula, by zatrudnić tę małą jako pomoc kuchenną, trafiła na podatny grunt.

– Zapytam o to. Będziesz z nami na obiedzie?

– Dzisiaj mogę się nie wyrobić. Do zobaczenia później, Alicio!

Dochodziła ósma, teraz pociąg przyjechał do Paryża. Byleby tylko Kitty wróciła zdrowa i w dobrym nastroju, nic innego się nie liczyło. Byleby znów byli razem tutaj w willi i mogła wreszcie wziąć w ramiona swoje biedne

dziecko. Wszedł Humbert, żeby wnieść kawę i zabrać brudne naczynia pana. Nowy służący był sumienny i w wielu kwestiach świetnie sobie radził, ale nie potrafił zastąpić Roberta. Bardzo żałowała tego roztropnego i zręcznego młodego człowieka, chciała przecież zrobić z niego kamerdynera. Wyglądało jednak na to, że od dawna jest on już w drodze do Nowego Świata. Niech Bóg da, żeby był tam szczęśliwy!

– Humbercie, przyślij mi pannę Schmalzler.

– Oczywiście, łaskawa pani.

Eleonore Schmalzler jeszcze wczoraj wieczorem, wzdychając, powiedziała jej, że mają problem z utrzymaniem domu na poziomie takim jak dotąd. Oprócz Marie bardzo brakuje również Auguste, jej nogi były obrzęknięte i bolały przy każdym ruchu, a poza tym nie mogła się już schylać.

– Z czasem się to wszystko unormuje, droga Eleonore. W tej chwili nie przewidujemy żadnych gości – uspokoiła gospodynię.

Dziś rano panna Schmalzler robiła wrażenie trochę zaniedbanej, z fryzury wystawały jej niesforne pasma włosów, a skóra na twarzy nie była blada jak zawsze, tylko zaróżowiona.

– Przepraszam, łaskawa pani, muszę pomóc Auguste sprzątać w sypialni.

– Pani? Dlaczego nie Maria Jordan?

Gospodyni uśmiechnęła się lekko. Maria Jordan była na dole w pralni i dawała wskazówki praczce. Ostatnim razem ta kobieta zniszczyła dwie ładne bluzki łaskawej pani i suknię łaskawej panienki. Alicia była wystarczająco doświadczona, żeby z uśmiechu gospodyni wysnuć własne wnioski. Najpewniej Maria Jordan po prostu nie chciała wykonywać pracy niższej rangą pokojówki. Tak bardzo w willi brakowało Marie. Zawsze była chętna i zawsze na miejscu, gdy jej potrzebowano, no i była taką wesołą osobką.

– Jak sobie radzi mała Hanna?

Alicia nie usłyszała wiele dobrego. Dziewczyna chodziła do szkoły i dopiero po południu przychodziła na kilka godzin do willi. Matka upierała się, żeby mała mieszkała w domu, co Eleonore Schmalzler uważała za niezbyt dobry pomysł. Wiadomo, jej prawa ręka wciąż była sztywna, ale dziewczynie brakowało też ambicji i pilności. Najczęściej siedziała w kuchni i patrzyła w ścianę, chociaż pracowników, do których się zaliczała, było po prostu za mało. Ciągłe natomiast była głodna i jadła wszystko, co przed nią postawiono.

– Cóż, to wciąż dziecko – powiedziała Alicia. – Musimy być cierpliwi.

Schmalzler miała chyba inne zdanie na ten temat, ale nic nie powiedziała.

Dziewczyna bardzo mocno przyłgnęła do Marie, być może więc również z Hanny uda się zrobić dobrą pomoc kuchenną. Drzwi się otworzyły i do środka weszła Elisabeth. W samą porę, bo Alicia właśnie chciała odesłać Schmalzler. Widząc poranną minę córki, Alicia zrezygnowała z udzielenia jej reprymendy, przynajmniej w obecności gospodyni.

– Dzień dobry, mamó, panno Schmalzler. Wyglądacie dzisiaj tak świeżo i pogodnie, ale poranek jest również wspaniały. Prawdziwa wiosenna pogoda!

Elisabeth pocałowała matkę w policzek i usiadła do śniadania, rozłożyła serwetkę i sięgnęła po filiżankę kawy.

– Myślę, że to wszystko, panno Schmalzler – powiedziała Alicia. – I poślij po Marię Jordan, powinna ci pomóc w sprzątaniu sypialni.

– Oczywiście, łaskawa pani.

Gospodyni przytaknęła jej z wdzięcznością, zanim niemal bezgłośnie zamknęła za sobą drzwi i wróciła do pracy.

– Masz ochotę na kawę, mamó? – Elisabeth trzymała jeszcze dzbanek w ręce. Wykonany z porcelany miśnieńskiej z uchwytem w kształcie wygiętej łabędziej szyi. Prezent ślubny jej rodziców, za który – tak jak za wiele innych – musiał później zapłacić Johann.

– Tylko pół, Liso. Jestem dzisiaj bardzo zdenerwowana. Wiesz przecież...

– Z powodu Kitty, tak? – odpowiedziała pytaniem. – Och, na pewno wróci. Tata ma rację, zbyt wiele już dla niej zostało poświęcone.

Alicia pomieszała śmietankę i cukier w filiżance. Zauważyła, że Elisabeth potrafi być bardzo chłodna, by nie powiedzieć, pozbawiona uczuć. Cóż, obie siostry były przecież jak ogień i woda.

– Tak to jest z utraconymi dziećmi – powiedziała z westchnieniem, które miało być prośbą o zrozumienie – że im więcej trosk nam przysparzają, tym bardziej je kochamy. Matki takie już są, Liso. Pewnego dnia sama nią będziesz i mnie zrozumiesz.

Elisabeth odcinała czubek jajka i wydawało się, że zupełnie nie wzięła sobie do serca słów matki. Dzisiaj wyglądała pięknie. Poranna sukienka była, co prawda, dość zwiewna, ale też niezbyt mocno wydekoltowana, a błękitny kolor materiału idealnie harmonizował z kolorem jej oczu. Oczywiście projekt Marie. To jednak nie wszystko, Elisabeth promieniała jakąś niezwykłą pewnością siebie.

– Już po dziewiątej – powiedziała Alicia, spoglądając na zegarek. – Ciekawe, co teraz robią.

– Mówisz o Paulu i jego pomocnikach? – zażartowała Elisabeth i posoliła odciętą końcówkę jajka. – Pewnie są śmiertelnie zmęczeni po długiej podróży i wynajęli dwa pokoje w hotelu, żeby się zdrzemnąć.

Alicia patrzyła na córkę szeroko otwartymi oczami. Mówiła poważnie? Była przekonana, że Paul od razu pójdzie do Kitty. Z drugiej jednak strony jechali całą noc i na pewno byli wyczerpani.

– Dwa pokoje w hotelu?

Elisabeth uniosła wysoko brwi, jedząc jajko łyżeczką.

– Oczywiście! Jeden dla Paula i Marie, a drugi dla Alfonsa Bräuera i Kitty.

– Elisabeth!

– Tak, mam?

Teraz Elisabeth przypominała swoją młodszą siostrę. Złośliwie chichoczący karzełek, zadowolony, że zapędził matkę w kozi róg. Alicia zakasłała rozgniewana i napiła się kawy.

– Liso, to był bardzo niestosowny żart.

– Przepraszam, mam. Myślę jednak, że możemy zaufać Paulowi. Przywiezie tutaj Kitty całą i zdrową.

– Oczywiście – powiedziała Alicia. – To nie ulega wątpliwości. Jestem tylko trochę niespokojna, bo mam związane ręce. Nic nie mogę robić, tylko czekać. Rozumiesz?

Elisabeth pokiwała głową ze zrozumieniem, wytarła usta serwetką i napiła się kawy. Jej zdaniem, dzięki tej historii Kitty wiele się dowiedziała o życiu. Teraz będzie potrafiła odróżniać poważnych, dobrych ludzi od oszustów, w ogóle ma ogromne szczęście, że mimo jej wybryków Alfons Bräuer wciąż jej pragnie.

– Cóż – uśmiechnęła się Alicia. – Jeśli wszystko pójdzie tak, jak sobie życzymy, wkrótce będziemy mieli w domu zaręczyny. Najświętsza Panienko, ależ będą plotki!

Elisabeth zdecydowanym ruchem odstawiła filizankę na spodek.

– Jeśli już przy tym jesteśmy, mam – powiedziała i odchyliła się na krześle. – Chcę ci przekazać wiadomość, która na pewno cię ucieszy.

Alicia pragnęła w spokoju poświęcić się czytaniu porannej gazety, którą Johann zostawił na stole. Nie wszystkie wiadomości, które przekazywała jej córka, były powodem do radości.

– Naprawdę? Cóż, w takim razie słucham.

Elisabeth bawiła się błękitnym wisiorkiem, prezentem od ojca, który ostatnio

nosiła bardzo często. Po chwili podniosła wzrok i uśmiechnęła się do matki. Jej uśmiech był nieco wymuszony.

– Kilka tygodni temu przypadek sprawił, że u mojej przyjaciółki Dorothei spotkałam dobrego znajomego. Pamiętasz porucznika von Hagemanna?

Alicia zbladła. Oczywiście, że pamiętała tego człowieka, choć wspominała go raczej niechętnie. Po tym, jak przez jakiś czas zabiegał o Elisabeth, a potem się okazało, że chce poślubić Kitty, przez kilka miesięcy nie dawał znaku życia.

– Liso, wydaje mi się, że porucznik von Hagemann nie jest człowiekiem, z którym powinnaś utrzymywać bliższe stosunki.

Elisabeth gwałtownie się jej sprzeciwiła. Von Hagemann jest honorowym człowiekiem. Bywa bardzo impulsywny, ale nie jest to wada, tylko oznaka szczerości. Oczywiście, miała podstawy do tego, by być zaniepokojona, gdy tak niespodziewanie prosił o rękę jej siostry, ale on, w długiej rozmowie, bardzo wiarygodnie wyraził swój żal i wstyd za to, co się stało. A przemawia za nim również fakt, że nie był przecież jedynym, który uległ czarowi Kitty.

– W długiej rozmowie? – zapytała Alicia przerażona. – Gdzie i kiedy mieliście okazję na tę długą rozmowę? Może u Dorothei?

– To jest także symptomatyczne, mamó. Ze wszystkiego, co ci powiedziałam, usłyszałaś tylko jedno, że prowadziłam z porucznikiem von Hagemannem rozmowę. Cóż, tak, spotkaliśmy się u Dorothei. Ale dość często jeździliśmy też jego automobilem, bo poświęcił swój czas, żeby dać mi lekcje jazdy.

Ta wiadomość spadła na Alicię niczym grom z jasnego nieba. Jej dobrze wychowana córka przesiadywała sama z mężczyzną w samochodzie. Bo trudno przypuszczać, że był tam ktoś jeszcze. O Boże, na pewno wszyscy ją widzieli i rozpoznali.

– Mamó, weź się w garść. Porucznik von Hagemann wczoraj zaproponował mi małżeństwo.

Alicia przyjęła wiadomość bez entuzjazmu. Oświadczyły. Po tym wszystkim. Chyba Elisabeth mówiła poważnie, jak na ironię, właśnie ten von Hagemann.

– Pytał, czy w niedzielę około trzeciej może złożyć wizytę.

– Przyjęłaś więc jego oświadczyły?

– Tak, mamó.

Alicia zamknęła oczy. Dlaczego uważała, że to powód do zmartwienia? Młodzi ludzie czasami kroczą niewłaściwą drogą, a potem po prostu zawracają i znajdują tę prawidłową. To samo zrobiłaby jej córka, jeśli

niebawem wróci do domu. Dlaczego więc nie mogła założyć takiego powrotu w przypadku porucznika Klausa von Hagemanna.

– Kochasz go?

Odpowiedziała uśmiechem. Teraz, gdy wszystko już jej wyjaśnił i mieli spędzić razem resztę życia, wreszcie mogła to wyznać. Tak, kocha go. Zobaczyła go na swoim pierwszym balu dwa lata temu w domu Manzingerów i od tego czasu nigdy o nim nie zapomniała.

– Oboje nas czas dość mocno doświadczył, ale dzięki temu nasz związek będzie trwalszy i bardziej szczery.

Alicia podeszła do niej, objęła ją i życzyła, żeby osiągnęła całe szczęście tego świata. A potem, wzruszona, wyznała, że miłość to największy cud, jaki Bóg podarował ludziom, i że ona sama też wyszła za mąż z miłości i nie żałuje ani jednej godziny.

– Dziękuję ci, mamo. Tak, jestem szczęśliwa. Sądzę, że jeszcze nigdy w życiu nie byłam tak bardzo szczęśliwa!

Alicia jeszcze raz wzięła w ramiona szlochającą córkę, kołysała ją przez chwilę jak małą dziewczynkę i sama była bliska łez. Pan Bóg troszczy się o jej rodzinę, o cały ten dom. Nagle usłyszały krzyk dochodzący z parteru. Przerażliwy krzyk człowieka, który cierpi z powodu strasznego bólu.

– Co to było? – wyjąkała przerażona Alicia.

Elisabeth przytuliła się do niej mocno. Krzyk brzmiał tak, jakby ktoś doznał w kuchni okropnych obrażeń. W domu jej przyjaciółki Sophie Jäger niedawno kucharka obcięła sobie dwa palce przy krojeniu pieczeni.

– Liso, nie mów tak nawet. Na pewno coś tylko spadło.

Znów ten rozdzierający krzyk. Tym razem zakończył się rżeniem, powracał, stawał się coraz mocniejszy i przeszedł w okropne wycie i jęk. Drzwi do jadalni otworzyły się gwałtownie i Humbert wpadł na futrynę. Był śmiertelnie błydy i przyciskał dłonie do ust.

– Humbercie, na miłość boską! – krzyknęła Alicia. – Co się tam dzieje?

Krztusił się, wyrzucał z siebie niezrozumiałe dźwięki i potrwało chwilę, zanim złożyły się one w słowa. Tymczasem zobaczyły Else i Schmalzler, które z górnych pokoi biegły korytarzem i schodami do holu.

– Ta kobieta... na podłodze w kuchni... spódnica w górze... wszędzie pełno krwi... tak mi... tak mi niedobrze!

– O kim ty mówisz, Humbercie? Brunnenmayer zrobiła sobie krzywdę czy może mała Hanna? Mówże już!

Alicia poczuła rękę córki na ramieniu.

– Sądzę, mamó, że chodzi o Auguste. Pewnie rodzi swoje dziecko.

Alicia popatrzyła na Elisabeth z przerażeniem. Czemu ona sama na to nie wpadła, skoro urodziła trójkę dzieci?

– O to chodzi, Humbercie?

Przytaknął, skłonił się nisko i pobiegł nagle jak strzała w stronę klatki schodowej dla służby. Było słychać, jak tam wymiotuje.

– Dobry Boże – jęknęła Alicia. – Kogo teraz pošlemy po położną? Najlepiej Else... Albo Gustava... Ach, gdyby Robert wciąż był u nas...

Elisabeth zachowywała niezwykły spokój. Nie powinny się niepotrzebnie denerwować, panna Schmalzler trzymała rękę na pulsie od dawna, na pewno już posłała Else. Alicia nie mogła się uspokoić. W towarzystwie mrużącej Elisabeth pośpiesznie podążyła na schody i o mały włos nie zderzyła się z Marią Jordan. Pokojówka niosła kosz pełen białych szmatek z pralni na dół, do kuchni.

– To tylko stara pościel, łaskawa pani. Chciałyśmy z niej uszyć ręczniki kuchenne, ale teraz potrzebujemy szmat dla Auguste. Co za nieszczęście! Ten jej krzyk był jak grom z jasnego nieba!

Alicia przerwała jej słowotok pytaniem, czy już posłano po położną.

– Gustav jest już w drodze, łaskawa pani. Co to za koszmar! Wrzeszczy jak zarzynane prosię, wije się i to na środku kuchni. Niech to sobie wyobrazi łaskawa pani. Kucharka właśnie panierowała kotlety cielęce, a mała Hanna... nie, to nie jest widok dla dziecka!

– Niech już pani idzie, Mario! – wrzasnęła Elisabeth. – Przecież oni czekają na te ręczniki. Macie tam gorącą wodę? I opatrunek na pępowinę dla niemowlęcia?

Alicia była wprost zdumiona wiedzą córki. W dzisiejszych czasach uczą dziewczęta na pensjach rzeczy, o których się wcześniej nawet nie szeptało. Jak choćby higieny osobistej, opieki nad dziećmi, a nawet ćwiczenia ciała na przyrządach. Jeśli postęp będzie tak gwałtowny, jej wnuczki będą się uczyć o tym, co ludzie robią w noc poślubną. Boże, strzeż nas przed tym!

– Nic nie możemy zrobić, Liso. Pozostaje nam stać i czekać. Nie chcę się oddalać od gabinetu ojca, bo może Paul zadzwoni z Paryża.

Elisabeth przewróciła oczami i popatrzyła w sufit. Stwierdziła, że to zdecydowanie za wcześnie, by Paul zatelefonował, jeśli w ogóle to zrobi. Krzyki umilkły, obie przyjęły to z ulgą. Chociaż oczywiście nie było wiadomo,

czy to dobry, czy zły znak.

– Może straciła przytomność – mruzczała Elisabeth, gdy wspinały się po schodach. – Albo się wykrwawiła.

– Elisabeth!

Chwilę później usłyszały dzwonek do drzwi, Else pobiegła je otworzyć. Do środka wpadł Gustav, ciągnąc za sobą starszą, pulchną kobietę.

– Już dobrze, młody człowieku – warknęła gniewnie akuszerka. – Twoje dziecko nam nie ucieknie.

– To nie jest moje dziecko.

– W takim razie nie wiem, czemu mnie tak goniłeś!

Nagle dał się słyszeć dziwny dźwięk. Gulgotanie i bulgotanie. Jakby żabi skrzek. Stawał się głośniejszy, intensywniejszy. A potem rozległ się krzyk noworodka.

– Jezus Maria! – krzyknęła położna. – To poszło szybciej, niż jest dozwolone!

Alicia i Elisabeth stały na schodach i przysłuchiwały się temu dziwnemu dźwiękowi.

– Brzmi trochę żałośnie – powiedziała Elisabeth, pociągając nosem. – Tak cienko i niewyraźnie. Nie jak prawdziwy noworodek.

– On dopiero się urodził – powiedziała Alicia z uśmiechem.

Musiały się odsunąć, bo Gustav wnosił na górę świeżo upieczoną matkę. Za nim szła Else z czajnikiem z gorącą wodą i całym stosem ręczników. Była zupełnie wytrącona z równowagi i cały czas mówiła.

– Przepraszamy, łaskawa pani, ale nie mogliśmy użyć schodów dla służby, bo są za wąskie. Bo Gustav musi wnieść Auguste. Co za koszmar. To poszło tak szybko, trzask-prask i główka już była na zewnątrz. Położna wyciągnęła tylko nóżki. Co za radosne stworzenie! Grube i zdrowe za trzy! Dziewuszka, malutka, śliczna dziewczuszka. Położna właśnie ją kąpie. Potem położymy ją na górze, w łóžeczku. Auguste je zrobiła ze starej skrzyni i starej kołdry z pierza.

Auguste była czerwona jak rak, jej oczy błyszczały, oparła głowę na potężnej piersi Gustava i wydawało się, że nie do końca zdaje sobie sprawę z tego, że już po wszystkim.

– Dziewczynka – powiedziała Alicia i poczuła, że nagle ogarnia ją szczęście. – Zdrowa i radosna. Och, Liso, trzeba to potraktować jako dobry znak!

d="w_cieniu_tajemnic-51.html" xml:lang="pl-PL" aid="1FLS41">

Paul sądził, że dobrze zna swoją młodszą siostrę, ale się pomylił. Kolejny raz Kitty uległa zaskakującej przemianie i ze zbuntowanej, przekornej osoby, która życie wiązała z Montmartre'em, nie pozostało właściwie nic. Zamiast niej w pociągu siedziała śliczna młoda dama, która wesoło rozmawiała, była miłym towarzyszem podróży i wręcz się cieszyła, że wraca do domu. Jej zachowanie zupełnie nie wskazywało na to, że jeszcze niedawno chciała żyć jako malarka na Montmartrze. Odrzuciła również paryską modę i była ubrana w kostium w kolorze czerwonego wina, który mama zapakowała do walizki Marie, a do tego miała uroczy kapelusik ozdobiony małymi kwiatuskami i delikatną różową woalką.

Paul był pewien, że Kitty zdoła nabrać mamę tą swoją nową rolą, ale ojca nie przekona. Elisabeth też nie, ale to miało drugorzędne znaczenie. Ojciec na pewno podejmie wobec niej działania, które się jej nie spodobają. Zrobi to, mimo że ją kocha. Prawdopodobnie właśnie dlatego.

Tym razem zarezerwowali dla siebie dwa przedziały sypialne, co oznaczało, że on spędzi noc razem z Alfonsem, a Kitty będzie dzieliła przedział z Marie. Paul najchętniej zagrałby z dziewczętami w oczko, ale niestety nie było to możliwe. Wiedział natomiast, że Kitty powierzy swoje tajemnice jedynie najbliższej przyjaciółce. Ciekawe, czy również Marie wyjawii jego siostrze to, co zachowała przed nim w sekrecie. Było to możliwe, ale nie całkiem prawdopodobne. Marie nie była osobą tak wylewną jak Kitty, musiała się nauczyć swoje problemy i nadzieje trzymać w ukryciu. Alfons również nie mówił zbyt dużo. Kupił wiele obrazów i miał zamiar zrobić na nich dobry interes. Paul nie był przekonany, czy gdy Alfons będzie się kierował radami Kitty, to jeszcze w tym stuleciu zrobi dobry interes na sprzedaży tych obrazów.

– Jak minął dzień z Kitty? – zapytał Paul z ciekawością, gdy leżał już na wąskim łóżku, ale nie wyłączył jeszcze lamp w przedziale.

Alfons odłożył gazetę, którą czytał, i zdjął okulary. Zastanawiał się przez

sekundę, zanim odpowiedział. Szukał właściwych słów.

– Piękny dzień, bez wątpienia. Pełen ekscytacji i szczęśliwych chwil. Paul, twoja siostra jest zachwycającym motylem. Nie chciałbym jej przetrącić skrzydełek, jeśli ją kiedyś uchwycę. Wiesz, co chcę przez to powiedzieć?

– Tak myślę – odparł Paul z uśmiechem. – Nadal chciałbyś poślubić Kitty?

– Bardziej niż kiedykolwiek, mój drogi. Ale muszę jej dać czas. Ona musi najpierw odnaleźć samą siebie, żeby przewyciężyć to, co złe. Do tego czasu, o ile tylko mi pozwoli, mogę jedynie przy niej być. I oczywiście mam nadzieję, że kiedyś to doceni.

Paul wziął głęboki oddech i milczał. Myślał o tym, co Marie mu powiedziała, że Kitty wciąż zależy na Francuzie. Mogłaby o nim zapomnieć? Może. Ale czy na pewno zainteresowałyby się Alfonsem? Paul miał co do tego wątpliwości. Alfons się uśmiechnął i potrząsnął gazetą.

– Głęboko w niej jest małe, przekorne dziecko – powiedział. – Próbowwała odgrywać tysiące różnych ról i była z tego dumna, podnosiło to jej pewność siebie. Była raz klaunem, innym razem artystką, a i to nie wszystko. A potrafi zrozumieć ją tylko ten, kto za tymi wszystkimi maskami zobaczy małą dziewczynkę i weźmie ją w ramiona.

Amen, pomyślał Paul. Ależ z niego dobry, wspaniałomyślny człowiek. Miejmy nadzieję, że jej nie rozczaruje.

– Mogę ci zadać osobiste pytanie? – usłyszał głos Alfonsa.

– Czemu nie?

– Czy to możliwe, żeby śliczna Marie była bliska twojemu sercu?

Teraz Paul zastanawiał się nad doborem słów, żeby oczywiście nie powiedzieć zbyt wiele.

– Trudno tego nie dostrzec, co? Tak, jest.

Twarz Alfonsa odzwierciedlała niezadowolenie, założył ponownie okulary na nos i zaczął przeglądać raporty giełdowe.

– Trochę mi szkoda tej dziewczyny – powiedział cicho. – Ale ja oczywiście nie znam całej sytuacji.

– Dobranoc.

Paula zdenerwował ten komentarz, ale nie miał ochoty przekonywać Alfonsa, że uczucia, jakimi darzy Marie, są szczere. Zgasił światło i nakrył się kocem. Podróż miała trwać jeszcze bardzo długo i zapowiadało się, że kolejny dzień będzie męczący.

CZEŚĆ VI

MAJ 1914

45

Powrót Kitty do domu przypominał spektakl teatralny. Służba zebrała się w holu i przywitała ją jak bohaterkę powracającą z obczyzny. A wszyscy przecież dobrze wiedzieli, że uciekła z mężczyzną. Z całą pewnością personel też miał na ten temat swoje zdanie. Kitty nie okazywała nawet śladu żalu czy wstydu, rozmawiała z każdym z osobna, pozwoliła przedstawić sobie nowego lokaja, który zastąpił Roberta. I klasnęła w dłonie, gdy dowiedziała się, że Auguste dwa dni temu urodziła dziewczynkę.

– Gdzie? Gdzie? Chcę ją zobaczyć!

Auguste wyszła z nowo narodzonym dzieckiem z kuchni, wciąż była gruba, ale wydawało się, że dobrze zniosła poród.

– Tylko spójrz, Marie! – zawołała Kitty entuzjastycznie. – Czy nie jest słodka? Takie małe paluszki! I usteczka. Maleńkie uszka. Niedługo wyrośnie z tego prawdziwy człowiek.

– Życzymy ci szczęścia, Auguste – powiedziała Marie. – Czy ona ma już imię?

Auguste się uśmiechnęła. Była w dobrym nastroju i nieco wyzywającym tonem odpowiedziała:

– Ma na imię Elisabeth.

– Elisabeth? – wyszeptała Kitty z cichą zazdrością w głosie. – Co za piękne imię! W takim razie moja siostra będzie matką chrzestną, prawda?

– Tak mi obiecała, łaskawa panienko.

Na górze schodów pojawiła się Alicia, która nie chciała już dłużej czekać w czerwonym salonie. Cóż za spotkanie! Paul był bardzo zadowolony, że Alfons Bräuer pożegnał się z nimi na dworcu. Ten bolesny powrót, łyzy, wzajemne wyznania win matki i córki były przeznaczone wyłącznie dla najbliższej rodziny.

– Wreszcie jesteście z nami!

Co zaskakujące, nawet Elisabeth była dzisiaj serdeczna, objęła Kitty

i wyznała, że bardzo za nią tęskniła. Jakie to wspaniałe, że rodzina znów była kompletna.

– Paul? Gdzie się ukryłeś? – zawołała Kitty. – Mój Paul! To tobie wszystko zawdzięczam. Tobie i Marie. A gdzie ona właściwie jest?

Marie zajęła się bagażem. Razem z Humbertem wtaszczyła walizki na górę, żeby zacząć je tam rozpakowywać. Paul obserwował to z mieszanymi uczuciami. Nie podobało mu się, że Marie musi się męczyć z ciężkimi torbami. Z drugiej jednak strony to ona sama nie chciała, żeby było inaczej. Chwilę później usiadł razem z Kitty, Elisabeth i matką w jadalni, gdzie właśnie podawano wystawne drugie śniadanie, i od czasu do czasu dorzucał coś do soczystych opowieści Kitty.

– Paryż jest jak marzenie, mamó. Musimy tam choć raz wszyscy pojechać, ty też, Liso. Sam Luwr jest wart podróży. Przede wszystkim jednak ta atmosfera światowego miasta, moda, sklepy, ludzie z liczących się krajów. Oczywiście Francuzi też tam są...

– Zadzwoń szybko do fabryki, Paul – poprosiła matka. – Powiedz ojcu, że Kitty znów jest z nami.

Posłusznie poszedł do gabinetu ojca, gdzie stał aparat telefoniczny, i uzyskał połączenie.

– Paul? Kiedy wróciłeś?

Głos ojca brzmiał tak, jakby był mocno zdenerwowany. Czyżby maszyny znów się zepsuły?

– Jestem w domu od pół godziny, ojczu. Kitty wróciła, siedzi teraz z Lisą i mamą przy śniadaniu. Może chciałbyś...

– Jak tylko będziesz mógł, przyjdź do fabryki – przerwał mu Johann Melzer. – Jesteś mi potrzebny. I powiedz Alicii, że nie będę na obiedzie.

Rozległ się lekki trzask, gdy odłożył słuchawkę. Uff, taki był ojciec. Ani słowa o powrocie Kitty na łono rodziny. Żadnego pozdrowienia ani dobrego słowa. Tylko krótko i prosto, że nie przyjdzie na obiad. Biedna Kitty, lepiej byłoby, gdyby już przeżyła ojcowski gniew. Zmuszenie jej do pójścia na kurs stenotypistki, położnej albo pielęgniarki to były jedynie niewinne warianty. Ojciec może ją też odesłać do ciotki Heleny i wujka Gabriela albo na Pomorze do wujka Rudolfa i ciotki Elviry.

Siostry czule się obejmowały w jadalni i Paul dowiedział się, że Klaus von Hagemann złożył Elisabeth długo przez nią wyczekiwaną propozycję ślubu. Kitty powiedziała, że jest ogromnie szczęśliwa i czuje ulgę, bo wciąż miała

wyrzuty sumienia. Przysięgała kilka razy przy wszystkich, i na wszystkich świętych, że nigdy nie darzyła uczuciem Klause von Hagemanna, a Elisabeth powiedziała, że nigdy tak nie uważała.

– Było tyle przykrych nieporozumień między nami, Liso!

– Bóg wie, że masz rację, Kitty. Ale z tym koniec.

– Raz na zawsze. Wiesz już, co włożysz na przyjęcie zaręczynowe? Błękit? A może ciemną zieleń?

– Ależ nie. Marie zaprojektuje dla mnie suknię, mamó. Kupiłam już materiał.

Ponieważ biedna Marie nic jeszcze nie wiedziała o szczęściu, które Elisabeth spotkało, obie siostry pobiegły na górę do pokoju Elisabeth, gdzie leżał materiał i różne rodzaje delikatnych koronek. Gdy zamknęły za sobą drzwi, Paul i Alicia milczeli przez chwilę.

– Przyjdzie w niedzielę – odezwała się w końcu Alicia i wypła resztę kawy.

– Będzie oficjalnie prosił o jej rękę.

Nie zabrzmiało to jak oczekiwanie w biesiadnym nastroju na przyjęcie zaręczynowe. Paul wiedział, że ojciec nie będzie zachwycony. Po pierwsze, przeszkadzał mu tytuł szlachecki Hagemanna, po drugie, perspektywa jego kariery wojskowej, przez co nie był najlepszym kandydatem na małżonka. Przede wszystkim jednak, Johann Melzer nie wybaczył nigdy młodemu mężczyźnie, w jak impertynencki sposób potraktował Elisabeth. Po ucieczce Kitty niewiele słyszano o von Hagemannie i nie widywano go wcale, odciął się od Melzerów jak wielu innych tak zwanych przyjaciół. Paul podejrzewał również, że Hagemann dowiedział się o ślubnych zamiarach Alfonsa. Bank Bräuera miał się więc połączyć z fabryką Melzerów. A taka wiadomość mogła sprawić, że porucznik von Hagemann zapomniał o wiadomych urazach i znów uznał Elisabeth na obiecującą partię. Mogło być też zupełnie inaczej, nie należało zapewne widzieć w ludziach tego, co najgorsze. Może von Hagemann faktycznie doszedł do wniosku, że Elisabeth jest kobietą jego życia? Kobieta jego życia...

– Od dłuższego czasu chciałem cię o coś zapytać, mamó. Co właściwie sądzisz o Marie?

Była zdumiona tym nagłym zainteresowaniem syna i przyglądała mu się z lekkim niepokojem.

– Dlaczego o to pytasz?

Opowiedział jej o fotografii, którą Kitty znalazła w Paryżu. Tej, na której matka Marie stała u boku Jakoba Burkarda.

– Jakob Burkard? Jesteś pewien? To naprawdę dziwne...

Mąż powiedział jej, że Marie jest nieślubną córką jednego z pracowników. A o jej matce wspomniał tylko tyle, że prowadziła rozwiązły tryb życia. Była artystką. A przynajmniej się za nią uważała. Ojciec dziewczyny był jednak uczciwym człowiekiem, dlatego Johann zawsze opiekował się Marie. We wrześniu ubiegłego roku zaproponował, żeby zatrudnić ją jako pomoc kuchenną. I tak zrobiła.

– Nigdy nie wspominał, jak ten pracownik się nazywał?

Alicia westchnęła. Nie potrafiła sobie przypomnieć.

– Marie nazywa się Hofgartner, ale to z pewnością nazwisko jej matki.

– W rzeczy samej – powiedział Paul. – Luise Hofgartner, tak się nazywała. Malarka. Powiedz mi, proszę, co wiesz o Jakobie Burkardzie? Był współnikiem ojca?

– Dlaczego właśnie dzisiaj musisz odkopywać te stare historie, Paul? – W jej głosie słychać było zniechęcenie. – Kitty znów jest z nami, a do tego mamy jeszcze zachwycające maleńkie dziecko w domu. To powinien być radosny dzień.

– Proszę, mamó – nie dawał za wygraną.

Alicia potarła skronie, co było zapowiedzią nadchodzącej migreny, a potem stwierdziła, że nie rozumie jego docieklowości w tym względzie.

– No powiedz, mamó – zaczął ją prosić jeszcze usilniej i wziął ją przy tym za rękę. – Chyba że to coś, o czym nie powinienem wiedzieć?

– Bzdura!

Na początku swojego małżeństwa widywała tego Jakoba Burkarda tu i tam, był bardzo szczupłym mężczyzną średniego wzrostu, z rozmarzonymi ciemnymi oczami. Pochodził z Tyrolu i jeśli dobrze pamiętała, był synem biednych bauerów. Wydawał się bardzo nieśmiały i nie umiał zachować się w towarzystwie. Już samym ubiorem nie pasował do innych gości i cieszyła się, że w pewnym momencie przestał do nich przychodzić.

– Ale był też wspaniałym konstruktorem – dopowiedział Paul. – W przeciwnym razie ojciec nie uczyniłby go swoim współnikiem.

Tak, z pewnością – przyznała. Ojciec i Jakob Burkard razem założyli fabrykę. Burkard był odpowiedzialny za maszyny, ojciec za sprawy handlowe.

– Z czasem Burkard stawał się coraz bardziej irytujący. Co właściwie między nimi zaszło, nie wiem. Johann jednak był na niego coraz bardziej wściekły. Po jednej z gwałtownych kłótni Burkard wyjechał za granicę.

– Do Francji?

Alicia nie wiedziała. Gdy wrócił, był już bardzo chory.

– Pewnie już wcześniej ciągnęło go do alkoholu – powiedziała Alicia z żalem. – Prawdopodobnie coraz bardziej i bardziej niszczył swoją wątrobę. Biedny człowiek umarł z tego powodu w dość żałosny sposób.

– Nie zostawił żadnego potomstwa?

– Opowiadał, że ma córkę. Ale wiem to jedynie z plotek. Chyba panie z towarzystwa charytatywnego kilka razy o tym wspominały.

– Ale jeśli faktycznie miał córkę, nawet gdyby była nieślubna, to jest ona jego spadkobierczynią, prawda?

Alicia zrobiła wielkie oczy. Spadkobierczyni?

– A cóż było do dziedziczenia po Jakobie Burkardzie?

– Cóż, jego część fabryki.

Alicia z uśmiechem potrząsnęła głową. Czy naprawdę mógł sądzić, że ojciec pozostawiłby dzieło swojego życia alkoholikowi? Nie, do tego czasu już dawno odkupił od Burkarda jego udziały w fabryce. Niestety, biedny człowiek przepuścił wszystko na różnego rodzaju bezużyteczne wynalazki, a resztę utopił w sznapsie.

– Czyli... czyli Burkard nie miał już nic, gdy umierał?

– Przynajmniej żadnych udziałów w fabryce Melzerów – odpowiedziała z uśmiechem. – Czy teraz jesteś zadowolony?

Paul przytaknął i podziękował jej. Musiał szybko pójść do ojca, prosił o to przez telefon. Czy wróci na obiad, nie zależało dzisiaj od niego.

– Paul?

Trzymał już rękę na klamce, więc niechętnie się odwrócił.

– Tak, mam?

– Nie zwracaj ojcu głowy historiami z przeszłości. Ojciec nie lubi o tym mówić, a teraz ma i tak dość innych zmartwień.

– Oczywiście, mam. Do zobaczenia.

W korytarzu usłyszał pełne euforii głosy sióstr, które piętro wyżej, w pokoju Lisy, rozmawiały o sukni na przyjęcie zaręczynowe. Co jakiś czas było również słyhać Marie, spokojną, życzliwą i stanowczą. Poczł głęboką gorycz. Coraz dotkliwiej zdawał sobie sprawę z tego, że nie było innej możliwości, jak tylko ta, że Marie będzie jego żoną, tą, którą kochał, tą, która była mu przeznaczona. Niech to szlag, prosił ją o rękę, zachowując wszelkie formalności, a ta uparta kobieta pogardliwie go odrzuciła. Sądziła może, że

łatwo mu było zapomnieć o konwenansach i wyznać jej miłość? Od ich kłótni w Paryżu traktowała go z ostentacyjną uprzejmością, a jej wzrok był nieprzychylny, wręcz wrogi. Jej obojętność bardzo go bolała. Co gorsza, prześladowała go obawa: a może ona faktycznie tylko z nim igrała? Mógłby aż tak się pomylić? Nie, to niemożliwe. Serce podpowiadało mu, że ona też go kocha.

Padał gęsty majowy deszcz, ale Paul zdecydował, że pójdzie pieszo do fabryki. Biaława mgła rozciągała się między starymi drzewami w parku, na klombach żonkile i narcyzy ugiwały się pod naporem niesprzyjającej pogody, a ich płatki opadały na niezapominajki i wielokolorowe bratki. Od łąk unosił się ciepły zapach kwiatów, zmieszany z wonią gnijących liści oraz wilgotnej ziemi. Natura odradzała się z wielką mocą; to, co stare, musiało odejść, pojawiały się pąki, drzewa obsypane były tysiącem liści. Paul zawsze uwielbiał tę porę roku, wdychał więc głęboko zapach odradzającego się życia i czuł, jak w nim również rośnie ciepła, błoga nadzieja.

d="w_cieniu_tajemnic-54.html" xml:lang="pl-PL" aid="1IHDQ1">

Jak szczury – powiedziała kucharka i nalała sobie kawę z emaliowanego dzbanka. – Opuszczają tonący statek, marni z nich współbracia. Ale teraz, gdy on znów płynie, one też wychodzą ze swoich nor.

Marie wiedziała, co Brunnenmayer chciała przez to powiedzieć, ale mała Hanna zalęknionym wzrokiem spojrzała na szafę kuchenną i spytała, czy grasują w niej szczury.

– Oczywiście – warknęła kucharka. – Jeden z nich siedzi u państwa w czerwonym salonie i podkręca sobie wąsa. A inni są zaproszeni na obiad w czwartek.

Na górze w czerwonym salonie składał właśnie wizytę porucznik von Hagemann, a Humbert podawał kawę i delikatne biszkopty. Czekał chwilę w korytarzu, na wypadek gdyby państwo mieli jeszcze jakieś życzenia, a potem zszedł do kuchni. Darzył szczególną sympatią okrągłą kucharkę i zawsze podzielał jej zdanie. Brunnenmayer również bardzo lubiła tego niezwykle młodego człowieka. Sama wychowała trzech synów i znała się na rzeczy.

– Słyszałem, jak porucznik powiedział: „Bardzo zraniłem pani córkę, ale ona mi wybaczyła”.

Humbert odtworzył to zdanie tak przekonująco, dbając o odpowiedni tembr głosu i mimikę, że wszyscy zaczęli się śmiać. Porucznik mówił strasznie pompatyczne rzeczy, kontynuował. Przysięgał, że spędził ostatnie tygodnie i miesiące w okropnym żalu i podtrzymywała go na duchu tylko ta ostatnia nadzieja, że...

– Łaskawa panienska się nad nim zlituje? – zaśmiała się Auguste.

– Nie – odparł Humbert z ponurą miną. – Miał nadzieję, że wybuchnie wojna i swoje młode życie będzie mógł złożyć na polu chwały.

– Mój Boże – Marie potrząsnęła głową. – Aż tak przesadza? Naprawdę sądzi, że dyrektor Melzer w to uwierzy?

– Pan dyrektor i młody pan nie powiedzieli ani słowa – skomentował

Humbert pogodnie. – Za to wszystkie trzy panie zalewają się łzami.

Maria Jordan westchnęła przeciągle. Jeszcze w nocy rozkładała karty i wiedziała doskonale, że to małżeństwo nie będzie szczęśliwe. Biedna panienka Elisabeth będzie cierpiała.

– Dlaczego? – wtrąciła się Auguste. – Sama jest przecież sobie winna. Koniecznie chciała go mieć. Takiego jak on nie tknęłabym nawet kleszczami kowalskimi!

Gustav właśnie wszedł do kuchni, całe ręce miał czarne od ziemi, bo sadził geranium do skrzynek. Rozwścieczył kucharkę, bo umył ręce akurat w tej umywalce, którą dopiero wyczyściła, i wytarł je białym ręcznikiem kuchennym. Gdy odłożył ręcznik, tylko się uśmiechnął. Potem usiadł na ławce, obok miękko wyściełanej skrzyni, w której spała mała Elisabeth, i spojrzał na nią z taką czułością, jakby była jego dzieckiem.

– Chcesz kawy, Gustav? – Głos Auguste brzmiał wyjątkowo łagodnie.

– Z dużą ilością śmietany i cukrem!

Auguste napełniła filiżankę, postawiła ją na talerzyku i nie wiadomo dlaczego położyła jeszcze dwa ciastka biszkoptowe, które Brunnenmayer dekorowała kremem maślanym, kandyzowanymi owocami i migdałami, robiąc z nich tak zwane *petit fours*. Po niemiecku nazywano je „małymi bączkami”.

– Wszyscy Francuzi to świny – powiedział Gustav, wkładając słodkie ciasteczko do ust.

– Dosyć już! – warknęła kucharka. – Może państwo będą chcieli ich więcej.

– Ale przecież bączki są nieruszone – powiedziała Auguste, wzruszając ramionami, i usiadła po drugiej stronie skrzynki.

– Każdy, kto wyciągnie chciwe łapska po moje wypieki, oberwie po nich drewnianą łyżką! – ostrzegła kucharka.

Humbert zaśmiał się głośno i zrobił gest, który miał naśladować cios wymierzony drewnianą łyżką. Od samego początku nie znosił Auguste, ale odkąd siadała w kuchni i bez zażenowania, przy wszystkich, wyciągała ogromne piersi, żeby nakarmić dziecko, wywoływała w Humbercie również paniczny strach. Dziecka też nie lubił. Marie usiadła obok Hanny i przeglądała jej zeszyt. Ołówkiem robiła drobne podkreślenia pod źle napisanymi słowami, a Hanna musiała wskazać, gdzie są błędy, i przepisać stronę od nowa.

– Gnębisz mnie bardziej niż nauczyciel – poskarżyła się. – A mnie ręka wciąż boli od pisania.

– Zabawne – powiedziała Marie. – Gdy robisz obliczenia, ręka cię nie boli.

– Bo liczenie jest proste!

Hanna wciąż wyglądała jak mały chłopiec, zwłaszcza z krótkimi blond lokami. W szpitalu w kilku miejscach ogolono jej głowę, żeby zająć się raną. Marie skróciła jej resztę włosów i pocieszyła, że odrosną grubsze i piękniejsze. Jako pomoc kuchenna dostała od państwa trzy nowe sukienki i dwa fartuchy, do tego skarpety, bieliznę i buty. Sukienki były już co prawda noszone, ale Marie przerobiła je tak, żeby pasowały na szczupłą trzynastoletnią dziewczynkę. Buty jedynie były za duże, więc Hanna szurała nogami, gdy poruszała się po kuchni, i kucharka denerwowała się, że robi więcej hałasu niż dziesięcioro Murzyniątek w drewniakach. Nagle usłyszano elektryczny dzwonek dla służby, Humbert szybko odstawił kubek z kawą i pobiegł w stronę schodów.

– Chcą na pewno więcej bączków – powiedziała złośliwie Auguste. – A łaskawa panienska jest na to już zbyt okrągła.

– Kiedyś twój niewyparzony język doprowadzi cię do zguby – powiedziała Else.

– Przecież już jest okrągła jak przepiórka.

W tej chwili do kuchni weszła panna Schmalzler i przerażona Auguste zatkała sobie dłońią usta.

– Auguste i Else, poszewki na poduszki z jadalni są uprane i mogą zostać założone. Poza tym stoją tam wciąż brudne naczynia, a na dywanie jest pełno okruchów.

Obie rzuciły się do pracy. To był znak, że popołudniowa drzemka dobiegła końca. Maria Jordan również się podniosła, mówiąc, że musi udekorować dwa kapelusze łaskawej pani, i rzucając przy tym triumfujące spojrzenie Marie. Tak, to jej powierzono to zadanie, a nie pokojówce Marie.

– Zbierz już zeszyty, dziewczyno. – Marie usłyszała głos kucharki. – To nie jest szkoła, tutaj się pracuje. Przynieś mi świńskie nóżki z komory chłodniczej, żebyśmy mogły je zamarynować.

Marie wchodziła powoli na górę schodami dla służby, żeby popracować jeszcze w pokoju do szycia nad suknią zaręczynową łaskawej panienski. Szycie sprawiało jej radość, cieniutka bawełna w kolorze delikatnej zieleni była bardzo piękna, a podczas szycia nie wysuwała się i nie marszczyła. Dobrze było mieć coś do zrobienia, bo wtedy ulatywała część smutków. Kłótnia z Paulem bolała ją ogromnie, nie wiedziała jednak, w jaki sposób mogłaby się z nim pogodzić. Nie mogła mu przecież powiedzieć, jak bardzo go kocha, to

doprowadziłoby jedynie do kolejnych nieporozumień. Strasznie trudno było jej przechodzić obok niego z obojętną miną, czuć na sobie jego spojrzenie pełne smutku i gniewu, a także znosić cierpkie uwagi. Nie wiedział, że każde takie słowo to strzała wbita prosto w jej serce? Tak bardzo podobała mu się rola odrzuconego kochanka, że codziennie odgrywał ją na nowo?

Kitty też okazała się lekkomyślna i pozbawiona serca. Gdy po pojednawczym, serdecznym wieczorze wszyscy poszli do małego mieszkania Kitty, żeby się przespać, Marie zapytała ją o rysunek matki. Kitty szukała go wszędzie, ale nie udało się go odnaleźć. Wreszcie, gdy zastanowiła się przez chwilę, powiedziała, że mógł niechcący zostać użyty jako opał. W nocy było okropnie zimno i po ciemku mogła nie widzieć zbyt dobrze, co wrzuca do pieca. Marie jednak nie powinna się złościć, bo ona jej kupi inny obraz Luise Hofgartner. Potem zakryła się całą kołdrą i zaraz zasnęła. Marie została więc jedynie fotografia, którą schowała w szufladzie komody między trzema jedwabnymi chusteczkami, podarowanymi jej przez Kitty. Gdy była sama w pokoju, wyciągała zdjęcie, żeby na nie popatrzeć. Tak zatem wyglądała jej matka, była taka młoda i radosna, a jednocześnie tak obca. Wyblakłe linie i cienie na papierze niewiele mówiły o tym, kim naprawdę była. Piękną malarką, która kochała konstruktora Jakoba Burkarda. Buntowniczką, która nie chciała dać Melzerowi dokumentów swojego zmarłego męża. Kochającą matką, która zmarła zbyt wcześnie. A jeśli dyrektor Melzer kłamał i jednak była córką Jakoba Burkarda? A czy właściwie nie jest obojętne, czyją była córką? To i tak nic nie mogło zmienić. Jej rodzice nie żyli, ona była sama na świecie, nikt jej nie wspierał. Jeśli była mądra, nie powinna już zajmować się tymi rzeczami. Jeśli była mądra, to wiedziała, że najlepiej będzie, jeśli zajmie się teraz swoją przyszłością, żeby zerwać z żałami i niepotrzebnymi nadziejami. Być wolną, wszystko zostawić za sobą i rozpocząć nowe życie, bez obciążeń. Może w Monachium? Albo w Rosenheim. A może jeszcze dalej, na północy? A dlaczego nie w Hamburgu, gdzie w porcie stały ogromne statki, które pływały za morze? Czy Paul nie mówił, że Robert wyjechał do Ameryki? Bardzo odważnie. Ona jednak była tchórzliwa i odkładała decyzję z dnia na dzień, bo nie mogła się rozstać i z ludźmi, i z tym domem. Tak jakby jakaś tajemna siła, jakiś magnes, przyciągała ją i nie pozwoliła się jej uwolnić.

– Marie! Moja kochana Marie!

Ledwie weszła na korytarz na drugim piętrze, zobaczyła podbiegającą do niej Kitty. Jej głos był zrozpaczony. No tak, cierpiała z miłości. Wczoraj

dostała list od Gérarda Duchamps, po lekturze którego przez kilka godzin latała w chmurach i mówiła, że teraz już wszystko się wyjaśni, że będzie już teraz bezgranicznie szczęśliwa i nawet tata podejdzie do całej sprawy ze zrozumieniem. Co dokładnie było napisane w liście, tego jeszcze nie przekazała Marie.

– Zostaw to głupie szycie – przykazała Kitty bliska łez. – Chodź ze mną do mojego pokoju, musisz mnie pocieszyć. Ach, wszystko jest takie okropne, Marie. Mogłyśmy zostać na Montmartrze, w naszym małym ptasim gnieździe, wysoko nad dachami. U Solange i Léona, którzy zawsze byli dla mnie tacy dobrzy.

Zaczęła szlochać i Marie mocno ją objęła. Przemawiała do niej cicho, głaskała ją po plecach, włosach, po rozpalonych policzkach. Tylko spokojnie, wszystko będzie dobrze. Nic nie jest tak straszne, jak wygląda. Zawsze jest jakieś wyjście.

– Wyobraź sobie, że tata nie pozwolił mi przyjąć oświadczyń Gérarda! Ten potwór! Zamiast się cieszyć, że Gérard chce się ze mną ożenić, wszystko niszczy. A w dodatku Gérard kupił już dla mnie prezent ślubny, ach, to było tylko głupie nieporozumienie. Nigdy nie chciał się żenić z Béatrice, ten obraz u Kahnweilera kupił dla mnie.

Marie szybko wepchnęła ją do jej pokoju i zamknęła drzwi, bo zawsze ciekawska Jordan wychodziła właśnie z pralni.

– Ależ panienko Katharino, czy myślisz, że twoje małżeństwo z Gérardem może być szczęśliwe? Wbrew woli jego rodziny? Mnie te oświadczyń wydają się raczej aktem desperacji...

Takich słów Kitty nie chciała słyszeć. Nie, nie. Gérard myśli o tym poważnie, kocha ją, a ona kocha jego. Chociaż Gérard – tutaj Marie ma całkowitą rację – już na Montmartrze był załamany kłótnią ze swoją rodziną. Nie wiedział, z czego mają żyć, i dlatego ciągle był w złym humorze. Tak, nie jest tak łatwo z tą miłością. Może nic nie wyjść z tego małżeństwa... Nadal jednak uważa, że tata to potwór, i mama też jest tego zdania. Nie, nie powiedziała tego wprost, ale Kitty to w niej dostrzegła.

– Ledwie pożegnali się z porucznikiem, a tata już na mnie naskoczył. Na szczęście nie było przy tym Lisy, bawiłoby ją to. Zeszła z porucznikiem na dół, żeby odprowadzić go do drzwi. Ach, jak ja zazdroścę Lisie! Jaka ona jest szczęśliwa! Latem oficjalnie zostaną ogłoszone jej zaręczyny, na przyjęciu w ogrodzie, w obecności wszystkich przyjaciół i znajomych. Tylko ja nie będę

mogła z nimi być.

Rzuciła się na błękitną sofę i westchnęła. Właściwie to ona miała poślubić porucznika von Hagemanna, w końcu to jej pierwszej się oświadczył. Dobrze, że nic wtedy nie odpowiedziała, nie wiedziała też przecież, co na ten temat myślą mama i tata. Może jednak powinna była się zgodzić, nie byłaby teraz taka nieszczęśliwa.

Marie nie miała wątpliwości, że Kitty mówi, co jej ślina na język przynosi. Von Hagemann był tak naprawdę ostatnim człowiekiem, który mógł uczynić ją szczęśliwą, przede wszystkim dlatego, że go nie kochała. W milczeniu siedziała obok szlochającej Kitty, słuchała cierpliwie jej skarg i dowiedziała się, że rozgniewany Johann Melzer nie tylko zabronił jej małżeństwa z Gérardem Duchampsem, ale też nałożył na nią srogie kary.

– Albo do wujka Rudolfa na Pomorze, albo na szkolenie na pielęgniarkę do Czerwonego Krzyża. Choć ja z trudem mogę patrzeć na krew, Marie.

To faktycznie było trudne. Marie obawiała się, że Johann Melzer nie zmieni swojej decyzji.

– Na Pomorze na pewno nie pojedę. Nawet jeśli zwiąże mi ręce i nogi i wrzuci do pociągu. Raczej wskoczę do rzeki, do Lech, albo wezmę mały pistolet z szuflady w biurku taty i strzelę sobie w głowę.

– Panienko Kitty! Nie wolno panience tak mówić, zwłaszcza w obecności matki!

– Mamy tutaj nie ma!

A w posiadłości na Pomorzu w pokojach zawsze śmierdzi. Starymi dywanami i w ogóle poprzednim stuleciem. Wszędzie są tylko kury i krowy, co najwyżej kilka koni i pies pilnujący podwórka. Poza tym tamci ludzie są tak ograniczeni. Wujek Rudolf myśli tylko o jedzeniu i polowaniach. A ciocia Elvira mówi wyłącznie, dniami i nocami, o swoich dzieciątkach, które już dawno dorosły i mądrze zrobiły, opuszczając te nieużytki na Pomorzu.

– I te plujki w lecie. Obrzydlistwo. Zaraz pod moim oknem jest gnojownik...

Faktycznie nie brzmiało to jak romantyczna wizja życia na wsi. Oczywiście Kitty przedstawiała wyłącznie negatywne strony takiego życia, bo mogła zostać wygnana za karę w tamto miejsce. Rudolf von Maydorn i jego żona Elvira odwiedzili willę w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia i ci starsi państwo wydali się Marie dość zabawni. Jego musiała jednak porządnie uderzyć w rękę, bo próbował włożyć ją pod jej spódnicę. Nie wziął jej jednak za złe, że się broniła, i od tamtej pory zostawił ją w spokoju.

– Takie gospodarstwo naprawdę nie wydaje mi się miejscem odpowiednim dla panienki – powiedziała Marie, potrząsając głową. Oni z pewnością nie widzą żadnego sensu w malarstwie czy w sztuce w ogóle.

Oczywiście, że nie. Na ścianach wiszą poroża i wypchane zwierzęce zwłoki. Przede wszystkim orły i inne drapieżne ptaki, bo wujek Rudolf ma do nich słabość. Tylko w sali kominkowej wisi kilka olejnych obrazków z czasów nie wiadomo jakich, którym trudno jest zatrzeć tę wszechobecną brzydotę.

– Nie lubię też mieć wokół siebie chorych ludzi – zawodziła Kitty. – Brzydzą się starymi ludźmi, zwłaszcza gdy mają takie obrzydliwe choroby, że są cali pokryci strupami albo się trzęsą.

– Trzęsą się?

– Tak, gdy cali drżą i trzęsą głowami. Och, Marie, nie wiem, co mam zrobić. Mama też nie może mi pomóc, nikt nie może mi pomóc, zostałam całkiem opuszczona przez cały świat!

Marie myślała przez chwilę. Czy powinna wyznaczyć jej jakiś kierunek działania? Może to zły pomysł i przyniesie jedynie zmartwienia. Ale może była to droga do trwałego szczęścia.

– Czemu nie zapyta panienka Alfonsa Bräuera? – rzuciła jakby mimochodem. – Miałam wrażenie, że jest mądrym i przedsiębiorczym człowiekiem. A poza tym naprawdę cię lubi, panienko Kitty.

Odsunęła ręce od rozpalonej twarzy i odgarnęła mokry kosmyk z policzka. Wydmuchała energicznie nos w chusteczkę obszywaną koronką, którą Marie wyciągnęła z komody i jej podała.

– Alfons? – wyjąkała, wciąż ochrypnięta od płaczu. – Masz rację, to jest mądry człowiek. I obiecał mi w Paryżu, że będzie przy mnie zawsze wtedy, gdy będę go potrzebować.

No patrzcie, pomyślała Marie. Alfons był przezorny. Wiedział przecież, że jego śliczną Kitty znów ogarnie wściekłość, gdy tylko pojawi się w willi.

– Jesteś cenna jak złoto, Marie. Moja złota Marie. Alfons, oczywiście, on będzie wiedział, co mi poradzić. Zaraz do niego zadzwonię.

Marie nie pomyślała o telefonie. Zwłaszcza że w domu Melzerów był używany tylko w szczególnych okolicznościach, zazwyczaj przez samego Johanna Melzera. Ale Kitty już się zerwała i wybiegła na korytarz. Zatrzymała się jednak przy schodach i kiwnęła na Marie, żeby do niej podeszła.

– Sprawdź, czy droga jest wolna – wyszeptwała. – Czy tata przypadkiem nie siedzi w swoim gabinecie. Jest niedziela, a w niedziele nie chodzi do fabryki.

Marie zeszła na dół. Tam spotkała Else, która wychodziła z jadalni ze starymi poszewkami na poduszki. Łaskawa pani i łaskawa panienka pojechały na przejażdżkę automobilem. Panienka chciała matkę sama przewieźć po parku, żeby jej udowodnić, że nauczyła się jeździć.

– Łaskawy pan? Razem z paniczem poszli do fabryki. Wydaje się, że znowu jest jakiś problem z maszynami.

Na te słowa Marie od razu sobie przypomniała, że te maszyny skonstruował Jakob Burkard. Gdyby żył, fabryka Melzera byłaby teraz na pewno w lepszym stanie. Johann Melzer nie posiadał planów konstrukcyjnych swoich maszyn. Wciąż nie wiedziała, dlaczego jej matka go ich pozbawiła.

– Jeśli szybko zejdziesz na dół, do kuchni – szepnęła jej w zaufaniu Else – będziesz mogła podkraść ze dwa pyszne biszopciki. Zanim Auguste je wszystkie pożre.

– Dziękuję, Else!

Młodsza pokojówka poszła ze stosem poszewek w stronę schodów dla służby, a Marie machnęła do Kitty, która na górze czekała na jakiś znak od niej.

– Wszyscy wyszli? No nie, co za szczęście! – ucieszyła się. – Mam nadzieję, że Elisabeth nie spowoduje żadnego wypadku. Że też mama wsiadła z nią do samochodu. Co za lekkomyślność!

Zaraz po tym śmiało zasiadła za biurkiem ojca i podniosła czarną słuchawkę z podstawki.

– Halo? Halo? Panienko? Poproszę o połączenie z willą Bräuerów. Numer? Nie znam. Niech go pani dla mnie znajdzie, proszę. Słucham? Nie ma pani na to czasu?

Marie nie miała dobrych przeczuć, gdy wyciągnęła najwyższą szufladę z rzeźbionego mebla, bo nie lubiła szperać w rzeczach państwa. Na szczęście zaraz na wierzchu leżała *Urzędowa książka telefoniczna głównej dyrekcji poczty w Monachium – część Augsburg*.

– Tutaj, nazwiska są uporządkowane alfabetycznie. Bader, Bäcker, Bartling.

Kitty, zniecierpliwiona, wyrwała jej brulion z rąk i przesuwiała palcem wskazującym po rzędzie nazwisk.

– Tutaj! Bräuer. Edgar Bräuer. Bankier. To jego ojciec. Karlstrasse, ach tak, prawda. Osiem, osiem, siedem. Proszę bardzo! Możesz już szyć sukienkę dla Elisabeth, Marie.

Marie zrozumiała, że Kitty wolałaby przeprowadzić tę rozmowę bez świadków, i się wycofała. Po cichu zamknęła za sobą drzwi i przystanęła nie

po to, by podsłuchiwać, ale żeby odzyskać wewnętrzną równowagę. Głos Kitty był bardzo cienki, wydawało się, że mówi mała dziewczynka.

– Jest bardzo trudno, mówiąc... i tak łagodnie. Pan też uważa, że nie powinnam jechać na Pomorze? W żadnym razie. Całkowita racja. Malowanie? Nie jestem teraz do tego zdolna przez te zmartwienia. Ach, moja siostra się zaręczyła. Z porucznikiem Klausem von Hagemannem, tak, tak. Tak, jest bardzo szczęśliwa. Ja? Ja umieram ze zmartwienia. Nie może pan nawet sobie wyobrazić, jak jestem nieszczęśliwa, drogi przyjacielu... Czwartek? Na obiad... A nie mógłby pan wcześniej przyjść? Tak, będę bardzo szczęśliwa.

Marie szła powoli korytarzem i schodami dla służby weszła na drugie piętro. Jej serce wciąż biło niespokojnie, ale była przekonana, że zrobiła coś dobrego.

d="w_cieniu_tajemnic-55.html" xml:lang="pl-PL" aid="1JFUC1">

Melzer gwałtownie otworzył drzwi do hali fabrycznej i zaczął przyglądać się maszynom. Dwadzieścia selfaktorów ustawionych w równym rzędzie, skierowanych do światła, które wpadało do środka z prawej strony wysokiego szklanego dachu, i żaden nie pracował. Niepokojąca, wręcz złowieszcza cisza wisiała w powietrzu i wypełniała pomieszczenie, które zazwyczaj aż wibrowało od hałasu powodowanego przez maszyny. Ani jeden robotnik nie pojawił się na dodatkowej zmianie. Za plecami dyrektora zaskrzypiały drzwi, przyszedł za nim majster Huntzinger.

– Zorganizowali strajk, panie dyrektorze.

Melzer wydał dziwny jęk. Wciąż nie był w stanie złapać tchu, bo zdenerwowany biegł przez dziedziniec do hali przędzalniczej. A więc tak – bał się tego, a teraz wciąż nie mógł uwierzyć.

– Kto? – krzyknął. – Kto był tak niesłychanie bezczelny, żeby podjudzać moich robotników?

Huntzinger zrobił krok do tyłu i Melzer zorientował się, że majster, który pracował w fabryce już od ponad trzydziestu lat, wiedział więcej o całej sprawie, niż on sądził.

– Ci ze związku zawodowego, panie dyrektorze. Powiedzieli ludziom, że nie muszą dwa razy w tygodniu przychodzić na dodatkowe zmiany.

– W zeszłym tygodniu pięć maszyn się zepsuło – powiedział Melzer, starając się powstrzymać gniew. – Ludzie więc tylko się tu kręcili i nie pracowali.

– To prawda, panie dyrektorze. Ale ci socjaliści powiedzieli stanowczo, że to się nie liczy. Jeśli przyszli do roboty, a nie mogli pracować, to nie jest ich wina.

Nie ich wina, pomyślał wściekły Melzer. A może moja? Może ktoś sądzi, że cieszy mnie fakt, iż moje maszyny stanęły i robotnicy mogli szwendać się beczynn timer po fabryce? Wiedział doskonale, czyja to tak naprawdę była wina. Znów, z pierwotną siłą, wybuchła w nim stara złość na tę wiedźmę, która

zabrała do grobu plany konstrukcyjne.

– I co oni planują dalej robić? Czy robotnicy z tkalni i farbiarni chcą się przyłączyć do buntu? Czy mam zamknąć fabrykę? Wtedy nikt nie będzie miał pracy, – to będzie lepsze? Co?

Czy Huntzinger też podzegał? Nie, w żadnym razie. Tylko ci z przedzalni mogli zostać zachęcani przez urzędników związków zawodowych. Mężczyźni przede wszystkim, kobiety i dziewczęta chciały przyjść na zmianę. Melzer zrozumiał, że hałas, który słyszał przed bramą fabryki w czasie wolnym od pracy, to nie była jedynie zwyczajna kłótnia z kobietami, które w dzień wypłaty przychodziły po pieniądze swoich mężów. To była blokada wobec tych, którzy chcieli przyjść do pracy.

– Chcą więcej pieniędzy, panie dyrektorze. Za dodatkowe zmiany muszą dostać większe wynagrodzenie, tylko tak będzie sprawiedliwie, a w innych działach, na przykład w przedzalni mechanicznej, też tak postanowili.

Melzer podejrzliwie spoglądał na lojalnego dotychczas majstra.

– Poprosili mnie, żebym o to delikatnie zapytał, panie dyrektorze, bo pracuję tutaj dłużej niż oni wszyscy. Znałem jeszcze Burkarda i wielu innych, których nie ma już wśród nas.

Jak na ironię musiał teraz wspomnieć o Jakobie Burkardzie. Melzer czuł, jak wzbiera w nim znów tłumiony gniew. W dodatku poczuł ukłucie w klatce piersiowej, które na szczęście szybko minęło.

– A więc to tak, Huntzinger. Nie zauważyłem tego. To ty jesteś prowodyrem tej bandy. Na stare lata wskoczyłeś na wóz socjalistów. Brawo!

Huntzinger przestępował z nogi na nogę. To nie była prawda. Nie miał nic wspólnego z tym strajkiem i nigdy w życiu nie przyszłoby mu do głowy, żeby zaniedbywać pracę. Wiedział przecież dobrze, ile zawdzięczał dyrektorowi Melzerowi. Domek i ogród, wszystko, co posiadał, pochodziło z fabryki tekstylnej. To tylko jego syn, Max, prosił go, żeby porozmawiał o tym z panem dyrektorem. I dlatego zgodził się wyjaśnić pewne kwestie panu Melzerowi. Lepiej, żeby to był on, niż gdyby miał to być ktoś inny. Chciał to zrobić w dobrej wierze. Chodzi przecież jedynie o niewielkie podniesienie płac. Może jeszcze o przedszkole, bo jest dużo małych dzieci, które potrzebują opiekunki. O tym jednak powinno się rozmawiać spokojnie.

A więc tak to sobie wymyślili. Gdy on znalazł się między młotem a kowadłem, bo maszyny stoją bezużytecznie, posłużyli się odważnym Huntzingerem. Przeliczyli się jednak, socjaliści, te tchórzliwe kreatury. Nie,

z nim nie można sobie tak pogrywać. Tylko i wyłącznie on sam decydował o tym, kiedy i dlaczego wypłaci pracownikom wyższe wynagrodzenia. Strajk! Jak długo istnieje jego fabryka, nigdy nie było tutaj żadnego buntu. Trzeba było zdusić w zarodku te nowoczesne, socjalistyczne wymysły. Trzeba było pozostać nieugiętym. Kto teraz się ugnie, ten nie będzie już panem we własnym domu. Zedrą z niego ostatnią koszulę.

– Posłuchaj dobrze, Huntzinger – zwrócił się do majstra, który ze spuszczoną głową i niepewnym spojrzeniem czekał na odpowiedź. – Ten, kto nie przyjdzie do pracy, nie otrzyma zapłaty. To proste. A kto bez powodu będzie unikał wykonywania pracy, zostanie zwolniony. Dużo chętnych niecierpliwie czeka na robotę w mojej fabryce.

Huntzinger milczał. Domyślał się, jak przebiegnie ta rozmowa, znali się przecież od ponad trzydziestu lat. Ale żona i syn nie dawali mu spokoju. Max Huntzinger, jego syn, był układcą w przedsiębiorstwie, a jego żona też tam pracowała przy składaniu materiałów. Melzer ją znał i wiedział, że jest sumienną pracownicą, ale od jakiegoś czasu miała słabszy wzrok i przeniósł ją do pakowni, gdzie mniej zarabiała. Max Huntzinger z powodu niewyparzonego języka i bezczelnego zachowania z pewnością nie był uznawany za dobrego robotnika i tylko ze względu na swojego ojca jeszcze go nie zwolniono. Max Huntzinger musiał być więc również potajemnym członkiem związku zawodowego. A mieszkał przecież z rodzicami na osiedlu fabrycznym, gdzie Melzer nie życzył sobie mieć żadnych socjalistów. Pijacy, próżniacy i członkowie tych organizacji socjalistycznych nie mieli czego tam szukać, o tym stary Huntzinger musiał wiedzieć.

Melzer wszedł schodami do części administracyjnej budynku i znów poczuł nieprzyjemny ból w klatce piersiowej. Powinien chodzić wolniej, nie po dwa stopnie naraz, przecież nie miał już dwudziestu lat. Gdy znalazł się na górze, zauważył, że wszyscy pracownicy poszli już do domu. Nic dziwnego, było wpół do siódmej. Gdzie był Paul? Czyżby już w domu? Podeszedł do okna i spojrzał na bramę fabryczną. Byli tam wciąż. Kobiety, które chciały pójść do pracy w fabryce, oraz strajkujący, którzy nie chcieli ich wpuścić. Trzeba było zadzwonić na policję, ale wywołałoby to prawdziwy skandal i jutro pisałyby o tym gazety. Uratowałyby jednak dodatkową zmianę, przynajmniej częściowo. Trwałaby ona do czasu, gdy maszyny zostaną znów puszczane w ruch. Zaklął. A oni mają kaprysy, teraz, gdy on musi zapłacić krocie za naprawę maszyn. W środę trzeba zapakować materiały i wysłać je pociągiem do Anglii. Tkálnia

pracowała na pełnych obrotach i brakowało teraz prędkości. Irytujące. Ale to nie są zmartwienia robotników, oni przychodzą, wykonują pracę i otrzymują zapłatę. Żadnych bezsennych nocy, żadnego strachu, że wszystko może zostać zaprzepaszczone, żadnej odpowiedzialności za setki ludzi, żadnych decyzji, oznaczających być albo nie być. Oni wolą strajkować. Nie pracować, ale mieć więcej pieniędzy. Tak, tego by chcieli.

Już zamierzał odwrócić się od okna, żeby sięgnąć po telefon, ale zauważył jeszcze większe zamieszanie przy bramie. Powstał nieopisany chaos, może nawet doszło do jakiejś bójkii, nie widział dokładnie. Przede wszystkim jednak duża grupa pracowników napierała na bramę i powoli przedostawała się do środka. Chcieli prosić o wybaczenie? Wydawało się, że strajkujący się poddali, odsunęli się na bok, jedynie tu i tam podnoszono w oburzeniu ręce, ale bezskutecznie. Melzer nie mógł wytrzymać w pustym biurze, zszedł schodami na dół, wyszedł na podwórko i złapał za rękę jedną z biegnących kobiet.

– Co się dzieje? Dokąd biegniesz?

Była młoda, miała najwyżej osiemnaście lat i strach, wręcz przerażenie, które spowodowało niespodziewane pojawienie się przed nią dyrektora, było wymalowane na jej twarzy.

– Idziemy do pracy, panie dyrektorze. I piękne dzięki, panie dyrektorze. Ale teraz muszę już iść, bo się spóźnię.

Piękne dzięki? Ale za co? Wycofał się do wejścia, żeby nie stać na drodze robotnikom, i patrzył na ich twarze. Wyglądali, jakby im ulżyło, wielu się nawet uśmiechało. Tylko niektórzy wyglądali na zaniepokojonych albo mających wyrzuty sumienia. Co, u diabła, działo się przy bramie? Gdy szturm na bramę się skończył, chciał tam podejść, żeby się dowiedzieć, co się stało. Czterech mężczyzn wyszło mu naprzeciw, a wśród nich jego syn Paul, zajęty rozmową. Trzej pozostali byli pracownikami przędzalni, jednym z nich był Max Huntzinger, nazwiska drugiego Melzer zapomniał. Brunner albo Bäumlner czy jakoś podobnie. Trzecim z nich natomiast był Joseph Mittermeier i miał już ponad pięćdziesiąt lat. I był najprawdopodobniej przywódcą strajku. Melzer skierował się prosto w ich stronę. Chciał wiedzieć, co jest grane.

– Nic złego, panie dyrektorze – uspokoił go Mittermeier. – Idziemy do pracy jak zawsze. Nic się nie stało.

– Nic się nie stało? – ryknął z wściekłością. – Wyciągnę z tego konsekwencje, nie zapominaj o tym, Mittermeier!

– Tak jest, panie dyrektorze!

Dwaj młodszy, jak zwykle, zdjęli czapki z głów i pozdrowili dyrektora, tak jakby to spotkanie na podwórzu było zupełnie przypadkowe. Przeszli obok niego bez słowa i zniknęli w jednej z hal.

– Chodź ze mną – nakazał synowi.

Przecież nie mógł go wypytywać na podwórzu. Już i tak jego potomek był lepiej poinformowany o tych zdarzeniach niż on. W milczeniu wspięli się schodami na drugie piętro i Melzer znów poczuł nieprzyjemne ukłucie w klatkę piersiową. Źle mu się również oddychało i musiał dwukrotnie przystanąć, podczas gdy Paul szedł bez trudu.

– Dobrze się czujesz, tato? Jesteś cały siny na twarzy.

Zmartwiony wzrok Paula nie napawał go radością. Nie był chory, nigdy nie chorował, nawet gdy miał grypę, człapał do fabryki, żeby pracować. To on stworzył to przedsiębiorstwo, on je prowadził, nie miał czasu na odpoczynek i na chorowanie. Paul podsunął mu fotel i wyciągnął z szafy butelkę francuskiego koniaku.

– O co ci chodzi? – warknął Melzer. – Dlaczego traktujesz mnie jak starego człowieka?

Paul spokojnie przygotował dwie szklanki i powiedział, że gdyby uważał go za starego człowieka, to podałyby mu szklankę rumianku, a nie koniak.

– Bezczelny!

Melzer usiadł i wypił koniak jednym tchem. To był dobry alkohol, od razu poczuł się lepiej.

– No więc co się stało? Negocjowałeś z tymi typami? I może jeszcze złożyłeś im jakieś obietnice?

Nie, nie zrobił tego. Paul podszedł do bramy, bo jeden z robotników powiedział mu, że coś się tam szykuje. Gdy rozpoznał przywódcę strajku, pozdrowił go przyjaźnie. Przed kilkoma miesiącami pracował przecież z nim w przędzalni przy tej samej maszynie. Choć faktycznie, dość krótko.

– Rozmawialiśmy o tym i o tamtym i wspominałem, że ten cały wysiłek dla kilku fenigów zupełnie się nie opłaca. Gadał o różnych rzeczach, zwłaszcza o tym, czego ich uczono podczas posiedzeń związku zawodowego. Wysłuchałem wszystkiego w spokoju. I obiecałem, że zajmę się kwestią przyznania wypłaty za dodatkowe zmiany.

Melzer się obruszył, ale Paul wyjaśnił mu, że nie była to żadna oficjalna deklaracja, tylko zwykła obietnica. W końcu to nie on jest dyrektorem fabryki.

– I po tym się rozeszli?

– Nie od razu i nie wszyscy. Ale kobiety i kilku mężczyzn, którzy chcieli wrócić do pracy, zaczęli się tłoczyć przy bramie, że ledwie mógł ich powstrzymać. I nagle wszystko nabrało tempa.

To już Melzer widział. Nalał sobie jeszcze koniaku i poczuł przyjemny spokój, który przepływał przez jego ciało. W gruncie rzeczy mógł być dumny z syna. Paul wszedł odważnie do gniazda szerszeni, negocjował, nie dając ostatecznych obietnic, i sprawił, że wszyscy wrócili do pracy. I nie doszło do rękoczynów.

– Przywódcy strajku zostaną zwolnieni – powiedział Melzer. – Ta hołota musi zostać wyeliminowana raz a dobrze.

Paul zmarszczył czoło i wyglądało na to, że ma inne zdanie, ale milczał, bo nie chciał narazić się ojcu. Poza tym nie zostało powiedziane jeszcze ostatnie słowo.

– Zachowałeś się wspaniale, Paul!

– Dziękuję, ojcze.

Przez chwilę milczeli, delektując się koniakiem, popijając wspólnie i ciesząc się poczuciem wzajemnego uznania. Potem Paul powiedział, że gdy w czasie ostatnich miesięcy coraz bardziej wrastał w tę fabrykę, poczuł wyraźnie, że jest ona celem jego życia. To, co zbudował ojciec, on chciał dalej rozwijać i rozbudowywać, i pewnego dnia przekazać swojemu synowi. Melzer był pod wrażeniem. Wydało mu się niemal niezwykle, jak szybko z lekkomyślnego studenta syn stał się jego wytrwałym współpracownikiem. Wysłanie syna na studia prawnicze do Monachium było więc błędem, bo Paul nie był teoretykiem, tylko praktykiem, takie miał zdolności. Potrafił też radzić sobie z ludźmi o wiele lepiej niż on sam kiedykolwiek.

– Cieszyłbym się, widząc, jak moi wnukowie dorastają w naszym domu. – Melzer uśmiechnął się, obracając w ręce pustą szklanę. – Krzyki własnego potomka byłyby znacznie bardziej znośne niż ryki tego małego bękarta Auguste.

Paul powiedział z uśmiechem, że najpierw jego siostra Elisabeth musi zadbać o ten rodzaj produkcji. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, w nadchodzącym roku będzie ślub, a w przyszłym można będzie oczekiwać pierwszego dziecka.

– A co z tobą?

– Ze mną? Cóż, myślę, że dam sobie jeszcze chwilę.

Melzer był innego zdania. Młodo poślubiony, rzadko żałuje. Teraz, gdy on jeszcze miał dużo energii, Paul mógłby poświęcić się młodej żonie i oczekiwany dzieciom. Wiedział dobrze, o czym mówi, bo jego samego sporo ominęło w tej kwestii.

– Rozejrzyj się, chłopcze, pośród córek innych przedsiębiorców jest wiele chętnych. A co z małą Tilly Bräuer, siostrą Alfonsa Bräuera? Jest wprawdzie bardzo młoda, ale ma potencjał. Ale może mówię po próżnicy. Może ty już dawno wybrałeś?

– W żadnym razie. I nie mam zamiaru wybierać. Przynajmniej w chwili obecnej.

Zaczął się wnikliwie przyglądać synowi i zauważył, że unika on jego wzroku. Paul zawsze był kiepskim kłamcą. Potwierdzało się więc to, co Elisabeth kiedyś zasugerowała.

– Masz romans z Marie, co?

Aha, trafił w dziesiątkę. Syn zaczął płonąć. Nie ma żadnego romansu, Marie to przyzwoita dziewczyna, on nie zniesie, że się ją o to podejrzuje.

– Tak, tak – burknął Melzer. – To przyzwoita dziewczyna. To mnie akurat dziwi. Ta mała jest śliczna, więc jeśli musisz się przy niej okrzesać, mnie to nie przeszkadza.

– Powtarzam kolejny raz, że nie mam żadnego romansu i na pewno nie z Marie. I chcę, żebyś mi wierzył, ojcze!

Jak się zdenerwował! Ta sprawa bardzo mu więc leży na sercu. To było wystarczająco irytujące samo w sobie, ale dopóki nie zakończy tej relacji, nie pomyśli o żadnym rozsądnym małżeństwie, ten młody marzyciel. Cholera, to była jego wina. Z czystego współczucia przyjął tę dziewczynę do swojego domu, a teraz ma za to taką zapłatę.

– Powinieneś być ostrożniejszy, Paul – starał się mówić życzliwym, ojcowskim tonem. – Ta mała dorastała w bardzo trudnych warunkach, nie można jej ufać. Raz, dwa, trzy i zafunduje ci dziecko, a wtedy będziesz miał na głowie masę kłopotów.

Niestety, zupełnie mu nie wyszło ostrzeżenie syna w dobrej wierze. Paul odpowiedział lodowatym tonem, że dziwi się, jak ojciec może tak mało wiedzieć o Marie, skoro była córką jego dawnego wspólnika Jakoba Burkarda. Melzer poczuł tak gwałtowne przerażenie, że znów chwycił go ból w klatce piersiowej. Tym razem nie było to już pieczenie, tylko intensywne uderzenie, które trwało dłużej i uniemożliwiło mu udzielenie szybkiej

odpowiedzi.

– Co ty mówisz za bzdury! – odpowiedział w końcu. – Burkard umarł dwadzieścia lat temu z przepicia i nie miał żadnych dzieci.

A skąd on się o tym dowiedział? Marie musiała mu o tym powiedzieć. Wszystkiemu jest winny ten przekłety ksiądz, roznosi plotki i puszcza w świat takie pomówienia.

– Miał nieślubną córkę – powiedział Paul stanowczo. – Mama mi o tym mówiła.

Ta odpowiedź stanęła mu kością w gardle. Musiał o to już wypytywać. Alicia niewiele mu mogła powiedzieć, prędzej ksiądz. Możliwe, że również starsi robotnicy z fabryki. Ogrodnik – oczywiście, ten wiedział to i owo.

– Nie musimy się o to kłócić, ojczu. Ojciec Marie jest zapisany w księgach parafialnych i zarejestrowany w spisie mieszkańców miasta w biurze meldunkowym.

Melzer milczał, bo nie mógł złapać powietrza. Te wspomnienia leżały mu na sercu jak ciężkie kamienie i utrudniały oddychanie. W końcu gniew znalazł drogę ujścia.

– Odnośnie do tego, co tam zapisano, ksiądz okłamał pannę Hofgartner! – wrzasnął. – Marie nie jest córką Burkarda.

Widział, jak Paul gniewnie zaciska wargi. Uparty był ten młody człowiek. Różne myśli krążyły w głowie Melzera i czuł, jak czaszka mu pulsuje. Co można było zrobić? Jak zapobiec nadchodzącemu nieszczęściu? Marie! To klucz do wszystkiego. Musiał coś wymyślić, żeby się jej pozbyć z willi. Da jej pieniądze i zmusi, żeby się wyprowadziła do innego miasta. Daleko, żeby Paul za nią nie poszedł.

Paul podniósł się i wyjaśnił, że jedzie teraz do domu, bo dzisiaj wieczorem oczekują goście. Jeśli to konieczne, zajrzy jeszcze później do fabryki.

– Zajmę się tą sprawą, nawet jeśli ci się to nie podoba. Choćby dlatego, że Marie ma prawo wiedzieć, kim był jej ojciec.

Melzer znów walczył z narastającym gniewem, nie udało mu się jednak powstrzymać. Pewne zdania musiały zostać wypowiedziane, inaczej by się udusił.

– Nie będę tolerował tego, że wtykasz nos w sprawy, które ciebie nie dotyczą! Zrozumiałeś? Wiem, jak temu zapobiec!

Drzwi huknęły, usłyszał szybkie kroki Paula w sekretariacie, a potem trzask drzwi prowadzących na schody. Chełpił się, ale potem i tak uciekł, jego syn.

Chciał być dorosły i dałby się złapać tak przebiegłej osobie jak Marie. W końcu zaszłaby z nim w ciążę, ta cwana wiedźma. Ale to może reguła, bo nie była w tym względzie pierwsza. Wstał, żeby zejść na podwórze. Zrobiło się ciemno i w blasku elektrycznego światła widział, jak syn podchodzi do bramy. Poczł nagłe nudności i znów musiał usiąść. Może nie powinien pić tak duzo koniaku, żołądek sprawiał mu ostatnio problemy. Nic dziwnego. Najpierw Kitty, która zdradziła rodzinę i uciekła z Francuzem. Potem Elisabeth, która chciała poślubić tego niestałego fircyka ze szlacheckim tytułem. A teraz Paul, syn, w którym pokładał tyle nadziei. Lepiej by chyba było nie wydawać na świat żadnych dzieci, bo przynoszą rodzicom jedynie kłopoty. Usłyszał pukanie do drzwi. Jeden z majstrów przyszedł zameldować, że są problemy w przędzalni.

– Dwie maszyny padły, panie dyrektorze. Samochód też nie chce ruszyć, coś się zablokowało.

– Idę...

Poczł się tak ciężki, jakby był zrobiony z ołowiu, nie miał siły, żeby wstać z krzesła, kręciło mu się w głowie. Na schodach trzymał się kurczowo poręczy, żeby nie upaść. Na dole, na świeżym powietrzu, zrobi mu się lepiej. Przekłęty alkohol, nie znosił go tak dobrze jak kiedyś. Na środku podwórka ból w klatce piersiowej złapał go z ogromną siłą. Zgiął się wpół, zaczął się dusić i wymiotować. Wtedy poczul, że ogarnia go ciemność i że ze wzrastającą prędkością pada w nieokreśloną otchłań.

– Panie dyrektorze! – usłyszał jeszcze głos, który wydał mu się znajomy. – Na miłość boską! Panie dyrektorze Melzer! Pomocy!

To był głos Maxa Huntzingerera.

d="w_cieniu_tajemnic-56.html" xml:lang="pl-PL" aid="1KEEU1">

Jesteś zbyt miła – powiedziała Else do Marie, gdy szły przez korytarz, żeby odebrać kapelusze i płaszcze od gości. – To nie należy do twoich obowiązków.

– Cóż, jeśli ona ciągle musi swoje dziecko...

– Ona zawsze znajduje jakiś powód – syknęła Else ze złością. – Raz usypia dziecko, innym razem je przewija, śpiewa mu do snu albo bołą ją sutki.

– Pssst, Else. Na górze są już przecież Bräuerowie i porucznik.

Obie dygnęły uprzejmie, pośpiesznie odbierając ubrania. Był ciepły majowy wieczór, panie nosiły jedynie lekkie prochowce, z wykładanymi klapami, natomiast panowie mieli na sobie marynarki i słomkowe kapelusze. Edgar Bräuer i jego żona Gertrude stali jeszcze z Alicią w korytarzu i z ożywieniem komentowali rodzinną kłótnię w domu Wagnerów w Bayreuth. Isolde Wagner z powodu swojego brata Siegfrieda trafiła przed sąd. Chciał udowodnić, że jest jedynie jego przyrodnią siostrą, bo jej ojcem nie był Richard Wagner, ale poprzedni mąż matki, z którym się rozwiódła, Hans von Bülow.

Alfons Bräuer kazał na siebie czekać, podobnie jak Kitty, a w tym czasie pojawiła się Elisabeth ze swoimi przyszłymi teściami. Marie podbiegła, żeby odebrać kapelusz Christiana von Hagemanna, a Else zabrała prochowiec i jedwabny szal Riccardy von Hagemann.

– Marie – powiedział ktoś, ukryty w cieniu wnęki, w której znajdowała się garderoba. – Co ty tutaj robisz?

Wzięła się w garść, starając się uspokoić bijące szybko serce.

– Wykonuję swoją pracę, panie Melzer

– To nie jest twoja praca – powiedział zdenerwowany Paul. – Gdzie jest Auguste? Nie chcę, żebyś zajmowała się ubraniami naszych gości!

Nie odpowiedziała i minęła go, niosąc płaszcz i jedwabny szal, odebrany od Else. Nie, tak być nie może. Co on sobie myśli? Nie wiedział, jak bardzo wyprowadza ją z równowagi, gdy mówi takie rzeczy? Umierała już z bólu

i tęsknoty, gdy tylko koło niej przechodził.

– Jaka szkoda, że twój ojciec nie znalazł czasu, żeby do nas dołączyć – powiedziała Gertrude Bräuer do Paula. – W następny czwartek spotykamy się u nas, drogi Paulu. Cieszymy się bardzo, bo nasza Tilly już przyjedzie z pensji dla młodych dam.

– Wspaniale – powiedział Paul z delikatnym uśmiechem. – Bardzo się cieszę, że spotkam Tilly, na pewno się zmieniła.

– Na Boga, tak, ta dziewczyna stała się już młodą kobietą.

Podczas gdy pani Bräuer wyśpiewywała hymn pochwalny na cześć córki, Paul skierował wzrok na Marie. Jego spojrzenie było wyzywające. Naprawdę chcesz, żebym uczynił z tej panienki swoją panią? – zdawał się mówić. Cóż, jeśli dalej będziesz się tak zachowywać, będę musiał to zrobić. Marie spuściła oczy i uciekła.

Na górze na schodach stała Kitty z Alfonsem Bräuerem, wydawało się, że nie mieli zamiaru się dzisiaj rozdzielać, uparcie trzymali się z daleka od reszty. Jak dobrze się rozumieli, Marie jeszcze nigdy nie widziała, żeby Kitty rozmawiała z jakimkolwiek mężczyzną w tak poważny i rozsądny sposób. Nie, to nie było zakochanie, przynajmniej nie ze strony Kitty, ale w pobliżu Alfonsa czuła się bezpiecznie. Czy nie był to jakiś rodzaj miłości? Czy taka miłość nie była szlachetniejsza i cenniejsza niż fizyczne pożądanie? Ta zdradliwa siła wzajemnego przyciągania, która przynosiła jedynie zmartwienie? To nie był dobry moment na łzy, ale korytarz rozmył się przed oczami Marie. Oczywiście, że poślubi inną i to zapewne wkrótce. Czego ona jeszcze tutaj chciała? Gdzie się podziało jej poczucie własnej wartości? Dlaczego sama sobie sprawiała ten ból?

Rozległ się dzwonek i Else pobiegła otworzyć drzwi wejściowe.

– Cóż, będziemy szczęśliwi, jeśli uda nam się chociaż przywitać z pani małżonkiem – powiedziała Riccarda von Hagemann do Alicii.

Myliła się jednak. Na zewnątrz stał robotnik z fabryki, gniótł czapkę w ręce i był głęboko wstrząśnięty faktem, że widzi tak wiele ważnych osób.

– Pan... pan dyrektor – wyjąkał i nagle tak bardzo zaczęło mu brakować tchu, że nie mógł wymówić słowa.

Klaus von Hagemann, który niecierpliwie czekał tuż przy drzwiach, zaczął go pośpieszać.

– Weź się w garść, chłopcze! Słowo po słowie. Od początku.

– Tak jest – powiedział robotnik, kłaniając się nisko, aż wypadła mu z ręki

czapka.

Pochylił się niezręcznie, żeby podnieść nakrycie głowy.

– Co się dzieje z moim mężem? – zapytała Alicia, która podążyła do drzwi pełna złych przeczuć. – Czy coś mu się stało? No, mówże wreszcie!

– Dyrektor Mel... Melzer... jest w szpitalu.

– Boże drogi!

Wciągnięto chłopaka do holu, otoczono ze wszystkich stron i zasypano pytaniami. Biedak wpadł w panikę, nie wiedząc, komu powinien odpowiadać i jakie właściwie były pytania, w końcu jednak udało się wyciągnąć z niego tę informację, którą miał do przekazania. Max Huntzinger znalazł dyrektora Melzera na środku fabrycznego podwórza, leżącego na ziemi, w kałuży. Gdy zaczął krzyczeć, kilku pracowników wybiegło z przędzalni, wśród nich stary Huntzinger. Zabrano dyrektora do szpitala. Dyrektor był przytomny, ale bardzo go bolało i dlatego Max Huntzinger oraz jego ojciec wnieśli pana Melzera do jego samochodu, a jeden z robotników, Karl Suttner, który potrafił kierować, zawiózł go do szpitala.

– Paul – powiedziała Alicia, zaskakująco opanowanym głosem. – Zawieź mnie tam natychmiast.

– Oczywiście, mam! Else, nasze płaszcze!

Alicia zawołała Marie. Powinna szybko być gotowa, będzie im towarzyszyć. Gwałtowne emocje udzieliły się wszystkim. Elisabeth chciała razem z Klausem von Hagemannem jechać do szpitala samochodem jego rodziców, Kitty upierała się, żeby zabrać Alfonsa Bräuera. Edgar Bräuer zadzwonił do swojego kamerdynera, miał przysłać dwa samochody, żeby porozwoziły gości do domów.

– Czy on nie żyje? – słyhać było głos Auguste przy wejściu dla służby.

– Zamknij się! – syknęła kucharka.

– Święta Panienko, bądź z nami – jęknęła gospodyni. – Ratuj naszego łaskawego pana.

Więcej Marie nie słyszała. Przybiegła do Alicii bez kapelusza i płaszcza, pomogła jej usiąść z tyłu, a sama zajęła miejsce obok Paula, który prowadził. Nie patrzył na nią, w milczeniu i z kamienną twarzą wpatrywał się w światła reflektorów. Alicia Melzer również nie powiedziała ani słowa, gdy z cichym turkotem samochód jechał nocnymi ulicami w stronę centrum miasta.

Długi budynek szpitala wyglądał w ciemności jak twierdza, kilka rzędów okien było jasno oświetlonych. Paul zatrzymał się tuż przed wejściem, czekał,

aby wysiadły matka i Marie, i odjechał kawałek dalej, żeby zrobić miejsce dla samochodu Alfonsa. Kitty drżała na całym ciele i Marie, która miała wspierać Alicję Melzer, podbiegła szybko do panienki i położyła jej ręce na ramionach.

– To moja wina – łkała Kitty. – Tak bardzo go zdenerwowałam, że teraz jest chory. Ach, Marie!

– Nie, Kitty – odpowiedziała Marie stanowczo. – Takie nieszczęście nie jest niczyją winą. Tak się zdarza i my wszyscy możemy się jedynie starać mu pomóc.

Kitty przytaknęła i przypomniała sobie, że Alfons powiedział dokładnie to samo. Musiała to więc być prawda. Chwilę później stali wszyscy przed wejściem do szpitala, a Paul prosił siostrę, która pełniła nocny dyżur na oddziale dla katolików, żeby pomogła im znaleźć Johanna Melzera. W tym czasie Alfons dołączył do Kitty i podtrzymywał ją ramieniem. Gdy jednak Elisabeth pojawiła się w korytarzu razem z porucznikiem von Hagemannem, Kitty znów zaczęła jęczeć.

– Teraz masz za swoje! – syknęła do niej Elisabeth. – Przekłęta egoistka! Wiesz, jak on strasznie cierpiał, gdy uciekał ze swoim kochankiem? Och, jeśli tata teraz z twojego powodu...

– Elisabeth! – skarciła córkę Alicia.

Elisabeth ugryzła się w język i nie powiedziała nic więcej, uparcie milcząc, a Kitty szlochała, wtulając się w Alfonsa.

– Bardzo proszę, moi państwo! Znajdujecie się w szpitalu! – przywołała ich do porządku siostra z wielkim kapturem narzuconym na głowę. – Pan Melzer został przywieziony dopiero godzinę temu, musicie trochę poczekać!

Alicia nie dała się odprawić. Była panią Melzer i musiała natychmiast zobaczyć męża. Nawet jeśli nie mogła być obecna podczas badania, chciała być przynajmniej w pobliżu. Pobożna siostra okazała zrozumienie, ale mogła zrobić wyjątek wyłącznie dla żony pacjenta. Pani Melzer powinna poczekać na korytarzu, aż zostanie wywołana przez siostrę albo lekarza. Pozostali państwo muszą niestety zostać na dole i zachować cierpliwość. W korytarzu przy wejściu było kilka ławek, ale tylko Kitty i Elisabeth usiadły, panowie stali, a Marie była zbyt zdenerwowana, żeby usiąść. Nie miała zbyt wiele współczucia dla Johanna Melzera, bardziej było jej szkoda Alicji Melzer i Kitty, przede wszystkim jednak martwiła się o Paula. Nie stał z innymi, którzy cicho ze sobą rozmawiali, tylko chodził po pomieszczeniu jak uwięziony w klatce tygrys.

Wydawało się, że czas stoi w miejscu. Kitty marzła i w końcu zgodziła się, żeby Alfons narzucił jej na ramiona swoją marynarkę. Porucznik próbował coś jeszcze wynegocjować, za każdym razem ponosił jednak porażkę, zderzając się ze stanowczym „nie” siostry portierki. Czekać, uzbroić się w cierpliwość, walczyć z przerażeniem, które tworzyło w głowie rozmaite tragiczne wizje. Elisabeth siedziała na ławce ze zwieszoną głową. Płakała? Marie nie była pewna, ale wydawało się, że łzy spływają jej na kolana. Zegar nad bramą wjazdową pokazywał wpół do pierwszej, gdy wreszcie pojawiła się młoda pielęgniarka, która szeptała o czymś zawzięcie z siostrą z portierni.

– Proszę, pójďte za mną, moi państwo – powiedziała do czekających. – Pan Melzer dostał środki przeciwbólowe i zasnął. Dlatego proszę, żebyście nie rozmawiali i w żaden sposób nie zakłócali mu snu.

Musieli pójść na drugie piętro, panowie ruszyli schodami, a Kitty, Elisabeth, Marie i siostra pojechały windą. Jazda w lodowatej kabinie i późna nocna godzina robiły nierealne wrażenie, również długi szpitalny korytarz, skąpo oświetlony, wywoływał w Marie wspomnienie dawnego koszmaru. Były zadowolone, bo jak tylko otworzyły drzwi windy, pojawili się przed nimi trzej mężczyźni.

– Tak bardzo się śpieszyliśmy, a panie i tak są pierwsze – próbował żartować Alfons.

Kitty uśmiechnęła się delikatnie i chwyciła się jego ramienia, żeby się na nim oprzeć. Wzrok, którym Alfons ją przy tym obdarzył, był tak pełen czułości, że Marie musiała się szybko odwrócić, żeby na nich nie patrzeć.

– Poczekajcie państwo tutaj, proszę!

Posłusznie zatrzymali się przed drzwiami, a siostra weszła do sali. Słysząc było, że cicho z kimś rozmawia. Czyżby z Alicją Melzer? Potem otworzyła wreszcie drzwi i mogli zobaczyć pacjenta. Johann Melzer leżał wyprostowany na plecach, ręce miał ułożone wzdłuż tułowia, od klatki piersiowej w dół był przykryty białym prześcieradłem. Jego twarz była dziwnie szara, widać było, że nieznośny ból pozostawił na nim ślad. Jego pierś opadała i wznosiła się w regularnych oddechach, ale wydawało się, że sen nie przynosi mu odpoczynku, tylko koszmarnie wizje. Obok niego, na drewnianym stołeczku, siedziała Alicia. Była opanowana.

– Wygląda tak obco – wyszeptała wstrząśnięta Kitty.

Elisabeth patrzyła w milczeniu na chorego, a Marie zastanawiała się, dlaczego jej narzeczony nie próbuje jej wspierać. Porucznik Klaus von

Hagemann stał oparty o ścianę i patrzył na swojego przyszłego teścia z wyraźnym obrzydzeniem. Jakie to dziwne, pomyślała Marie. Jakby się bał chorych ludzi. A jest przecież żołnierzem i widuje zabitych. Poczula lekkie dotknięcie i drgnęła, gdy zobaczyła, że Paul położył rękę na jej ramieniu. Przez krótką chwilę czuła jego bliskość, ciepły oddech na szyi, pragnienie bycia pocieszonym. Nie odważyła się jednak odwzajemnić dotyku i ta chwila minęła. Siostra wyjaśniła, że wszyscy muszą już opuścić salę szpitalną, bo chory potrzebuje spokoju. Pierwszy zastosował się do polecenia von Hagemann, reszta poszła za nim, aż w sali zostały tylko Kitty i Elisabeth. Siostry, które jeszcze przed chwilą się kłóciły, teraz się objęły, szlochając, i Elisabeth prosiła Kitty o wybaczenie. Alicia jeszcze na moment nachyliła się nad łóżkiem męża i wyszła na korytarz. Lekarz powiedział, że to był atak serca, tak zwany zawał, w czasie którego skrzep zatyka tętnice wieńcowe i zatrzymuje dopływ krwi do serca. Zgodnie z najnowszymi ustaleniami, po takim zawale należy przez co najmniej cztery tygodnie leżeć w łóżku w całkowitym spokoju.

– Zostanę z nim dzisiaj przez całą noc – powiedziała. – Rano zobaczymy, co dalej. Jeśli Bóg sprawi, że nie będzie kolejnego zawału, może będziemy mogli za kilka dni zabrać go do domu.

Wszyscy się zgodzili, że nie jest to dobry pomysł, bo w domu na pewno nie uda się zatrzymać Johanna Melzera w łóżku. Nikt tego nie powiedział głośno, tylko Elisabeth wspomniała, że podziwia mamę, że jest tak opanowana. Faktycznie, Alicia mocno trzymała się w ryzach, była jak generał, który rozdziela zadania.

– Elisabeth, gdybym rano nie wróciła do domu, razem z panną Schmalzler pokierujesz pracą.

– Tak, mamó.

– Kitty, ty zajmiesz się gośćmi, którzy nas odwiedzają w tym czasie, i odwołasz wizyty zaplanowane na nadchodzące dni.

– Tak, mamó.

– Paul, ciebie proszę, żebyś na czas choroby ojca przejął kierowanie fabryką.

– Oczywiście, mamó.

Alicia rozejrzała się dookoła i starała się uśmiechnąć.

– Do jutra rana, moi kochani. To cudownie, że gdy dopadnie nas tak wielkie cierpienie, można liczyć na własne dzieci. Ojciec będzie z was dumny, gdy

wróci do zdrowia.

Córki objęły ją na pożegnanie i Kitty powiedziała, że jeśli mama trzyma wartość przy tacie, to oni mogą spokojnie pójść spać. Elisabeth nic nie powiedziała, a von Hagemann raczył jej teraz podać ramię, gdy szli korytarzem do windy.

– Liso, zobaczysz, niebawem znów stanie na nogi.

– Z pewnością.

Pary rozeszły się do samochodów i było oczywiste, że Marie wróci do willi z Paulem. Paul włączył silnik i pojechał spokojnie za dwoma samochodami.

– Cóż, tak więc jestem dyrektorem fabryki – powiedział z goryczą. – Kto by pomyślał, że tak szybko znajdę się na tym stanowisku.

– Tylko na krótki czas. Pański ojciec niebawem wróci do zdrowia.

Milczał. Minął bramę Jakoba i jechał prosto w kierunku willi. Lampy łukowe o tej późnej porze były już zgaszone, ale po prawej stronie było widać światła w halach fabrycznych, w których pracowano bez przerwy całą dobę. Gdy wjechali na jeden z małych mostów, woda błyszczała jak potłuczone szkło. Marie patrzyła na tylne światła samochodu jadącego przed nimi, którym kierował Alfons. W ciemności była w stanie rozpoznać sylwetkę Kitty. Siedziała obok niego, a gesty, które wykonywała, sugerowały, że z ożywieniem z nim rozmawia.

– Jest mi strasznie przykro z tego powodu – powiedziała Marie i nagle pojęła, że zdanie to zabrzmiało nijako.

Na jego twarzy ukazał się gorzki uśmiech.

– Dziękuję za współczucie – powiedział ironicznie. – To budujące, gdy się wie, że pracownicy dzielą z nami nasze radości i smutki.

Te słowa ją zraniły. W milczeniu przejechali koło klombu i Paul zatrzymał samochód przed wejściem dla służby.

– Dobranoc, panie Melzer.

Nie usłyszała, co odpowiedział, bo nacisnął gaz i z impetem wjechał do garażu.

d="w_cieniu_tajemnic-57.html" xml:lang="pl-PL"
aid="1LCVG1">

49

Zamknij za sobą drzwi, Jordan. I przestań grzechotać tymi wieszakami na ubrania.

Maria Jordan patrzyła z nienawiścią na ubraną na biało pielęgniarkę, która od dobrego tygodnia rządziła w willi. Jakże chętnie choć raz powiedziała by tej wiedźmie, co o tym myśli, ale niestety nie było to możliwe.

– Oczywiście, siostró Otilie – odpowiedziała z wymuszoną uprzejmością.

Dyrektor Melzer po trzech dniach pobytu w szpitalu z wielką ostrożnością został przewieziony szpitalnym ambulansem do willi, a tam na noszach przeniesiono go do jego sypialni na drugim piętrze. Według wskazań lekarza, przez co najmniej dwa tygodnie nie powinien opuszczać łóżka i starać się nie poruszać. Co oznaczało, że trzeba go karmić i myć, załatwiać jego potrzeby, a napoje podawać mu przez pojnik. Żadna ze służących nie nadawała się do tego typu intymnej opieki, a Humbert wstydliwie wyznał, że jeszcze nigdy nie widział nagiego mężczyzny. Alicia zatrudniła więc przez agencję pielęgniarkę, Otilie Süssmut. Miała około czterdziestu lat, włosy w kolorze lnu związywała ciasno pod białym czepkiem, a na niebieskiej sukience nosiła zawsze śnieżnobiały fartuch. Oczekiwała, że gdy będzie się opiekować panem Melzerem, nie tylko służba, ale również państwo będą stosować się do jej poleceń, była w końcu tą, od której wiedzy i doświadczenia zależało życie chorego. Chodziła z podniesioną wysoko głową i nosiła przed sobą duży biust mocno ściśnięty gorsetem. Maria Jordan wyjątkowo nie była jedyną osobą, która jej nie znosiła. Cały personel zgadzał się co do tego, że siostra Otilie to zesłana na nich plaga, ale przez pewien czas niestety musieli ją tolerować.

– Jak ona nami dyryguje! – warknęła kucharka. – Można by pomyśleć, że uważa się za panią tej posiadłości. Gdyby nie zdrowie biednego pana, najchętniej wylałabym jej kiedyś kubek gorącego rumianku na boscie stopy!

Hanna została spoliczkowana przez Otilie, bo gdy rozpałała w piecu w pokoju chorego, wypadł jej z rąk kawałek drewna. A łaskawa pani jeszcze

wspierała tę beczelną babę! Hanna zacisnęła zęby i dokończyła pracę, ale zaraz potem pobiegła do Marie i lamentowała, że już nigdy więcej nie pójdzie do pokoju chorego pana. Nawet Eleonore Schmalzler przyznała, że pielęgniarka nie jest sympatyczna.

– Żeby tylko stan chorego poprawił się choć trochę – mówiła z troską. – Ale on jest coraz bardziej apatyczny.

– Nic dziwnego – powiedziała kucharka. – Kasza manna i kwiat rumianku jeszcze nigdy nikogo nie uzdrowiły. Przyzwoity kotlet cielęcy z kapustą i sałatką ziemniaczaną zaraz postawiłyby go na nogi.

– To musi być straszne, że ta kobieta dotyka go tymi swoimi zimnymi palcami – wtrącił się Humbert.

Wzdrygnął się, bo właśnie w tej chwili dziecko Auguste zaczęło płakać. Auguste i Else trzepały dywany na podwórzu, Marie wyjęła więc małą z jej drewnianego łóżeczka i zaczęła ją nosić po kuchni, żeby przestała krzyczeć.

– Kto tu jest takim małym krzykaczem? – mówiła do niej czule. – Twoja mama zaraz wróci.

– Bądź cicho, ty wyjcu, bo wredna Otilie zaraz przyjdzie! – Humbert uśmiechnął się i do złudzenia zaczął naśladować ton Otilie: – Każ dziecku zamilknąć, chory potrzebuje absolutnego spokoju!

Nawet Eleonore Schmalzler się zaśmiała, chłopak miał wyjątkowy talent. Zaraz potem jednak się opanowała i upomniała Humberta, że nie powinien zachowywać się tak, jakby grał w wodewilu.

– Ze względu na nieszczęście, które spotkało tę rodzinę, takie zachowanie jest bardziej niż w złym guście.

– Przepraszam, panno Schmalzler.

Wszyscy w milczeniu wrócili do swoich zajęć. Marie zaniósła małą Elisabeth do Auguste. Młoda matka usiadła razem z dzieckiem na trawie, dała mu pierś i patrzyła z ulgą, jak Ese i Marie trzepią dywany. Nie minęło pięć minut, gdy otworzyło się okno na drugim piętrze. Łaskawa pani wychyliła się, żeby zobaczyć, co się dzieje na dole.

– Marie! Else! Idźcie z tymi dywanami na drugą stronę, trzepanie powoduje za dużo hałasu!

Z westchnieniem Marie opuściła trzepaczkę i otarła pot z czoła. Wydawało się, że również łaskawa pani działała pod presją nowej zarządzającej willą. Z tego powodu musiały przenieść ciężkie dywany na północną stronę i zaczynać od nowa.

– Zaraz zabroni nam jeść, bo zbyt głośno mlaskamy – mruknęła Auguste. – Ale ta głupia krowa obżera się przy stole dla państwa. Otilie, Otilie, ona jest jak lilia i już należy do rodziny! No więc smacznego!

– Niech tylko łaskawy pan szybko wyzdrowieje! – westchnęła Else. – To wszystko jest takie niepokojące, Marie. W nocy nie mogę spać, tak się martwię.

Marie, milcząc, zaczęła zwijać jeden z dywanów, a Else doskoczyła, żeby jej pomóc. Razem niosły ciężki dywan z pokoju dla panów na mały trawnik po północnej stronie willi i zarzuciły go na trzepak. Gdy się odwróciły, zobaczyły, że Auguste siedzi wciąż na trawie i kołysze dziecko w ramionach. Mała była najedzona i spała zadowolona.

– Muszę ją jeszcze szybko przewinąć – powiedziała i pobiegła z nią do willi.

– Na pewno przyjdzie dopiero wtedy, gdy przeniesiemy wszystkie dywany za dom – syknęła Else. – Dlaczego się na to godzisz, Marie?

Marie stwierdziła, że sprawia jej przyjemność zwijanie i trzepanie dywanów, bo inaczej całe dni siedzi przy maszynie do szycia. Bolą ją już od tego plecy, ale panienska Elisabeth wciąż ma jakieś nowe życzenia.

– Myślisz, że naprawdę będziemy w czerwcu świętować jej zaręczyny? – zapytała Else zatroskana.

– A dlaczego nie?

Marie zabrała się do trzepania dywanu i zniknęła w tumanach kurzu.

Na górze, na drugim piętrze, Alicia siedziała przy łóżku męża i czytała mu „Allgemeinen Zeitung”. Chory leżał bez ruchu na plecach, z zamkniętymi oczami, jego twarz była blada, a policzki zapadnięte. Nie miał już ataków bólu, ale chęć do życia nie chciała powrócić. Johann Melzer, który od ponad trzydziestu lat żył wyłącznie dla swojej fabryki, który spędzał tam szesnaście godzin dziennie i więcej, nie wykazywał żadnego zainteresowania przędzą, materiałami czy wzorami nadruków. Delikatne próby Paula poinformowania go o tym, że naprawiono dwie maszyny, odniosły tylko taki skutek, że chory przewrócił się z jękiem na bok. Siostra Otilie natychmiast interweniowała, wyrzuciła młodego człowieka z pokoju i podała swojemu podopiecznemu rumianek z określoną dawką waleriany, żeby się uspokoił. Wiadomości z gazety, które czytała mu Alicia, też podlegały ścisłej kontroli. A gdy wykonał sam najmniejszy ruch: podniósł rękę albo – co często się zdarzało – drżały mu zamknięte powieki, siostra Otilie prosiła łaskawą panią, oczywiście

z zachowaniem wszelkich uprzejmości, żeby zakończyła lekturę gazety. Alicia była zresztą jedyną osobą, z którą Otilie obchodziła się jak z jajkiem, bo tylko ona mogła ją zwolnić i zastąpić inną pielęgniarką.

Złodziej, który w nocy z 21 na 22 sierpnia 1911 roku ukradł Monę Lizę z Luwru, został uznany przez ekspertów za człowieka słabego psychicznie, ale świadomego swoich czynów. Prokurator domaga się więc od Vincenzo Peruggiego grzywny...

Alicia przestała czytać i przyglądała się nieruchomemu mężowi. Czy on w ogóle słyszał, że mu czyta? Czasami bała się, że może nagle umrzeć, przejść do innego świata we śnie, nie odzyskując przytomności i bez pożegnania. Najgorsze byłoby, gdyby bez pożegnania... Wiosną zeszłego roku świętowali uroczystie rocznicę ślubu, od dwudziestu sześciu lat byli ze sobą. Przeżyli wiele szczęśliwych chwil, ale doświadczyli też licznych kłótni i etapów, w których nie żyli razem, tylko egzystowali obok siebie. Alicia pragnęła powiedzieć Johannowi, jak bardzo go kocha i jak bardzo żałuje każdego nieporozumienia. Wstrzymywała się jednak przed czynieniem takich wyznań, bo mógł pomyśleć, że robi to, bo liczy się z jego rychłą śmiercią. W dodatku uniemożliwiała jej to ciągła i nieco już irytująca obecność pielęgniarki. Teraz też siostra Otilie podniosła się, żeby zmierzyć puls choremu. Sumiennie mierzyła go, używając srebrnego zegarka, który wisiał na jej szyi. Gdy skończyła badanie, uniosła do góry brwi w zamyśleniu i skinęła zachęcająco głową w stronę Alicii. Mogła mu jeszcze trochę poczytać.

Rosja wezwała trzy roczniki rezerwistów na sześciotygodniowe szkolenie jesienią. Austro-węgierska monarchia bardzo niepokoi się tym faktem. Wezwanie do obowiązkowych ćwiczeń oznacza całkowitą mobilizację carskiej armii, która powiększy się teraz o prawie dwa miliony mężczyzn.

Drzwi powoli się uchyliły i pojawiła się w nich blada twarz Kitty.

– Jak idzie? – wyszeptała.

– On śpi, Kitty. Bądź, proszę, cicho.

Zaraz za nią przyszła Elisabeth, obie weszły na palcach do pokoju, żeby nie robić hałasu.

– Dlaczego on cały czas śpi? – westchnęła Kitty. – Kilka dni temu można było jeszcze z nim rozmawiać, a teraz nie mówi nawet słowa.

– Dostaje walerianę, żeby leżał spokojnie i odzyskiwał zdrowie.

Kitty zmarszczyła brwi i zauważyła, że na pewno lepiej byłoby powiedzieć mu coś zabawnego, żeby się uśmiechnął. Nikt nie będzie zdrowy, jeśli tylko

będzie leżał nieruchomo na plecach i słuchał nudnych artykułów z gazety.

– Tato?

Podeszła do łóżka i nachyliła się nad nim. Jego oddech był ciężki, przypominał wręcz dyszenie. Delikatnie pogłaskała go po czole, a jego powieki zadrgały.

– Tato, postanowiłam, że odbędę szkolenie z pielęgniarstwa. Nawet jeśli z pewnością będę tam najgorszą uczennicą. Wiem, że to ja wywołałam to wszystko.

Elisabeth również nachyliła się nad chorym, upewniając się, że nie zostanie odsunięta przez Kitty.

– Chciałbyś, żebym zagrała ci coś na pianinie, tato? Może Mozarta? Albo arię z jakiejś opery?

Chory zakaszlał i otworzył oczy. Jego wzrok był zupełnie inny niż zwykle. Ojciec zawsze z uwagą obserwował otoczenie, często po to, by rygorystycznie je kontrolować. Teraz jego źrenice wędrowały w różne strony, jakby uciekał przed czymś, co wywoływało w nim strach.

– Tato? – zapytała niepewnie Elisabeth. – Tato, jesteśmy tutaj. Kitty i Lisa, twoje córki.

Poruszył wargami, wymruczał coś, czego nie dało się zrozumieć.

– Muszę teraz panie prosić o pozostawienie chorego w spokoju – powiedziała siostra Otilie. – On pod żadnym pozorem nie może się denerwować.

Elisabeth posłuchała pielęgniarki, ale Kitty nachyliła się jeszcze niżej nad ojcem i starała się zrozumieć, co mówi. Brzmiało to trochę jak Marie czy Maria. Jakie to dziwne. Nie wzywał chyba Matki Boskiej? Czy było z nim aż tak źle? A może miał na myśli po prostu Marie, jej zaufaną, drogą przyjaciółkę Marie?

– Słyszałaś, panienko Katharino? Jeśli nie będziecie panie słuchać moich poleceń, niczego nie mogę zagwarantować!

Kitty się nie śpieszyła. Wzięła dłoń ojca i zaczęła ją głaskać. Po tym, jak szepnęła mu do ucha, że wkrótce wróci, wyprostowała się i natknęła się od razu na złowrogie spojrzenie pielęgniarki.

– Musiałam wyprostować swój garb – powiedziała Kitty z czarującym uśmiechem.

Potem opuściła pokój chorego, idąc za Elisabeth, i znów Alicia musiała łagodzić sytuację.

– Pani Melzer, nie jestem przyzwyczajona do takiego traktowania! – słychać było głos siostry Ottilie, która bez zastanowienia wychyliła się przez drzwi na korytarz.

– Żyjemy wszyscy w ogromnym napięciu, droga siostrze. Niech siostra tylko popatrzy na moje córki.

Kitty i Elisabeth spojrzały na siebie i zaczęły się śmiać. Dobrze było mimo tych wszystkich trosk, wzajemnych oskarżeń i bezsennych nocy wreszcie się roześmiać. Śmiały się z całego serca, oparły się o ścianę i zatkały rękami usta, żeby nie wzbudzić gniewu Alicii.

– Jaka z niej herod-baba!

– Na pewno ma włosy na piersiach!

– I codziennie goli brodę!

Gdy Auguste pojawiła się na schodach dla służby z tacą, obie się opanowały. Biedny tata, na tacce, którą niosła Auguste z najwyższą ostrożnością, znajdował się czajniczek i mały talerz sucharków. Cały korytarz wypełnił zapach świeżo zaparzonego rumianku i Kitty, która go nienawidziła, pośpiesznie poszła do swojego pokoju.

– Masz chwilę? – zapytała Elisabeth.

To było dość niezwykle. Zazwyczaj starała się schodzić siostrze z drogi, bo to ona zajmowała się domem, żeby odciążyć mamę, a Kitty znów malowała.

– Teraz? – odpowiedziała Kitty podejrzliwie.

Czy Elisabeth chciała znów ją oskarżać? Odkąd siostra codziennie konferowała z gospodynią, zaczęła dokładnie kontrolować wszystkie pomieszczenia gospodarcze, piwnicę z winami, a nawet pralnię. A Kitty wzięła z pralni kilka chusteczek, żeby je wykorzystać w swoim kolażu.

– Ja... ja chciałabym ci zadać kilka pytań.

– No dobrze – zgodziła się Kitty niechętnie. – Ale tylko kilka minut.

Z ulgą zorientowała się, że Elisabeth zupełnie nie interesują chusteczki, które Kitty pocięła na kawałki, pomalowała i przylepiła na płótno. Zamiast tego usiadła na stołku przed toaletką i poprawiła jeden z loków.

– No to strzelaj, siostrzyczko! – powiedziała Kitty, wciągając mocno poplamiony farbami fartuch i zerkając ukradkiem na swoją nową pracę. Wyglądała obiecująco – podarty czerwony materiał dobrze współgrał z jasnym tłem.

– Chodzi o...

Elisabeth poobracała przez chwilę w ręce flakonik z perfumami.

– Tak?

Kitty była teraz całkowicie pochłonięta pracą i prawie nie zauważała Elisabeth. Lisa musiała wziąć głęboki oddech i potem wreszcie znalazła w sobie niezbędną odwagę.

– Chodzi o moje zaręczyny.

– O porucznika? – zapytała Kitty rozkojarzona. – Bo jeśli nie, to o kogo?

Kitty popchnęła sztalugi nieco bliżej do okna i zaczęła malować zielone listki. I trawę, mniej więcej na środku płótna, oraz pierzaste paprocie. Może powinna też namalować ptaki?

– To co z nim?

– Nic – odpowiedziała Elisabeth. – Zupełnie nic. Zachowuje się poprawnie, przyjaźnie, z szacunkiem.

Kitty malowała właśnie spiczaste uszy kota i patrzyła z przyjemnością na swój obraz.

– To co w tym złego? Byłoby lepiej, gdyby ci składał namiętne propozycje? Zasypywał cię gorącymi pocałunkami? Chciał cię zaciągnąć do sypialni?

– Oczywiście, że nie – krzyknęła Elisabeth z oburzeniem.

– Nie? – zapytała Kitty z ironicznym uśmiechem.

– Przynajmniej nie w lekceważący sposób, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Ale mógłby chociaż od czasu do czasu szukać mojej bliskości. Myślę o fizycznej bliskości. Nie namiętnie, ale... ale przynajmniej czule.

Kitty namalowała kilka płatków, ale nie wkładała już w to serca. Biedna Elisabeth. Co mogła jej powiedzieć?

– Wiesz co, Liso, są mężczyźni, którzy muszą się bardzo mocno kontrolować, żeby całkowicie nie ulec namiętności. Dlatego wydają się chłodni i zdystansowani, choć tak naprawdę w środku wręcz płoną. Nawet delikatny dotyk może sprawić, że się zapomną i rzucają się na ciebie.

Elisabeth zmarszczyła brwi, nie brzmiało to zbyt wiarygodnie. Klaus von Hagemann już dwukrotnie położył jej dłoń na ramieniu i na pewno nie stracił panowania nad sobą. Czasami też zaglądał w jej dekolt, a mimo to trzymał emocje na wodzy.

– Szanuje cię więc, Liso. Jesteś jego narzeczoną, kobietą, którą poślubi. Wyjdiesz za niego jako dziewica i będziesz miała prawdziwą noc poślubną.

Zabrzmiało to niemalże tęsknie. Ona sama nie będzie miała prawdziwej nocy poślubnej, to jest już za nią. Postawiła na miłość i ją utraciła. Na zawsze utraciła.

– Wiesz, Kitty – zaczęła Elisabeth ostrożnie – boję się, że wszystko robię źle. Mówią nam wprawdzie ciągle, że powinniśmy się zachowywać przyzwoicie i być uległe, nie sprzeciwiać się mężczyźnie, ufać jego decyzjom i co tam jeszcze. Ale o naprawdę ważnych rzeczach nie uczą nas niczego.

Kitty włożyła pędzel do pojemnika z wodą i wytarła ręce w ręcznik. Tak, Elisabeth miała rację, na pensji nic nie mówi się o takich rzeczach.

– Pomóż mi więc, Kitty. Proszę cię. Nie chcę też zniszczyć mojej nocy poślubnej.

Taka była Elisabeth w całej swojej okazałości. Cały czas robi jej wyrzuty, obraża ją, narzeka, że z powodu siostry tak bardzo cierpi. A teraz chce czerpać korzyści z jej doświadczenia. Kitty najchętniej by jej powiedziała, że może o to zapytać Auguste, ale poruszył ją rozpaczliwy wyraz twarzy siostry.

– Co chciałabyś wiedzieć?

Elisabeth musiała ponownie wziąć głęboki oddech, zanim zebrała się na odwagę i zadała pytanie.

– Co się dzieje w czasie nocy poślubnej?

Kitty wzruszyła ramionami i stwierdziła, że tak naprawdę może nie wiedzieć, bo przecież nie miała nocy poślubnej. Tylko wiele szalonych nocy, gdy całkowicie jednoczyła się z kochankiem, serce przy sercu, skóra przy skórze. Oczy Elisabeth stawały się coraz większe, wydawała się wpadać w panikę.

– Czy... czy trzeba się rozebrać?

– O to troszczy się mąż.

– On mnie rozbierze? – zapytała Elisabeth przerażona. – Całkiem?

– Przynajmniej górę i dół.

– Głowę i stopy?

– O wszyscy święci – syknęła Kitty i wykonała ruch, jakby chciała sobie rwać włosy z głowy. – Nie jesteś przecież taka głupia. Obnaży twoje piersi. I wszystko to, co masz dalej na dole.

Elisabeth przytaknęła zrezygnowana. Zastanawiała się, co miała na myśli, mówiąc „to dalej na dole”.

– To, co znajduje się między twoimi nogami. Tam sięgnie.

To przecież niemożliwe. Gdy jako dziecko zakradła się do kuchni, usłyszała kilka obscenicznych określeń, ale takich słów używała wyłącznie służba, nie ludzie dobrze urodzeni. Odpowiednio wychowani ludzie, którzy otrzymali wysokie wykształcenie.

– Mój Boże, ty masz jeszcze mniejsze pojęcie o tych sprawach, niż ja miałam wtedy – westchnęła Kitty. – Czy wiele lat temu, gdy byliśmy na Pomorzu u wujka Rudolfa, nie widziałaś koni? Na pastwisku, gdy podczas pikniku postawiliśmy koszyk w mrowisku? Był tam ogier, pamiętasz? No więc podobnie to wygląda u ludzi.

To porównanie nie sprawiło, że obawy Elisabeth stały się mniejsze. Przeciwnie, w jej głowie pojawiły się przerażające wyobrażenia. Kitty musiała więc podać jej choć trochę więcej szczegółów.

– Wiesz przecież, jak wygląda mężczyzna. To znaczy tam pod ubraniem.

– Nie!

Nie było z nią łatwo, z tą jej starszą siostrą. Celowo udawała głupią. Przecież wcześniej, gdy były mniejsze, często kąpały się z Paulem w jednej wannie.

– Mężczyzna ma to coś z przodu. Dzięki temu może sikać.

– Ach, to – powiedziała Elisabeth. – To wiem. Przestraszyłaś mnie bardzo, mówiąc o tym ogierze, Kitty! Już sobie pomyślałam, że człowiek też ma tak długiego...

– On będzie twardy – przerwała jej Kitty bezlitośnie. – A także gruby i długi. Nie tak wielki jak u konia, ale też nie bardzo mały.

Elisabeth zbladła. A więc tak. I tym będzie chciał... Przecież to nie może tak funkcjonować. Tam jest zdecydowanie zbyt ciasno. I w ogóle, samo wyobrażenie, że jej kochanek z tym czymś będzie skakał jak ogier... Okropność. Powoli stało się dla Kitty oczywiste, że przedstawiła całą sprawę od złej strony. Jeśli tak dalej pójdzie, Elisabeth w noc poślubną ze strachu ucieknie i zamknie się w pokoju.

– Posłuchaj no – powiedziała Kitty i przysunęła sobie krzesło, żeby usiąść koło siostry. – Za pierwszym razem trochę to boli, ale nie bardzo. Za drugim razem jest już wspaniale. A potem nigdy już nie będziesz chciała przestać. To jest takie uczucie, jakby się latało. Jest się tak blisko siebie, jakby dwie istoty stawały się jedną. Wzajemne pieszczoty, oddawanie się sobie, śmianie się, przechodzenie w uścisku przez ogień i wodę.

Elisabeth spojrzała na nią z wątpliwością. Czy to możliwe, że tak obrzydliwe rzeczy mogą prowadzić do tak wielkich uniesień?

– Zobaczysz sama, Liso. To jest jak w niebie. A teraz, gdy już wiesz, co się dzieje, ten pierwszy raz nie powinien być dla ciebie trudny.

– Tak... – mruknęła Elisabeth. – Na pewno. I dziękuję za twój trud.

Właściwie czułaby się lepiej, gdyby się tego wszystkiego nie dowiedziała.
Ale teraz było już za późno.

```
d="w_cieniu_tajemnic-58.html" xml:lang="pl-PL"  
aid="1MBG21">
```

50

To było czarne, ale jednocześnie przezroczyste – powiedziała Maria Jordan grobowym głosem. – Gdy zostało oświetlone światłem elektrycznym, rozplynęło się w nicość. Później jednak w półmroku korytarza znów przybrało kształt.

– A jak wyglądało? – chciała wiedzieć Auguste. – Jak mężczyzna czy jak kobieta?

Kucharka z rozmachem postawiła na stole garnek z zupą grochową i powiedziała, że tutaj, w willi, nie ma żadnych duchów.

– To z pewnością tylko sen – poparła ją Else.

– Sen mara, Bóg wiara – wtrącił się Humbert.

– Ale sny Marii Jordan bardzo często się sprawdzają – przypomniała Else.

– Niech nam pani opowie, jak to wyglądało – prosiła Hanna.

Siedziała nad zeszytem i powinna była napisać wypracowanie na temat *Cesarz Wilhelm II i jego rodzina*, ale sen Marii Jordan o duchach był znacznie bardziej ekscytujący.

– To był ciemny kształt, który nie wyglądał ani jak kobieta, ani mężczyzna. Raczej istota z innego świata, ponury posłaniec, który dopóki nie wypełni swojego obowiązku, nie będzie mógł wrócić tam, gdzie przebywa.

– Znowu plujki – warknęła kucharka. – Brzęczą tutaj, składają jajeczka i pchają się do okna.

– Pssst. – Else poczuła złość i wykonała taki ruch ręką, jakby chciała zabić co najmniej cały rój. – A jaki obowiązek musi spełnić ten posłaniec akurat w willi?

Maria Jordan westchnęła przeciągle, położyła ręce na czoło i zamknęła oczy. Najwyraźniej próbowała sobie coś przypomnieć.

– Jest tutaj z powodu ostatnich zdarzeń. To trudne brzemię, które wszyscy nosimy na sobie.

– Choroba łaskawego pana? – zapytał Humbert z ciekawością. – Ale jemu

może się przecież poprawić.

Jordan przytaknęła. Stąpała teraz po cienkim lodzie, bo wprawdzie widziała tę osobliwą postać we śnie, ale jej zdaniem nic to nie znaczyło. Nie był to przyjemny sen, nie powinna była jeść wieczorem dodatkowej porcji grochówki. Kucharka postanowiła, że zużyje zapas suszonego grochu z zeszłego roku, zanim spleśnieje.

– Oznacza to, że będzie nas prześladować nieszczęście – powiedziała po chwili. – To będzie trudny rok dla tego domu i wszystkich jego mieszkańców.

Takie przepowiednie zawsze jakoś się sprawdzają, więc ryzyko jest niewielkie. A poza tym tego typu ostrzeżenia robią wrażenie. I chwilowo Maria Jordan nie myliła się zbyt. Wprawdzie jej wróżby dotyczące Else się nie spełniły, ale przewidziała pojawienie się kandydata na męża dla Auguste. Zostanie żoną Gustava i zamieszkają razem z jego ojcem w domku w ogrodzie. Gustav adoptuje małą Elisabeth, która wreszcie została ochrzczona w zeszłą niedzielę.

– Duch, który chodzi ciemnymi korytarzami willi – powiedziała Else szeptem. – Teraz nie będę się czuła pewnie, nawet idąc do łazienki. Mario, czy on chodzi również po trzecim piętrze?

– Tylko na pierwszym i drugim oraz po głównym korytarzu. Ale wyłącznie nocą.

– No pięknie – powiedział Humbert z ironicznym uśmiechem. – Wreszcie pozbyliśmy się szczęśliwie siostry Ottilie Strasznej, ale za to mamy ducha. Nie wiadomo, co gorsze.

– Ja tam wolę ducha – powiedziała Hanna i sięgnęła do garnka z zupą, żeby nalać sobie do talerza.

– Nie możesz poczekać na swoją kolej, ty mała chciwa bestio? – krzyknęła Auguste, bijąc ją po rękach. – Obiad zaczyna się dopiero wtedy, gdy panna Schmalzler siada przy stole. A brakuje też Marie.

– A tak w ogóle, to gdzie jest Marie? – chciał wiedzieć Humbert. – Czy to możliwe, że cały dzień siedzi przy maszynie?

Maria Jordan zaśmiała się sztucznie. Pokojówka Marie, Bóg świadkiem, nie siedzi wcale przez całe dni przy szyciu. Bardzo często można ją znaleźć w pokoju panienki Kathariny, gdzie robi jakieś rysunki. Łaskawa pani też od czasu do czasu ją do siebie wzywa, żeby z nią porozmawiać.

– Mój Boże – powiedziała Auguste, wywracając oczami. – Można pomyśleć, że jest nie wiadomo kim. Kilka miesięcy temu była jeszcze dziewczką kuchenną

i dorzucała drewna do pieca.

– Taaaak – powiedziała Else. – Widocznie można wspiąć się tak szybko.

– Tak samo szybko można spaść – zauważył Humbert.

– Spadanie może być nawet szybsze – powiedziała Auguste ze złośliwym uśmiechem i dodała, że łaskawy pan nie chce widzieć u siebie Marie nawet przez chwilę. Gdy przyniosła mu herbatę do gabinetu, wrzasnął na nią tak głośno, że było go słychać w całej willi. Cóż, pan dyrektor ma swoje powody.

– Oczywiście, że ma – powiedziała Maria Jordan zniecierpliwiona. – Przecież wiadomo, co zaszło między Marie i młodym panem w Paryżu. Przez dwie noce mieli okazję, żeby się do siebie zbliżyć. I zdarzyło się coś, co zdecydowanie nie podoba się łaskawemu panu.

Przypuszczenie to nie było niczym zaskakującym. Wszyscy przecież zauważyli, że Marie wpadła w oko paniczowi.

– Jeśli to faktycznie prawda – powiedziała kucharka z irytacją – to szkoda mi Marie. Będzie niemądra, jeśli pozwoli sobie na coś takiego. Z tego może wyniknąć tylko nieszczęście.

Else wzruszyła ramionami i przysunęła do siebie kosz z pieczywem, żeby sięgnąć po kromkę delikatnego białego pieczywa.

– Jeśli coś było, to dawno minęło – orzekła. – Wrogość, z jaką młody pan na nią patrzy... Można by przysiąc, że chce ją pożreć.

– Młody pan to przecież ludojad – zachichotała Hanna.

– Zaraz oberwiesz raz i drugi tą łyżką, jeśli będziesz opowiadać takie głupoty – pogroziła jej kucharka.

Hanna wyprostowała się i położyła ręce równo na kolanach, jak ją nauczono, bo do kuchni weszła gospodyni.

– Smacznego wszystkim! – powiedziała przyjaźnie Eleonore Schmalzler, gdy w pośpiechu zajmowali swoje miejsca.

Pojawił się też Gustav z dziadkiem i wszyscy czekali, aż obaj ogrodnicy umyją ręce.

– Znowu grochówka? – jęknął Gustav. – Wczoraj myślałem, że brzuch mi od niej pęknie!

– Powinieneś być wdzięczny i szczęśliwy, że w ogóle możesz jeść moją grochówkę – zdenerwowała się kucharka. – Kucharka od państwa burmistrzów chciała mi dać dwadzieścia marek za ten przepis. Ale odmówiłam...

W tej chwili zadzwonił dzwonek elektryczny, Humbert podniósł się i położył

obok swojego talerza łyżkę, którą właśnie chciał zanurzyć w zupie.

– Zawsze w czasie jedzenia – mruknął. – Jakby zmówili się, żeby mnie zagłodzić.

– Zostawimy twój talerz – powiedziała do niego szyderczo Auguste, gdy wchodził już na schody dla służby.

Nie minęło wiele czasu, a nikt już nie miał ochoty na grochówkę. Humbert wpadł do kuchni, złapał Gustava za rękę i wyjąkał, że musi natychmiast jechać na Königsplatz i przywieźć doktora Greinera. Łaskawa pani do niego dzwoniła, ale jego samochód jest w naprawie i trzeba po niego jechać.

– Wielki Boże, co się stało? – lamentowała Else. – Przecież mówiono, że łaskawemu panu się polepszyło!

Humbert wytarł pot z czoła białą chusteczką, gdy Gustav w pośpiechu wyjadał resztę zupy z talerza i przeżuwał chleb.

– A w drodze powrotnej musimy jeszcze zabrać księdza Leutwiena – powiedział Humbert głucho.

– Księdza? – zapytał stary ogrodnik i objął rękami głowę. – Jeśli chce księdza, to sprawa jest poważna. On się kończy.

Paul poinformował pannę Lüders, że przez resztę dnia będzie w domu, a w razie jakiejś pilnej sprawy niech dzwoni do willi. Potem wsiadł szybko do samochodu i wrzasnął na portiera Grubera, że zbyt wolno otwiera bramę wjazdową. Gruber patrzył na niego z przerażeniem i stwierdził, że już niczego nie rozumie. Pan Melzer był dla niego zawsze taki uprzejmy. Paul jechał bardzo szybko, prawie osiemdziesiąt na godzinę, zostawiając za autem tumany kurzu. Cieszył się, że opuścił dach samochodu, bo podmuch wiatru nieco chłodził jego rozpaloną twarz.

– Paul, musisz natychmiast przyjechać – powiedziała matka przez telefon.

Jeszcze nigdy nie słyszał, żeby miała tak drżący głos, wydawało się, że zaraz wybuchnie płaczem.

– Na Boga, co się stało?

– Ojciec próbował popełnić samobójstwo.

W pierwszej chwili myślał, że się przesłyszał. Matka zaczęła jednak szlochać i wyjąkała coś o pistolecie w szufladzie biurka.

– Bądź spokojna, mamó. Zaraz będę przy tobie.

Willę oświetlało popołudniowe, spokojne słońce. Koło drzwi kwitły róże

w kolorze łososiowym, a biały bez był w pełnym rozkwicie. Gdy Paul przebiegał schody i otworzył drzwi, Humbert pojawił się w progu, a za nim szedł Gustav.

– Łaskawy panie – wyjąkał Humbert. – Musimy jechać po lekarza i po księdza. Pański ojciec...

– Weź samochód!

Rzucił Gustavowi klucze i biegł dalej. Mieli jechać po księdza. Poczł lodowate zimno, które wypełniło jego klatkę piersiową. Ksiądz. Ostatnie namaszczenie. Śmierć. Nie, on nie mógł umrzeć. Niedawno odzyskali przecież nadzieję, bo chory sam usiadł na łóżku i poprosił o konkretne jedzenie. Chodził już nawet po pokoju, ubrał się i odesłał siostrę Otilie, która chciała mu wydawać polecenia.

Gospodyni wyszła do niego i z grobową miną powiedziała, że łaskawa pani jest na pierwszym piętrze w gabinecie łaskawego pana. Dodała, że musi być silny, bo jego ojciec jest w fatalnym stanie. Niech ten lekarz już przyjedzie...

– Gdzie jest Marie?

– Z łaskawą panią w gabinecie. Panienci są, o ile mi dobrze wiadomo w czerwonym salonie z Marią Jordan. Łaskawa pani nie pozwoliła im wchodzić do gabinetu.

Dotarły do niego tylko fragmenty ostatnich słów, bo biegł już po schodach na pierwsze piętro. Przed drzwiami gabinetu przystanął, starał się uspokoić oddech, i wreszcie zapukał. Uchylił drzwi i zobaczył bladą twarz Marie. Jej ciemne oczy były ogromne i aksamitne. Od razu się uspokoił. Marie tutaj była.

– Nie przestrasz się, proszę. Położyliśmy go na kanapie.

Paul zamknął drzwi i oparł się o nie plecami. Patrzył na ojca, który w dziwnie skrzywionej pozycji leżał na kanapie na haftowanych poduszkach. Jego twarz była wykrzywiona, kącik ust i powieka po lewej stronie opadły, skóra była blada, niemalże biała. Paul musiał się przewyciężyć, żeby uklęknąć przy sofie i wziąć ojca za rękę. Jego puls był ledwie wyczuwalny i wolny. Ale jednak wciąż żył.

– Co się stało?

Musiał się odwrócić, bo matka siedziała na krześle obrotowym, głowę miała odchyloną do tyłu, a ręce zaciśnięte na rzeźbionych podłokietnikach.

– Cokolwiek się stanie – powiedziała donośnym głosem – proszę was oboje, żebyście zachowali dyskrecję odnośnie do tego wypadku.

Tego popołudnia Johann Melzer był bardzo ożywiony, wziął kąpiel, ubrał

się, zjadł śniadanie i w końcu oznajmił, że ma zamiar przejrzeć dokumenty w gabinecie. Alicia co prawda martwiła się, że może się zbyt przemęczyć, ale wyperswadowanie mu tego przedsięwzięcia było rzeczą niemożliwą. Pozwoliła mu więc pójść. Koło południa usłyszała, że jakiś przedmiot przewrócił się w gabinecie, najpewniej krzesło.

– Ogarnęło mnie od razu złe przeczucie – powiedziała Alicia bezbarwnym głosem. – Jakby Bóg zesłał mi ostrzeżenie. Otworzyłam drzwi i zobaczyłam, że Johann stoi przed biurkiem i trzyma pistolet przy skroni. Boże, dopomóż, nie wiem nawet dokładnie, co się potem stało. Przepychaliśmy się, on starał się mnie od siebie odepchnąć, ale ja złapałam rękę, w której trzymał pistolet, i zaczęłam nią trząść. Potem jednak...

Przerwała i ostatnie zdanie była w stanie dokończyć jedynie powoli, sylabami. Jej mąż nagle się osunął, a jego twarz była okropnie wykrzywiona. Wtedy, przerażona, zawołała Marie. Razem wyrwały mu z ręki broń, którą wciąż kurczowo ścisnął, a potem z ogromnym wysiłkiem położyły go na kanapie.

– Musi być wściekły teraz. Wściekłość, gniew, przerażenie... Ale co miałam zrobić? Powiedz mi, Paul, co miałam zrobić? Nie mogłam przecież spokojnie patrzeć, jak sam sobie odbiera życie!

– Zachowałaś się tak, jak powinnaś, mamó – powiedział Paul dobitnie. – Zrobiłbym to samo. Każdy by tak postąpił.

Podszedł do niej i objął ją, mówiąc wolno i cicho, że nie może sobie robić żadnych wyrzutów, od tygodni warowała wiernie przy ojcu i teraz też zrobiła to, co najlepszego mogła zrobić. Uchroniła go przed ciężkim grzechem, powinien być jej za to wdzięczny. Zwłaszcza ostatni argument uspokoił Alicię. Oczywiście uchroniła jego duszę przed strasznym brzemieniem. To przecież okropny grzech własnymi rękami odbierać sobie życie, które dał nam Pan. Po chwili ktoś zapukał do drzwi i wszyscy troje do nich podbiegli.

– Lekarz, łaskawa pani. I ksiądz – usłyszeli głos Humberta.

– Gdzie jest pistolet? – szepnął Paul do matki.

– Marie włożyła go z powrotem do szuflady.

Paul wymienił spojrzenia z Marie, która wciąż stała przy drzwiach jak wartownik. Była tutaj, zachowywała się mądrze i spokojnie jak zawsze. Wszystko było w porządku.

– Wejdźcie do środka, proszę.

Ksiądz Leutwien ustąpił pierwszeństwa lekarzowi. Doktor Greiner był

bardzo niskim, chudym człowiekiem w okularach. Miał siwą brodę. Przywitał się najpierw z państwem, wyraził swoje współczucie Alicii i uścisnął Paulowi dłoń. Było ewidentne, że Marie jest pracownicą, więc ją zignorował. Kiwnął natomiast na Humberta, który niósł jego czarną lekarską walizeczkę, i nakazał mu położyć ją na fotelu. Niezgrabnie otworzył zamki i walizeczkę, w której znajdowały się najróżniejsze lśniące narzędzia, brązowe buteleczki, kolorowe pudełka, jakieś gumowe elementy, białe bandaże i różne inne rzeczy, pośród których w oczy rzucały się przede wszystkim ogromne kleszcze. Wprawnymi palcami uniósł powiekę chorego i rozpiął koszulę, żeby posłuchać jego serca. Wielebny Leutwien stał w tym czasie przy drzwiach, skrzyżował ręce na klatce piersiowej i wydawał się głęboko przejęty stanem mężczyzny.

– To wygląda bez wątpienia na udar apoplektyczny, łaskawa pani – oznajmił Greiner i włożył stetoskop z powrotem do bocznej kieszeni walizeczki. – Musimy go jak najszybciej zawieźć do szpitala, tam będzie mógł mieć zrobioną hemodilucję. Jak długo już znajduje się w tym stanie?

Alicia chciała odpowiedzieć, ale w tej chwili chory się poruszył. Johann Melzer zrobił taki gest ręką, jakby chciał przegonić lekarza.

– Nie... nie... nie szpital. Ksiądz... Leutwien... ma przyjść.

Lekarz musiał się trochę cofnąć, bo Johann Melzer znów zaczął odpychać go ręką. Zauważył, że to dobry znak, iż chory może mówić, gdyż w większości wypadków ataki apoplektyczne prowadzą do całkowitej utraty mowy.

– Cóż, niech pan spakuje swoją walizeczkę, panie doktorze – powiedział przyjaźnie wielebny Leutwien. – Teraz moja kolej.

Lekarz ustąpił mu pola wyłącznie pod przymusem. Nie zgadzał się, żeby opóźnić transport chorego do szpitala. Nawet ze względu na księdza. Wola chorego nie ma znaczenia, trzeba go, dla jego własnego dobra, nawet siłą zawieźć do szpitala.

– Mój mąż przez całe życie przywykł do tego, że szanuje się jego wolę, panie doktorze – powiedziała w końcu z naciskiem Alicja. – I dzisiaj też tak będzie.

– W takim razie nic więcej nie mogę tutaj zrobić, łaskawa pani!

Wziął walizeczkę i ukłonił się uprzejmie Alicii, Paulowi skinął jedynie głową. Księdzu, który zajął teraz miejsce na krześle przy Johannie Melzerze, rzucił wrogie spojrzenie. Ledwie za lekarzem zamknęły się drzwi, a chory odezwał się słabym głosem. Słysząc było, że formułuje zdania z ogromnym

wysiłkiem. Jego polecenie było jednak wyraźne i zrozumiałe.

– Idźcie... idźcie wszyscy. Tylko... tylko ksiądz zostaje. Chcę... chcę się wypowiadać.

d="w_cieniu_tajemnic-59.html" xml:lang="pl-PL" aid="1NA0K1">

51

Mamo! O Boże! Powiedz, co się stało!

Kitty i Elisabeth podbiegły do matki, gdy ta razem z Paulem i Marie weszła do czerwonego salonu.

– Czy to drugi zawał?

Elisabeth była śmiertelnie blada, łzy płynęły jej po policzkach. Mieli przecież nadzieję, że tata będzie zdrowy. A teraz wszystko tak okrutnie obracało się przeciwko nim. Nawet w niedzielę modliła się gorąco za niego.

– Spowiada się – powiedziała Alicia i wzięła Elisabeth w ramiona. – Musimy być bardzo silne, dziewczęta. Tylko Bóg wie, czy zostawi go z nami, czy wezwie go do Królestwa Niebieskiego.

Kitty, szlochając, rzuciła się w ramiona Marie. Nie mogła uwierzyć, że tata umiera. Był zawsze taki silny, prawdziwy tytan pracy, nigdy nie był zmęczony, nigdy wyczerpany. Co one zrobią bez niego? Paul patrzył ze ściśniętym sercem, jak Marie uspokaja jego siostrę, szepcze jej do ucha słowa otuchy, głaszcze po włosach. Tak naprawdę zazdrościł Kitty, mogła codziennie mieć Marie przy sobie, mogła ją obejmować, a nawet całować. A wobec niego Marie zachowywała wyłącznie uprzejmą obojętność.

– Co się teraz dzieje? – lamentowała Kitty. – Dlaczego nie możemy go zobaczyć?

– Wielebny Leutwien z pewnością nas zawoła, gdy ojciec będzie sobie tego życzył. – W obecności córek Alicia odzyskała panowanie nad sobą. – Do tego czasu musimy uzbroić się w cierpliwość.

Zawołano Humberta i polecono mu przynieść herbatę. Chłopak wydawał się zadowolony, że otrzymał zadanie do wykonania. Wciąż był blady i nie odważył się zapytać o stan chorego. Mały zegar wahadłowy stojący przy kominku wybił trzecią, a potem wpół do czwartej. Rozmawiano niewiele. Kitty przypomniawszy sobie, jak kiedyś tata bawił się z nimi w chowanego w parku. Gdy były jeszcze małe. I oczywiście tylko w niedzielę. Gdy o tym

powiedziała, Elisabeth zaczęła szlochać, więc przerwano rozmowę. Tuż po czwartej przyszedł Humbert z wiadomością, że pan dyrektor chce widzieć syna. A także Marie.

– Marie?

Wszyscy byli zdziwieni – by nie powiedzieć, że nieprzyjemnie poruszeni.

– Mnie? – wyjąkała Marie. – Czy dobrze usłyszałaś, Humbercie?

– Ksiądz mi powiedział. Zapytałem jeszcze raz, więc powtórzył. Młody pan i Marie.

Alicia przymknęła oczy, jakby właśnie przeżywała coś strasznego, o czym jednak nikt nie powinien wiedzieć. Bez wątpienia oczekiwała, że to ją, swoją żonę, będzie chciał najpierw widzieć jej mąż.

– A więc, Marie, idź, w imię Boże – powiedziała. – Jeśli to pomyłka, to niebawem się wyjaśni.

Uśmiechnęła się do Paula, poprosiła go, żeby był silny, i naląła sobie filiżankę herbaty. Jej poirytowany wzrok towarzyszył Marie, tym bardziej że Paul ustąpił jej miejsca, gdy wychodzili. Trzeba było zrobić jedynie kilka kroków, żeby znaleźć się w gabinecie. Humbert zapowiedział ich i otworzył drzwi. Wielebny Leutwien siedział przy biurku, Johanna Melzera wspartego na kilku poduszkach udało się ułożyć w pozycji półleżącej. Patrzył na nich tak, jakby był na rozprawie sądowej.

– Usiądźcie tam – polecił im.

Wydawało się, że jest w nieco lepszym stanie niż przed godziną. Jego twarz już nie była wykrzywiona, jedynie lewa powieka trochę opadała, podobnie jak kąciki ust, ale przy siwej brodzie było to mało widoczne. W milczeniu usiedli na wskazanych krzesłach i czekali. Marie położyła ręce na kolanach i wyprostowała klatkę piersiową, która szybko opadała i znów się wznosiła. Paul poczuł nagle przemożne pragnienie, by wziąć ją w ramiona, jakby chciał ją chronić. Siedział jednak sztywno, jak sparaliżowany, na swoim miejscu.

– Początki zawsze są trudne – usłyszeli głos wielebnego dobiegający zza biurka.

Brzmiało to jak zachęta i w ten właśnie sposób zostało odebrane przez Johanna Melzera.

– To, co mam do powiedzenia – zaczął, wycierając lewy kącik ust chusteczką. – To, co mam do powiedzenia, dotyczy Marie. Marie Hofgartner, córki mojego dawnego współlnika Jakoba Burkarda.

Stało się, zupełnie szczerze przyznał się do kłamstwa. Paul zobaczył, jak

twarz Marie czerwienieje, otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Johann Melzer ciągnął, nie zwracając na to uwagi.

– Paul, ciebie, mój synu, zawołałem, żebyś dowiedział się o wszystkim ode mnie. Nie Marie powinna ci o tym mówić, tylko ja sam. Potem będziesz mógł zdecydować, czy mnie potępisz, czy mi wybaczysz.

Paul nie wiedział, czy powinien już coś powiedzieć, więc na razie milczał. Co jeszcze chce powiedzieć? Przecież już przyznał się do kłamstwa. Melzer znów wytarł lewy kącik ust z cieknącej śliny. Nie czekał na odpowiedź, mówił dalej.

– Gdy trzydzieści lat temu odwiedziłem Jakoba Burkarda w jego warsztacie, w którym opracowywał różnorakie wynalazki, natychmiast zrozumiałem, że znalazłem człowieka, którego potrzebowałem. Był jednym z tych ludzi, którzy interesowali się technicznymi wynalazkami, które posuwają świat do przodu. To prawda, że było tam sporo dziwacznych rzeczy, chciał na przykład wynaleźć telefon, który można by ze sobą nosić. Przede wszystkim jednak wymyślił maszyny do przedzenia i tkania. Co mogę powiedzieć? Zostaliśmy wspólnikami i zaczęliśmy powoli rozkręcać interes, bo obaj nie mieliśmy pieniędzy. Ja wiedziałem, jak należy handlować, a Jakob Burkard zbudował maszyny. Bank udzielił nam pożyczki i w krótkim czasie nasza fabryka rozrosła się do nieoczekiwanych rozmiarów. Ja kupiłem ten teren parkowy i kazałem przebudować letni domek w okazałą willę.

– Zbacza pan z tematu, panie Melzer. – Ksiądz przerwał jego opowieść. – Owija pan w bawełnę, niech pan przejdzie do rzeczy!

Nikt jeszcze do tej pory nie ośmielił się w taki sposób dyrygować Melzerem, ale on na to pozwolił bez słowa sprzeciwu, przytaknął jedynie i spojrzał na księdza zmęczonym wzrokiem.

– Fabryka rozwijała się pod moim kierownictwem, ale mój wspólnik Burkard wkrótce stał się dla mnie ciężarem. Handel nie interesował go wcale, nie wiedział też, co robić z własnymi pieniędzmi. Był wynalazcą z krwi i kości, zajmował się tylko maszynami i chciał je ulepszać, a ja musiałem realizować zamówienia. W skrócie, dwa lata po moim ślubie, a więc w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym, pokłóciliśmy się i on zniknął na dobre z Augsburga. Początkowo byłem zaniepokojony, mógł przecież przekazać swoją wiedzę konkurencji, ale tego nie zrobił. Przepuścił pieniądze na podróże, był w Anglii, Szwecji, potem we Francji. Gdy wrócił, przywiózł ze sobą żonę. Luise Hofgartner, malarzkę, którą poznał na Montmartrze. Jego

wielką miłość. Wprowadzili się do mieszkania na obrzeżach miasta i zamierzali żyć z dochodów, które przynosiła fabryka. Należała do niego połowa przedsiębiorstwa, a zyski też już były znaczne, choć stało się tak wyłącznie dzięki mojej przedsiębiorczości i niestrudzonej pracy.

– Do rzeczy, panie Melzer! – Ksiądz znów zwrócił mu uwagę.

Johann Melzer odetchnął ciężko, ale zaakceptował upomnienie wielebnego Leutwiena i zmusił się do kontynuowania opowieści.

– Wkrótce zacząłem żałować, że jest moim wspólnikiem, bo zajął się konstruowaniem jakichś absurdalnych wynalazków, a pieniądze na nie brał z zysków, które przynosiła firma. Myślałem o przedsiębiorstwie, które chciałem uchronić przed zniszczeniem, o dziele mojego życia, o wszystkim, dla czego żyłem i na co pracowałem. I stopniowo przenosiłem jego udziały w firmie na siebie.

Zamilkł, wytarł kąciki ust i poprosił o szklanekę wody. Paul aż podskoczył, napełnił szklanekę wodą z karafki i podał mu. Ojciec pił z trudem, woda spływała mu z ust na rozpiętą koszulę. Gdy oddawał Paulowi do połowy opróżnioną szklanekę, jego dłoń drżała, jakby spoczywał w niej ogromny ciężar.

– Wynegocjowałem jego udziały za bardzo małe pieniądze – powiedział niewyraźnie. – Wiedziałem od dawna, że pił, i podle wykorzystałem jego słabość. Postawiłem mu wino, potem piwo, nie trzeba było dużo, żeby go upić. Potem podpisał wszystko, co mu podsunąłem. Nie zauważył nawet, co się stało. Ale ona, ta Luise Hofgartner, ona się zorientowała i próbowała temu zapobiec. Burkard był jednak dobrodusznym człowiekiem, ufał mi i nie mógł uwierzyć, że ja, jego wspólnik i przyjaciel, który zaprosił go na wino, mogę być chciwym oszustem.

Paul miał poczucie, że stoi przed głęboką przepaścią. Ojciec, którego mimo wszelkich ich nieporozumień, zawsze podziwiał, w tak perfidny sposób wykorzystał zaufanie wspólnika. Gorzej jeszcze: ojca Marie, a więc również i ją oraz jej matkę pozbawił godnej egzystencji. Paul nie miał odwagi spojrzeć na Marie.

– Dalej! – nakazywał bezlitośnie ksiądz.

– Ona była w ciąży i dla dobra dziecka zgodziła się na małżeństwo, choć z Montmartre’u przyniosła szaloną wizję wolnej miłości i tym podobne bzdury. Nie wiedziałem wówczas, jak ciężki był stan Burkarda. Był tak słaby, że nie mógł już nawet wziąć ślubu cywilnego. Wielebny Leutwien udzielił im ślubu

kościelnego w ich mieszkaniu i Burkard zmarł kilka dni później. Byłem przerażony i pełen wyrzutów sumienia, zapłaciłem za jego pogrzeb i kazałem nawet postawić mu nagrobek. Zadbalem też o malarkę, załatwiłem jej dobrze płatne zlecenia wśród moich znajomych. Gdy urodziło się dziecko, udzieliłem jej małej pożyczki, bo musiała dojść do siebie po porodzie i nie mogła pracować.

Marie zmrużyła oczy i z wielkim napięciem patrzyła na Johanna Melzera.

– Ale później wszystko jej pan zabrał – powiedziała z chłodnym wyrzutem. – Bo chciał pan od niej wyciągnąć jakieś plany konstrukcyjne.

Patrzył na nią i wydawał się zaskoczony, że o tym wiedziała. Tak, po kilku latach wyszły na jaw niedoskonałości projektów Burkarda i był pewien, że wynalazca musiał wprowadzić jakieś poprawki.

– Mogłem tylko do siebie mieć pretensje, że nie pomyślałem o tym, gdy żył, bo oddałby mi wszystko bez wahania. Ona jednak nie. Załatwiałem jej zlecenia, a nawet opłacałem czynsz, lecz nie chciała mi dać ani jednej kartki. Rozgniewało mnie to i zagroziłem, że zabiorę jej wszystkie meble, wszystko, co posiada, ale się nie ugięła. Śmiała mi się prosto w twarz, nie dostanę planów, choćbym podpisał pakt z samym diabłem.

– Miała do tego wszelkie powody – odpowiedziała Marie bezlitośnie. – Moja matka wiedziała, co zrobił pan mojemu ojcu.

Johann Melzer nie zareagował na ten wyrzut, zniósł go i spojrzał na nią zaczerwienionymi oczami.

– Po tym już się o nią nie troszczyłem, moi znajomi mieli o niej złe zdanie, nie dostawała więc żadnych zleceń. Myślałem sobie, że w końcu przyjdzie i się ukorzy, choćby dla dobra dziecka. Ale nie przyszła, wołała głodować i marznąć. Dwa lata później w czasie bardzo mroźnej zimy zachorowała na zapalenie płuc. Nie mogła ogrzać mieszkania, bo nie miała za co kupić drewna. Potem zapadła na gruźlicę i zmarła.

Paul wiedział, co teraz może czuć Marie, pełen bólu spuścił wzrok. Jej matka nie musiałaby umierać, gdyby jego ojciec wszystkiego jej nie odebrał. Jak Marie mogła zapomnieć, że przez jego rodzinę to się stało? On sam i jego siostry w tym czasie w dobrobycie i radości żyli w willi, ciesząc się wszelkimi możliwymi luksusami, a Melzerowie zaliczali się do najbardziej szanowanych obywateli Augsburga.

Johann Melzer był już śmiertelnie zmęczony, mówił z ogromnym wysiłkiem, zaczął się jąkać. Był głęboko wstrząśnięty, gdy zabrał wtedy wielebnego

Leutwiena do mieszkania na obrzeżach miasta, nie sądził, że ona może umrzeć. Jej dziecko, małą Marie, umieścił w sierocińcu i co roku przekazywał tej instytucji hojne datki, żeby dziewczynce dobrze się żyło...

– Marie – powiedział w końcu, patrząc na nią błagalnym wzrokiem. – Ja... ja wyznałem... wszystko szczerze. Bardzo... bardzo zgrzeszyłem wobec... ciebie i twoich... rodziców. Zostanę... za to... ukarany w czyśćcu. Czy... czy ty... mogłabyś mi wybaczyć?

Paul miał wrażenie, że pokój zaczął wirować. Czego on się domaga od Marie? Jak wielkoduszna musiałaby być ta młoda kobieta, żeby wybaczyć mu tak ogromną podłość?

Głos Marie był stanowczy i zimny, gdy udzieliła mu odpowiedzi.

– Panie Melzer, niech pan ma nadzieję, że Bóg panu wybaczy. Bo ja nie zrobię tego nigdy!

d="w_cieniu_tajemnic-60.html" xml:lang="pl-PL" aid="1O8H61">

Marie!

Zerwała się i wybiegła z gabinetu. Paul chciał iść za nią, ale wielebny Leutwien go powstrzymał.

– Niech pan pozwoli jej odejść, Paul. Najpierw musi wszystko sama przemyśleć i być gotowa na rozmowę.

– Ale nie mogę teraz zostawić Marie samej!

Ksiądz energicznie potrząsnął głową i mocno chwycił Paula za rękę.

– Niech pan lepiej zatroszczy się teraz o samego siebie, Paul – doradził mu Leutwien. – Pan również usłyszał o rzeczach, które są trudne do zrozumienia. Karanie i sprawiedliwość leżą wyłącznie w rękach Boga. My jednak, którzy jesteśmy grzesznikami, musimy się uczyć wzajemnego wybaczenia.

Do Paula ledwie docierało, co ksiądz mówił, kazanie było ostatnią rzeczą, której teraz potrzebował. Szarpnięciem uwolnił się z uścisku wielebnego i pobiegł korytarzem, w nadziei że jeszcze zdąży złapać Marie. Nie widział jej nigdzie. Zdenerwowany wbiegł na schody dla służby, ale tam również jej nie było. Usłyszał natomiast trzaśnięcie drzwiami na trzecim piętrze. Ukryła się w sypialni?

– Marie! Porozmawiajmy, proszę cię, Marie!

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi z trzeciego piętra, ale na korytarzu zrobił się ruch. Matka i obie siostry wyszły z czerwonego salonu przerażone, że mogło spaść na nich nowe nieszczęście.

– Paul, co się dzieje? Powiedz, bo umieramy z niepokoju!

Miał zamiar iść na trzecie piętro. Byłoby to jednak bardziej niż niestosowne, bo na górze, między sypialniami służby, państwo nie powinni się kręcić. Nie powinien też szukać Marie w jej pokoju.

– Nie stało się nic złego, mam – skłamał. – Tacie jest trochę lepiej, możesz teraz do niego pójść.

– Ale dlaczego Marie tak nagle wybiegła?

Kitty i Elisabeth też chciały wiedzieć i Paul zastanawiał się, co może wymyślić tak na poczekaniu i co powinien im powiedzieć. Na pewno nie całą gorzką prawdę, gdyż ojciec powierzył swoje wyznanie tylko jemu i Marie.

– Ojciec wyjawiał Marie, że jest córką Jakoba Burkarda, jego byłego wspólnika.

– A jednak – szepnęła Alicia. – Tak jak podejrzewałeś, Paul. Biedna dziewczyna musi być tym zupełnie zszokowana.

– Z pewnością – odpowiedział Paul, rad, że jego matka zadowolona się tą odpowiedzią. Kitty niestety to nie wystarczyło.

– Ale... ale to przecież wspaniale, Paul! – krzyknęła zachwycona. – Czy ten Burkard nie był wynalazcą? Mój Boże, wynalazca był ojcem Marie. Dlaczego powiedzieliście jej to dopiero teraz?

– I dlaczego ojciec robił z tego taką tajemnicę? – włączyła się Elisabeth. – To było tak ważne, że mógł jej to wyznać dopiero, gdy został przykuty do łóżka?

Paul nie miał ochoty wikłać się w jeszcze więcej kłamstw, dlatego stwierdził, że nie wie.

– Uważam, że to wszystko jest bardzo dziwne – powiedziała Elisabeth i spojrzała podejrzliwie na brata. – Czegoś nam nie mówisz, prawda?

Nie odpowiedział jej, bo nie chciał się z nią kłócić. Alicia tymczasem weszła do gabinetu i rozmawiała z wielebnym Leutwienem. Kitty także tam poszła, uspokojona, że ojciec ma się lepiej.

– Ależ tato – słychać było jej głos pełen wyrzutu. – Jeśli pan doktor powiedział, że musisz jechać do szpitala, to tak trzeba zrobić. Mama ma absolutną rację, powinieneś natychmiast zostać tam zawieszony. Wszyscy przecież chcemy, żebyś znów był zdrowy, tatusiu.

– Trafiła kosa na kamień – powiedziała Elisabeth. – Jeśli tata nie chce, to nie pojedzie.

Telefon dzwonił zawzięcie, a Paul starał się nie myśleć o fabryce i o wszystkim, co było z nią związane. Chciał odnaleźć Marie, powiedzieć, jak bardzo nim wstrząsnęło wyznanie ojca. Chciał powiedzieć, że jej współczuje i że rozumie jej gniew. Chciałby też zrobić wszystko, żeby naprawić wyrządzoną jej krzywdę.

– Paul? To panna Lüders z fabryki. Chce koniecznie z tobą mówić.

– Już idę.

Lüders zupełnie straciła panowanie nad sobą. W tkalni znów trzeba było

zatrzymać dwie maszyny, bo zrywały przędzę. Alfons Dinter z działu tkanin z nadrukami zgłosił, że niebieska farba prawie się skończyła, i zapowiedział przybycie nieoczekiwanego, bardzo ważnego klienta. Pan Grundeis z Bremy chce dostać informacje na temat nowych wzorów. Zakwaterował się w Trzech Murzynkach i ma nadzieję, że spędzi wieczór w dobrym towarzystwie. Paul najchętniej by powiedział zdenerwowanej sekretarce, żeby poszła do diabła z przędzą, farbami drukarskimi i panem Grundeisem, czuł jednak na sobie wzrok ojca, który obserwował go z kanapy. Gdyby teraz wszystko rzucił, nie byłoby to dobre ani dla niego, ani dla Marie.

– Niech pani powie panu Grundeisowi, że będę u niego za dziesięć minut. A w tym czasie niech pani się nim zajmie tak jak zwykle.

– To już zrobiłam, panie Melzer. Czy u państwa wszystko w porządku? Martwimy się, panna Hoffmann i ja.

– Nie ma powodów do niepokoju, droga panno Lüders. Zaraz u pań będę.

Musiał się mocno postarać, żeby mówić jak zawsze dziarskim głosem, ale się udało. Co matka powiedziała wcześniej? Ma być silny. Nigdy nie czuł się tak słaby i bezradny.

– Muszę wyjść, mam coś do załatwienia – oznajmił i wydawało mu się, że na twarzy ojca pojawił się ledwie widoczny uśmiech.

Alicia była zdecydowanie mniej zadowolona, oczekiwała, że Paul przekona ojca, że lepiej byłoby zastosować się do zaleceń lekarza.

– Zaopiekujcie się, proszę, Marie – powiedział Paul. – Ona jest zszokowana i potrzebuje wsparcia.

– Jeśli ci na tym zależy, Paul – obiecała Alicia. – Zaraz wyślę do niej Else, żeby zapytała, czy czegoś jej nie trzeba.

Dobre intencje matki nie uspokoiły Paula.

– Niech Else jej powie, że chciałbym z nią porozmawiać dzisiaj wieczorem. Mamo, to bardzo ważne.

Stanowczość, z jaką wypowiedział tę prośbę, zdziwiła nie tylko Alicię. Elisabeth zmarszczyła brwi i powiedziała, że najwyraźniej dla ich rodziny najważniejsza jest teraz rozmowa z pokojówką. Kitty natomiast uśmiechnęła się łobuzersko, co zupełnie nie pasowało do tej poważnej sytuacji.

– Powiedz no, Paul – rzekła, przeciągając słowa. – Czy jest coś między tobą i Marie, o czym jeszcze nie wiemy?

– Innym razem – odpowiedział, a jego ręka już naciskała kławkę.

Gdy szedł korytarzem w stronę schodów, usłyszał przerażony okrzyk matki.

– Najświętsza Panienko Maryjo! To przecież nie może być nic poważnego!

– Myślę, że jest, mamó. Jest w niej zakochany po uszy!

Else wróciła z wiadomością, że Marie położyła się na łóżku, więc stwierdzili wspólnie, że po przeżytym koszmarze ma prawo choć trochę odpocząć. Alicia długo siedziała przy mężu, a że rozmowa między małżonkami nabierała mocno osobistego charakteru, córki wyszły wcześniej. Ksiądz również się pożegnał i siostry odprowadziły go przez korytarz. Obie próbowały wypytywać wielebnego, on jednak okazał się bardzo sprytny, gdyż mówił sporo, ale nie powiedział nic konkretnego. Na koniec zasłonił się tajemnicą spowiedzi.

– Wasz ojciec wykazał się dzisiaj niezwykłą odwagą, moje panie. Możecie być z niego dumne. A teraz proszę mnie wypuścić, bo o osiemnastej muszę odprawić wieczorną mszę.

Elisabeth uważała, że ta sprawa staje się coraz bardziej tajemnicza, a Kitty potwierdziła jej przeczucia.

– Myślisz, że Paul i Marie już razem...? – zapytała w zamyśleniu.

– Pssst – upomniała ją Elisabeth. – *Pas devant les domestiques!*

Humbert kręcił się w pobliżu windy kuchennej, bo nakrywał już stół do kolacji. Kitty uznała, że to stwarzanie pozorów przez Elisabeth jest naiwne, ale nic nie powiedziała i wróciła do swoich rozmyślań. Paul i Marie. Jej ukochany brat i najlepsza przyjaciółka. Jak cudownie!

– Czy Marie jest wciąż w swojej sypialni?

– Nie sędzę – odpowiedziała Elisabeth. – Na pewno już zdołała poradzić sobie z tym, co usłyszała.

– To może jest na górze, w szwalni.

Marie nie było jednak w pokoju do szycia. Ani w pokoju Kitty, ani w pralni. Tam była jedynie Eleonore Schmalzler, która liczyła białe ręczniki z bawełny i każde sześć sztuk przewiązywała niebieską jedwabną wstążką.

– Dziwne – powiedziała z uśmiechem. – Brakuje trzech białych ręczników, nie wie może panienska, co się z nimi stało?

Kitty poczuła na sobie znaczący wzrok siostry, ale z niewinną miną zapewniła obie, że niestety nie może pomóc w tym względzie. Może mama zabrała ręczniki do szpitala, gdy odwiedzała tam tatę?

– A czy może widziała pani Marie?

– Jest w swoim pokoju, łaskawa panienska. Słyszałam, że nie czuje się zbyt dobrze i że się położyła.

– Niech pani ją do mnie koniecznie przyśle – poleciła Kitty. – Najlepiej jeszcze przed kolacją, jeśli to możliwe.

– Oczywiście, łaskawa panienko. A czy mogę zapytać, jak się czuje ojciec panienki? Wszyscy bardzo się martwimy.

– Czuje się trochę lepiej. Mama jest przy nim.

– Niech Bóg da, żeby wkrótce był znów zdrowy!

– Dziękuję, panno Schmalzler. Też mamy taką nadzieję.

Siostry poszły do swoich pokoi, żeby jak zawsze przebrać się do kolacji. Kitty męczyła się z granatową jedwabną sukienką z marynarskim kołnierzem i usiłowała spiąć ją w miarę ładnie paskiem. Wtedy do drzwi zapukała Maria Jordan.

– Przepraszam, łaskawa panienko.

– Jestem już prawie gotowa, panno Jordan. Może pani pójść do mamy.

Jordan zacisnęła usta, cierpiała z powodu każdego odrzucenia, ale robiła się wtedy jeszcze bardziej nachalna.

– Przepraszam... chodzi o Marie. Wydaje się, że opuściła willę.

Kitty pozwoliła, żeby pasek wypadł jej z ręki, i patrzyła z niedowierzaniem na Marię Jordan. Jordan starała się nadać twarzy smutny wyraz, nie mogła przecież ujawnić satysfakcji ze zniknięcia konkurentki.

– Opuściła? – wyjąkała Kitty. – Co pani ma na myśli?

Maria Jordan powiedziała, że na próżno wszyscy szukają Marie, i dlatego założono, że na pewno jest w sypialni. Panna Schmalzler poprosiła więc ją, żeby poszła na górę i sprawdziła. Obie mieszkały przecież w tym samym pokoju i nie chciała tam wysłać kogoś innego, bo uważała, że to nieeleganckie.

– Gdy tam weszłam, początkowo nic nie zauważyłam. Pokój był posprzątany, łóżko równo zasłane, szafa zamknięta. Miałam już wyjść, gdy pomyślałam, że przy okazji wezmę sobie świeżą chusteczkę do nosa z komody. I wtedy zauważyłam, że szuflada Marie jest zupełnie pusta.

Wzięła też kilka swoich sukienek, a do tego bieliznę, pończochy i buty. Zostawiła to, co dostała w domu, trzy ciemne spódnice, dwie bluzki, długi płaszcz...

– Ona odeszła! – zrozpaczona Kitty przerwała Jordan tę szczegółową wyliczankę. – Nawet się ze mną nie pożegnała! O Boże, musimy ją odnaleźć! Gdzie mogła pójść? Co tak pani tutaj stoi, panno Jordan? Niech pani idzie i powie o tym mojej siostrze i mamie. Gustav niech przygotowuje samochód.

Musimy też przekazać wiadomość Paulowi do fabryki. Jak mogła mi to zrobić! Moja Marie! Moja najbliższa przyjaciółka...

Jordan spodziewała się, że ta wiadomość nie wywoła powszechnej radości, nie liczyła jednak na to, że reakcja będzie tak gwałtowna. Skrzywiła się tak, że wokół ust zrobiły się jej niewielkie zmarszczki, i zeszła na dół, żeby przekazać wiadomość łaskawej pani. Zobaczymy, czy z powodu ucieczki pokojówki narobi się jeszcze więcej hałasu.

Alicia i Elisabeth siedziały już przy stole. Łaskawa pani zachowała spokój, a panienka Elisabeth była nawet przekonana, że to najlepsze rozwiązanie dla wszystkich. Alicia podzielała jej zdanie.

– Marie to mądra dziewczyna i zrozumiała, że to najlepszy czas na poszukanie sobie nowej posady – powiedziała łaskawa pani. – Szkoda tylko, że zrobiła to w taki sposób. Mimo wszystko będzie mi jej brakować.

– Jako pokojówka jest wręcz niezastąpiona – podsumowała Elisabeth. – Jej projekty ubrań były wspaniałe! A kapelusze! Cieszę się tylko, że skończyła już moją suknię na przyjęcie zaręczynowe.

Alicia zwróciła się teraz do Marii Jordan, która stała przy drzwiach i z uwagą przysłuchiwała się ich rozmowie.

– Ani słowa mojemu mężowi, Mario. Pod żadnym pozorem on nie powinien się denerwować. Panna Schmalzler ma zadbać o to, żeby pracownicy zachowali dyskrecję.

– Oczywiście, łaskawa pani!

Maria Jordan ukłoniła się i natychmiast pobiegła do kuchni, żeby przekazać szokujące wieści. Relacja młodego pana i Marie bez wątplenia została kategorycznie zakończona przez łaskawego pana. Zawołał do swojego łóżka boleści syna i jego kochankę, żeby stanowczo im zakazać tego, co robią. A teraz, co oczywiste, Marie poniosła tego konsekwencje i dlatego potajemnie dała drapaką.

– Mamo, czy powinniśmy powiedzieć Paulowi? – zastanawiała się Elisabeth, podczas gdy matka rozkładała serwetkę.

– Jeszcze nie teraz – zdecydowała Alicia. – Słyszałaś, ma się zająć ważnym klientem, nie powinniśmy więc mu teraz przeszkadzać.

– A gdzie się podziała Kitty?

Alicia westchnęła. Nałożyła sobie na talerz już prawie zimne ozorki wołowe i kawałek pieczeni. Z nerwów i po całym tym zamieszaniu nie miała apetytu, zmusiła się jednak do zjedzenia czegoś, żeby nie opaść z sił. Elisabeth nie

znała tego problemu, ku jej zmartwieniu, zawsze była głodna i najbardziej miała ochotę na słodkie i tłuste dania. Już gdy była dzieckiem, do jej ulubionych potraw należały: tort śmietanowy, paszтет mięsny i gęsie piersi.

– Humbercie, powiedz Auguste, żeby przypomniła mojej córce Katharinie, że kolacja została już podana.

Humbert podał Elisabeth półmisek z mięsem dobrze znanym finezyjnym gestem i poczekał cierpliwie, aż panienska się obsłuży.

– Przepraszam, łaskawa pani – zwrócił się do Alicii. – Ale Gustav niedawno zawiózł panienkę Katharinę do fabryki.

Alicia spojrzała na Elisabeth, obie były zdumione.

– Dziękuję, Humbercie, możesz już iść na dół, do kuchni. Poradzimy sobie same.

Gdy tylko służący opuścił jadalnię, Alicia dała upust gniewowi. To niewiarygodne, na co sobie Kitty wciąż pozwala. Nie uzgadniając z nią, ona robi po prostu to, co uważa za słuszne.

– To było właściwie do przewidzenia – skomentowała Elisabeth. – Kitty jest upartą egoistką i nieraz już to udowodniła. Dlaczego wciąż jest tutaj z nami? Nie powinna już szkolić się na pielęgniarkę?

Alicia odsunęła talerz, jej żołądek zaczął się buntować.

– Z powodu choroby ojca odłożyliśmy tę sprawę na później. Ponadto Alfons Bräuer prosił mnie w poufnej rozmowie, żebym wstawiła się za nim u męża, bo ma zamiar oświadczyć się Kitty.

Elisabeth dodawała sobie sił ogromną porcją pieczeni i delikatnym korniszonem, które w tym roku wyszły Brunnenmayer wyjątkowo smaczne.

– Biedak – powiedziała i wzruszyła ramionami. – Mam nadzieję, że zdaje sobie sprawę, na co się decyduje.

Po chwili zorientowała się, że posunęła się za daleko, bo Alicia rzuciła jej gniewne spojrzenie. Nie miała najmniejszego prawa oczerniać siostry, a zwłaszcza gdy chodziło o jej przyszłe małżeństwo. Alfons Bräuer będzie bardzo mile widziany w tej rodzinie jako jej mąż.

– Już rozumiem – odpowiedziała Elisabeth urażona. – Mój wybranek nie jest tutaj aż tak mile widziany.

Alicia westchnęła zniecierpliwiona. Ten dzień był naprawdę okropny, a najgorsze było to, że mijało dopiero popołudnie.

Paul i Kitty wrócili do willi niecałe pół godziny później, zdyszani i zdenerwowani. Paul wypytywał gospodynię i wysłał Kitty do sypialni Marie,

bo może zostawiła tam jakieś wskazówki, gdzie zamierza się udać, a sam skierował się na pierwsze piętro do matki i siostry, by zasypać je pretensjami. W czerwonym salonie zastał jedynie Elisabeth, która wyjaśniła mu, że mama została poproszona przez ojca na kolejną intymną rozmowę.

– Ja się oczywiście w ogóle nie liczę – powiedziała obrażona. – Kitty również nie. A jeśli sądzisz, że będziemy niańkami twojej Marie, to się grubo mylisz, drogi bracie. Uciekła i mądrze zrobiła.

Paul szalał z wściekłości. Wstyd mu było, że jego siostra jest tak zimna i pozbawiona serca. Do szycia jej sukienek Marie była wystarczająco dobra, ale jako człowiek jest jej zupełnie obojętna. Nic dziwnego, że tata nie chce jej widzieć. To było zbyt wiele dla Elisabeth – wybuchła płaczem. Wie przecież, że wszyscy w tej rodzinie jej nie znoszą. Zawsze była piątym kołem u wozu, ale miała nadzieję, że chociaż tata... W tym momencie weszła Alicia i zatrzęsnęła za sobą drzwi.

– Co się tutaj dzieje? Elisabeth, weź się w garść. Paul, tata chce z tobą porozmawiać.

Paul nie miał zamiaru zastosować się do polecenia matki. Tata chce z nim porozmawiać? To sobie poczeka. Dlaczego nikt nie potraktował poważnie jego prośby? Prosił przecież wyraźnie, żeby zajęły się Marie, tak długo, jak on będzie w fabryce. Jak to więc możliwe, że odeszła niezauważona? Alicia spodziewała się wyrzutów, ale nie wypowiedzianych takim tonem! Odpowiedziała, że tak się stało i już nie można tego zmienić. Była jednak przekonana, że Marie jeszcze wróci do posiadłości, w odpowiednim czasie. To mądra dziewczyna, ma dobry charakter. Elisabeth patrzyła zdumiona na matkę. Dobry Boże, wiadomo, że Paul jest jej ukochanym dzieckiem, ale nie musiała aż tak przesadzać.

– Proszę, idź teraz do ojca. Czeka na ciebie!

– Ale tylko na chwilę, mam sporo do zrobienia! – mruknął poirytowany.

– I nie mów mu nic o tym, że Marie uciekła, proszę cię, Paul.

– Już dobrze.

Johann Melzer leżał w tej samej pozycji, co kilka godzin wcześniej, przykryty miękkim kocem. Jego plecy były podparte poduszkami. Wyglądał na bardzo zmęczonego, ale spojrzenie nie było już tak martwe i puste. Paul miał nawet wrażenie, że jego ojcu ulżyło. Możliwe, że pomogła mu spowiedź. Najwyraźniej rodzina stanowiła dla niego spore obciążenie.

– Nie mam wiele czasu, tato. W Trzech Murzynkach czeka na mnie pan

Grundeis z Bremy.

Johann Melzer przytaknął, wskazał jednak na krzesło stojące obok kanapy, na którym niedawno siedziała Alicia.

– Opowiedziałem także waszej mamie o wszystkim – odezwał się. – Przyjęła to spokojnie i zapewniła, że mimo wszystko będzie mnie darzyć miłością. Poprosiłem ją również, żeby opowiedziała wszystko dziewczętom.

Przerwał i ciężko odetchnął, jakby ogromny kamień leżał na jego klatce piersiowej. Długo się wahał, czy chce w te sprawy wtajemniczyć również córki. To niedobrze, że ojciec musi się wstydzić przed dziećmi, w końcu jednak doszedł do wniosku, że powinny wiedzieć.

Paul milczał i kręcił się niecierpliwie na krześle. Dobrze, że ojciec wyznał to wszystko, ale on miał teraz własne zmartwienia. Wypytał już starego ogrodnika, czy widział Marie. Gustav był w szklarni, wieszał płachty, żeby osłonić rośliny przed gorącym czerwcowym słońcem. Nic nie widział.

– Paul, słuchasz mnie?

Skrzywił się. Oczywiście, że słyszał, ojciec może mówić.

– Przypominasz sobie naszą rozmowę sprzed trzech tygodni?

Paul pamiętał ją aż nazbyt dobrze. Miał ogromne wyrzuty sumienia, że tak bardzo zdenerwował ojca. Teraz jednak, gdy więcej wiedział o przeszłości, jego poczucie winy zmalało.

– Paul, to było bardzo niesprawiedliwe z mojej strony. Okłamałem cię, bo nie chciałem się przyznać do winy. Bóg jednak mnie ukarał, dosięgła mnie Jego ręka.

Ojciec próbował nieco się unieść i Paul doskoczył do niego, żeby mu pomóc.

– Zostaw... – wydyszał Melzer. – Chcę to zrobić sam. Sam muszę sobie radzić.

Faktycznie udało mu się usiąść, przechylał się trochę do przodu i z trudem oddychał, ale wydawał się zadowolony.

– Najprawdopodobniej niedługo będę się musiał rozliczyć z wiecznym Sędzią, Paul – powiedział, wciąż dysząc. – A moje sprawy nie wyglądają dobrze. Czy mógłbyś mi pomóc?

– Jeśli tylko będę w stanie...

Johann Melzer przyjął to z ulgą i czekał, aż Paul poprawi mu poduszki pod plecami.

– Powiedz mi, co łączy ciebie i Marie – zmienił temat ojciec. – Czy to tylko

flirt, który niebawem się skończy? A może coś więcej?

Paul nie spodziewał się tego pytania i nie wiedział, czego jeszcze może się spodziewać. Jeszcze trzy tygodnie temu ojciec mówił o „przytarciu rogów” i ostrzegał go, że Marie może „przywiązać go do siebie dzieckiem”. Choroba zmieniła Johanna Melzera.

– To coś więcej – wyznał. – Znacznie więcej.

Wydawało się, że ta odpowiedź spodobała się ojcu. Zapytał, jak długo to trwa i czy przypadkiem dziecko nie jest już w drodze. Paul musiał zdusić w sobie wznoszący się gniew – czy to było przesłuchanie?

– Pewnie mi nie uwierzysz, ale ja nawet jeszcze nie dotknąłem Marie. Ona nie należy do tych, które łatwo ulegają mężczyźnie, jest na to zbyt mądra i dumna.

Johann Melzer zaczął kaszleć, musiał znów wziąć łyk wody, sapał i próbował łapać oddech.

– Jeszcze nawet jej nie dotknąłeś? Jak to możliwe? Jeśli sobie dobrze przypominam, wcześniej nie byłeś tak powściągliwy.

Paul potwierdził. Z Marie jest zupełnie inaczej. Nie potrafił tego wyjaśnić, ale miało to związek z szacunkiem. I z miłością.

– Z miłością – powtórzył Johann Melzer. – A ona? Czy ona też jest zakochana? Czy jesteś jej zupełnie obojętny?

– Nie wiem – odparł Paul. – Wcześniej myślałem, że coś do mnie czuje. Ale potem...

– Co potem?

Paul wahał się, czy może się zupełnie otworzyć przed ojcem. Może się zdenerwować i dostać kolejnego ataku. Z drugiej jednak strony kusiło go, żeby mu opowiedzieć o swojej miłości.

– Potem się skończyło, zanim się zaczęło. Oświadczyłem się jej, a ona odmówiła, twierdząc, że panicz nie może poślubić pokojówki.

Przerwały mu niepokojące dźwięki wydawane przez Melzera. Przestraszony zerwał się na równe nogi i chciał biec do drzwi, żeby sprowadzić lekarza, zatrzymał się jednak, bo ojciec wyciągnął do niego rękę.

– Ty... ty się... jej oświadczyłeś? – wysapał i znów jęknął. – To wspaniale. I ona ci odmówiła?

Paul zorientował się, że ojciec się śmieje. Śmieje się z niego, bo pokojówka Marie dała mu kosza. Cóż, dobrze, że go to bawiło.

– Posłuchaj, Paul – powiedział ojciec i złapał go za ramiona. – Podoba mi

się ona, ta twoja Marie. Kocha cię czy nie, nie ma znaczenia, chciałbym, żebyś ją poślubił.

Melzer opadł znowu na poduszki i z wyczerpania zamknął oczy. Paul patrzył na niego i zastanawiał się, czy jego ojciec nie oszalał.

– Zrozum – mruknął chory. – To jest moja jedyna szansa na odkupienie win. Zadośćuczynisz jej za krzywdy, które ja jej wyrządziłem. Porozmawiaj z nią, proszę.

Paul obiecał, bo co mógł zrobić innego? Musiał odnaleźć Marie, choćby miał całą noc przeszukiwać Augsburg wzdłuż i wszerz. Gdy wyobraził sobie, że mogła wsiąść do pociągu i wyjechać gdzieś daleko, zrobiło mu się ciemno przed oczami.

d="w_cieniu_tajemnic-61.html" xml:lang="pl-PL" aid="1P71O1">

Poranne słońce przebłyskiwało przez liście dębów i klonów, a od czasu do czasu promienie padały też na stare kamienie, oświetlając zatopiony w nich kwarc. Ptaki wierciły się na drzewach, skakały po gałęziach i bez skrępowania siadały na wyciągniętych rękach cmentarnych aniołów. W tych porannych godzinach na augsburskim cmentarzu Hermana było dość wesoło i przyjaźnie. Żadne westchnienia, żadne łzy nie burzyły spokoju zmarłych, tylko zięby, wróble i sikorki śpiewały pieśni codziennego życia.

– To tutaj.

Wielebny Leutwien wskazał mały grób przy skrzyżowaniu, na wpół zasłonięty przez cień rzucany przez imponujące miejsce spoczynku rodzin arystokratycznych z Augsburga. Wąski kawałek ziemi między grobami i alejką był zbyt mały, by postawić tam pomnik dla rodziny, a nawet na pojedynczy grób było tutaj mało miejsca. Marie powoli podeszła bliżej, zobaczyła prostokątny nagrobek z marmuru, kwitnące begonie, pęk niezapominajek i bluszcz porastający szary kamień. Litery były szerniałe od deszczu i wiatru, tak że ledwie je było widać.

Tutaj spoczywa w Bogu

Jakob Burkard

Konstruktor

Ur. 28.2.1857, Zm. 29.1.1895

Jej ojciec. Nie mogła go poznać, ale przynajmniej mogła teraz stanąć nad jego grobem. Było to niewypowiedziane smutne, ale również na swój sposób zbawienne. Zdarzenia zyskały swój porządek, pytania otrzymały odpowiedzi, a wątpliwości zostały rozwiane. To był jej ojciec i w tym miejscu odnalazł wieczny odpoczynek. Płakała cicho i czuła, że jej niepokój powoli znika.

Wielebny Leutwien stał w milczeniu obok niej i pozwalał jej płakać, nie próbując nawet jakoś jej pocieszać. Dopiero gdy pochyliła się nad grobem, żeby położyć na nim róże, które przyniosła, zaczął mówić.

– Każdego roku pan Melzer dawał sporą sumę dla administracji cmentarza. Jak widzisz zresztą, grób jest w dobrym stanie.

Marie ułożyła róże na pomniku i milczała. Tak, pan Melzer z całą pewnością nie był skąpy, dawał też datki na sierociniec. Cóż, było go na to stać. Ale czy zaprowadził córkę Jakoba Burkarda na grób jej ojca? Przeciwnie, bardzo się starał, żeby trzymać ją od niego jak najdalej.

– Wiem, że płacił dużo – mówił dalej Leutwien, który doskonale wyczuł przyczyny jej milczenia. – To jednak pokazuje, że dręczyło go sumienie. Lubił twój ojca, jego śmierć bardzo nim wtedy wstrząsnęła.

Marie była daleka od tego, by okazywać zrozumienie Johannowi Melzerowi. Wyznał prawdę tylko dlatego, że jest bliski śmierci i boi się, że ciężar tych grzechów mógłby skazać go na wieczne potępienie. Może nawet Leutwien trochę go do tego popchnął, bo wiedział dobrze, że to wyznanie musi być wypowiedziane w obecności jego syna i Marie, by miało moc wybawienia. Nie było łatwo przejrzeć księdza, ale Marie zorientowała się, że ważna jest dla niego nie tylko Boża, ale również ziemski sprawiedliwość. Dlatego zwróciła się do niego ze swoim problemem, a on udzielił jej schronienia. Dał jej do dyspozycji jedno z maleńkich pomieszczeń na strychu plebanii, żeby mogła tam spokojnie przemyśleć wszystko i odzyskać równowagę. Spędziła tam samotnie dwa dni i dwie noce, potem gospodyni zapukała do drzwi i powiedziała, na swój gburowaty sposób, że przyniosła coś do jedzenia. Była dziwną kobietą, zdystansowaną i nie liczącą się z innymi. Sprawiała wrażenie, że ludzie jej przeszkadzają. A mimo to przynosiła Marie trzy razy dziennie tacę pełną jedzenia.

– Panie, daj wieczny odpoczynek temu zmarłemu i docień jego dobre uczynki w najświętszym dniu, gdy sprawiedliwi powstaną w Jezusie Chrystusie. Amen.

Marie podniosła i złożyła ręce, podczas gdy Leutwien modlił się za jej ojca, który został tutaj pochowany dziewiętnaście lat temu.

– A moja matka? Czy ona też jest tutaj pochowana?

– Oczywiście. Ale na innym miejscu.

W drodze powrotnej Leutwien prowadził ją obok wspaniałych pomników z kamienia, należących do bogatych rodzin. Przypominały smukłe kolumny

zwycięstwa albo trójskrzydłowe ołtarze, ozdobione puttami oraz pogrążonymi w żałobie aniołami. Czy nie mówi się, że wobec śmierci wszyscy jesteśmy równi? Wydawało się jednak, że ona też ustanawia potężne różnice między zamożnymi urzędnikami miejskimi i prostymi szewcami czy krawcami. Przechodzili koło kościoła Świętego Michała na drugą część cmentarza. W białej bramie cmentarnej stały dwie starsze panie, które cicho rozmawiały i niosły kosze kwiatów oraz narzędzia ogrodnicze. Na kamiennej fontannie kręciły się wróble, chcąc ugasić pragnienie, a na drodze przed nimi ruda wiewiórka niczym czerwonobrzowa strzała wystrzeliła po pniu drzewa, wbiegając aż pod jego koronę. Ksiądz przystanął na małej łące, blisko cmentarnego muru. Nie było tutaj monumentalnych pomników, kolumn z marmuru, żadnych fantazyjnych kompozycji kwiatowych. Pod ceglanym, bielonym murem leżały niewielkie kamienie, niektóre zupełnie surowe, jedynie z napisanym na nich nazwiskiem. Marie wstrzymała oddech. A więc to tutaj. Melzer nie postawił pomnika dla jej matki, tylko przeznaczył miejsce pośród innych biednych nieszczęśników.

– Tam, biały kamień, piąty od lewej strony.

Wyróżniał się, bo widniał na nim jakiś relief. Nie był zbyt widoczny, bo krył się w cieniu rzucanym przez mur, a w dodatku obrósł go mech. Marie znalazła patyk i zaczęła go zeskrobywać. Na kamieniu ukazał się wizerunek kobiety, ubranej w drapowaną suknię, sięgającą jej do kolan. Podobnie jak postać wyrzeźbiona w drewnie, którą Marie widziała w domu na obrzeżach miasta, również i ta wyglądała tak, jakby chciała wyrwać się z kamiennego tła, wyciągała ręce ku wolności, ale na próżno; była na stałe z nim zrosnięta.

– Jej nazwisko jest na samym dole – powiedział wielebny Leutwien. – Kamień z biegiem czasu coraz bardziej zapadał się w ziemię.

Napis był niewyraźny, jakby ktoś niewprawną ręką wybijał go młotem i dłutem. „Luise Hofgartner”. Nic więcej, żadnej daty, żadnego cytatu z Biblii.

– Odwiedzałem ją od czasu do czasu w mieszkaniu na przedmieściu – ciągnął Leutwien. – Nie lubiła księży, ale na rozmowę o malarstwie zawsze była gotowa. Dwukrotnie złożyłem u niej jakieś małe zamówienia, ale nie chciała malować tematów biblijnych, więc nie bardzo mogłem jej pomóc. Była dumną kobietą, buntowniczką. Może ten grób nawet by się jej podobał. Na łące, pod kamieniem, który sama wyrzeźbiła. Nie była kobietą, którą można byłoby zamknąć w marmurowej klatce.

Marie wstała i przyniosła wiaderko z wodą. Moką szmatką zmyła ziemię

i mech z reliefu. Kamień pod wpływem wilgoci stawał się coraz ciemniejszy, zdawał się wsysać wodę, ale może właśnie dzięki temu ujawniał teraz swoją pierwotną postać, strukturę i kolor. Położyła róże na kamieniu i Leutwien też za jej matkę odmówił modlitwę.

– Gdyby żyła, mogłaby mi to wziąć za złe – powiedział z uśmiechem. – Ale w miarę upływu czasu na pewno stała się spokojniejsza i mądrzejsza. Zrozumiałaby, że wypowiedziałem te słowa również z myślą o tobie, Marie.

– Dziękuję ci bardzo, ojczy.

Umyła szmatkę pod kranem. Woda lśniła w porannym słońcu i wypływała z dwóch żelaznych dziobków jak kaskada światła. Wróbelki nie bały się jej, przyskakiwały z zaciekawieniem, może nawet z nadzieją, że usiądzie koło nich i poczęstuje je jakąś drobną przekąską. Z pobliskiego dworca było słychać przeraźliwy gwizd lokomotywy.

– Co zamierzasz, Marie?

Wielebny Leutwien stał obok niej przy fontannie, zdjął okulary i oczyścił je chusteczką. Wydawał się zadowolony z siebie i nawet odrobinę senny. Teraz, gdy stawał się coraz starszy, poranne msze dawały mu się we znaki, często robił sobie po nich krótką drzemkę. Dzisiaj zrezygnował z dodatkowego snu, żeby spełnić życzenie Marie.

– Muszę im przekazać wiadomość – powiedziała Marie bardziej do siebie niż do wielebnego. – Nie było uczciwie uciekać tak na łeb na szyję.

– Wiadomość? – zapytał, jak gdyby nie pojął, o co jej chodzi.

– Tak, wiadomość. Może po prostu napiszę list.

– List – powtórzył w zamyśleniu. – To dobry pomysł. To, co napisane, jest trwalsze. Gdy wyłożysz im czarno na białym, o co chodzi, może bezpiecznie do domu...

– Mogłabym także zadzwonić – przerwała mu Marie. – Pójdę na pocztę i zadzwonię do fabryki.

Wielebny Leutwien pokiwał głową i stwierdził, że ten pomysł jest dużo lepszy niż poprzedni. Z pewnością rozmowa telefoniczna jest bardziej bezpośrednia, można więcej wyjaśnić, położyć kres nieporozumieniom, dodać otuchy, złożyć obietnice, a nawet wyznać miłość. Telefon to wspaniały wynalazek nowych czasów, można by się nawet spowiadać telefonicznie. Marie spojrzała na niego z powątpiewaniem i zorientowała się, że po prostu trzymają się go żarty.

– Co by mi ksiądz poradził, wielebny Leutwien?

Uniósł w górę brwi i sprawiał wrażenie, jakby musiał wszystko gruntownie przemyśleć. Tak naprawdę odpowiedź miał już od dawna przygotowaną.

– Uciekłaś bez pożegnania. Czy nie byłoby dobrze, gdybyś jednak pojawiła się tam osobiście i wyjaśniła niektóre sprawy?

Przytaknęła. Oczywiście miał rację. Była tchórzem, chciała się ukryć za listem albo za aparatem telefonicznym. Wszyscy byli na nią źli, że zniknęła bez pożegnania. Począwszy od łaskawej pani i panienci Elisabeth, po Hannę, która musiała za nią bardzo tęsknić. I przede wszystkim Kitty! Na pewno wychodziła z siebie. I Paul. Konfrontacja z nim była najtrudniejsza. Odrzuciła chłodno prośbę jego ojca. Gdzieś głęboko w sobie wciąż była niepokodzona z faktami i tak jak sądziła, na samą myśl o nich poczuła wzrastający gniew. Nie będzie wybaczenia dla człowieka, który oszukał jej ojca i sprawił, że jej matka umarła w nędzy. Nie było jej przykro i bała się, że rozczaruje tym Paula. Dlaczego nie potrafiła być potulna i łagodna, jak oczekuje się od kobiety? Dlaczego nie mogła wybaczyć skruszonemu grzesznikowi jego przewinień? Pewnie odziedzyczyła to po swojej matce i właśnie te jej cechy się ujawniały. Luise Hofgartner też nie umiała wybaczyć Melzerowi.

– Do odważnych świat należy! – powiedział Leutwien i dodał z uśmiechem:
– To się tyczy również dziewcząt.

Odetchnęła głęboko i poszła za nim w milczeniu przez bramę cmentarną w kierunku miasta. Zaczynało się budzić do życia. Tramwaje już wyjechały na ulice, samochody i wozy konne tworzyły dodatkowy ruch i hałas na ulicach, a ogromny pojazd przewożący mleko zmusił ją, żeby trzymała się bardzo blisko ścian mijanych domów. Dopiero na Franziskanergasse było spokojniej, wysokie drzewa rosły wzdłuż ulicy, a między nimi, w oddali, widać już było zielony dach wież kościoła Świętego Maksymiliana.

– Utnę sobie teraz półgodzinną drzemkę – powiedział wielebny, gdy stanęli przed plebanią. – Powodzenia, Marie. Albo raczej: Bóg z tobą!

Właściwie miała zamiar wejść z nim i dać sobie czas na małe wytchnienie, ale doszła do wniosku, że musi zrealizować swój plan natychmiast. Czeką ją pół godziny drogi, jeśli będzie szła wolno. Nie będzie dłużej tego odwlekać.

– Dziękuję, wielebny, za wszystko, co dla mnie zrobiłeś! Nigdy ci tego nie zapomnę!

Skinął przyjaźnie i zamknął drzwi. Marie przeszła wolno przez plac kościelny i skierowała się ku bramie Jakoba. Kilka razy przekraczała niewielkie odnogi rzeki Lech, które płynęły tutaj między domami

i pod mostami. Dolne miasto z jego wąskimi uliczkami i małymi domami wydało jej się nagle bardzo znajome i bezpieczne, bo chronione przez stary mur miejski. Było to miejsce biedne, ale bezpieczne, przestrzeń do życia, powstająca tutaj od stuleci. Za bramą Jakoba wznosiły się natomiast fabryki, wyciągające w niebo dymiące kominy, zanieczyszczające jasną wodę strumieni. Na podwórzach wokół nich, na ciężarówkach, nieustannie były ładowane rozmaite towary, które następnie przewożono na dworzec towarowy.

Tak dobrze pamiętała swój pierwszy dzień w posiadłości! Wszystko było wtedy takie obce, rozległy park, duża murowana budowla. Przede wszystkim jednak ludzie, których tam spotkała. Służba żyjąca według ściśle ustalonego porządku i państwo, wobec których czuła głęboki respekt. Przystanęła przed bramą do parku. Podjazd do posiadłości otaczały zielone platany, z intensywnie zielonym listowiem. Czerwone światło przenikało między drzewami, rzucając poświatę na budynek, na klombie przed wejściem kwitły aksamitki i kolorowe bratki, a także jasnoniebieskie niezapominajki. Każdy, kto tędy szedł, musiał mieć poczucie, że należy iść drogą wskazywaną przez zielone platany, by dotrzeć do tego pięknego domu migoczącego w oddali. Nie minął jeszcze rok, odkąd zobaczyła to miejsce po raz pierwszy. A prawdopodobnie widzi je dzisiaj po raz ostatni.

– Marie! – zawołał ktoś, kto musiał być w pobliżu.

To stary ogrodnik Bliefert, który smarował szczepy platanów ciekłą żywicą. Przystanęła i przywitała się z nim, szczęśliwa, że jest dla niej tak miły. Choć jedna osoba, która nie była na nią zła.

– To dobrze, że w końcu wróciłaś, dziewczyno – powiedział i zamieszał pędzlem w puszcze z żywicą, żeby zbyt szybko nie zastygła.

– Tak – potwierdziła zawstydzona. – Najwyższy czas.

Nie wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć, poszła więc dalej. Samochód, dotąd zaparkowany tuż przed wejściem do willi, ruszył i przejechał koło niej. W środku siedział Gustav, ubrany w czapkę szofera. Machnął do niej na przywitanie. Miejsce obok niego nie było zajęte – dziwne. Przystanęła przed kolorowymi rabatkami, żeby wziąć znów głęboki oddech. Właśnie tutaj w październiku minionego roku przejeżdżał koło niej ten sam samochód i Paul patrzył na nią z ciekawością. Ich pierwsze spotkanie. Początek ich miłości. I co teraz? Bądź odważna, pomyślała. Tak czy inaczej – nie będzie się wykręcać ani kłamać. Zwłaszcza ze względu na człowieka, którego kochała, bo to może przynieść jedynie nieszczęście. Chciała wejść

schodami dla służby, jednakże właśnie w tym momencie pod portykiem otworzyły się drzwi wejściowe. Na progu pojawiła się Auguste w ciemnej sukni, białym fartuchu i ze starannie upiętymi włosami pod czepkiem. Jej okrągła twarz była zaróżowiona z emocji.

– Jesteś w końcu! Wielki Boże, tak wszyscy na ciebie czekamy! Wejdz, wszyscy będą bardzo szczęśliwi z twojego powrotu! Ach, i muszę teraz do ciebie mówić „pani” albo nawet „łaskawa pani”.

Marie zastygła w bezruchu. Czy biedna Auguste bredziła w gorączce? Rumieńce na jej twarzy mogły o tym świadczyć.

– Marie! – zawołał ktoś z drugiego końca holu. – Marie, ty nieposłuszna, bezczelna dziewczyno! Chciałabym cię teraz tylko okładać bez końca i szarpać za włosy! Jak mogłaś mi to zrobić? Jak? No powiedz! Och, Marie, tak bardzo się cieszę, że znów z nami jesteś!

To była Kitty. Marie szybko wbiegła po schodach i to byłaby idealna chwila, żeby rzucić się jej prosto w ramiona. Gdyby tylko Kitty z wrażenia nie potknęła się na schodach.

– Kitty – jęknęła Marie. – Panienko Katharino. No, niech się już panienka uspokoi. Przykro mi, ale nie potrafiłam postąpić inaczej.

Kitty, szlochając, mocno ją objęła i gorącymi łzami zmoczyła jej żakiet. Wszyscy się już jednak przyzwyczaili, że tak właśnie reaguje, i nikt nie miał jej tego za złe.

– Tata nam wszystko powiedział, Marie. To taki wstyd, że aż nie mogę w to uwierzyć. Jaki musiał być z niego diabeł, z tego naszego ojca, że właśnie w tym czasie wesoło grał z nami w piłkę w parku. Ach, Marie, tak wiele musimy ci wynagrodzić.

Marie nie wiedziała, co powinna odpowiedzieć na te wylewne słowa. Johann Melzer naprawdę wtajemniczył w tę sprawę córki i żonę. Czy faktycznie tak poważnie traktował swoją pokutę? Cóż, Marie jednak nie pomoże mu w tym względzie.

Tymczasem do korytarza zbiegli się już prawie wszyscy pracownicy, stały wśród nich nawet dwie praczki, które przychodziły do willi jedynie raz w tygodniu.

– Witamy cię całym sercem, Marie – powiedziała uroczyście gospodyni i podała jej rękę. – Już wcześniej wiedziałam, że jesteś kimś wyjątkowym.

– Panno Schmalzler... ja chciałabym... – wyjąkała Marie zakłopotana, ale nie zdążyła powiedzieć nic więcej.

– No wreszcie! Chodź tu lepiej się przywitać, dziewczyno! – zawołała kucharka z szerokim uśmiechem. – Uciekać przed swoim własnym szczęściem, głuptas!

Humbert nie powiedział ani słowa, ale uśmiechał się od ucha do ucha, a twarz Else oblały łzy radości. Nawet Maria Jordan przyszła się przywitać i uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Ach, wiedziałam to przecież – paplała Else radośnie. – Wróciła. Ksiądz powiedział, że tak będzie i tak się właśnie stało.

Marie westchnęła. Ach, więc to było rozwiązanie zagadki. Leutwien, ten podstępny człowiek, już zdążył ich zawiadomić.

– Chodź na górę, Marie – niecierpliwiła się Kitty. – No puśćcie ją, nie widzicie, że chcemy sobie pójść? Może ona jest wasza, co? Czemu tutaj tak wszyscy stoicie? Odwiedza nas dzisiaj może jej cesarska mość? – powiedziała to, śmiejąc się i płacząc jednocześnie, złapała Marie za rękę i pociągnęła na górę.

– Mama już zupełnie wychodzi z siebie – mówiła. – Tata powiedział, że ma nadzieję na wasz szybki ślub, Paula i twój, moja mała Marie. Wciąż nie mogę uwierzyć, że będziesz moją bratową!

Marie pozwoliła jej mówić, bo gdy Kitty była aż tak podekscytowana, nie można było w żaden sposób jej uciszyć. To, o czym świergotała tak radośnie, nie mogło być przecież zgodne z prawdą, bo Johann Melzer wyraźnie zabronił Paulowi tego małżeństwa. Czyżby zmienił zdanie? Ależ skąd, to by znacznie przekraczało ramy pokuty. O wiele bardziej prawdopodobne było, że Kitty uległa znów fantazji, co się jej dość często zdarzało.

– Elisabeth, ta głupia dziewczyna, już wczesnym rankiem, razem z von Hagemannem i dwiema koleżankami, wybrała się na wycieczkę. Wyobraź sobie, że w przyszłym tygodniu on musi wracać do pułku i później nie dostanie przepustki. Musimy przełożyć przyjęcie zaręczynowe. Ale mama jest tutaj i natychmiast chce cię zobaczyć.

Zamierzała otworzyć drzwi do czerwonego salonu, już złapała za klamkę, zamarła jednak i odwróciła się w drugą stronę.

– Już tutaj jesteś?

Paul stał na klatce schodowej, wciąż zziębnięty po szybkim biegu. Jego marynarka była rozpięta, a krawat rozwiązany.

– Drogi Boże – powiedziała Kitty rozgniewana. – Nie sądziłam, że Gustav tak szybko cię przywiezie. Teraz będziesz chciał mieć Marie tylko dla siebie.

Spojrzał na nie niepewnie, próbując wyczytać coś z twarzy Marie, ale nie potrafił.

– Chciałbym – powiedział. – Ale nie wiem, czy Marie też by chciała.

– Oczywiście! Inaczej by nie wróciła, prawda? – odpowiedziała za nią Kitty i wzięła głęboki oddech. – Zostawiam więc was dwoje, kłóćcie się, bijcie się, wybaczajcie sobie. Marie, mówiłam ci już, że Alfons mi się oświadczył? Nie wiem, co powinnam zrobić, ale myślę, że go przyjmę.

Zamilkła na chwilę, licząc na to, że Marie się wypowie na ten temat, ale potem zdała sobie sprawę, że ona jej wcale nie słyszała. Zatonęła w spojrzeniu Paula.

– Tak, Paul – powiedziała Marie. – Sądzę, że powinniśmy porozmawiać.

– Więc chodź, proszę...

Marie zawsze uwielbiała ich bibliotekę, nawet jeśli tylko czasami mogła tam przebywać. Na wysokim rzeźbionym regale, w ciasnych rzędach stała niezliczona liczba książek, prawie wszystkie oprawione w kolorową skórę. Po lewej stronie pomieszczenie przechodziło w zimowy ogród, gdzie w donicach i kubłach hodowano rzadkie gatunki roślin. Była to mała dżungla, można było tam usiąść na wiklinowych krzesłach i czytać książki. Paul zatrzymał się przed drzwiami i poczuła jego rękę na ramieniu, gdy przechodziła obok niego do pokoju. Zadrżała. Wrażenie, które na niej wywierał, było wciąż ogromne, musiała się przed tym bronić.

– To były złe dni – powiedział. – Marie, bałem się, że straciłem cię na zawsze.

A czy on kiedykolwiek ją posiadał? Odwróciła się do niego i krew w jej sercu zawrzała, gdy spotkały się ich oczy wyrażające niewysłowioną tęsknotę.

– Wybacz mi, Paul, że stchórzyłam i uciekłam. Czy wielebny Leutwien nie powiedział wam, dokąd odeszłam?

Uśmiechnął się z naturalnością charakterystyczną dla młodego chłopca. Tak, Leutwien w wielkiej tajemnicy zdradził im, że wprowadziła się na plebanię. Zrobił to jednak dopiero wczoraj wieczorem, gdy Paul przeszukał już połowę miasta i poważnie się martwił, że mogła opuścić Augsburg.

– Co byś wtedy zrobił?

Potrząsnął głową i oświadczył, że najpewniej rzuciłby się w nurty Lech.

– W takim razie dobrze, że wróciłam w odpowiednim momencie – stwierdziła z uśmiechem. – Powiedz mi, czy to prawda, o czym Kitty wcześniej świergotała?

Cóż, rozmawiali ze sobą dość swobodnie, podszedł więc bliżej. Czy nie wiedział, jak wielką ma nad nią władzę? A może on też uległ temu zdradliwemu czarowi, który tak mocno ich do siebie przyciągał?

– Kitty nie zamykają się usta, a dzień jest długi – odpowiedział. – Co masz na myśli?

Bała się, że powie coś nieodpowiedniego albo bolesnego, ale musiała mieć pewność.

– To, że twój ojciec zmienił zdanie...

– To prawda, Marie. Prosił mnie nawet, żebym ci się oświadczył. Ma nadzieję, że w ten sposób uzyska przebaczenie...

– Przebaczenie? – powtórzyła cicho i zrobiła krok w tył.

Nastała ta chwila. Teraz musiała być szczerą wobec siebie i wobec niego. Żadnych kłamstw, nie można budować miłości na kłamstwie.

– Paul, strasznie mi przykro, ale nie mogę mu wybaczyć. Nawet jeśli tak bardzo cię kocham.

Nie mógł już dłużej się powstrzymać, chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie. Co ona mówi? Był ostatnim człowiekiem, który by od niej tego wymagał. Zbyt dobrze rozumiał jej gniew, sam był pełen wściekłości i wstydu, gdy usłyszał wyznanie ojca.

– Oszukał też ciebie, pozbawiając cię dziedzictwa. Fabryka w połowie należała do twojego ojca, on w podły sposób...

– Ach, znów fabryka! – krzyknęła gniewnie i uwolniła się z jego uścisku. – Ta głupia fabryka i wasze głupie pieniądze! To jest mi zupełnie obojętne! Tylko moja matka nie musiałaby umrzeć, gdyby jej wszystkiego nie odebrał. Nigdy nie potrafię mu tego wybaczyć! Będę go za to nienawidzić do końca życia!

Opuścił ręce i zobaczył, jak bardzo jest nieszczęśliwa, że zamarł. Czy musi być aż tak zawzięta? Musi kazać mu cierpieć za winy jego ojca?

– Marie, nie wymagam od ciebie, żebyś wybaczyła mojemu ojcu – powiedział cichym głosem. – Boję się jednak, że przeszłość będzie rzucała cień na nasze życie. Nie możemy na to pozwolić.

– To co powinniśmy zrobić? – zapytała zrozpaczona. – Wziąć ślub, bo twój ojciec tak postanowił?

– Nie! – krzyknął rozgniewany. – To jest zupełnie nieważne, czego chce mój ojciec, bo poślubiłbym cię i wbrew jego woli. Teraz jednak nie odważę się ponownie zapytać, czy zostaniesz moją żoną.

– Dlaczego nie?

Uniósł ręce i opuścił je w geście bezradności.

– Bo nie wiem, czy ty jeszcze mnie chcesz.

Spojrzała na jego nieszczęśliwą twarz i ogarnęła ją głęboka czułość. Dotarło do niej nagle, od jak nieskończenie długiego czasu jest z nim związana, dłużej niż trwa życie człowieka, dłużej niż istnieje wszechświat. I zrozumiała, że jest tylko jedna odpowiedź, jaką może mu dać, bo każda inna będzie kłamstwem.

– Cóż – powiedziała i uśmiechnęła się do niego z miłością i jednocześnie nieco zadziornie. – Chcę ciebie, Paul. Nawet bardzo. I na zawsze.

d="w_cieniu_tajemnic-62.html" xml:lang="pl-PL" aid="1Q5IA1">

CZEŚĆ VII

CZERWIEC 1914

Padało w nocy i Alicia obawiała się, czy w parku nie będzie zbyt mokro albo nawet ślisko. Staremu ogrodnikowi Bliefertowi udało się ją jednak uspokoić. Poranne słońce sprawiło, że wilgoć odparowała i tylko jeszcze przed willą zostały małe kałuże. A i te kazał wnukowi zasypać piaskiem i żwirkiem.

– W takim razie zdobądźmy się na odwagę! – powiedziała łaskawa pani.

Johann Melzer w ciągu ostatnich dni zaskakująco szybko doszedł do siebie, jadł z apetytem, czytał gazetę i spędzał popołudnia w swoim gabinecie. Milczeniem pominął fakt, że pistolet zniknął z szuflady dużego biurka z drewna orzechowego. Alicia upewniła się, że już nigdy nie odnajdzie swojej broni. Wieczorami siedział w pokoju dla panów z Paulem, kazał sobie opowiadać o tym, jak rozwija się firma, i smakował czerwone wino. Jego papierośnica pozostawała nietknięta, bo lekarz zasugerował mu, że powinien zrezygnować z przynajmniej jednego ze swoich nałogów, i uznał, że woli czerwone wino od cygara.

Alicia uważnie obserwowała jego powrót do zdrowia. Po raz pierwszy od dwudziestu sześciu lat miała Johanna w domu przez całe dni i ten niezwykle rzadki stan rzeczy dobrze wpłynął na ich małżeństwo. Sporo rozmawiali o tym, co ich dzieliło i co im przeszkadzało, wyjaśniali nieporozumienia, pozbywali się dręczącego ich gniewu i przede wszystkim odkryli, że więź, która ich łączy, jest głębsza, niż im się wydawało.

– Miłość to wielkie słowo – powiedział jej kiedyś Johann. – A ja nie byłem z pewnością nigdy czułym ani kochającym mężem. Jesteś jak moja prawa ręka. Nie muszę codziennie się przekonywać, jak dobrze jest ją mieć. Ale niechby ktoś spróbował mi ją usunąć.

Dzisiaj Alicia postanowiła, że pójdzie z mężem na pierwszy od dawna, krótki spacer po parku. Odważyła się, bo zdaniem lekarza świeże powietrze i łagodny ruch sprzyjają rekonwalescencji. W ciągu najbliższych tygodni dobrze też byłoby rozważyć pobyt w uzdrowisku. Nad Morzem Bałtyckim, nie

nad tym surowym Morzem Północnym. Może Rugia, tam zawsze wszyscy dbają o gości uzdrowiska.

– Że też ciągle słuchasz rad tego typka! – mruknął Johann Melzer. – Na pewno jest strasznie zły, że wyzdrowiałem, pomimo że nie leżałem w jego głupim szpitalu.

Alicia się uśmiechnęła. Znow mogła się śmiać radośnie i bez skrępowania, jak wtedy, gdy była młodą kobietą.

– Cóż, na pewno jest bardzo zdziwiony.

W kapeluszu słomkowym na głowie i podpierając się laską zmarłego teścia, zszedł schodami na dół. Humberta, który został poinstruowany, że powinien pomóc łaskawemu panu w razie potrzeby, natychmiast odprawił. Czy naprawdę postarzał się aż tak, że nie jest w stanie zejść sam ze schodów?

Czerwcowe słońce padało na wiązy i rzucało srebrną poświatę na łąki w parku. Natomiast cień rzucały smukłe cyprysy. Niektóre z nich, wczesną wiosną, dość mocno uszkodził wiatr, poszarpał gałęzie i połamał najwyższe partie koron, ale i tak trwały dzielnie, wyprostowane i dumne, a z ich pni wyrastały młode, zielone gałązki. Johann Melzer postanowił wesprzeć się na ramieniu Alicii; chodzenie po śliskim żwirze nie było łatwe, ale nie chciał rozczarować żony i z determinacją stawiał kolejne kroki.

– Będzie wystawiona sztuka teatralna – powiedziała Alicia. – Zbudowali już scenę za domem. Miejmy nadzieję, że pogoda dopisze, bo nic się nie uda, jeśli cały dzień będzie padać. Kitty i Marie namalowały przepiękne dekoracje.

Alicia mówiła o jutrzejszym przyjęciu w ogrodzie. Zaproszono ponad stu gości. Spodziewano się znacznej liczby osób, a to dlatego, że cała trójka jego dzieci planuje ślub. Cała trójka. Nawet Kitty w końcu powiedziała „tak” i do tego znalazła dla siebie doskonałą partię. Diablica z tej jego Kitty. I nie będzie musiała pójść na szkolenie dla pielęgniarek, bo jej narzeczony bardzo się boi, że mogłaby się czymś zarazić, opiekując się chorymi.

– Wszystko układa się wspaniale, prawda? – emocjonowała się Alicia, która wspierała męża wytrwale, gdy źle postawił nogę lub się potykał.

– Wspaniale! – mruknął ponuro. – Stuletni staruszek wyprowadzony przez swoją córkę na świeże powietrze.

Roześmiała się i zaproponowała, żeby wybrali się drogą aż do wielkiego cedru. Stamtąd można zobaczyć ogródeczek, do którego wkrótce wyjdzie Auguste ze swoim dzieckiem. Gustav i ona niemalże potajemnie wzięli niedawno ślub. Else i kucharka były świadkami.

Melzer zażartował, że w takim razie już wie, dlaczego w niedzielę na obiad była tylko zimna pieczeń. Nic dziwnego, skoro cały personel miał powód do świętowania.

– Można się poczuć bardzo starym – powiedział i przystanął, żeby złapać powietrze. – Wszyscy się zakochują, biorą śluby, budują gniazda. Jesteśmy wprost otoczeni młodymi, którzy chcą się połączyć. Tego by tylko brakowało, żeby Humbert i pomoc kuchenna Hanna się w sobie zakochali.

– Do tego z pewnością nie dojdzie – zapewniła wesoło Alicia. – Ale popatrz no, jak pięknie wygląda ten domek pomalowany jasną farbą. Wydaje mi się, że wstawili nowe okna, z drewnianymi okiennicami.

Johann Melzer mrużył oczy przed oślepiającym słońcem i zrobił kilka kroków do starego cedru z szeroko rozłożonymi gałęziami. Alicia miała rację, domek, który kiedyś był jedynie składzikiem na sprzęt ogrodniczy oraz różnego rodzaju stare graty, został zmieniony w bardzo gustowne mieszkanie.

– Else mówiła, że Auguste postarała się nawet o nowe meble. Łóżeczko dla małej, pluszową kanapę, zasłony z aksamitu, a nawet nowy piec – opowiadała Alicia. – Pewnie wykorzystali oszczędności dziadka Gustava.

Johann Melzer wzruszył ramionami. Wątpił mocno w to, że staruszkowi udało się dużo uciuć. Większość oszczędności oddał dzieciom, które przychodzą do niego od czasu do czasu i wyciągają ręce po pieniądze. Nie inaczej niż robią krewni Melzera. Są to „petycje”, które zawsze trzeba rozpatrywać i nigdy nie można się na dobre pozbyć petentów.

– W każdym razie stary Bliefert bardzo się cieszy, że do jego chatki znów powróci życie – powiedziała Alicia. – Johannie, dobrze się czujesz? Powinniśmy wracać, jak na pierwsze wyjście, przeszliśmy dość długą drogę.

Przyznał jej rację, postukał drewnianą laską w szary, pomarszczony pień cedru i wsparty na ramieniu żony zawrócił do domu. Z tego miejsca widać było tylną część willi, gdzie nieopodal dużego tarasu rozciągał się ogród francuski i okrągły staw z fontanną. Przed stawem została wybudowana scena z desek, które Gustav razem z Humbertem poukładali na drewnianych kłocach i przybili do nich kołkami. Teraz przyniesiono jeszcze kilka drewnianych bali, na których miały wspierać się kulisy. Uderzenia młotkiem dochodzące z parku było słychać aż tutaj.

– Będziemy musieli przenieść fortepian – westchnęła Alicia. – Przyjaciółki Elisabeth zaplanowały najpierw prezentację fragmentów *Snu nocy letniej*, a później wybranych arii z operetki *Lizystrata*. Skomponował ją Paul Lincke.

– Lizystrata – mruknął. – Czy to nie była przywódczyni dzikich kobiet?

Alicia uśmiechnęła się łagodnie. Nie, może ma na myśli Pentezyleję, amazonkę. Lizystrata namówiła inne kobiety, by tak długo odmawiały mężom, aż nie zakończą oni wojny.

– Była więc heterą pokoju. Jak sutener – zazartował i rozejrzał się, czy z tego miejsca widać dym, unoszący się nad kominami jego fabryki.

Pokój był zasadniczo wyjątkowo pożądanym stanem i należało mieć nadzieję, że utrzyma się jak najdłużej. W obecnej chwili nie było to pewne, przede wszystkim wrzaskliwe przemówienia Kajzera nie sprzyjały jego trwaniu.

– Masz oczywiście rację – powiedziała Alicia z uśmiechem. – Ale kto może chcieć wojny? Jaki rozsądny człowiek może sądzić, że wojna jest komukolwiek potrzebna?

Milczał. Poruszanie takich tematów z kobietami było zupełnie bez sensu, one kompletnie nie znają się na polityce i oceniają wszystko swoimi „uczuciami”.

– Zobacz, Marie właśnie wyszła. I Kitty również. Chcą sprawdzić, czy dobrze zaprojektowały kulisy. Spójrz tylko, wyglądają jak grecka świątynia.

Marie, pomyślał i poczuł, jak wzbiera w nim niechęć. Tak, była córką Burkarda i zasługiwała na to, żeby współdziedziczyć fabrykę. To ona poślubi jego syna i kiedyś tutaj, w willi, zaprowadzi swoje kobiece rządy. To sprawiedliwe, że tak się stało. Córka Burkarda dostała to, co należało do jej ojca. Basta. Partnerska sprawiedliwość. Teraz byli kwita, Burkard i on.

– Jestem bardzo szczęśliwa, że to właśnie Marie będzie naszą synową – powiedziała Alicia z rozmarzeniem. – Od dawna bardzo ją lubię. Jest mądrą i rozważną dziewczyną. A do tego ma klasę. Od początku ją miała.

Johann Melzer przytaknął. Zauważył to już wtedy, gdy odbierała od nich prezent bożonarodzeniowy. Znowu poczuł niechęć i nie miał zamiaru wysilać się, żeby ją przewyciężyć. Mądra i rozsądna, akurat! Ona po prostu odziedziczyła dumę po matce. Ach, to byłaby prawdziwa uczta dla Luise Hofgartner, gdyby widziała tę scenę, która rozegrała się w gabinecie. On, dyrektor Melzer, ukorzył się przed jej córką, i ta złośliwa, arogancka osóbka odważyła się rzucić mu prosto w twarz, że nigdy mu nie wybaczy. Kopnęła leżącego przed nią człowieka. Teraz, gdy z dnia na dzień czuje się coraz lepiej, żałuje swojego wyznania. Czy faktycznie było konieczne otwieranie się także przed rodziną? Czy nie wystarczyłoby, gdyby powiedział prawdę tylko Marie? A może nie powinien był wyznawać wszystkiego? Leutwien, ten przebiegły

ksiądz, wykorzystał jego agonię, żeby te wszystkie sprawy ujrzały światło dzienne. A lepiej byłoby, gdyby pozostały w ukryciu na zawsze.

No ale już się stało. Postanowiono, że Marie musi natychmiast opuścić willę, bo jako narzeczona Paula nie może z nim mieszkać pod jednym dachem. Ludzie wzięliby ich na języki. Alfons Bräuer przyszedł im z pomocą i zaproponował, żeby Marie zamieszkała w kamienicy jego rodziców. Kitty wyposażyła przyszłą bratową w sukienki, kapelusze i inne rozmaite rzeczy, żeby nieślubna córka Luise Hofgartner wprowadziła się tam jak prawdziwa dama. Alfons Bräuer, ten zadziwiający mężczyzna, uścisnął nawet Paulowi rękę i powiedział, że gratuluje mu wyboru. W całym Augsburgu i okolicy nie mógłby znaleźć dla siebie lepszej żony.

– Jak myślisz, Johann? Czy nie lepiej byłoby, gdybyśmy wyprawili im wesele już jesienią, zamiast wiosną przyszłego roku? Elisabeth bardzo się podoba ten pomysł, a ja też jestem skłonna wybrać wcześniejszą datę.

– Elisabeth? Ona też nie może się doczekać, żeby jak najszybciej jej porucznik zawitał do przystani zwanej małżeństwem? Czyżby się bała, że piękny Klaus od niej ucieknie?

Alicia potrząsnęła głową ze złością. Jak on może wygadywać tak złośliwe rzeczy? Elisabeth nie jest łatwo, bo brakuje jej odwagi i swobody, którą ma Kitty.

– Dlatego ona ma to, co nazywa się zdrowym rozsądkiem – powiedział, żeby żonę uspokoić.

– Tak, oczywiście, że jest rozsądna – odpowiedziała Alicia z uśmiechem. – Wiesz, tak sobie myślę, że jeśli wcześniej by się pobrali, mielibyśmy wcześniej wnuki. Tak bardzo tęsknię za tym, żeby znów usłyszeć w naszej willi dziecięce głosy. Czy nie są one dowodem na to, że życie toczy się dalej, że trwa?

– Tak – powiedział wzruszony i delikatnie uścisnął jej dłoń. – Masz rację, Alicio. Wnuki, przede wszystkim chłopcy. Powinni zadbać o to, żeby fabryka, dzieło mojego życia, pozostała w rodzinie.

Melzer był zdecydowany wkrótce znów przejąć prowadzenie firmy i oddać synowi buławę marszałkowską najpóźniej, jak się da.

– Chodźmy już do środka – powiedział i wskazał laską na główne wejście. – Jest mi trochę zimno, a moje nogi nie są już takie sprawne.

W holu musiał na chwilę usiąść. Mimo jego gwałtownych protestów, Alicia zawołała Gustava i Humberta, żeby wnieśli go po schodach na krzesło, na

którym usiadł.

– Tylko nie do sypialni! – wrzasnął zdenerwowany. – Do biblioteki! Dajcie mi gazetę. I dobrą kawę. A jeśli ktoś mi jeszcze kiedykolwiek przyniesie rumianek, to wyleję mu go na głowę!

W bibliotece wszystkie dywany były zrolowane, a rośliny doniczkowe z zimowej oranżerii poustawiano na środku pokoju. Else i Hanna myły szyby wodą z gliceryną, żeby potem pięknie błyszcząły. Elisabeth stała z listą w ręce, sprawdzała, ile osób można by tutaj posadzić, gdyby faktycznie padało przez cały dzień.

– Mamo, będzie strasznie ciasno. Zmieści się tu najwyżej trzydzieści osób. A gabinet jest zdecydowanie zbyt mały, żeby rozstawić w nim bufet.

– Nie martw się, Liso – uspokajała ją Alicia. – Nie będzie padać. Mówi mi to dzisiaj wyraźnie moja chora stopa.

– Miejmy nadzieję, że się nie myli – westchnęła Elisabeth. – A myślisz, że pięciu dodatkowych kelnerów wystarczy?

– Na pewno. Mamy przecież jeszcze Humberta, a Auguste i Else też będą zajmowały się bufetem. Maria Jordan będzie odbierać prezenty i pomoże przy nalewaniu kruszonu. Czy panna Schmalzler rozmawiała z Bliefertem o dekoracjach kwiatowych na stoły i korytarze?

W tej chwili przybiegła Auguste, z trudem łapiąc oddech. Właśnie prała chodniczek i dlatego w ręce miała jeszcze wiadro z wodą.

– Łaskawa panienko, to dla panienki przyniósł posłaniec.

Rzuciła chodnik na podłogę, postawiła wiadro, sięgnęła pod bluzkę i wyciągnęła list, który miała schowany w staniku.

– Od panienki narzeczonego – powiedziała słodkim głosem.

Elisabeth wyrwała jej list z ręki.

– Następnym razem włóż pocztę do fartucha albo daj ją Humbertowi – odpowiedziała karcąco.

– Przepraszam, łaskawa panienko.

Johann Melzer zażądał jednak, żeby zaniecono go do sypialni. Tutaj było przecież jakieś pole bitewne! Jeśli kobiety ogarniały bzik na punkcie sprzątanina, nie można było się czuć bezpiecznie.

– Ach, Johannie – powiedziała Alicia łagodnie. – Tak się dzieje przed każdą uroczystością. Tylko ty nigdy tego nie zauważyłeś, bo zawsze byłeś wtedy w fabryce.

Elisabeth wzięła kopertę do ręki, ale pod żadnym pozorem nie chciała czytać

listu tutaj, w tym kompletnym chaosie.

– Idę do mojego pokoju, mam.

– Oczywiście, kochanie. Nie śpiesz się. Zajmę się kwiatami. A później przyjdzie Marie.

Elisabeth zamknęła ostrożnie drzwi do pokoju i podeszła do okna, żeby popatrzeć na ogród. Kitty i Marie były pochłonięte ustawianiem kulis na zaaranżowanej scenie. A więc ich powrotu nie powinna się obawiać. Spojrzała na list, który wyglądał zupełnie normalnie: adres, nadawca, znaczek, nic niezwykłego. Wysłany w Monachium, jak widniało na stemplu, gdzie teraz stacjonował jego pułk. Dlaczego napisał do niej list tuż przed oficjalnymi zaręczynami? Elisabeth była tak zaniepokojona, że otworzyła kopertę drżącymi rękami i spodziewała się najgorszego.

Moja Najdroższa,

z wielką radością czekam na dzień naszych zaręczyn. Będzie to początek – mam nadzieję, że niezbyt długi – okresu próbnego, gdy będziemy się wzajemnie poznawać, i jestem pewien, że nasza wzajemna sympatia stanie się silniejsza i głębsza.

W czasie tego oczekiwania otrzymałem jednak wiadomość od mojego przyjaciela z Augsburga, która mnie zaniepokoiła. Możliwe, że jest to jedynie plotka i wtedy, oczywiście, nie będę Cię więcej zarzucał moimi obawami. Jeśli jednak jest prawdą, że Twój brat Paul chce poślubić pokojówkę, to na pewno wywoła ona moje ogromne obawy o harmonijne relacje rodzinne, które są niezbędne do trwania naszego związku. Moi rodzice nie akceptują tego rodzaju mezaliansów, zwłaszcza że już wcześniej Twoja siostra Katharina wywołała skandal towarzyski. Mam ogromną nadzieję, że jest to kłamstwo i proszę Cię wówczas o wybaczenie, że w ogóle wysłałem ten list.

Pozdrawiam Cię z całego serca, moja najdroższa. Oczekuję naszych zaręczyn z wielką niecierpliwością i pozostaję na wieki Twój.

Klaus von Hagemann

Elisabeth opuściła list i starała się uspokoić kołaczące serce. Przeczynała, że tak właśnie będzie. W gruncie rzeczy Klaus miał rację, to było zupełnie bezmyślne ze strony Paula, by popełniać taki mezalians i w dodatku świętować

swoje zaręczyny razem z nią i jej narzeczonym. Kitty również mogłaby poszukać innego dnia na swoje przyjęcie. Ale i rodzice podeszli pragmatycznie do tej kwestii: jeśli zaręczyny, to najlepiej wszystkie naraz, to oszczędzi niepotrzebnych kosztów i odciąży służbę. Opadła na kanapę i raz jeszcze prześledziła wzrokiem list. Czy on grozi jej konsekwencjami? Czy zerwie z nią, jeśli Paul poślubi Marie?

...wywoła ona moje ogromne obawy o harmonijne relacje rodzinne, które są niezbędne do trwania naszego związku.

Czy to była groźba rozstania? Poczwała, jak zalewa ją fala strachu. Walczyła o niego tak długo, że nie pozwoli, by jej miłość okazała się teraz niefortunną porażką. Nie z powodu pokojówki, nawet jeśli była ona córką konstruktora, który kiedyś wybudował maszyny do fabryki taty. Czy to, co się wtedy wydarzyło, to jej wina? Ale oczywiście kolejny raz to ona, Elisabeth, będzie cierpieć z powodu podstępnych działań jej rodziny. Ale ona do tego nie dopuści. Nie, gdy chodzi o jej szczęście, o miłość jej życia. Było przecież coś jeszcze, co ukrywała przed rodziną.

d="w_cieniu_tajemnic-64.html" xml:lang="pl-PL" aid="1S2JE1">

Iz powodu takiej drobnostki przychodzisz tutaj i przeszkadzasz mi w pracy?

Paul kazał jej czekać dobre dziesięć minut w sekretariacie, gdzie dwie nadgorliwe sekretarki piły kawę pośród stukotu i grzechotu maszyn. Maszyny chodziły ciężko, ale one tak szybko uderzały w czarne, obramowane metalem klawisze, że trudno było nadążyć wzrokiem za ruchem ich palców. Swoją drogą, cóż to za okrutnie monotonna egzystencja – wybijać na tym urządzeniu listy pisane przez innych ludzi.

– Chciałam z tobą porozmawiać w cztery oczy, co w willi jest prawie niemożliwe, bo ciągle przebywasz ze swoją narzeczoną.

Tak jak przypuszczała, Paul nie był wdzięczny za informację, którą mu przekazała. A właściwie powinien być zadowolony, że dowiedział się o pewnych rzeczach jeszcze przed zaręczynami.

– Jeśli tak ci przeszkadza, że kocham Marie – powiedział rozgniewany i rzucił rozcinacz do listów na stos dokumentów leżących na biurku – to chciałbym cię poinformować, że twój narzeczony również nie przypadł mi do gustu. Nie posunąłbym się jednak do tego, żeby rozsiewać złośliwe plotki na jego temat.

Podniosła się z niewygodnego krzesła, które jej podstawił. Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę. Miejmy nadzieję, że stanie się to dość szybko.

– Mój drogi Paulu – powiedziała łagodnie. – Nie przeszkadza mi w niczym, że jesteś zakochany, to cudowny stan, po którym, miejmy nadzieję, nie czeka cię dramatyczne przebudzenie. Oczywiście akceptuję Marie jako moją przyszłą bratową, jak wiesz, mam o niej bardzo dobre zdanie.

– W takim razie nie wiem, po co jest ta rozmowa – wtrącił. – Mam naprawdę dużo pracy i dlatego chciałbym cię serdecznie prosić...

– Oczywiście – powiedziała pośpiesznie. – Nie będę niepotrzebnie marnować twojego czasu. Uznałam za swój obowiązek wyjawić ci ten drobiazg, bo potem nie chcę słyszeć wyrzutów z twojej strony. Nawiasem

mówiąc, jestem przekonana, że zagadka się wyjaśni i ty będziesz zadowolony.

– Gorące dzięki, siostrzyczko! I miłego dnia!

Gdy wychodziła z pomieszczenia, zauważył, że podobnie jak Kitty kołysze biodrami. Co jednak u Kitty było okraszone dziewczęcym wdziękiem, u Lisy przypominało niezdarne ruchy młodego słonia. Okrutne było to, co właśnie pomyślał, ale zasłużyła sobie, przebiegła intrygantka. Starał się skupić na wymianie listów z firmą z Wenezueli, ale nagle przypomniało mu się zdarzenie sprzed gospody Zielone Drzewo. Uratował wtedy Marie przed tym grubianinem. Boże, lepiej nie myśleć, co by się mogło stać, gdyby nie zjawił się tam w porę. Gdy wtedy zapytał, co tutaj robi, wyjąkała coś o jakiejś przyjaciółce. Miał wtedy wrażenie, że nie mówi prawdy. Dlaczego właściwie? Dlatego że była służącą, pomocą kuchenną, i nie obchodziło go, kogo odwiedza w wolny dzień? Teraz jednak obchodziło go bardzo. Wypytywał o nią mężczyzna, obdarty i zaniedbany, śmierdzący alkoholem, który na śmierć wystraszył Humberta. I ten mężczyzna był nawet na tyle bezczelny, żeby zakraść się do jej sypialni. Co mogło oznaczać, że wiedział, jak jest zbudowana willa. Rozgniewany postanowił zapomnieć o swoich wątpliwościach. To, co podsuwała mu teraz wyobraźnia, to były uczucia, które Elisabeth chciała w nim zaszczepić. Zazdrość, podejrzliwość, rozdzielenie go z Marie tuż przed zaręczynami. Nie, nie zrobi tego. Skierował wzrok na pismo od niemieckiego domu handlowego z siedzibą w Wenezueli.

...podobają nam się szczególnie te kwiatowe wzory. Mamy też nadzieję, że jeśli złożymy większe zamówienie, otrzymamy większy rabat.

Listy zamówień i kalkulacje cenowe rozmazywały mu się przed oczami. Marie z pewnością nie można winić za tamto zdarzenie. Musiał być jednak otwarty wobec niej, zadać jej kilka pytań i wysłuchać odpowiedzi. Był to winien ich miłości, a Marie na pewno to zrozumie. Zrobi to dzisiaj wieczorem, zaraz po kolacji, zanim jeszcze Gustav zawiezie ją do kamienicy Bräuerów. Kitty, która uczepiła się jej jak rzep, musi pojąć, że potrzebuje pobyć z Marie sam na sam. To postanowienie uspokoiło go na tyle, że znów był w stanie poświęcić się pracy, choć od czasu do czasu ogarniało go dziwne, obezwładniające uczucie, które przypominało niepokój przed nadchodzącą chorobą.

Gdy wieczorem wracał do willi, padał lekki deszczyk. Na podjeździe było zaparkowanych kilka samochodów, a tuż przy wejściu czekały dwie bryczki. W korytarzu stały fragmenty dekoracji, które ratowano przed deszczem

i dlatego wniesiono do holu. Jakiś nieznany mu młody mężczyzna grał na pianinie, a kilka przyjaciółek Elisabeth mówiło tak głośno, jak tylko potrafiły:

– Świetliki, świetliki świecą...

Brunnenmayer i Maria Jordan stały w drzwiach kuchennych i wyglądało na to, że znają ten utwór Paula Linckego, bo kołysały się do taktu. Kitty podbiegła do Paula i wyszeptała podenerwowana, że deszcz pokrzyżował jej szyki, ale w razie konieczności można będzie ustawić scenę w holu.

– Czyż nie namalowałyśmy pięknych kulis, Marie i ja?

– Bardzo piękne, siostrzyczko. A wiesz może, gdzie jest Marie?

Kitty trochę się oburzyła. Właściwie mogłaby teraz przestać istnieć, bo dla niego była ważna tylko Marie.

– No, powiedz już – zaczynał się niecierpliwić.

– No dobrze, nie będę się złościć z powodu miłości. Marie jest na górze u mamy, robi ostatnie poprawki przy jej sukni. Tatuś prawdopodobnie siedzi już w jadalni i czeka na nas. Na pierwszą osobę, która tam wejdzie, spadnie jego gniew. Wiesz co, Paul? Im lepiej się czuje nasz starszy pan, tym bardziej staje się nie do zniesienia...

Paul był zadowolony, bo do Kitty podeszły teraz dwie śpiewaczki, by zdecydować, gdzie powinien stać fortepian, bo jej zdaniem źle go było słyhać. Paul precyzyjnie się między rozstawionymi kulisami i podekscytowanymi dziewczętami, rzucił kilka komplementów, stwierdził, że wszystko słyhać przepięknie, i pośpiesznie wszedł schodami na górę, na pierwsze piętro. Tam zaraz podszedł do niego Humbert z lekko zaczerwienionymi policzkami i zaciśniętymi ustami.

– Łaskawy pan jest w jadalni i właśnie zaczął jeść kolację – poinformował go.

– Jest sam?

Humbert potwierdził. Łaskawy pan cierpiał ogromnie z powodu przygotowań do przyjęcia, ten wszechobecny chaos źle wpływał na jego nerwy.

– Aha – odpowiedział Paul i poklepał Humberta po ramieniu. – Jutro o tej porze będzie już szczęśliwy.

– Tak, łaskawy panie.

Humbert śpieszył się, żeby poprosić panienkę, która była zajęta przygotowaniami, by przyszła do jadalni. Paul zrozumiał wówczas, że jest on jedyną osobą, która zdoła rozładować gniew ojca. Wtedy jednak dopisało mu

szczęście i zobaczył ją.

– Marie!

Schodziła schodami i wpadła mu prosto w ramiona. Wykorzystał sytuację, przyciągnął ją do siebie i pocałował zachłannie w czoło, a później w usta.

– Puść mnie, Paul. Gdyby ktoś nas zobaczył...

– Jesteśmy zaręczeni i musimy się wzajemnie sprawdzić, moja kochana.

– Dopiero jutro – broniła się, ale pozwoliła mu kontynuować to sprawdzanie siebie.

Właściwie dlaczego nie teraz, pomyślał. Muszą jeszcze pójść do jadalni, gdzie czeka rozgniewany ojciec, więc nic już bardziej nie może zepsuć tego wieczoru.

– Chodź tutaj, Marie, chciałbym zamienić z tobą kilka słów.

Ona jednak wzbraniała się przed wejściem z nim do gabinetu. O nie, znała go zbyt dobrze. Te kilka słów skończy się na czynach, na które nie powinna mu teraz jeszcze pozwolić. Nie powinna nawet jako narzeczona, ale już na pewno nie przed zaręczynami.

– Obiecuję ci, że cię nie dotknę – powiedział, wyczuwając jej obawy.

– Dwa słowa?

– Jedno pytanie.

Dopiero teraz wyczuła, że musi to być coś ważnego. W milczeniu weszła do gabinetu, zatrzymała się na środku i patrzyła, jak zamyka drzwi. Małeńkie płomyki niepewności migotały w jej ciemnych oczach.

– I co?

Uśmiechnął się i zrobiło mu się głupio. Najpewniej go wyśmieje. Wszystko to sprawka jego wyobraźni albo raczej efekt wymysłów jego siostry Elisabeth. I skończy się na tym, że będzie musiał prosić Marie o wybaczenie. Ale jednak...

– Dręczy mnie pewna rzecz, Marie, której nie chcę przed tobą ukrywać.

Słuchała go spokojnie, a potem zdziwiona pokręciła głową i powiedziała, że nie zna takich mężczyzn i gdyby faktycznie znalazł się w jej sypialni na górze, a ma nadzieję, że tak się nigdy nie stanie, to musiałby to być złodziej. A czy to Maria Jordan mu o tym powiedziała?

– Tak, powiedziała o tym, ale wydaje się, że ona również go nie zna – odpowiedział Paul. – To tylko... przyszło mi do głowy, że...

Spojrzała na niego wielkimi oczami. Były błyszczące i ciemne jak noc. Widział w nich swoje odbicie.

– Powiedz to – zazała. – Powiedz to, Paul, bo i tak się domyślam, o co chodzi.

Wzjął długi, głęboki oddech i uśmiechnął się niepewnie.

– Przypomniało mi się, że wtedy, na obrzeżach miasta, mówiłaś o swojej przyjaciółce. Pamiętasz? To był ten dzień, gdy spotkaliśmy się przed Zielonym Drzewem.

– Jak mogłabym o tym zapomnieć? – odpowiedziała. – Uratowałeś mnie przed tym zbirem. A potem odprowadziłeś do bramy Jakoba.

– A przy pożegnaniu tak bezmyślnie i spontanicznie chciałem cię pocałować.

Patrzyli na siebie i przypominali sobie to pierwsze, nieśmiałe spotkanie, w czasie którego poczuli, że się kochają, i które obudziło w nich później tak ogromną tęsknotę.

– To głupie z mojej strony – powiedział i potrząsnął głową. – Ale pomyślałem, że ten mężczyzna mógł być na przykład znajomym twojej przyjaciółki.

– Ach, o to chodzi! – zawołała i uśmiechnęła się figlarnie. – Myślisz, że ktoś z przedmieścia składa mi potajemne odwiedziny. Ktoś z moich bliskich, których wówczas szukałam? Tak ci się wtedy wydawało, prawda? Myślałeś, że pomoc kuchenna ma kochanka w dzielnicy na obrzeżach?

Jego protest był słaby i niewiarygodny, więc zagrał w otwarte karty. Tak, tak wówczas przypuszczał i bardzo go to denerwowało. Bo był przekonany, że ona zasługuje na kogoś lepszego niż jakiś biedny pijaczyna czy może nawet gorzej, jakiś podejrzany typ.

– Byłeś zazdrosny? – zachichotała.

– Cóż, tak, bez wątpienia. Przyznaję się!

– Bardzo mi się to podoba, kochanie.

– Ty się ze mnie wyśmiewasz!

W istocie wyśmiewała się z niego. Podniósł więc ręce i dotknął jej policzków.

– W takim razie musisz teraz wysłuchać mojego wyznania, najdroższy. Tylko nie wystrasz się za bardzo. Twoja Marie jest przebiegłą kłamczuchą, bo nie ma żadnej przyjaciółki na obrzeżach miasta.

Przyznał, że tego już się domyślił, bo przejrzał ją, że kłamie. Nie powinna się łudzić, że taka z niej doskonała oszustka, bo na szczęście nią nie jest.

– Nie przykładam wielkiej wagi do tego, by nauczyć się tej sztuki – wyznała.

– Mam nadzieję, że ty również, kochanie.

Zapewnił ją, że już jako chłopiec był fatalnym kłamcą. Był natomiast ciekawy, czego wówczas szukała w tej dzielnicy.

– Ach, Paul – zawołała. – Wciąż tego nie wiesz? Nad Zielonym Drzewem mieszkała kiedyś moja matka. Odkryłam to przypadkiem i chciałam się więcej dowiedzieć na ten temat.

Nie, nie wiedział o tym. Ale oczywiście mógł się domyślić. Jego ojciec mówił przecież, że Burkard i Luise Hofgartner żyli tutaj, w Augsburgu. Tak więc tam, nad gospodą Zielone Drzewo, było ich mieszkanie.

– Ten dom chyba nawet teraz należy do nas. Mój ojciec przed laty kupił kilka domów w dolnym mieście.

Spojrzała na niego zdziwiona. Johann Melzer kupił ten dom? Ale dlaczego? Czyżby sądził, że gdzieś w ścianie albo w podłodze są ukryte plany maszyn?

– Jesteś pewien, Paul, że kupił właśnie ten dom?

Zmarszczył czoło i zaczął się zastanawiać. To nie było tak dawno temu, pamiętał dobrze, że ojciec mówił o kupnie kilku domów na obrzeżach miasta. Chciał je zburzyć i postawić na ich miejscu magazyn albo siedzibę firmy.

– Byłem wtedy tuż przed egzaminem dojrzałości. Poczekaj, on przecież trzyma umowy kupna tutaj w gabinecie. Na górze, w teczkach.

Marie spojrzała na szare teczki stojące na regale za biurkiem i pomyślała, że cała sprawa z pewnością nie była tak ważna, żeby przeszukiwać jego dokumenty w chwili, gdy nie ma go w gabinecie. Można by go po prostu zapytać. Przede wszystkim dlatego, że wtedy może mogłaby odzyskać to, co zostało po jej matce. Marmurowe popiersie i tę rzeźbę z drewna, którą stara pani Deubel trzymała w swoim pokoju. Paul tymczasem przerzucił już kilka stosów dokumentów, żeby odnaleźć te ze spisem zamówień. Powiedział, że właściwie we wszystkich kwestiach jest już współnikiem i partnerem ojca, że sam prowadził fabrykę przez kilka tygodni, że podejmował wiele decyzji, chciałby więc dokładnie wiedzieć, jakie nieruchomości posiada jego rodzina. Zwłaszcza takie, które dotyczą jego przyszłej żony.

– To musi być to...

Wyciągnął rękę i udało mu się sięgnąć po stos leżący na wyższej półce na regale. Chwycił dokumenty w jedną rękę i chciał położyć na biurku.

– Marie, odsuń, proszę, karafkę na bok. Zaraz je będziemy wycier...ać...

Kurz, który osiadł na dokumentach, stał się przyczyną katastrofy, która nastąpiła po chwili. Paul próbował jeszcze jakoś złapać czarne teczki, które przechyliły mu się w ręce, ale było już za późno. Jak rój wron pofrunęły

w powietrze. Niektóre z nich otworzyły się już w locie i straciły swoją ceną zawartość, inne na szczęście były związane wstążką i poleciały jak ciężkie dachówki na biurko. Marie natychmiast do nich podbiegła, ale piękna kryształowa karafka, wypełniona wodą, została tak mocno potrącona, że rozprysła się na tysiące kawałeczków.

– Cholera! – mruknął skruszony Paul.

– Piękna niespodzianka – szepnęła Marie.

Jak na ironię, właśnie ktoś zapukał do drzwi.

– Paul? Marie? Chodźcie zjeść z nami, ojciec jest bardzo zdenerwowany.

To była Alicia, która chciała być taktowna i dlatego nie weszła do pokoju. Czymkolwiek byliby zajęci ci dwoje, ona nie chciała pełnić funkcji strażnika moralności, w końcu jej syn był już dorosły i wiedział, co robi.

– Zaraz idziemy, mamó.

Jak dwoje dzieci, które coś przeszkrobały, spojrzeli po sobie. Uporządkowanie tych wszystkich dokumentów zajmie co najmniej dzień. Zwłaszcza że były zmoczone i obsypane okruszkami szkła.

– Będzie też problem z biurkiem, Paul. Woda wpływa przez tę szczelinę do szuflady.

Paul przekroczył porozrzucane papiery i wyciągnął szufladę, żeby nie zamoczyła się jej zawartość. Zapewnił Marie, że właściwie nie ma takiego ryzyka, bo szuflady były trochę krótsze niż blat biurka.

– Powinna być jeszcze szuflada z tyłu – przypomniał sobie i przykucnął, żeby dokładniej obejrzeć mebel.

– Ostrożnie, Paul, bo nadepniesz na dokumenty i je zniszczysz.

Dokumenty i listy, które leżały na biurku i na podłodze, nagle przestały być ważne. Paul zauważył, że woda przedostaje się przez szparę w blacie biurka, ale nie było widać, gdzie wpływa. Wyciągnął wszystkie szuflady i położył je na kanapie. Były zupełnie suche.

– Podaj mi zapalki – poprosił Marie.

Domyślił się nagle, że w tym starym meblu musiał być jakiś tajny schowek. Paul poświecił w miejscu, w którym znajdowały się szuflady, tylna ściana była sucha i składała się z fornirowanego drewna. Wyciągnął rękę i zapukał, usłyszał pusty dźwięk.

– Może sprawdzimy z drugiej strony – powiedziała Marie.

– Ostrożnie, wszędzie jest pełno szkła!

– Tutaj, Paul. Tylną ścianę biurka można unieść. Pomóż mi, auć!

– Nie mówiłem? Proszę, weź moją chusteczkę.

Gorączka poszukiwania skarbów ogarnęła teraz ich oboje. Marie owinęła krwawiący palec chusteczką Paula, a potem uniosła spódnicę i białą halką zmioła mokre odłamki z tej części blatu.

– Tak wiele jeszcze nigdy mi nie pokazałaś, kochanie. Może mogłabyś to zrobić raz jeszcze?

– Cicho! Pomóż mi nożykiem do listów. Drewno ściśle przylega, a teraz jeszcze pęcznieje od wody. Nie tak mocno. Naciągnęło się...

– Zaraz złamię sobie palec – jęknął.

– Jeśli teraz wejdzie twój ojciec...

– Cicho bądź. Włóż tutaj nożyk. A teraz przyciśnij. Teraz, razem!

Tyłna część się odgięła, przesunęła do góry i dała się zdjąć. Za nią znajdowała się druga ściana, również fornirowana, po lewej stronie miała zawiasy, po prawej zamek. Woda spłynęła na dywan.

– Co za pech – powiedział Paul rozczarowany. – Bez klucza nie zrobimy nic więcej. Chyba że wyłamiemy zamek.

– Klucz... – wyszeptała Marie.

Na korytarzu było słyhać wesoły głos Kitty, potem Elisabeth.

– Idziemy już, tatusiu. Zostawiłeś nam coś czy będziemy musieli dzisiaj wszyscy głodować?

– A gdzie są Paul i Marie?

– No, a gdzie mogą być nasze gołąbeczki? Trzeba sprawdzić w czerwonym salonie.

– Tam ich nie ma.

Paul zagryzł wargi i wziął głęboki oddech, było to westchnienie wyrażające rozczarowanie. Byłoby zbyt piękne, gdyby udało się dzisiaj otworzyć tę skrytkę. Mimo to jednak i tak jest to niesamowite odkrycie.

– Co robisz?

– Nie patrz! Nie wolno podglądać, gdy dziewczyna się rozbiera!

Nic nie rozumiał. Dlaczego jego sładka Marie właśnie teraz rozpina bluzkę? Czyżby właśnie tutaj, pośród mokrych dokumentów i odłamków szkła chciała być naga? Tutaj, gdzie w każdej chwili może wejść ktoś ze służby albo z rodziny?

– Tutaj. Spróbujemy tym.

Wyjęła mały kluczyk. Srebrny kluczyk, który nosiła na szyi, zawieszony na łańcuszku. Jak wiele jeszcze innych tajemnic ukrywała przed nim?

– Pasuje do zamka, ale nie chce się przekręcić. Poczekaj, jest przecież trochę zardzewiały. Teraz!

Drewniane drzwiczki otworzyły się, wylała się na nich woda, a potem wypadły kartki zwinięte w rolki, grube, cienkie, niektóre owinięte w ciemny papier, inne tylko przewiązane sznurkiem.

– To... to są...

– Plany konstrukcyjne, które tak bardzo chciał mieć twój ojciec – powiedziała Marie cicho. – To biurko musiało należeć do mojej matki. Twój ojciec całe lata siedział przed tymi planami, nie mając o tym pojęcia.

d="w_cieniu_tajemnic-65.html" xml:lang="pl-PL" aid="1T1401">

56

Nie było łatwo uciszyć taki tłum, żeby dyrektor Melzer mógł wygłosić swoją mowę powitalną. Wbrew wszelkim obawom, był piękny, prawdziwie letni dzień. Na tarasach i w parku Melzerów rozstawiono ławy i krzesła do siedzenia, donice z kwiatami, stoliki z napojami oraz kolorowymi parasolami, a między nimi gromadzili się goście. Witano się, zbierano w małych grupkach, żeby wymieniać uprzejmości albo przekazywać sobie plotki. Panie prezentowały letnie toalety, a panowie wystąpili w jasnych garniturach i słomkowych kapeluszach. Kto miał ochotę na grę w krokieta – tę typowo brytyjską rozrywkę, która i tutaj znalazła swoich zwolenników – mógł udać się na lewą stronę parku, na trawę, gdzie zorganizowano różnego rodzaju zabawy dla dzieci. Przedszkolance z fabryki zapłacono za opiekę nad maluchami, a goście przyprowadzili również swoje nianie.

– Moi drodzy goście.

Większość osób zebrała się na tarasie, na którym ustawiono krzesła dla najstarszych zaproszonych, a młodsi i najmłodsi stanęli na kamiennym obramowaniu, żeby mieć stamtąd lepszy widok. Na zewnątrz, na scenie teatralnej, poruszała się kurtyna, bo za nią wciąż trwały gorączkowe przygotowania do spektaklu.

– Moi drodzy goście – powtórzył Johann Melzer i wreszcie udało mu się sprawić, że wszechobecny hałas zdecydowanie przycichł. Szeptano jeszcze cicho, z tyłu słychać było szcęk talerzy albo trzask kieliszka, który spadł na podłogę i się rozbił. Jeden z zatrudnionych kelnerów przyszedł od razu, by sprzątnąć i zapobiec ewentualnemu nieszczęściu, gdyby ktoś przypadkiem nadepnął na szklane szczątki.

– Z ogromną przyjemnością chcę tu państwa wszystkich powitać.

Głos Melzera, który na początku brzmiał dość cicho i słabo, teraz zyskiwał na sile. Johann Melzer był już starym człowiekiem. Zgromadzeni goście zauważyli, że znacznie stracił na wadze, zwłaszcza po twarzy było widać, że

dopiero co podniósł się z ciężkiej choroby.

– Niebo jest dla nas przychylnie, co wynika zapewne z faktu, że w tym roku nasze tradycyjne przyjęcie letnie odbywa się pod znakiem miłości i przyszłego szczęścia małżeńskiego.

Alicja zapowiedziała Humbertowi, żeby na wszelki wypadek ustawił krzesło niedaleko mówiącego, oczywiście tak, by nie rzucało się w oczy. Humbert wymyślił sobie, że położy na nim kwiaty, które podarowano Kitty w prezencie, jak gdyby chciał zaprezentować je w jak najlepszym świetle. Okazało się jednak, że kwiatów jest zbyt wiele, by wszystkie eksponować, nikt nie przypuszczał, że wszyscy goście pojawią się z bukietami. Wprawdzie gospodarze otrzymali kilka biletów odmownych, z których wynikało, że niektórzy przygotowywali się do wyjazdów wakacyjnych, inni już byli w podróży. Znajomi usprawiedliwiali się chorobą albo ważnymi obowiązkami, choć wcześniej chętnie uczestniczyli w letnim przyjęciu u Melzerów. Wśród nieobecnych, niestety, byli burmistrz i kilku urzędników miejskich. Zaręczyny młodego Melzera z byłą pokojówką, jak przypuszczano, nie odpowiadały gustowi tych, którzy obawiali się kompromitacji.

– Małżeństwo to inwestycja, która czasami może trwać naprawdę długo.

Zaśmiano się trochę z obowiązku, ale niektórzy panowie w średnim wieku byli szczerze rozbawieni żartem. Panie wywracały oczy do nieba, które dzisiaj było nieskazitelnie błękitne i na którym właśnie przelatywało stado gołębi.

– Więc kto się na wieki łączy, ten niech dobrze baczy, czy jego serce do serca innego pasuje. Szaleństwo szybko mija, żal trwa długo⁴ – zacytował Melzer, ale przerwał recytację, bo nie potrafił sobie przypomnieć dalszego ciągu.

– Święta racja – powiedziała babka Alfonsa Bräuera, która siedziała na wiklinowym krześle dokładnie naprzeciw mówiącego. – Moja matka powtarzała: „Pieniądze się rozejdą, ale drania masz w domu na zawsze”.

– Proszę, babciu – powiedział Alfons, czerwony ze wstydu. – Przeszkadzasz w przemówieniu

– Gdy się jest w moim wieku, można śmiało otwierać usta – sprzeciwiła się starsza pani. – Gdy będę leżeć pod murawą, nie będę już mieć na to okazji.

Specjalnie na ten dzień ubrała się w liliową suknię z muślinu, a na głowie miała kapelusz, zdobiony ekstrawagancką kompozycją z piór czapli.

– Schiller w tych nieśmiertelnych słowach zawarł spostrzeżenie, że to, co

starszym z nas zdaje się zupełnie obce, może się też wydawać niemądre. W czasach naszej młodości to rodzice wybierali małżonków dla dzieci. Oceniali zgodnie ze swoją wiedzą i przekonaniem, czy dany związek może być błogosławieństwem dla młodych. Tak też swego czasu uczynili moi teściowie i teraz jedynie z przykrością przypominam sobie, na jaką krytykę zostałem wystawiony podczas mojej pierwszej wizyty na Pomorzu.

I znów wśród gości rozległ się śmiech, prawie wszyscy małżonkowie mogli się identyfikować z przeżyciami mówcy. Do diabła, cóż to było za okropne uczucie, gdy rodzice wybranki prześwietlali na wskroś, przede wszystkim pozycję, pochodzenie i konto w banku przyszłego zięcia. Z części parkowej, w której grano w krokieta, dochodziły okrzyki dzieci, które pod nieobecność młodego państwa zaopatrzyły się w kije i pałki i grały w tę grę na swój własny sposób.

– To jednak, co naprawdę liczy się w małżeństwie, to więź i miłość łącząca dwie osoby, które będą ze sobą do późnej starości. Ani pieniądze, nic, co się posiada, ani nawet najwyższy status społeczny nie mogą zapewnić tej harmonii, to jest dar niebios i wielkie błogosławieństwo. Dlatego jestem szczęśliwy, że moje dzieci podążają za głosem serca.

Co za hipokryta, pomyślała Marie rozbawiona. Jeszcze przed kilkoma tygodniami mówił o mezaliansie i zabronił Paulowi tego małżeństwa. Od tego czasu wiele się wydarzyło, może więc Johann Melzer zmienił zdanie. Całą noc siedział nad planami konstrukcyjnymi, każdy dokładnie przestudiował i rano cieszył się niesłychanie, powtarzając, że Burkard był geniuszem. Wynalazki jej ojca, które Johann Melzer przed laty uznał za niepotrzebne fantazje, mogły rozwiązać wszystkie jego problemy. Wreszcie będzie można naprawić maszyny, z samego rana przekazał plany swoim inżynierom. Wbrew protestom rodziny sam wczoraj pojechał do fabryki. Wieczorem był aż siny z wycieńczenia, ale wrócił szczęśliwy do Willi. Podczas kolacji stwierdził, że teraz wszystko obróci się na dobre, bo syn weźmie sobie córkę Burkarda za żonę. Marie nie była pewna, czy to radosne nastawienie jej przyszłego teścia będzie trwałe, ale już dawno pogodziła się z tym, że stosunki z nim nie będą łatwe.

– Mam więc ogromną radość w tym zacnym towarzystwie przedstawić teraz trzy pary narzeczonych.

Kitty była przekonana, że właśnie dostrzegła cień na twarzy Marie, dlatego wsunęła rękę w dłoń przyjaciółki. Marie prezentowała się dzisiaj niezwykle

pięknie. Zaprojektowały razem dla niej suknię z czerwonego jedwabiu, była długa do ziemi i wąska, podkreślała smukłą talię Marie. Miała też narzutkę z baskinką z delikatnego szyfonu, sięgającą do kolan i unoszącą się na wietrze jak skrzydła motyla. Sama Kitty zdecydowała się na suknię o identycznym kroju, ale w swoim ulubionym różowym kolorze. Wyglądały jak siostry, a Elisabeth w błękitnej sukni z perkalu jak ich dalsza krewna. Paul pokazał Kitty swój prezent zaręczynowy dla Marie. Był to złoty pierścionek z rubinem. Chciał, żeby go przymierzyła, bo miała ten sam rozmiar co Marie. Alfons najpewniej podaruje jej pierścionek z diamentem, mówił już nawet wcześniej o „symbolu wiecznej miłości”. A ona nie lubiła diamentów, były takie zimne i przezroczyste, dopiero w świetle widać było ich wielobarwny potencjał. Kitty zastanawiała się, czy na pewno chce być związana z Alfonsem „wieczną miłością”. Prawdę mówiąc, to nie chciała. A przynajmniej nie tak jak on. Z drugiej strony nie wiedziała jednak, co by poczęła bez niego. Alfons był jej najlepszym przyjacielem, radził jej, przemawiał wprost do jej duszy, gdy była smutna. Wspierał ją i – co najważniejsze – lubił z całego serca jej przyjaciółkę Marie. Jako jedyny szczerze pogratulował Paulowi wyboru żony. Ależ tak, potrzebowała Alfonsa. Był jej przyjacielem, bratem i ojcem.

– Trzy to liczba, która ma wielkie znaczenie. Wszystko, co dobre, by tak powiedzieć, występuje w tej liczbie i dlatego dzisiaj chcielibyśmy wnieść trzy toasty za naszych młodych narzeczonych. Za mojego syna Paula i Marie Hofgartner. Za moją córkę Kitty oraz jej narzeczonego Alfonsa Bräuera. I, wcale nie jako za ostatnią, moją drugą córkę Elisabeth, która dzisiejszego dnia z porucznikiem Klausem von Hagemannem...

Oczywiście wymienił mnie jako ostatnią, pomyślała Elisabeth. Ale tego właśnie się spodziewałam. Najpierw syn, potem naturalnie Kitty, a ja na szarym końcu. Jej gniew szybko jednak stracił na sile, bo dostrzegła zazdrosne spojrzenia przyjaciółek. Klaus von Hagemann nie spełnił swoich gróźb, przeciwnie, pojawił się punktualnie. Założył wyjściowy mundur z przedłużaną marynarką z pagonami i szarfami w kolorze niebieskim. Zrezygnował z hełmu, ale i tak nie wyglądał mniej imponująco. Zaprosił kilku kolegów, a wśród nich oczywiście Ernsta von Klippsteina z Prus, któremu towarzyszyła młoda żona. Pogratulowali Elisabeth zaręczyn i bardzo serdecznie zapraszali ich oboje do swoich włości w Brandenburgii. Cóż, z pewnością nie skorzystają z zaproszenia, bo Adele von Klippstein nie przypadła Elisabeth do gustu. A poza tym Klaus nie dostanie w najbliższym czasie urlopu. Von Klippstein

z wielkim entuzjazmem mówił o tym, że niebawem dojdzie do wyczekiwanej konfrontacji zbrojnej. Wczoraj w Serbii zabito austro-węgierskiego następcę tronu, wszystkie gazety o tym pisały. Znowu ci Serbowie, nie mogli znieść istniejącego pokoju. Tata zawsze powtarzał, że wszelkie nieszczęście przychodzi ze Wschodu. Von Klippstein wyjaśnił jednak, że sprawa jest bardzo prosta. Najpierw trzeba będzie zająć Paryż, żeby utrzymać pokój z Francuzami, a potem można skierować się na Wschód, żeby Zjednoczone Cesarstwo Austro-Węgierskie obronić przed Serbami. A jeśli w konflikt wmieszają się Rosjanie, ich również trzeba będzie zniszczyć. Ważne jedynie, żeby Anglia pozostała neutralna. Kajzer jednak był prawie pewien, że Anglicy nie opowiedzą się przeciwko wnukowi wielkiej Wiktorii. „Krew nie woda” – jak zwykło się mawiać.

– Jest to irytujące, moja kochana – szepnął jej Klaus von Hagemann. – Ale nie zepsuje nam naszego dnia.

Melzer poprosił Paula, który właśnie wstał, żeby przemówił do gości. Wynajęty kelner, wciśnięty w niebieską liberię ze złotymi guzikami, przeciskał się z trudem wśród zgromadzonych gości, żeby podać napoje również tym, którzy zajęli miejsca na samym końcu. Z tyłu przy klombie, części ogrodu francuskiego, rozległ się okrzyk bólu. Okazało się, że jakaś młoda dama zahaczyła suknią o kolce róży. Paul zawahał się, ale ten drobny wypadek okazał się niegroźny, więc zaczął mówić.

– Ten dzień dla mnie i dla mojej narzeczonej jest dniem zwycięstwa – powiedział i chwycił dłoń Marie. – Marie, wyznaję wobec wszystkich tutaj zgromadzonych, że nie istnieje dla mnie piękniejsza i bardziej godna podziwu panna młoda niż ty. Pokochałem cię od pierwszego wejrzenia i będę cię kochał, jak długo będę żyć. Przyjmij, proszę, ten pierścionek jako symbol ślubnego przyrzeczenia, że uczynię cię swoją żoną z ogromną powagą i wielką radością.

Te słowa wywołały duży entuzjazm. Rozległy się wiwaty, popłynęły łzy wzruszenia, choć nie brakowało także wyrazów oburzenia i kąśliwych uwag. Przepychano się do przodu, żeby zobaczyć podarunek zaręczynowy, i mówiono półgłosem, że rubin to bardzo drogi kamień, zwłaszcza gdy daje się go byłej pokojówce. Trzeba było uspokoić towarzystwo, żeby również Alfons Bräuer i porucznik von Hagemann mogli powiedzieć kilka słów i wręczyć wybrankom pierścionki. Później wszyscy rzucili się na dopiero co zaręczone pary, żeby im pogratulować, przekazać życzenia od znajomych, którzy nie mogli się dzisiaj

pojawić, ale przede wszystkim, by obejrzeć z bliska prezenty zaręczynowe i oszacować ich wartość. W tej chwili Kitty poczuła się, jakby ktoś podciął jej skrzydła, bo tak jak się spodziewała, Alfons podarował jej złoty pierścionek z brylantem, który w słońcu błyszczał jak fajerwerki.

– Tym samym zakończyliśmy oficjalną część przyjęcia i możemy rozpocząć przyjemniejszy etap naszej uroczystości – powiedział Johann Melzer z wyraźną ulgą.

Po skończeniu przemówienia usiadł i nie podniósł się nawet wtedy, gdy goście przychodzili do niego z gratulacjami. Zażyczył sobie szklankę ponczu i poprosił Alicję, żeby przyniosła mu z bufetu jakieś przekąski, wiedziała przecież najlepiej, co będzie mu smakowało. Sztukę teatralną obserwował z tarasu i powiedział nawet do Edgara Bräuera, że Szekspir to idealny wybór na tę okazję. Tę operetkową pieśń można sobie jednak było darować. Przede wszystkim dlatego, że ten temat jest bardzo dziwny.

– *Lizystrata*? – zapytała Riccarda von Hagemann. – Cóż, ta operetka z całą pewnością może być zaprezentowana. Przecież to konflikt miłosny z przeszkodami, jeśli dobrze zrozumiałam.

– Cóż, coś takiego jest przecież niezgodne z naturą – stwierdził jej mąż. – My mężczyźni musimy walczyć, a kobiety, przepraszam, drogie damy, wy przecież jesteście stworzone do miłości.

Zaśmiano się z żartu, choć śmiech Riccardy von Hagemann wydawał się mocno ironiczny.

Marie u boku Paula podchodziła od jednej grupy gości do drugiej. Nieskończona liczba nazwisk i twarzy rzucała się na nią, życzliwości, uprzejmości, dociekliwe pytania, ironiczne uwagi i od czasu do czasu chłodne odrzucenie. Później Kitty i Alfons dołączyli do nich i Marie powiedziała Kitty, że podziwia jej naturalność. Ale Kitty dorastała w willi jako córka dobrze sytuowanych fabrykantów, nie musiała zbytnio się przejmować tytułami i układami, a ostre spojrzenia starszych dam tylko ją śmieszyły.

– Zedrą sobie gardła, obgadując nas – szepnęła do Marie. – Nie mają przecież żadnych innych zajęć, biedaczki. Chodź, wzmocnimy się trochę przy bufecie, dopóki jeszcze są roladki z łososiem i poncz cytrynowy.

Marie musiała zebrać w sobie całą siłę, żeby nie okazać, jak bardzo ją ranią oceniające spojrzenia i dwuznaczne uwagi. Oczywiście Paul chronił ją, jak potrafił, a Alfons okazał się bardzo pomocnym przyjacielem. Gdziekolwiek pojawiał się młody bankier, prawiono mu komplementy, witano z uśmiechem,

opowiadano wesołe historie, wszystko, by tylko zaprezentować się w dobrym świetle. Marie dość szybko zorientowała się, że uprzejmości, których doświadczała, nie zawdzięczała jedynie swojemu przyjaznemu i powściągliwemu charakterowi. Bank Bräuerów był dla wielu tutaj obecnych niezbędnym kredytodawcą.

– Tam z boku stoi Hermann Kochendorf – powiedziała Kitty, gdy nalewała sobie sorbet cytrynowy. – Odrażający typ, ma już ponad czterdzieści lat, pieniędzy jak lodu i zasiada w radzie miasta. Obok niego stoi prawnik Grünling, brzydki jak noc, uważa się jednak za adonisa. Towarzyszy im lekarz Greiner, który koniecznie chciał wysłać tatę do szpitala, ale miał pecha. A tutaj jest doktor Schleicher, do którego prowadziła mnie mama, gdy nie mogłam spać w nocy. Nie smakuje ci ten pyszny poncz, Marie? Pij szybko, nie wiem, może później będą też lody malinowe.

Marie kręciło się w głowie, może nie powinna pić ponczu, nie była przyzwyczajona do alkoholu. Co za dzień! Wcześniej znała takie uroczystości jedynie od strony kuchni, miała zawsze wtedy ręce pełne roboty, żeby tylko zadowolić państwa, a później śmiertelnie zmęczona rzucała się na łóżko. Wcześniej sądziła, że takie przyjęcia dla gości, którzy nie muszą pracować, są czystą przyjemnością. Tak jednak nie było, już teraz czuła się wyczerpana.

– Przepraszam cię, Kitty, zaraz wrócę – powiedziała cicho.

Wyszła na korytarz i przy jednym z ustawionych luster chciała poprawić fryzurę, wszystkie toaletki były jednak zajęte, a ona nie miała najmniejszej ochoty włączać się do rozmów prowadzonych przez damy. Nie było to miłe, że ilekroć podchodziła do nich, one milkły, uśmiechały się do siebie znacząco i zmieniały temat. Tak naprawdę wcale nie chciała zajmować się włosami czy kolejny raz skrapiać się perfumami, tylko pragnęła chwili spokoju. Jak dobrze czułaby się teraz wśród innych pracowników w dużej kuchni. Oczywiście tam również dochodziło do kłótni, ale od samego początku za sprawą pieca, na którym stał zawsze niebieski dzbanek, i miejsca przy długim stole, czuła się jak w domu. Bez wahania otworzyła drzwi do części posiadłości, w której znajdowały się pomieszczenia gospodarcze, i weszła do kuchni. Panował tam okropny bałagan, jak zawsze w czasie tego typu uroczystości. Na długim stole stały półmiski, talerze, leżały produkty i półprodukty spożywcze, na kuchni stały dymiące garnki, a nad całym tym chaosem próbowała zapanować kucharka, niemogąca złapać tchu, opryskliwa i w czepku przekrzywionym na siwych włosach.

– Co z wami, leniwa hołoto? – warknęła, nie odwracając się w stronę Marie. – To były czasy, gdy Robert tutaj podawał, on by wam pogonił kota tak, że nawet byście nie wiedzieli...

Dopiero po chwili zauważyła, że to nie wynajęci kelnerzy są w kuchni, tylko Marie. Odłożyła łyżkę, którą mieszała w garnku, położyła ręce na biodrach i powiedziała:

– Łaskawa panienska Marie!

Była nieco rozgniewana, ale się uśmiechała.

– Kuchnia jest dla pracowników. Państwo nie mają tutaj czego szukać!

Humbert przemknął koło Marie z dwoma talerzami słodkich orzechów i migdałów. On również był zaskoczony obecnością Marie. Chwilę później wbiegła do kuchni Hanna z tacą pełną pustych talerzy i szklanek.

– Marie! – zawołała cała rozpromieniona. – Marie! Tak bardzo mi ciebie brakuje!

– Cicho! – skarciła ją kucharka. – Musisz mówić teraz do niej „łaskawa pani”. Nasza Marie jest teraz młodą panią w willi!

Ogromna duma zabrzmiała w tym ostatnim zdaniu. „Nasza Marie”, powiedziała. Ach, jak kojąco działało na nią to szczerze przywiązanie po tych badawczych i złośliwych spojrzeniach dobrze urodzonych gości.

– Co do zdania, że nie mam już tutaj czego szukać – powiedziała Marie z uśmiechem. – Nawet jeśli jestem teraz łaskawą panienką, przychodzę po prostu do was do kuchni i mam do tego prawo.

– Tylko niech panienska nie przerywa mi pracy – ostrzegła ją Brunnenmayer.

– Wcześniej też tego nie robiłam.

– I tak powinno zostać!

Marie musiała odsunąć się na bok, żeby przepuścić Humberta niosącego talerze, i zrozumiała, że będąc tutaj, przeszkadza pracownikom wykonywać ich robotę. Else i dwóch wynajętych kelnerów zanosilo pochodnie i latarnie do parku, żeby zapalić je w czasie powoli nadchodzącego zmierzchu i tym akcentem nadać przyjęciu romantyczny charakter. Przybyli muzycy i Alicia wskazała im miejsce na końcu tarasu, aby stamtąd mogli przygrywać gościom do tańca. Marie zdecydowała, że pójdzie na górę do pokoju Kitty i odpocznie trochę, zanim rozpocznie się dla niej nowy sprawdzian. Kitty ćwiczyła z nią najbardziej znane tańce towarzyskie, przede wszystkim walca, który nie wydał jej się trudny, oraz polkę i galop. Kitty przekonywała ją, że nie powinna mieć powodów do zmartwień, bo na tarasie nie dało się tańczyć żadnych

skomplikowanych układów tanecznych, kontredansów czy innych tańców francuskich. Poza tym Marie z natury poruszała się z gracją.

Ku jej radości na drugim piętrze było spokojnie, tylko w łazienkach stały młode damy, głównie przyjaciółki Elisabeth, które entuzjastycznie wychwalały jej przyjęcie. Marie chciała od razu wsunąć się niepostrzeżenie do pokoju Kitty, ale usłyszała nagle znajomy męski głos.

– Czy ktoś o tym wie?

To był Klaus von Hagemann. Ale co on mógł robić w pralni? To było bardzo niewłaściwe, podsłuchiwać czyjeś rozmowy. Mimo to Marie została na korytarzu. Czy to nie była Auguste?

– Nie wie nikt z wyjątkiem Gustava. Jemu musiałam powiedzieć.

– Dlaczego?

Von Hagemann zadawał pytania zdenerwowanym głosem. Mówił cicho, ale nietrudno go było zrozumieć.

– Bo jest moim mężem i nie mam przed nim żadnym tajemnic. I dlatego, że w przeciwnym razie byłby zdziwiony, skąd mam pieniądze.

– Więc zrób coś, żeby milczał. Nie chcę żadnego skandalu.

– Co pan sobie myśli? To byłaby też szkoda dla nas. Możemy dobrze wykorzystać te pieniądze.

Marie usłyszała potem długą klątwę, w której wspomniano Turków, sakramenty święte i co się tylko dało.

– Gdyby to był chłopiec, wziąłbym go do siebie. Ale dziewczynka...

– Mnie dziewczynka odpowiada. A chłopców to mi jeszcze Gustav da wystarczająco wielu.

Czy to możliwe? Czy ta przebiegła kobieta kazała narzeczonemu Elisabeth płacić alimenty na swoje dziecko? Marie jak najszybciej zamknęła za sobą drzwi do pokoju Kitty, bo nie chciała spotkać się na korytarzu z porucznikiem. Jeśli płaci jej alimenty, musi mieć powód, pomyślała. Auguste miała więc romans nie tylko z Robertem, również von Hagemannowi otworzyła drzwi sypialni. Czy dlatego, jemu na złość, nazwała córkę Elisabeth i poprosiła nawet panienkę, żeby została jej matką chrzestną? Ależ to było podłe. Jakby chciała się zemścić. Usłyszała pukanie do drzwi i przeraziła się, bo sądziła, że to von Hagemann ją zauważył. To był jednak Paul.

– Tutaj się ukryłaś, mój skarbie? – zapytał i wyglądał na zaniepokojonego. – Wszyscy pytają o ciebie.

– Naprawdę?

Wziął ją w ramiona i podszedł z nią do okna. Zapadał zmrok, a liczne światła, które oświetlały park, sprawiały, że okolica przypominała zaczarowany baśniowy świat. Stare drzewa rzucały dziwaczne cienie, kolorowe płomycki tańczyły nad łąkami, tu i tam poruszały się jakieś maleńkie, tajemnicze leśne stworzenia, widać było też starsze dzieci, bawiące się w chowanego, i zakochane pary, które chciały ukryć się przed czujnym wzrokiem rodziców. Słysząc było muzykę graną przez niewielką orkiestrę, walc z jakiejś operetki, i Marie poczuła, że Paul obejmuje ją w tali.

– Ten pierwszy taniec jest dedykowany nam, Marie – wyszeptał jej do ucha.
– Tylko dla mnie i dla ciebie, bez udziału tych wszystkich ciekawskich oczu, które nas śledzą na dole.

Poddała się jego ruchom i nagle zjednoczyli się w rytmie płynącej muzyki.

– Wiem, jakie to jest dla ciebie trudne, moja kochana – powiedział cicho. – Ale jestem tutaj z tobą, jestem przy tobie, walczę dla ciebie. Razem to przetrwamy, zaufaj mi.

– Robię to od dawna – odpowiedziała i zamknęła oczy.

Musiał ją przedstawić tym wszystkim snobistycznym gościom. Ale to on był jej przeznaczeniem, miłością jej życia. Ani ogień, ani woda, ani morze, ani góry nie mogły ich od siebie oddzielić. Czymże wobec tego było to zabawne towarzystwo zgromadzone w parku? Tańczyli blisko siebie, dali się ponieść muzyce, wdychali słodycz swojej bliskości. Byli coraz bliżej siebie, w końcu stanęli i zatonęli w pocałunku.

– Idziemy – wyszeptała Marie, gdy rozluźnili uścisk.

Zeszli po schodach, trzymając się mocno za ręce.

⁴ Cytat pochodzi ze słynnego utworu Fryderyka Schillera *Pieśń o dzwonie* (niem. *Das Lied von der Glocke*), wydane w 1799 roku. Wersja polska pochodzi od tłumaczki.

d="w_cieniu_tajemnic-66.html" xml:lang="pl-PL" aid="1TVKI1">

Spis treści

CZEŚĆ I. AUGSBURG, JESIEŃ 1913 ROKU

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

CZEŚĆ II. GRUDZIEŃ 1913

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

CZEŚĆ III. ZIMA 1914

23

24

25

26

27

28

29

30

31

CZEŚĆ IV. WIOSNA 1914

32

33

34

35

36

37

38

CZEŚĆ V. KWIECIEŃ 1914

39

40

41

42

43

44

CZEŚĆ VI. MAJ 1914

45

46

47

48

49

50

51

52

53

CZEŚĆ VII. CZERWIEC 1914

54

55